



ARCHIWUM

wolności

Europy Karpat

Tom 2

PRZEMYSŁ 2024

archiwum wolności



Biblioteka
Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego
Tom VI

archiwum wolności



archiwum wolności
Europy Karpat

Przemysł 2024



Sfinansowane ze środków Narodowego Instytutu Wolności –
Centrum Rozwoju Społeczności Obywatelskich
w ramach Rządowego Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich
na lata 2018–2030 (PROO)



Wydawca:

Przemyskie Towarzystwo Kulturalne

Wybrzeże Marszałka Józefa Piłsudskiego 1, 37-700 Przemyśl

email: towarzystwo.kulturalne@op.pl

www.ptk-przemysl.pl

<https://archiwumwolnosc.pl/>

Redakcja:

Marek Kuchciński - redaktor

Zespół: Jacek Borzęcki, Aleksander Busz, Jan Jarosz, Piotr Pilch jun.,
Lucie Szymanowska, Waldemar Wigłusz

Sekretarz redakcji: Anna Pragłowska

Opracowanie graficzne: Grzegorz Karnas

Okładka: fragment zdjęcia z manifestacji ulicznej, 31 sierpnia 1982 r.
na Kamiennym Moście w Przemyślu – fot. Mirosław Bar. Projekt: Grzegorz Karnas

© Przemyskie Towarzystwo Kulturalne

ISBN 978-83-964565-5-7

Spis treści

• Galeria Ludzi Europy Karpát	7
• Lucie Szymanowska - Wspólnota losów i sumień - Archiwum Wolności Europy Karpát	13
• Część I. Archiwum Wolności Europy Karpát - rozmowy, wspomnienia	17
• Panteon Ludzi Wolności Europy Środkowej	
- Arkadiusz Adamczyk - János Esterházy	18
- Maciej Szymanowski - Profesor, Waclaw Felczak	22
- Piotr Babinetz - Zygmunt Miłkowski	28
• „Archiwum Wolności Europy Karpát”, panel 38. konferencji „Europa Karpát”	36
• Rozmowy biograficzne	
- Ryszard Terlecki - w rozmowie z Markiem Kuchcińskim	52
- Zygmunt Kozicki - w rozmowie z Markiem Kuchcińskim	71
- Adam Pęziół - w rozmowie z Markiem Kuchcińskim	94
- Andrzej Mazur - w rozmowie z Markiem Kuchcińskim	129
- Marek Zieliński - rozmowa Redakcji	152
- Rozmowa Trzech: z Witem Wojtowiczem, rozmawiają Marek Kuchciński i Andrzej Mazur	174

- Teresa Baranowska - wspomnienia, spisał K. Jacek Borzęcki	203
- István Kovács - rozmowa Redakcji	212
- Maciej Szymanowski - rozmawiają Jan Jarosz, Jacek Borzęcki	221
- Jan Majchrowski - rozmawiają Jan Jarosz, Jacek Borzęcki	226
- Sébastien Meuwissen - rozmawia Lucie Szymanowska	232
- Marek Natusiewicz - rozmawia Lucie Szymanowska	236
- Matyáš Zrno - rozmawia Lucie Szymanowska	240
• Rozmowy, krótkie refleksje - rozmawiają Piotr Pilch, Szymon Kuchciński:	245
- Imre Molnár - o edukacji młodych pokoleń i Jánosie Esterházym	246
- Ján Hudacký - o współpracy polsko-słowackiej w Europie Karpát	253

- Adam Pawluś - historia Ośrodka Edukacji Ekologicznej w Ożennej	256
- Grażyna Leńczuk, Katarzyna Dedo - działalność Ośrodka Edukacji Ekologicznej w Ożennej	259

**• Część II. Ziemia Przemyska i region.
Działalność opozycyjna i inicjatywy obywatelskie**

• Wydarzenia 264

- Stan wojenny w Polsce południowo-wschodniej

- Artur Brożniak - Protesty na terenie Ziemi Przemyskiej w latach 1980 -1988	265
- Stan wojenny w województwie przemyskim - zapis spotkania	275

- Alicja Wnorowska – Żołnierz Wyklęty. Uroczystości upamiętniające 285

• Wspomnienia 290

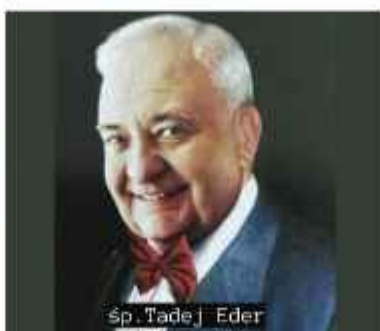
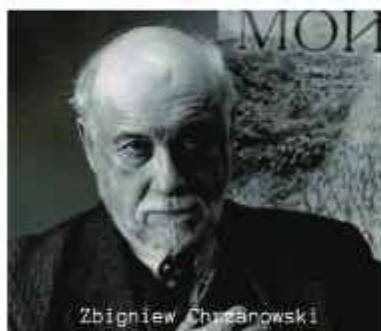
- Andrzej Koperski - wspomnienia własne	291
- Robert Choma - wspomnienia własne	301
- Janusz Czarski - wspomnienia, spisał K. Jacek Borzęcki	309
- Jerzy Czekalski – wspomnienia, spisał K. Jacek Borzęcki	315
- Krzysztof Kamiński - wspomnienia własne	328
- Edward Szczurko - wspomina Marek Kamiński, spisał Jacek Borzęcki	334

• Rozmowy 337

- Czesław Buksiński - rozmawia Waldemar Wigłusz	338
- Zbigniew Chrzanowski - rozmawia Jacek Borzęcki	347
- Jadwiga Pechaty - rozmawia K. Jacek Borzęcki	358
- Tadej Eder - rozmawia Jacek Borzęcki	369
- Robert Majka - rozmawia Jacek Borzęcki	374
- Adam Majgier - rozmawia Aleksander Busz	383
- ks. Jan Pępek - rozmawia Jacek Borzęcki	391
- Jan Sołek - rozmawiają Jan Jarosz, Jacek Borzęcki	397
- Krzysztof Szczurko - rozmawia Aleksander Busz	404
- Bogusław Zaleszczyk - rozmawia Waldemar Wigłusz	408
- Andrzej Zapałowski - rozmawia K. Jacek Borzęcki	428

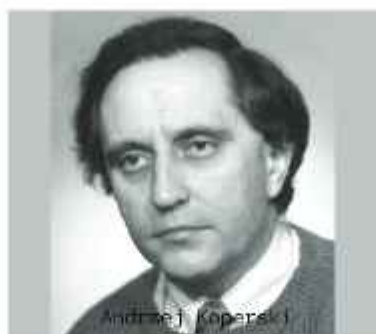
GALERIA LUDZI EUROPY KARPAT



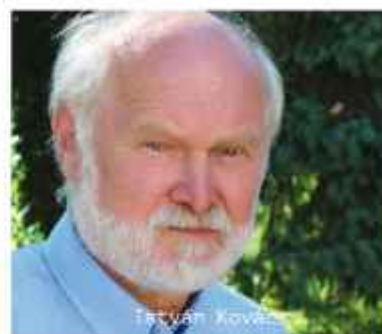




Krzysztof Kamiński



Andrzej Koparski



Jacek Kowalczyk



Zygmunt Kozicki



Jan Majchrowski



Adam Majlor



Robert Majka



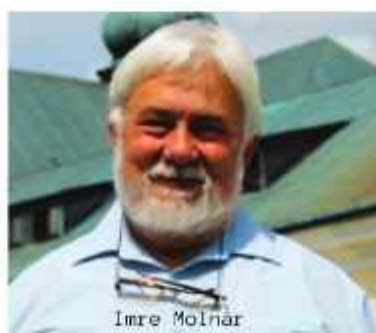
Marek Matroszek



Andrzej Mazur



Sébastien Mouwisen



Imre Molnar



Jan Musiał



Marek Nabuziewica



Grażyna Leńczuk,
Katarzyna Bodo



Adam Pawlus



Paruyr Hayrikyan



Janużga Pechaty



ks. Jan Pepek



Adam Pezioł



Stefan Purioł



Marjan Supiński



śp. Jan Sotek



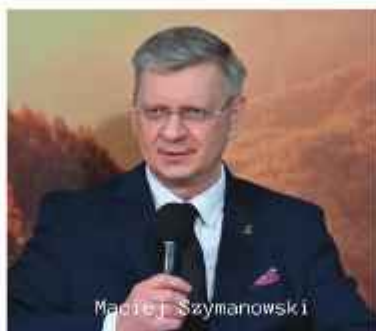
Tomasz Sakiewicz



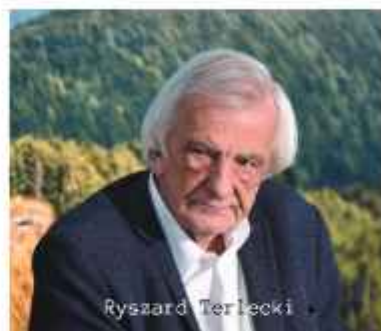
Krzysztof Szczerko



Sp. Edward Szczurko



Maciej Szymanowski



Ryszard Terlecki



Witold Kosiński



Bogusław Zaleszczyk



Andrzej Zapaliowski



Marek Węclowski



Matyáš Zrno



Zespół redakcyjny



*...Lecz żyjmy tak, jak gdyby nasz był wiek;
Pod wolny kraj spokojnie kładź fundament...*
(Jerzy Narbutt, listopad 1980)

Wspólnota losów i sumień - Archiwum Wolności Europy Karpat

Przedkładamy czytelnikom tom tekstów, które – w postaci naukowych opracowań, portretów, relacji z konferencyjnych debat, wywiadów i wspomnień z gatunku historii mówionej – skupiają się na temacie wolności. Na postaciach, których życie dążeniem do wolności było i nim właśnie zostało naznaczone.

„Zjednoczmy się, bo jeden jest nasz cel” – wzywa stanowiący motto niniejszego tomu wiersz Jerzego Narbutta, od 2000 roku oficjalny hymn Solidarności, śpiewany na melodię Stanisława Markowskiego już znacznie wcześniej, podczas stanu wojennego.

„Głęboko czujemy wspólnotę naszych losów” – stwierdzili w 1981 roku delegaci I Krajowego Zjazdu Solidarności w Połaniu do ludzi pracy Europy Wschodniej, rozszerzając tym samym postulat solidarnej współpracy na pozostałe kraje i społeczeństwa tzw. bloku wschodniego. Nie przez przypadek w reakcji na Połanie doszło wówczas do ożywienia współpracy czeskich i polskich opozycjonistów. Powstała Solidarność Polsko-Czechosłowacka, która w czasach komunizmu stanowiła unikalną formę międzynarodowej współpracy prodemokratycznych środowisk i która zainspirowała inicjatywę powołania do życia Solidarności Polsko-Węgierskiej w samych początkach 1989 roku. Również nie przez przypadek Połanie wywołało w państwach bloku lęk przedstawicieli reżimu i serię retorsji podejmowanych wobec osób wyrażających publicznie sympatie z Solidarnością, jak miało to miejsce w przypadku więzionego i torturowanego rumuńskiego robotnika Iuliusa Filipa.

Hymn Solidarności proponuje pozytywistyczną pracę u podstaw na rzecz wolnego państwa (*pod wolny kraj spokojnie kładź fundament*), wyraża jednak również - w imię tejże wolności - gotowość do walki i do ofiary. Wśród postaci, których portrety znajdziemy w tomie Archiwum Wolności, są ci, którzy za swoją postawę w czasach komunizmu zapłacili wysoką cenę, a dziś są – słowami Jerzego Narbutta - „życzliwie przemilczani”. Jest tu przypomniany również Sługa Boży János Esterházy, po kądzieli Polak, po mieczu Węgier, a w okresie międzywojennym obywatel Czechosłowacji, ratujący podczas drugiej wojny światowej żydowskich współobywateli. Umierając w więzieniu Mírov w komunistycznej Czechosłowacji, hrabia Esterházy modlił się o pojednanie między narodami, które „Bóg umieścił obok siebie, na tej ziemi”.

Jak stwierdził Marek Matraszek, moderator relacjonowanego w tej książce panelu dyskusyjnego „Archiwum Ludzi Wolności” (konferencja Europa Karpat, 2023), wolność jest dziś znów pod wieloma względami zagrożona. Odniesienie do wspomnianych aktów ofiary zaś sprawia, że

obecne działania „nabierają aksjologicznej głębi”, co pozwala nam współtworzyć „mocną euro-regionalną solidarność” (Jan Musiał w tymże panelu).

Mówiąc o potrzebie zakotwiczenia solidarnej postawy w wartościach, przyjmujemy za księdzem Józefem Tischnerem, że „fundamentem solidarności jest sumienie”. Do tożsamyh źródeł („życie w prawdzie”) odwołał się Roger Scruton, opisując w 2015 roku w czeskim czasopiśmie „Kontexty” swój udział w spotkaniach uniwersytetu latającego, organizowanego m.in. w Pradze (1979-1989). Nawet przy uwzględnieniu pewnych odmienności historycznych, relacja brytyjskiego filozofa mogłaby równie dobrze dotyczyć przemyskiego Strychu Kulturalnego, gdzie przecież również pojawiał się w roli prelegenta. Scruton przywołuje esej Siła bezsilnych (1978) niegdysiejszego dysydenta, późniejszego prezydenta Václava Havla:

„[Havel w eseju] napominał swoich rodaków, aby „żyli w prawdzie”. Jak mogliby to zrobić, gdyby nie byli w stanie odróżnić prawdy od fałszu? I jak mogliby odróżnić prawdę od fałszu bez pomocy prawdziwej kultury i prawdziwej wiedzy? (...) Koszt tego był wysoki - prześladowania, aresztowania, pozbawienie normalnych praw i przywilejów oraz życie na marginesie społeczeństwa. Kiedy coś ma wysoki koszt moralny, tylko zaangażowani ludzie będą tego szukać. Dlatego w podziemnych seminariach odnalazłem wyjątkową grupę studentów - ludzi oddanych wiedzy, tak jak ja ją pojmowałem, i świadomych, jak łatwo i niebezpiecznie jest pomylić wiedzę ze zwykłym mniemaniem. Co więcej, szukali wiedzy tam, gdzie najtrudniej ją znaleźć, ale też tam, gdzie jest najbardziej niezbędna - w filozofii, historii, sztuce i literaturze; tam, gdzie bardziej niż naukowa metoda jest naszym jedynym przewodnikiem krytyczne myślenie. Ale to, co było dla mnie najbardziej interesujące, to naglące pragnienie wszystkich moich nowych studentów, aby odziedziczyć to, co zostało im jako dziedzictwo przekazane. Dorastali w świecie, w którym wszystkie formy przynależności, z wyjątkiem podporządkowania się partii rządzącej, były marginalizowane lub potępiane jako przestępstwo. Instynktownie rozumieli, że dziedzictwo kulturowe jest cenne właśnie dlatego, iż oferuje rytuał przejścia do czegoś, czym człowiek naprawdę jest, do wspólnoty, którą uważa się za własną”.

Wgląd do szerzej rozumianej, środkowoeuropejskiej wspólnoty wartości umożliwiają rozmowy z uczestnikami konferencji Europa Karpat zawarte w pierwszej części niniejszego tomu (z zagranicznych rozmówców m.in. István Kovács, Imre Molnár, Ján Hudacký, Matyáš Zrno). Wywiady w drugiej części książki, których bohaterami są osobowości Ziemi Przemyskiej, należą przeważnie do gatunku historii mówionej. Stanowią dzięki temu pełen konkretów obraz jednostkowych losów, a zarazem – ponieważ mikro- i makrohistoria nieuchronnie się uzupełniają – tyleż przyczynek do historii regionu, co całej Polski. Z rozmów wyłania się geograficzna, kulturowa i duchowa topografia miasta - taki właśnie wielowarstwowy wymiar wydają się mieć miejsca spotkań duszpasterstwa Solidarności w podziemiach przemyskich świątyń, dom goszczący bywalców Strychu Kulturalnego, ale też labirynt miejskich ulic, w tym ulica Franciszkańska, gdzie wśród przechodniów i osób wewnętrznie wolnych, charakteryzujących się „bardzo zwyczajnym przekonaniem, że są rzeczy ważniejsze od nas samych - oraz bardzo nadzwyczajnym wysiłkiem, by tym ważniejszym rzeczom służyć najwydatniej” (Jerzy Narbutt, 1974) grasowali „cisi i mili przyjemniaczkowie” - perfidnie diaboliczni, a jednocześnie ułomnie ludzcy esbecy (rozmowa Marka Kuchcińskiego z Andrzejem Mazurem).

Wywiady pozwalają czytelnikowi spotkać się z niezależnymi i solidarnościowymi środowiskami Przemysła w sposób inny, niż na jaki pozwala lektura naukowych kompendiów na temat epoki. Podobnie, jak inną wiedzę zdobywa zwiedzający potężny, ale bezosobowy gmach Centrum Solidarności w Gdańsku, a inną ten, kto wstąpi do znajdującej się zresztą nieopodal Centrum znacznie mniej okazałej Sali BHP. A to właśnie w tej ostatniej przemawia duch historii: od jej progów, po samo podium.

Rozmowy przypominają o pierwotnym etosie Solidarności. Takim, o jakim we wspomnieniach wydanych w 2005 roku pod tytułem *Wyrzucony na brzeg życia* pisał Jerzy Narbutt: *„Sam byłem zdumiony tym fenomenem: oto ethos legionowy, ethos AK-owski, ethos szaroszeregowej młodzieży powraca właśnie wśród młodych, w młodych znajduje kontynuatorów, formuje ich myślenie, wypełnia ich programy, aż wreszcie wybucha płomieniem ich determinacji w gorącym Sierpniu 1980, by ukształtować niezapomniany – młodzieżowy w znacznym stopniu – epos Solidarności, epos nowych walk, nowych zwycięstw, nowych cierpień i klęsk, i epos nowego podziemia i w końcu nowego zmartwychwstania.”* Możemy jednak postawić pytanie, o jakie zmartwychwstanie tu właściwie chodzi, czy to może już „koniec historii”? *„Zmartwychwstanie ku czemu?”* – pytał również Narbutt. *„Dziś widzę, że nie jestem w Polsce, lecz w dżungli”* – zaznaczał, wspominając o „pseudosolidarnościowych kręgach”, które *„zweksłowały spontaniczny wehikuł historii na boczny tor własnych, ciemnych interesów”*. *Jeżeli taka diagnoza jest wciąż aktualna, oznacza to, Szanowny Czytelniku, tylko tyle i aż tyle, że historia zatacza koło, że ponownie „nasz jest ten dzień”*.

Życzymy owocnej lektury!

/-/Lucie Szymanowska
czeska dziennikarka, hungarystka, tłumaczka

*Solidarni, nasz jest ten dzień,
A jutro jest nieznanie,
Lecz żyjemy tak, jak gdyby nasz był wiek;
Pod wolny kraj spokojnie kładź fundament.
A jeśli ktoś nasz polski dom zapali,
To każdy z nas gotowy musi być,
Bo lepiej byśmy stojąc umierali,
Niż mamy klęcząc na kolanach żyć.
Solidarni, nasz jest ten dzień;
Zjednoczmy się, bo jeden jest nasz cel!*

Jerzy Narbutt

*Jsme solidární, dnešek je náš,
zířek je nepoznaný.
Žijme však tak, jako by přál nám čas,
svobodnou zemi stavme od základů.
Pokud však někdo vlast naši zažehne,
musíme všichni bez váhání vstát.
Raději přece vstoje zahyneme,
než bychom měli vkleče přežívat.
Jsme solidární, náš je to den,
kéž jeden duch nám určí shodný směr!*

Tłum. Lucie Szymanowska

Ez a mi napunk, a szolidaritásé,
S bár nem tudni, mit hoz a holnap,
Éljünk úgy, mintha a miénk lenne az egész század;
Higgadtan építsük alapjait egy szabad országnak.
S ha lángba borítják szép lengyel hazánkat,
Akkor mind késznek kell lennünk,
Inkább haljunk meg egyenes gerinccel,
Mint hogy térdepelve kelljen élnünk.
Ez a mi napunk, a szolidaritásé;
Most fogjunk össze, mert egy a célunk!

Tłum. Gáspár Keresztes

Część I.

Archiwum Wolności Europy Karpat rozmowy, wspomnienia

JÁNOS ESTERHÁZY



Arkadiusz Adamczyk

JÁNOS ESTERHÁZY (1901-1957). Środkowoeuropejski człowiek wolności.

Ród Esterházych należy do najstarszych i najbardziej znanych rodzin arystokratycznych na Węgrzech. Niewątpliwie, oprócz ocierającego się o nagrodę Nobla pisarza Petera Esterházy, najbardziej znanym przedstawicielem tejże rodziny pozostaje Jánosa Esterházy, z ojca Węgier, z matki – Elżbiety z Tarnowskich – Polak, z przynależności państwowej obywatel Czecho(Słowacji). Urodzony 14 marca 1901 roku w Újlak (sł. Veľké Zálužie k. Nitry) przyszły polityk i przywódca mniejszości węgierskie w państwach Masaryka i Beneša całe swoje życie poświęcił walce o respektowanie praw i wolności Węgrów. Za walkę tę przyszło mu też zapłacić najwyższą cenę.

Początki działalności politycznej Jánosa Esterházy przypadły na przełom trzeciej i czwartej dekady XX wieku. Ze względu na wyniesione z domu wartości János Esterházy dołączył do Krajowej Partii Chrześcijańsko-Społecznej (KPChS, węg. Országos Keresztényszocialista Párt [OKSzP]; sł.: Krajová křesťansko-socialistická strana), stronnictwa, którego program pozostawał pod silnym wpływem encykliki Rerum novarum. Już 14 grudnia 1932 roku został wybrany przewodniczącym partii. Będąc już niekwestionowanym przywódcą nadał partii wyraźny rys ideowy opierając dzia-

talność ugrupowania na fundamencie wiary w Boga oraz poszanowania zasad sprawiedliwości i praw człowieka. 5 czerwca 1935 roku Esterházy uzyskał mandat poselski.

Od początku kariery parlamentarnej, walcząc przede wszystkim o poprawę położenia Węgrów, stał się aktywnym bojownikiem o prawa wszystkich mniejszości zamieszkujących państwo czechosłowackie i niestrudzonym orędownikiem zasady równouprawnienia narodów. Jego polityczna działalność opierała się na trzech filarach: na chrześcijańskich wartościach, niezbywalności praw narodowych oraz poszanowaniu społecznej sprawiedliwości. Z powodu prezentowanej przez siebie postawy Esterházy spotykał się z zaciekłymi atakami, przede wszystkim ze strony działaczy lewicy, nierzadko Węgrów posiadających w życiorysie epizody służby w Gwardii Czerwonej w czasach Węgierskiej Republiki Rad.

Z perspektywy czasu należy ocenić Esterházyego jako polityka dalekowzrocznego, potrafiącego odważnie patrzeć w przyszłość, a jednocześnie skutecznego. To właśnie jemu udało się zjednoczyć czechosłowackich Węgrów pod wspólnym sztandarem jednego stronnictwa, manifestującego przywiązanie do katolickich korzeni. To on pozostawał głównym oponentem wobec zagrożenia, jakie niesło ze sobą zwycięstwo Hitlera w Niemczech. To właśnie on głośno sprzeciwiał się inklinacjom władz Republiki w kierunku zacieśnienia relacji ze Związkiem Sowieckim. Wskazywał przy tym na zagrożenie światopoglądowe i cywilizacyjne związane z oddziaływaniem wrogich idei oraz na destrukcyjne oddziaływanie na spistość państwa czechosłowackiego. To właśnie on narzucił Węgom pogląd, iż w relacjach z narodami zamieszkującymi Czechosłowację należy bezwzględnie poprzeć Słowaków w ich dążeniach do uzyskania jak najszerszej autonomii. Brak uległości Esterházyego w kwestii współpracy z Niemcami legł u podstaw opinii wygłoszonej o nim przez Hitlera, mającego Węgom za złe, że „na przywódcę mniejszości swej na Słowaczczyźnie nie potrafili nawet znaleźć innego kandydata niż tylko tego arystokratę”.

Po układzie monachijskim z 29 września 1938 roku (decydującym o rozpadzie Czechosłowacji i stanowiącym empiryczne potwierdzenie jego wcześniejszych przewidywań) oraz po arbitrażu wiedeńskim z 2 listopada 1938 roku Esterházy odrzucił propozycję kontynuowania kariery politycznej jako poseł w parlamencie budapeszteńskim. Jak sam oświadczył, przyjął wówczas „wspólnotę losu z pozostającymi na terenie Słowacji Węgrami i nie wyjeżdża z kraju”. W 1939 roku Esterházy pozostał członkiem parlamentu nowego państwa – Słowacji. Konsekwentnie podtrzymywał wcześniej zajmowane w okresie czechosłowackim stanowisko, w myśl którego: „my, Węgrzy, zawsze uważaliśmy naród słowacki, z którym teraz znaleźliśmy się w bardziej ścisłym kontakcie publiczno-prawnym, za naszych braci i tak będziemy uważać w przyszłości. [...] Naród słowacki jest podobnie małym narodem jak my i tak samo jak my walczył o niezależność, wolność, uznanie i prawo do samookreślenia. My Bogu oddajemy to, co boskie, a Słowacji to, co słowackie”. Do 1945 roku pozostawał najważniejszym politykiem węgierskim w państwie ks. Jozefa Tiso.

Mimo podjętych starań nie ziściły się nadzieje Esterházyego na zbudowanie dobrych relacji ze Słowakami. Im mocniej słowackie elity polityczne angażowały się w budowę swego państwa o wzorce czerpane z Trzeciej Rzeszy i im wyraźniej odrzucane były węgierskie oferty ułożenia

wzajemnych stosunków tym bardziej rozdzwięk między przywódcą mniejszości węgierskiej a słowacką większością pozostawał nieuchronny. Wygłaszane w imieniu społeczności węgierskiej oświadczenia, iż z „programem narodowego socjalizmu nie mamy nic wspólnego i mieć nie będziemy”, odczytywane były jako bezpośrednia krytyka kierownictwa słowackiego państwa i uległości wobec Niemiec. Z kolei wskazywane w debatach parlamentarnych rozbieżność między założeniami ideologii hitlerowskiej a nauką społeczną Kościoła katolickiego musiały irytować przywódców słowackich, zwłaszcza biorąc pod uwagę liczną reprezentację księży katolickich w kierownictwie państwowym i parlamencie. Można domniemywać, iż zakamuflowane wykazywanie, iż Słowacy wyraźnie sprzeniewierzali się nauce Kościoła, było głównym powodem szykan, do których pretekstu dostarczało ignorowanie zarządzeń dotyczących funkcjonowania w szeregach partii osób narodowości niewęgierskiej i zarzut o ukrywaniu przez niego osób narodowości żydowskiej. Od połowy 1942 roku Esterházy jeszcze intensywniej zainteresowały się służby bezpieczeństwa państwa, co hrabia przyjmował nad wyraz spokojnie. Jednocześnie pozostawał konsekwentny w trwaniu przy nakreślonych przez siebie pryncypiach polityki mniejszości węgierskiej, wśród których na pierwszy plan wysuwały się równość, nieograniczona wolność i prawo do kultuwowania wiary i tradycji. W ostatnich miesiącach 1939 roku, świadom trudności w relacjach słowacko-węgierskich dał się poznać jako orędownik szerszej koncepcji, tj. zbliżenia narodów Europy środkowej. Głosił hasło powrotu do idei świętostefańskiej, która mogła stanowić skuteczną alternatywę dla rozprzestrzeniającej się w Europie środkowej doktryny narodowego socjalizmu.

Choć Esterházy konsekwentnie wskazywał, że: „my, Węgrzy i Słowacy, powinniśmy patrzeć na to, co nas przybliża, a nie na to, co nas oddala”, w relacjach z większością nie mógł unikać kwestii spornych. Do takich należało przede wszystkim ograniczanie wolności osobistej i praw Madziarów. Do najgłębszego i najdalej idącego w skutkach konfliktu Esterházyego ze Słowakami doszło bynajmniej nie z powodu zmagających politycznych o wolności jego rodaków. 15 maja 1942 roku. Parlament słowacki przegłosował bodaj najbardziej haniebną w jego krótkich dziejach „ustawę o wysiedleniu” a faktycznie o deportacjach ze Słowacji ludności żydowskiej. Jedynym parlamentarzystą, który nie przyłożył ręki do uchwalenia eksterminacji kilkudziesięciu tysięcy współobywateli, był Esterházy. Jak zadeklarował wobec przewodniczącego Zgromadzenia: „My, Węgrzy, o czym zaświadcza historia, przez ponad tysiąc lat żyliśmy i działaliśmy w duchu Świętego Stefana, czego najlepszym dowodem jest to, że nigdy nikogo, ani pojedynczo, ani zbiorowo nie deportowano z terenu Węgier (...) ja jako przedstawiciel zamieszkałych tu Węgrów, zgłaszam protest, i proszę przyjąć do wiadomości, iż dlatego nie głosuję za poparciem projektu [ustawy], lecz przeciw niemu, gdyż jako Węgier i chrześcijanin oraz jako katolik uważam ten projekt za bezbożny i nieludzki”. W tym czasie coraz więcej miejsca w przesłaniach Esterházyego i jego przemówieniach zaczęła zajmować kwestia związku między wartościami narodowymi a wartościami ogólnoludzkimi. Przekonując, że naczelną rolę w życiu współczesnych społeczeństw winno zajmować pragnienie pokoju, wskazywał na konieczność zachowania ideowych i ponadnarodowych więzi. Jak podkreślał Rezső Peéry: „Mimo usunięcia się gruntu pod nogami, pogrzebienia całej ludzkiej i obywatelskiej (polgári) cywilizacji na Słowacji, on [Esterházy] i jego starsza siostra Lujza, z ostentacyjną wiernością trzymali się moralnych zasad dawnego świata. W czasach drobnomieszczańskiego obłędu i nihilizmu z coraz większą determinacją potrafił pozostać

człowiekiem, patriotą i chrześcijaninem – obywatelem świata”. Obrona zasad, którymi kierował się w swej publicznej działalności odbywała się w warunkach realnego zagrożenia aresztowaniem i utratą życia.

Wkroczenie Armii Czerwonej, a raczej ustalenie porządku jałtańsko-poczdamskiego i w konsekwencji oddanie Europy środkowo-wschodniej pod wszechwładną jurysdykcję Moskwy, zapowiadało zmierzch świata, do którego Esterházy i jego rodzina przynależeli z powodu pochodzenia, wychowania czy wyznawanych wartości. Wkrótce po opanowaniu Czechosłowacji przez wojska sowieckie Esterházy został aresztowany, wydany NKWD i przewieziony do Moskwy. Tam wytoczono mu pokazowy proces, zakończony wyrokiem 10-letniej katorgi w Republice Komi. W 1947 roku z kolei słowacki Trybunał skazał go na karę śmierci. Po ponad dwóch latach pobytu w głębi Rosji zapadła decyzja o przekazaniu hrabiego Czechosłowacji.

W 1949 roku Esterházy powrócił w rodzinne strony by do końca swego życia pozostawać więźniem komunistycznych kazamatów. Jedynie dzięki interwencji nestora słowackiego ruchu komunistycznego, prof. Vavro Šrobára bezpośrednio po sprowadzeniu go do Czechosłowacji udało się Esterházyemu uniknąć wykonania wyroku i doczekać złagodzenia kary. Do swej śmierci 8 marca 1957 r. pozostawał jednak więźniem. Mury kacetów nie były jednak w stanie złamać jego wewnętrznej wolności. Tak jak wcześniej w łagrach, tak w czeskich i słowackich więzieniach dawał świadectwo wiary w Boga i przywiązania do węgierskiej i polskiej tożsamości. Dokumentacja sporządzona przez jego oprawców stanowi doskonałą ilustrację siły ducha i przeciwstawienia się ciemnościom. Bezradni wobec prezentowanej przez niego postawy mogli jedynie posuwać się do szykan. Były to przede wszystkim utrudnienia w dostępie do opieki medycznej i lekarstw, co dla organizmu wyniszczonego pobyt w głębi Rosji musiało mieć swoje konsekwencje. Najśroźsze szykany dotknęły jednak Esterházyego po śmierci. Władze komunistyczne zabroniły wydania ciała rodzinie i organizacji jego pochówku. Jego doczesne szczątki, bezpośrednio po śmierci skremowane, zostały odnalezione i pochowane w Alsóbodok k. Nitry (sł. Dolné Obdokovce), w dolnej części Kaplicy pw. Podwyższenia Krzyża św. dopiero w 2017 r.

PROFESOR. WACŁAW FELCZAK



Prof. Waclaw Felczak - z archiwum dr Wojciecha Frazika

Maciej Szymanowski

PROFESOR. WACŁAW FELCZAK

„Komunizm upadnie. To tylko kwestia czasu” Albo: „Každy porządný Polak prędzej czy później musi trafić do więzienia. Ja już siedziałem. Teraz pora na Was” – to tylko przykładowe zdania, które słyszeli od profesora Waclawa Felczaka jego studenci, jak niżej podpisany. Także w ciemną noc stanu wojennego, która ogarnęła Polskę w grudniu 1981 roku. Niezlomne przekonanie o nieuchronnym końcu komunizmu, nawet w czasie, kiedy za oknem sali wykładowej – dosłownie, stały czołgi nasłane przez generała Jaruzelskiego, a z drugiej strony - brak jakiegokolwiek pobłażliwości Profesora dla osób nienależycie przygotowanych do zajęć czy do egzaminu („Ktoś Polskę będzie musiał odbudować. Pan to chyba nie będzie. Dwója”) – stworzyło z profesora żywą do dziś legendę wśród jego wychowanków. Kim był Waclaw Felczak (1916-1993) „polski historyk, profesor, znawca tematyki środkowoeuropejskiej, szczególnie węgierskiej i południowo-słowiańskiej, kurier i emisariusz Rządu RP na uchodźstwie” – jak sucho informuje o tej postaci Wikipedia?

Jak w poświęconej profesorowi książce biograficznej „Emisariusz Wolnej Polski” zauważa dr

Wojciech Frazik, skądinąd jego uczeń, Waław Felczak był człowiekiem-legendą. A równocześnie człowiekiem, którego życie w wielu szczegółach nie było znane nawet najbliższym przyjaciołom. „Wacuś jak zszedł do konspiracji w 1939 roku, tak tkwi w niej nadal” – cytuje w swojej książce Frazik słowa innego słynnego profesora z Uniwersytetu Jagiellońskiego Henryka Wereszyckiego. I każdy kto miał okazję spotkać profesora, który nawet w podeszłym wieku sprężystym krokiem przemierzał krakowskie planty, nieomal jak struna wyprostowany, w cywilnym, ale na sposób wojskowy noszonym czarnym berecie, bez cienia wahania musi zgodzić się z powyższą charakterystyką. A zarazem, Waław Felczak potrafił być ujmująco miły i wyrozumiały, zwłaszcza w prywatnych rozmowach ze swoimi studentami i wychowankami zarazem, ponieważ nie dzielił tych statusów (co jakże często dzieje się dzisiaj na polskich uczelniach). Był też obdarzony wspaniałym darem opowiadania. Przy czym w snutych przez siebie wspomnieniach, sam siebie zawsze umieszczał na dalszym planie, w tle. Nawet jeśli to on był w rzeczywistości głównym aktorem i kreatorem różnych wydarzeń. Człowiek, o którym wiedziano w istocie tylko tyle, ile sam powiedział. Polak, którego miłością i przeznaczeniem stały się Węgry.

Nauką języka węgierskiego oraz stosunkami polsko-węgierskimi Waław Felczak zainteresował się w czasie studiów na Uniwersytecie Poznańskim. W sierpniu 1936 r. po raz pierwszy pojechał na Węgry, by wziąć udział w kursach letnich kultury i języka węgierskiego organizowanych na Królewskim Uniwersytecie im. Stefana Tiszy w Debreczynie. Ten trudny dla Polaka język opanował tak dobrze, że w maju 1938 r. podczas koncertu w Poznaniu Chóru Uniwersyteckiego z Segedyna, w obecności wielu osobistości (m.in. prymasa A. Hłonda), wygłaszał po węgiersku przemówienie powitalne do przybyłych gości.

W tym czasie zaczęła się też ujawniać jego druga pasja – polityka. Poprzez swojego brata – Zygmunta, czołowego działacza Narodowej Partii Robotniczej, a następnie Stronnictwa Pracy, zbliżył się do ruchu chrześcijańsko-społecznego. Równocześnie zaczął próbować swych sił w publicystyce. Kończąc studia, Waław Felczak myślał jednak przede wszystkim o karierze naukowej. Zaczął publikować wyniki swoich badań historycznych poświęconych wówczas głównie Wiośnie Ludów na Węgrzech. Dzięki otrzymanemu stypendium w 1938 r. wyjechał na dalsze studia do Budapesztu. Zamieszkał w elitarnym Eötvös Collegium, gdzie przygotował swój pierwszy doktorat, którego nie zdążył jednak obronić, a nawet ochronić z powodu wybuchu wojny (Praca wraz z notatkami spłonęły podczas oblężenia Budapesztu w 1944 r.).

Waław Felczak nie odbył przed wojną przeszkolenia wojskowego, więc w czasie kampanii wrześniowej nie został zmobilizowany i nie wziął w niej udziału, choć jak wielu młodych mężczyzn, tułał się po Polsce w nadziei uzyskania przydziału. Jego rodzinne Golbice znalazły się na ziemiach włączonych do Rzeszy, a rodzina wiosną 1940 r. została wysiedlona przez Niemców. Wrócił do Budapesztu wiosną 1940 roku, gdzie w międzyczasie powołano do życia Placówkę W, punkt łączności między rządem Sikorskiego a Krajem. Wszedł na kurierski szlak, który miał niejednokrotnie prowadzić z Londynu do Zakopanego czy Krakowa (i odwrotnie), przez osiem krajów i wiele granic, w większości pokonywanych „na zielono” lub na „lewych” papierach. Przenosił rozkazy, mikrofilmy i dolary, z czasem stając na czele wszystkich kurierów jako pomysłodawca tzw. sztafety, która działała szybciej, a przede wszystkim była bezpieczniejsza dla kurierów, któ-

rzy odtąd przemierzali tylko wybrany, dobrze sobie znany kilkudziesięciokilometrowy odcinek drogi, przekazując następnie niesioną przesyłkę kolejnej osobie w sztafecie.

Równocześnie Felczak pracował w Instytucie Polskim w Budapeszcie, który zajmował się w tym czasie nie tyle promocją kultury, ile działalnością oświatową i edukacyjną wśród uciekających spod niemieckiej czy sowieckiej okupacji polskich rodzin i dzieci. Pisał też artykuły popularyzujące wiedzę o Węgrzech i Europie Środkowej. To wtedy w głowie przyszłego profesora rodziły się pomysły powołania po wojnie do życia federacji, albo przynajmniej uruchomienia ścisłej polityczno-ekonomicznej współpracy między państwami położonymi w Europie Środkowej, które to plany wiele, wiele lat później przybrały formę Grupy Wyszehradzkiej, Trójmorza czy Europy Karpat.

Kiedy w nocy z 18/19 marca 1944 r. Niemcy wkroczyli na Węgry, rozpoczął się terror, którego ofiarami padli zarówno proaliantcy politycy węgierscy, jak i przedstawiciele narodów z Niemcami walczących, szczególnie Polacy. Wśród tych dramatycznych zdarzeń do Wacława Felczaka uśmiechnęło się szczęście. Feralną noc Felczak spędził bowiem przy winie z jednym ze swoich przyjaciół bawiących w Budapeszcie na przepustce. Dopiero nad ranem, kiedy wyszedł na ulicę, zauważył niemieckie oddziały wermachtu. Tym samym gestapo nie znalazło Felczaka ani w jego mieszkaniu, ani w Instytucie Polskim, gdzie go szukało tej nocy. Tę historię lubił profesor często opowiadać, podkreślając przy tym zalety picia węgierskiego wina...

14 lipca 1944 r., w pociągu jadącym z Budapesztu do granicy ze Słowacją, Felczak został aresztowany przez policję faszystowskich już wówczas Węgier. W podwójnym dniu jego walizki znaleziono lampy do radiostacji (które były towarem niezwykle poszukiwanym w okupowanej Polsce) dolary i dokumenty wystawione na kilka różnych nazwisk. Na stacji w Roźniawie podjął próbę pierwszej ucieczki. Niestety, bez powodzenia. W areszcie jako szpieg został mocno pobity. Nie jednak na tyle, aby w nocy nie spróbować raz jeszcze ucieczki. Korzystając z tego, że był wysokim, ale bardzo szczupłym młodym mężczyzną, nie wiedząc nawet kim są jego współtowarzysze z celi i czy nie zawiadomią strażników, precyzyjnie się przez więzienne kraty, raniąc się do krwi na piersiach i plecach. Gdy niespodziewanie kraty puściły, runął w dół tak pechowo, że złamał nogę (w kostce), ale mimo bólu kontynuował ucieczkę wspinając się na drzewo w pobliżu muru, które umiejętnie rozkołysane, przerzuciło go na drugą stronę. Ponieważ nie mógł chodzić, przez dwie doby czołgał się, aby dotrzeć do punktu kontaktowego zlokalizowanego już po słowackiej stronie granicy. Z sukcesem, choć w tych dramatycznych dniach tak się zmienił, że początkowo nie został na miejscu rozpoznany.

Po dojściu do zdrowia Felczak powrócił na kurierski szlak. W styczniu 1945 roku, w Sieniawie, o mało co nie został zastrzelony przez sowieckiego żołnierza. Uratowała go właścicielka tamtejszego majątku, dając czerwonooarmiejcowi swój złoty zegarek.

Latem 1945 roku udało mu się dotrzeć do rodzinnych Golbic, chcąc zobaczyć się z rodzicami i rodzeństwem. Niestety, siostra i trzech braci wojny nie przeżyło. Gdy zapytał matkę: „Co ma teraz robić?”, usłyszał w odpowiedzi: „Twój prapradziadek zginął na Syberii i twój pradziadek zginął na

Syberii. Wiesz co masz robić...". Te słowa kazały mu w rozmowach prowadzonych z bratem Zygmuntem, który wybrał inną drogę życia i objął stanowisko wicewojewody pomorskiego, odrzucić sugestie zerwania z konspiracją.

Felczak pozostał na kurierskim szlaku, wykonując rozkazy delegata rządu Stefana Korbońskiego, informując rząd w Londynie o panującej w Polsce rzeczywistości oraz pomagając zagrożonym aresztowaniem rodakom w ucieczce na Zachód. W maju 1947 po raz ostatni, jak miało się później okazać, dotarł z raportami do Londynu. Znany ze swej bezstronności, pozbawiony partyjnych uprzedzeń, bardzo inteligentny i doświadczony – wszystko to sprawiało, że także tym razem został chętnie wysłuchany przez prezydenta Raczkiewicza i wszystkie bez wyjątku stronnictwa tworzące polski rząd na uchodźstwie.

Od czerwca 1947 r. Waław Felczak – kawaler Virtuti Militari, po raz kolejny postanowił poświęcić się pracy naukowej. Tym razem na Sorbonie. I tam zapewne sfinalizowałby swój doktorat, gdyby nie prośby przyjaciół oraz samego Stanisława Mikołajczyka, który zwrócił się do Felczaka o pomoc w zorganizowaniu przerzutu z Polski zagrożonych aresztowaniem przywódców PSL. Ujęty na kurierskim szlaku w Ostrawie w grudniu 1947 roku ponownie (dwukrotnie) próbował ucieczki, wyskakując m.in. również tym razem z więziennego okna (i łamiąc nogę). Niestety, bez powodzenia. Oddany w ręce samego płk. Józefa Różańskiego, okrytego ponurą sławą dyrektora Departamentu Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Felczak został poddany ciężkim torturom. W śledztwie nie załamał się. Prokurator zażądał dla niego w 1951 roku w tzw. kiblowym procesie kary śmierci. Za „zamiar usunięcia przemocą organów władzy i zmiany ustroju”, „przyjmowanie korzyści od obcego rządu” i „szpiegostwo” Felczak otrzymał jednak „jedynie” karę dożywocia. Dalej był jednak przesłuchiwany.

Na mocy amnestii z maja 1956 r. kara dożywocia została obniżona do 12 lat. W październiku tego samego roku sąd udzielił przerwy w odbywaniu kary na 12 miesięcy ze względu na „znaczne wyniszczenie organizmu więźnia”. Całym jego dobytkiem było wówczas odebrane z depozytu 449 złote (40 procent średniej płacy krajowej). Zaproszony przez jednego z niedawnych towarzyszy niedoli z mokotowskiej celi Felczak postanowił osiąść w Krakowie. Otrzymuje propozycję pracy na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po rocznej przerwie, na mocy kolejnego obniżenia kary przez Najwyższy Sąd Wojskowy (do 7 lat), Felczak nie wraca już do celi. Przez kolejne 20 lat jest jednak stale inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa.

W ten sposób, po raz trzeci w życiu, w wieku 42 lat, Felczak mógł przystąpić do napisania doktoratu. W grudniu 1968 r. uzyskał stopień doktora habilitowanego na podstawie pracy „Uгода węgiersko-chorwacka w 1868 roku”. Z powodów politycznych, na tytuł profesora musiał zaczekać aż do odzyskania przez Polskę niepodległości, nominację z rąk prezydenta otrzymując - tuż przed swoją śmiercią - ostatecznie w 1993 roku już jako autor wielu znaczących prac naukowych, dotyczących historii Europy Środkowej, jak „Historia Węgier” czy „Historia Jugosławii”.

Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte to czas koncentrowania się profesora na pracy z młodzieżą, ale też nawiązania kontaktów z tworzącą się opozycją demokratyczną na Węgrzech,

a ściślej z tymi jej kręgami, które nie były związane z partyjnymi dysydentami. Stał się jednym z inspiratorów powstania partii Fidesz, którą założyli słuchający jego wykładów w 1988 roku w Budapeszcie studenci.

Po wyborach 1989 z coraz większym sceptycyzmem obserwował rozwój sytuacji wewnętrznej w Polsce. Krytykował niedojrzałość polityków, ich wybujałe ambicje przy braku wizji politycznej. Z uwagi na chorobę płuc (dziedzictwo przebywania w nieogrzewanych więziennych celach), coraz chętniej i częściej spędzał czas w górach, które były jego życiową pasją. Tam też został pochowany – na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem.

Żywym pomnikiem Profesora stały się powołane do życia w 2018 roku budapesztańska fundacja i polski instytut im. Wacława Felczaka. A jego być może najważniejszym, a na pewno wciąż aktualnym przesłaniem słowa: „Albo nauczymy się w Europie Środkowej z sobą współpracować, albo pozostaje kwestią czasu, kiedy ponownie staniemy się pasażerami pociągu [historii] na którego kierunek jazdy, ani nawet przystanki po drodze, nie będziemy mieli żadnego wpływu.”



1939 Budapeszt Czytelnia Instytutu Polskiego - z archiwum dr Wojciecha Frazika



1949 - z archiwum dr Wojciecha Frazika



Felczak i Rosiński - Nicea 1947 - z archiwum dr Wojciecha Frazika

ZYGMUNT MIŁKOWSKI



PUŁK. Z. MIŁKOWSKI
© P. 1892

Piotr Babinetz

„SIEWACZ” NIEPODLEGŁOŚCI

Pułkownik Zygmunt Miłkowski - „Jeź”

„Nawet wśród niezwykłych postaci polskiej emigracji XIX wieku wybijał się niesłychaną żywotnością i niesamowitym uporem w forsowaniu działań niepodległościowych”

(Tadeusz W. Nowacki, „Zet. W walce o niepodległość i budowę państwa”)

Zygmunt Fortunat Miłkowski urodził się 3 marca 1824 roku w Saracei nad Dniestrem na Podolu w szlacheckiej rodzinie Józefa - napoleońskiego oficera i Balbiny z Brudzewskich. Edukację rozpoczął w Niemirowie, ukończył ze złotym medalem liceum matematyczno-fizyczne w Odessie, potem studiował matematykę w Kijowie. Wszędzie tam tworzył polską niepodległościową konspirację, opracował nawet statut składającej się z trzech kręgów organizacji.

To człowiek, który może być wyjątkowym symbolem Ludzi Wolności Europy Karpat, bowiem przez około 80. lat pracował i walczył na rzecz niezawisłości całej Europy Środkowej. Był jednym z kilku tysięcy ochotników (część z nich to gimnazjaliści z Ziemi: Sanockiej i Przemyskiej), którzy przebijali się przez Karpaty, aby walczyć o niepodległość Węgier - tak wykuwała się Solidarność Polsko-Węgierska. Pisał o tym profesor Istvan Kovacs, nazywający Miłkowskiego, w pracy „Polacy w węgierskiej Wiosnie Ludów 1848-1849”, w związku z jego wspomnieniami „Od kolebki przez życie” wydanymi w 1936 roku: „światnym pisarzem legionistą”, „najwierniejszym reporterem” i „czołowym politykiem”. Zaznaczył ponadto: „[...] Miłkowski dokładnie wyczuwał wagę i rangę kwestii narodowościowej” i zwracał uwagę na jego powieść „Szandor Kowacz” - romantyczne dzieje miłości węgierskiego huzara i serbskiej dziewczyny na tle walki Madziarów o wolność.

Po wybuchu w 1848 roku Wiosny Ludów - węgierskiego powstania przeciw Austrii, tłumionego także przez wojska moskiewskie, walczył w szeregach Legionu Polskiego generała Józefa Wysockiego, m.in. pod Aradem i Temesvarem. Awansowany na porucznika, 2 kwietnia 1849 roku uczestniczył w szturmie oddziału kapitana Józefa Jagmina na Hatvan. O Jagminie, który był jego dowódcą, Miłkowski pisał: „[...] sumiennie obowiązki powstańcze pełnił, mordując Moskali, gdzie ich jeno dopaść mu się udało. [...] W kul ulewie chadzał, jakby o tem, że kule zabijają, nie wiedział”. Kovacs podkreśla z kolei, że np. w bitwie pod Solnokiem: „Najwspanialszym, najbardziej fascynującym momentem zmagania jest dlań bowiem szarża polskich ułanów...”. Stefan Żeromski wspominał po latach będąc w Szwajcarii: „[...] Rycerski starzec [Miłkowski] opowiadał dwunastoletniemu chłopcu [Adamowi - synowi pisarza] o roku 48-ym na Węgrzech, o generale Bemie i generale Dembińskim, o powstaniu 63-go roku, o bitwach, marszach, noclegach w polu, o przygodach [...] wojennych”.

W trakcie tych walk zetknął się z wolnościowym ruchem Serbów i problemami narodów Bałkanów południowo-zachodnich. Istvan Kovacs przypomina historię spotkania Miłkowskiego z serbskim adwokatem Savą Simiciem, który mimo, że był „gorącym Węgrów nieprzyjacielem”, to „były student kijowski [walczący przecież po stronie honwedów], żywo interesujący się historią, literaturą i kulturą Serbów, rychło pozyskał sobie sympatię gospodarza”.

Po upadku węgierskiej insurekcji przedostał się do Turcji, po czym przyłączył się do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i dotarł do Anglii, gdzie pisywał artykuły w „Demokracji Polskiej”, głównie na temat Rusi. Następnie, przy pomocy m.in. wielu Węgrów, Rumunów i Słowaków powrócił potajemnie w rodzinne strony, jako emisariusz w Kijowie tworzył spisek na Ukrainie i Podolu, do którego wciągnął swoich młodszych braci. Niestety następstwa były tragiczne: jeden został rozstrzelany przez Moskali, a drugiego wcielono na wiele lat do armii rosyjskiej i zesłano na Sybir.

Sam musiał ponownie uchodzić do Mołdawii, od 1851 roku był znów emisariuszem wolności na Bałkanach, przez kilka lat działając z terenu Rumunii, a później z Turcji. Wielkie nadzieje wiązał z wybuchem w 1853 roku wojny krymskiej przeciwko Moskwie, próbował z generałem Wysocikiem utworzyć legion polski przy boku Turcji, jednak koniec wojny w 1856 roku znów pogrzebał walkę o niepodległość Polski.

Później wyjechał do Paryża, a w 1859 roku, w związku ze zwycięstwami cesarza Napoleona III nad Austriakami i jego wsparciem zjednoczeniowego ruchu Włochów, znowu ożyły nadzieje na bój o niezawisłość Rzeczypospolitej. Teraz ponownie został emisariuszem na Bałkanach i pośredniczył pomiędzy uchodźstwem polskim w Paryżu a członkami tajnych organizacji w Kijowie. Odwiedził wówczas konspiracyjnie Warszawę.

W 1862 roku został mianowany naczelnikiem wojskowym na Ruś, a po wybuchu Powstania Styczniowego, już jako pułkownik – naczelnikiem na Podolu. Ze zorganizowanym w Turcji oddziałem przedzierał się na Ukrainę. 15 lipca 1863 roku pobił zagrażające mu drogę wojska rumuńskie pod Kostangalią, nie chciał jednak dalej walczyć z Rumunami i złożył broń. Razem z nim, teraz pod jego dowództwem walczył major Józef Jagmin – bohater pięciu wojen. Oddział został rozproszony, sam Miłkowski przedarł się do Lwowa, został przez Austriaków deportowany do Bawarii, po czym powstańczy Rząd Narodowy w 1864 roku skierował go do Belgradu, ale nie zdążył on już wesprzeć upadającej insurekcji.

Po klęsce Powstania Styczniowego pogłębił swoje przemyślenia, które zawarł w kolejnych powieściach i tekstach publicystycznych. Fundamentem pozostawało dążenie do wolnej Ojczyzny, walka o niepodległość własnymi siłami. Uznał jednak, że potrzebny jest długi marsz, wytężone prace organizacyjne i międzynarodowe poparcie sprawy polskiej. Za konieczne uważał pozyskiwanie funduszy na walkę zbrojną, ale też na działalność wydawniczą i kształcenie młodych ludzi, organizowanie niezależnego od zaborców ruchu oświatowego, aby utworzyć kadry przyszłego wojska i państwa.

Miał demokratyczne przekonania, odrzucał idee socjalizmu, jako sprzeczne z jego celami: odrodzeniem narodowym i odbudową niepodległego, wielkiego i sprawiedliwego państwa polskiego. Chciał doprowadzić do solidaryzmu społecznego: współpracy wszystkich warstw Polaków, nadania pełni praw obywatelskich chłopom (w tym także Rusinom), likwidacji pańszczyzny i uwłaszczeniem ziemi, ponadto emancypacji kobiet i asymilacji Żydów. Przyszłą niepodległą Rzeczpospolitą wyobrażał sobie jako federację Polski, Ukrainy i Litwy. Podkreślał potrzebę rozwiązania sprawy ruskiej na drodze dobrowolnej, akceptowalnej zarówno przez Polaków jak i Ukraińców.

Po dwuletnim pobycie w Belgradzie, który zaowocował powieściami na temat południowo-zachodnich Słowian (został członkiem Towarzystwa Naukowego Serbskiego), przez kilka lat mieszkał w Brukseli, a działając w Zjednoczeniu Emigracji Polskiej wydawał w Paryżu pismo „Niepodległość”. W 1872 roku osiadł w Szwajcarii w Lozannie, gdzie prowadził pensjonat dla uczącej się młodzieży polskiej, a później mieszkał w Genewie i Zurychu. Kilukrotnie przyjeżdżał do Lwowa, odwiedził też Poznań i Kraków oraz kontynuował działania w Związku Wychodźstwa Polskiego.

Po utworzeniu w 1870 roku przez Władysława Broel-Platera, z inspiracji Agatona Gillera i wsparciem Henryka Bukowskiego, Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu, Miłkowski wszedł do jego Rady Zarządzającej, a kontrolerem Muzeum był aż do 1912 roku. Jego niewydana część spuścizny publicystycznej i korespondencja, zgromadzona na zamku w Rapperswilu, podzieliły

później los zbiorów przywiezionych do II Rzeczypospolitej i spalonych przez Niemców w czasie II wojny światowej.

W 1887 roku opublikował swój najważniejszy tekst polityczny „Rzecz o obronie czynnej i o skarbie narodowym”, w którym potępił obronę bierną i politykę ugody z zaborcami, ułatwiającą im wynarodowianie Polaków. Domagał się obrony czynnej i przygotowywania się do boju w sprzyjającej sytuacji międzynarodowej, a także gromadzenia środków finansowych do przyszłej walki – skarbu narodowego. Pisał: „[...] potomkowie naszych dawnych posłów sejmowych, twórców Unii Lubelskiej oraz [...] Konstytucji 3-go Maja [...] autorów Manifestu Rządu Narodowego Polskiego i Złotej Hramoty (1863), powstańców, spiskowców i męczenników. [...] Polska to wielka rzecz. [...] Uzbrajajmy sprawę polską od stóp do głowy i na cel ten gromadźmy środki doniosłe a coraz donioślejsze, ażebyśmy wobec gotujących się wypadków i przewrotów z próżnymi nie stali rękami”.

Tekst Miłkowskiego, kojarzonego przez Polaków pod zaborami literackim pseudonimem „Jeż”, wzbudził szybko zainteresowanie nowego pokolenia niepodległościowych konspiratorów. Stefan Żeromski w „Dziennikach”, 6 września 1887 roku, pisał: „[...] Nad tym pokoleniem, nad garścią nas, nad tymi, co siedzą dziś w kryminale - rozciąga się żelazna prawica ostatniego wielkiego poety, brzmi spiżowy głos starca: nie umierajcie! Między nami i tymi, co umierali w sybirskich stepach, na szubienicy i w cytadelach, co słuchali śpiewki >Z dymem pożarów< - istnieje jeden tylko jeszcze człowiek, co domaga się od nas życia dla kraju. Jest nim JEŻ. Reszta spoważniała, ubrawszy się w ordery, uszywszy sobie sztandar z napisem >praca organiczna< lub >obrona bierna<, reszta się zasklepiła intelektualnie w służbie moskiewsko-austriacko-pruskiej. Stary orzeł nasz - jeden tylko kracze jeszcze...”. Dodał później Żeromski o ludziach zafascynowanych ideami Pułkownika: „[...] z własnej inicjatywy zbiera pieniądze na sprowadzenie broszury Jeża, rozrzuca egzemplarze u swych wujów i ciotek, myśli pisać do samego Jeża. Pomimo grożącej nam nędzy - my dwaj złożyliśmy po 50 kop. na broszurę”.

Po latach 85. latach Bohdan Cywiński w fundamentalnych „Rodowodach niepokornych” podsumował: „[...] stary pułkownik [...] napisał w Genewie broszurkę, która stała się hasłem do odrodzenia polskiego patriotyzmu i nowej ideologii irredentystycznej. [...] W ciągu paru miesięcy znaczna ilość egzemplarzy broszury Jeża pojawiła się w Warszawie, wszędzie budząc wielkie zainteresowanie i poruszenie ideowe. [...] społeczność studencka i młoda inteligencja warszawska żywiłowo i coraz liczniej przystępowała do popularyzacji jej treści i do zbiórki pieniędzy na Skarb Narodowy”.

Także w 1887 roku z powstańcami styczniowymi: Ludwikiem Matyaskiem-Michalskim (przedsiębiorca, przeznaczył na prace wolnościowe środki z plantacji na Sumatrze i zakupił zamek Hilfikon, gdzie założono Ligę, a gdy zmarł zastąpił go Henryk Gierszyński) i Maksymilianem Her telem oraz delegatem Ossolineum - Aleksandrem Hirschbergiem założył w Zurychu tajną organizację Ligę Polską. Jej program zakładał odbudowanie Polski jako demokratycznej republiki i współpracę z innymi narodami zamieszkującymi Rzeczpospolitą. Zwracał szczególną uwagę na konieczność harmonijnego współistnienia Polaków i Ukraińców. Pisał: „Zadaniem Ligi jest

przysposobienie wszystkich sił narodowych celem odzyskania niepodległości Polski w granicach przedrozbiorowych na podstawie federacyjnej i z uwzględnieniem różnic narodowościowych”. Później podkreślano poparcie dla samodzielnego rozwoju narodów dawnej I Rzeczypospolitej. Zaangażował się w propagowanie Ligi Polskiej, skarbu narodowego i idei obrony czynnej, m.in. w 1900 roku przyплыł do Stanów Zjednoczonych, spotykał się ze środowiskami polonijnymi, a także z amerykańskimi wojskowymi, kongresmenami i przyjął go prezydent USA William McKinley. Był też przez wiele lat wiceprezesem Związku Towarzystw Młodzieży Polskiej Zagranicą. W 1910 roku Skarb Narodowy zgromadził już ponad 300 tysięcy franków szwajcarskich, co było bezsprzecznie sukcesem.

Działający z polecenia i według założeń Miłkowskiego, przebywający na uchodźstwie w Szwajcarii, Zygmunt Balicki, już od 1886 roku tworzył w Warszawie (28 listopada), Krakowie, Lwowie, Wrocławiu i innych środowiskach uniwersyteckich pod zaborami oraz na terenie Rosji i wielu państw europejskich konspiracyjny Związek Młodzieży Polskiej „Zet”, który został podporządkowany Lidze Polskiej. „Zet” skupiał kręgi akademickie, organizował strukturę i zajęcia szkolne, równoległe do zaborczych, a mające ukształtować obywateli przyszłego odrodzonego państwa polskiego. Działał, oprócz tworzenia tajnych kół oświatowych, poprzez zakładanie bibliotek i czytelni oraz manifestacje i obchody patriotyczne. Przez szeregi „Zetu” przeszły tysiące późniejszych uczestników walki o niepodległość i elit politycznych II Rzeczypospolitej. Wśród pierwszych działaczy byli m.in. Stanisław Bukowiecki, Bolesław Hirsfeld, Jan Offenber, Roman Dmowski, Stefan Żeromski i Jan Kasprówic, a później także twórcy Polskich Drużyn Strzeleckich, które w 1914 roku weszły do Legionów Polskich.

Po przejęciu władzy w Lidze przez, działających w kraju, narodowych demokratów z Dmowskim, Balickim i Janem Ludwikiem Popławskim oraz przekształceniu jej w 1893 roku w Ligę Narodową, Miłkowski podporządkował się im i przez lata wspierał działalność organizacji ze środków skarbu narodowego. Odciął się od Ligi i zaprzestał jej finansowania, gdy od 1908 roku jej działacze, pod przywództwem Dmowskiego, postanowili przejściowo związać przyszłość sprawy polskiej z Rosją.

Do jego koncepcji nawiązywał tajny paramilitarny Związek Walki Czynnej (także poprzez nazwę), utworzony w 1908 roku we Lwowie przez Kazimierza Sosnkowskiego i Mariana Kukiela oraz Polski Skarb Wojskowy powołany przez Józefa Piłsudskiego z Bolesławem Limanowskim (który wcześniej działał z Miłkowskim) i Walerym Sławkiem na czele. Pułkownik ruch strzelecki Piłsudskiego poparł dopiero w 1914 roku, ale jednak i tak nadzieje na niepodległość pokładał we współpracy z państwami Zachodu. 15 lutego 1914 roku w Genewie uczestniczył w odczytaniu Komendanta Piłsudskiego na temat Powstania Styczniowego, poprzedzonego ćwiczeniami oddziałów strzeleckich z Lozanny i Genewy. Napisał później list do Strzelców na lipcowy zjazd pod Krakowem: „Bracia - duchowe dzieci moje! [...] wobec wojny nad ludzkością [...] wiszącej, organizować się, ćwiczyć, szykować i być w pogotowiu winniśmy. Niżej podpisany starzec, uniezdolniony fizycznie do brania w trudach wojennych udziału, śle Wam, Bracia, Dzieci i koledzy moi Błogosławieństwo wojskowe”.

Jednocześnie Miłkowski, publikujący pod pseudonimem Teodor Tomasz Jeż, był jednym z najpłodniejszych, obok Józefa Ignacego Kraszewskiego (któremu pomagał u schyłku życia i przemawiał na jego pogrzebie), pisarzy polskich. Był autorem blisko 80 powieści, w tym sag rodzinnych, w których opisywał życie Polaków i Ukraińców na terenie Rusi („Historia o pra-pra-pra... wnuku i pra-pra-pra... dziadku”, „Handzia Zahornicka”, „Hryhor Serdeczny”), losy uciekinierów z Rosji, XIX wieczne wojny i powstania narodowe oraz dzieje Polski (np. „Wasył Hołub”, „Ofiary”, „Starodubowska sprawa”, „Za króla Olbrachta”, „Derśław z Rytwian”), boje o wolność Węgrów (np. „Szandor Kowacz”, „Ci i tamci. Powieść z czasów kampanii węgierskiej”) oraz życie i walki narodów bałkańskich („Asan. Ustęp z dziejów Słowian bałkańskich”, „Uskoki. Powieść dziejów Słowiańszczyzny południowej”, „Naręczona Harambaszy”, „Dachijszczyzna. Powieść z dziejów serbskich”, „Rotułowicze”, „Miłość w opałach. Powieść z dziejów Kroacji”), dokumentował etnograficzne oblicze epoki oraz relacje społeczne szlachty i chłopów.

Profesor Andrzej Fabianowski, historyk literatury i badacz romantyzmu, autor artykułu o Jeżu w „Kronice Sejmowej” jako patronie roku 2024, podaje przykłady analizy jego twórczości. Aleksander Bruckner tak charakteryzował jego pisarstwo: „Jaki człowiek, taki był i styl pisarza: prosty, płynny, dosadny; pisał, jak żył, otwarcie, szczerze, bez wymysłów czy fochów, patrzył bystro, a oddawał wiernie”. Eliza Orzeszkowa pisała do Jeża o recepcji jego powieści: „Kochają Pana wszyscy ludzie żywi, nie zasuszeni w mumie, nie ślepi i nie głusi na widoki i dźwięki nowego świata. Czytają Pana w kołach rodzinnych i towarzyskich takich, w których panuje wolność myśli, żądza wiedzy, lot fantazji. Masz Pan za sobą całe pokolenie młode”. Jego powieści były tłumaczone na wiele języków: serbsko-chorwacki, ukraiński, węgierski, czeski, bułgarski, rosyjski, francuski i niemiecki.

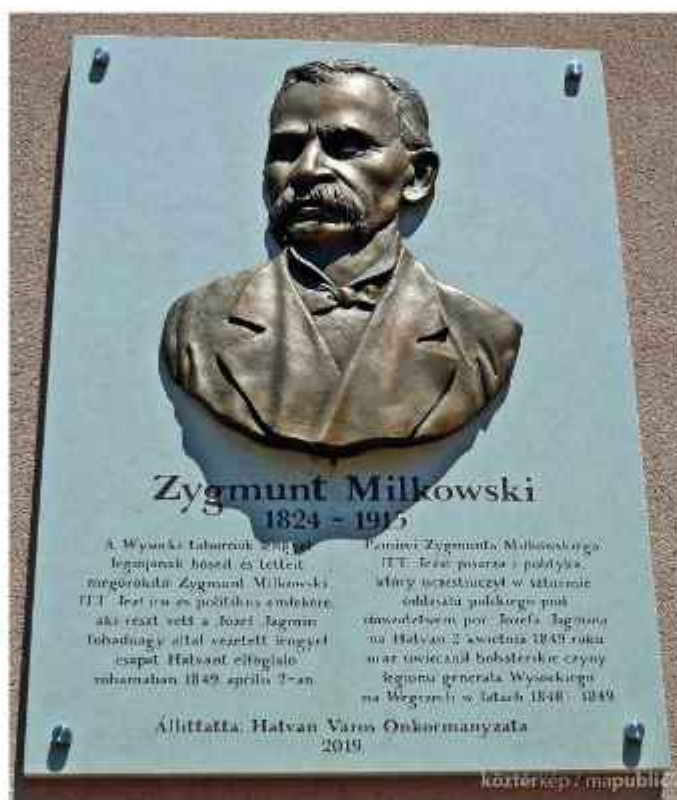
Przyjaźnił się w wieloma pisarzami i artystami, jak Józef Bohdan Zaleski, Kornel Ujejski, Karol Brzozowski czy Włodzimierz Wolski. Stworzył ważne teksty polityczno-społeczne: „Udział Polaków w wojnie wschodniej (1853-1856)”, „W Galicji i na Wschodzie: przyczynek do dziejów powstania 1863”, „Odpowiedzi na adresy młodzieży polskiej”, „Do współobywateli. List otwarty”, „Skarb Narodowy Polski. Nieco o Lidze Narodowej”, „Sylwety emigracyjne”, „Jubileusz serbski. Pogląd na dzieje serbskie z ostatnich pięćdziesięciu lat”, „Sprawa ruska w stosunku do sprawy polskiej”. Pozostawił także obszerne pamiętniki: „Od kolebki przez życie. Wspomnienia”.

W 1861 roku ożenił się w Mołdawii z Zofią Wróblewską, z którą miał cztery córki i syna. Mimo trudnej sytuacji materialnej rodziny córki zdobyły wykształcenie i zostały: Antonina - historykiem literatury, Hanna - malarką i rzeźbiarką, Helena - lekarką oraz Maria - nauczycielką. Syn Zygmunta – kapitan Józef Miłkowski (urodzony w 1870 r.), żołnierz Legii Cudzoziemskiej biorący udział w walkach w Beninie, w 1918 roku wrócił do Polski, w wojnie bolszewickiej podporucznik 2 syberyjskiego pułku piechoty, w Bitwie Warszawskiej ciężko ranny pod Nasielskiem, zmarł 25 września 1920 roku w Warszawie, odznaczony był Orderem Virtuti Militari.

Miłkowski zmarł w Lozannie 11 stycznia 1915 roku i tam został pochowany na cmentarzu Bois-de-Vaux, o grób dba szwajcarska Polonia. Na jego pogrzebie przemawiał Henryk Sienkiewicz, obecny był Ignacy Jan Paderewski. Pośmiertnie został odznaczony przez Prezydenta RP Ignace-

go Mościckiego Krzyżem Niepodległości z Mieczami.

Pisał niezłomny Pułkownik: „Byłem siewczem. Wichry wywiewały z gruntu rzucając przez mnie ziarna, ale – nie wszystkie. Przekonanie głębokie podpowiada mi, że ziaren tych pozostała ilość spora, dostateczna do wydania plonów w przyszłości”.



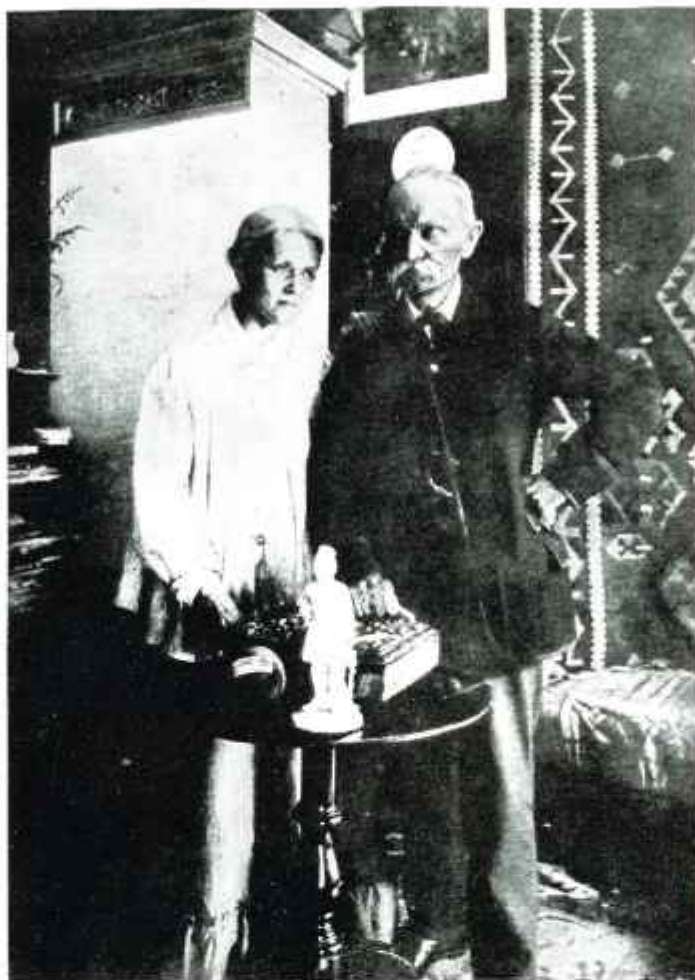
Tablica pamiątkowa na ścianie ratusza w Hatvan, fot. Andras Ocsovai



Strona tytułowa „Rzecz o obronie czynnej i o skarbie narodowym”



Strona tytułowa powieści „Szandor Kowacz”



ZYGMUNT MIŁKOWSKI Z ŻONĄ



Grób Zygmunta Miłkowskiego w Lozannie,
fot. Piotr Babinetz

ARCHIWUM WOLNOŚCI EUROPY KARPAT



Marek Matraszek, Stefan Purici, Paruyr Hayrikyan, Jan Musiał, Dénes András Nagy, Maciej Szymanowski

Panel 38 konferencji Europa Karpat, która odbyła się w Krasicy w lutym 2023 r., współorganizowany był przez Przemyskie Towarzystwo Kulturalne. Udział wzięli:

- **Paruyr Hayrikyan**, Unia na Rzecz Samostanowienia Narodowego Armenii,
- **prof. Stefan Purici**, prorektor uniwersytetu Stefana Wielkiego w Suczawie, Rumunia,
- **dr Jan Musiał**, prezes Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego,
- **Dénes András Nagy**, Instytut Studiów Strategicznych, Ludovika – Narodowego Uniwersytetu Służby Publicznej na Węgrzech,
- **prof. Maciej Szymanowski**, dyrektor Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka,
- **Tomasz Sakiewicz**, redaktor naczelny „Gazety Polskiej”, „Gazety Polskiej Codziennie” oraz Telewizji Republika,
- **prof. Marián Šuplata**, Uniwersytet Komenskigo w Bratysławie.
- Moderator: **Marek Matraszek**, Fundacja Dziedzictwa Rogera Scrutona, Wielka Brytania.

Marek Matraszek:

W przyszłym roku będziemy obchodzili 35. rocznicę wielkich rewolucji w Europie Środkowo

-Wschodniej 1989 r., które w różny sposób doprowadziły do odzyskania wolności i niepodległości przez kraje Europy Środkowej. Stwarza to okoliczność, żeby zastanowić się, bo jedno słowo ciśnie się na usta: wolność. To było to, co w najszerszym rozumieniu tego słowa pchało narody, ludzi z Europy Środkowo-Wschodniej do wielkich rewolucyjnych czynów: żądania wolności, żądania niepodległości.

Nie tylko Francis Fukuyama, ale większość uczestników tamtych wydarzeń uważała, że wolność jest nam dana raz na zawsze. To był okres wielkiego optymizmu i po pewnych przemyśleniach co do natury ludzkiej, co do instytucjonalnych zmian wydawało się, że zwłaszcza po horrendalnych doświadczeniach dwóch totalitaryzmów: sowieckiego i nazistowskiego ludzkość tak bardzo pragnie wolności, że nikt nigdy nie dopuści do utraty drogo okupionego zwycięstwa.

Dzisiaj nie żyjemy w takich optymistycznych czasach, bo wydaje się, że zagrożenia dla wolności są coraz silniejsze. Oczywiście będę prosił, żeby nasi paneliści też podzielili się swoimi przemyśleniami, jeśli chodzi o współczesne zagrożenia. Tych zagrożeń jest kilka. Najważniejsze jest na naszej wschodniej granicy, czyli zagrożenie wojną, zagrożenie rosyjskim imperializmem, wojną przez ten imperializm wywołaną. Stanowi to naprawdę realne zagrożenie dla wolności nie tylko Ukraińców, ale też reszty krajów Europy Środkowo-Wschodniej. To nie przez przypadek kilka dni temu w Warszawie odbyło się spotkanie z prezydentem Bidenem Bukareszteńskiej Dziewiątki i miała miejsce bardzo ważna rozmowa, w jaki sposób ochronić wolność, ochronić wolność Zachodu. Rozmowa kierowana przede wszystkim przez kraje Europy Środkowo-Wschodniej, które najbardziej rozumiały wagę wolności, ale też zagrożenie płynące ze Wschodu, ze strony Rosji.

Inni mogą powiedzieć: dobrze, nie jest to jedyny kierunek, z którego przychodzą pewne zagrożenia dla wolności. Jest oczywiście kwestia legitymizacji demokratycznej, a w Unii Europejskiej trwa debata już od wielu, wielu lat nad tym, do jakiego stopnia pewne prądy, nurty w Unii Europejskiej stanowią zagrożenie dla wolności, ponieważ łączą się z delegitymizacją polityki poprzez deficyt demokratyczny, co bardzo często można odbierać jako problem, który w dalszym ciągu trwa, jeśli chodzi o kulturę polityczną w Unii Europejskiej.

Niektórzy zwracają uwagę na bardziej współczesne zagrożenia dla wolności związane z dominacją wielkich korporacji technologicznych. Pytanie jest, czy firmy takie, jak Google, jak Microsoft, jak inne korporacje technologiczne stają się gatekeeperami, czyli tymi, którzy otwierają bądź zamykają drzwi do wolności słowa? Ta wielka debata już trwa w Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii, w Europie.

Czyli mamy różne rodzaje zagrożeń dla wolności. Niektóre z nich bardziej konkretne, inne wydają się odległe, ale niemniej te wyzwania dla wolności są w dalszym ciągu z nami. Wracamy do zasadniczego pytania: Do jakiego stopnia to wielkie zwycięstwo z 1989 r. było zwycięstwem trwałym? Jakie są te zagrożenia? Czy my jako obywatele krajów Europy Środkowo-Wschodniej, zwykli obywatele, a może i nawet elity zdajemy sobie sprawę z tych wielkich wyzwań? Do jakiego stopnia są zdolni – i obywatele, i elity – do obronienia tych bardzo głębokich wartości, o które walczyliśmy 35 lat temu?

Stefan Purici:

Na pewno krainy naszego regionu karpackiego, które mają za sobą doświadczenie komunizmu, najlepiej rozumieją wartość swobody, wolności, ponieważ im silniejsza panowała dyktatura, tym silniej ludzie odczuwali, że wolność jest tym, czego im brakuje - inaczej niż w społeczeństwach demokratycznych, gdy zdarza nam się zapominać o rzeczywistej wartości wolności. W Rumunii komunizm był reżimem zdecydowanie najbardziej okrutnym i gdy w 1989 r. został obalony, to spośród wszystkich rewolucji wschodnioeuropejskich rewolucja w Rumunii okazała się najbardziej krwawa. Oczywiście z jednej strony nie jest to przykład pozytywny, ponieważ zginęło wtedy wiele osób. Z drugiej strony Rumuni wykazali, że dla wolności, dla demokracji są w stanie oddać życie, by tylko pozostać krajem wolnym, narodem wolnym. Obalono dyktaturę. Czy jednak nastąpiła wolność bezpośrednio po rewolucji grudniowej 1989 r.? Już na wiosnę w roku 1990 zorganizowano pierwsze wolne wybory. Były to wybory wielopartyjne, w których uczestniczyły dziesiątki partii utworzonych po obaleniu reżimu Ceaușescu. Ówczesna propaganda i manipulacje wywierały wpływ na świadomość społeczeństwa rumuńskiego. Po obaleniu reżimu Ceaușescu propaganda postkomunistów czy neokomunistów, przekonywała, że jeśli nie będziemy głosować na postkomunistów, to kapitaliści, którzy tu przyjdą, pozbawią nas pracy, zakładów, przyjadą dawni bankierzy, odbiorą nam pieniądze, pojawią się byli właściciele ziemscy. Trzeba więc głosować na postkomunistów.

Z drugiej strony nowy rząd, zamiast orientować się na Zachód, na Wspólnotę Europejską, zaczął kontynuować orientację na Związek Radziecki. I Rumunia była jedynym z krajów postkomunistycznych, który zawarł podstawową umowę polityczną ze Związkiem Radzieckim, która jednak nie została ratyfikowana, co było dla społeczeństwa rumuńskiego dowodem, że liderzy obrali niewłaściwy kurs. Rozpoczęły się demonstracje, presja opozycji politycznej, w wyniku których nawet partie socjalistyczne zaczęły orientować się na Zachód, w stronę Unii Europejskiej i NATO. W następnych wyborach w 1996 r. do władzy doszły partie demokratyczne, które deklarowały wartości europejskie i demokratyczne. Jednak również wówczas wolność nie nastąpiła w pełni. Ówczesny prezydent Rumunii, profesor uniwersytetu w Bukareszcie pan Emil Constantinescu, mówił, że nie był w stanie zwalczyć dawnej nomenklatury i służb specjalnych, tajnych służb, które przeciwstawiały się nastaniu rzeczywistej wolności i budowie społeczeństwa demokratycznego. Po pewnym okresie, gdy Rumunia zaczęła negocjacje z Unią Europejską oraz NATO i naród Rumunii rzeczywiście zbudował społeczeństwo demokratyczne, wprowadzono zmiany również do konstytucji Rumunii, wprowadzono rządy prawa i demokrację. Można powiedzieć, że od kilkunastu lat w Rumunii budowane jest rzeczywiście demokratyczne społeczeństwo, ale nawet w tym okresie podejmowano próby ograniczenia kontroli społeczeństwa nad partiami rządzącymi, nad władzą, ograniczenia demokracji. Ludzie znów byli zmuszeni do wyjścia na ulice. Było wiele manifestacji, nie tylko w Bukareszcie, ale również w innych miastach Rumunii. Wszystko to doprowadziło do stanu, w którym liderzy przeciwstawiający się rzeczywistemu demokratycznemu rozwojowi Rumunii zostali odsunięci od władzy. Rumuni wykazali zatem, jak ogromną wartością jest dla nich wolność, nie tylko własnego kraju, ale i innych narodów. Było to widać w lutym i marcu 2022 r. Choć wielu uważało, że stosunki rumuńsko-ukraińskie nie są zbyt pozytywne, naród Rumunii otworzył drzwi i serca dla ludzi poszukujących obrony przed agresją Rosji. Do Rumunii trafiło wówczas ponad 3 mln uchodźców z Ukrainy, którzy znaleźli azyl i schronienie.

Dla większości z nich Rumunia pozostała krajem tranzytowym do Europy. Rumuni udowodnili tym samym, że cenią wolność i są gotowi podjąć ryzyko, bo nieznane były jeszcze skutki agresji rosyjskiej na Ukrainę. Nie wiadomo, czym skończy się ta agresja, nawet dla Rumunii czy innych krajów Unii Europejskiej, w tym również krajów NATO. W pierwszych dniach agresji Rosji panowała duża niepewność, jednakże Rumuni wspierali Ukraińców na wszelkie możliwe sposoby.

Niewątpliwie stosunek Rumunów do wolności i do demokracji można jeszcze uwypuklić, podając wyniki ostatnich sondaży sprzed kilku dni. 62% Rumunów nadal popiera Ukrainę w jej walce o niepodległość. Co więcej, jak powiedział prezydent Rumunii Klaus Iohannis, Rumunia wciąż będzie wspierać wolność Ukrainy i będzie stała ramię w ramię z Ukrainą, z ukraińskim narodem.

Marek Matraszek:

Dziękuję bardzo. W tym momencie chciałbym się zwrócić do pana Paruyra Hayrikyana, naszego gościa z Armenii. Czekamy na pana głos, ponieważ przywykliśmy mówić o rewolucjach w 1989 r. w odniesieniu do Europy Środkowo-Wschodniej, ale oczywiście upadek Związku Radzieckiego łączył się również z upadkiem, wtedy się tak wydawało, Imperium Rosyjskiego, jego władzy nad poszczególnymi republikami. Jednym z beneficjentów rozkładu Związku Radzieckiego były oczywiście republiki kaukaskie. Czego doświadczenie historyczne, Armenii w państwa przypadku, uczy nas o wolności? W jaki sposób ta wolność uwidaczniała się od upadku Związku Radzieckiego? Jakie były później zagrożenia dla jej utrwalenia na Kaukazie?

Paruyr Hayrikyan:

Już od dawna śledzę, co się dzieje na Ukrainie. Nie robię tego z jakiegoś błahego powodu, bo wiem Ukraina walczy dzisiaj za nas, wykonuje za nas zadanie. Mój naród bardzo, bardzo dużo doświadczył w 1969 r. Publikowałem wówczas z przyjaciółmi studentami w gazecie. Naszym hasłem było: Wolność albo śmierć. 5 tys. egzemplarzy trafiło do ludzi w całej Armenii. Główny artykuł był zatytułowany: Wolność, niezależność to jest konieczność. Tydzień później zostaliśmy zatrzymani, trafiliśmy do więzienia. To było w 1969 r. Chciałbym podkreślić, że byliśmy więźniami politycznymi. Wielu z tych więźniów politycznych wśród nas to byli również Ukraińcy. Mówię dzisiaj, że miałem szczęście, ponieważ poznałem wówczas pana Łukjanenko, który jest wielkim ukraińskim bohaterem, podobnie jak Wasyla Stusa, kolejnego ukraińskiego bohatera. Po więzieniu czułem się, jakbym przeszedł przez uniwersytet życia. Po tym więzieniu rozumiałem, na czym polega różnica, bowiem w takim więzieniu siedzi się z więźniami politycznymi. Oni nie zgadzali się z twierdzeniem, że jakieś prawa konkretnego narodu są ważniejsze. Oni mówili: prawa człowieka są najważniejsze. Wyszedłem z takim poczuciem wspólnoty, jedności, braku konieczności podziału. Wszyscy jesteśmy ludźmi i wszystkim nam przysługują określone prawa. Teraz widzę historyczną rolę Ukrainy.

Wasyl Stus, który umarł w więzieniu, był osobą wyjątkową. Poeta, dysydent, bohater narodowy. Ktoś już dzisiaj mówił rano o inteligencji ukraińskiej, jej roli. Wielu z tych inteligentów trafiało do więzień politycznych i po przejściu takich więzień, takich obozów stawali się prawdziwie walecznymi ludźmi, wojownikami. Pamiętam rozmowę z moim ukraińskim przyjacielem. Wasyl Stus,

mówiłem, jest nie tylko bohaterem Ukrainy, jest również bohaterem całej ziemi. Już w więzieniu pogorszył się jego stan zdrowia. Dołączył do organizacji działającej na rzecz takiego plebiscytu narodów, pokazywał swoją postawą, że nie ma czegoś takiego jak rozdzielne interesy narodowe. Dla niego wszystko było kwestią wspólnoty cywilizacji opartej na współpracy, na dobrych ludziach, na porozumieniu. Przy drugim aresztowaniu ten wspaniały człowiek niestety zmarł. Wspominam go, ponieważ dla mnie jest to taki dysydent, taki więzień polityczny, który odegrał wyjątkową rolę.

Cały czas przysłuchuję się dzisiejszym obradom, słucham wypowiedzi naszych ukraińskich przyjaciół, wsłuchuję się w słowa wszystkich Ukraińców, artystów, poetów, polityków. Widzę więc, jak bardzo duża jest świadomość wolności. Są tacy, których niszczyło KGB, a którzy zawsze opowiadali się za wolnością. Sowieci zawsze mówili: u nas nie ma czegoś takiego jak więźniowie polityczni, są tylko kryminaliści, są tylko przestępcy, a przecież to była wierutna bzdura. Pamiętam dokładnie, jak ci moi koledzy, więźniowie polityczni, mieli siłę i wierzyli w wolność.

W 1989 r. rodziła się w nas nadzieja. Najpierw byłem w więzieniu, potem byłem deportowany do Etiopii, potem miałem wsparcie Amerykanów, w tym administracji Reagana. Wszyscy mnie wtedy poparli, byłem więc słynnym byłym więźniem politycznym. Bukowski, który został wymieniony za innych więźniów, wielu innych rosyjskich dysydentów, których warto tu wymienić, Petro Ruban chociażby, zebrali się w Paryżu i postanowili o powołaniu centrum koordynacyjnego wszystkich narodów działającego pod hasłem demokracji i niezależności.

Pamiętam bardzo wyraźnie dyskusję, co jest ważniejsze, demokracja czy niepodległość. Czy należałoby zacząć od niepodległości czy może od demokracji? Wspólnie uznaliśmy, że to demokracja jest podstawową, wyjściową wartością naszych czasów, naszych dziejów. Każdy rodzaj wolności bowiem, swobody – swoboda zrzeszania się, swoboda poruszania się, swoboda wypowiedzi – wszystkie one spotykają się właśnie w demokracji. Upadek Związku Radzieckiego był więc efektem pewnych sprzężonych działań. Były to gwiazdne wojny, inicjatywy Reagana, jego polityka ekonomiczna i wielu innych ludzi. Ale byli też dysydenci. I dopiero ten wspólny wysiłek dał efekt.

Ale warto przypomnieć, że na początku świat zachodni patrzył na Gorbaczowa z nadzieją i nie był tak naprawdę gotowy na taką dużą zmianę. Bush wcześniej miał nadzieję, że to jednak się ułoży i że wiele sił dysydenckich tak naprawdę może zdestabilizować sytuację. Gdybym wówczas próbował wyjaśniać senatorom, na czym to polega, czego my chcemy, to by nie zadziałało, mówienie o tym, że współpracujemy z bardzo znanymi dysydentami w Gruzji, w Armenii, w Rosji i w Estonii, wielu z nich z bardzo trudnym życiorysem. Nawet Tatarzy krymscy, ale przede wszystkim Ukraińcy, my wszyscy wzięliśmy udział w takiej delegacji, która występowała przed amerykańskim Senatem, i tłumaczyliśmy, że nie ma co wierzyć Gorbaczowowi, że on jest taki dobry. Czy on będzie słuchał Europy? Rzeczywiście uwolnił więźniów politycznych, ale czy to wystarcza? Politycy zachodni uważali, że te przemiany mają dobry wpływ, zwłaszcza po epoce Breżniewa. Opublikowano później transkrypcję tego spotkania o tym, jak demokraci ze Związku Radzieckiego przyjechali do Senatu i mówili, że nie popierają Gorbaczowa i że domagali się poparcia demokratów, a nie komunistów. Pamiętam żywo te obrazy, było takie spotkanie wsparcia.

Z Václavem Havlem postanowiliśmy zorganizować konferencję: pokojowa droga do demokracji. Na tym spotkaniu było całkiem sporo demokratów, senatorów i amerykańskich kongresmenów. Zapytano mnie: Co pan sądzi o Gorbaczowie? Mówili: przecież my nie mamy alternatywy dla Gorbaczowa na ten moment. No więc odpowiadam: przecież to komunista. Czekają, czekają. I w pewnym momencie, kiedy przerwałem, wszyscy się zainteresowali. Wówczas tak naprawdę Zachód uważał, że Gorbaczow jest zmianą pozytywną, jest dobrym człowiekiem. A ja mówiłem: my chcemy naszej demokracji.

Chciałbym zakończyć słowami na temat największego błędu naszej cywilizacji. Każdy z narodów może mieć swoją własną demokrację. Takie przekonanie moim zdaniem jest z gruntu błędne i takie przekonania prowadzą prostą drogą do różnego typu dyktatury. Jest jedna demokracja. Dla mnie demokracja to jest prawo człowieka, prawo człowieka do rządzenia, do współudziału w rządzeniu. Ale ten udział powinien odbywać się na równych zasadach we wszystkich systemach demokratycznych. Ludzie są równi wyłącznie w dniu wyborów. Zawsze demokracja ma te dwie twarze, tradycyjną i tę strukturalną, samego rządu, rządów prawa. Bardzo często zdarza nam się opierać na absolutnych monarchiach, absolutnych dyktaturach, mówimy o takich systemach politycznych. Czy ktoś mówi natomiast o absolutnej demokracji? Przecież już dawno mówiliśmy o systemach rządów, który moglibyśmy dziś nazwać absolutną demokracją. Czy jest jakiś kraj, który stosuje w 100% taką formułę? Pewnie nie, ale taka formuła może być punktem odniesienia przy ocenie, czy dany kraj jest demokratyczny. Stoł za mną doświadczenie więźnia politycznego. Byłem bardzo młody, miałem 23 lata, kiedy trafiłem do więzienia. Ale czułem, że mam taką powinność prowadzenia pewnych idei. Dzisiaj zresztą staramy się w ramach naszej partii pokazywać rządowi naszego kraju, na czym polega demokracja.

Bardzo dziękuję za cierpliwość. Ale czułem, że to mój obowiązek, by powiedzieć, że ten 1989 r. był wynikiem współpracy całego cywilizowanego świata.

Marek Matraszek:

Bardzo dziękuję za ten niezwykle ciekawy występ, bo to przypomina nam, że walka o wolność w Związku Radzieckim trwała być może poza naszą świadomością, ale dzięki takim dzielnym ludziom jak pan Armenia i Kaukaz są dzisiaj wolne. Pełny szacunek.

I w tym momencie chciałbym przejść do Jana Musiała, którego osobiście znam prawie 40 lat. Poznaliśmy się w latach 80., kiedy przyjeżdżałem do Przemyśla jeszcze za czasów komunistycznych.

Dzisiaj jesteś prezesem Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego. Twoja perspektywa to perspektywa patrioty polskiego, ale też patrioty przemyskiego, patrioty lokalnego. Ta walka o wolność w Przemyślu nabierała niezwykle namacalnych cech w tamtych latach. W stanie wojennym nie tylko żyliście pod władzą komunistyczną, ale też żyliście dosłownie vis-à-vis Związku Radzieckiego. Byliście jak najbardziej świadomi tego, co jest po drugiej stronie granicy, jak bardzo zło-wrogą może być system komunistyczny czy totalitarny. I wasza walka wydawałaby się być pod tym względem niezwykle dzielna. Chciałbym usłyszeć, jak dzisiaj patrzysz na zdobycze 1989 r.

właśnie z perspektywy przemyskiej. Co powinni czynić ludzie, żeby tę wolność jak najbardziej zabezpieczyć?

Jan Musiał:

Zdobyczą jest to, że się tutaj znaleźliśmy. Dlatego powiem raczej o genezie. Postawione w le-
adzie tego panelu na pierwszym miejscu wartości: wartość niepodległości, wartość praw czło-
wieka i wartość wolności obywatelskich, określające szczególnie naszą środkowoeuropejską
wolność, stawały się pierwszoplanowe daleko wcześniej niż od schyłku lat 80. Owszem, dopiero
od przełomu 1989 r. mogliśmy już wypowiadać je jawnie i budować na nich swoją przyszłość,
jednakże wyrażaliśmy je, pomimo totalitarnej cenzury, przez całe wcześniejsze półwiecze, np.
w dramatycznych aktach odwagi naszych bohaterów narodowych, takich jak János Esterházy,
Ryszard Siwiec czy Jan Palach, którzy zapłacili za tę wolność śmiercią poniesioną w starciu
z komunistyczną machiną opresji. Zapłacili tę cenę ów Węgier, o którego beatyfikację dzisiaj wy-
stępują także Słowacy, ów Polak, którego najwyżej uhonorowali Czesi, i ów Czech, który dopełnił
solidarnie ofiary pierwszego. Zapłacili za nas wszystkich reprezentujących tu swoje narody.

Przypominanie najpierw tych aktów heroizmu otwierać musi zatem nasze wspólne projektowa-
ne środkowoeuropejskie Archiwum Wolności: węgierskie, słowackie, czeskie i polskie. Dopiero
odniesione do nich, do tych aktów, dalsze działania, już nie tak tragicznie samotne, już wspól-
notowe, a nawet tak zinstytucjonalizowane jak ta konferencja „Europa Karpat”, nabierają aksjo-
logicznej głębi i pozwalają nam współtworzyć mocną euroregionalną solidarność adresowaną
komplementarnie do całego kontynentu. Dostrzeżono wreszcie ponownie w jego zachodniej
części, że już nie wystarczy kupiecka miara business as usual, że konieczny jest powrót do zało-
życielskiej aksjologii europejskiej, a nawet szerzej – euroatlantyckiej.

Reprezentuję sublokalne sfery konferencji, sublokalne Przemyskie Towarzystwo Kulturalne
powołane do życia jeszcze w 1989 r., ale odnowione w nowym duchu przed 2 laty. Na jego
stronie internetowej znajdziecie państwo także sublokalne przemyskie Archiwum Wolności. Co
je otwiera? Właśnie dokumentalny hołd złożony przemysłaninowi Ryszardowi Siwcowi, po któ-
rym zbiór archiwaliów uratował dla potomności krakowianin Adam Macedoński, współtwórca
Wspólnoty im. Ryszarda Siwica i Jana Palacha, za co szczególnie ścigały go w latach 60. i 70.
policje polityczne polska i czechosłowacka. Polecam państwu ten wyciąg kilkunastu wybranych
dokumentów, a przemówi on do was silniej niż ex cathedra wypowiedane uogólnienia politolo-
giczne, pozwoli głębiej zrozumieć, dlaczego warto pielęgnować własną przeszłość i otwierać się
także na podobną przeszłość sąsiedzką. Może utwierdzi nas dodatkowo we wspólnej dążności
do, paradoksalnie, odmładzania Europyformowanej kiedyś na takiej starej aksjologii.

Marek Matraszek:

Bardzo dziękuję za to bardzo wzruszające i bardzo osobiste świadectwo. Faktycznie z cieka-
wością będziemy się przyglądali rozwojowi archiwum. Panie Dénesie Andrásie Nagy! Cieszę się, że
Pan reprezentuje dziś tu Węgry. Naród węgierski zapłacił niezwykle wielką cenę za niepodległość,
za wolność. W 1921 r. w wyniku zawarcia traktatu z Trianon utraciliście 2/3 terytorium, właściwie
duża część populacji straciła swoją podmiotowość. Traktat z Trianon jest do dzisiaj wielką trau-

mą. Potem straszne doświadczenia II wojny światowej, nie tylko terroryzm nazistowski w 1944 r. i 1945 r. w Budapeszcie. Potem doświadczenie komunizmu w jego najgorszej postaci, zwłaszcza w tych pierwszych latach po 1949 r. A potem horror bezpośredniej inwazji i krwawej rewolucji, która się fizycznie nie powiodła, ale moralnie była zwycięstwem. Nawet dzisiaj jesteście rozdarci między różnymi narodowymi impulsami. Część z was chce być częścią Zachodu, a część po prostu chce przeżyć i odbudować jakiś rodzaj tożsamości narodowej, niezależności. Jak wy widzicie 1989 r.? Jak definiujecie wolność odzyskaną w 1989 r.? Jak dzisiaj definiujecie walkę o wolność i niezależność?

Dénes András Nagy:

Dobry wieczór. Jó estét. Bună seara. Bari yereko. Dobry večer dla naszego przyjaciela w Bratysławie. Będę kontynuować po węgiersku, bo wydaje mi się, że jest jedną z wielkich wolności karpackich to, że możemy wyrażać się we własnym języku ojczystym, ponieważ w Europie Środkowej nasi przodkowie przez wiele setek lat byli poddani opresji, okupacji. Często używanie własnego języka narodowego nie było dozwolone. Dlatego tak wielkim skarbem jest teraz to, że w Polsce mówimy po polsku, na Węgrzech zaś – po węgiersku.

W związku z 1989 r., z tą datą, muszę powiedzieć, że jestem młodym człowiekiem. Dla mnie i dla mojego pokolenia rok 1989 jest już historią pisaną. My tego doświadczenia nie przeżyliśmy. Znamy to z książek historycznych, znamy to z opowieści rodziców. Rodzice należeli do pokolenia walczącego o wolność, tak jak Marek Kuchciński, jak Ryszard Terlecki, jak Viktor Orbán, premier Węgier. Walczyli o wolność i ją wywalczyli. Dzięki temu możemy tutaj być i możemy w swobodny sposób rozmawiać o tym, jak wyobrażamy sobie przyszłość Europy Środkowej.

Dla mojego pokolenia rok 1989 jest ważną datą, ponieważ my, młodzi, czujemy, że wtedy otworzyła się taka możliwość, którą wykorzystaliśmy, skonsumowaliśmy w 2004 r., i zdecydowaliśmy, do jakiego świata chcemy przynależeć. My w Europie Środkowej zdecydowaliśmy, że chcemy przyłączyć się do Unii Europejskiej. Będąc państwem Europy Środkowo-Wschodniej, wiedzieliśmy, że chcemy należeć do Europy. My nie opuściliśmy nigdy Europy. Nas próbowano oderwać od Europy. Dlatego dla nas był to naturalny powrót do macierzy. Z tego punktu widzenia dla naszego pokolenia jest ogromnym rozczarowaniem to, co się wydarzyło od tamtej pory, jak rozwinęła się Unia Europejska od 2004 r. Podam przykład: w 2021 r. Eurostat, czyli europejski urząd statystyczny, przygotował badania opinii publicznej wśród młodzieży, Youth Survey. Zapytano młodych ludzi, czy są zadowoleni z Unii Europejskiej i z jej aktualnego działania. W 27 krajach członkowskich tylko 28% młodzieży czuło, że jest zadowolonych z tego, jak działa aktualnie Unia Europejska. Wydaje mi się, że to pokazuje, że mamy tutaj duże pole do rozwoju.

Jakie widzę największe zagrożenie z punktu widzenia Europy Środkowej? Wydaje mi się, że największym zagrożeniem jest pozwolenie na to, żeby nas podzielono. Co przez to rozumiem? Jeżeli wrócimy do 1989 r., to rządy po transformacji jednomyślnie uważały, że ich miejsce jest w Unii Europejskiej. Była tutaj jednogłośnieść, wszyscy zmiierzaliśmy w jednym kierunku. W 1991 r. ustanowiliśmy współpracę wyszehradzką. Jednym z sukcesów tej współpracy było to, że mogliśmy wejść do Unii Europejskiej w 2004 r. Od tamtej pory widzimy, że siły poza czwórką wyszehradzką

nie są zainteresowane tym, żeby między nami była jedność, żebyśmy szli w jednym kierunku, żebyśmy wspólnie egzekwowali nasze interesy. Dlatego cały czas próbują nas podzielić. Jeżeli próby dotyczące podzielenia nas zakończą się sukcesem, to wydaje się, że Europa Środkowa będzie podzielona, nie będzie podzielać tych samych wartości. Dlatego wydaje mi się, że najważniejsze jest to, żeby przetrwało to osiągnięcie 1989 r., że byliśmy w stanie podążać w jednym kierunku, być jednomyślni. Najważniejsze z punktu widzenia przyszłości jest zachowanie jedności współpracy wyszehradzkiej i przekształcenie Unii Europejskiej w taki sposób, żeby odpowiadało to naszej przeszłości historycznej. Bo jeżeli myślimy o wolności z punktu widzenia węgierskiego, to my mamy ponadtysiącletnią historię państwowości. W zeszłym roku czciliśmy 800-lecie wydania Złotej Bulli z 1222 r. Jest to najważniejszy akt związany z państwowością węgierską. Nie przypadkiem na spotkaniu królów w Wyszehradzie wiedzieliśmy, że najważniejsza jest jedność, jednomyślność i od tamtej pory Węgrzy cały czas dążą do zachowania jednomyślności i jedności Unii Europejskiej. Jeżeli przyjrzymy się wszystkim działaniom Węgier w Unii Europejskiej, widać, że Węgrzy zawsze dążą do tego, aby znaleźć najlepsze rozwiązanie i jedność w oparciu o wartości, które wyznajemy, bo tylko wówczas możemy mówić o wspólnym punkcie widzenia w Europie.

Dlatego moja odpowiedź jest taka: najważniejsza jest jednomyślność, zachowanie jedności w Europie Środkowej, w czwórce wyszehradzkiej oraz w szerszym rozumieniu – w Europie.

Marek Matraszek:

Wydaje się, że ten wątek, który poruszył András, czyli współpraca regionalna, jest dobrą okazją, żeby spytać dyrektora Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka pana Macieja Szymanowskiego właśnie o ten wątek regionalny. Do jakiego stopnia dzisiejsze relacje między nie tylko Polską a Węgrami, ale w ogóle w Grupie Wyszehradzkiej czy nawet szerzej – między krajami karpaccymi, są silne? Czy ta współpraca jest również jednym z fundamentów tej wolności, którą chcemy chronić? Czy jest tutaj wspólnota interesów wokół wolności? Czy ona w dalszym ciągu istnieje? W jakim natężeniu? I czy to rozumienie wolności w poszczególnych krajach regionu jest tożsame ze sobą?

Maciej Szymanowski:

Proszę państwa, jeżeli spojrzymy na Polskę, Węgry, Rumunię, Czechy, Słowację, inne kraje, to mamy powszechne wolne wybory, kadencyjność funkcji. Całkiem niedawno śledziliśmy wyniki wyborów w Berlinie do Bundestagu, które trzeba było powtórzyć, bo zdaje się, że były tam pewne problemy. Mamy wolność religijną. Zdarza się, ale bardzo u nas rzadko, że ktoś ma jakieś problemy w pracy z uwagi na swoje przekonania religijne, lecz to są wyjątki. To nie jest żadna systemowa polityka żadnego z naszych państw. Mamy wolność słowa. Nie znamy instytucji cenzury prewencyjnej, a w świecie zachodnim są takie państwa, są takie platformy społecznościowe, które do tego sięgają. Mamy wolność manifestacji. Nasza policja chroni demonstrantów, podobnie jak londyńska. Wszyscy, którzy widzieli w Paryżu albo na ulicach Brukseli, co się dzieje, wiedzą, że troszeczkę inaczej to tam wygląda. Mamy, proszę państwa, cały kapitał wolności sądu i osądu.

Bez wątplenia dzięki naszemu bardzo głębokiemu doświadczeniu obu totalitaryzmów jesteśmy

zaszczepieni skutecznie na coś, co się nazywa inżynierią społeczną. Podchodzimy jak do jeża, bardzo ostrożnie, do wszelkich pomysłów, obojętnie, z której strony formułowanych, zgodnie z którymi chcą nam urządzić życie od A do Z, jak w bajce, bo wiemy, że tego rodzaju zamierzenia kończą się raczej źle, a często nawet krwawo. Mamy już całkiem wysoki kapitał wzajemnego zaufania. To jest element tego, co się wydarzyło w naszych krajach, tego, że jesteśmy bogatsi, okrzepiliśmy. Na pewnej konferencji 10 lat temu użyłem takiego przykładu, że jak Polak buduje dom, to zaczyna od budowy ogrodzenia, a potem dopiero zwozi cegły, jakieś narzędzia. To się zmieniło, proszę państwa. I to samo dotyczy relacji, choć jest jeszcze parę rzeczy do poprawienia w naszych relacjach tutaj, w Europie Środkowej, bez wątplenia i ten kapitał wzajemnego zaufania musimy budować.

Mamy też jako państwa, w różnym stopniu, ale już jednak odczuwalną, umiejętność mówienia: nie. Chodzi nie tylko o Polskę, nie tylko o Węgry. Są przecież przypadki, że i Słowacja czy Czechy sprzeciwiają się różnym pomysłom, które przychodzą z zewnątrz. Czujemy się coraz bardziej suwerennymi podmiotami. Moim zdaniem my wszyscy, wszystkie państwa i wszystkie narody w naszej części Europy, jesteśmy znacznie bardziej wolni, przynajmniej jeśli chodzi o członków Grupy Wyszehradzkiej, niż 5, 10 czy 15 lat temu Rumunia i Bułgaria. Natomiast oczywiście jest tu podstawowe, klasyczne zagrożenie wolności: od miecza i długu. Mamy imperializm rosyjski tuż za naszymi granicami, i oczywiście to zagrożenie naszej wolności długiem. Ale proszę spojrzeć państwo, które państwa Unii Europejskiej są najmniej zadłużone - znowu chodzi tu o państwa Europy Środkowej. My wiemy o tym, że nie jest to najlepsza recepta, żeby się za bardzo zadłużyć. Jestem więc optymistą i jako historyk jeszcze dodam, bo to wielokrotnie w historii przecież było mierzalne, że właśnie ta część Europy była wręcz prekursorem, jeżeli chodzi o wiele rozwiązań dotyczących tolerancji, dotyczących wolności osobistej, wybieranego króla, prawa do rokoshu, do legalnego buntu. Myślę więc, że dobrze spożytkowaliśmy to, co otrzymaliśmy w 1989 r. I cóż, byle tak dalej.

Marek Matraszek:

Bardzo dziękuję. I to jest chyba właśnie moment, żeby wrócić do punktu wyjścia, do Polski. Bo zaczęliśmy mowę o dziedzictwie 1989 r., które jest kojarzone najbardziej ze zwycięstwem „Solidarności”, zwycięstwem rewolucji polskiej. I chciałbym zamknąć pierwszą turę dyskusji, właśnie wracając do domu, do Polski. Jest z nami pan Tomasz Sakiewicz. Pan redaktor ma oczywiście swoją własną biografię, zasługi w wieloletniej, wielodekadowej walce o wolność. Dzisiaj tę walkę prowadzi pan jako redaktor naczelny „Gazety Polskiej”. Może to jest dobry moment, żeby spytać pana redaktora o refleksję o naturze wolności, tej wolności, o którą walczyliśmy w 1989 r., i o stan dzisiejszy. Czy ta wolność jest wystarczająco zabezpieczona? Gdzie ona jest najbardziej w Polsce zagrożona i co powinniśmy zrobić, żeby ją jeszcze bardziej utrwalić?

Tomasz Sakiewicz:

Należę do tego pokolenia, które zostało obudzone jako bardzo młodzi ludzie, jeszcze prawie dzieci, do walki o wolność, w stanie wojennym. My wtedy, mając niespełna 14 lat, zaczęliśmy produkować ulotki, tak jak się dało, czyli ręcznie. Potem już druk gazetek, organizowanie demonstracji, organizowanie sieci konspiracyjnych, NZS, organizacje konspiracyjne. W 1989 r. za-

staliśmy sytuację dosyć oplakaną, bo okazało się, że ci, którzy mieli takie poglądy jak ja, czyli byli trochę bardziej na prawo od tego liberalno-lewicowego środka, chcąc być dziennikarzami, nie mieli gdzie pracować. Rzeczywiście nikt tego nie zabraniał, były jakieś upadające wtedy pisma katolickie, jakieś jeszcze prawicowe gazetki, ale generalnie na to, żeby tworzyć pewną ekipę dziennikarską, potencjał dziennikarski, nie było miejsca. To nie były żarty. Jeżeli chciałeś pracować w dziennikarstwie, mieć kontakt z opinią publiczną, to musiałeś przyjąć poglądy tych, którzy byli dopuszczeni do tworzenia mediów. Albo to były media komunistyczne czy postkomunistyczne, z całym ciężarem tego, co za sobą niosły, albo to były media, które przy okrągłym stole dostały pewien rodzaj koncesji na funkcjonowanie. Już jako dwudziestoparolatek wybrałem wraz z moimi kolegami trzecią drogę, zaczęliśmy tworzyć własne media. Oczywiście było potwornie pod górę, bo to było zwalczane najbardziej skutecznymi metodami, czyli ekonomicznymi. Jeżeli masz prawicowe media, to nie masz żadnych reklam. Brokerzy reklam wiedzieli, że w takich mediach nie wolno dawać ogłoszeń, nawet jeśli miałyby duże zasięgi. Nie można było dostać kredytu w banku itd., już nie mówię o mediach elektronicznych, gdzie nawet nie było co marzyć o jakichkolwiek koncesjach. Rozwój cywilizacyjny trochę zmienił sytuację, bo internet dał pewne możliwości. My, chociaż byliśmy jedną z pierwszych gazet jako „Gazeta Polska” – nawet przed „Gazetą Wyborczą” – jeśli chodzi o stworzenie strony internetowej, to nie mieliśmy takiego potencjału, takich możliwości, żeby to rozwinąć. Krok po kroku trzeba było budować te media, licząc na wsparcie ludzi, na ten wielki ruch społeczny, jakim np. są kluby „Gazety Polskiej”. To się w jakiejś mierze udało, tylko trwało to bardzo długo.

Okazało się, że istnieje kolejna bariera tej wolności. Tą barierą stały się sądy. Okazało się, że tamtej stronie o nas można pisać wszystko. To jest jakby, nie chcę powiedzieć: bezkarne, bo uważam, że nie powinno się w żaden sposób karać za wypowiedzi, ale że nawet jeśli to jest jakieś koszmarnie kłamstwo, to nikt z nas nawet nie ma po co iść do sądu, bo nie uzyska satysfakcji. Nas karano za jakąkolwiek krytykę. Dzisiaj doszliśmy do takiego momentu, że jedna z największych stacji w Polsce zażądała zakazu krytyki, i to w drodze zabezpieczenia sądowego. Widać wyraźnie, że zagrożenia wolności istnieją i one często wiążą się z walką konkurencyjną na rynku medialnym, z walką polityczną, ale tak naprawdę to klasa polityczna, klasa dziennikarska, liderzy opinii muszą dorosnąć do tego, że wolność jest dla wszystkich, że jeśli ktoś się tak radykalnie od nich różni, to też ma prawo do tego, żeby się tak radykalnie różnić, tym bardziej że koniec końców okazało się, że w większości spraw to oni jakoś dramatycznie pobiłdzili. My ostrzegaliśmy przed Rosją, a w tym czasie nam próbowano zamknąć usta, zresztą na życzenie ambasady rosyjskiej. Są na to dowody, że w czasach rządów Platformy ambasada rosyjska przesyłała jakieś nerwowe pisma, że piszemy nie tak jak trzeba o tragedii smoleńskiej, i podjęto szereg działań, żeby nam to utrudnić, uniemożliwić.

Rzeczywiście wolność jest takim dobrem, o które nie można raz zadbać i już samo będzie rosło. Wolność trzeba pielęgnować, kiedy żyje się między Moskwą a Berlinem, krajami, które mają pewną skłonność do dyktowania ludziom, jak mają żyć, jak mają wybierać. Mimo tego, że Niemcy są dzisiaj krajem w pełni demokratycznym, to jednak słabo się godzą z tym, że są też kraje, które mogą mieć inne interesy, inne drogi wyboru, i próbują to regulować przez pewien rodzaj cenzury politycznej. Ona jest oczywiście bardzo subtelna. Dużo bardziej subtelna niż to, co wyra-

bia Rosja, kiedy jak nie kupuje kogoś, to go po prostu niszczy. Niemniej dzisiaj walka o wolność tej części Europy często się wiąże z walką o prawo do tożsamości, z walką o prawo do bycia sobą. Tu trzeba się mocno rozpychać, żeby tej wolności nie zgasić.

Bardzo często pytano mnie, szczególnie na bazie tego ostatniego konfliktu, kiedy Rosja napadła na Ukrainę, pytają mnie zresztą o to Ukraińcy, czym różni się w naszych oczach Ukrainiec od Rosjanina. Bo przecież bardzo często mają podobną religię, choć też tam jest więcej tych religii, jest to bardziej skomplikowane, ale tak z punktu widzenia Polaka ta religia wygląda podobnie do tego, co wyznają Rosjanie. Język też wygląda podobnie, pisownia wygląda bardzo podobnie, zresztą różnice w pisowni są nieduże. Ja zawsze mówię, że to, co definiuje różnice między Ukraińcami a Rosjanami, to jest wolność. Otóż w Ukrainie jest tak samo silnie wszczepiona wolność jak w Polsce. My jesteśmy bardzo czuli na tym punkcie i widzimy te zagrożenia, potrafimy przed nimi mocniej ostrzegać niż inni.

Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że my o tę wolność musieliśmy walczyć, za tę wolność trzeba było iść do więzienia, można było stracić pracę, wylecieć ze szkoły. Ponosiło się różne konsekwencje tego, że człowiek chciał być sobą, że mówił to, co myśli. Wolność słowa była drogą do wolności w ogóle, do wolności wyborów, do wolności demokratycznych, do wolności gospodarczych. W momencie, kiedy duszono wolność słowa, to tak naprawdę już nie było możliwości walki o pozostałe wolności, które są ważne dla człowieka. I my mamy pewien rodzaj radaru, wyczulenia, który wynika z tego, że my tę wolność musieliśmy wywalczyć. Wywalczyliśmy dla siebie, wywalczyliśmy też dla innych.

Dzisiaj Rosjanie są zdumieni, że jak to Ukraina nie chce być z nimi, przecież oni mają bogactwa, mogą to zaproponować. Otóż Ukraińcy dzisiaj giną właśnie za wolność, bo to jest coś, co powoduje, że narody mogą się rozwijać, że mogą być sobą, że człowiek czuje się u siebie w domu. Człowiek, który nie ma wolności, choćby miał najlepiej urządzonego dom, nie jest u siebie. Jest u tego, kto tą wolnością steruje. Tworzenie dzisiaj mediów w Polsce, w tej części Europy to jest budowa strefy wolności, ale jednocześnie największe zagrożenia... Przecież większość procesów, które mam dzisiaj, najbardziej groźnych, stwarzają te grupy medialne, które się tutaj rozsadyły po czasach komunistycznych i często dogadały nawet z zagranicznym kapitałem, bo uważają, że coś im się zabiera. Tylko że my nic nie chcemy im zabrać. My chcemy sami mieć prawo wypowiedzi. I broniąc tego prawa, tak naprawdę bronimy bardzo ważnych praw społecznych i bardzo ważnego prawa narodu, bez którego demokracja jest jakoś koszmarnie kulawa. Wielokrotnie się spotykałem z tym, że czegoś nie wolno powiedzieć, o czymś nie należy mówić, bo jest to niepoprawne politycznie albo że nie spodoba się to czy że szkodzi naszym relacjom, nie wiem, np. z Niemcami. Kiedyś, jeszcze parę lat temu mówiono, że to szkodzi np. relacjom z Rosją. Wielu rzeczy nie wolno było np. w sprawie smoleńskiej poruszać, bo nowy kształt relacji z Rosją miał zawierać to, że Rosja niczemu nie jest winna. Przecież nie tylko chodziło o to, kto przyczynił się do tragedii smoleńskiej, ale o zwykłą wolność słowa, o to, żeby dziennikarz miał prawo zadawać pytania. Za takie pytania usuwano mnie i moich kolegów z mediów publicznych. Więc widać wyraźnie, jak troska o wolność jest papierkiem lakmusowym w ogóle stanu państwa. Jeśli państwo nie może sobie pozwolić na wolność słowa, to jest w tym coś chorego, coś niedobrego. A już na

pewno istnieją zagrożenia, z których często rządzący, a nawet ludzie, którzy dokonują wyborów, nie zdają sobie sprawy. Trzeba zawsze patrzeć na wolność słowa, bo to jest podstawowy obraz państwa w różnych dziedzinach.

Marek Matraszek:

Bardzo dziękuję, panie redaktorze. Dziękujemy za wkład „Gazety Polskiej” do wielkiej debaty o wolności w Polsce i metodach jej ochrony. Poprosiłbym o głos pana Mariána Šuplatę, przedstawiciela Uniwersytetu Komeńskiego w Bratysławie.

Marián Šuplata:

Z radością zabieram głos w panelu dotyczącym Archiwum Wolności. Wolność stanowi jeden z filarów i głębokich korzeni. W Grecji, w Biblii, wśród pism rzymskich – wszędzie znajdujemy tę właśnie wolność. Wszystkie te zasady koncentrujące się na wolności były kształtowane przez rozum oraz przez wiarę. Kwestia wolności pozostawała jedną z najważniejszych spraw od zarania ludzkości. Widać ją praktycznie już w przypowieściach biblijnych. Pierwsi rodzice byli ukształtowani na obraz i podobieństwo Boga, żyjąc w raju we wspólnocie z ich twórcą. Ale Bóg dał im wolność w szerokim tego słowa znaczeniu, również w znaczeniu doświadczania świata oraz niedoskonałości i śmiertelności. Później nadeszły starożytność oraz średniowiecze. Wówczas myśl wolnościowa koncentrowała się przede wszystkim na źródłach religijnych. Były to zasadniczo złote zasady religijne. Wielka renesansowa rewolucja wniosła zmianę paradygmatu i nowe ideologie. Potem pojawiło się oświecenie oparte na oświeconym rozumie. Oznaczało to również odejście od mitów na rzecz racjonalnego myślenia również w sferze publicznej. W tym czasie mówiono o wolności, która jest rozpatrywana i broniona głównie w oparciu o rozum. Był to w moim odczuciu jeden z najważniejszych punktów zmian, bowiem tutaj widzimy drogę do interpretowania wolności na najróżniejsze sposoby, zależnie od wyznawanej ideologii – liberalizmu, komunizmu, kapitalizmu itd.

Wszystkie te debaty przetrwały długo, do ery nowożytnej oraz do czasów zimnej wojny. Wówczas również toczyły się debaty na temat sedna wolności w różnych aspektach: politycznym, ekonomicznym. Jak wiadomo, świat był wówczas podzielony przez żelazną kurtynę. Ona również wyznaczała pewną granicę rozumienia, innego rozumienia wolności i podejścia do praw człowieka. Zachód to przede wszystkim kult indywidualizmu, a Wschód to przede wszystkim komunizm, kolektywizm. Wszystko, co było indywidualne, było podejrzane. Wszystko było planowane z góry. Geopolityczne konsekwencje 1989 r. sprawiły, że kraje Europy Środkowo-Wschodniej przesunęły się w kierunku zachodnim, przyjmując demokrację oraz gospodarkę wolnorynkową. Przez lata transformacji oraz przystąpienia do Unii Europejskiej wszystkie narody tego regionu pracowały nad przekuciem imaginarij demokracji i wolności w coś bardzo konkretnego, bardzo namacalnego, opartego jednak na imperatywach etycznych.

Teraz pojawia się pytanie, czy Unia Europejska w obecnym systemie reprezentacji uwzględnia naprawdę swobodę wolności i demokrację, co pokazuje 18 lat naszego członkostwa w Unii Europejskiej. Czy nie jest to tylko i wyłącznie integracja ekonomiczna? Odpowiedzi na niektóre te pytania mogą naprawdę zaskakiwać, zatraciliśmy bowiem poczucie tego, czym jest wolność. Czy

uwzględnia indywidualnego człowieka? Czym jest człowiek? Co oznacza „człowieczy”? Czym jest małżeństwo? Czym jest rodzina? Jak uwzględnić wielorakie doświadczenia człowieka? Wszystkie te pytania stają dzisiaj jako główne zagadnienia w europejskiej debacie, kiedy prawa krajowe są zastępowane przez wielkie ideologie bez zachowania zasady subsydiarności, która jest wpisana od samego początku w projekt europejski przez ojców założycieli Unii Europejskiej. To może prowadzić wyłącznie do dalszych podziałów ideologicznych oraz wojen kulturowych.

Jak wiemy, do czasu powstania pierwszej wspólnoty europejskiej, Wspólnoty Węgla i Stali, Europa była polem bitew między ścierającymi się narodami. Konrad Adenauer, Jean Monnet i Gasperi postanowili ukuć nową ideę, która wydawała się nie do pomyślenia. Wspólnota Węgla i Stali oparta była na współpracy w obszarach wówczas strategicznych surowców. Robert Schuman napisał książkę opisującą jego wizję europejską, która opierała się absolutnie na chrześcijaństwie. Twierdził on wówczas, że Europa, ta, która się wówczas tworzyła, musi być chrześcijańska, inaczej jej nie będzie. Podobne słowa można było później usłyszeć od Jana Pawła II. Dzisiaj żyjemy w świecie, który jest demokratyczny i wolny. Pamiętajmy jednak, żeby nie doprowadzić do świata, w którym bez chrześcijaństwa wolność i demokracja staną się karykaturami. Czasami toniemy w przeciwnskutecznych debatach ideologicznych, zamiast wracać do prawdziwych początków projektu europejskiego, które nakreślił chociażby Schuman. Zapominamy, że wolność zawsze ma swoją cenę i że zawsze należy pamiętać, że ona nie jest dana raz na zawsze. Ale redukcja wolności do rzeczywistości gdzieś poza ludźmi, wirtualnej, wolności, która opiera się na wspólnotach bez wspólnoty, na wspólnotach bez więzi, zarządzanych gdzieś z zewnątrz, jest potężnym zagrożeniem. Myślę jednak, że najważniejszym zagrożeniem jest relatywizm, dyktatura relatywizmu, która tworzy pewne iluzje, utopie, w których wszystkie podstawowe pojęcia: wolność, swoboda, prawa człowieka są opacznie rozumiane. Lepiej nie popaść w sytuację, w której poszczególne jednostki będą redukowane do łańcucha algorytmów zarządzanych przez najnowsze technologie i przez czystą naukę. Naszym podstawowym zadaniem jest teraz dbanie o to, by nasze społeczeństwo zachowało swoje człowieczeństwo. Jedynie to da nam perspektywę prawdziwej ludzkiej wolności dla przyszłych pokoleń.

Marek Matraszek:

Bardzo dziękujemy, że pan poświęcił swój czas i podzielił się swoją perspektywą z nami, bo ona była niezwykle budująca i dająca do myślenia. András, rozumiem, że masz parę uwag.

Dénes András Nagy:

Chciałbym na zamknięcie dodać, że wolność jest wartością łączącą kraje Europy Karpat. W tym roku świętujemy 200. rocznicę urodzin Sándora Petőfiego, poety karpackiego, który napisał wiersz, który chciałbym państwu po polsku odczytać. Myślę, że dosyć dobrze podsumowuje to, co my, ludzie Karpat, myślimy o wolności.

„Wolność, miłość – przysięgnę.
Jednako mi niezbędne.
Ja za miłość jestem gotów
Oddać żywot.

Ja za wolność jestem gotów
Oddać miłość”.

Marek Matraszek:

Pozwolę sobie powiedzieć parę słów na samo zakończenie, które mogą państwo traktować jako echo myśli człowieka, dla którego Przemyśl, region karpacki i region podkarpacki były niezwykle ważne. Mowa o śp. sir Rogerze Scrutonie, który był wielkim przyjacielem Przemyśla, ludzi, którzy tutaj są na sali, wielkim przyjacielem pana marszałka Kuchcińskiego i innych osób tutaj obecnych. Szczawik, Jan, wszyscy go pamiętamy. Jeden z jego ostatnich występów w Polsce w życiu był też na zaproszenie marszałka Kuchcińskiego, na 30-lecie odzyskania wolności w Europie Środkowo-Wschodniej w parlamencie polskim w 2019 r. Gdyby spytać sir Rogera, co on by uważał za warunki wolności, dlaczego on by jednak z optymizmem patrzył na region karpacki, region środkowoeuropejski, on by prawdopodobnie mówił o trzech rzeczach. Po prostu wolność jest uwarunkowana. Ona istnieje w konkretnych warunkach. Jest wiele tych warunków, ale są trzy chyba najważniejsze.

Pierwszy warunek to jest kwestia niepodległości państwowej i instytucji politycznych, które są z tym państwem związane. Instytucje polityczne, prawo, sądy, parlamenty, arena, na której polityka może się odbywać i na której ekspresja wolności może mieć miejsce, a jednocześnie instytucje, które chronią tę wolność. Czyli, innymi słowami, polityka jest warunkiem wolności, w jakimś bardzo głębokim sensie.

Po drugie, mówiłby również o podstawie, jaką jest wspólnota kulturowa. Chodzi o to, innymi słowami, że wolność i instytucje polityczne są najbardziej trwałe w warunkach pewnej homogeniczności kulturowej. Mimo naszych różnic w regionie to, co nas łączy, tradycja historyczna, tradycja kultury chrześcijańskiej, świadomości wagi idei narodowej, jest czymś, co jest bardzo silnym spoiwem i fundamentem wolności.

Trzecie, o czym mówił nasz ostatni przedmówca: wiara w podmiotowość, w wagę podmiotowości człowieka. Ta wiara w podmiotowość człowieka i prawa z nią związane, to jest bardzo głęboki nurt europejski. On ma swoje podstawy nie tylko w oświeceniu, ale oczywiście także w kulturze chrześcijańskiej. Dzisiaj czytałem artykuł, który mówił o tym, że nie jest zbiegiem okoliczności, że najwięksi obrońcy wolności ostatnich 50 lat czy ostatniego wieku, którzy też w sercu mieli dobro Europy Środkowo-Wschodniej, to byli Margaret Thatcher i Ronald Reagan. Oboje politycy – tak, ale głęboko wierzący chrześcijanie, którzy wierzyli bardzo głęboko, że fundament, który trzeba bronić, jest wolność zbudowana na podmiotowości człowieka.

Ponieważ te trzy filary wolności - wiara w instytucje państwowe, wspólnota kulturowa i jednocześnie głęboka wiara w podmiotowość człowieka - są najsilniej zakorzenione w Europie Środkowo-Wschodniej, były powodem, dla których sir Roger taką sympatią darzył ten region, a zwłaszcza to miejsce, gdzie jesteśmy dzisiaj. Dlatego on by na pewno powiedział, że wolność przetrwa w Europie, przede wszystkim przetrwa w tej części Europy, w tej Europie, na tej ziemi, gdzie te wszystkie wartości i instytucje są tak głęboko zakorzenione.

Tym akcentem chciałbym, wspominając ducha sir Rogera, podziękować panu marszałkowi za gościnność i za umożliwienie tak wspaniałej debaty na rozpoczęcie obrad naszego spotkania karpackiego.

Chciałbym też podziękować naszym wspaniałym panelistom, obecnym wirtualnie i na scenie. Panom dziękuję bardzo za wasze głębokie myśli. Będziemy na pewno mieli możliwość dyskutowania dzisiaj wieczorem i w najbliższych dniach. Jeszcze raz dziękuję.



od lewej: Paruyr Hayrikyan, Jan Musiał, Dénes András Nagy



od lewej: Marek Matraszek, Stefan Purici, Paruyr Hayrikyan, Jan Musiał

RYSZARD TERLECKI



Rozmowa z Ryszardem Terleckim – działaczem opozycji antykomunistycznej od lat 60. XX wieku, historykiem, dziennikarzem, nauczycielem akademickim, profesorem nauk humanistycznych, czynnym politykiem, posłem na Sejm RP od VI kadencji 2007 roku, w latach 2015-2023 przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Prawa i Sprawiedliwości, wicemarszałkiem Sejmu VIII i IX kadencji, jednym ze współtwórców Konferencji Europa Karpat.

Rozmawia Marek Kuchciński, redaktor Archiwum Wolności

Marek Kuchciński

Jesteś w Polsce jednym z polityków o najdłuższym stażu pod względem działalności w niezależnych od komuny środowiskach i szeroko rozumianej opozycji. Zaczniemy od kilku zdań biograficznych.

Ryszard Terlecki

Urodziłem się w Krakowie 2 września 1949 roku, ale rodzina była ze Wschodu, mama ze Lwowa. W 1939 roku dziadek ze strony mamy, który był inżynierem kolejowym, dostał pracę w Krakowie i mieszkanie kolejowe, ale wybuchła wojna i został odcięty od rodziny, która została we Lwowie.

Jesienią przeszedł zieloną granicę, przywiózł jakieś pieniądze swojej żonie i córce, czyli mojej mamie. Wiosną 1940 roku udało im się przejść do niemieckiej strefy okupacji.

MK: Jakież szczegóły tego przejścia?

RT: Dziadek rzeczywiście miał kłopoty i przedzierał się przez zieloną granicę, ale one już miały jakieś papiery. W każdym razie przeszły w miarę bezpiecznie. To nastąpiło między pierwszą a drugą wywózką na wschód organizowaną przez Sowietów, ale wydostały się ze Lwowa dzięki temu uratowały, więc mieszkały już w Krakowie od 1940 roku. Z kolei ojciec urodził się w Oleszycach, ale babcia Stanisława była nauczycielką w szkole podstawowej, uczyła najpierw w Oleszycach, potem w Cieszanowie, a potem w Jaworowie. I tam zastała ojca wojna. W listopadzie uciekł z domu, żeby dostać się do wojska. Był po małej maturze. Z kolegą próbowali przedostać się do Rumunii, ale wydał ich przewodnik, więc ojciec trafił do więzienia, a potem do łagru za krąg polarny. Mówił, że następnej zimy już by nie przeżył i że Sikorski uratował mu życie. Miał tam bardzo trudne warunki, szkorbut, stracił zęby, był w złym stanie, ale dostał się do wojska i z Andersem przeszedł do Iranu, Iraku, Palestyny, Egiptu, Włoch, walczył pod Monte Cassino. Służył w artylerii przeciwlotniczej. Pod Cassino, jak opowiadał, wszyscy poszli do szturm, także właśnie artylerzyści. Potem zdobywali Bolonię. Po demobilizacji pojechał do Anglii z całym 2 Korpusem i stamtąd, jesienią 1947 roku, wrócił do Polski. Statek, którym płynął do Gdyni, minął się z brytyjskim statkiem, którym uciekał Mikołajczyk. Spotkał się z mamą, którą już poznał wcześniej, bo oni byli kuzynami, wzięli ślub i ja się urodziłem już w Krakowie, ale jako dziecko kresowe.

Jak poszedłem do 1 klasy, to chłopcy, bo to była męska klasa, nabijali się trochę ze mnie, bo miałem taki specyficzny lwowski akcent. Do szkoły poszedłem w 1956. Miałem 7 lat. Po roku rodzice zabrali mnie z tej szkoły, bo tam zlikwidowano religię. Chodziłem więc do innej szkoły, ale tam w 1961 też zlikwidowano religię, jak w całej Polsce. Ostatecznie tam skończyłem szkołę podstawową i poszedłem do VIII Liceum Ogólnokształcącego na Grzegórkach. To była połowa lat 60-tych. Przyszła z Zachodu nowa muzyka, zaczęła się nowa epoka, też obyczajowa. Zaczęłem zapuszczać długie włosy, miałem w związku z tym problemy w szkole, ale jakoś dojrzałem do matury i zdałem ją w 1967.

MK: Kogo z nauczycieli zapamiętałeś z czasów szkolnych, może jakieś wydarzenia:

RT: Miałem dobrych nauczycieli, paru przynajmniej w podstawówce. Polonistkę bardzo dobrą, panią Nowakowską. W liceum z kolei historyczkę, trochę zwariowaną, ale wymagającą, więc w tej historii i literaturze, języku polskim byłem w miarę dobry, natomiast słaby z przedmiotów ścisłych. Na maturze czekałem cierpliwie na ściągę, żeby napisać matematykę. Dostałem ściągę i zdałem maturę. Wtedy zdawało się maturę ze wszystkich przedmiotów. To były zupełnie inne czasy. Na studia zdawałem na Uniwersytet Jagielloński na historię. Chciałem na polonistykę, ale ojciec mnie przekonywał, że polonista to nie jest zawód, że jak się chce pisać, to trzeba coś konkretnego wiedzieć, więc lepiej pójść na historię. Już wtedy myślałem o pisaniu, bo to mi w miarę dobrze szło w szkole. Ale też zaczęła się rewolucja hipisów.

Naprzód to były długie włosy i czytanie różnych opowieści o amerykańskich hipisach, ale w listopadzie 1967 roku poznałem już hipisów polskich. Przyjechali z Warszawy. Byłem z kolegą, który też miał długie włosy, w Krakowie na koncercie czeskiego zespołu, bo w Czechosłowacji wtedy zaczynała się odwilż. To był klub wojskowy „Szopa”, gdzie odbywały się wieczorki taneczne, grały różne kapele, między innymi czeska. I na takim koncercie spotkałem dwóch warszawskich hipisów. Coś tam opowiedziałem im o sobie i dwa tygodnie później przyjechała grupa cała 7 czy 8-osobowa z Warszawy. Przyszli na Uniwersytet. Jak byłem akurat na sali. To był 1967 rok. Trwał wykład chyba nawet Henryka Batowskiego, jednego z wybitniejszych wtedy wykładowców z dawnych, przedwojennych czasów. Oni zaglądali do sali. To było bardzo zabawne, bo oni dziwnie wyglądali. I tak zaczęła się przygoda hipisowska.

Na początku 68 roku różne ZMS-y, instytucje reżimowe, interesowały się hipisami, ponieważ uważały, że tworzą nową lewicę, że to będzie zaczątek młodzieży rewolucyjnej, która komunistom może się do czegoś przydać. Zresztą wtedy w mediach dużo pisało się o hipisach, o amerykańskich czy zachodnioeuropejskich, właśnie w takim duchu, że to jest rewolucja antykapitalistyczna, antyamerykańska i antywojenna. Przecież trwała wtedy wojna w Wietnamie. Te pierwsze miesiące były zabawne, bo na przykład zapraszano nas do klubów ZMS-u, gdzie siedzieli młodzi aparatczycy, a my opowiadaliśmy o wolności. „Make love not war” i podobne głupstwa.

Ale zaraz zaczął się marzec. Tak się zdarzyło, że pojechałem wtedy do Warszawy. Takim guru, liderem hipisów był Józef Pyrz, pseudonim „Prorok”. Miał wynajęte małe mieszkanie w Radości pod Warszawą. I z dwoma kolegami, którzy też hipisowali, pojechaliśmy ich odwiedzić. Tak się złożyło, że przyjechaliliśmy tam 8 marca i tam dowiedzieliśmy się, że właśnie zaczęły się rozruchy na uniwersytecie. Byliśmy wieczorem pod politechniką, widzieliśmy na ulicy szarżę ZOMO na studentów. Wróciliśmy do Krakowa w niedzielę i w poniedziałek 11 marca rano na uniwersytecie już zastałem kartki poprzylepiane na tablicach ogłoszeń, że o godz. 12 jest wiec pod pomnikiem Mickiewicza na Rynku. Oczywiście poszliśmy z przyjacielem z Zakopanego, Staszkiem Łukaszczykiem, na ten wiec. Tam była zabawna sytuacja, bo przemawiał jakiś student z Wrocławia i opowiadał o tym, co się działo w Warszawie 8 i 9-ego. Wtedy wyszła z „Jaszczurów” (klub studencki na Rynku w Krakowie) grupa młodych ludzi, ale wiadomo, że to byli działacze ZMS i zaczęli dyskuse. Przekonywali zebranych, że to nieprawda, co opowiada ten student. Wtedy wtrąciłem się i powiedziałem, że to prawda, bo ja to widziałem. A oni do mnie, że nie jestem studentem (bo miałem długie włosy, co wtedy jeszcze było rzadkością). Na to wyciągnąłem legitymację studencką i ją pokazałem, co mnie potem kosztowało zatrzymaniem, bo bezpieczeństwa miała informację, że byłem na Rynku, na tym wiecu. Spod pomnika Mickiewicza poszliśmy do Collegium Novum. Tam była w auli wielka dyskusja czy zaczynać strajk okupacyjny, czy przeciwnie – demonstrować na ulicach. Zwyciężyło przekonanie, że trzeba zawiadomić więcej studentów o tym, co się dzieje, więc nie strajk, tylko właśnie manifestacja wieczorem. Z kolegą Markiem Ostachowiczem obchodziliśmy uczelnię i malowaliśmy kredą na ścianach informację, że wieczorem jest wiec na Rynku. On nie był studentem, nie dostał się na studia i pracował w firmie napełniającej długopisy. Wieczorem rzeczywiście odbył się wiec. Na Rynku było dobrych parę tysięcy ludzi. Milicyjny radiowóz jeździł dookoła i przez megafon wzywał do rozejścia się. Studenci skandowali też hasła dotyczące Czechosłowacji, bo już trwała Praska Wiosna. Wiec się skończył, wracaliśmy do domu.

Na ul. Mikołajskiej otoczyło mnie nagle paru tajniaków, wciągnęli do bramy. Zaczęła się szarpanina. Kolega im uciekł i na Małym Rynku wpadł do knajpy piwnej i krzyknął, że biją studenta. Kilku piwoszy zerwało się, przybiegło i rzuciło na tych tajniaków. Ja nawet ich powstrzymywałem, mówiłem „panowie, dajcie spokój”. Jeden z tajniaków wcześniej wylegitymował się i ja zostałem w rękę z jego legitymacją SB, którą potem wyrzuciłem do kosza. Tak to wyglądało.

MK: Czy pamiętasz kolegów, koleżanki z tamtych czasów?

RT: Staszek Łukaszczyk ps. „Żaba” z Zakopanego, który w tych wszystkich marcowych zajściach brał ze mną udział. Marek Ostachowicz to sąsiad z ulicy. Poznałem tam wielu innych w czasie następnych tygodni, bo to przecież trwało – strajk w „Żaczku”, strajk absencyjny, w czasie którego staliśmy przy wejściach do różnych budynków uniwersyteckich i zawracaliśmy studentów, żeby nie szli na zajęcia. Bardzo nam się to podobało. Strajk dogorywał, a my wciąż jeszcze próbowaliśmy nie dopuścić do zajęć. Pamiętam jak lektorka od łaciny życzliwie nas traktowała i pozwalała dalej pikietować, nie zapisywała nieobecności na zajęciach. Zbieraliśmy też pieniądze na wykupienie tych, którzy zostali zatrzymani i dostali kary grzywny. Wtedy poznałem m.in. Ryszarda Legutkę, późniejszego profesora, który był aktywny w tych marcowych awanturach, czy Marka Sojkę, później wykładowcę w USA.

W połowie kwietnia – pamiętam, że to była sobota – wybieraliśmy się na jakąś prywatkę. Szedłem do znajomego, żeby pożyczyć od niego magnetofon i nagle na ul. Straszewskiego podjechał samochód. Podeszło do mnie dwóch facetów i jeden powiedział, że mają wiadomość od mojego brata. Jestem jedynakiem, więc wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Próbowalem się opierać, ale wsadzili mnie do auta i zawieźli na Plac Wolności, gdzie mieściła się siedziba bezpieki. Tam odbyło się rutynowe przesłuchanie. Pojawił się w pewnej chwili szef bezpieki w Krakowie, Wałach, w czarnej, skórzanej marynarce i z wielkim, złotym sygnetem na palcu, i powiedział, że: „Hipisi..., to tylko Żydzi mogli coś takiego wymyślić”. Nic mi tam specjalnie nie zrobili, próbowali tylko nastraszyć. Jeden z obecnych demonstracyjnie podwijał rękawy, ale nikt mnie nie uderzył. Zawieźli mnie do aresztu na Mogiłską i tam spędziłem dobę. Na tym się właściwie wtedy skończyły się moje problemy z milicją. Poza tym jeszcze wzywano mnie do ZMS-u, żeby skreślić mnie z listy, mimo, że ja się nawet nie zapisałem.

Takim zdarzeniem w moim życiu, który potem rodził różne legendy i konsekwencje, było poznanie Olgi Ostrowskiej, czyli „Kory”. Zaczęliśmy hipisowskie lato. Pojechaliśmy na pierwszy zlot hipisów do Mielna autostopem. Wtedy hipisi dzielili się na tych bardziej przywiązanych do samego anturażu – wyglądu, strojów, koralu itd., ale i takich, którzy cały czas toczyli dyskusje jak ten reżim jakoś osłabić. W tle była Czechosłowacja, gdzie w Pradze w pochodzie 1-majowym brała udział wielka grupa czeskich hipisów. To wszystko robiło wrażenie. Były jakieś plany zrobienia wielkiego marszu na „żelazną kurtynę” hipisów z Zachodu i ze Wschodu. To oczywiście były mrzonki, ale takie pojawiały się pomysły. 21 sierpnia wyruszyłem autostopem z Krakowa do Dusznik na drugi zlot i w jakiejś ciężarówce w Katowicach usłyszałem, że wojska układu warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji. Zawróciłem do Krakowa i malowaliśmy na murach taki znak: sowiecka gwiazda = swastyka. We wrześniu pojechałem na kolejny zlot do Kazimierza nad

Wisłą. W Krakowie nawiązaliśmy różne relacje z artystami, m.in. z Tadeuszem Kantorem, Jerzym Beresiem, którzy odnosili się życzliwie do ruchu hipisów.

MK: Czy oprócz wymienionych jeszcze byli jacyś inni, których pamiętasz?

RT: Pamiętam oczywiście hipisów, z którymi się przyjaźniłem, np. Jacka Gulle, artystę malarza, poetę, który zrobił karierę i wystawiał w Nowym Jorku swoje prace. Większość, których znałem, już nie żyje, włącznie z „Prorokiem”, z którym po latach nagraliśmy wywiad dla tv, w jego rodzinnym GawłóWKu pod Bochnią. Miał tam ekspozycję swoich rzeźb. W końcu lat 70-tych wyjechał do Francji i specjalizował się w renowacji kościelnych rzeźb. Przeszedł drogę od rewolucji hipisowskiej do bardzo radykalnego konserwatyzmu. Jedną z ważniejszych postaci był Antek Nowacki ps. „Antoine”. Zenek Zegarski ps. „Wskazówka” był z pokolenia następnego, ale poznałem się z nim już w tamtych czasach.

MK: jakie zapamiętałeś publikacje i autorów, którzy w tamtym czasie inspirowali?

RT: Pojawiły się przekłady „Skowytu” Allena Ginsberga. On zresztą był w Polsce, ale został wydany wiosną 68 roku. Także „On the Road” Kerouaca, który usiłowaliśmy czytać po angielsku, bo nie było tłumaczenia. Literatury wtedy dużo nie było. Czytaliśmy emigracyjne wydawnictwa, ale tam o hipisach rzadko pisano. Czytaliśmy też paryską „Kulturę”. W 1970 roku w tym samym co ja areszcie siedzieli tzw. taternicy, z grupy Kozłowskiego i Szpakowskiego, którzy w czasie Praskiej Wiosny przemycali „Kulturę” do Polski.

MK: Co działo się po Marcu?

RT: To było pamiętne lato, festiwal w Woodstock, na całym świecie protesty przeciwko wojnie. W Polsce ruch hipisów rozszerzał się, co sprawiło, że zaczęły się coraz większe kłopoty. Milicja rozpędziła zlot w Brzegu w kwietniu 1969 roku, potem nie dopuściła do zlotu w Opolu w maju, spotkaliśmy się nad jeziorem w Turawie. Latem było spotkanie w Kazimierzu nad Wisłą, już drugie, pierwsze we wrześniu poprzedniego roku. Powstawały komuny, w Warszawie najgłośniejsza na Sadybie, inna znana komuna rolna we wsi Zawisź w gminie Pokój na Opolszczyźnie, następnie komuna Wieśka Nowackiego w Bieszczadach.

Stopniowo ruch się radykalizował, mnożyły się areszty, kolegia do spraw wykroczeń skazywały na 3 miesiące aresztu z paragrafu za włóczęgostwo, milicja, ale już także bezpieka śledziła nasze kontakty, zwłaszcza zagraniczne. Nadzieje na demokratyzację systemu, zrodzone w związku z sytuacją w Czechosłowacji, okazały się mrzonką. Ja wiosną dostałem wezwanie do wojska, mimo że wciąż byłem studentem, musiałem odwoływać się. Mieliśmy wtedy kontakt z prof. Antonim Kępińskim, wybitnym psychiatrą, który interesował się ruchem i zapraszał nas do swojego mieszkania koło kościoła św. Floriana w Krakowie. Wojsko uwzględniło odwołanie, ale jeden z moich przyjaciół Andrzej Turczynowicz ps. „Amok” z tego samego powodu musiał się ukrywać, a schwytany trafił do więzienia. Hipisi ukrywali wtedy dezertersów, nawet jakiegoś sowieckiego żołnierza.

W lutym 1970 roku zostałem na miesiąc aresztowany pod zmyślonym zarzutem, poręczyli za mnie wtedy m.in. ks. Adam Boniecki, duszpasterz akademicki u św. Anny, u którego też bywaliśmy w domu. a także dr Noemi Madejska, ordynator jednego z oddziałów w szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie. Prokurator po miesiącu aresztu zesłał mnie na obserwację do jej szpitala pod fałszywym pretekstem narkotyków, z aresztu zawieźli mnie tam w kajdankach, na szczęście dr Madejska po paru dniach puściła mnie na przepustkę, z której już nie wróciłem. Warto pamiętać, że wówczas narkotyki docierały w bardzo niewielkich ilościach, przywożone przez hipisów z Zachodu, głównie haszysz i marihuana.

Latem miało miejsce zabawne wydarzenie, 21 sierpnia przyszliśmy na Rynek całą sporą grupą ubrani na czarno, a akurat w Krakowie film o Polsce kręciła zachodnioniemiecka telewizja. Gdy dziennikarze dowiedzieli się, że protestujemy w rocznicę najazdu na Czechosłowację, natychmiast nakręcili obszerny materiał. Po roku czy dwóch spotkani hipisi z NRD poznali mnie, bo widzieli ten film w zachodniej telewizji.

MK. W Polsce jesienią nastąpiły wtedy protesty, w różnych miejscach, najkrwawiej stłumione na Wybrzeżu: w Gdańsku, Gdyni, Elblągu, Szczecinie. Nie były one tylko przeciwko podwyżkom. Jak pamiętasz tamte czasy?

RT: O strajku na Wybrzeżu dowiedziałem się przypadkowo, od mojej cioci, która z kolei usłyszała o tym w sklepie. Natychmiast poszedłem do Jacka Gulli i postanowiliśmy organizować demonstrację, wróciłem więc na chwilę do domu po ciepłe rzeczy i wtedy na schodach zatrzymali mnie cywile z SB, którzy mieli listę osób przeznaczonych do zatrzymania. Zaraz potem zatrzymali także Jacka. Zabrali nas na komisariat na ul. Siemiradzkiego i tam spędziliśmy w piwnicy dwie doby, po czym przewieźli nas do więzienia Montelupich. Zamknęli każdego z nas w osobnej celi, mnie w szesnastoosobowej, ale pustej, bo więzienie zostało już na wszelki wypadek opróżnione, a więźniowie wywiezieni do innych zakładów karnych. Następnego dnia od rana cela zapełniła się kilkudziesięciu studentami i młodymi robotnikami, zatrzymanymi podczas ulicznych demonstracji. Na Monte spędziłem kilka dni, miałem tam jednak znajomych psychologów, pracujących jako wychowawcy, którzy dostarczali mi papierosy, a także zawiadomili rodziców, że nic się nie stało, żyję i jestem w więzieniu. Puścili nas dzień przed Wigilią, już po przejęciu władzy przez Gierka.

Ruch hipisów jeszcze trwał, ale represje ograniczyły możliwości działania, spotkania hipisów odbywały się po klasztorach, np. w Krakowie u OO. Franciszkanów. Z kolei OO. Dominikanie zapraszali nas na różne spotkania z duszpasterstwami, pamiętam takie w Poznaniu, nabity kościół, kilkaset młodych ludzi, opowiadamy o wolności, a potem mają być pytania na kartkach. Jest ze sto takich kartek, a na 90 jest pytanie skąd wziąć narkotyki. Tak kończył się ruch, a degenerował się szybko, a zabiła go heroina, w Polsce tzw. „kompot”. Z tym już nie chciałem mieć nic wspólnego.

MK. Ruch hipisowski w naszym polskim, a raczej środkowoeuropejskim wydaniu, od początku charakteryzował się poszukiwaniem takich sfer życia, gdzie można było mieć po-

czucie wolności od cenzury i obowiązującej ideologii marksistowskiej. Takim miejscem był KUL – bez marksizmu i bez obowiązku służby wojskowej. Jak tam trafiłeś? To był początek lat 1970?

RT: Pojawił się wtedy pomysł ulokowania grupy hippisów na KUL, pilotował go profesor socjologii, nazwiska nie pamiętam. W 1971 roku kilku z nas dostało się tam na studia. Zostałem przyjęty bez egzaminu, od razu na drugi rok historii. Paru z nas zdało na pierwszy rok. Antek Nowacki na historię, Krzysiek Kownacki, ps. „Profesor” na filozofię. Wykładowców nie bardzo pamiętam, oprócz siostry Zdybickiej. Wynajęliśmy willę na Norwida, była w budowie, ale suterena była już wykończona, 3 pokoje, stała się czymś w rodzaju komuny. Wtedy poznałem tzw. komandosów, czyli ludzi z marca 68, którzy dostali wyroki, odsiedzieli - różnie, rok, półtora, a gdy wyszli z więzienia KUL ich przyjął na studia. Seweryn Błumsztein, Barbara Toruńczyk, Joanna Szczęсна, chłopak z organizacji „Ruch” z Łodzi. Tworzyli środowisko polityczne i bardzo się nami zainteresowali, głównie z tego powodu, że hipisi tworzyli niesformalizowaną strukturę, ale gdyby np. trzeba było wyjść na ulice, to w każdym mieście mogliśmy wywołać rozruchy. Ruch hipisów był coraz bardziej upolityczniony. Różne prześladowania, areszty, zatrzymania, pobicia, rozpedzanie złotów, to wszystko nastawiało coraz bardziej buntowniczo. Z komandosami brałem udział w seminarium poświęconym ideologii „Non-violence”, które prowadził francuski teoretyk Jean Goss. Odbywało się to gdzieś w klasztorze sióstr w Lublinie, w wielkiej tajemnicy. Na Norwida odwiedzało nas wiele osób, np. Anna Erdman, wnuczka Wańkowicza, która doprowadziła do naszej wizyty u Wańkowicza w jego mieszkaniu na Puławskiej w Warszawie.

W marcu 1972 roku były wybory do sejmu PRL i razem, tzn. komandosi i hipisi organizowaliśmy bojkot, tzn. piknik za miastem, na który planowaliśmy pojechać zamiast na wybory. Od jakiegoś czasu bezpieczeństwa zaczęła się nami interesować i przychodzić na KUL. Atmosfera się popsuła i władze uczelni uznały, że lepiej się nas pozbyć. I na przełomie semestrów pierwszego i drugiego skończyła się moja przygoda z KUL.

MK: I wróciłeś do Krakowa.

RT: To były pierwsze lata władzy Gierka, czyli trochę odwilży i nagle się okazało, że UJ jest gotów mnie przyjąć z powrotem na drugi rok, więc wróciłem. Na moim roku studiów poznałem Janka Drausa, z którym szybko się zaprzyjaźniłem. Poznałem też jego brata Franciszka, studiującego rok niżej na prawie. Zacząłem bywać w „Zaczku”. Do Krakowa zjechał Paweł Kłoczowski, bratanek Jerzego. Zaczęliśmy się spotykać, nawiązywać kontakty z Warszawą (z Pawłem Bąkowskim, Teresą Bogucką). Poznałem działaczy przyszłej opozycji. Zaczęło docierać do nas coraz więcej książek z emigracji, głównie „Kultura”, powstało coś w rodzaju nielegalnej wypożyczalni, zanosilem też książki kilku pracownikom naukowym na UJ.

Zapisałem się na seminarium do prof. Jana Hulewicza, ponieważ szukaliśmy z Janem Drausem profesorów, którzy nie zeszmacili się współpracą z PZPR. On był na seminarium u prof. Henryka Batowskiego, przedwojennego dyplomaty. Jan Hulewicz był w czasie wojny szefem Funduszu Kultury Polskiej w Londynie. Ten fundusz pomagał ludziom w kraju, wysyłał paczki. Jego żona

Maria była sekretarką Mikołajczyka i została jego towarzyszką życia. Hulewicz był bliskim współpracownikiem Mikołajczyka, ale jakoś przetrwał stalinowskie czasy na bocznym stanowisku na uniwersytecie i zachował posadę profesora. U niego pisałem pracę magisterską o udziale ruchu ludowego w tajnej oświacie w czasie wojny. Bardzo nudne były te jego seminaria, ale był to porządny człowiek. Przechowywał w katedrze podziemne archiwum z czasów okupacji, m.in. dotyczące tajnej oświaty.

Uniwersytet po marcu był już bardzo kontrolowany przez komunistów, rozmaitych marcowych docentów i donosicieli bezpieki. A my coraz bardziej żyliśmy polityką, odbywały się konspiracyjne spotkania, wciągaliśmy do tego wciąż nowe osoby. Niestety, specyfika studiów historycznych była taka, że spośród absolwentów, szczególnie mężczyzn, wielu kolegów z roku poszło do bezpieki.

Pierwszy raz na Zachodzie byłem w 1975 roku. Wcześniej kilka razy dostałem odmowę paszportu. W 1974 roku dostałem tzw. wkładkę paszportową i pojechaliśmy autostopem z przyjacielem z czasów hipisowskich, Krzysztofem Skaldą, do Bułgarii. A następnego roku z Krzyśkiem Kownackim udało się wyjechać za Zachód (Belgia, Holandia, Francja, Niemcy, Austria, Jugosławia) autostopem.

W 1975 zaczęła organizować się opozycja, usiłowaliśmy zbierać podpisy pod protestem w sprawie zmian konstytucji PRL, ale profesorowie, do których przychodziliśmy, odmawiali. Jednak zaczęło powstawać środowisko studentów i absolwentów, które w 1976 roku stało się zapleczem dla KOR i które powołało Studencki Komitet Solidarności (SKS).

W 1975 roku ożeniłem się z Renatą Kemmer i urodziły się nasze dzieci: Anna (1975), Piotr (1980) i Maria (1984). SB kilkakrotnie przeprowadzała rewizje w naszym mieszkaniu, kilkakrotnie byłem zatrzymywany na 48 godzin. W Krakowie tworzyły się rozmaite grupy opozycyjne, głównie wśród studentów i niedawnych absolwentów, m.in. związane z Duszpasterstwem OO Dominikanów „Beczka”, czy z próbami tworzenia niezależnego teatru.

Już poznaliśmy się z Bogusławem Sonikiem, Bronkiem Wildsteinem, Staszkiem Pyjasem. Np. dowiedzieliśmy się na początku roku akademickiego 76/77, że w roku poprzednim była taka grupa, która interesowała się teatrem, literaturą, ale niekoniecznie tą zalecaną przez reżim. Mieli kłopoty, byli przesłuchiwani. To była grupa, do której należał Adam Szostkiewicz – późniejszy redaktor „Tygodnika Powszechnego, a potem jeszcze gorzej, bo „Polityki”. Z tej grupy też parę osób trafiło do opozycji.

MK: Adam potem, w połowie lat 70-tych był nauczycielem języka angielskiego w przemyskim Słowaku. Wtedy go poznałem. Ożenił się z Ewką Hajn.

RT: Była grupa hipisująca, do której należał Bronisław Wildstein i Staszek Pyjas, a także grupa związana z „Beczką”, gdzie byli Bogusław Sonik, Liliana Batko, Józef Ruszar. I tak się złożyło, że to ja poznałem ich ze sobą. Spotkaliśmy się w mieszkaniu Bronka Wildsteina na ul. Chocimskiej

i zastanawialiśmy się co robić. Od jesieni 1976 roku zaczęły się coraz liczniejsze kontakty z warszawskim KOR-em. M.in. zbieraliśmy podpisy pod listem do władz, domagającym się powołania komisji sejmowej dla zbadania działalności MO i SB wobec robotników, demonstrujących w Radomiu i Ursusie w czerwcu 1976 roku. Pojawiła się też „bibuła” czyli niezależne czasopisma, najpierw „Komunikat KOR” i „Biuletyn Informacyjny”, później kolejne, także krakowskie niezależne czasopisma, np. „Ineks”.

W 1977 roku ojciec mojej żony pracował na Kubie, gdzie budowali cukrownię, był inżynierem. I zaprosił nas z malutką dwuletnią Anią. Miesiąc byliśmy na Kubie i w Meksyku. Po powrocie z dworca zadzwoniłem do Franka Drausa, który opiekował się naszym mieszkaniem i psem, a on powiedział, że dwa dni wcześniej zabili Staszka Pyjasa. Pojechaliśmy do domu, a ja zaraz potem na dworzec, gdzie przyjechała Teresa Bogucka i przywiozła wiadomość, o decyzji podjętej w Warszawie, że będzie demonstracja i żałoba, co oznaczało bojkot zaplanowanych na następny tydzień Juwenaliów. To już był wtedy dość intensywny okres działania.

MK: Po studiach magisterskich, dalej kontynuowałeś pracę naukową?

RT: Tak, zastanawialiśmy się z Drausem co robić i nawet podjęliśmy próby dopytania w Londynie czy można robić doktorat na PUNO – Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie, ale okazało się, że przyjmuje tylko emigrantów. Zapisaliśmy się do prof. Jana Hulewicza na doktoranckie seminarium i pisaliśmy o tajnym nauczaniu na Rzeszowszczyźnie. Ja o części zachodniej, przed wojną należącej do województwa krakowskiego, a on o wschodniej, lwowskiej. Potem przerobiliśmy to na wspólną książkę. Broniliśmy tej pracy w czerwcu 1980 roku i już wtedy prof. Helena Madurowicz-Urbańska zastępowała Hulewicza, który był w szpitalu i wkrótce potem zmarł. Tak więc, u progu rewolucji, w czerwcu, obroniliśmy doktoraty. W lipcu zaczęły się strajki. Potem jeszcze napisaliśmy razem taką broszurkę o szkołach wyższych na emigracji po wojnie. I ja zacząłem naprzód pracę na umowę zlecenie w Zespole Badawczym Dziejów Oświaty przy PAN, gdzie mnie prof. Hulewicz zdążył polecić. W 1977 dostałem etat w Instytucie Historii, Nauki, Oświaty i Techniki PAN. I tam przez trzy lata pisałem zmułdnie habilitację, taką naukową ramotę pt.: „Oświata dorosłych i popularyzacja nauki w Galicji w okresie autonomii”. Pisałem sporo artykułów naukowych, m.in. do „Polskiego Słownika Biograficznego”, ale wkrótce zacząłem też pisać teksty publicystyczne do „Tygodnika Powszechnego”, który jeszcze wtedy był czasopismem katolickim i konserwatywnym, do „Znaku”, „Ładu”, „Głosu Katolickiego”, „Gościa Niedzielnego”, „Nowego Świata”.

Warszawski instytut PAN miał filię w Krakowie, którą kierował prof. Stanisław Brzozowski, lwowianin, bardzo porządny i pobożny człowiek, w Krakowie dysponowaliśmy małym lokalikiem przy ul. św. Jana. Każdy z pracowników miał tam dyżur raz w tygodniu, więc nie była to obciążająca praca. I było to miejsce spotkań krakowskiej opozycji w środy, kiedy ja miałem dyżur.

MK: okres początku znajomości z Bronisławem Wildsteinem, Stanisławem Pyjasem, Bogusławem Sonikiem to był czas, gdy powstawał SKS?

RT: Nie byłem członkiem SKS, bo już byłem po studiach, ale blisko znałem się z nimi, współpracowałem w różnych akcjach. Najpierw powstał Uniwersytet Latający, a potem Towarzystwo Kursów Naukowych. Do Krakowa przyjeżdżali rozmaici działacze, m.in. na spotkanie z Michnikiem wkroczyła milicja, to było już po śmierci Staszka i po czarnym marszu. Próbowaliśmy się zaczepić całą grupą w Klubie Inteligencji Katolickiej. Procedura przyjęcia była skomplikowana, ale w końcu nas przyjęli. To była grupa, którą oficjalnie nazwano pracy społecznej czy oświaty społecznej. W KIK-u spotkania były bardziej legalne, w mieszkaniach nielegalne. Zaczęliśmy też jeździć po kościołach z wykładami, byłem w wielu miejscowościach, od Podkarpacia po Śląsk.

MK: Jakie możesz wskazać kolejne ważne wydarzenia? Solidarność, czy wcześniej były jakieś inne?

RT: Pojechałem z żoną i córką, wiosną w kwietniu 1980 roku do Rabki i któregoś wieczoru przyjeżdża działaczka SKS, która potem została zakonnicą, z wiadomością, że na Rynku w Krakowie spalili się Walenty Badyłak, w proteście związanym z rocznicą Katynia, a przez to należy się spodziewać zatrzymań i rewizji. Trzeba było wracać do Krakowa. Była też kolejna seria rewizji po próbie wysadzenia pomnika Lenina w Nowej Hucie, to było jeszcze przed Solidarnością. Zamach udał się tylko częściowo, bo wybuch tylko urwał nogę Leninowi.

MK: Powoli wchodzimy w okres lat 80. Ale jak mógłbyś scharakteryzować to dążenie do wolności i samą wolność, poczucie wolności końca lat 60. i 70-tych? Jakie ona miała cechy w Polsce?

RT: Różne grupy opozycyjne tworzyły swego rodzaju enklawę wolności, odporną na represje, a równocześnie działające w świecie, do którego reżim nie miał wstępu. Powstawały wciąż nowe organizacje SKS, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO), TKN, organizacja rolników indywidualnych, potem Konfederacja Polski Niepodległej (KPN). Wszyscy się znali, przychodzili na te same uroczystości czy manifestacje, ja często pisywałem do gazetek KPN czy rolników. Organizowaliśmy grupy samokształceniowe, ja opowiadałem o historii najnowszej, mieliśmy nawet grupę licealistów, którą jednak bezpieka namierzyła, bo był wśród nich konfident.

MK: Czy utkwił ci w pamięci moment wyboru Karola Wojtyły na papieża i skutki tego wydarzenia?

RT: Tak. Konserwatywny historyk amerykański George Weigel napisał biografię Karola Wojtyły i opisał taką scenę, jak w dniu wyboru papieża w Polsce wierni demonstrują radość na ulicach. Ja tego dnia byłem w domu i zadzwonił do mnie kolega Krzysiek Dawidowicz, z wiadomością z Wolnej Europy, że kardynał Karol Wojtyła został wybrany papieżem. Zadzwoniłem szybko do ojca, a z Krzyśkiem umówiłem się w mieście. Tam pusto, deszcz, zimno, ponuro, kościoły pozamykane. Poszliśmy do św. Anny i tam przed drzwiami spotkaliśmy ks. Bonieckiego, który oczywiście już wiedział. Poszliśmy potem na Wawel, tam też katedra zamknięta, przed drzwiami grupka młodzieży odmawiała różaniec. Wszystko to robiło upiorne wrażenie, że właściwie nie ma żadnej reakcji. Po 2 czy 3 godzinach wróciliśmy zniechęceni do domu i okazało się, że później z semina-

rium wyszła jakaś grupa kleryków, ok. godz. 22 i obeszła parę ulic cicho śpiewając i odmawiając różaniec. Taka to była demonstracja. Dopiero gdy prymas wrócił do Polski i powiedział, że Ojciec Święty planuje przyjechać do Ojczyzny, zaczęły się przygotowania. Ale tak naprawdę to dopiero przyjazd papieża w czerwcu 1979 roku poruszył miliony Polaków. Był w Warszawie, Krakowie, Częstochowie, Wadowicach. Mieszkałem wtedy w bloku przy Łużyckiej na Piaskach. Tam przyjechał Janek Draus z ojcem, matką, siostrą i stamtąd szliśmy parę kilometrów wczesnym rankiem na Błonia, na słynną mszę krakowską.

MK: Można by powiedzieć: szanuj drugiego człowieka, bo nigdy nie wiadomo, czy nie zostanie świętym i nie będziesz potrzebował jego pomocy. Ta narastająca fala entuzjazmu za chwilę pomoże w powstaniu ruchu Solidarności.

RT: Z pewnością, choć właśnie wiosną 1980 była takim okresem politycznej beznadziei. Krąg osób zaangażowanych w politykę opozycyjną był skromny i nie poszerzał się. Towarzystwo Kursów Naukowych przestało działać, bo bezpieka wchodziła na spotkania i je przerywała. I nagle zaczął się lipiec. Głupia, a właściwie niespecjalnie mająca wpływ na poziom życia decyzja o przesunięciu paru gatunków mięsa i wędlin z tych ogólnie dostępnych sklepów do tzw. komercyjnych, wywołała protesty. Władze obiecywały, że w stołówkach, w zakładach pracy, ceny się nie zmienią, a trochę się zmieniły. Wtedy, w pierwszych dniach lipca, zastrajkowało parę zakładów. To były strajki jednodniowe, półdniowe, przez jedną zmianę. Z tym, że to był taki strajk pełzający, tzn. kończył się w jednym mieście, a następnego dnia zaczynał w drugim. To się tak ślimaczyło przez cały lipiec i początek sierpnia. Właściwie nie było żadnego wrażenia za granicą.

MK: W lipcu zaczęły też się strajki w Świdniku.

RT: Ale dopiero strajk komunikacji miejskiej w Warszawie, na początku sierpnia, zauważyły media na Zachodzie.

MK: Wróćmy do czasu powstania Solidarności. Pracowałeś wtedy w PAN-ie. Jak wspominaś ten czas?

RT: Ponieważ w Krakowie nie było strajku, to zaczęliśmy organizować listy poparcia dla strajkujących i zbierać dla nich pieniądze. Od połowy sierpnia, jak zaczął się strajk w Stoczni. Obchodziliśmy różne instytucje w Krakowie i zbieraliśmy podpisy poparcia dla strajkujących oraz pieniądze. Archiwum Państwowe, PAN, Instytuty, W Wydawnictwie Muzycznym na Alejach urządziliśmy stoisko. Postawiliśmy stolik, przy którym siedziałem, a pracownicy przychodzili i podpisywali. Paweł Błoński, syn prof. Jana Błońskiego, zawiózł zebrane pieniądze do Gdańska. W każdym razie była atmosfera rewolucji. Wszędzie się mówiło o strajkach. Wszędzie ludzie palili się do tego, żeby podpisywać petycje, dawać pieniądze.

MK: Włączyłeś się później w organizację Solidarności, w struktury?

RT: Tak, w PAN-ie. Z tym, że ja nie angażowałem się w zakładową komisję w PAN-ie. Bardziej

na uniwersytecie, gdzie uruchomiliśmy Wszechnicę Robotniczą przy Międzyzakładowej Komisji Solidarności. Naprzód w KIK-u, gdzie były dyżury i pierwszy punkt konsultacyjny Solidarności. Zakładało się wtedy komisje zakładowe gdzie się tylko dało. Uruchomiliśmy na uniwersytecie, w auli na Akademii Medycznej na ul. Kopernika, wykłady polityczne raz w tygodniu. Wykładałem też w zakładach pracy. Jeździłem z odczytami po różnych kopalniach, fabrykach. Pamiętam, bo było to w przeddzień stanu wojennego, że byłem w Azotach w Tarnowie. Głównie mówiłem o najnowszej historii. Oprócz mnie zespół tworzyli m.in. Zbyszek Solak, Janusz Nowak i wiele innych osób. Wyglądało to tak, że zjawiał się jakiś przedstawiciel zakładu i mówił, że chce u siebie taki cykl uruchomić, więc uruchamialiśmy. Odbywało się to w Krakowie, w Nowej Hucie, ale i szerzej w Małopolsce. Były też nielegalne gazetki. Miałem wtedy status doradcy NZS-u. Wydawaliśmy jednodniówki polityczno-historyczne.

MK: Potem mamy stan wojenny 13 grudnia 1981. Czy coś możesz powiedzieć o tym? Jak go pamiętasz?

RT: Niewiele. Rano mnie zbudziła żona Zbyszka Solaka, która przyjechała powiedzieć, że w nocy zabrała go bezpieka. Ja wtedy opuściłem dom, zgolilem brodę, ściąłem włosy, ubrałem okulary i zacząłem się ukrywać. Jak się okazało chyba niepotrzebnie, bo wprawdzie nikogo nie było w domu, bo żona z dziećmi przeniosła się do teściów, ale nie było jakichś śladów, żeby bezpieka przychodziła mnie internować. Prawdopodobnie nie byłem na liście.

MK: Patrząc wstecz, z perspektywy tych kilkudziesięciu lat, napisanych książek, artykułów i spotkań, czy miałbyś jakiś przepis, sposób na stan wojenny, gdyby dzisiaj go wprowadzono?

RT: Nie było szans obrony. Wojsko i milicja były ściśle podporządkowane reżimowi, opór okazał się słabszy niż zakładano, a do tego była to mroźna zima.

MK: Czy po wprowadzeniu stanu wojennego zaangażowałeś się w jakieś struktury opozycyjne?

RT: Naprzód to była tworząca się podziemna Solidarność. Powierzono mi funkcję łącznika ze środowiskiem studenckim. Bardzo szybko się do tego zniechęciłem, bo wszystko bardzo słabo działało.

MK: Później powstały Regionalne Komisje Wykonawcze podziemnej Solidarności.

RT: Tak. To były te pierwsze, jeszcze zimą. Nawiązałem kontakt w Kurią, jeździłem do Załęża, więzienia, gdzie trzymano internowanych, organizowaliśmy pomoc prawną, bo tam był głośny proces czterech śpiewaków z Załęża, którzy za śpiewanie piosenki „Zielona wrona” zostali oskarżeni o szkalowanie ustroju. Przeniesiono ich do więzienia i groziły im ciężkie wyroki. Wznowiliśmy podziemne spotkania po mieszkaniach, zaczęły się już też obchody – 1 Maja, 3 Maja, pierwsze demonstracje. Latem 1982 roku zacząłem współpracę z „Arką”, czyli dwumiesięcznikiem

podziemnym, który wychodził aż do końca komuny. Pierwszy numer wyszedł w czerwcu, a ja od lipca czy sierpnia wszedłem do redakcji i następnie wprowadziłem tam Ryszarda Legutkę i Łukasza Plesnara z uniwersytetu. Szefem, redaktorem naczelnym był Jan Polkowski. Pisałem omówienia kultury paryskiej, jakieś tam recenzje, a potem zacząłem pisać w odcinkach książkę „Dyktatura zdrady”, o powojennej historii. Współpracowałem z gdańskim pismem „Solidarność Narodu”, związanym w podziemnym Ruchu Młodej Polski, które potem przekształciło się w „Politykę Polską”, również m.in. z „Solidarnością Rolników Indywidualnych”, z którą miałem kontakt przez Wieśka Nowackiego. Zajeżdżał do mnie wieczorami, w trakcie swoich podróży po Polsce. Brał później udział w głodówce tzw. irlandzkiej (albo wolność, albo śmierć) podczas której jej uczestnicy przestali nawet pić wodę. Głódówka zaczęła się w więzieniu, potem ich przeniesiono do zamkniętego szpitala w Krakowie. Wiem, że różne osoby, w tym kard. Franciszek Macharski próbowały wpłynąć na nich, żeby głodówkę przerwali.

MK: W latach 70. Wiesiek walczył przeciwko rozrastaniu się tzw. Państwa arłamowskiego, ośrodka rządowego w Bieszczadach i z komuną tam się panoszącą, potem organizował strajk w Ustrzykach w grudniu 80 i 81, a w stanie wojennym OKOR, czyli Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników. W Krakowie pracował z Józefem Baranem i Kaśką Bielańską... Znałeś ich?

RT: Tak. Józek też u mnie bywał. To było już wtedy spore środowisko osób zaangażowanych w politykę.

MK: Jak dalej się potoczyły Twoje losy?

RT: „Arkę” wydawaliśmy, co wydawało się nam zajęciem ważnym, bo to był taki konserwatywny dwumiesięcznik, gruby, solidny. Mieliśmy z tego jakieś pieniądze, bo zaczęliśmy dostawać fundusze z Zachodu. Dość dobrze mi się wtedy powodziło. Równocześnie pracowałem w PAN-ie. Bezpieka tam naciskała na dyrektora prof. Józefa Miąso, który był zresztą wcześniej szefem organizacji partyjnej w PAN, żeby mnie zwolnił, ale on się uparł i nie zgodził. Bardzo się przyzwoicie zachował. Miałem kontakt z KPN-em, przez Ryszarda Bociana, ale poszedłem kiedyś na spotkanie z Moczulskim w jakimś mieszkaniu na Krupniczej, gdzie była też jego żona i córki. Zeszło się grono osób, które KPN chciał pozyskać, przyszedł Moczulski i przez godzinę opowiadał o aucie, które sobie kupił i którym bardzo szybko jeździ. Więc bardzo się rozczarowałem do Moczulskiego. Nie było mowy o żadnym wejściu do KPN-u.

MK: Moczulskiego poznaliśmy pod koniec lat 80-tych, chyba w 88 i zapamiętałem go z innej strony. Przyjechał do Przemysła na spotkanie Strychu Kulturalnego. Całą noc rozmawialiśmy. Napisał wtedy książkę „Rewolucja bez rewolucji” i opowiadał o miękkim podbrzuszu Związku Sowieckiego, a potem zeszedł na ordynację wyborczą. Wyobraź sobie, że potrafił tak całą noc, do świtu. Wróćmy jeszcze do pracy naukowej. Cały czas pracowałeś naukowo?

RT: Trudno powiedzieć, bo wtedy to głównie byliśmy zajęci tekstami w podziemnych wydawnictwach..

MK: Habilitację otrzymałeś w 92 roku?

RT: Tak. Właściwie kończyłem wtedy zajęcia naukowe. Pojechałem w 90 czy 91 do Warszawy do Instytutu i mówię, że zaangażowałem się w redakcję dziennika „Czas”, a to zajmuje wiele czasu i proszę, żeby mnie w związku z tym zwolnili. Ale nie chcieli, woleli żebym zostawił sobie etat i traktował go jak stypendium naukowe. Grosze tam zarabiałem w PAN-ie, ale zacząłem lepiej zarabiać w „Czasie”. Poza tym cały czas miałem wykłady z historii najnowszej u OO. Jezuitów dla młodych zakonników, a wkrótce także dla świeckich.

MK: Ale najpierw był okrągły stół i wybory czerwcowe 1989 r.

RT: Redakcja „Arki” była przeciwna umowom okrągłego stołu i kompromisom z komunistami. Ale gdy zapadła decyzja o wyborach kontraktowych brałem udział w kampanii Komitetu Obywatelskiego. Za kandydata naszego środowiska uważaliśmy Jana Rokitę, współpracownika „Arki”, co później spowodowało pewne rozczarowanie.

MK: Nowy rząd, nowe władze. Czy masz jakieś skojarzenia z tamtych czasów? Bo „Czas” powstał rok później.

RT: Wtedy namówiłem Janka Polkowskiego, że trzeba mieć jakiś wpływ na to, co się dzieje, a skoro „Arka” wychodzi raz na 2 miesiące, więc żadnego wpływu nie ma. Wiosną 1989 roku zaczęliśmy wydawać dwutygodnik „Świat”, już w zasadzie całkiem jawnie, chociaż nadal nielegalnie, bo poza cenzurą, która jeszcze wtedy działała. Pisali tam m.in. Ryszard Legutko i Jan Rokita. W końcu 89 zaczęliśmy myśleć poważnie o tym, żeby założyć dziennik. Wtedy wychodziły 3 reżimowe dzienniki w Krakowie, nadal obsadzone przez ekipę z czasów komuny. I wiosną 1990 roku udało się Polkowskiemu zdobyć pieniądze od naszych działaczy SKS-u, którzy wyjechali na Zachód i tam zostali. Poza tym znalazł szalonego przedsiębiorcę, który w to zainwestował i zaczęliśmy wydawać, od końca marca 1991 roku, dziennik.

MK: jakbyś dzisiaj odpowiedział na pytanie: Czy kompromis „okrągłego stołu” był konieczny?

RT: Wówczas przeważały opinie, że nie ma innej drogi. Z perspektywy późniejszych wydarzeń, zwłaszcza rozpadu Związku Sowieckiego, stało się jasne, że zwycięstwo „Solidarności” w 1989 roku zostało częściowo zmarnowane.

MK: Czy w okresie swojej opozycyjnej działalności miałeś okazję spotkać się z przedstawicielami antykomunistycznej opozycji z innych krajów, jakich?

RT: W 1981 roku, już w okresie działania „Solidarności” pojechaliśmy z Janem Drausem i Zbigniewem Solakiem, wówczas pracownikiem Archiwum Państwowego, a później PAN, autostopem do Paryża i Londynu. W Paryżu byliśmy w „Kulturze” i rozmawiali z red. Jerzym Giedroyciem, a także byliśmy w Libelli na Wyspie Św. Ludwika, a w Londynie m.in. na Zamku, czyli w sie-

dzibie Prezydenta RP, a także u Edwarda Raczyńskiego, byłego ambasadora i Prezydenta RP. Spotkaliśmy również przedstawicieli ukraińskiej opozycji, wydających w Londynie czasopismo „Widnowa”. Mieliśmy później z nimi różne kontakty, nawet coś tam drukowałem, oczywiście w przekładzie na ukraiński.

MK: Czy angażowałeś się w wybory samorządowe 27 maja 1990 roku?

RT: W wybory samorządowe, chyba nie za bardzo. Brałem udział w jakichś akcjach promocyjnych pierwszego prezydenta Krakowa Jacka Woźniakowskiego. Ta kampania potem okazała się mało pożyteczna.

MK: Pamiętam, że to było komentowane: uczonego, intelektualistę, historyka sztuki został prezydentem Krakowa. To ładnie brzmiało wtedy. Potrafił zarządzać skomplikowanym miastem w okresie transformacji. Był krótko, chyba rok albo dwa. Ale w 1990 roku odbyły się także wybory prezydenta Polski

RT: To opowiem jedną anegdotę z wyborów prezydenckich z 1990 roku. Otóż jest wieczór wyborczy. Telewizja i PAP, organizowały debaty polityczne. „Czas” dostał zaproszenie na wieczór wyborczy i Polkowski mnie tam wysłał. Było to na ulicy Foksal, ale nie tam, gdzie teraz jest Stowarzyszenie Dziennikarzy, tylko tam, gdzie później była wielka księgarnia na 1-szym piętrze, a wcześniej chyba Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Sowieckiej. W każdym razie w takich dużych salach zebrano zaproszonych dziennikarzy, ale także polityków, bo był tam i Kuroń, i Moczulski. Odbywał się wielki bankiet, stoły zastawione, w jednej sali kanapki i alkohole, a w drugiej duże ekrany, na których wyświetlano program telewizyjny. Stałem w drzwiach między tymi salami. W pewnej chwili, gdy nastąpiła godzina „zero” pojawiły się słupki wyników wyborczych, na tych planszach, Wałęsę i Tymieńskiego. Nikt na nie wcześniej nie zwracał uwagi, bo wszyscy pili i rozmawiali, aż nagle jakby piorun w tę salę strzelił i zaczęli się wszyscy błyskawicznie rozchodzić, rozbiegać, wyjeżdżać. Na tych słupkach nie było Mazowieckiego. Było przekonanie, że będzie II tura – Mazowiecki z Wałęsą. A był Tymieński. To był szok, piorunujące wrażenie.

MK: Napisałeś kilka książek nt współczesnej historii Polski. Wśród nich: 1/ Miecz i tarcza komunizmu. Historia aparatu bezpieczeństwa w Polsce 1944–1990, 2/ Polska w niewoli 1945–1989. Historia sowieckiej kolonii, 3/ Solidarność 1980–1989. Polska droga do wolności. Przypomnij inne ważne Twoje publikacje. Jaki tytuł miałyby 4 Twoja książka z tej serii?

RT: Jedną z pierwszych książek, z której byłem zadowolony to „Dyktatura zdrady. Polska w 1947 roku”, wydana w 1991 roku, najpierw drukowana w podziemnej „Arce” w odcinkach. Wcześniej w podziemiu wydaliśmy broszurę „Czego nie ma w podręcznikach”, której oprócz mnie autorami byli Zbigniew Solak, Janusz Nowak i Waldemar Czyż, a w pierwszym wydaniu także Adam Zagajewski. Ta książeczka miała kilka wydań w różnych podziemnych wydawnictwach. Z Januszem Nowakiem i Stanisławem Sroką wydaliśmy również podziemny przewodnik „Historyczny Lwów” – efekt kilkudniowej podróży do Lwowa w 1988 roku.

W 2000 roku wydałem monografię „Uniwersytet Latający i Towarzystwo Kursów Naukowych 1977-1981”, niestety jeszcze bez dostępu do akt bezpieki, więc szybko się zdezaktualizowała. Za tę książkę oraz za liczne artykuły naukowe, które w tym czasie publikowałem, dostałem tytuł profesora, tzw. belwederskiego. W 2002 roku wydałem książkę „Profesorowie UJ w aktach UB i SB”, która powstała dzięki możliwościom jakie od 2001 roku dawał IPN, wtedy jeszcze skromnego dostępu do archiwum bezpieki, wciąż zarządzanego przez jej funkcjonariuszy.

W 2007 roku wydałem książkę „Miecz i tarcza komunizmu. Historia aparatu bezpieczeństwa w Polsce 1944-1990”, która miała później drugie wydanie i za którą dostałem jakąś prestiżową (a także finansową) nagrodę. W 2010 roku ukazała się moja „Solidarność 1980-1990. Dekada nadziei” (też miała dwa wydania), a w 2015 roku „Polska w niewoli. Historia sowieckiej kolonii”. Najwyższy czas, aby wydać kolejną książkę: będzie to „Polskie Państwo bez Ziemi” o polskiej powojennej emigracji politycznej.

MK. Byłeś także dziennikarzem, publicystą, redaktorem.

RT: W latach 90-tych zajmowałem się także dziennikarstwem i po wyjściu z podziemia wraz z redakcją „Arki” tworzyliśmy dziennik „Czas Krakowski”, w którym w latach 1990-1992 byłem zastępcą redaktora naczelnego. Z kolei w latach 1996-1998 byłem redaktorem naczelnym dziennika „Nowiny” w Rzeszowie. W 1998 roku zostałem wybrany do Rady Miasta Krakowa i musiałem Rzeszów porzucić. Ale nie Podkarpacie, bo od 2002 roku uczyłem w Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu. W 2001 roku powstał IPN i objąłem funkcję naczelnika Biura Edukacji Publicznej Oddziału IPN w Krakowie, a w 2006 roku zostałem dyrektorem Oddziału Krakowskiego IPN (po Januszu Kurtyce, który został prezesem IPN). W tym czasie uczyłem też nadal u OO. Jezuitów w Ignatianum, a gdzie przez parę lat byłem nawet prorektorem. W związku z tą pracą wspólnie z Janem Drausem napisaliśmy i wydali w 2005 roku podręcznik „Historia Wychowania. Wiek XIX i XX”.

Miałem też zajęcia na Studiach Podyplomowych UJ, na Uniwersytecie Jana Pawła II, a nawet w prywatnych szkołach, a ponadto wiele pisałem do gazet. Od 1995 roku do dziś mam cotygodniowy felieton, a właściwie komentarz polityczny w „Głosie. Tygodniku Nowohuckim”, a w latach 2007-2008 i 2012-2024 pisałem cotygodniowy felieton w krakowskim „Dzienniku Polskim”.

MK: Czy w tym czasie zacząłeś zajmować się polityką już zawodowo?

RT: Te liczne prace nigdy nie ograniczyły mojego zaangażowania politycznego. W okresie pracy w „Czasie Krakowskim” prowadziliśmy ostro kampanię prezydencką Lecha Wałęsy, wspieraliśmy Porozumienie Centrum (z Janem Polkowskim spotkaliśmy się z Jarosławem Kaczyńskim w 1990 roku) i bardzo radykalnie domagaliśmy się dekomunizacji. W 1990 roku razem z Janem Franczykiem (psychologiem i historykiem), członkiem redakcji, założyliśmy Partię Republikańską, pozyskaliśmy do niej kilkudziesięciu członków i nawet dostaliśmy od władz miasta jakiś skromny lokal. Redaktor naczelny był z tego powodu niezadowolony, ale wkrótce przekonał się do partyjnego pomysłu i razem z podobnymi grupami w Warszawie, Gdańsku i Bielsku Białej,

a także Partią Konserwatywną, utworzyliśmy Koalicję Republikańską. Jej szefem został Michał Wojtczak z Poznania, a należeli do niej m.in. Maciej Płażyński, Arkadiusz Rybicki, Jarosław Sellin. W wyborach parlamentarnych w 1991 roku kandydowałem „na jedyńce” z listy Koalicji, ale nie zdobyliśmy żadnego mandatu. Rozczarowany nieudolnością liderów, wraz z przyjaciółmi z Krakowa opuściliśmy tę sympatyczną, ale rozbrajająco nieskuteczną partię i gdzieś w połowie 1992 roku zgłosiliśmy akces do Partii Chrześcijańskich Demokratów (PChD).

W porównaniu z poprzednią partią była to potęgą, bo miała 4 posłów i 3 senatorów. Jej przewodniczącym był Paweł Łączkowski, wicepremier w rządzie Anny Suchockiej. Zostałem szefem tej partii w Krakowie i w 1993 roku, znów z jedyńki kandydowałem do Sejmu w ramach Katolickiego Komitetu Wyborczego „Ojczyzna”. Ponieważ nasi liderzy nie chcieli kandydować z jednego komitetu, ale uparli się przy koalicji, „Ojczyzna” chociaż dostała 6,37 procent głosów, nie dostała się do Sejmu, bo próg wyborczy dla koalicji wynosił nie 5, ale 8 procent.

PChD była znów bardzo sympatyczną partią i nawet bardzo chciała tworzyć szeroki blok prawicy, pod warunkiem jednak, że pod swoim przywództwem. Ponieważ inni liderzy małych partii myśleli podobnie, o politycznej skuteczności nie było co marzyć. W 1997 roku powstało Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe (SKL) i wydawało się, że ma szansę jednoczyć rozproszoną prawicę. Wraz z grupą przyjaciół opuściliśmy PChD i przyłączyliśmy się do SKL, a ja w 1998 roku zostałem radnym miasta Krakowa. Należeliśmy do klubu AWS, ale szybko okazało się, że SKL powoli stacza się w kierunku Platformy Obywatelskiej. Gdy stało się to faktem poparliśmy rozłam w SKL i zaczęliśmy szukać kontaktu z Prawem i Sprawiedliwością. Ja zresztą, od 2001 roku, zatrudniony w IPN, nie mogłem formalnie należeć do partii politycznej. W każdym razie udaliśmy się najpierw do Zbigniewa Wassermanna, a gdy to nie przyniosło żadnego skutku, do Zbigniewa Ziobry. Obaj deklarowali wielkie zainteresowanie współpracą z nami, ale na tym urywał się kontakt. Drogę do PiS otworzył mi dopiero Ryszard Legutko, wówczas senator, który umożliwił mi kontakt z Jarosławem Kaczyńskim.

W 2006 roku jako kandydat bezpartyjny, popierany przez PiS, kandydowałem w wyborach prezydenta Krakowa i nawet pokonałem kandydata PO i wszedłem do drugiej tury, ale przegrałem z urzędującym prezydentem Jackiem Majchrowskim. Ponieważ kandydując na prezydenta musiałem też kandydować na radnego, po raz drugi znalazłem się w Radzie Miasta Krakowa, tym razem w klubie PiS, ale jako bezpartyjny dyrektor oddziału IPN.

MK: Jak to się stało, że zostałeś posłem? Okres XXI wieku możemy podzielić a przed katastrofą smoleńską i śmiercią prezydenta Lecha Kaczyńskiego 10 kwietnia 2010 r., z okresem naszych rządów w 2005-2007 r. i po, kiedy to PiS rządził w latach 2015-2023.

RT: Początek poważnej polityki miał jednak miejsce jesienią 2007 roku, gry w wyborach parlamentarnych zostałem wystawiony na krakowskiej liście PiS (jako trzeci, po Zbigniewie Ziobrze i Zbigniewie Wassermannie) i zostałem wybrany posłem. Wówczas wstąpiłem do PiS, a stało się to w czasie, gdy partia znalazła się w opozycji. Pierwsze lata tej kadencji były pracowite (szefem Klubu Parlamentarnego PiS był Przemysław Gosiewski, bardzo sprawny, czasem aż za bardzo,

organizator działalności posłów), ale równocześnie wypełnione rozmaitymi imprezami, wyjazdowymi posiedzeniami Klubu, towarzyskimi spotkaniami. Przerwała to wszystko 10 kwietnia 2010 roku katastrofa samolotu rządowego, w którym oprócz Lecha Kaczyńskiego, Prezydenta RP i jego małżonki, zginęła liczna grupa naszych politycznych przyjaciół, w tym posłów i senatorów. Od pierwszych godzin po katastrofie większość z nas była przekonana, że przyczyną był zamach, za którym stała Rosja, a może także jej polscy pomocnicy.

Okres żałoby, a równocześnie kampanii prezydenckiej (kandydował Jarosław Kaczyński) spędzałem w objazdach, m.in. Jarkobusem. Był to czas, kiedy Prawo i Sprawiedliwość zmarnowało swoją wielką szansę. Po Smoleńsku zgłaszali się do nas ludzie poruszeni tą tragedią i gotowi zaangażować się politycznie po naszej stronie. Przede wszystkim gotowi byli przeciwstawić się kampanii kłamstw i podłości, jaką prezentowały ówczesne władze. Takich osób były tysiące, ale PiS nie był organizacyjnie zdolny do tego, aby ich przyjąć i w ten sposób odnowić i odmłodzić swoje kadry. Nasza partia, dysponująca przecież ogromnym społecznym poparciem, nie wykorzystwała tego wielkiego ruchu, zrodzonego z żałoby i z oburzenia na postępowanie rządu Platformy i PSL.

W przegranych przez nas wyborach 2011 roku ponownie zdobyłem mandat poselski, a czteroletnia kadencja charakteryzowała się intensywną ofensywą polityczną, której rezultatem była seria zwycięstw w latach 2015-2023, zapoczątkowana zwycięskimi wyborami prezydenckimi (Andrzej Duda) oraz parlamentarnymi, w których po raz trzeci uzyskałem mandat poselski. Z rekomendacji Jarosława Kaczyńskiego, prezesa PiS, jesienią 2015 roku objąłem funkcję szefa zwycięskiego Klubu Parlamentarnego PiS oraz równocześnie wicemarszałka Sejmu. Tym samym znalazłem się w Prezydium Komitetu Politycznego PiS, czyli w najwyższych władzach partii. Po raz czwarty zostałem wybrany posłem w wyborach w 2019 roku i nadal pozostawałem szefem Klubu i wicemarszałkiem.

Był to czas naszych ośmioletnich sukcesów, zwłaszcza w rozwoju gospodarczym Polski oraz podniesieniu poziomu życia jej obywateli. Wygraliśmy wszystkie wybory: dwa razy wybory parlamentarne, dwa razy wybory prezydenckie, dwa razy wybory samorządowe i dwa razy wybory europejskie. Wreszcie w wyborach 2023 roku kandydowałem tym razem z okręgu nowosądeckiego i po raz piąty zdobyłem mandat poselski. Wprawdzie zdobyliśmy najwięcej głosów, ale wszystkie pozostałe partie sprzymierzyły się przeciwko nam i PiS utracił władzę. Po ośmiu latach przestałem pełnić funkcję szefa Klubu (został nim Mariusz Błaszczak) oraz wicemarszałka (zwycięska koalicja uniemożliwiła objęcie funkcji wicemarszałka Elżbiecie Witek, dotychczasowej marszałek Sejmu). Utrata władzy przez PiS sprawiła, że Polska znalazła się w katastrofalnym położeniu, zagrożona utratą suwerenności, gospodarczym zastojem i lewackimi eksperymentami. Ale nie ustaniemy w walce o pomyślną przyszłość dla naszej Ojczyzny. Dopóki żyjemy.



Podczas debaty o przyszłości Europy. Rozmawiają: Przemysław Żurawski vel Grajewski, Ryszard Terlecki, Olena Kondratiuk (Ukraina), Emanuelis Žingeris (Litwa), Władimir Ponomariow (Rosja), Konferencja „Europa Karpat” Krasiczyn - Jaremcze 2022

ZYGMUNT KOZICKI



**Rozmowa Marka Kuchcińskiego z Zygmuntem Kozickim,
24 sierpnia 2024 r.**

Marek Kuchciński, redaktor Archiwum Wolności, polityk, działacz opozycji w PRL

Zygmunt Kozicki, działacz opozycji lat 70.tych, 80.tych, funkcjonariusz i urzędnik państwowy 1997-2022

Lata 1970

- Marek Kuchciński: Jesteśmy w Ustrzykach Dolnych, 24 sierpnia 2024 r. u Zygmunta Kozickiego. Zygmunt, urodziłeś się 15 lutego 1957 roku w Ustrzykach Dolnych. Masz bogatą działalność opozycyjną, bardzo ciekawe przeżycia, niektóre związane z pracą po 1989 roku i chcielibyśmy o tym rozmawiać. O Twoim życiu, twórczości, wspomnieniach, ocenach wydarzeń politycznych, o których warto byłoby wspomnieć nawet anegdotycznie, o emocjach, jakie towarzyszyły tej działalności, słowem o Tobie i Twojej działalności. Czy mógłbyś kilka słów powiedzieć najpierw o rodzinie, dzieciństwie, młodości?

- **Zygmunt Kozicki:** Urodziłem się w Ustrzykach Dolnych, ale dzieciństwo i młodość spędziłem w pobliskiej wsi Olszanicy. Z Ustrzykami jestem związany poprzez obecne moje zamieszkiwanie tutaj, ale też poprzez naukę w ukończonym w 1976 roku Liceum Ogólnokształcącym. Przystąpiłem do egzaminów w Krakowie na Wyższej Szkole Pedagogicznej, ale niestety oblałem egzaminy, no i rok 1976 miałem wolny, a był to okres, kiedy obowiązkowa służba wojskowa zaglądała każdemu w oczy. Więc postanowiłem pójść do pracy na kolej, która rzekomo miała odraczać od służby wojskowej, co się okazało nieprawdą. W związku z czym zapisałem się do szkoły w Łańcucie. Przedziwna to była szkoła, bo to było średnie studium zawodowe dla pracujących, wieczorowe, zaoczne i jeszcze jakieś tam. To był taki dokształ. Oczywiście zataiłem, że mam maturę, tylko dałem świadectwo z podstawówki, którą skończyłem w 72 roku i w podaniu napisałem, że zamierzam kształcić się dalej. No i zostałem tam przyjęty. Po pierwszej lekcji, poszedłem do dyrektora i mówię, że jestem po maturze i czy mógłbym przyjeżdżać tylko na egzaminy. A czegoś Pan na studia nie poszedł? Odpowiadam, że oblałem egzamin i wojsko mnie ściga. - Dobra, mówi dyrektor, to ja dam Panu zaświadczenie, że jest Pan już na trzecim semestrze, żeby Pana nie ruszyli. Więc napisał mi, że jestem słuchaczem trzeciego semestru, był to kierunek społeczno-prawny, taki był profil tych moich nauk. Później już nie poszedłem nawet na egzaminy, bo zostałem odroczoney do poboru jesiennego 81. W następnym roku, 1977, pracując na kolei przygotowywałem się do egzaminów na studia. Na kolei pracowałem w Krościenku na stacji PKP. Nauczyłem się przedstawiać semafony, zwrotnice i obłożony byłem książkami, bo musiałem nauczyć się mnóstwa przepisów kolejowych, taryf celnych europejskich państw, jako przyszły dyżurny ruchu. Oczywiście uczyłem się, ale do egzaminów...

- To było przejście kolejowe ze Związkiem Radzieckim?

- Tak, jak przejeżdżały pociągi do Przemysła, sezonowo też do Warszawy, czyli przekraczały granicę z ZSRR. Wykonywało się telefon na stację po stronie ukraińskiej, były kolejarские formuły o zgodę na przejazd i tak dalej, i pociąg jechał. Towarowe jechały z Zagórza w nocy, ale do Przemysła razem z pasażerskim jechały też przyczepy. W sezonie letnim kursował pociąg Warszawa-Zagórz. Ludzi jeździło sporo, ja na studia jeździłem do Lublina tym pociągiem, a jechało się kilka godzin, to trzeba było czasem wsiadać w Uhercach, żeby miejsce zająć, bo w Ustrzykach często miejsca już nie było.

Przez granicę jechało się około dwóch godzin, z Krościenka do Malhowic. Pociąg jechał bardzo wolno. Starzawa (Stariava), to chyba jest pierwsza stacja po stronie ukraińskiej, a ostatnia to Niżankowice, ale... Przez Chyrów, przez Dobromil, za Niżankowicami był już Przemysł i dalej do samego Lublina. Po sowieckiej stronie na stopniach wagonów cały czas stało po trzech żołnierzy z każdej strony i dowódca, który chodził po pociągu i pilnował, żeby niczego nie wyrzucać. Początkowo nie wolno było nawet okien otwierać. Później to już złagodźli, więc ludzie mogli otworzyć okno, wychylić się i zobaczyć. Czasami się zdarzało, że ktoś coś rzucił, jakieś cukierki dzieciakom. Pociąg wtedy był zatrzymywany natychmiast. I leciał żołnierz, zabierał. Raz byłem świadkiem takiego wydarzenia.

- Czy zapamiętałeś z czasów szkoły średniej jakieś ciekawe wydarzenia, które miały wpływ na Twoje życie, zainteresowanie na przykład działalnością humanistyczną, historią?

- Wiesz, to było tak, że z przedmiotów ścisłych byłem dosyć słaby, więc kierunek studiów to już wyznaczyłem. Jestem humanistą. Polonistyka, była to dla mnie troszeczkę za nudna, więc jak gdyby drogą eliminacji, to historia, którą się trochę interesowałem, nie było to jakieś szczególne zainteresowanie, ale była mi bliska. A później to historia współczesna, głównie to, co się działo od rewolucji październikowej. Czytałem dużo literatury, paryską kulturę, paryskie i londyńskie wydawnictwa historyczne, literaturę piękną. Na UMCS nie dostałem się na historię, bo mi punktów zabrakło, ale powstawał nowy kierunek, bibliotekoznawstwo i informacja naukowa. I zaproponowano mi ten kierunek, zgodziłem się i już mnie później wojsko nie brało. A po roku UMCS-u, żeby ominąć studium wojskowe, przeniósłem się na KUL, na drugi rok historii. Musiałem pozaliczać niektóre przedmioty dodatkowo.

- Z kim wtedy studiowałeś?

- Był Wojtek Górski, kolega z ogólniaka, Romek Górski z Zamościa, który wyemigrował do Stanów. Oni studiowali historię. Jurek Adamczuk, Andrzej Nastula, Marian Piłka, to byli ludzie, z którymi się zetknąłem na pierwszym roku i którzy już działali, no i wciągnąłem się. Z Januszem Krupskim, był asystentem, miałem zajęcia z historii współczesnej, chyba od trzeciego roku. Już wtedy działałem w „Spotkaniach”.

- A kto Cię wciągnął do Spotkań?

- Jak się przeniósłem na KUL spotkałem Krzyśka Żurawskiego, Wojtka Samolińskiego, oni byli związani ze „Spotkaniem”, więc siłą rzeczy z nimi zaczęła się moja przygoda z grupą tworzącą „Spotkania”. Wita Wójtowicza też tam poznałem, on był drukarzem, studiował historię sztuki. Także Jasia Stepka.

- W 1975 albo 76 roku Janek Stepek poznał mnie w Sanoku ze Zdzisławem Beksińskim, rok przed jego wyjazdem do Warszawy. Byliśmy u niego w pracowni w Sanoku. Wrażenie miałem przygnębiające, malarz śmierci, psychiczne zimno, jego twórczość mnie absolutnie nie przyciągała...

- Mnie to samo. Ja po prostu, nawet jak znajomi przyjeżdżają, żeby zobaczyć w muzeum jego obrazy, siedzę na zewnątrz, to jest mroczne, to jest po prostu takie odrzucające.

- Ale wtedy, już w 1975 roku Janek Stepek mówił, że to będzie jeden z największych malarzy, znanych w Europie... Nie wierzyłem. Myślałem, że żartuje, nie zdążyłem go spytać skąd miał to przekonanie, a szkoda, bo rzeczywiście miał rację. Ale w jakich okolicznościach poznałeś Janka Stepka?

- On po studiach wyjechał do Sanoka i pracował w skansenie. I potem w pewnym momencie, jak rozkręcał się ruch wydawniczy, to postanowił wrócić do Lublina z żoną Iloną i z Karoliną, córką. No i jak wynajęli mieszkanie, to Jasiek od razu wziął się za drukowanie, za całą tę robotę wydawniczą i redagowanie kwartalnika „Spotkania”. On interesował się sprawami ukraińskimi, polsko-ukraińskimi, więc pisał tam swoje artykuły. No i później oczywiście znajomość z Januszem Krupskim, świętej pamięci, z Witem Wójtowiczem, bardzo go lubiłem, pogodny

człowiek.

- W Lublinie był na KUL-u łatwiejszy dostęp do literatury bezdebitowej niż na innych uczelniach.

- Odkąd zaangażowałem się w kolportaż, bo kierowałem całym kolportażem Spotkań w okresie Solidarności, ale i przed, to bibuła przejeżdżała głównie na moich plecach z Warszawy, z Krakowa. To, co w Lublinie kolportowałem, to była część pracy.

- Na jakim terenie zajmowałeś się kolportażem?

- Lublin i okolice. Chociaż też posyłałem do Szczecina, Wrocławia, Poznania. Na KUL-u studioowało wielu ludzi z całej Polski. Studiowali ludzie ze Szczecina, Białegostoku, Wrocławia, w sumie z całej Polski. Więc ci, którzy chcieli, to zabierali ode mnie jakąś część nakładu Spotkań czy innych wydawnictw i zawozili do swoich miejscowości. Stamtąd przywozili to, co było wydawane w ich miastach. Oczywiście to wszystko było robione w konspiracji. Dzięki temu miałem dostęp do różnej bibuły. Oprócz tego poznałem już świętej pamięci Andrzeja Paluchowskiego, dyrektora Biblioteki Kulowskiej, z którym tak się zgadłem, że on miał u mnie egzemplarz tak zwany obowiązkowy każdej bibuły. Oczywiście, jeżeli miałem tylko jeden egzemplarz, to ja brałem, bo zbierałem druki bezdebitowe od początku, jak tylko zaczęły się te wydawnictwa pokazywać, dla mnie to było coś bardzo ważnego. Zbierałem, trzymałem po różnych domach u ludzi, żeby to mi nie wpadło, bo rewizje robiono, szukano bibuły, konfiskowano. Więc w różnych miejscach ją trzymałem i ciągle zbierałem. A Paluchowski odwzajemniał się przywożąc z podróży zagranicznych wydawnictwa paryskie czy londyńskie.

- Wróćmy jeszcze do lat 70. i do kolporterów Spotkań, jak ta praca wyglądała?

- Zacząłem kolportaż od tego, że zacząłem brać bibułę od Wojtka Samolińskiego i Krzysia Żurawskiego i rozprowadzać wśród znajomych. Z czasem były większe ilości, ponieważ już miałem coraz więcej ludzi, którzy chcieli kupować i czytać zakazane przez komunę wydawnictwa. Jak zaczęła się Solidarność, to uzyskaliśmy zgodę NOWEJ, żeby zapasy magazynowe pism, które były w kolportażu rozdać za darmo: „Głos”, „Robotnik” i inne. Wtedy znałem już działaczy w niektórych zakładach, którym przynosiłem bibułę, żeby podsycać ten ogień buntu w zakładach pracy, bo to był lubelski lipiec `80., a później przejąłem całość kolportażu, rozwinąłem nowe kontakty... Tak było do grudnia 81, kiedy mnie zamknęli, z tym, że wtedy z drukiem było o wiele prościej, bo w Zarządzie Regionu drukowaliśmy już „Spotkania”, chyba od końca 80 roku.

- Czy w latach 70. przerzucałeś jakieś egzemplarze Spotkań i swoich wydawnictw na Podkarpacie, do starego województwa krośnieńskiego, przemyskiego, rzeszowskiego? Bo po stanie wojennym mieliśmy całkiem spory dostęp do tych wydawnictw nie tylko przez struktury podziemnej Solidarności, czy OKOR, ale też przez np. Marcina Dybrowskiego. Chociaż Spotkania i Mackiewicza to nie pamiętam skąd dostawaliśmy, może od Janka Stepka?

- W latach 70. to były pojedyncze egzemplarze Spotkań. Kolportażu tutaj nie zacząłem, ale po stanie wojennym i wcześniej może trochę, zaczął go mój brat, był młodszy, chodził do ogólniaka w Ustrzykach i m.in. jeden z nauczycieli, Kazimierz Hesko-Kołodziński brał od niego bibułę. Uczył chemii,

już nie żyje, bardzo porządna postać. To było tuż przed stanem i w stanie wojennym. Wyrzucili go z pracy za to, że nosił znaczek Solidarności w stanie wojennym, więc później tylko udzielał korepetycji i do końca życia żył z korepetycji. Kolportaż, który robił brat i potem siostra, rozwijał się. To nie był duży kolportaż, kilka, kilkanaście egzemplarzy. Na większą skalę kolportażem zająłem się rozwijając kontakty z ludźmi z Krakowa, z Wrocławia, ze Szczecina, z Warszawy, z Białegostoku czasem z Siedlec. Ludzie, którzy tam drukowali przewozili swoje wydruki, ja dawałem im swoje, zamienialiśmy się. Powstawała w ten sposób sieć niezależna od nikogo, mówiąc trochę dzisiejszym językiem - ani od wschodu, ani od zachodu.

Lata 1980

- Czy to była struktura niezależna w latach 80-tych, także od Solidarności, czy związana z nią?

- Ja nie byłem ani członkiem NZS-u, ani Solidarności, ale współpracowałem z nimi. Dostarczałem im bibułę, bo tam od razu powstały biblioteki Solidarności i NZS-u. A więc te książki, które kolportowałem to im dostarczałem. Przede wszystkim zajmowałem się kolportowaniem bibuły po zakładach pracy, uczelniach i do odbiorców indywidualnych.

- W działalności opozycyjnej zajmowałeś się wydawnictwami. Prowadziłeś aż trzy wydawnictwa równocześnie, to chyba jedyny taki przypadek w ówczesnej Polsce. Jak one działały? Kto był w to zaangażowany? Przyjaciele, rodzina?

- Było takie przedsięwzięcie rodzinne pod tytułem Wydawnictwo Respublika i wydawaliśmy tam głównie książki. Broszury i książki. Drukowaliśmy techniką sitodrukową i nakłady były spore, bo 2,5 tysiąca, 2 tysiące, a to była ręczna robota, drukowanie każdej kartki pojedynczo.

- W którym roku ono zostało założone?

- W 1986. A do tego czasu pracowałem w Spotkaniach. Było wydawnictwo Spotkania i pismo „Spotkania”, bo to trzeba odróżnić. W Wydawnictwie Spotkania ukazywały się książki, a kwartalnik był nieregularny, bo różnie bywało: czasami jakaś rewizja, czasami coś innego. W pewnym momencie musieliśmy przenieść drukowanie do Zagnańska, do Maćka Sobieraja, bo w Lublinie jeden nakład matryc wpadł i miejsce do drukowania też zostało zdekonspirowane, więc koledzy wywieźli powielacz do Zagnańska i tam drukowali. Zagnańsk jest na trasie z Kielc do Krakowa, w Świętokrzyskim. Tam niedaleko rósł dąb Bartek, bo nie wiem, czy rośnie jeszcze. I tam mieszkał Maciek Sobieraj, który potem w IPN-ie lubelskim pracował, teraz już chyba emeryt, był starszy ode mnie, on też studiował na KUL-u. Więc do 1986 roku pracowałem dla Biblioteki Spotkań i „Spotkań” kwartalnika. Później założyliśmy własne wydawnictwo Respublika, z Mariuszem Szyszko, jego żoną Jadwigą, a moją siostrą, z bratem Piotrem Kozickim i z bratem szwagra Grzegorzem, to była nasza piątka. Później postanowiliśmy wydawać również książki Józefa Mackiewicza.

- No właśnie, to ciekawe. Dwa wydawnictwa?

- Tak, ponieważ chcieliśmy wydawać Mackiewicza, a wtedy Mackiewicz nie u wszystkich cieszył

się popularnością. Z jednej strony był popularny, ale Ośmiornica, czyli Fundusz Wydawnictw Niezależnych, nie chciała dawać pieniędzy na druk jego książek.

- Dlaczego? Była anty...?

- Mackiewicz był antykomunistyczny i antykościelny, no powiedzmy dwie jego książki: „Watykan w cieniu Czerwonej Gwiazdy” i „W cieniu Krzyża”. Był także antypiłsudczykowski: „Lewa wolna”, „Zwycięstwo prowokacji”, pisał też przeciwko tym wszystkim Znakom, Pax-om i tak dalej. Więc on był zwalczany przez różne środowiska, głównie przez lewicową część opozycji, która miała dostęp do finansów.

- On nawet twierdził, że należy z Niemcami się dogadać.

- Tak, tak. No w każdym razie pióro znakomite, powieści jego do dzisiaj mam. Dlatego postanowiliśmy je wydawać...

- Ale w tym samym składzie?

- W tym samym składzie. Były dwa wydawnictwa w jednym mieszkaniu, raz robiliśmy to, raz robiliśmy tamto.

- A gdzie drukowaliście?

- Naprzeciwko Kina Kosmos w Lublinie, to była chyba ulica Długosza, krzyżowała się z ulicą Róży Luksemburg, przy Raławickiej, z której schodziłeś do Ogrodu Saskiego. Tam był trzypiętrowy dom i u jednego gościa wynajęliśmy mieszkanie, kawalerkę, on był akurat instruktorem jakichś sportów walki w Dęblinie, żołnierzy, lotników, jakieś zajęcia sportowe dla nich organizował, a nam wynajął kawalerkę, bo nawet w niej nie mieszkał. Nie wiedzieliśmy, że piętro pod nami mieszka generał Naręgowski, generał milicji, w służbowym mieszkaniu. Chodziliśmy tam drukować, była pełna konspiracja, a dowiedzieliśmy się o tym sąsiedztwie, gdy już była końcówka podziemia, już wiadomo było, że okrągły stół się ma zacząć, jesień osiemdziesiąt osiem chyba. Chociaż nie sądziliśmy, że zmiany nastąpią tak szybko. Jak Naręgowski się wyprowadził, to zaczęli zakładać w tym bloku telewizję kablową. Wcześniej nie mogli, bo to jakoś szkodziło natychmiastowej łączności z Warszawą, którą on miał. Wtedy się dowiedzieliśmy, że drukowaliśmy nad mieszkaniem tego generała. I to było wydawnictwo, Oficyna imienia Józefa Mackiewicza i Respublika.

- Ile książek Mackiewicza wydaliście? Do Przemysła niektóre z nich docierały.

- Kilkanaście, m.in. „Zwycięstwo Prowokacji”, „W Cieniu Krzyża”, „Droga Pani”. „Fakty, przyroda i ludzie”. Wydaliśmy też Szymona Szechtera „Szechterezadę”. Ale jeszcze zanim doszliśmy do oficyny, to po wyjściu z więzienia, z internatu z Wieśkiem Ruchlickim założyliśmy Wydawnictwo Wademecum. To było pierwsze wydawnictwo, bo już w więzieniu obiecałem sobie, że za każdy tydzień odsiadki wydam w komunie jedną książkę. I po prostu zaczęliśmy z Wieśkiem to robić. Potem wydaliśmy „Dialog za drutem kolczastym” Czornowiła i Pensoną, Serebriakowej „Huragan od wschodu”, czy jakoś tak, tytułu już nie pamiętam. Po jakimś czasie Wiesiek związał się z Tomkiem Pietrasiewiczem i oni przejęli to wydawnictwo, bo ja razem ze szwagrem założyłem wydawnictwo Respublika. Czyli Wademecum było pierwsze, potem powstała Respublika i Oficyna

na im. Józefa Mackiewicza.

- Jak długo siedziałeś w więzieniu?

- Od 13 grudnia 1981 do 15 listopada 1982.

- To byłeś chyba jednym z ostatnich więźniów.

- Potem jeszcze paru wyszło.

- Janek Ekiert z Przemyśla, on wyszedł chyba w grudniu.

- To już była końcówka.

- A to jest wydawnictwo Vademecum.



- Tak. Jest antydatowane, bo daliśmy 1981 rok, że to jeszcze niby za Solidarności wyszło, ale to było drukowane w stanie wojennym, no i wydawnictwo - że w Szczecinie wydane, dla zmylenia przeciwnika. A to było wydane w Lublinie, sitodrukiem, we dwóch robiliśmy z Wieśkiem Ruchlickim. Ten sitodruk był dobrej jakości, bo tekst jest nadal czytelny. A to jest wszystko na farbach wodnych. Na paście Komfort, która była nośnikiem farby drukarskiej, plakatówki i innych. To jakby zamoczył, to druk zejdzie, bo się zmyje. Użycie pasty Komfort, to był pomysł świętej pamięci Adama Kerstena, profesora historii na UMCS -sie, który wymyślił, żeby pastę Komfort, która służyła na co dzień do prania, użyć jako nośnika. Stąd nazywaliśmy Adama: Lord Komfort. A później zaczęliśmy przedrukowywać inne książki, na przykład te...

- A to już wydawnictwo Respublika.



- Jako wydawnictwo Respublika wydaliśmy kilkadziesiąt tytułów, a ta tutaj, to była największa nasza praca: „Utopia u władzy”.

- Na tylnej okładce jest znak waszego wydawnictwa?

- Tak, Respubliki. I „Utopię...” wydaliśmy w nakładzie dwa tysiące. Dwa tomy, po trzysta stron chyba każdy.

- „Utopia u władzy”, to znana książka Michała Hellera i Aleksandra Niekricza. Mam ją w swoich zbiorach.

- A tutaj „KONTAKT”, oryginał wychodził w Paryżu staraniem Mirka Chojeckiego, a my wydawaliśmy wybory artykułów z poszczególnych numerów w porozumieniu z nim.

- Miesięcznik „KONTAKT”.

- I dokonywaliśmy przedruki, otrzymywaliśmy tam za to jakieś wsparcie finansowe. Współpracowaliśmy też z wydawnictwem KONTRA - czyli Niną Karsow, otrzymywaliśmy od nich też pieniądze na wydawanie książek Józefa Mackiewicza.

- A Respublika? Specjalizowaliście się w jakichś wydawnictwach?

- Staraliśmy się wydawać historyczne pozycje, ale też literaturę piękną. Na przykład Włodzimierza Wojnicza „Opowiadania”. Tutaj jest spis tego, co wydaliśmy w Respublice. Jak to się uda sfotografować, to zrób zdjęcie.



- W książce „Pod Czerwoną Gwiazdą”.

- Była też seria Konfrontacje. Też robiliśmy przedruki. A z tyłu spis tego, co dotychczas, do momentu wydania tej książki wydrukowaliśmy. Zygmunta Haupta „Pierścień z papieru”, to literatura piękna. Potem Jakub Karpiński, „Taternictwo nizinne”, jego wspomnienia z 68 roku. No i Heller, Niekricz, Singera wydaliśmy „Ostatni Demon”, opowiadanie. I z „KONTAKTU” Mirka Chojeckiego. Wybieraliśmy naszym zdaniem najciekawsze artykuły. I to się zamieszczało. Technika była taka, że mieliśmy dobrego fotografa, który fotografował oryginał. Następnie umieszczał na kliszach, na diapozytywach tekst. Potem trzeba było na drewnianą ramkę naciągnąć specjalny materiał o gęstości 110 nitek na 110 w centymetrze kwadratowym. Ten materiał pokrywany był emulsją światłoczułą Ulano lub Sericol, i naświetlało się te diapozytywy.

- Czyli technika sitodrukowa

- Tak, sitodrukowa. I następnie tam, gdzie się naświetliły litery emulsja była wyplukiwana a pozostała część była nieprzepuszczalna i robiło się sito. I później na tę ramkę nakładaliśmy farbę i rozprawdzaliśmy raklem, który jeszcze mi do dzisiaj tutaj towarzyszy. To było coś takiego, kawałek deski, w środku wpuszczona guma i tym przeciskało się farbę na leżący pod ramką papier.

- Wydaliście także z biblioteki Spotkań księdza Bonieckiego o budowie kościołów?

- Tak, „O budowie kościołów w diecezji przemyskiej”, reportaże opowiadają o czasach, kiedy biskupem przemyskim był Ignacy Tokarczuk, któremu komuna za jego nieprzejednaną postawę nie udzielała zgody na budowanie nowych świątyń. Więc bp. Tokarczuk budował bez zgody komuny. Książka została wydrukowana w Warszawie w jakiejś państwowej drukarni, oczywiście potajemnie. Następnie organizowałem przerzut wydrukowanych kart papieru w formacie A3, które zapakowane były w pudła i przetrzucaliśmy je do Lublina. Umieściliśmy to w konwikcie, dla niezorientowanych konwikt to akademik księży studiujących na KUL-u. Obok konwiktu, w budynku poligrafii kulowskiej, gdzie była sala, w której za dnia odbywały się zajęcia a wieczorem wchodziliśmy my, rozkładaliśmy to wszystko i trzeba było składać, zszywać, kleić i później od razu obcinać na gilotynie. I tak przez kilka nocy. W dzień oczywiście szło się na zajęcia.

- Jaki nakład?

- Cztery tysiące, to pamiętam.

- Ho, ho, ho...

- To była niesamowita robota. To były szesnastki, więc na karcie A3 było szesnaście tych stroniczek.

- W takiej wielkości również pismo SPOTKANIA wychodziło.

- Nie, wychodziło w A4.



- Ja mam duże formaty, ale także takie małe, połowa z A5.

- To były reedycje paryskie. Oryginalne „Spotkania” miały format A4. Wychodziły w nakładzie 1000 do 1500 egzemplarzy i były drukowane na powielaczu.

- Numer dwanaście na piętnaście „Spotkań”.

- To ten numer, potrójny, dwieście dziesięć ponad stron miał. A sprawdź, bo jestem ciekawy?

- Czekaj, sprawdzimy, 240. Takie też docierały do Przemysła.

- Ten był potrójny, duży. Inne były mniejsze. Przy

produkcji jednego z tych numerów „Spotkań” była ciekawa historia, bo z kolegą i z jego dziewczyną pojechaliśmy za Chodźków, porannym autobusem i na wsi, u gospodarza, u którego wcześniej kolega Wojtek Guz wydrukował ten numer, mieliśmy go poskładać, czyli zrobić z tych luźno wydrukowanych kartek egzemplarze pisma. To była chata na skraju wsi - budynek gospodarczy, stodoła i dom. Myśmy działali w tym budynku gospodarczym: na takim długim stole były poukładane kartki: pierwsza/ druga, trzecia/czwarta, piąta/szosta i tak trzeba było obejść cały stół, kupki zadrukowanych kartek leżały i szło się po kolei, zabierało się po jednej kartce i jak przeszedłeś wokół stołu to miałeś złożony egzemplarz „Spotkań”. Trzeba to było obstukać prawidłowo, następnie odpowiednim zszywaczem, który zszywał do półtora centymetra grubości zszyć to, no i okleić, żeby jakoś ten grzbiet wyglądał.

- To musiał być jakiś specjalny zszywacz, skąd go mieliście? Bo ja dostałem podobny z Anglii do składania „Strychu Kulturalnego”?

- Tak, tak, to było z zachodu sprowadzane, firma Screbba, był dobry. No i łazimy cały dzień wokół tego stołu, papieros, kawa, coś tam do zjedzenia, robota monotonna. I w nocy kolega Grzesiek mówi, że idzie się przespać do stodoły na siadło. Ja mówię nie idź, bo gospodarz nie kazał się kręcić, bo to kwestia bezpieczeństwa i tak dalej. Lepiej połóż się tutaj pod stołem na ryżach, bo tam trochę ryż papieru było jeszcze niezadrukowanego. A on mówi, nie, ja tylko tak się zdrzemnę i wrócę. No i po jakimś czasie też zechciało mi się spać, wlałem pod stół, już zasypiam, a Beata chodzi jeszcze, zbiera te kartki, mnie tak monotonna szelest usypia i nagle słyszę, jak ktoś na podwórku takie wielopiętrowe kurwy sady, tak charczy, tak klnie, krzyczy... Wpada Grzesiek, blady jak ściana, siadł: dajcie zapalić. Ja wystraszony, przepalam mu papierosa, nie wiadomo co się dzieje, a gospodarz lata po podwórku i klnie. Co się okazało? Grzesiek wlał do stodoły, wszedł na siano, położył się i przysnął. Zbudziło go skrzypienie drzwi od stodoły. No więc leży cichutko na górze, czeka aż gospodarz wyjdzie, to on wróci do nas. Nagle patrzy, a na niego lecą widły i wbijają mu się koło szyi. Zamarł – słyszy, że ktoś gramoli się po drabinie, a to gospodarz szedł krowom siano zrzucić. Więc wrzucił widły na górę, Grzeskowi koło szyi. Facet jak wchodził, to miał ten skrót perspektywiczny - nogi gościa, którego tam nie powinno być, który leży nieruchomo, a z szyi sterczą mu widły, gospodarz niemal zleciał na klepisko i Grzesiek opowiada: - po chwili wstałem, schodzę, gość siedzi oparty o ścianę, za serducho się trzyma, zabił człowieka przed chwilą, ewidentnie. Grzesiek mówi, proszę pana, nic się nie stało i uciekł. I wtedy w gościu coś puściło i jak zaczął klnąć, to u żadnego człowieka nie słyszałem tak wielopiętrowych przekleństw. Więc to taka historia. Długi czas jeszcze później, jak sobie pomyślałem, co by mogło być, gdyby Grzesiek dostał tymi widłami po szyi...

- Gdzie to było?

- To była miejscowość, już za Chodźkowem, teraz to już Lublin wchłonął na pewno. Szło się przez taki wąwóz. Nazwy tej miejscowości nie pamiętam. Jechałeś, mijaleś akademiki pielęgniarok, bo tam były na Chodźkowie akademiki medyczne dla pielęgniarok i studentów medycyny, bardziej za Czechowem.

A później wydarzyła się jeszcze inna historia, z dzisiejszej perspektywy zabawna, no bo jak poskładaliśmy te egzemplarze, to trzeba było je popakować. I ja w torbach nosiłem ten nakład

przez wąwóz, w dwóch torbach, bo to już moje zadanie było. Musiałem ten nakład porozrzucić po różnych melinach. Miałem klucze do piwnic od różnych ludzi i po prostu wchodziłem sobie do bloku i w piwnicach chowałem paczki z bibułą. Nie musiałem nikogo uprzedzać. Miałem kilka takich punktów w Lublinie porozrzucanych. I tymi „Spotkaniami” już wszystko mam zapchane, ale nie mam gdzie włożyć ostatniej partii. I przypomniałem sobie, że na Lubartowskiej mieszka taki koleżka, który też działał w opozycji, Janusz Południok. Więc przyszedłem do niego, Krzysiek Wasilewski w samochodzie czeka na dole z tymi bagażami. A ja zapukałem. Trzy razy. Otwierają się drzwi. Patrzą, w nich stoi Wiesiek Knitter, z którym też siedziałem we Włodawie w więzieniu. Na środku pokoju stoi sito i oczywiście widać, że idzie konspiracyjny druk. Wiesiek ma taką speszoną minę... - No wchodzi, mówi. Gdzie Janusz- pytam? Janusz poszedł do sklepu. Ja mówię, Wiesiek, ty tak każdemu otwierasz drzwi, jak ktoś zapuka? Jak robicie tutaj taką robotę, to każdemu tak drzwi otwierasz? A on taki speszony mówi, nie. Janusz poszedł i umówiliśmy się, że jak będzie wracał, to trzy razy zapuka. No to... Najbardziej takie charakterystyczne pukanie. To trzy razy zapuka. No i jak usłyszał pukanie trzy razy, to otworzył i zdziwiony taki, że to ja a nie Janusz. Nie pamiętam, gdzie towar wtedy umieściłem, bo już wiadomo, że tam nie mogłem...

- Który to był rok?

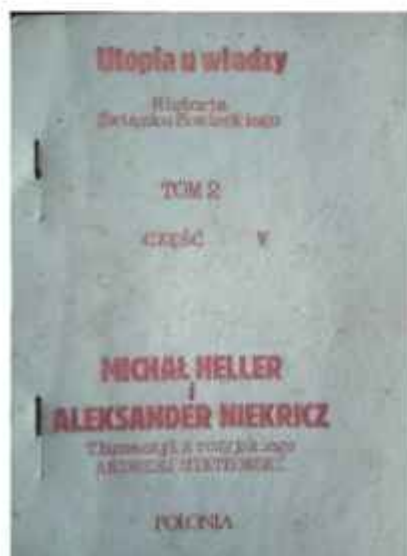
- To był chyba 1984. Wydrukowaliśmy bodajże dwudziesty szósty numer „Spotkań”. To był sierpień albo lipiec, wakacje w każdym razie.

- Wróćmy jeszcze do wydawnictw... Zarabialiście też na tym?

- Oczywiście, to było wszystko odpłatne. I drukowanie, i kolportaż. No bo to wiadomo, jak myśmy się już poświęcili temu całkowicie, to było nasze źródło utrzymania.

- W jaki sposób były podejmowane decyzje, wybór wydawnictw, tytułów, pozycji do drukowania?

- Jak dostawałem od Paluchowskiego jakąś dobrą książkę, na przykład „Utopię u władzy”, to postanawialiśmy to wydać. Rozbiliśmy to na pięć zeszytów, tu akurat jest piąty, bo pozostałe mam jeszcze w piwnicy.



Więc jak była jakaś dobra książka, to brało się ją po prostu na warsztat. Tytuły konsultowaliśmy najczęściej we własnym gronie: z siostrą, ona była po polonistyce, ja po historii, więc także wydawnictwa literackie, np. „Pierścień z papieru” Zygmunta Haupta o życiu na kresach, czy „Szpicca”, szkice tego autora. W każdym razie parę takich pozycji z literatury jak najbardziej pięknej. A drukowaliśmy dlatego, że autor był emigracyjny, był na cenzurowanym, w Polsce się nie mógł ukazać, więc to była też działalność kulturowa w ramach opozycyjnej.

- W Przemysłu mieliśmy krąg ludzi, związanych z opozycją i naszym Strychem kulturalnym, którzy w tamtych

latach czytali więcej książek wydawanych w drugim obiegu, niż oficjalnie. I większość tytułów wymienionych przez Ciebie znam z tamtych lat. Czy działaliście w ramach jakiejś koordynacji z jakimiś innymi organizacjami?

- Nie, myśmy byli samorządni i niezależni. Oczywiście zwracaliśmy się o dofinansowanie, bo jak powstała tak zwana Ośmiornica, czyli konsorcjum głównych wydawnictw niezależnych: Głos, Wydawnictwo Krąg, Nowa, potem Przedświt, inne warszawskie wiodące wydawnictwa, krakowski KOS, Oficyna Literacka - oni utworzyli konsorcjum, które otrzymywało pieniądze z Zachodu i potem je rozdzielali na dofinansowanie innych wydawnictw i siebie też, przede wszystkim. Nie były to wielkie pieniądze, no ale zawsze. Głównie jednak to utrzymywaliśmy się ze sprzedaży tego, co wydrukowaliśmy.

- A jaki był kontakt z tą Ośmiornicą?

- Znałem Cholewińskiego, znałem Mirka Chojeckiego, znałem Piotra Szwajcera, Konrada Bielińskiego, oni byli tam szefami i po prostu do nich się zwracałem, mówię takie i takie wydawnictwo, takie książki wydajemy, czy możecie wspomóc? Oni też materiałowo nas wspomagali, a to gilotyną, taką domową, żeby obcinać nierówności, żeby wydruki jakoś wyglądały, no bo braliśmy papier różny, był problem ze zdobyciem papieru.

- A właśnie, skąd ten papier i farby na przykład?

- Farby robiliśmy sami, z pasty Komfort albo pasty Laguna, farby plakatowe, trochę oleju i coś tam jeszcze, nie pamiętam.

- Wszystkie pozycje wydawaliście sitodrukiem?

- Sitodruk, to jest wydawnictwo Vademecum, Respublika i Oficyna imienia Józefa Mackiewicza. Drukowaliśmy sitodrukiem, to była bardzo cicha technika...

- No tak, ale ręczna...

- Ale polubiłem ją, ja osiągałem prędkość wydruku w 7 minut i 40 sekund drukowałem ryzę papieru - 500 kartek w 7 minut 40 sekund, bo mierzyliśmy czas!

- Czy ramki sami produkowaliście?

- Tak, szukaliśmy stolarza, podawaliśmy mu wymiary, a później naciągaliśmy na te ramki materiał no i dalsza obróbka fotograficzna.

- Dobrze, a papier skąd? W ryzach już pocięty?

- Głównie w ryzach kupowało się w sklepach papierniczych, ale nie można było przyjść i kupić wszystkiego co było w sklepie, nie sprzedaliby ci wszystkiego a poza tym nie byłoby to bezpieczne, papier jak i inne wtedy artykuły był trudno dostępny, nie to co teraz. Ale po jednej, po dwie rzy i tak się kupowało. Miałem też grupę ludzi, którzy po prostu dostawali pieniądze i jak tylko pojawił się papier w sklepie papierniczym, to kupowali i przekazywali mnie. Pamiętam, że w mieszkaniu zawsze były sterty papieru, który po kilka ryz przynosiłem do drukarni.

- Tylko w Lublinie czy w różnych innych miastach?

- W Lublinie, oprócz tego trochę podkradało się z drukarni kulowskiej. Wchodziło się też w kontakt z paniami ze sklepów papierniczych, dostawały tam jakąś bombonierkę czy czekoladę i dzwoniły, kiedy będzie dostawa papieru, wtedy mobilizowałem ludzi i przychodzili i kupowali po dwie, trzy ryzy i przekazywali mnie.

- Czy możesz opowiedzieć o jakimś wydarzeniu związanym z produkcją i kolportażem wydawnictw podziemnych, które mocno zapamiętałeś, i które miało wpływ na Twoje dalsze losy?

- W 1986 roku, to zresztą było powodem ostatecznym, że odszedłem od Spotkań, namówiłem Janusza Bazydłę i Janusza Krupskiego, że wybudujemy podziemną drukarnię, zakonspirowaną w podziemnym schronie, bo już było coraz trudniej znaleźć miejsce na powielacz, bo maszyna hałasowała czuć było farbę, więc ludzie się już coraz bardziej bali dać locum na drukowanie, to nie były początki stanu wojennego i coraz trudniej było drukarnię gdzieś umieścić. No więc postanowiliśmy wykopać schron trzy metry w dół, cztery szeroki i cztery metry długi i zaczęliśmy kopać na działce u Jurka Lewczyńskiego, to była duża działka na ulicy Nałęczowskiej, na skarpie. Janusz jeden i drugi obiecali, że będą jakieś pieniądze, bo ludziom trzeba zapłacić. To było kopanie rydlami i wywożenie taczkami piasku na skarpę. Ale potem nagle okazało się, że pieniędzy nie będzie, a myśmy tam układali już jakiś drut zbrojeniowy, już plany były zabetonowania tego wykopu i zrobienia tajnego, zamaskowanego przejścia z chatki na narzędzia do drukarni. Ale nic z tego nie wyszło, ja się wkurzyłem, no bo przed Jurkiem oczami świecę, dziurę mu na działce wykopaliśmy i nic się dalej nie dzieje. A po drodze dokopaliśmy się do kabla wojskowego, który leci z Lublina do Warszawy, bo nagle kopiemy, a tu się okazuje, że jakiś beton, jakiś taki wał betonowy przeszkadzał. Pytamy Jurka, co to jest, on nie wiedział, zapytał ojca. A ojciec mówi, a tu przed wojną jeszcze kopali do Warszawy wojskowy kabel z jednostki lubelskiej, tą skarpią szedł po prostu ... To ja się wkurzyłem i odszedłem ze Spotkań, a Jurka unikałem i tak przez rok, czy dwa jakoś się udawało. I kiedyś w Lublinie idę koło poczty głównej, a tu zza rogu wychodzi Jurek Lewczyński, już nie ma gdzie uciekać... No wiesz – mówię do Jurka - głupio mi kurka wodna, bo wykopaliśmy Ci tę dziurę na działce i tak zostało, ale forsa się skończyła, opowiadam historię... A on mówi, nie martw się wiesz co tam zrobiłem? Chłodnię na warzywa. Jak już miał dziurę wykopaną, nas nie ma, no więc to po prostu ją wybetonował i miał. On miał duży sad, tam miał po prostu chłodnię na warzywa, owoce. Ale jeszcze z tą dziurą była inna śmieszna, choć dramatyczna sytuacja. Tam na działce był domek, taka narzędziownia i tam było jakieś łóżko do przespania się, a pod tym domkiem trzy metry w dół ziała dziura, bo z tego domku miało być wejście do schronu. I żeby w trakcie robót dostać się do domku, to była wyłożona deska na rogu tego wykopu. I trzeba było idąc po tej desce drzwi otworzyć, odchylić się i wejść do środka. Należało uważać, żeby nie wpaść do dołu. Jurek kiedyś ze swoim kumplem Waldkiem i jeszcze kolegą Wiesiem Ruchlickim popili sobie. No i jak popili, to ten Waldek w nocy wyszedł na siusiu i zapomniał w pijanym widzie o wykopie, zleciał trzy metry w dół i złamał nogę. On był niewysoki, ale taki misio, niedźwiadek, no i Wiesiek z Jurkiem po trzeszczącej drabinie wyciągali go na górę, po czym wyciągnęli na drogę, na ulicę Nałęczowską i zadzwonili po karetkę. Waldek później leżał w domu zagipsowany, to matka i dwie siostry, one mu zabraniały picia, więc przypominały mu do czego prowadzi picie

z kolegami i ten gips. A jeszcze była historia z tą ziemią, którą wykopywaliśmy z dołu. Wyrzucaliśmy ją na skarpe, tam krzaki rosły i na tej skarpie, to było zamaskowane od drogi nie widać, ale poszedł któregoś razu duży deszcz i to wszystko spłynęło na Nałęczowską, ileś kubików gliny z tych krzaków wypłynęło na ulicę, baliśmy się, że dobiorą się do nas za spowodowanie zagrożenia ruchu, bo to była maź, taka glina rozmoknięta, ślisko. Jurek dostał za to pięć tysięcy kolegum, które trzeba było z pieniędzy firmowych zapłacić, ale nie wydało się, skąd i dlaczego jest ta ziemia.

- Jakie to były lata?

- To był 86 rok i chyba wakacje. Tak skończyliśmy z podziemną drukarnią, którą mieliśmy uruchomić...

- Miałeś więc w latach 80-tych Wademecum, Respublikę w 86?

- I wydawnictwo im. Józefa Mackiewicza, który zmarł w styczniu 1985, więc postanowiliśmy go jakoś uhonorować.

- Czy mógłbyś jeszcze opowiedzieć jakieś sytuacje związane z tym ruchem wydawniczym?

- Cóż, było parę rewizji, bo w pewnym momencie też zaczęły przychodzić paczki z zachodu, gdzie Piotrek Jegliński pakował konserwy, jakieś puszki, do nich literaturę, albo farby, materiały poligraficzne. Kiedyś do mojej znajomej, też o nazwisku Kozicka, przyszła paczka z zagranicy, razem z Bezpieką, bo otworzyli ją na granicy, zrobili jej rewizję na stacji, w Lubaczowie u rodziców, ale dzielnie nie sypnęła nic. To był nasz błąd - nazwisko, bo ja już przecież byłem notowany, więc to wiadomo było, że korespondencja na to nazwisko podlega na poczcie perlustracji.

- Czy były jakieś nękania ze strony Służby Bezpieczeństwa w latach 80 tych?

- Słuchaj, miałem w osiemdziesiątym roku, tuż po tym jak wydaliśmy w Bibliotece Spotkań encyklikę Jana Pawła II Redemptor Hominis w języku czeskim, bo to była też inicjatywa Spotkań. Nakład 1000 egzemplarzy. Wojtek Samoliński to wydrukował. To był 1980 rok, tuż przed Solidarnością i była to taka historia, u mnie na stacji, na Ochockiego, gdzie mieszkalem w Lublinie, składaliśmy wydruk. Więc Wojtek Samoliński przywiózł w paczkach wydruki i trzeba było te kartki połamać, poskładać pozszywać okładkę, to był format A5. Po złożeniu wydruku porozrzucałem nakład po różnych skrzynkach, melinach i pojechałem na wakacje w Bieszczady. No i telefon przychodzi, że była rewizja w mieszkaniu, które wynajmowaliśmy, (ubecy nazywali to przeszukaniem, nie lubili słowa rewizja) nic tam nie znaleźli, tylko jedną okładkę, bo gdzieś na podłogę za kanapę wpadła, mieszkanie było czyste, to była pierwsza rewizja, a ponieważ nic nie znaleźli, to obyło się bez konsekwencji. Druga rewizja, to był rok 81-ty, już za Solidarności, weszli do mnie, znaleźli trochę bibuły, przy okazji jeszcze wpadł kolega, który przyszedł mnie odwiedzić, to i jego też przytknęli. Na przesłuchaniu na ulicy Narutowicza odmawiałem odpowiedzi no i puścili mnie. Później miałem jakieś wezwanie w charakterze świadka, nie podejrzanego, chyba nawet nie poszedłem na to wezwanie mam w tych swoich zbiorach te wezwania.

- Czy rodzina miała jakieś w związku z twoją działalnością kłopoty, problemy?

- Nie, natomiast jak wybuchł stan wojenny, no to Tata zaraz rano mówi -Zygmunt siedzi, zaaresztowali go. W domu było trochę bibuły, moich zbiorów, no więc to ładnie zapakował i w kupie węgla schował.

- Ale ciebie internowali, aresztowali z jakiego powodu?

- W decyzji o internowaniu, że mógłbym nawoływać do nieposłuszeństwa rozporządzeniom stanu wojennego...

- Czyli odnotowali już wcześniej, że działałeś w opozycji i nie tylko zajmowałeś się kolportażem...

- Tak, znalazłem się na celowniku od momentu, jak pojechaliśmy w 1980 roku do Sandomierza na proces Jana Kozłowskiego. To był maj, przed Solidarnością i wiem, że tam nas obfotografowali. Tam był Tomek Mickiewicz, Wiesiek Knitter, Bogdan Giermek cała grupa, Janusz Krupski, pojechaliśmy na ogłoszenie wyroku. Proces był w Sandomierzu, a ogłoszenie było w Stalowej Woli, albo odwrotnie. I myśmy przyjechali - to chyba Stalowa Wola była - już na ogłoszenie wyroku. I myślę, że w tamtym momencie namierzali mnie. Zresztą, może się pochwałę, ale miałem decyzję o internowaniu numer 10 w Lublinie, no to wiesz, według bezpieki byłem zagrożeniem dla komuny.

- W pierwszej dziesiątce wrogów.

- Tak, w Lublinie oczywiście.

- Czy Twoja żona też działała z tobą?

- Pobraliśmy się w 1984 roku. Natomiast, znaliśmy się już wcześniej, bo też uczestniczyła w składaniu książki o budowie kościołów. To była duża grupa, ona studiowała na historii sztuki i też była z tego kręgu Ilony, Jaśka Stepków ...No to siłą rzeczy... myśmy się znali. Po urodzeniu syna, Ania wyłączyła się tych działań.

- Jakie inne działania podejmowaliście?

- Organizowaliśmy także nagrania książek z drugiego obiegu dla niewidomych, ponieważ miałem kontakt z prezesem Spółdzielni Niewidomych Ryszardem Dzięwą, to wymyśliliśmy, że kolega będzie nagrywał książki na taśmy magnetofonowe i będziemy dawać te taśmy, zupełnie nieodpłatnie do niewidomych, oni to sobie przegrywali i to były takie pierwsze audiobooki. A nagrywał je właśnie ten Grzesiek Biolik, co mu widły mało w szyję nie wlażyły. Braliśmy różne historyczne opracowania czy literaturę piękną, on nagrywał, dobrze czytał i miał dobry głos i po prostu to potem szło dla niewidomych jako propagowanie wolnego słowa. Tu chodziło o sam fakt, żeby to były powieści, literatura, to co było, ale poza cenzurą. Robiliśmy też prace usługowe, bo dla Solidarności Białostockiej drukowaliśmy jako Wydawnictwo Prasowe Respublika, gazety związkowe. To już był 1988, 1989 rok, czyli końcówka, schyłek ruchu podziemnego.

- Spośród wszystkich znajomych, z którymi współpracowałeś, ile osób wyjechało za granicę, czy zostało zmuszonych sytuacjami?

- Z internowania to powiem tak, wyjechała bardzo duża grupa suwalska, większość. A z lubelskiego, z mojego kręgu, Emil Warda, Krzysiek Hariasz, Broniek Kowalski on był dziennikarzem, później szefem Biuletynu Solidarności w Lublinie, Marian Smalec, Jarek Kania. To ludzie z kręgu, który znałem osobiście.

Internowanie

- Byłeś internowany w dwóch miejscach. Dlaczego?

- Tak. Wzięli mnie 13 grudnia. Akurat wróciłem z Warszawy z Wieśkiem Ruchlickim, przewieźliśmy bibułę w plecakach. Część zostawiliśmy w zarządzie regionu. Część u kolegi. No i później wrzuciłem ją do jakiejś piwnicy i szliśmy na osiedle, na LSM, na nocleg. No i po drodze mijaliśmy Chatkę Żaka, a tam się kończył strajk studencki, w Chatce Żaka, strajk przeciwko Hebdzie, rektorowi WSI w Rzeszowie, wybranemu wbrew studentom i studenci się buntowali, bo Hebda to był niedobry, więc oni nie chcieli takiego rektora. Strajk zaczął się jeszcze w listopadzie. Wtedy prawie wszystkie uczelnie polskie strajkowały w związku z Hebdą. No i kończył się tam ten strajk. Historia była taka, że na WSI w Radomiu, Wyższej Szkole Inżynierii, późniejszej Politechnice mianowano rektorem profesora Hebdę. On miał tam opinię czerwonego. No i tam była duża opozycja przeciwko niemu, w związku z czym studenci strajkowali, żeby Hebdę utracić. W kraju studenci zorganizowali strajk solidarnościowy. Uczelnie strajkowały i właściwie to strajki były w każdej uczelni lubelskiej: na UMCS, Akademia Ekonomiczna, Medyczna, Politechnika osobno u siebie strajkowały. No fajna frajda dla studentów. Te strajki organizowały NZS-y, przy jakimś poparciu, moralnym przynajmniej, Solidarności. No i Wiesiek mówi, że tam się strajk kończy, chodź, na pewno czegoś się napijemy, herbaty czy czegoś. Ale ja byłem zmęczony, więc mówię, nie, to ja już idę do domu. Poszedłem i w nocy zapukali, siostra mnie zbudziła, bo jak wróciłem do domu, to padłem. To jeszcze chyba było przed dwunastą, jak zapukali i siostra mnie budzi ze szwagrem, bo mieszkaliśmy razem, i mówią, słuchaj jacyś goście stoją pod drzwiami, milicjant i trzech cywili chcą, żeby otworzyć. No więc ja patrzę przez wizję, faktycznie, mundurowy i trzech cywili. - Słucham? - Proszę otworzyć! No mówię: - teraz nie, absolutnie nie, przyjdźcie rano, bo o tej porze, to nie ma wchodzenia. - Proszę otworzyć, bo wyważymy drzwi! To już myślę sobie, idzie grubo. Otworzyłem - proszę się ubierać, jest Pan internowany... Ja się ubrałem ciepło, bo to zima. Chodziłem wtedy w takim wojskowym płaszczu, takim do ziemi, do kostek. Spodnie wojskowe, buty wojskowe, opinacze. No tak jak z demobilu żołnierza, jak z niewoli i mówię, - idziemy. No, a jeden cywil wyjmuje kajdanki. O, mówię, no to grubo idzie. Podaję mu rękę. On mówi, nie, do tyłu. No więc skuli mnie do tyłu i wyprowadzili do samochodu. W samochodzie rozkuli jedną rękę, bo był przepis, że nie wolno skutych wozić za komuny, bo teraz już wolno. Więc byłem rozkuty, przywieźli mnie na ulicę Północną. Ja patrzę, a tam masa znajomych, wtedy mnie skuli i już na górę zaprowadzili skutego.

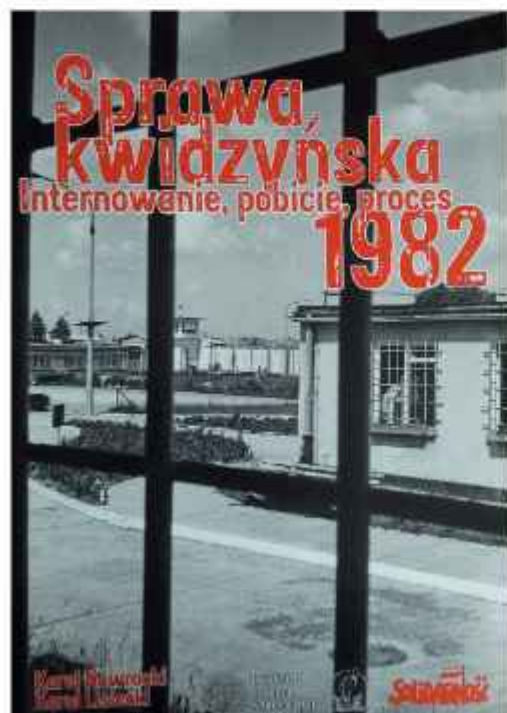
- Na Północną? Do aresztu, czy na komendę?

- Tam był areszt i komenda, i ja patrzę, zlot Solidarności, sami znajomi. Tu Włodek Jakman, tu Ewa Kipta, tutaj jakiś tam, no kurcza, znam ludzi oczywiście. Potem pakują nas do dużej lodówki, co przewoziła ludzi. No i jedziemy. I chłopcy patrzają, ci co lepiej znali geografię Lublina. Kurcza, jeden tam krzyczy - Panowie, całujmy ziemię ojczystą - jedziemy na wschód! Widzę, że z Lublina

na Włodawę jedziemy, to jest jeden kierunek. Nie ma tam zakrętów. Do Włodawy w nocy nas przywieźli. Otwierają się drzwi. Widać szpaler kławiszy. Któryś tam z psem tak na krótko. Jak na filmie, jak z obozu... Psom para z pysków bucha, bo był mróz. Mówi - będę wyczytywał nazwisko. Proszę podawać imię ojca i wychodzić. No i po kolei jakieś tam nazwisko, no to podaję imię ojca. I tylko wszyscy nasłuchują - jest łupanka, jest ścieżka zdrowia, czy nie? Nie ma. Wrzucili nas do celi i tam była odsiadka. To było więzienie, bo nad nami byli więźniowie, złodzieje. A pod nami było tam też parę cel. Myśmy byli na pierwszym piętrze. Całe pierwsze piętro to byli internowani, gdzieś koło setki. W celi nas siedziało ośmiu, łóżka piętrowe, kibel w rogu, umywalka nieduża, stół, ławy dwie. I to było całe wyposażenie. No i tam mnie wziął na przesłuchanie Sacewicz, porucznik UB, SB. Nic nie chciałem gadać, powiedziałem, że niczego nie podpiszę. - A dlaczego Pan odwołania nie pisał od decyzji o internowaniu? - Nie po to żeście mnie zamknęli, żeby mnie teraz na odwołanie wypuszczać... Bo wielu pisało odwołanie. On się uśmiechnął krzywo - Racja. No a co będzie Pan robił, jak pan wyjdzie z więzienia? - Moją pracę magisterską napiszę. A jak Pan napisze? Ja mówię, - no to samo co robiłem, prawda, czyli nie zaprzestanę działalności. No i później już mnie nigdy nie wzywali, nawet jak mnie i dziesięciu kolegów przewieźli do Kwidzyna - którego dnia? Na tydzień przed Wielkanocą 1982. Też można to sprawdzić, bo wyszła książka, sprawa kwidzyńska, jak nas tam 14 sierpnia pobili w Kwidzynie.

- A czemu was przewieźli z Włodawy?

- Likwidowali mniejsze ośrodki internowania. Bo najpierw internowali ludzi w Chełmie, siedzieli w więzieniu, w Krasnymstawie, a później tak co parę dni robili komasacje, także we Włodawie. Zauważ, że jak patrzyłem później na mapy tych ośrodków internowania, rozmieszczenie, większość była na granicach polskich, i południowa strona. Uherce, Łupków. Rzeszów też niedaleko, Włodawa, Gołdap, Białystok. Na północy Iława i potem Kwidzyn. I później w Kwidzynie zebrali nas, jakby z całej Polski. 6-go kwietnia do Kwidzyna mnie przewieźli.

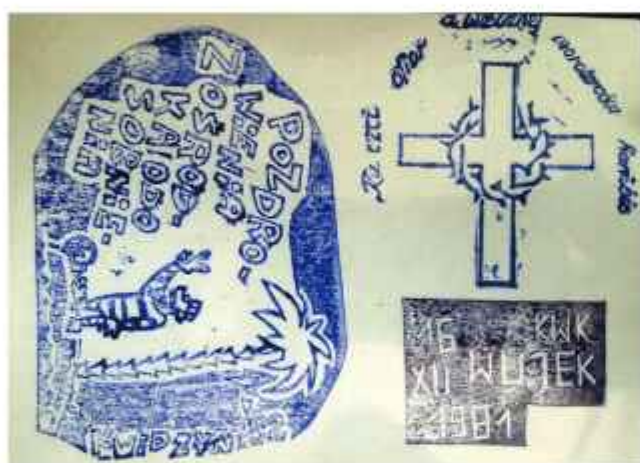


- Książka „Sprawa kwidzyńska”, internowanie, pobicie, proces 1982, Instytut Pamięci Narodowej wydał w opracowaniu Karola Nawrockiego. Tekst. Wybór Karol Lisiecki we współpracy z Tomaszem Żuroch-Piechowskim.

- Dosyć fajnie zrobiona. I pierwsza dziesiątka tam pojechała. Niedługo potem z Włodawy przewieźli ludzi do Lublina. I w Lublinie zrobili na zachodniej chyba więzienie. I tam ludzie siedzieli. W lipcu przewieźli z Lublina resztę. Część wypuszczali, część przewieźli. W Kwidzynie były lepsze warunki. Bo ważna rzecz, Kibel pod celą już był za budowany. Po prostu nie korzystałeś z toalety na oczach wszystkich, co było krępujące. I większe cele były, mniej nas tam już siedziało pod jedną celą i całodzienne spacerowanie. Bo we Włodawie to godzina spaceru była. A reszta to siedzieliśmy 4, 8 chłopów...

- Pamiętasz jakichś ludzi, z którymi siedziałeś we Włodawie? Jakichś znajomych?

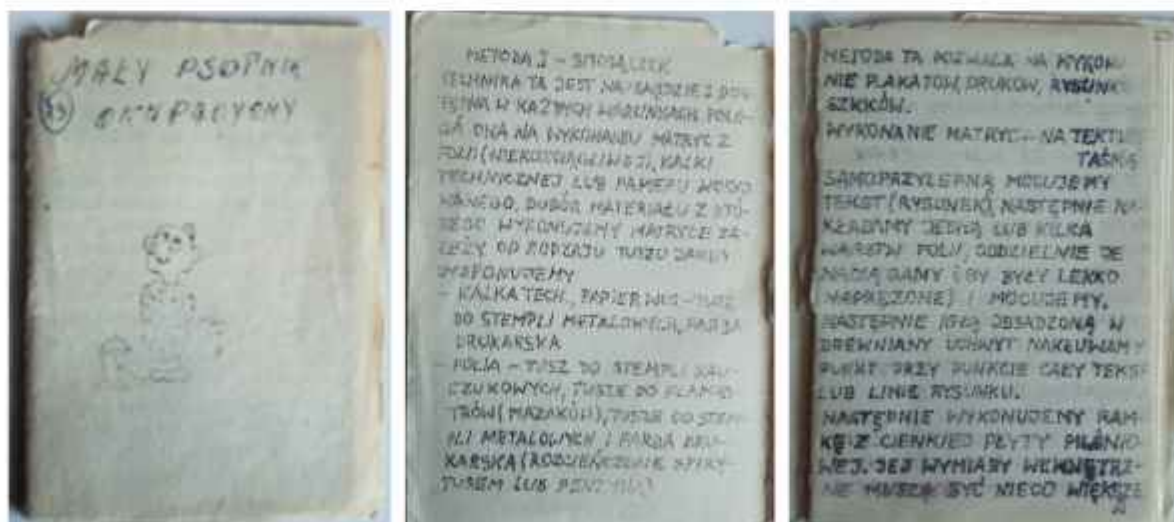
- Siedział Teodor Dąbrowski, maszynista trolejbusa, siedział Marian Smalec ze Świdnika, siedział Krzysiek Gębura asystent na historii na KUL-u, Włodek Jachman student Akademii Rolniczej, no to jemu skombinowałem zyletkę, żeby samobójstwo popełnił, to była też niezła jazda zaraz opowiem. I potem jeszcze Jasiu Wojcieszczuk. I kto tam jeszcze? Włodek Gładysz, pracownik jakichś zakładów, Wiesiek Knitter, o którym też wcześniej wspominałem. A w Kwidzynie to już była grupa mieszana. Cała północno-wschodnia Polska, ale i z Łodzi ludzie byli. I z różnych, nawet z Gross-Rosen, czyli z Kamiennej Góry, bo przed wojną nazywała się Gross-Rosen i tam był ośrodek internowania. A skończyło się w Kamiennej Górze, jak wydali znaczki podziemne Gross-Rosen, obóz internowania Gross-Rosen. Bo za Niemca tam też był obóz pracy. Więc jakoś to nie pasowało.



- W więzieniu wydawaliście znaczki podziemne? W jaki sposób były robione?

- Szła cała produkcja podziemna, też techniką sitodrukową. W Kwidzynie szła produkcja znaczków i książeczki robione prymitywną techniką sitodrukową. Polegało to na tym, że gość brał z czekoladki tzw. pozłotko, odrywał papier i samą tylko folię aluminiową dziurkował igłą. I tak pisał litery. A następnie przykładając ten przedziurkowany tekst do kartki nasączał watę atramentem, który przez te dziurki przechodził. Drukowało się po drugiej stronie.

Najpierw pokażę Ci dziurkowany, jak weźmiesz szkło powiększające, to jest po prostu dziurka przy dziurce. I weź to wydrukuj! Tu trzeba naprawdę zegarmistrzowskiej cierpliwości! Tylko dziesięć egzemplarzy chyba tego wyszło. Albo i mniej. Nieźle, prawda? Jeden musiał się znaleźć w moich zbiorach. A tutaj jeszcze jest Mały konspirator, też tą techniką wydrukowany.



- Ach, ten słynny, tak?

- Tak. Jana Olszewskiego, „Mały psotnik okupacyjny”, tak to się nazywało. Wiesz, tam ludzie różne tytuły wymyślali. No, a teraz jeszcze pokażę Ci, co było robione. Już na dużą skalę i tego jest dużo: stemple, pieczątki i tym podobne. Każdy obóz internowania miał swoje tego typu wydawnictwa. Różne. Robiono je np. z płytki PCV, którą się odrywało od podłogi i rzeźbiło matrycę pieczątki. No, dosłownie rzeźbiło się. Ja się w to nie bawiłem, ale byli artyści, którzy zajmowali się tym. Oczywiście różny jest tego poziom artystyczny i wykonania, ale tym były stemplowane koperty, które przemycałiśmy na wolność i teraz są one obiektem pożądania wielu zbieraczy. To są już bardzo rzadkie okazy. Oczywiście klawisze nam to konfiskowali, ale też wśród nich byli zbieracze, którzy zbierali te pieczątki, słyszałem o jednym, który w Uhercach był klawiszem, zbierał to i w Ustrzykach mieszkał. Ja o nim tylko słyszałem, nie wiem, gdzie go szukać. Najwięcej mam kwidzyńskich, ale też i z innych obozów, które zdobywałem drogą wymiany. Ponadto były pieczątki z ziemniaka. Więc ten ruch wydawniczy funkcjonował również i w takiej formie, w więzieniu.

- A oto mamy zbiór wierszy pod tytułem Kiedy Prawdziwie Polacy Powstaną. Internowa – jakby wydawnictwo? Na tylnej okładce jest exlibris.

- Tak, to było wydawnictwo podziemne w więzieniu. Tego exlibrisa robił gość z Suwałk, wyemigrował do Kanady, nazwisko sobie przypomnę. Ale teraz masz wydawnictwo komunisty. Siedział z nami też profesor Nowak taki z Poznania, który był takim ...



- Komunistą? Może Leszek Nowak?

- Leszek Nowak, tak, tak.

- Autor książek o komunizmie, o tzw. filozofii marksistowskiej? On był krytykiem rządów czerwonych I on z wami siedział! Był krytykiem marksizmu w wykonaniu ówczesnych władz, współpracował z Solidarnością, nawet działał chyba w Towarzystwie Kursów Naukowych...

- I on robił wykłady, o klasie trójpanów, miał takie lewackie swoje pomysły. Ludzie tam chodzili i ktoś spisał te wykłady. A teraz zobacz, bo to jest dopiero benedyktyńska praca.

- Czasopisma podziemne. Ile wychodziło ich mniej więcej szacunkowo?

- Są już bibliografie zrobione bardzo dobrze i z nich wynika, że liczba tytułów po stanie wo-

jennym pikuje w górę w zastraszających ilościach. Tyle nie było za Solidarność, gdzie to było legalne nawet, te gazetki solidarnościowe, każdy zakład pracy miał..., bo później, to już było po okrągłym stole, to jakby inna jakość. Więc powiem Ci tak, ile ja mam tytułów do Solidarności: z prasy, której mam skatalogowanych? 15 tysięcy tytułów.



- **To już myśmy „Strych Kulturalny” wydawali. Mam reprint wszystkich numerów.**

- Wiesz, no ja mam tego typu rzeczy, tak już za tym nie gonię, ale jak jest okazja, to zawsze tego typu rzeczy, to też jest dokumentacja.

- **Idźmy dalej. Czyli tak, gromadziłeś katalogi z lat 70., potem czasu Solidarności i stanu wojennego. W samej Ziemi Przemyskiej wychodziło kilka pism poza cenzurą: „Nie”, „Busola”, od 1989 „Nowa Busola”, „Rola Katolicka”, „Więści Krasicyńskie”, „Strych Kulturalny”, „Spojrzenia Przemyskie”.**

- Nie mam pełnych wszystkich tytułów, ale zbierając bibułę dzielę ją na trzy grupy: mam 110 albo 115 tytułów czasopism do okresu Solidarności, czyli do sierpnia 1980. Potem czasopisma z okresu karnawału, które ukazywały się od sierpnia do stanu wojennego, jest ich około 800 i 15 tysięcy tytułów od stanu wojennego do 89. roku. Wtedy nastąpiła eksplozja ruchu wydawniczego, powstawało mnóstwo niezależnych, różnych... czasami wydali jedną gazetkę, jeden numer tylko i wpadali, szli siedzieć, a czasami to trwało. I później wielu ludzi po 1889 i 90. roku zakładało drukarnie, które funkcjonowały, a niektóre działają do dzisiaj.

- **Na przykład Antyk Marcina Dybowskiego. Ale główną postacią wśród wydawców jest Mirek Chojecki?**

- No tak Mirek Chojecki, ale w Lublinie to Wojtek Gus, który dopiero niedawno przeszedł na emeryturę i już wtedy wydawał dobre, wysokie klasy wydawnictwo.

- Ze znajomych w latach 80 tych, kto tam jeszcze mógł... „Rudy” Krzysiek Sawicki?

- No tak, Krzysiek Sawicki. On przy spotkaniach też się kręcił. On nie był tak zaangażowany, powiedzmy jak ja, że to już można powiedzieć zawodowo, bo ja już wtedy z kolportażu żyłem.

- On pracował w Białymstoku w zarządzie regionu, potem w regionie środkowo-europejskim, a po stanie wojennym był w wydawnictwie KUL.

- Dla nich w pewnym momencie drukowaliśmy biuletyn zakładowy, biuletyn informacyjny i białostocki, to była działalność usługowa, za pieniądze.

- No tak, a co z Podkarpaciami, nasze tereny, jak to mogło być?

- Słuchaj, miałem bardzo mały kontakt, bo jedynie ktoś z Rzeszowa troszeczkę bibuły przywoził, ale ja nie miałem takich kontaktów. Bardziej z Krakowem czy z Warszawą, z głównymi wydawnictwami. Później już nie sposób było tego wszystkiego ogarnąć, dlatego więc pewne rzeczy inni ludzie robili.

Rok 1989

- Może teraz przejdźmy do rok 1989 i do wyborów. Czy byłeś zaangażowany w kampanię wyborczą?

- Nie, bo kontestowałem w ogóle porozumienia Okrągłego Stołu i dla mnie Okrągły Stół był po prostu zwykłą ściemą.

- Czy możesz to jakoś skomentować?

- Jak się zaczęła ta „30-procentowa demokracja”, wybory „prawie wolne” i tak dalej, oczywiście dla mnie to był no... „Dogawor” przy Okrągłym Stole i w ogóle nie brałem tego poważnie, także nie włączałem się w żadne komitety obywatelskie. Zakończyłem wtedy działalność. Napisałem prasę magisterską, bo dotychczas nie było czasu. Pisałem o prasie krajowej wobec wojny krymskiej i kongresu paryskiego. To wojna krymska 1853-1856. Mickiewicz tam zmarł na cholera, wtedy Rosja napadła na Turcję na Krym. Ta wojna toczyła się na Krymie, ale też i na Bałtyku. I ja relacjonowałem na podstawie prasy polskiej w różnych zaborach jaki był stosunek do niej, co pisały te gazety, jedna z zaboru pruskiego, jedna z zaboru rosyjskiego jedna z austriackiego, jak naświetlały ten konflikt, Wojnę krymską, bo tam każda strona miała swoje interesy. Więc to była taka praca porównawcza. Pracę pisałem u prof. Jana Ziółka, już nie żyje. Nawet dobrze mi wyszła.

- No dobrze, skończyłeś studia i gdzie poszedłeś do pracy?

- Najpierw pracowałem w introligatorni, ciąłem tam plastiki do oprawy dzienników. To była taka dorywcza praca, wieczorami. Później namówiłem kogoś z Zarządu Regionu lubelskiej Solidarności, że założę księgarnię. Dali mi jakiś pokój i założyłem księgarnię, w Lublinie, na Królewskiej i przez jakiś czas ta księgarnia funkcjonowała w pomieszczeniach Solidarności, byłem wtedy pracownikiem etatowym Solidarności. Choć nie byłem członkiem, ale miałem jakieś pieniądze za prowadzenie tej księgarni. I ludzie przychodzili, kupowali. Ja ciągle jeszcze operowałem ple-

cakiem, ale już zaczęły się zmiany, ludzie samochodami wozili coraz lepsze wydawnictwa. No i wtedy postanowili zlikwidować tę księgarnię. Musiałem sobie szukać innego zajęcia, bo tylko dorywczo pracowałem w intrologatorni. Złożyłem papiery do UOP. Powiedziałem Zbyszkowi Niezgodzie, że szukam roboty, a on mówi, słuchaj, chodź do nas. On był później szefem Poczty Polskiej. Brat Marzeny Niezgody, dziennikarki. Wtedy wszedł do UOP-u.

- W Lublinie? Który to był rok?

- W Lublinie, rok 1991. No i przeszedłem badania, już miałem tam iść, wtedy szefem UOP w Lublinie był Adam Taracha, ale jeszcze zadzwoniłem do Adama Pęziola, on był wicewojewodą krośnieńskim i mówię, słuchaj, idę na krótką smycz do UOP, nie masz jakiejś dłuższej? A on mówi, w Arłamowie jest Trójca, ośrodek rządowy. I przyjąłem się tutaj do Trójcy. Zjechałem z żoną i z dziećmi. I półtora roku pracowałem w Trójcy. Tam są teraz domki myśliwskie, bo Arłamów został wtedy podzielony: Trójca została przy Urzędzie Rady Ministrów, a Arłamów wrócił do gminy Ustrzyki, bo to był teren gminy.

- Ale Trójca też była na terenie gminy Ustrzyki.

- Tak, ale tak się dogadali, że Arłamów Ustrzyki biorą, a Trójca zostaje jako ośrodek rządowy. Zresztą później Ministerstwo z niego też zrezygnowało. I po półtora roku naczelnik w URM, Szamański Jasio, mnie odstrzelił, bo byłem z nim w konflikcie. I wtedy wróciłem do Ustrzyk, tu już miałem mieszkanie, więc zamieszkaliśmy w Ustrzykach. I burmistrz Ustrzyk, Piotr Korczak zaproponował mi pracę, bo troszkę czuł się winny, bo trochę z jego powodu straciłem parasol ochronny w Warszawie. On był burmistrzem chyba dwie kadencje, a później pracował w Arłamowie, jak Antoni Kubicki Arłamów kupił. W każdym razie byłem tutaj takim niby rzecznikiem prasowym. Zaczęły się wtedy prace nad uruchomieniem przejścia kolejowego granicznego Chyrów – Zagórz. I tutaj przyjeżdżali delegaci z Kijowa, były różne rozmowy, jak to zrobić. I później przez jakiś czas ten pociąg jeździł.

- Czekaj...Otwarcie przejścia granicznego w Krościenku? W latach 70-tych z Zagórza do Warszawy i z powrotem jeździł pociąg Solina, był atrakcją, bo jechał przez związek sowiecki.

- Ale wtedy jeździł tylko tranzytem. A tutaj chodziło o to, żeby zatrzymywał się w Chyrowie. I do Chyrowa dojeżdżał z Zagórza tak zwany pociąg przemytnik.

- A kiedy i jak poznałeś Adama Pęziola?

- Adama znam z czasów studenckich, jak był szefem NZS-u na UMCS. Wtedy się poznaliśmy, bo ja też bibułę na UMCS nosiłem. Potem, jak zrezygnowała kierowniczka Arłamowa z pracy, no to chcieli Arłamów na zimę zamknąć, postawić strażnika, spuścić wodę z kaloryferów i czekać na wiosnę może ktoś kupi, bo mieli problemy. Myśleli, że ludzie się rzucą i gmina zarobi miliony. A tak nie było, bo chętni byli, ale żeby zrobić na tym interes, a nie kupić tak naprawdę. I wtedy ja do Piotrka powiedziałem słuchaj, jak to na zimę zostawimy, to na wiosnę będziesz miał to, co w kwaszeniu po wojsku, ruiny. Powyrywają kable ze ścian, kafelki, rozbiorą wszystko. A jeden strażnik tego nie upilnuje, nie łudź się, bo nikt nie będzie chciał po głowie dostać, jak okolica zejdzie się tam na szaber. Bo ludzie wierzyli, że tam są złote kłamki i podziem-

ne przejścia na Ukrainę z Arłamowa, takie legendy chodziły, jak to było zamknięte i nikt dostępu z miejscowych nie miał. Więc mówię, oddeleguj mnie tam do pracy, a ja przez zimę to pociągnę. No i ciągnąłem przez cały rok. Miałem 6 pracowników. I już na Sylwestra miałem pełny ośrodek, a później to i myśliwi przyjeżdżali i jakieś wesela były, takie usługi w hotelu Arłamowskim. Ale była to niezła droga do alkoholizmu, bo jak tam siedzisz i jesteś fajny kierownik, to każdy chce z fajnym kierownikiem napić się, a fajny kierownik też nie odmawiał. No i codziennie był alkohol. Co tu dużo gadać. A rodzina tutaj w Ustrzykach. Było już tego za dużo i zwolniłem się ...

- Jeszcze wspomnijmy, jak się poznaliśmy, bo w czasach KUL, to raczej z widzenia.

- Ja jeździłem do Jasła jeszcze wtedy miałem taki samochód Łada-Niwa, jedyny samochód jaki miałem, to już było po tym jak skończyłem pracę w Trójcy, czyli to był rok 1992.

- W 1991 roku były wybory i myśmy startowali jako Porozumienie Obywatelskie Centrum

- Porozumienie Centrum, PC razem z Ojcowizną, tego to już nie pamiętam, ale poznałem wtedy świętej pamięci Stanisława Zajęca, bo jeździłem do Krosna i do Jasła na spotkania i organizowałem je także tutaj w Ustrzykach - oczywiście ja się broniłem przed tym rękami i nogami, bo nie ciągnęło mnie do stołków politycznych, ale przyjąłem propozycję, żeby ktoś z gminy, nasz, z szóstego miejsca czy z piątego jako zbieracz głosów wystąpił. Porozumienie przegrało, przeszło do opozycji. Ja tutaj pracowałem w gminie, wtedy Korczak kandydował z Unii Demokratycznej i mówił, że gada wyhodował na swoim łonie, czyli mnie ... no bo ja z konkurencji kandydowałem. Potem dałem się jeszcze namówić, ale to już na łapacza głosów z Unii Polityki Realnej. Przejechał Korwin któregoś razu, to już chyba były następne wybory, w 1997 roku i wtedy założyłem sztab wyborczy w barze Łukasz, to taki bar na rynku, z piwem i frytkami, i tam była moja siedziba, sztab wyborczy, później to przez lata na ten bar mówiono Sztab, nie Łukasz. Teraz jest tam pizzeria Orlik, bo ktoś inny kupił. I tam siedziałem i po prostu piwo się piło i dyskusje polityczne prowadziło, miałem jakieś swoje plakaty, no to ktoś wychodził, rozwieszał. Któregoś razu koleżka wraca i mówi: - no przyłożyłem ch..., bo kurcze, zdierał Twoje plakaty. Przetarcił jakiegoś gościa, który zrywał moje teto, po prostu w bańkę, w ryło, to taka walka polityczna. Oczywiście UPR jak zwykle nie przeszedł, bo Korwin na ostatniej prostej jakiś głupi tekst wymyślił. UPR miała parę razy szansę na te 5% się załapać, ale przed wyborami Korwin strzelał jakiegoś szczura, a to, że Hitler nie wiedział nic o morderstwach, no i oczywiście prasa to podchwytowała i ludzie pomyśleli, jaki głupi, albo, że kobiety to gorszy kawałek człowieka i oczywiście tracił od razu sporą część elektoratu która by za nim poszła, zwłaszcza młodzież, którą porywał, bo ja znałem trochę tych ludzi z UPR. Ale ogólnie miałem różne wątpliwości, więc się do tej polityki nie pchałem, jakoś mi to nie odpowiadało.

ADAM PĘZIOŁ



Adam Pęziół w rozmowie z Markiem Kuchcińskim

31 sierpnia 2024, Ustrzyki Dolne

Z działalności niepodległościowej w latach komunizmu oraz późniejsze zaangażowanie w sprawy publiczne. Z historii wspólnych i indywidualnych działań.

Adam Pęziół, działacz opozycji antykomunistycznej, NZS, Komitety Obywatelskie, Solidarność, wicewojewoda krośnieński (1990-92), wojewoda przemyski (1993-94), wiceminister MSWiA (1998-99), wojewoda opolski (1999-2001), wiceminister finansów (2007-2008).

Rodzina, dzieciństwo, młodość

Marek Kuchciński: Przed powstaniem Solidarności byłeś działaczem opozycji, potem już angażowałeś się w działalność polityczną, a po 1989 roku w proces transformacji w Polsce i jesteś aktywny po czasy współczesne. Czy możemy zacząć wspomnienia od rodziny, kilku zdań o rodzinie? Skąd jesteś, gdzie się urodziłeś?

Adam Pęziół: urodziłem się w święto Matki Bożej Częstochowskiej, 26 sierpnia 1959 roku -w Kraśniku, bo tam był szpital, ale pochodzę z Rzeczycy Księżej, powiat kraśnicki, województwo lubelskie, dawny zabór rosyjski. Ustaliłem, że w drugiej połowie XVIII wieku Pęziółowie na pewno byli już w Rzeczycy Księżej. Jak daleko głębiej, trudno powiedzieć, dlatego, że w kościołach parafialnych w tamtych czasach spaliły się wszystkie papiery i trudno dzisiaj ustalić, ale co było 250 lat to wiadomo. Moja rodzina osiadła zarówno ze strony matki, jak i ojca w tamtym terenie, zajmowała się rolnictwem. Istotne jest to, że wszyscy moi przodkowie byli samoistnymi posiadaczami ziemskimi. To jest o tyle ważne, że przywiązanie zarówno do ziemi, jak i poczucie wolności, poczucie własności było integralną cechą naszego wychowania. Podkreślam to dlatego, że pewne rzeczy wynosi się z domu, ponieważ dom kształtuje człowieka od dziecka, a poczucie własności i szacunek dla tej własności było czymś naturalnym.

Do szkoły chodziłem w Rzeczycy Księżej, to była Szkoła Podstawowa im. Polskiej Partii Robotniczej, ale nigdy tego imienia nie podawaliśmy podczas jakichś prezentacji. Do Liceum chodziłem w Kraśniku, które nosiło imię Oddziału Gwardii Ludowej Tadeusza Kościuszki, a ponieważ wszyscy pomijaliśmy w tytułach tę Gwardię Ludową, to zostawał Tadeusz Kościuszko. Powiat kraśnicki w czasie wojny był bardzo zróżnicowany. Z jednej strony Narodowe Siły Zbrojne i Armia Krajowa, a z drugiej były mocne placówki komunistyczne, np. PPR, skąd wywodził się przywódca PPR na Lubelszczyznę Aleksander Szymański, pseudonim Ali, którego zresztą „swoi” wykończyli w tym samym czasie co Janka Krasickiego czy Marcelego Nowotkę. Te czystki to były skrytobójstwa dość powszechne, sowioci przychodzili i zabijali swoich. Opowiadam o tym dlatego, że to było niezwykle ważne w tamtym czasie, w latach 60., bo to było 20 lat po wojnie, jak ja zaczynałem już coś rozumieć, więc wszystko było żywe. O tym rozmawiało się przyciszonym głosem. O sąsiedniej wsi, gdzie komuniści dominowali, nie mówiono, że to jest Rzeczycza Ziemiańska, tylko Moskwa. W latach 1974-78 gdy byłem licealistą, jak wsiadałem do autobusu i kupowałem bilet, to przede mną mówili tak: -do Moskwy, albo -do Londynu. Bo następna wieś, Zielonka, Łychów, to byli AK-owcy. Więc każdy już wiedział dokąd jedzie.

Moja rodzina była tradycyjnie katolicka, dziadkowie, bardzo pobożni ludzie, fundowali rozmaite rzeczy do kościoła, rodzice, rodzeństwo, wszyscy bliżsi krewni, mieszkali w Rzeczycy Księżej. Od piątego roku życia byłem ministrantem, znałem całą mszę świętą po łacinie, choć nie umiałem czytać. Mieliśmy księdza salezjanina z Lublina i gdy on szedł, taki jowialny pan łysawy z brzuskiem, to my, mali chłopcy, szliśmy za nim i powtarzali frazy, które dyktował - tak się uczyliśmy pacierza i wszystkich fragmentów mszy świętej po łacinie. Potem, od dziesiątego roku życia byłem lektorem. I wtedy była słynna peregrynacja obrazu, a właściwie ramy obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej, która wędrowała po całej Polsce, czyli ewangeliarz, ramy i świece. Ja wtedy brałem udział w tzw. banderii konnej, to było ok. 100 koni! Wyjechaliśmy kilka kilometrów za las, żeby witać wędrujący obraz z sąsiedniej parafii. To było niezwykle doświadczenie, które stanowiło ważny moment naszej historii powojennej, mocno integrujące społeczność ludzi wierzących. Z jednej strony integrowało wokół tej peregrynacji, a z drugiej uczyło ludzi odporności na szykany Służby Bezpieczeństwa, która wymyślała najrozmaitsze sposoby, żeby coś się nie udało. Wtedy trzeba było być odważnym, żeby np. dać konie dzieciom. W domu mieliśmy zawsze co najmniej dwa konie, ja lubiłem je, pracowałem z nimi w polu, więc jeździliśmy na oklep, bez

siopeł, czasem były derki, przystrojone jakimiś szarfami. I to wyglądało niesamowicie, myśmy całymi dniami ćwiczyli, żeby te konie nie pogryzły się, to kosztowało nas bardzo dużo wysiłku. To jest przykład takich pierwszych doświadczeń wspólnoty.

Były też inne, dyrektor szkoły podstawowej był sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej i oni wiedzieli, że czytam lekcje w kościele, dzwonię na mszę świętą dzwonem i sygnaturką, to nie było dobrze widziane. A ponieważ dobrze się uczyłem, to nic mi nie mogli zrobić. Pierwszym proboszczem w mojej parafii był ksiądz Marszałec, od 1973 roku, bo wtedy powstała w naszej wsi parafia. Wcześniej przyjeżdżali księża z Kraśnika, albo z Lublina uczyć lekcji religii i w niedzielę odprawiać msze święte. Z naszej wsi pochodził Ksiądz Dominik Maj (1908-1976), wielki kapłan, więzień obozów koncentracyjnych w Sachsenhausen i Dachau, przed wojną i po wojnie prześladowany przez komunistów. Żył i pracował w opinii świętości. Inną ważną postacią był Józef Lisek zwany powszechnie „Nauczycielem” (1895-1986) uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, pierwszy kierownik Szkoły Powszechnej w naszej wsi. Swoją postawą i nauczaniem wywierał duży wpływ na naszą społeczność. Inną postacią istotną był Kazimierz Lisek (1911-1983), więzień sowieckich łagrów, żołnierz 2 Korpusu PSZ na zachodzie, ranny pod Monte Cassino. Wszystkich tych ludzi znałem, kontakt z nimi miał duży wpływ na moje wychowanie, poznawanie historii. Z ważnych zapamiętanych z tamtego czasu wydarzeń, obrazów, mam w pamięci beatyfikację ks. Maksymiliana Kolbe w 1971 roku.

W 1974 roku, zacząłem chodzić do Liceum w Kraśniku. W tamtym czasie było to miasto trochę komunizujące. W Kraśniku odbywał się festiwal piosenki partyzanckiej. Na ten czas wyrzucali nas z internatu, by kwaterować tam uczestników festiwalu, więc nie musieliśmy ich ani słuchać, ani śpiewać. Chodziłem do klasy humanistycznej i pamiętam jedno z wydarzeń, które mnie dotyczy, otóż na lekcji historii, nauczyciel, nazywał się Speruda, rzadkie nazwisko, i zapytał mnie o coś z okresu wojennego i zacząłem mówić o Katyniu. Przerwał lekcję, wyrzucił wszystkich, to było już w maturalnej klasie i mówi do mnie: -synu, czy chcesz zdać maturę? Ja mówię: -tak proszę pana. To nie zdasz... ja mówię: -zobaczmy. I maturę zdałem na piątkę, ponieważ szefem komisji był inny nauczyciel. To wydarzenie zostało zapamiętane przez moich kolegów, bo po bardzo wielu latach jedna z koleżanek, wówczas najlepsza uczennica, mówi mi, że wtedy otwały im się oczy, że można mówić o rzeczach, o których z książek nie było wiadomo. Podobne historie towarzyszyły mi parę razy w życiu, również podczas pełnienia funkcji publicznych. Z opozycją w szkole średniej nie miałem kontaktu. W Kraśniku wg mnie, nie było wtedy, ani później jakichś zorganizowanych struktur opozycji. Od 1976 roku coś się działo w Fabryce Łożysk Toczyńskich w Kraśniku Fabrycznym.

Czasy studenckie, opozycja

Był rok 1978, w październiku poszedłem na studia na wydział prawa i administracji do Lublina na UMCS. To był niesamowity miesiąc i rok. 16 października profesor KUL kardynał Karol Wojtyła został papieżem. Nigdy nie zapomnę podekscytowanych radosnych ludzi na placu Unii Lubelskiej, krzyczących: -Polak papieżem, biało-czerwne flagi, powszechna wielka radość.

11 listopada 1978 roku, byłem na mszy świętej w tzw. kościele powiżytkowskim z okazji 60. rocznicy odzyskania niepodległości. Po wyjściu z kościoła powiżytkowskiego uczestnicy mszy świętej udali się na Plac Litewski i zobaczyłem Mariana Piłkę, który już wtedy był znany w środowiskach opozycyjnych, on był w ROPCIO. W środowisku lubelskim, zarówno UMCS jak i KUL było sporo ludzi jakoś zaangażowanych, na pewno w Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, na pewno KPN, który powstał w 1978 roku. To było środowisko już mocniejsze, na pewno byli współpracownicy KOR, środowisko Spotkań i Ruch Młodej Polski. Opinia o KUL jako o znaczącym środowisku opozycji antykomunistycznej, wg mnie była przerysowana.

MK: KUL swoją pozycję wyróżniającą się ideowo uczelni zawdzięczał temu, że był w zasadzie do połowy lat 70. jedynym prywatnym katolickim uniwersytetem w systemie komunistycznym, gdzie nie wykładano ideologii marksistowskiej, nie było punktów za pochodzenie, nie brano do wojska i mogli studiować i wykładać ludzie usuwani z innych uczelni. Stąd tak wielu różnych wolnych ludzi tam studiowało. I wydaje mi się, że mit KUL-u rozwijał się bardziej w oparciu o tę atmosferę wolności, niż samej działalności opozycji politycznej. Chociaż środowisko Spotkań było już jednak uznany w kręgach opozycji.

AP: tak, ale KUL był zinfiltrowany przez agenturę Służby Bezpieczeństwa, i wiemy już z późniejszych czasów, że tam byli po prostu wysyłani przez bezpiekę agenci na studia. Z tego czasu, 1978 roku, pamiętam bardzo dobrze inaugurację roku akademickiego na KUL, ponieważ prymas Wyszyński przyjechał, jako Wielki Kanclerz KUL. Byłem na tej mszy świętej, słuchając jego kazania. Zrozumiałem jakiego formatu jest to postać - wielki mówca, wielki kaznodzieja. To od tamtej pory rozstrzygnęło się moje myślenie o prymasie Wyszyńskim, że to była wielka postać. Uświadomienie przede mną jego przywództwa duchowego przyszło później, ale wiedziałem od tamtej pory, że jest to ktoś wyjątkowy.

W Lublinie dużo mówiło się o Wojtyśle, łącznie z tym, że gdy przyjeżdżał z Krakowa rannym pociągiem, przychodził do konwiktu przy kościele akademickim - to nawet nie miał kto mu herbaty podać, a przecież był kardynałem i od piątej rano czekał, żeby ktoś wstał o siódmej.

Studiowałem na Wydziale Prawa i Administracji UMCS. Wspominam z tamtego czasu kilka osób. Profesor Henryk Reniger, finansista z Wilna, był jednym z nielicznych, chyba dwóch dziekanów, którzy od razu wstąpili do Solidarności. Jego katedra finansów, to byli ludzie rzeczywiście niezwykle odważni. On z tym takim wileńskim zaśpiewem, miał piękne wykłady, wtedy nie sądziłem, że kiedykolwiek będę miał do czynienia z finansami państwa jako późniejszy wiceminister finansów. Pan profesor zapewne by się zdziwił, że tak moje losy się potoczyły.

Profesor Jan Ziemiński, u którego pisałem pracę magisterską z historii „stosunków, kościół-państwo w latach 1944-56”. Pamiętam taką rozmowę z nim, po którymś z seminariów, jak mu przedłożyłem pierwszy projekt tej pracy. On mówi: -niech pan zostanie i pyta: -„proszę pana, czy jakąś jedną chociaż książkę wydaną legalnie mógłby pan odnotować w bibliografii?” (śmiech).

MK: Praca magisterska Adama Pęziola, pod kierunkiem prof. Jana Ziemińskiego, „Stosunki państwo-kościół w latach 1944-56. Wybrane zagadnienia prawno-polityczne”, po-

nad 150 stron, bibliografia: jest Frossard, Cywiński, Godlewski, Historia Kościoła, masz Kąkola, jest Kisielewski, Zofia Zdybicka, Michnik... nieźle...

AP: Żeby zakończyć temat pracy magisterskiej, trudno byłoby to zrobić w świetle jupiterów, więc o 6 rano komisja zebrała się, żeby nikogo na wydziale nie było... tak obroniłem pracę magisterską. Temat tej pracy był ważny później w moim życiu, to też miało znaczenie jak chodzi o mój życiorys zawodowy. Powiedziałem o dwóch wykładowcach: Reniger, Ziemiński. Ważną postacią był profesor Andrzej Burda (w latach 1957-1961, prokurator generalny PRL), który w 1958 roku odegrał haniebną rolę w ataku na instytut prymasowski na Jasnej Górze. Ale po 1976 roku, po zmianach konstytucji, a był specjalistą od prawa państwowego, podpisywał różne listy protestacyjne i znalazłem się z nim w Komitecie Obrony Jana Kozłowskiego.

Razem podpisaliśmy protest przeciwko aresztowaniu Jana Kozłowskiego w maju 1980 roku i jak zostałem zatrzymany przez służbę bezpieczeństwa i wezwany przez prodziekana ds. studenckich docenta Korobowicza - niezbyt sympatyczną postać, który powiedział, że nie będzie tolerować na Wydziale Prawa i Administracji elementów antysocjalistycznych, ja mu odpowiedziałem: -panie dziekanie, może z tym być problem, ponieważ na tej liście jestem razem z profesorem Andrzejem Burdą... ten dziekan wiedział o tych nazwiskach, bo wszyscy byliśmy wymieniani w Wolnej Europie, ale strasznie się wtedy wściekł, że młody student pozwala sobie na takie wycieczki. Ale rzeczywiście, dzięki temu profesorowi Burdzie, szkany były stosunkowo niewielkie. A później, za paręnaście miesięcy oni znowu doszli do władzy i wyrzucali nas.

MK: opowiedz historię Twojego zaangażowania się w obronę Jana Kozłowskiego. To był maj 1980?

AP: w tamtym czasie nawiązałem kontakty z taką barwną postacią, Wojtkiem Onyszkiewiczem. Bardzo ciekawy człowiek, bo w wolnej Polsce zajął się tworzeniem banków żywności. Ja byłem przekonany, że on może zostać jakimś ważnym politykiem, a on zajął się pomocą dla najuboższych, współpracował z Jackiem Kuroniem i do tej pory chyba zajmuje się tą działalnością charytatywną. I to poprzez niego zacząłem spotykać się z pozostałymi ludźmi, od kwietnia 1980 roku, bo już wtedy drukowaliśmy ulotki w obronie Jana Kozłowskiego i pojechaliśmy na proces do Sandomierza. Nocowaliśmy na plebanii u księdza Edwarda Frankowskiego, wtedy proboszcza Stalowej Woli. Przyjechaliśmy tam wieczorem, na mszę świętą, rozdawaliśmy ulotki. To był 26 maja, Dzień Matki. Ja mam brata w Stalowej Woli. I rano pojechaliśmy do Sandomierza na ten proces. Wtedy był z nami ojciec Ludwik Wiśniewski, nasz przywódca duchowy, dominikanin z Duszpasterstwa Akademickiego przy ul. Złotej w Lublinie. Było nas kilkudziesięciu, głównie z Lublina. Była także Halina Mikołajska, Jan Józef Lipski, z Warszawy przyjechali ludzie KOR-u, był najstarszy więzień stanu wojennego, który brał udział w wojnie z bolszewikami w 1920 roku. Ten proces budził duże zainteresowanie kręgów społecznych i politycznych. To było moje pierwsze zderzenie z aparatem PRL-u. Mecenas Siła Nowicki, wielki mówca, wielki adwokat, członek Stronnictwa Pracy Karola Popiela, miał w sądzie na sali rozpraw tak wielką mowę, że do dzisiaj na samą myśl przechodzą ciarki na ciele. To było coś porywającego, pamiętam do dzisiaj fragmenty, kiedy wypominano, że Kozłowski coś tam z pzpr-em, a on mówi, że „To na egzekutywach

swoich możecie podnosić takie rzeczy, a nie w sądzie"! Wyglądał niesamowicie... Drugim był mecenas Szczuka, też słynny z czasów powoływania Solidarności, oni tam byli gwiazdami! I jeżeli Jan Olszewski był w Warszawie, to oni jeździli po mniejszych ośrodkach, bo wszędzie ludzie potrzebowali obrony. W Sandomierzu było nas dużo i ojciec Ludwik w tym swoim płaszczu, w habicie utorował nam drogę do sądu. Na sali sądowej siedzieli ubecy na początku i na końcu każdej ławki. Wszystkie miejsca były w środku wolne, a oni siedzieli, udawali, że nikogo nie widzą i nikt nie mógł usiąść w tych ławkach. Zrobił się szum i taki Mirek Buczek, zapamiętałem go, chociaż nigdy więcej potem go chyba nie spotkałem, on wpadł na pomysł, żeby zrobić przysiad koło ławki z siedzącym ubekiem, a reszta żeby pchnęła go i jechał ten ubek po ławce, aż spadał z niej. W ten sposób zajęliśmy miejsca, sala zappełniła się i rozpoczął się proces. Proces był ze sfingowanymi zarzutami o to, że Jan Kozłowski, a miał wtedy już ponad pięćdziesiątkę, rzekomo miał pobić 24-letniego ormowca, który rzucił kamieniem w jego okno. Jan Kozłowski jadł z rodziną obiad i miał wyskoczyć z domu, dogonić po 100 metrach tego ormowca i go pobić. To było oczywiście niemożliwe, wystarczyło spojrzeć na tego 24-latkę i ponad 50-letniego Jana, żeby zrozumieć, że to było fizycznie niemożliwe. Nie pamiętam, czy wtedy ten wyrok był skazujący, czy odroczone jego ogłoszenie, ale wyszliśmy z sądu po wielu godzinach, wzburzeni przebiegiem procesu, a cały plac przed sądem był otoczony przez tzw. suki milicyjne, zomowcy byli w rynsztunku bojowym. I tu doszło do bardzo niebezpiecznych zdarzeń, do końca życia będę to pamiętał, dlatego tyle czasu temu poświęcam, mianowicie pojawili się prowokatorzy, oficerowie służby bezpieczeństwa i zaczęli szarpać naszych, żeby sprowokować do bitki, a to byli studenci, młodzi ludzie... Kolegę Mirka Buczka zaczęli szarpać i ja złapałem za rękę tego ubeka, a Mirek wyciągnął mu z kabury pistolet... i myśmy zostali z tym pistoletem... Ja wtedy byłem przerażony, bo to już z jakiejś burdy zrobiła się poważna sprawa. I teraz, co zrobić? Oddać mu? Nie wiadomo co robić. Powiedziałem koledze, że jakby ZOMO zaatakowało, to żeby wyrzucił ten pistolet pod nogi, P-64, pamiętam. No i mnie capnęło takich dwóch wielkich, bo ja tam coś pyskowałem, usłyszałem okrzyk – to też pamiętam – Tego Małego...! Wrzucili mnie do nyski milicyjnej i wylądowałem w Sandomierzu, w jakiejś sali. Przyjechali jacyś ważni oficerowie ze służby bezpieczeństwa i pytają się: -Państwo to jesteście studentami? Pracownikami naukowymi? Itd... Ale każdy z nas udawał, że nie słyszy pytań. Podchodzi jeden do mnie, ja mówię: -proszę pana, nie wiem kim pan jest, ale na pewno nie będę odpowiadał na tak sformułowane pytania. I porozwozili nas po rozmaitych miejscach. Ja trafiłem do Opatowa do aresztu, tzw. dołka. Zamknęli mnie z jakimiś bandytami, którzy obrabowali stację CPN. I jeden z nich w rozporku przemycił do celi duży nóż składany, to było szokujące, bo on wyjął ten nóż, więc myślę, że teraz to przelewki skończyły się. Ale opowiedziałem im parę książek i parę filmów i byłem już bardzo dobrym kolegą. Jak przejeżdżam przez Opatów, to dzień 26 maja zawsze przychodzi mi na myśl, bo jak wypuścili mnie w nocy, po jakichś przesłuchaniach, to byłem gotowy iść na piechotę do Lublina, ponad sto kilometrów i zacząłem iść szybkim marszem, jednak po chwili zwołniłem, uznając, że to za daleko. Przeszedłem parę kilometrów, wtedy w nocy samochody jeździły rzadko, ale jakaś ciężarówka zatrzymała się, zapamiętałem tylko pierwsze litery rejestracyjne: CHA, czyli z Chełma Lubelskiego, z cementowni gość jechał, wsiałem do tego samochodu i on mówi: -a skąd pan idzie? Ja: -z więzienia wyszedłem. A co się stało? Ja mówię, że mieliśmy manifestację, a on: -panie, ja to widziałem, jak w tamtą stronę jechałem... i zatrzymał się, myślę, że zaraz mnie wyrzuci... a on wyciągnął kielbasę, piwo, bo miał zakupy zrobione i mówi: -niech pan je, dowiozę pana,

gdzie pan chce, tak że dość szybko byłem w Lublinie.

I to jest jedna historia opisująca tamte czasy. Za dwa dni zostałem wezwany do dziekana, tego, który wcześniej mówił, że nie będą tolerować sił antysocjalistycznych i on powiedział, że mnie wyrzucą. Wtedy kończyłem drugi rok studiów. Zaczęła się sesja, od razu dwa egzaminy oblałem u ludzi, którzy byli po stronie komunistycznej. Do domu przyjechałem dwa, trzy dni później, to się szybko działo, ojciec mnie pyta: -jak tam sesja? Ja mówię -dobrze. Tak, a gdzie byłeś ostatnio? Ja mówię: - jak to, w Lublinie byłem. A ojciec słuchał Wolnej Europy i tam nasze nazwisko padało kilkakrotnie, o zatrzymaniach i tak dalej. Ja nie przypuszczałem, że on może cokolwiek wiedzieć, nie mieliśmy telefonu, bracia mogli coś powiedzieć, ale nie było ich w tym czasie, więc ojciec wtedy zmartwił się, był zły, że go okłamałem, a ja nie chciałem mówić prawdy, żeby go nie martwić. I on mówi: -co dalej będzie? Nie wiedziałem, co mu powiedzieć, wstałem i powiedziałem: -będę ministrem w wolnej Polsce...

Koniec maja 1980 roku, przyjechałem do domu po święcie matki! Ale wiesz, że on to pamiętał? Że taka rozmowa była? I jak dostałem w 1998 roku nominację na wiceministra spraw wewnętrznych i administracji, odpowiedzialnego za wdrożenie reformy ustrojowej, to przywiozłem tę czerwoną teczkę i mówię: -Tato, co prawda wiceminister, a nie minister, ale słowa dotrzymałem... Tato był bardzo dumny, on też nie wierzył, że to kiedykolwiek nastąpi. Tak skończyła się sprawa pana senatora Jana Kozłowskiego, jeśli chodzi o mój udział...

MK: to byłeś już mocno zaangażowany w działalność opozycyjną.

AP: W tym sensie, że byłem w duszpasterstwie akademickim, dostawałem już regularnie bibułę i po przeczytaniu przekazywałem dalej, w jakimś sensie byłem też postacią już znaną na uniwersytecie, bo ktoś, kto robi takie rzeczy, jest wymieniany przez Wolną Europę, to już jest ktoś.

MK: czy w tamtym czasie włączyłeś się w działalność jakichś struktur opozycyjnych?

AP: nie, nie byłem ani w KPN, ani w ROPCIO, uznawali mnie za jakiegoś współpracownika KOR, ale nie byłem nim. Dopiero po sierpniu 1980 roku poznałem Adama Michnika, ale to już po sierpniu. Przed sierpniem to były akcje związane z duszpasterstwem.

MK: kogo możesz wymienić, z kim w tamtym czasie współpracowałeś?

AP: był Jerzy Adamczuk, chyba dobry znajomy Leszka Moczulskiego, to była niezwykła postać, bo studiował jednocześnie historię i prawo i był człowiekiem obdarzonym niezwykłą pamięcią, rocznik 1952, pamiętam, bo mój brat jest z tego rocznika, czyli starszy ode mnie o 7 lat, ale on ciągle studiował. I on właściwie recytował książki, podobnie jak Zygmunt Kozicki recytuje wiersze, tamten wygłaszał mowę, a my wszyscy zasłuchani. Kiedyś sprawdziłem jego wypowiedź z książki i rzeczywiście, on recytował tę książkę... Miał pamięć niezwykłą. Później, w okresie Solidarności, był gdzieś na Zamojszczyźnie, bo stamtąd pochodził, był internowany, ale nie wiem co dalej z nim stało się. Był też Roman Górski, historyk, który po internowaniu wyjechał do Ameryki

i już nie wrócił.

MK: przed sierpniem 1980 roku w Świdniku wybuchły strajki. Czy pamiętasz ten czas? Wiedziałeś o tym?

AP: tak, byłem na tzw. praktyce studenckiej, po wydarzeniach z Janem Kozłowskim i pojechałem do strajkujących kolegów, których znałem, żeby ich jakoś wesprzeć. Ale poza tą obecnością, to nie pamiętam jakiejś swojej szczególnej roli.

MK: jak wyglądała Twoja sytuacja ze studiami? Wyrzucili Cię? Bo przecież zaraz był sierpień...

AP: Ze studiów wtedy mnie nie wyrzucili, dopiero po 13 grudnia. Przystąpiłem do egzaminów, a po wakacjach już sytuacja się zmieniła, powstała Solidarność...

Jeszcze we wrześniu pojawiłem się na uczelni nie tylko ze względu na te dwa egzaminy powtórkowe, ale zaczęliśmy organizować NZS, byłem w Komitecie Założycielskim na UMCS. Pierwsze spotkania wyszły z inicjatywy lubelskich teatrów. Byli tacy ludzie, jak Andrzej Mathiasz, Wiesław Ruchlicki, Krzysztof Hariasz, Sławek Skop, niektórzy z nich są na emigracji. To nie byli ludzie z teatrów KUL-owskich, byli z Teatru Prowizorium, Scena 6 i Grupa Chwilowa. Gardzienice trzymały się trochę z boku, może dlatego, że były poza Lublinem. Oni mieli kontakty korowskie. Byli zaprzyjaźnieni np. z poznańskim Teatrem 8 Dnia, Michnik gdzieś tam był zawsze obecny. Zaczęliśmy szybko, w pierwszych dniach września. Ale ja na stołówce studenckiej zakaziłem się żółtaczką i od 28 września do końca października leżałem w szpitalu zakaźnym, bez możliwości kontaktów, chociaż koledzy przychodzili pod okno i rozmawialiśmy. Byli koledzy z wydziału, z akademika, był Jarosław Kania, który potem wyemigrował, był Edmund Piotrowski, Basia Sidor. Po wyjściu z tego szpitala władze wydziału uznały, że za długo mnie nie było i dali mi urlop dziekański zdrowotny. To było takie pozbycie się mnie, ale ja zostałem w akademiku i pracowałem codziennie nad tworzeniem NZS-u. Przewodniczącym tego tymczasowego komitetu założycielskiego został wcześniej Krzysiek Podleśny, matematyk. W tym czasie wszyscy doradzali mi, żebym pojechał do sanatorium podbudować zdrowie i pojechałem do tego sanatorium, gdzieś w lutym, po dwóch tygodniach wróciłem. I wtedy była sprawa bydgoska, w marcu 1981 roku pobito delegację Solidarności, Janka Rulewskiego, Michała Bartoszcze i innych, podczas posiedzenia Wojewódzkiej Rady Narodowej i ogłoszono strajk w całym kraju. Na UMCS wybrano mnie przewodniczącym komitetu strajkowego, był czterogodzinny strajk i były wybory na szefa NZS, wygrałem te wybory zdecydowanie, miałem 650 głosów, a następny miał 8 czy coś takiego. Od tamtej pory opowiadam, że to były jedyne wybory, które wygrałem, a drugie jeszcze do Senatu uczelni... moje zwycięstwa w wyborach skończyły się w 1981 roku... Zostałem więc szefem NZS, to rzeczywiście była bardzo rozbudowana działalność, miałem dużo rozmaitych pomysłów, m.in. utworzenie biblioteki wydawnictw bezdebitowych, koledzy wyjeżdżali na zachód, przywozili książki, planowałem organizację różnych konferencji. Ale najciekawszy pomysł, który szybko podchwyciłem, miała moja koleżanka Agnieszka Lekka, żeby powołać tzw. mały uniwersytet NZS. Nazwaliśmy to MUN, w skrócie. Polegało to na tym, że z nauk politycznych, ekonomii, filo-

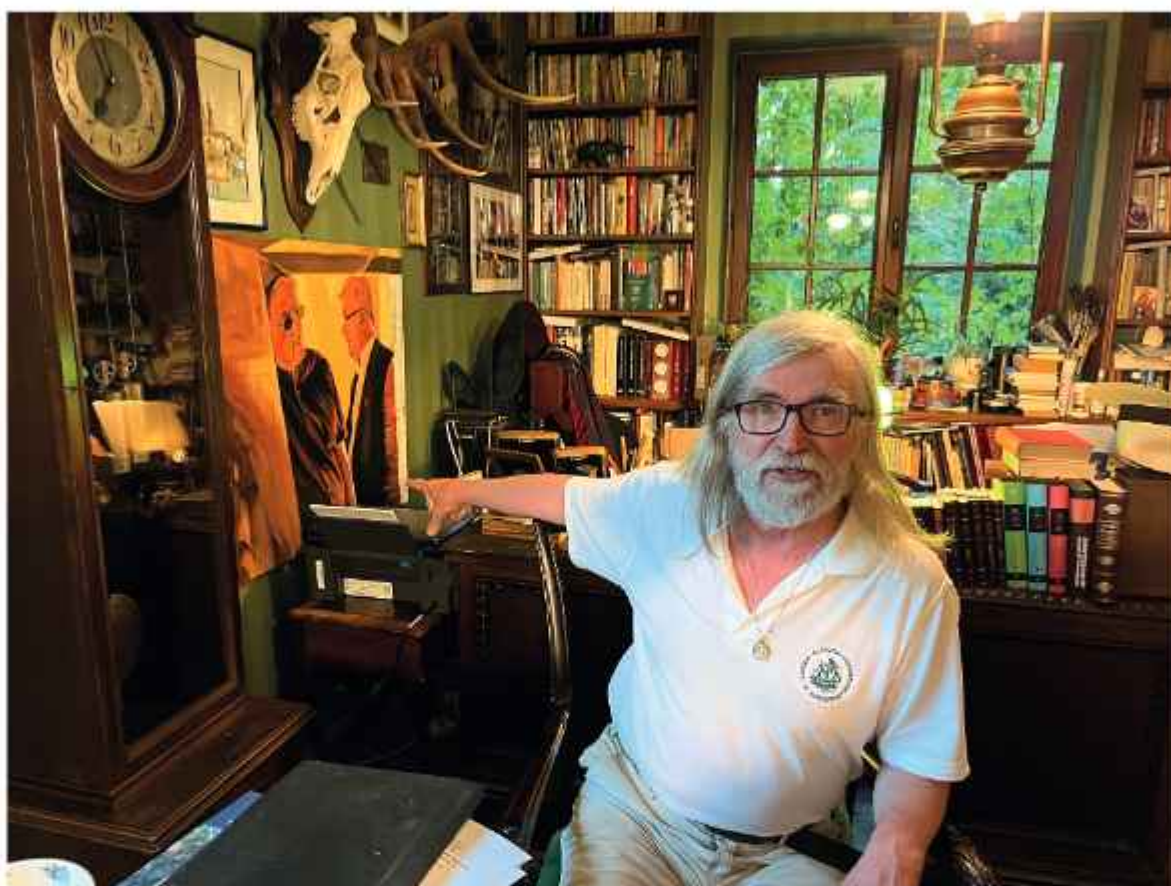
zofii i jeszcze z czegoś, cztery kierunki były – utworzyć alternatywne wykłady, wobec tego, co się dzieje oficjalnie. Była wtedy ekonomia polityczna socjalizmu i kapitalizmu, to myśmy utworzyli i wywalczyłem na Senacie, że ci, którzy będą mieli na MUN zaliczone te przedmioty przez uznanych profesorów w kraju, pracowników uniwersytetów państwowych, nie będą musieli chodzić na zajęcia oficjalne. I to był wielki wyłom w nauczaniu. Skończyło się to niczym, bo przyszedł 13 grudnia i nawet jednego semestru nie zaliczyliśmy, ale zainteresowanie było ogromne. I ten mały uniwersytet przenieśliśmy później do podziemia, w którym funkcjonowało równolegle 14 kompletów nauczania. Ludzie się nie znali, pilnowałem tego, żeby rzeczywiście to odbywało się w dużej konspiracji. I co ciekawe, przez cały okres tego trwania, przez dwa lata, nikt nie wpadł. Myśmy ten MUN wzorowali na TKN, Towarzystwie Kursów Naukowych i Uniwersytecie Latającym, więc to nie była jakaś kompletnie odkrywcza rzecz, ale w takiej formie, o jakiej mówię, to była. Wtedy zapraszałem z wykładami np. profesora, wówczas docenta Andrzeja Paczkowskiego, Krystynę Kersten, jej mąż Adam Kersten wtedy mawiał, że jest doradcą prezesa NZS, czyli moim. Niezwykła postać, Żyd, który był dla mnie wzorem patrioty Polaka, był konsultantem filmu Potop, znawcą hetmana Czarnieckiego, więc byli ciekawi ludzie wokół.

W 1981 roku, jeszcze przed stanem wojennym zorganizowałem w „Chatce Żaka” (dyrektorem ACK „Chatka Żaka” był Kazimierz Iwaszko, niezwykle pomocny NZS-owi, tworzący struktury Solidarności) dużą konferencję „Październik 1956–25 lat później - z myślą o przyszłości”. To była trzydniowa, spektakularna konferencja z udziałem różnych ciekawych ludzi, np. był Lechosław Goździk, przywódca strajków na Żeraniu w 1956 roku, siedział w więzieniu i tak dalej, a wtedy, w 1981 roku pływał na jakimś kutrze rybackim... Ja, z telefonu w moim pokoju NZS, rozmawiałem z gościem, który na kutrze rybackim pływał po Bałtyku... Wszyscy myśleli, że jaja sobie robię, że to jest niemożliwe. A okazuje się, że przez radio Gdynia można było takie rozmowy przeprowadzać i sprawy załatwiać. Ta konferencja była bardzo ciekawa, bo zaprosiłem też panów – znaczących komunistów: Jerzego Morawskiego, sekretarza KC, z tych tzw. pryszczatych, czyli z Klubu Krzywego Koła był Władysław Bieńkowski, przyjaciel Gomułki, minister oświaty za jego czasów. On został wysłany przez Gomułkę do Komańczy po Prymasa Wyszyńskiego, razem z Zenonem Kliszko. Z tych komuchów był jeszcze Stefan Staszewski. Na tej konferencji było kilkadziesiąt ważnych osób. Stefan Staszewski był pierwszym sekretarzem warszawskiego komitetu partii, odpowiednikiem wojewódzkiego, bo Warszawa była miastem stołecznym z oddzielną strukturą partii. Leopold Tyrmand w Dzienniku 1954 o Staszewskim pisze tak: przez to, że Żyd i blondyn, to podwójnie niebezpieczny. Była też Marta Fik znawczyni teatru, Adam Michnik, Andrzej Werner znawca kina, Krzysztof Wolicki, który pracował wtedy dla „Le Matin”, kojarzysz go?

MK: dziennikarz, publicysta lewicowy związany chyba z KOR

AP: pomysł tej konferencji wziął się z tego, że w 1976 roku była taka konferencja w Paryżu, z udziałem Václava Havla... dysydenta z Czechosłowacji, z Węgier obecny był Imre Molnár, był Włodzimierz Brus, Bronisław Baczko, z tych komuchów odszczepieńców i Michnik wtedy też brał udział, bo był w Paryżu i do dzisiaj mu to wypominają, że go wtedy wypuścili i przez to nie był założycielem KORu, bo był na tej konferencji paryskiej. I tamta paryska konferencja miała tytuł „Październik 56 – 20 lat później”, a ja zrobiłem „Październik 56 - 25 lat później” – z myślą o przy-

szłości. Chodziło mi o przyszłość Polski.



MK: jakie funkcje pełniłeś w krajowym NZS?

AP: byłem w Krajowej Komisji Koordynacyjnej, ale nie byłem specjalnie tam aktywny, bo koncentrowałem się na Lublinie i województwie lubelskim, współpracowałem z Solidarnością Rolników Indywidualnych, także z Janem Bartczakiem przewodniczącym Solidarności Regionu Środkowo-Wschodniego. Szefem komisji zakładowej na UMCS w 1981 roku był profesor Jerzy Bartmiński. Tych ludzi było sporo, wtedy na rektora wybraliśmy profesora Tadeusza Baszyńskiego, biologa już nieżyjącego, którego bardzo dobrze wspominam. Był bardzo zycliwy tym wszystkim sprawom, które podejmowaliśmy. Jako szef NZS byłem członkiem Senatu UMCS.

Wielkim przeżyciem był wiec, który prowadziłem w Chatce Żaka - Akademickim Centrum Kultury, w czasie strajków listopadowo-grudniowych, gdy uczelnie polskie strajkowały, a studenci z wszystkich uczelni Lublina chcieli wychodzić na ulice, solidaryzując się z protestującymi studentami Wyższej Szkoły Pożarniczej w Warszawie, którzy prowadzili strajk okupacyjny, właśnie pacyfikowany przez ZOMO. Wtedy zadzwonił do mnie Lech Wałęsa. To było przeżycie... On, który wtedy był więcej niż królem, dzwoni do jakiegoś studenta pochodzącego spod Kraśnika i mówi, wręcz prosi bardzo spokojnie: -proszę pana, niech pan zrobi wszystko, żeby ludzie nie wyszli na ulicę. A wszyscy byli podekscytowani, że trzeba łać czerwonego w mordę i tak dalej. I wtedy poprosiłem ojca Ludwika Wiśniewskiego, żeby zabrał głos. On miał porywający sposób

mówienia o różnych rzeczach i zaczął mówić o grudniu 1970 roku w Gdańsku, gdzie był wtedy w klasztorze zresztą z którego potem go usunęli. Opowiadał o tym, jak wszystko się paliło, jak ludzie ginęli.... to było bardzo dramatyczne wystąpienie. Studenci nas posłuchali. Mam album Krzysztofa Garbacza wydany przez IPN lubelski ze zdjęciami z tamtych czasów spod Lublina, na których widać wojskowe samochody sowieckie, gotowe ruszyć na Lublin. Ostatecznie nie wyszliśmy na ulice. Wtedy, pod koniec listopada i na początku grudnia, była taka atmosfera, że coś się musi wydarzyć. Każdy z nas miał plecak z różnymi rzeczami do ucieczki, pamiętam to dokładnie, bo w nocy z 12 na 13 grudnia ten plecak został przeze mnie użyty, z ubraniami, szczoteczką i pastą do zębów itd. Maszynki do golenia nie potrzebowałem, nosiłem wtedy brodę. Atmosfera była gęsta, chodziło o to, żeby ten strajk zakończyć. Niektórzy wskazywali daty 13 grudnia, które potem się potwierdziły i myśmy ten strajk skończyli w piątek, a w niedzielę nie było teleranka w telewizji za to był Jaruzelski. Wtedy w budynkach uczelni nie było już strajkujących. Poszedłem późno spać w akademiku „Grześ”.

MK: jak wprowadzili stan wojenny byłeś na trzecim roku.

AP: takie rzeczy pamięta się dokładnie. Poszedłem późno spać w akademiku Grześ, który był na Miasteczku Akademickim w Lublinie i gdzieś koło północy usłyszałem łomotanie do drzwi w moim czteroosobowym pokoju takich dwóch wystraszonych chłopaków zwróciło się do mnie z elegancką mową: Spierd..., przyszedli po ciebie... nie wiedziałem wtedy kto to był. Dopiero niedawno, po 40 latach, z filmu Taksówkarz dowiedziałem się kto to był. Ciekawy film, opisujący sytuację w Lublinie, taksówkarz opowiada, jak w tamtym czasie rozwoził moich kolegów z NZS po różnych adresach, żeby ostrzegali ludzi przed aresztowaniami. Autorem filmu jest Grzegorz Linkowski, autor wielu ciekawych dokumentalnych filmów, także o tych chłopcach, którzy mnie ostrzegli. To byli Leszek Gorgol, a drugi, późniejszy wojewódzki konserwator zabytków w Białymstoku

Ale wtedy zbiegłem trzy, cztery piętra w dół, miałem tam zaprzyjaźnione koleżanki, obudziłem je, żeby mnie ostrzygły. I z długowłosego zrobiłem się bardzo przyzwoitym młodym, człowiekiem, z ogoloną brodą, dość powiedzieć, że koledzy z pokoju potem mnie nie rozpoznali.

Z ubecją to jest ciekawa historia. Przyszli przed północą, ale nie chcieli robić rabanu. A portierka była taka, że nikogo nie wpuszczała po godzinie 22.00. Oni mówią, że są Służbą Bezpieczeństwa, pokazali legitymacje, a ona: -proszę stąd spier..., takie numery to nie ze mną i wygoniła ich. Ona taka była, nawet jak ktoś płakał, miał ważną sprawę, to nie było mowy, nikogo nie wpuszczała. Poszli jak niepyszni, bo mieli zakaz robienia hałasu. I jak przyszli ponownie o drugiej w nocy, to ona już gdzieś dowiedziała się co się dzieje, ale przez paręnaście minut udawała, że szuka kluczy i obudziła chłopaków na dole, stąd się później to wszystko wzięło, żeby ostrzegli mnie, bo inaczej to siedziałbym już w nocy. I ubecy jak wpadli, to już mnie nie było, a nie mogli przeszukiwać całego akademika. Tam było dziesiątki pokoi. W ten sposób uniknąłem aresztowania. Uciekłem z tego akademika po szóstej rano, kiedy został otwarty poszedłem do Chatki Żaka, tam zaczęli się ludzie zbierać, była tak naprawdę garstka, mówią o strajku, -ale jak? -z kim? -gdzie? w Chatce Żaka, gdzie czołgi mogą wjeżdżać oknami nie uszkadzając murów?. Uzgodniliśmy wtedy, że ja

muszę wiać, bo byłem pierwszy z listy do aresztowania. Od początku było tak, że ci, którzy byli na tych listach musieli ukrywać się, to nie było traktowane, jak ucieczka, tylko taka była procedura. Doczekałem wieczora i pociągiem w nocy pojechałem do swojej rodzinnej wsi. Ponieważ były głosy, że na dworcach aresztują, to wyskoczyłem z jadącego pociągu między stacją Kolonia Rzeczyca, a Rzeczycą, ponieważ nasze pola uprawne dochodziły do torów kolejowych i wiedziałem, że trafię do domu. To było w nocy, zima, bez latarki. Było trochę śniegu i jako człowiek przyzwyczajony do życia na wsi w takich warunkach, szybko się zorientowałem w terenie, jeszcze jadąc odliczyłem słupy i wyskoczyłem przy ostatnim – nawet się nie podrapałem, zrobiłem kilka fikołków, jak z filmu. Szedłem długo, bo byłem wycieńczony, nie jadłem kilka dni, bałem się, że jak wejść do wsi do gospodarstwa, to psy narobią hałasu, bo na wsi na noc spuszcza się psy, żeby nie zamarzły. Tak więc do własnego domu dobiegałem się z pół godziny, gdy zbliżałem się, to przechodził przez nasze podwórko taki jeden człowiek, który donosił milicji i UB i przeszedł obok mnie pół metra, tylko ja byłem schowany za szybą ganku, tak że nie zauważył. Moi rodzice obudzili się, wystraszeni, nie wiedzieli co się dzieje, bo były aresztowania, ludzie ginęli. Ojciec zaprowadził mnie do swojego najlepszego przyjaciela i okazało się to miejscem wymarzonym, bo nikomu nie przyszło do głowy, że można ukrywać się w domu ludzi którzy niezbyt sprzyjali Solidarności. On był w jakimś ORMÓ, jego szwagier był kapitanem bezpieczeństwa, ale solidarność międzyludzka nieraz bywa mocniejsza. Nikt nie przypuszczał - do dzisiaj inni nie wiedzą o tym. Ale na pogrzebie podziękowałem im za ten heroizm wtedy - nie przyznałem się, że mnie, ukrywali, tylko powiedziałem, że jakiegoś młodego człowieka... Działacze Solidarności pytali: jak to, ormowcy ukrywali? Te wątki dotyczą 12 i 13 grudnia.

Ale jeszcze jedną anegdotę opowiem. Przyszła SB do Chatki Żaka i tam była portierka, która lubiła alkohol i często była pod muchą, jak to kiedyś elegancko się mawiało i mówią, że szukają Pęziola.

A ona: -proszę? Szukamy Adama Pęziola. A ona: -nie rozumiem co pan do mnie mówi. Ten już poirytowany: -Adam Pęziół, szef NZS, a ona: -kto się podział? I taka z nią była rozmowa, aż esbecy sobie poszli. A ona udawała, bo codziennie widzieliśmy się po parę razy i dobrze wiedziała o kogo pytają. Ale takie było w wielu miejscach podejście zwykłych ludzi.

Przez trzy miesiące byłem w rozmaitych miejscach, wróciłem do Lublina specjalnie, żeby wspierać struktury Solidarności i NZS. Ale wpadli moi koledzy, byli zbyt nieostrożni i moje kontakty rwały się. I znowu wróciłem na wieś, to już był chyba kwiecień, z obozów internowania wypuszczali już ludzi i rozmaici moi koledzy z uniwersytetu i NZS zaczęli mówić, że trzeba się ujawnić. Nie za bardzo chciałem, ale jeśli tak, to trzeba dać się aresztować. No i tak się stało, zacząłem się pokazywać, ktoś mnie widział, przyszli do domu, zostałem zatrzymany na przełomie marca i kwietnia. Zawieźli mnie najpierw na posterunek milicji do Trzydnika. Po drodze była zabawna historia: milicjanci prowadzą mnie przez moją rodzinną wieś po kilometry zorientowałem się, że nie mają samochodu, że chcą mnie prowadzić aż do Trzydnika to jest około 10 km, zaprotestowałem i powiedziałem, że na pewno piechotą nie będę szedł. Skutek był taki, że weszli do jakiegoś gospodarstwa zarekwirowali Poloneza z kierowcą i w taki sposób zostałem dowieziony do posterunku MO. Na tym posterunku w celi było bardzo zimno. Po jakimś czasie otwarte

zostały drzwi celi po to żeby wpuścić trochę ciepłego powietrza z pomieszczeń służbowych milicjantów.

W związku z tym słyszałem wszystko, co mówili. Słyszę, że przez radiostację mówią tak: UB35... UB35... zgłoś się na 987... Za chwilę zgłasza się UB35. Domyśliłem się, że to jest Tarnobrzeg, komenda wojewódzka – zatrzymaliśmy poszukiwanego listem gończym obywatela polskiego Adama Pęziola – cisza – Odbiór. – Kogoście ku... zatrzymali? Ten milicjant powtarza. - Przeliteruj! – Paweł, Elżbieta z ogonkiem, Zdzisław, Ignac, Olaf, Łokietek... przeliterował. – Dobrze zamknięty? Dobrze. – Czekać na rozkazy. Za chwilę dzwoni: 987... 987... zgłoś się na UB35. – Zgłaszam się. – Słuchaj, kur..., to jest bardzo niebezpieczny człowiek! Skuć, odwieź do Lublina i zapomnieć, żeście w ogóle go mieli w rękach... a ten milicjant mówi: jak zawieźć do Lublina, jak samochodu nie mamy? Bo okazało się, że oni jeździli po pijanemu służbowym radiowozem i w związku z tym zabrali im tego Uaza i zawieźli mnie do tego Trzydnika, a z Trzydnika wieźli mnie do Lublina autobusem kursowym. Wchodzę do tego autobusu, kierowca pyta dokąd? A ja mówię: tamci płacą... W autobusie była też ciekawa historia. Milicjant pyta szeptem: -Bujaka pan zna? –a czemu pan pyta? Bo na jednej liście jesteście... on też był poszukiwany listem gończym. Ja mówię tak: - proszę pana, nie mogę panu powiedzieć... wysiadamy na dworcu w Lublinie, esbecy wcześniej powiedzieli: - z dworca zadzwonić na komendę, żeby przysłali samochód. Idziemy przez plac przed dworcem, błoto pośniegowe, brud, smary jakieś... wyglądało to strasznie. Idziemy i w pewnym momencie przyjechała suka z ulicy Północnej, gdzie był areszt tymczasowy, w odróżnieniu od ulicy Południowej, gdzie było więzienie – takie były dwie ulice w Lublinie. Przyjeżdżamy, spisujący pyta mnie o zawód, odpowiadam - student. Tak? A gdzie? – Student prawa UMCS, a on: praaawnik tuuutaj? – tak. - Cela 44. Ja mówię, O! Przynajmniej dobry numer..., a on: siedziałeś tutaj? – Nie, a Mickiewicza pan czytał? Zamknęli mnie w tej celi i pierwsze uczucie i zapach, które doświadczyłem, to potworny smród i bardzo wysoka temperatura, a ja byłem zmarznięty, choć mocno ubrany. Kolejna rzecz, której do końca życia nie zapomnę – mówią, żebym się kładł spać, bo wszyscy się pobudzili, same bandziory, jak położyłem się na tej prycy, twardej, z kocem, nagle czuję, jak wszystko zaczyna po mnie chodzić... takie robactwo było! Ręce, jak je złączyłem, to skleiły się z tego. Ja nie wiedziałem, że to wszystko tak wygląda i wtedy naprawdę się wystraszyłem. Myślę sobie – tego brudu i tego smrodu, to nie zniosę tutaj. Całą noc nie spałem, ale rano już się zakolegowałem z tymi bandytami, byli złodzieje, recydywiści, najgorsze towarzystwo, jakie mogli tam znaleźć, to mi znaleźli. Ten okres więzienia przetrwałem tak, że opowiadałem jakieś książki, filmy i nawet mi tej bardachy nie kazali nosić, tylko byłem takim kulturalno-oświatowym.

MK: ja miałem podobne doświadczenia. W 1985 roku, po rewizji w domu na Węgierskiej najpierw zawieziono mnie do aresztu w Jarosławiu i tam byłem pod celą z jakimś złodziejem, a po kilku dniach już sam, bo ogłosiłem głodówkę, spałem na długiej wieloosobowej ławie od ściany do ściany. A że ćwiczyłem wtedy jogę i stałem rano na głowie, to klawisze nazywali mnie Stójka francuska. Potem przewieźli mnie do więzienia w Przemyślu na Rokitniańską, gdzie siedziałem chyba w kilkunastoosobowej celi ze złodziejami, mordercami, jeden siedział za pobicie, a inny był z Niemiec, z NRD. I opowiadałem im o sztuce, o architekturze, malarstwie włoskim, bo uczyłem się do egzaminu ze sztuki nowożytnej,

który zresztą po wyjściu z więzienia zdawałem u dr Marii Piwockiej nie na KUL, tylko w Warszawie – spacerowaliśmy po Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie i przepytowała mnie z kościołów. Ale w więzieniu siedziałem w celi z piętrowymi łózkami, a w areszcie nie. Ty miałeś podobne doświadczenia?

AP: Cella w areszcie była mała, cztero lub pięcioosobowa, byłem pod tą celą z dziesięć dni, ale piętrowe prycze, to w zasadzie są w więzieniach, tak mi się wydaje, choć nie wiem, czy wszędzie. Ale w tym areszcie zaczęły się przesłuchania. Pierwszego nie zapomnę, bo klawisz prowadzi mnie do pomieszczenia, zamknęli drzwi, ja mam ręce w kieszeniach, bo pasa nie miałem, a tam stoi nieduży, mojego wzrostu, gość przy oknie, tyłem odwrócony, ręce w kieszeniach. I stoimy. Nagle odwraca się i takim teatralnym ruchem przez lewe ramię, mówi: nazywam się porucznik Karpow, jestem oficerem kontrwywiadu. A ja tak patrzę na niego i mówię: - i co z tego? A on zgłupiał. Ale mówi -wie pan, ja jestem w kontrwywiadzie, mnie nie interesują jakieś tam ulotki, mnie rzeczy poważne interesują. A ja mówię: - a papierosy pan ma? - nie mam..., to ja: - panie poruczniku, nie jest pan przygotowany do rozmowy. I wiesz, co on zrobił? Do drzwi: strażnik, krzyknął, papierosy macie? -Nie, ale zaraz zorganizujemy... jakie? ja mówię - dużo... i przyniósł jakieś caro, carmeny, ja mówię, widzi pan, teraz można rozmawiać. Pokazuje mi zdjęcia, niektóre są w tym albumie, i pyta:

- kto to jest? ja: - nie znam, a on: - to jest pański kolega z pokoju... - Tak? -to bardzo się zmienił... Za którymś razem mówię do niego: - panie poruczniku, umówmy się w ten sposób, że na żadne z tych pytań nie odpowiem, nawet jakby pan pytał o moją siostrę, matkę - powiem, że nie znam... zrobiło to na nim wrażenie. Ten porucznik miał wiele nazwisk, ale nazywał się Mosoń, bo potem ustaliliśmy wszystkich tych ubeków. Miał wykupiaсте ślepie, więc każdy go identyfikował.

MK: jak długo siedziałeś w areszcie śledczym? Kiedy przewieźli Cię do więzienia i gdzie?

AP: kilkanaście dni w areszcie, ale tylko w areszcie. To był okres, kiedy ludzi już z Włodawy, z Hrubieszowa ludzi wypuszczali, a przeciwko mnie nie toczyło się żadne śledztwo o zorganizowanie strajku itp. nikt mnie nie rozpoznawał, więc nikt nic przeciwko mnie nie zeznał z tych przesłuchiwanych, studentów itd. Nawet jak mnie widzieli, to nie wiedzieli, że to jestem ja. Ponieważ wyrzucili mnie ze studiów w tym czasie, bo się nie zgłosiłem po wznowieniu zajęć na Uniwersytecie, to jeszcze w czasie ukrywania się napisałem odwołanie, od decyzji o skreśleniu z listy studentów. Brat wszystko pozafatwiał, że rodzice są chorzy, a ja jestem jedynym żywicielem, który może poprowadzić gospodarstwo. Wtedy to jeszcze działało. Dziekan Reniger, który był jeszcze w tym czasie i rektor Baszyński przywrócili mnie na listę studentów. To była z ich strony duża odwaga, zresztą zapłacili za to utratą swoich stanowisk. To był marzec/kwiecień 1982.

MK: Co działo się dalej? Które osoby zapamiętałeś z tamtego czasu? Czy pamiętasz jakieś wydarzenia z tamtych lat, które miały wpływ na dalszą Twoją działalność?

AP: dalej było tak, że wróciłem na wieś do Rodziców. Ponieważ miałem urlop dziekański, złożyłem wniosek, o zgodę o kontynuację zajęć w studium wojskowym. Chodziło mi o stały kontakt z Lublinem.

Bezpieka nie zdążyła przeciwdziałać, więc przyjęli mnie tam i raz w tygodniu przyjeżdżałem do Lublina, nocowałem. Gdy Bezpieka zorientowała się, to wpadli do Studium Wojskowego i na oczach wszystkich mnie wyprowadzali. Wojskowi oficerowie - część z nich na pewno sympatyzowała z nami - to o nic już mnie nie pytali. Wszystko mi zaliczali, byle bym się tylko nie odzywał, a niektórzy to nawet salutowali czasami. Takie numery były! W podziemiu organizowaliśmy z kolegami tajne komplety, wydawnictwa, ulotki. Ważną postacią, którą trzeba wymienić jest Darek Dudek, dzisiejszy profesor, doradca prezydenta, pracował na KUL, on wtedy był taki bardzo zaangażowany w kolportaż i w takie akcje bezpośrednie, np. rozrzucanie ulotek z dachów. Alicja Waśko, dziewczyna z mojego roku, była mocno zaangażowana i odważna, tak pyskowała podczas przesłuchania, że przykuli ją do kaloryfera... Po pierwszym roku, 1982-83, kiedy aktywność była duża, studia mają to do siebie, że jedni odchodzą, drudzy przychodzą, jest bardzo trudno utrzymać jakąś dyscyplinę. Przychodzili nowi ludzie, w 1984 roku to już było 6 lat mojej obecności na studiach na uniwersytecie. Gdy zaczynałem, to były studia czteroletnie, potem wszedłem w okres pięcioletni. Od tego 1984 roku bardziej już byłem związany ze środowiskami solidarnościowymi niż z NZS, który w naturalny sposób odchodził...

Bieszczady, praca, działalność opozycyjna

MK: w Twoim biogramie w Encyklopedii Solidarności mowa jest, że w 1985 roku byłeś nauczycielem w Szkole Podstawowej nr 2 w Ustrzykach Dolnych. Jak do tego doszło?

AP: W 1984 roku, 14 lipca ożeniłem się, moja żona Mariola pochodzi z Ustrzyk Dolnych i uznałem, że trzeba wiać z tego Lublina, ponieważ komunizm skończy się około 2000 roku, tak uważałem, to ja już będę miał 41 lat, czyli będę takim starym dziadem, że szkoda mi życia teraz, więc postanowiliśmy wiać w Bieszczady i jestem prekursorem takim, o którym Jacek Kaczmarski śpiewał... I wziąłem ślub, jeszcze w międzyczasie obroniłem, pracę magisterską. No i przyjechałem tutaj, do Ustrzyk, pojawiła się możliwość pracy w szkole nr 2, ponieważ ówczesnego nauczyciela wzięli do wojska po studiach i przyjęto mnie w jego miejsce. Uczyłem historii i wiedzy o społeczeństwie od klasy czwartej do ósmej.

MK: Egzekutywa partyjna nie protestowała?

AP: Właśnie! Ja uznałem, że zamelduję się, jak znajdę pracę, więc zwlekałem, ale jak zacząłem pracować od 1 września 1985 roku, to kilka dni potem blady dyrektor szkoły Franciszek Nowak, już nie żyjący, wezwał mnie, już wiedziałem o co chodzi i mówi płacząco tak: - co pan w życiu robił takiego? Wezwali mnie... Co to będzie? Ja mówię - nic nie będzie, bo nic nie zrobiłem. Ale to długo nie trwało, ponieważ była weryfikacja nauczycieli, wezwali mnie, komisja cała, dyrektor, organizacja podstawowa partyjna, Związek Nauczycielstwa Polskiego, ktoś tam jeszcze i pytają mnie, czy będę przestrzegał zasad socjalistycznego wychowania i tak dalej, i tak dalej... A ja pytam: - a na jakiej podstawie państwo o to pytają? - No, mamy takie polecenie... -Polecenie nie jest podstawą prawną. Państwo wiecie, że jestem absolwentem wydziału prawa i administracji? Oni zgłupieli... - Ale musimy coś napisać... -Piszcie państwo, co Państwu sumienie dyktuje. Po-

wiedziałem, że nie będę odpowiadał na żadne pytania. Lata później, gdy byłem już wojewodą pani polonistka, z tego grona pedagogicznego spotyka mnie na ulicy i mówi: - nie sądziłam, że historia panu przyzna rację, ale tak się stało i bardzo pana za wszystko przepraszam. Ja mówię - nic złego pani nie zrobiła, poza tym, że w złym towarzystwie pani się wtedy znalazła.

MK: jak wyglądało życie w tym środowisku, czy pamiętasz jakieś inne ciekawe momenty?

AP: pamiętam wiele ciekawych momentów. Zacznę od takiego z grubszej rurki. Wszyscy musieli chodzić wtedy na manifestacje na 1 maja. To, że ja nie pójdę, to było wiadomo, ale co zrobić, żeby wszyscy nie poszli? To mnie zawsze interesowało: sam przeciwko wszystkim i jeszcze żeby wyszło na moje. W 1986 roku, w kwietniu, Rada Pedagogiczna, prawie 100 nauczycieli, bo to była ogromna szkoła, ponad 850 uczniów, uchwaliła, że 1 maja pójdziemy na pochód, żeby potem 3 maja był dzień wolny. O to chodziło w tym wszystkim. 99 osób głosowało za, a ja jeden byłem przeciw. Siedzieliśmy przy długim stole, wszyscy nauczyciele, dyrektor z jednej strony, ja z drugiej i dyrektor mówi do mnie z nieukrywaną satysfakcją, czy radością: - I co panie magistrze, przegrał pan! - Ja rozumiem, że pan dyrektor udziela mi teraz głosu? - No panie, proszę bardzo! Wstałem i zacząłem tak: - proszę państwa, państwo wiedzą, że jestem korespondentem Radia Wolna Europa? W ciągu ułamka sekundy zrobiła się absolutna cisza... dyrektor z tego rozżalanego, triumfującego gościa stał się bledy... Teatralnie wyczekałem jeszcze parę sekund i mówię: - proszę państwa, dzisiaj w Panoramie Dnia, o godzinie 21.00 ukaże się taka informacja: Rada Pedagogiczna Szkoły Podstawowej nr 2 w Ustrzykach Dolnych, województwo krośnieńskie, zmieniła uchwałą ustawę Sejmu PRL z 1958 roku - datę dzienną i miesięczną wymyśliłem, bo nie pamiętałem, do dzisiaj nie pamiętam - o dniach wolnych od pracy... I tak stoję, ręka w kieszeni, a do dyrektora mówię celowo podniesionym głosem, bo siedział daleko: - Nie po to panie dyrektorze robotnicy w Chicago w XIX wieku... krwią płacili za to, żeby to był dzień wolny, a pan zmusza ich do tego, żeby przychodzili do pracy! Słuchaj, ludzie pospuszczali głowy, nic w ogóle nie mówili... ja całe życie będę to pamiętał. A dyrektor mówi roztrzęsiony: - panie magistrze, to co zrobimy? Ja mówię - uchylić natychmiast, żeby wstydu nie było! W protokole wykreślić, żeby śladu po tym nie zostało, bo to jest kompromitacja... dyrektor: - to głosujemy, a ja: - no chyba pan żartuje! To przez aklamację załatwia się takie sprawy... sam nie mogłem uwierzyć, że to się wszystko stało! To był taki niesamowity numer! I po raz pierwszy od 1951 roku, kiedy Ustrzyki wróciły do Polski, na 1 maja nie było tej szkoły! A to była szkoła sportowa, zawsze manifestowali w dresach, z nartami...

Ale to wszystko zaczęło się wcześniej. Zrobiłem na 11 listopada 1985 roku akademię. Wtedy SD, Stronnictwo Demokratyczne zaczęło podnosić, że to święto powinno być obchodzone. Ale to się nie podobało, tacy ludzie jak Kazimierz Wierzyński, Józef Piłsudski - o nich nie było mowy w szkołach, więc dyrektor szkoły chciał zrobić mi na złość i zlecił przygotowanie drugiej po kolei akademii w tym samym roku szkolnym, w kwietniu 1986 roku, chociaż zasada była taka, że nauczycielowi zlecano raz na kilka lat przygotowanie jakiejś akademii, a mnie w jednym roku szkolnym już drugą. W kwietniu obchodzono miesiąc pamięci narodowej. Wtedy mieszkalem w baraku i po tym zleceniu, zacząłem przygotowywać tę uroczystość, ale w tajemnicy - zwoływałem najlepszych uczniów z siódmej i ósmej klasy, nie dlatego, że byli najlepsi, ale żeby im nic

nie zrobiono, do końca nie pokazałem scenariusza, zwlekałem mówiąc, że jeszcze coś tam poprawiam. I zrobiłem spektakl w rocznicę katyńską o Katyniu i wtedy ich wszystkich krew zalała. Normalnie, po każdej takiej akademii dyrektor dziękował wszystkim, nauczycielowi, uczniom i tak dalej, a w tym przypadku było: - Rozejść się! Potem bezpieka wpadła do szkoły, były jakieś rozmowy, ostrzeżenia. Później, już po wyborach czerwcowych w 1989 roku, jak byłem wice-szefem Solidarności regionu Podkarpacia obejmującego województwo krośnieńskie i Komitetu Obywatelskiego, przyjechałem tutaj do Ustrzyk, ten dyrektor był wtedy zastępcą przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej. I ja mówię, że musimy pozmienić nazwy ulic, bo w Ustrzykach był nadmiar nazw bolszewickich. A on mówi – a nie, bo to tyle kosztuje, zmiana dokumentów... ja go pytam: - ile pan ma do emerytury? Jeszcze trochę miał, a ja pytam go: - chce pan do pracy do Lutowisk dojeżdżać do emerytury? Wszystkie nazwy zmieniliśmy! A czy wiesz, że od tamtej pory, ile było kadencji? 8? Ani jednej nazwy ulicy nie zmienili w Ustrzykach?

Więc to były takie wydarzenia: zmiany nazw ulic, Komisja Weryfikacyjna, w szkole akademie: 11 listopada i w kwietniu katyńska i zakończyli współpracę ze mną, zostałem bezrobotnym. To zostało sprytnie zrobione, bo miałem wysokie notowania, młodzież mnie lubiła, uczyłem piosenek patriotycznych. W tamtych czasach, także w tej szkole spotkało mnie wiele poważnych, ale i zabawnych sytuacji. Mój syn, urodzony w 1985 roku chodził do żłobka, w 1988 roku miał trzy lata i kiedyś w 1994 roku, czyli 6 lat później rozmawialiśmy z Jankiem Rokitą i on przysłuchiwał się, miał 9 lat, i mówi tak do Janka: - proszę pana, też byłem represjonowany przez komunistów... Janek tak patrzy na niego – a jak? Pyta... - Tato, jak mnie nosił na rękach, to żebym nie płakał, to mi śpiewał „Nie chcemy komuny...”. I ja się tego nauczyłem, miałem trzy lata i pani w żłobku pyta mnie Ludwik, a czy ty umiesz coś śpiewać? - Umiem dopowiedziałem, - To zaśpiewaj. To ja zaśpiewałem:

„Nie chcemy komuny...” -proszę pana, rodziców wzywali do żłobka...

To był czas, gdy nie miałem pracy, ale już wtedy trochę ludzi mnie znało i znajomy gość porozmawiał z notariuszem, żebym pracował w biurze notarialnym. W Ustrzykach było państwowe biuro notarialne, inna organizacja niż teraz i pan rejent Stanisław Drozd mówi: - dobrze, czy umiem pisać na maszynie, a ja zarabiałem wtedy m.in. przepisywaniem prac magisterskich na maszynie, więc byłem dobrze przygotowany do roli sekretarki i zacząłem tam pracę. A pracodawcą był Sąd Wojewódzki w Krośnie. I jak oni się zorientowali... Wezwali mnie do tego Krosna, prezes tego sądu mówi, że trzeba złożyć jakieś przyrzeczenie. - Jakie przyrzeczenie, pytam? - Bo każdy pracownik składa przyrzeczenie. - Na co trzeba przyrzekać? - Że będę przestrzegał praworządności.

- Z całą pewnością, odpowiadam. A ten prezes mówi, - wie pan co, patrzyliśmy w papiery, to ja nie wiem, czy to jest z całą pewnością... Trzy i pół miesiąca pracowałem w tym biurze notarialnym. Po czym zagrozili notariuszowi, że albo on, albo ja. I on mówi, że ma dwoje dzieci i tak dalej. I na tym skończyła się moja przygoda w tym biurze notarialnym, znowu byłem bezrobotnym. Różnie zarabiałem na życie, np. w Bieszczadzkiem Parku Narodowym, kopałem odkrywki glebowe. Jestem chyba jedynym człowiekiem, który legalnie przekopał wszystkie szczyty bieszczadzkie, wszystkie! Nie tylko na samym szczycie, ale jeszcze różne warstwy w dół w zależności od roślinności, także dziennie z urobku znosiłem w plecaku od 30 do 40 kilogramów ziemi, którą

pakowało się potem w woreczki, plus kilof, łopatkę i tak dalej. Dyrektorem Parku był pan Tym, bardzo ciekawy człowiek, z wielkim wąsem jak Piłsudski, a ja pracowałem z Tomaszem Winnickim, który wtedy pracował i w Liceum, i w Parku, robił doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim, z gleboznawstwa, to był piękny czas...

MK: Bieszczady są miejscem, dokąd wielu wędruje, by podziwiać krajobrazy z Połonin, ale też szukać ciszy, a w dawnych latach także schronienia. Dawniej można było spotkać ukrywających się w ziemiankach na zboczach gór. Pod Caryńską w latach 70. powstała nawet nieoficjalna wioska, budowana przez różnych leśnych ludzi, ale też późniejszych działaczy opozycji, np. Wieśka Nowackiego. W tamtych latach nieraz jeździłem tam na jagody z kolegą Jurkiem Bonarkiem, który też mieszkał pod Caryńską i znał dokładnie góry, a wtedy szlaków nie było i było dużo mniej drzew. Parę lat temu staraniem IPN, starosty Bieszczadzkiego i Bieszczadzkiego Parku Narodowego odsłanialiśmy w Wołosatem pomnik poświęcony ludziom wolności z tamtych lat: Bramę Wolności.

A w którym miejscu Bieszczadów Ty czujesz się najlepiej? Czy masz jakieś ciekawe wspomnienia z Bieszczadów?

AP: Niewątpliwie obszar bieszczadzkiego Parku Narodowego jest najatrakcyjniejszy - połoniny, Dolina Moczarnego, Terebowiec czy obszar Górnego Sanu. To są miejsca bytowania dużych drapieżników jeleniowatych i wielu gatunków ptaków.

MK: czy angażowałeś się w czasie lat 80., w kolportaż niezależnych wydawnictw w Bieszczadach?

AP: przede wszystkim wśród ludzi, których poznałem w tej szkole, było dużo nauczycieli, do tego kręgu należał Andrzej Szczerbicki, Tomasz Winnicki, część osób z IGLOPOL-u w Smolniku. Przywoziłem bibułę i dawałem im w zależności co kogo interesowało, zostawiałem też wydawnictwa na plebanii, organizowaliśmy tam też wykłady. Proboszczem był Julian Jakięła, bardzo porządny ksiądz, przed nim był ks. Stanisław Bartmiński, potem proboszcz w Krasieczynie.

MK: Obu znałem, ksiądz Julian Jakięła prowadził w latach 60. ministrantów w katedrze przemyskiej, gdzie też byłem ministrantem, a z księdzem Stanisławem Bartmińskim w latach 80. po stanie wojennym współpracowaliśmy ściśle przy organizacji duszpasterstwa rolników w Krasieczynie i w całej diecezji.

Rok 1989 i pierwsze lata wolnej Polski

Marek Kuchciński: Pod koniec lat 80. Rozpocząłeś także studia doktoranckie?

Adam Pęziół: tak, uznałem, że trzeba mieć jakiś kontakt ze światem i profesor Jerzy Kłoczowski, którego zapraszałem jeszcze w czasach NZS na wykłady na UMCS, znałem się dobrze z jego synami, Jankiem i Piotrem, tłumaczyli wtedy różne książki z francuskiego, m.in. Konstantego

Jeleńskiego i profesor Kłoczowski zaproponował mi udział w seminarium z historii kultury. Byli tam wtedy Marian Piłka, Adam Michnik, Marcin Przeciszewski, późniejszy szef KAI, była taka dziewczyna, jedyna, która obroniła doktorat, ale była strasznie poniewierana, ona interesowała się zbrodniami wołyńskimi..., było bardzo ciekawe towarzystwo. Przyszedł rok 1989 i nie zdążyłem zrobić doktoratu, ale i z pewną ulgą przyjąłem, że nie będę musiał dalej siedzieć w jakichś archiwach. Pracowałem wtedy w różnych miejscach, trochę dorywczo, byłem zatrudniony na jakieś półetatu w Towarzystwie Opieki nad Zabytkami, robiłem rozmaite rzeczy. Ale warto wspomnieć, że w 1987 roku dostałem nagrodę Fundacji POLCUL. To była fundacja Jerzego Bonieckiego z Australii, miała dużo pieniędzy, w jej radzie był też Giedroyc. Nagroda była jednorazowa, 400 dolarów, ale dla porównania, dwa lata wcześniej jako nauczyciel zarabiałem 11 dolarów miesięcznie, czyli dostałem trzyletnie zarobki nauczyciela. To były duże pieniądze. I potem, gdy w 1988 roku dostałem stypendium ufundowane przez Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu, miałem już pieniądze na pobyt w Paryżu. Rektor KUL pomógł mi uzyskać paszport i jesienią wyjechałem na to stypendium. Przeprowadziłem tam wiele rozmów, z Giedroyciem i innymi. Wtedy interesowałem się środowiskiem prometeistów w Polsce, czyli towarzystwem ukraińskim skupionym wokół Biuletynu Polsko-Ukraińskiego wydawanego przez Włodzimierza Bączkowskiego. To jest ważna rzecz, mam dużo materiałów, można by nad tym jeszcze popracować, bo nie słyszałem, żeby ktoś o tym pisał. W dwudziestoleciu międzywojennym wiele elit z tych narodów środkowoeuropejskich, kaukaskich mieszkało w Warszawie i pod Warszawą. Wtedy, zanim poszedł do „Polityki”, Jerzy Giedroyc zaczynał w tym Biuletynie Polsko-Ukraińskim. Tam pisali najważniejsi ludzie. To było środowisko, które szukało z UNDO (Ukraińskim Zjednoczeniem Narodowo Demokratycznym) porozumienia i to była bardzo ścisła współpraca polsko-ukraińska. Później ci, którzy poszli do Bandery i Melnyka, to oni zwalczali tych z UNDO. I ja się spotykałem z tymi ludźmi w Paryżu. To było przeżycie dla mnie. Na przykład spotkałem się z Władysławem Boyem-Żeleńskim, który mając 26 lat, był oskarżycielem publicznym w procesie Stepana Bandery po zabójstwie ministra Pierackiego. Rozmawiałem z nim bardzo długo - 12 godzin bez papierosa wytrzymałem u niego w gabinecie w domu. Miałem wtedy 28 lat, a on na spotkanie z takim młodym człowiekiem był w garniturze, biała koszula, krawat, jego żona też już wtedy po 80-tce podawała ciastka, herbatę... Wszystko mi opisywał. Mnie zależało na tym m.in., by dowiedzieć się jakim człowiekiem był Bandera. Interesowałem się szczegółami których nie wyczytasz w aktach sądowych. Zapamiętałem wiele rzeczy, nie pozwolił mi notować, mówił - niech pan słucha. Bandera był bardzo pewny siebie, żadnej skruchy, gdyby miał dostać kulę w łeb, to nie poprosiłby o łaskę. Pewny, że trzeba Lachów wybić i tak dalej, potwierdzała się opinia o Banderze, którą mieliśmy już wcześniej. I to wiem od człowieka, który wg mnie - nikt lepiej nie znał Bandery jak on.

W Maisons Laffitte z Giedroyciem spotykałem się dwa razy na długich rozmowach, oraz takimi ludźmi jak: z Herlingiem Grudzińskim, z Józefem Czapskim, z obydwojgiem Hertzami, Zofią i Zygmuntem, z Henrykiem - bratem Jerzego Giedroycia.

Bardzo dobrze byłem tam przyjęty, miałem dobrze schowany list polecający od profesora Kłoczowskiego. Giedroyc dał mi sporo książek, całą historię Ukrainy, Hruszewskiego... to wszystko przepadło mi później, wiem kto powinien je mieć, ale już nie będę wracać do tamtych czasów.

Giedroyc już w latach 90. odmawiał przyjęcia Orła Białego mówiąc, że na to nie zasłużył, za mało w życiu zrobił, żeby dać mu Orła Białego – jakże dzisiaj to brzmi!, w porównaniu, kto w ciągu tych 30 lat dostawał najwyższe polskie odznaczenie! To była wielka postać. Te spotkania dzięki stypendium, to było wielkie wydarzenie w moim życiu. Prezes Towarzystwa historyczno-literackiego przyjmował mnie na Wyspie Świętego Ludwika, tam poznałem wielu wielkich i wspaniałych ludzi, wielu z nich było związanych z tym biuletynem polsko-ukraińskim. To było wielkie pismo, najpierw kilkanaście stron potem kilkadziesiąt, wielu wybitnych autorów.

Gdy w 1993 roku przyjechałem do Przemyśla, to byłem bardzo dobrze zaznajomiony w sprawach polsko-ukraińskich. Nie przyznawałem się do wszystkiego, bo sobie myślę, że zanim się zdążę wytłumaczyć, to mnie tam powiesicie (śmiej) ale dużo wiedziałem, jeśli chodzi o ludzi, o pewne poglądy, politykę. Byłem ukształtowany w taki sposób, że widziałem tę różnorodność polityczną i historyczną, widziałem losy ludzi, którzy byli u Andersa i nie miało znaczenia, że to Polak, Ukraińiec czy Żyd. Z banderowcami nie spotkałem się ani razu, ale z melnykowcami spotykałem się. Na emigracji wychodziło pismo „Zustricz”, to oni to robili.

MK: znam to pismo, docierało do Przemyśla w latach 80. I część nakładu przeczucaliśmy przez granicę do Sowietów, koleją. Było po ukraińsku, ale też przeczucaliśmy Biblię po ukraińsku i rosyjsku. Sporo tego było. Przerzucem zajmowały się struktury podziemnej Solidarności Marka Kamińskiego, ja im dostarczałem paczki z bibułą. Parę razy spotykałem się konspiracyjnie w Warszawie z Tarasem Kuzio, działaczem ukraińskim z Londynu, on był chyba od melnykowców. Latem 1988 roku, gdy po kilku latach zakazu opuszczania kraju dostałem paszport, pojechałem do Berlina Zachodniego na spotkanie z Bohdanem Osadczukiem i jeszcze z jakimiś Niemcami. To był zupełnie inny świat, nastawienie ludzi – wyłącznie na walkę z komuną. Dzisiaj patrzymy na Ukraińców czy Niemców dość jednostronnie, przez jedną kliszę, jak za komuny, a tam była różnorodność poglądów kto wie czy nie większa jak w Polsce.

AP: Inne ciekawe wydarzenie, o którym jeszcze nikomu nie mówiłem. Józef Darski vel Jerzy Targalski, był emigrantem politycznym, prowadził w „Kulturze” kronikę wydarzeń krajów bloku wschodniego. Znał 14 języków, miał ogromną wiedzę, wielki zasób informacji. Giedroyc pyta: - zna pan go? ja mówię - nie znam. - To ja do niego zadzwonię i panowie się spotkają, dał mi numer i z domu, w którym mieszkalem w Paryżu zadzwoniłem do niego. - O, chętnie, wraca pan do kraju? - Tak, nie wiem, jeszcze kiedy, ale wracam. Spotkajmy się, gdzie pan proponuje? A on mówi: - przy fontannie, przy stacji metra – wymienił nazwę. Jak się rozpoznamy? – ja pana znajdę. Ja sobie myślę, zobaczymy kto kogo znajdzie... Przyjechałem godzinę wcześniej, kupiłem sobie Le Figaro i siadłem przy fontannie. Zbliżyła się umówiona godzina, idzie konspirator ... zaszedłem go z tyłu i mówię cicho: - dzień dobry, Adam Pęziół... pan mnie znalazł, co? Ale rozmowa okazała się niezwykle ważna, potem spotykaliśmy się raz jeszcze. Dał mi m.in. dla Sajudisu materiał do sitodruku, taką specjalną tkaninę dla lepszej jakości tego sitodruku i jeszcze jakieś dokumenty. I pyta: - czym pan jedzie? samolotem... O, teraz tak nie szukają... nie miałem tej powrotnej podróży komfortowej, bo gdyby mnie zatrzymano z tymi materiałami po litewsku, to byłaby to bardzo trudna sprawa, żeby się z tego wytłumaczyć. Wylądowałem na Okęciu, wszystkie te gęby

WOPistów – wiadomo, a ja z takim hollywoodzkim uśmiechem wołam: - jak miło swoich rodaków zobaczyć... a oni: - to długo pana nie było? W paszporcie były pieczętki i nietrudno było zobaczyć, ale taki sposób bycia ułatwił mi wiele razy w życiu wyjście z trudnej sytuacji. I oni pytają: - wiecie pan coś? - a tak dla żony coś kupiłem, a plecak mam wyładowany po brzegi książkami i tak dalej. Nawet nie kazali otwierać go, - dobrze, dziękujemy... I moim zadaniem było zadzwonić pod określony numer, z określonej budki w Warszawie, dwa telefony musiałem wykonać: jeden do Paryża. A czy wiesz, że wtedy była taka budka w Warszawie, że dzwoniło się na świat za darmo i mogłeś dzwonić ile chciałeś? Drugi telefon miałem wykonać, a to już za dziesięć złotych, takie metalowe, do gościa, nie wiem gdzie, przyszedł, dałem paczkę, zniknął i do dzisiaj nie wiem, co się dalej z tym stało. To był rok 1988. Więc mam swój mały udział w niepodległości Litwy. Jeśli chodzi o ostatni czas przed 1989 rokiem, to już byłem sprzedawcą sklepowym, nie miałem innej pracy w Ustrzykach. To było trochę inaczej ciekawe zajęcie...

MK: to był czas, kiedy Solidarność przygotowywała się do wyjścia z podziemia. W niektórych regionach struktury ujawniała się. Jak to wyglądało w Ustrzykach?

AP: oczywiście zaangażowałem się, ale na początku to było bardzo rachityczne, moim zdaniem w Ustrzykach nie było struktur Solidarności podziemnej. Dzisiaj snute są różne opowieści, na pewno część działaczy miała Solidarność w sercu, ale aktywności nie odnotowałem. Postacią, którą należy przywołać jest pan Kazimierz Kołodziński, profesor chemii w Liceum, człowiek, wobec którego komuniści stosowali represje i który od stanu wojennego do końca życia nie brał udziału w życiu publicznym. On prowadził w swoim mieszkaniu tzw „tajne nauczanie”: czyli dawał korepetycje z chemii. Budował swój niezależny świat. Często u niego bywałem, dużo rozmawialiśmy o okresie Solidarności, strajków ustrzyckich, bo brał w nich udział i czasem mówił: -musimy kończyć, bo zaraz przyjdzie tajniak... tak nazywał uczniów, którzy przychodzili do niego na korepetycje z chemii, żeby zdać dobrze maturę i dostać się potem na studia. Wielu ludzi zawdzięcza mu lepsze życie w przyszłości, bo dostawali się na studia, zostawali lekarzami itp. Więc ten profesor, gdy go poznałem w 1984 roku, miał 44 lata, wyglądał na 34, miał bardzo młodą twarz, po latach wrócił do rodzowego nazwiska Hesco Kołodziński. I on mówił do mnie tak: -proszę pana, jak walczyłem w Powstaniu Warszawskim... ja sobie myślę, wariat, co on gada? Przecież go wtedy na świecie nie było, okazało się, że on był ze stycznia 1940 roku i miał 4,5 roku jak wybuchło Powstanie, matka mu dawała bańkę z herbatą czy wodą i on chodził po tych piwnicach, rozdawał powstańcom i śpiewał dla nich, bo miał niesamowity głos, taki jak słowik poznański i serio opowiadał, że podtrzymywał na duchu, więc także walczył.

Więc to był człowiek, którego komuniści zniszczyli do tego stopnia, a działało się to na moich oczach, że taki był zalękniony, że już nigdy nie odzyskał takiej ochoty do społecznego życia. Na szczęście Rzeczpospolita go uhonorowała i pod koniec życia dostał Krzyż Wolności i Solidarności. Niedawno zmarł. To jest jedna z najpiękniejszych postaci, jakie tutaj w Ustrzykach spotkałem, nawet zaliczyłbym go jako pierwszego. Często odwiedzaliśmy się w naszych domach. Więc ta jego wycofana postawa niewątpliwie spowodowana była działalnością Służby Bezpieczeństwa. Po stanie wojennym nie wrócił już do pracy w szkole, a był niezwykle cenionym nauczycielem chyba przez wszystkich, nawet tych, którzy dostawali dwóje. Miał swój system ocen: dwójeczka

nie oznaczała dwóji, piąteczka nie oznaczał piątki i nikt się nie mógł połapać w tym co to znaczy. Był takim na swój sposób dziwakiem, ale człowiekiem o wielkiej bystrości umysłu, wielkiej szlachetności.



MK: Przychodzi rok 1989 powstają komitety obywatelskie i włączasz się w ich działalność. Jak to się odbyło? Ten ruch był z pozoru jednolity, ale wewnątrz spory toczono od początku. Niektóre środowiska polityczne nie włączyły się do tych komitetów, np. KPN.

AP: jeszcze przed ujawnieniem Solidarności chodziliśmy z Tomkiem Winnickim po dawnych działaczach zachęcając do aktywności w odbudowie związku i w Ustrzykach powstała międzyzakładowa komisja koordynacyjna, stanąłem na jej czele. Część moich dawnych kolegów uniwersyteckich była z Krosna i dowiedzieli się, że tutaj jestem, taki były szef NZS.

I bardzo szybko nawiązałem kontakt z Zygmuntem Błażem, Pawłem Chrupkiem, późniejszym posłem OKP z Solidarności Rolników Indywidualnych. W Krośnie były dwie frakcje, jedna związana z kapucynami, druga z franciszkanami. Ja byłem w tej franciszkańskiej. Benedyktyni mają zawołanie „Ora et labora” - módl się i pracuj, natomiast Franciszkanie „pax et bonum” – pokój i dobro. Więc byłem w tej frakcji „pokój i dobro”. I rzeczywiście tę batalię wygraliśmy, choć nie atakowaliśmy pozostałych.

Odnosząc się do sporów wewnętrznych, to zawsze byłem zwolennikiem jednej postawy: interesowali mnie ludzie szerokiego spektrum, ale wyłącznie o postawie antykomunistycznej. Co dalej reprezentowali, to już mnie mniej interesowało: czy to byli chadecy, liberałowie, konserwaty-

ści. Dlatego późniejszy AWS bardzo mi się podobał, bo były tam różne konkretne frakcje, tylko trzeba było tym inaczej pokierować, ale to już przypało. Bo ścieranie się poglądów powinno polegać na tym, że np. głosujemy i jak jeden pogląd wygrał, to drugiego nie wyrzucamy, tylko umawiamy się, że kiedyś do niego wrócimy. Natomiast tworzenie jednolitości, jakiegoś monolitu powoduje zawężenie się spektrum środowisk politycznych.

I tu już wybiegam w przyszłość: uważam bowiem, że nie będzie jakiegoś ładu politycznego, porządku, jeżeli nie będzie szerokiego spektrum ludzi postsolidarnościowych odwołujących się do wartości chrześcijańskich i etyki solidarności.

MK: wróćmy jeszcze do kampanii wyborczej w 1989 roku. Jak to wyglądało z Twojej perspektywy? Nie byłeś kandydatem, ale razem z Zygmuntem Błażem kierowałeś kampanią w całym ówczesnym województwie krośnieńskim. Kto pomagał, jakie środowiska, poza Solidarnością? Jak do tego podchodziłeś? No i po każdym etapie wracamy zwykle do oceny, do podsumowania – co się zmieniło?

AP: zostałem wiceprzewodniczącym wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego Solidarność w Krośnie, Zygmunt Błaż był szefem, podobnie w zarządzie regionu Solidarności, on był szefem, ja zastępcą. Bardzo dużo czasu poświęciłem tej kampanii. Jeździłem wszędzie, codziennie, tyle ile się dało. To był bardzo aktywny okres w moim życiu i powiem kilka refleksji o charakterze ogólnym. Po pierwsze, nasza aktywność, parafie, kościoły itd., ludzie, którzy później najchętniej wyrzuciliby z życiorysu te zdjęcia z kościołów itd. – to wszystko było niesamowite! Gustaw Hołubek, z którym dużo czasu spędziłem, na tych zdjęciach jest absolutnie jak z obrazów El Greca, taki jest rozmodlony... Jerzy Osiatyński, niewierzący, Żyd z pochodzenia, ojciec chrzestny mojej córki zresztą... to wszystko też było niesamowite, więzy, które się tworzyły, ktoś mówił mi tak: jednak miałaś odważne pomysły.

Ale tak to było. I wielu ludzi nie pamięta, nie chce pamiętać, nie chce oddać tego, co się komuś słuszenie należy, bo taka jest przecież definicja sprawiedliwości: to jest oddawanie tego, co się komuś słuszenie należy, nawet, jak myśli dzisiaj inaczej. Kościół odegrał ogromną rolę, po pierwsze w sensie duchowym, ale też w sensie logistycznym, a także i materialnym. W moim przypadku, proboszcz Jakięła, jak byłem bez pracy zlecił mi uzupełniać księgi parafialne, chrztów, ślubów, zgonów itd., i swoim niezbyt eleganckim charakterem pisma porządkowałem dokumenty parafialne, do bibliotek, za co dawał mi pieniądze, żebym miał z czego żyć. To był wielki wkład, abp Ignacy Tokarczuk na swoim poziomie i w ślad za nim proboszczowie pomagali ludziom Solidarności ukrywać się, prowadzili działalność edukacyjną i formacyjną w postaci duszpasterstw czy dni kultury chrześcijańskiej, robiono sporo rozmaitych rzeczy. I tak naprawdę kampania wyborcza polegała na tym, że w takich miejscach decydowaliśmy o naszej historii, wiedzieliśmy, że jesteśmy w momencie przełomowym. Że albo teraz, albo nigdy. I jeśli zadajesz pytanie: jak do tego podchodziliśmy, to tak naprawdę, niezbyt krytycznie podchodziłem do tych ustaleń okrągłego stołu, bo uznałem, że jak ci wszyscy, tzw. ważni ludzie uznali, że tyle się da wywalczyć teraz, więcej na da rady, to oznacza, że o resztę będziemy walczyć później. A nie, że wszystko, albo nic. Bo byliśmy już słabi, jak popatrzysz na strajki na Wybrzeżu, czy w Stalowej Woli, wiem

jak wyglądało to w Lublinie, to zostało nas tyle ile mniej więcej jest teraz – 10%. Moim zdaniem czerwoni to też wiedzieli, przecież nie byli głupi, ale uznali, że przy okazji przepoczwarzą się i to im się opłaci, też mógłbym o tym wiele powiedzieć. Ale – wróć na chwilę do sesji o 56 roku - jak zobaczyłem w Warszawie, kto tam mieszkał w jednym bloku w dzisiejszej Alei Szucha, wtedy I armii Wojska Polskiego, najbliższym budynku przylegającym do URM , mieszkali tam ludzie tacy jak Adam Hanuszkiewicz, Władysław Bieńkowski, Stefan Kisielewski, Jerzy Andrzejewski... chodziłem po tej klatce i nie wierzyłem oczom! To wydawało mi się niemożliwe! Stefan Kisielewski pił wódkę z Jerzym Andrzejewskim i jak już się upili, to mówili kogo będą wieszać: -tego Gomułkę! I jak Kisielewski chciał mieć paszport, a Andrzejewski, który był kimś ważnym w Związku Literatów Polskich poszedł interweniować w tej sprawie, to oficer mówi do niego tak: -proszę pana, ten ch... chciał Gomułkę powiesić na żyrandolu... Wszystko było nagrywane! I oni wszyscy byli w jednym kotle! Ja dopiero wtedy

zrozumiałem, co to znaczy ta Warszawa. To towarzystwo było tak ze sobą zblatowane i nawet nie chodzi o to, że to jakiś spisek, bo oni po prostu tacy byli. Jedni byli wyrzucani z partii, inni chcieli być wyrzucani, bo nie lubili Gomułki i to nie była kwestia jakiejś aksjologii, to były powiązania tego typu, że ta zdradziła tamtego z tamtym i można by opowiadać o tym godzinami. Tak się tworzyły rozmaite frakcje polityczne. Oczywiście, część była takich jak moczarowcy, zupełnie jakby z innej bajki, ale reszta była zblazowana i ich interesowały realne wpływy, a nie jakaś tam ideologia. Był taki Dominik Jastrzębski, w rządzie Rakowskiego minister od współpracy gospodarczej z zagranicą, miał w Bieszczadach mnóstwo ziemi koło Chmiela i on przyszedł do mnie i mówi, - wie pan, myśmy z Olkiem uzgodnili, że trzeba z panem porozmawiać. A ja byłem wtedy, od 1994 roku prezesem Bieszczadzkiej Agencji Rozwoju Regionalnego. Patrzę na gościa, a on już wtedy był skazany przez TRYBUNAŁ STANU za aferę alkoholową, poza nim nikt więcej od dziesięć lat, a to był rok 1997! Za pół roku AWS zwyciężył w wyborach parlamentarnych! I on mówi - my się tak przyglądamy różnym ludziom. I pan nam pasuje. W tym momencie nie potraktowałem tego już jako komplement, pytam dlaczego? - wie pan, myśmy z Olkiem tak rozmawiali, że pan jest inteligentny, że z panem można by było ważne rzeczy robić itd. I tak jedzie, bez zmrużenia oka. A oni wtedy rządzą z PSLeM od 1994 roku, a Kwaśniewski był prezydentem Polski. I mówi: - bo my tymi chłystkami, co im słoma z butów wystaje, to się brzydzimy. Bo my byśmy chcieli z takimi jak Geremek, jak pan. Ja mówię do niego tak: - wie pan co? mnie się wydaje, że pan się pomylił... I tak skończyła się ta rozmowa.

Oni wiedzieli co się dzieje w świecie. Przecież Kwaśniewski, on wszystkie numery „Kultury” znał, wszystkie książki wydawane w Londynie, w Paryżu znał, bo wszystko co skonfiskowali miał w pierwszej kolejności. Oni byli lepsi od nas między innymi dlatego, że w pewnym momencie, jak zaczynasz z jakimiś ludźmi rozmawiać i nagle ktoś się odzywa, to masz wrażenie, że wie dużo więcej od ciebie co się np. stanie i jednocześnie ty wiesz, że on trafnie przewiduje i błyskawicznie dostosowuje się do sytuacji, jak kameleon. On mógł otwierać taką klatkę, albo taką. To byli ludzie tak zdemoralizowani, że on ci mógł wszystko powiedzieć, co chciałeś. Jastrzębskiego przywołałem z tego powodu, aby zobaczyć jak on to zrobił. Mówi do mnie tak: -idę do Mietka Rakowskiego , w sprawie ustawy o stosunku państwa do kościoła katolickiego i powołaniu komisji majątkowej i mówię mu tak: „Mietek to nie wypada żeby k..wy rozdawały święte obrazki!”. Mógł

to powiedzieć, bo wyglądał mi na takiego, co nie musiał konfabulować.

MK: no tak, rewolucji w stworzeniu nowego sposobu na życie w oparciu o tradycyjny system wartości i budowaniu silnych podstaw państwa nie dokonaliśmy, zmiany w tym względzie podążają w stronę niepewną i masz rację, kościół był i jest opoką. Ale w tamtym czasie 1989 roku, dopiero zaczynał się proces, była kampania wyborcza. Czy były przypadki angażowania się służby bezpieczeństwa w tę kampanię? W Przemyślu w sąsiedztwie komitetu obywatelskiego, który miał swoją siedzibę przy Placu Legionów koło dworca kolejowego, SB miała swój lokal i nas podsłuchiwali. Jak przyjeżdżali goście z zagranicy, to milicja legitymowała ich na drodze.

AP: W kampanii wyborczej bezpieczeństwa była obecna na wszystkich spotkaniach z kandydatami na posłów i senatorów. Raz jak prowadziłem spotkanie, to mówię tak: - panie oficerze, zawieszę teraz spotkanie na 5 minut, bo widzę, że pan nie może zmienić kasety w magnetofonie... A ludzie podnosili szum, bo zauważyli tego człowieka. Natomiast sam 4 czerwca, jeśli chodzi o moje osobiste doświadczenie, to byłem bohaterem: był taki Barański, dziobaty, który prowadził dziennik telewizyjny i on podaje taki komunikat: - dzisiaj podczas niedzielnej mszy świętej, wier-ni w kościele w Górzance, województwo krośnieńskie, wyprowadzili obywatela Adama Pęziola - działacza Solidarności za agresywną kampanię zabronioną podczas ciszy wyborczej i tak dalej... Ja to oglądam u teściów w domu, teść tak patrzy, a ja siedziałem cały dzień u niego, z przerwą na pójście do lokalu wyborczego, ponieważ tu był jedyny telefon, z którego mogłem korzystać, a odpowiadałem za tą całą część sanocką i Bieszczady, jeśli chodzi o wybory, tak się podzieli-liśmy z Zygmuntem. I teść tak patrzy na mnie i zastanawia się, kiedy ja mu zniknąłem z oczu... ja mówię - Tato, ja nie wiem nawet, gdzie jest ta Górzanka (śmiech). I szybko zadzwoniłem do naszego mecenasa Karola Helińskiego, że to jest nieprawda itd., teleksem poszła wiadomość, że to jest nieprawda, skasowali to o północy, ale wcześniej rozpętała się straszna burza, bo część ludzi w to uwierzyła. Byłem ciekawy, jak to się stało. Po latach dowiedziałem się, że z komendy wojewódzkiej SB w Krośnie poszedł teleks do MSW, więc tutaj sfabrykowali to kłamstwo. Po wyborach pojechałem tam do proboszcza, a oni nic nie wiedzieli, bo tam sygnał telewizyjny nie docierał. Więc widzisz, jak to było wybrane? Tak goście potrafili pracować!

MK: porozmawiajmy jeszcze o Komisji Weryfikacyjnej funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa: wywiadu, kontrwywiadu itd. Byłeś jej przewodniczącym w województwie krośnieńskim. Jak wyglądała ta weryfikacja? Bo o niej jakoś się nie mówi, a ocena zwykle jest negatywna?

AP: już byłem wicewojewodą, mianowanym 7 kwietnia 1990 roku i ta komisja powstała zaraz po tym mianowaniu. Szefem URM był Jacek Ambroziak, szefem MSW Krzysztof Kozłowski. Takich przypadków, żeby szefem komisji był wojewoda lub wicewojewoda, było tylko dwa lub trzy na 49 województw. Zwykle to byli ludzie związani z komitetami obywatelskimi i z Solidarnością. Ja zostałem przewodniczącym Komisji, w niej byli: poseł Paweł Chrupek, był komendant wojewódzki Policji, był szef kadr, który nie brał udziału w przesłuchaniach tylko przynosił papiery, a potem mówiło się, że dobierali sobie ubeków, co było nieprawdą. Ja nadałem tej komisji taki ton, trochę

zgodnie z instrukcją ministra Krzysztofa Kozłowskiego, że ludzi od technicznych spraw, jeśli chcą pracować dla wolnej Polski, żeby ich nie wyrzucać. Natomiast tych wszystkich z pionu IV, czyli walki z kościołem, inteligencją itd., absolutnie, bez pobłażania. Ja z każdym przeprowadzałem rozmowę, mało kto z komisji odzywał się, ja prowadziłem te rozmowy. Kiedyś, śp. Janusz Kurtyka mówi do mnie, no pobłażliwie podchodziliście do tego. A ja pytam: - a w którym przypadku? - A no tak, to nie pamiętam, a ja mówię: - a ja wszystko pamiętam! Mam listę do dzisiaj! Nie pamiętam procentowo, ale było tak, że przy kwalifikowaniu do pracy w organach bezpieczeństwa państwa było takie podwyższone kryterium: ze względów moralnych. I niektórzy mówili, że dobrze, że nas pan wyrzucił, nie mam o to pretensji, ale że ze względów moralnych? Zabiegali bardzo o to, żeby tego nie było, że nie byli takimi świniami. Była raz taka historia, rozmawiam z oficerem kontrwywiadu, wysoki stopniem funkcjonariusz, pułkownik. I pytam go - czym pan pułkownik zajmował się? - Mniejszością ukraińską. A dokładniej? - No... i zaczyna coś tam opowiadać. - Ja rozumiem, że język ukraiński pan zna? A on: - tak. To niech pan powie jakiś fragment Kobziarza Tarasa Szewczenki. Ci wszyscy moi z komisji zdębieli... A on mówi, że nie zna. -to pomocnicze pytanie panu zadam, niech pan powie ojciec nasz po ukraińsku. A on mówi tak: - nie odpowiem już na więcej pytań. -to do widzenia panu! takie były rozmowy... to byli dyletanci! Oczywiście, od pewnych rzeczy byli goście odpowiednio przygotowani, ale tutaj widać było wyraźnie, że zajmowali się czymś innym. Jeśli ktoś zajmuje się jakąś narodowością nie znając języka, to co? Na tłumaczeniach poprzestaje? Nie było ich tam dużo w tym pionie, ale żaden nie został.

Były też próby dotarcia, np. przynosili informacje o rozmaitych ludziach, o księżkach i kulisach strajków ustrzyckich, kogo mieli w tym komitecie, to wymagałoby weryfikacji, nie sięgałem do zasobów IPN, zresztą wtedy go jeszcze nie było. Ale konsekwencje mojego udziału w tej komisji były rozmaite, opowiem o jednej.

Dzięki temu, że zostałem wicewojewodą, podłączono mi telefon do mieszkania, jak się okazało, numer 70 był po pierwszym sekretarzu miejscowej PZPR i dochodziło do zabawnych historii, dzwoni ktoś: -Towarzyszu sekretarzu... ja mówię zastanów się człowieku do kogo dzwonisz. Ale były też mniej zabawne sytuacje. Jak skończyły się prace Komisji weryfikacyjnej, to zaczęły się telefony pod ten numer. Kiedyś, z soboty na niedzielę, o pierwszej w nocy, zdążyłem akurat zasnąć, ale jak dzwoni telefon, ja piastuję ważne stanowisko państwowe, to przecież nie będę udawał, że go nie słyszę. Podnoszę słuchawkę, a tam takim chrapliwym głosem słyszę: -umrzesz, umrzesz... wtedy mój mózg zareagował błyskawicznie, w ciągu ułamka sekundy przypomniałem sobie scenę, podobną opowiadał Antoni Słonimski, po słynnym Liście 64, miał takie telefony i odpowiedziałem jego słowami, natychmiast temu głosowi w słuchawce, a wtedy miałem łatwość w komunikacji z ludźmi -A ty ch... myślisz, że będziesz żył wiecznie??. I proszę sobie wyobrazić, że skończyły się takie rzeczy. Już nigdy więcej telefon anonimowy nie zadzwonił. On nie mógł być anonimowy, bo przecież pani na poczcie czy w komunikacji łączyła i natychmiast zadzwoniłem, kręcąc korbką na pocztę, a pani mówi, że nie wie, że wiele telefonów jest, a ja mówię: o tej porze jest tak dużo telefonów? widać było, że była wystraszona, ale nie dochodziłem już tego, bo byłem dumny, że powiedziałem to, co powiedziałem. To jedna historia.

Druga historia jest już mniej zabawna. Dzwoni do mnie zrozpaczona żona, a to była rzadkość.

roztrzęsiona - co się okazało: wychodzi z Ludwikiem do przedszkola, miał niespełna pięć lat i przed drzwiami mieszkania, na ulicy Gombrowicza, gdzie mieszkaliśmy leży stos okrwawionych kości. Sąsiedzi się zbiegli. Ja jej mówię, nie wracaj do domu, pracowała w szkole, idź do rodziców, ja przyjadę. Przyjechałem do mieszkania, zadzwoniłem do gościa, o którym wiedziałem, że był TW, i zaprosiłem go do siebie i mówię: - Powiedz tym swoim, że jeśli jeszcze raz ktoś stanie pod moimi drzwiami, to go zastrzelę przez drzwi. Od tamtej pory na tym terenie nigdy już nic takiego się nie zdarzyło. Opowiadam Ci o tym dlatego, że oni próbowali zastraszyć rozmaicie, jak nie mnie, to moją rodzinę.

W pracy tej Komisji była duża swoboda. Wiem, że w różnych miejscach kraju różne rezultaty były. Ja uważam, że zrobiliśmy to, co należało, z taką odpowiedzialnością też za przyszłe losy Urzędu Ochrony Państwa, opinia Michała Stręka też byłaby tu istotna, bo zarządzał tym w całym województwie. Nie wszystkich wyrzuciliśmy, bo nigdzie tak nie jest i nie było. Za czasów Piłsudskiego było podobnie. Nie wszystkich należało do jednego worka wrzucić.

MK: Od początku lat 90 przeżywaliliśmy prawie każdego roku jakieś wybory: samorządowe, prezydenckie, parlamentarne. Był to jednocześnie okres formowania się nowych postsolidarnościowych partii politycznych. W województwie przemyskim w roku 1992 działalność komitetów obywatelskich wygasła praktycznie. W ich miejsce powstały już od 1990 roku Porozumienie Centrum i ROAD (potem Unia Demokratyczna przekształcona w Unię Wolności). One powstawały właściwie głównie po to, że przeprowadzać wybory. W roku 1990 przeżyliśmy wybory najpierw samorządowe, w maju, pierwsze całkowicie wolne wybory i wielkie zwycięstwo kandydatów komitetów obywatelskich. Potem wybory prezydenta Polski jesienią i tu już był widoczny podział: Wałęsa kontra Mazowiecki, bo Tymiński na naszym terenie raczej jakiejś roli nie odgrywał. W przemyskim mocno wsparliśmy Lecha Wałęsę, ja byłem nawet, z rekomendacji Solidarności, koordynatorem jego kampanii na województwo. W 1995 roku, popieraliśmy najpierw Lecha Kaczyńskiego, a po jego rezygnacji - Adama Strzembosza. Z Wałęsą to był koniec. Kwaśniewski został prezydentem, a czerwoni rządzą w już od 1993 roku. Czy możesz opisać tamten czas w województwie krośnieńskim? Byłeś wicewojewodą, trudno było ci się wprost angażować w kampanię, tak jak w 1989 roku, ale ona ogarniała nas wszystkich. Jak z perspektywy lat patrzysz na tamten czas?

AP: W moim odczuciu pierwsza połowa lat 90-tych to najtrudniejszy czas w całej naszej najnowszej historii. Dynamika zmian była niesamowita. I to w najróżniejszych obszarach. Rozpoczęliśmy budowę nowego ustroju, tak politycznego jak i gospodarczego. Do Konstytucji została wprowadzona instytucja Prezydenta RP, wyłanianego w powszechnych wyborach. Powstał pierwszy poziom samorządu terytorialnego czyli gminy, a w gospodarce rozpoczął się proces głębokiej transformacji polegającej na stworzeniu wolnego rynku i prywatyzacji majątku państwowego na dużą skalę. Rząd musiał zdławić szalejącą inflację. To rodziło wiele konsekwencji, w tym tak dotkliwych jak duże bezrobocie. Zjawisko na taką skalę nieznaną w historii powojennej Polski. To wywołało napięcia i frustracje społeczne prowadzące do dużych strajków w obronie miejsc pracy, zwiększanie wynagrodzeń i nowe zjawisko jak blokada dróg publicznych przez róż-

ne grupy zawodowe. Nastąpiła erozja komitetów obywatelskich i zmiana kierunku działalności NSZZ Solidarność.

Ważną rolę w tych latach (podobnie jak w całym okresie pontyfikatu) odgrywały wizyty papieża Jana Pawła II w Ojczyźnie. Z wielką troską przypominał rządzącym o ich obowiązkach i odpowiedzialności za kraj, a rodakom wskazywał powinność dbałości o dobro wspólne i należne im prawa.

W swojej pracy koncentrowałem się na zadaniach stawianych przez rząd dotyczących zarządzania sprawami publicznymi należącymi do administracji państwowej. Główne zadania to: prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych, walka z bezrobociem, finansowanie służby zdrowia, walka o zwiększenie nakładów na opiekę społeczną i pomoc doraźną dla samorządów.

Po 30-stu latach z górą, można z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że kierunek tych zmian był właściwy. Natomiast co do poszczególnych aspektów tych zmian, na pewno należało wprowadzać korekty, np. uważam, że błędem było niezadbanie o takie gałęzie przemysłu jak: przemysł precyzyjny, elektroniczny, maszynowy, stoczniowy - należało prowadzić różne tempo zmian, w poszczególnych sektorach.

Pełniąc funkcję wojewody, w tych pierwszych latach byłem bezpartyjny. Starłem się szukać porozumienia ze wszystkimi środowiskami patriotycznymi dążącymi do modernizacji kraju i zapewnienia mu trwałej suwerenności i niepodległości.

MK: w styczniu 1993 roku zostałeś wojewodą przemyskim. Ciekawi mnie ten czas, to był tylko rok, ale jak znalazłeś się w tej roli? Pamiętam, mieliśmy parę spotkań – dyskusji w gronie środowisk politycznych związanych z działającym wówczas przy Przemyskim Towarzystwie Kulturalnym Klubie Nowe Państwo. Nie były one kontrowersyjne, choć rysowały się wyraźne różnice zdań, to jednak z dzisiejszej perspektywy ich podłożem był głównie brak wiedzy. To był czas, gdy rozpoczynała się dyskusja nad zmianami administracyjnymi Polski, w tym nad nową liczbą województw. Ona była związana także z dyskusją nad polityką rozwoju regionalnego, przekształceniami własnościowymi i prywatyzacją przedsiębiorstw państwowych. Zmiany następowały kolosalne. W „Spojrzeniach Przemyskich” opublikowaliśmy duży materiał uzasadniający utrzymanie województwa przemyskiego w tym pasie województw wschodnich. Jak oceniasz tamten okres? Jakie wydarzenia najbardziej zapamiętałeś z czasów przemyskich?

AP: Obowiązki wojewody przemyskiego zostały mi powierzone przez panią premier Hannę Suchocką z dniem 17 lutego 1993 roku. Decyzję tę podjęto w bardzo burzliwych okolicznościach.

Najpierw odbyła się niezwykle emocjonująca sesja Sejmiku Samorządowego Województwa Przemyskiego. Jan Rokita przedstawił moją kandydaturę, jednak została ona negatywnie zaopiniowana przez Sejmik. Mimo tej nieprzychylniej opinii pani premier powołała mnie na to stanowisko. Po przyjeździe do Przemyśla „przywitała mnie” wrogo nastawiona manifestacja, protestująca

przeciwko mojej nominacji. Głównym powodem sprzeciwu był fakt, że nie pochodziłem z Przemysła. Dla części społeczności przemyskiej był to swoisty afront. Autorem pomysłu abym został wojewodą przemyskim był Jan Bartmiński - przewodniczący Sejmiku.

Niewątpliwie z tego okresu najbardziej zapadły mi w pamięć kontakty z Metropolitą Przemyskim abp Ignacym Tokarczukiem, ordynariuszem diecezji przemyskiej obrządku łacińskiego, oraz abp Janem Martyniakiem, ordynariuszem diecezji przemyskiej obrządku greckokatolickiego. Po abp Ignacym Tokarczuku funkcję metropolity objął abp Józef Michalik.

W sprawach dotyczących społeczności ukraińskiej bardzo często spotykałem się z doktorem Jerzym Stabiszewskim - prezesem Związku Ukraińców w województwie przemyskim. Był to bardzo niezwykły człowiek - szanowany lekarz, dyrektor wojewódzkiego szpitala w Przemyślu, który w stanie wojennym był internowany. Dzięki tym kontaktom udawało się rozwiązać wiele problemów występujących w relacjach polsko-ukraińskich w województwie przemyskim. Utrzymywałem również dobre relacje z działaczami Solidarności regionu ziemi przemyskiej. Z końcem 1993 roku władze w kraju przejęli komuniści wspólnie z PSL-em, i 31 grudnia zakończyłem pracę na stanowisku wojewody przemyskiego.

MK: z czasów pierwszych lat 90 pozostał jeszcze jeden temat – Euroregion Karpacki. W tamtym czasie wywoływał on dużo emocji.

AP: Kraje Europy Środkowo-Wschodniej, nazywane przez profesora Kłoczowskiego Młodsza Europą, łączy wspólnota dziejów, procesów kulturowych, cywilizacyjnych i politycznych. Nade wszystko początek dziejów państwowych Polski, Węgier i Rusi Kijowskiej wiąże się w sposób integralny z przyjęciem Chrztu Świętego. Od X w. chrystianizacja tej części Europy stała się faktem religijnym i politycznym. Przez cały okres średniowiecza i później władcy i książęta polscy, rusczy i węgierscy, zawierali związki małżeńskie, tworzyli alianse polityczne dla powstrzymania presji tureckiej.

Druga połowa XVIII w. oznaczała w historii Młodszej Europy upadek Rzeczypospolitej wielu narodów. Okres zapoczątkowany I rozbiorem Polski w 1772 roku, a zakończony Traktatem wersalskim w roku 1919 - dla krain karpackich, okupowanych przez opresyjne państwo Habsburgów, miało ogromne znaczenie na wielu płaszczyznach. Polityka wiedeńska w sposób niezwykle chytry budowała napięcia na tle narodowym i religijnym, doprowadzając do licznych konfliktów, wzmacniając postawy nacjonalistyczne.

Kłęska państw centralnych w Wielkiej Wojnie i postanowienia traktatu z Trianon (1920r.) ustalił nowy porządek w Europie na całe dwudziestolecie międzywojenne. Powstała nowa mapa polityczna - zwłaszcza mapa Młodszej Europy. W wyniku II wojny światowej, po raz kolejny zmieniły się granice państwowe, a cały region Karpat wschodnich znalazł się w orbicie Kremla. Przez niemal pół wieku Polska, Węgry, Rumunia znalazły się w orbicie sowieckiej. Nie było mowy o wolnych kontaktach różnych środowisk, a od krajów zachodu oddzieleni byliśmy żelazną kurtyną. To powodowało, że żyjąc obok siebie nie znaliśmy się nawzajem.

Po 1989 roku, budowa normalnych stosunków przygranicznych była nie lada wyzwaniem. Na wiosnę 1992 roku zorganizowałem w Jaśle dużą konferencję, na temat możliwości współpracy transgranicznej na łuku Karpat wschodnich. Nazwa Euroregion Karpacki powstała później. Łączyła przygraniczne regiony Polskie (woj. przemyskie i krośnieńskie), pograniczne regiony: Słowacji, Węgier, Ukrainy i później Rumunii. We wszystkich krajach odbiło się to szerokim echem; kiedy 14 lutego 1993 roku, w Debreczynie na Węgrzech, podpisane zostały dokumenty sankcjonujące utworzenie Euroregionu Karpackiego.

Największe emocje po naszej stronie wystąpiły w Przemyślu. Rozpętała się polityczna burza. W Polskim sejmie, odbyły się dwie debaty temu poświęcone. Narosło wokół tej sprawy wiele nieporozumień. Przeciwnicy tej koncepcji stawiali zarzuty o braku konsultacji i jakby odgórne narzucanie tej formy współpracy. Ale koncepcja ta powstała jednakże w Krośnie. Natomiast nasz rząd ją poparł. Zależało mi na tym aby w ramach tej współpracy euroregionalnej, kontakty gospodarcze nawiązywali przedsiębiorcy, ośrodki naukowe, instytucje kultury, artyści, sportowcy. Wiele z tych przedsięwzięć udało się zapoczątkować już w 1993 roku tj. choćby Biennale malarstwa EK pod nazwą „Srebrny Czworokąt”, które to zresztą trwa do dziś.

Już wtedy myśleliśmy o trasach komunikacji kolejowej i drogowej, które połączyłyby nasze kraje (po 30-latach od tamtej pory mamy cześć drogi ekspresowej Via Carpatia). Gorzej wygląda sprawa kolei żelaznych.

Myślę, że 30-letnie doświadczenie kontaktów sąsiadujących regionów karpackich, w ramach EK to duży dorobek i wielkie doświadczenie. Powinno być to lepiej wykorzystane dla takich inicjatyw jak koncepcja Trójmorza, EUROPY KARPAT oraz kontaktów UE - Ukraina. Wydaje mi się, że w dzisiejszej sytuacji Euroregion Karpacki mógłby być lepiej wykorzystany, do niesienia pomocy walczącej Ukrainie. Jako, że wszystkie regiony graniczą z Ukrainą.

AWS i lata następne

MK: przejdźmy do roku 1997, wybory parlamentarne wygrywa Akcja Wyborcza Solidarność, rozpoczynają się prace nad wielkimi reformami kraju, w tym nad reformą administracyjną. Zostałeś wiceministrem. Czym zajmowałeś się? Jak oceniasz te reformy?

AP: W styczniu 1998 roku, premier Jerzy Buzek powołał mnie na zastępcę prezesa Urzędu Zamówień Publicznych. Wiązało się to z przeprowadzką do Warszawy i wejściem do Rządu. To już był czas zaawansowanych prac nad czterema reformami tego rządu: emerytalną, oświatową, opieki zdrowotnej i administracyjną. Możemy do tego dodać jeszcze piątą: reformę górnictwa węgla kamiennego. Stronnictwo Konserwatywno - Ludowe (byłem członkiem tego Stronnictwa) wchodzące w skład AWS niezwykle aktywnie przygotowywało te reformy - zwłaszcza administracyjną, która zakładała wprowadzenie trójstopniowego podziału administracyjnego państwa: gminy, powiaty i województwa samorządowo-rządowe w liczbie ostatecznie 16-stu.

5 listopada 1998 roku zostałem powołany na Podsekretarza Stanu w MSWiA oraz DELEGATA RZĄDU do SPRAW REFORMY USTROJOWEJ w WOJEWÓDZTWIE LUBELSKIM. Moim zadaniem było

przygotowanie (scalenie) struktur administracyjnych dotychczasowych województw: lubelskiego, zamojskiego, bielsko-podlaskiego i częściowo tarnobrzeskiego, w jeden nowy duży organizm, tak aby od 1 stycznia 1990 roku, powiaty i nowe województwa mogły sprawnie funkcjonować. Te dwa miesiące to była niezwykła praca, bowiem musiałem ją łączyć z dotychczasowymi obowiązkami w Urzędzie Zamówień Publicznych.

Z tych reform do dzisiaj niewiele zostało oprócz podziału na powiaty i województwa nowe. Reforma administracyjna wprowadzała na poziomie województw, rządową administrację zespoloną pod zwierzchnictwem wojewody. Samorząd województwa przejmował odtąd zadania ze sfery polityki regionalnej, wojewoda zaś odpowiadał za politykę rządu w województwie.

Ten podział zadań funkcjonuje do dzisiaj, chociaż niektóre organy administracji rządowej w województwie, wróciły pod bezpośrednią kontrolę resortów. Z pozostałych reform dzisiaj pozostało bardzo niewiele. Zostały zlikwidowane gimnazja, kasy chorych.

Reformy Jerzego Buzka oceniam dobrze. Wprowadziły nowe mechanizmy finansowania i zarządzania sferą publiczną. W późniejszych latach zabrakło konsekwencji aby weryfikować, poprawiać te mechanizmy, zamiast je odrzucać. Nowe powiaty i województwa samorządowe zaczęły odnosić sukcesy w sferze budowy nowej infrastruktury: transportowej, komunikacyjnej, ochrony środowiska, oświaty, służby zdrowia, modernizacji szpitali etc..

MK: W tym miejscu może jest dobry moment na spojrzenie na okres, gdy byłeś wojewodą opolskim.

AP: Funkcję Wojewody Opolskiego zacząłem pełnić od 3 stycznia 1990 roku. Jeszcze w Sylwestra 1998 roku toczyły się rozmowy, czy obejmę urząd wojewody kujawsko-pomorskiego, świętokrzyskiego czy opolskiego. To Jan Rokita zasugerował aby objąć urząd w Opolu, ze względu na to iż Śląsk Opolski jest najbardziej interesujący.

Zaskoczenie w Opolu było pełne. Natychmiast zebrała się Rada Regionalną AWS, podczas której jej Przewodniczący - poseł Szelwicki, pyta mnie: -panie wojewodo, czy będzie nas pan słuchał? Pomyślałem sobie wówczas - dobrześ trafił z tym pytaniem (właściwie wojewodą byłem już trzeci raz) i odpowiedziałem: - panie pośle, obiecuję panu, że roztropne odpowiedzialne sugestie będę brał pod uwagę, a jeżeli z czymś nie będę się zgadzał, to powiem, że nie podzielam takiego poglądu i sugestii. I ta „miłość” trwała około roku.

Następnie premier, Jerzy Buzek przy jakiejś okazji pyta mnie: coś ty temu Szelwickiemu zrobił? Odpowiedziałem, że nic mu nie mogłem zrobić bo jest dużo większy ode mnie (*śmiech*).

Na każdym posiedzeniu klubu AWS poseł Szelwicki pytał: - panie premierze, jak długo będzie pan trzymał na stanowisku wojewody opolskiego Adama Pęziola? To było tak powszechne, że wszyscy wojewodowie, ministrowie i posłowie powtarzali, że jest taki poseł, którego tylko interesuje „jak długo jeszcze...”

MK: Wojewodą opolskim zostałeś pewnie nie bez powodu? To był i pewnie jest nadal teren trudny ze względu na kwestie narodowościowe. Śląsk, szczególnie Opolski, to jest karta nie do końca w Polsce powszechnie znana, poza powstaniami?

AP: Problematyką mniejszości narodowych w Polsce interesowałem się od połowy lat 80 - co najmniej. Interesowała mnie polityka jaką stosowali nasi władcy, rządy w naszej historii. Od jakości tej polityki zależał los tych wspólnot narodowych, a zwłaszcza ich stosunek do Rzeczypospolitej. Różnie to się w przeszłości układało. Przeszłość Śląska i poszczególnych jego części była niezwykle skomplikowana, żywiły Polski, Niemiecki, Czeski, miały wpływ na kształtowanie się tożsamości mieszkańców tych ziem. Sprzyjało to tworzeniu się dużej różnorodności, w języku, obyczajach kulturze i religijności. Szczególny wpływ miały decyzje w Jałcie i Poczdamie dotyczące granic Polski i Niemiec i wiążące się z tym przymusowe deportacje ludności niemieckiej i polskiej. Tworzyło to kompletnie nową mapę ziem zachodnich i północnych. W województwie opolskim w kilku powiatach pozostawiono rodzimą ludność śląską, a w kilku innych ulokowano przesiedleńców ze wschodnich województw Drugiej Rzeczypospolitej. W 1999 roku, już od 10 lat - co najmniej, działały Towarzystwa Śląskie i Mniejszości Niemieckie.

Jedną z pierwszych delegacji, z którą się spotkałem to byli przedstawiciele Towarzystwa Społeczno- Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim. Z Henrykiem Krollem i Helmutem Paździozem - dwoma posłami reprezentującymi mniejszość niemiecką. Chcieli poznać moje stanowisko, między innymi w sprawie upamiętnienia rozmaitych wydarzeń związanych z losami ludności śląskiej. Dla przypomnienia podam, że w latach 90. mieliśmy do czynienia ze sporym kryzysem dotyczącym symboliki upamiętniania w przestrzeni publicznej poległych, pomordowanych mieszkańców tych ziem. Chodziło między innymi o Krzyże Żelazne, które pojawiały się na cmentarzach i skwerach. Te zaś były odbierane jako niedopuszczalne. Rodziło to wzajemną niechęć. Powiedziałem wtedy, że w trudnych sprawach musimy konsultować się, tak aby nie doprowadzić już więcej do kryzysu w kwestii upamiętnień. Podam dwa przykłady:

W Zwieszowicach wspólnota samorządowa chciała upamiętnić 50 zakonnic pomordowanych w 1945 roku. W trakcie rozmowy okazało się, że napis zamieszczony na tablicy nie zawierał informacji kto był sprawcą tej ohydnej zbrodni. Okazało się, że sprawcami byli żołdacy z armii czerwonej. Samorządowcy nie chcieli zmienić treści napisu bo się bali - bali się Moskwy. To było dla mnie niezwykle znamienne jak rodzimi Ślązacy boją się sowietów. Drugi przykład: przyszli do mnie działacze TSKN z projektem upamiętnienia zmarłych i pomordowanych na terenach obozu Łambinowice (Lamsdorf). W tym miejscu był obóz jeniecki od czasów wojen prusko - francuskich, 1871 r. Tam cała Europa siedziała w tych obozach. Sowietci stworzyli obóz dla Ślązaków, a wcześniej dla naszych powstańców warszawskich. Dużo Ślązaków tam zmarło. Organizatorzy upamiętnienia chcieli zbudować taki memoriał jak nasz w Katyniu, w Miednoje i innych miejscach, rzeźby, tablice itp. zgodziłem się, pod warunkiem, że nie będzie żadnego nazwiska z SS, NSDAP, jakichś funkcjonariuszy, tylko tej ludności, która tutaj była. Zaakceptowali ten warunek. Po pewnym czasie, ktoś do mnie przychodzi z archiwum i mówi, panie wojewodo: ten, ten i ten - jeden był standartenführer - odpowiednik pułkownika w SS, drugi w Gestapo i oni są na tych tablicach. A to wszystko już gotowe! Wezwałem tych organizatorów i mówię - panowie, zabawa się skończyła, nie dotrzymaliście słowa. Jak to nie? Pokazuję nazwiska na tablicach. - Ale wszyst-

ko już jest przygotowane do odstonięcia, Niemcy z Bawarii jadą, zewsząd, mówią. -to zawróćcie. Za godzinę przychodzi ks abp Nossol... Jednak uroczystość została przełożona, tych kilka tablic kontrowersyjnych zostało wymienionych i dopiero wtedy nastąpiło otwarcie tego upamiętnienia. Opowiadam te przykłady dlatego, że takie miejsca w naszej ojczyźnie jak Śląsk, wymagają ludzi z dużą roztropnością, żeby sprawy szły w dobrą stronę.

W 2001 roku zorganizowałem na Górze Św. Anny, po raz pierwszy 2 maja obchody trzeciego Powstania Śląskiego - w jego 80. rocznicę wybuchu. Zaprosiłem naszego premiera Jerzego Buzka i kanclerza Niemiec Gerharda Schrödera. Dobrze, że Schröder nie mógł wtedy dojechać bo do dzisiaj tego bym sobie nie wybaczył, że zaprosiłem agenta Putina na taką uroczystość.

Tę uroczystość zorganizowałem 2 maja, bo **po pierwsze**: powstanie wybuchło z 2 na 3 maja i dochodziło tam do skandalicznych wydarzeń, szarpaniny, **po drugie**: 3 maja nie mówiło się o trzecim Powstaniu Śląskim, a tylko o święcie Konstytucji. A mnie zależało na tym, żeby to była uroczystość ogólnopolska, odnotowana przez centralne media.

I to się udało, wielu ludzi mi potem dziękowało i do dzisiaj jest tak, że obchody są 2 maja, w uchwalone później Święto Flagi Państwowej. Mówię o tym dlatego, że uważam to za jedno ze swoich życiowych dokonań, których nikt mi nie narzucał, ani nie podpowiadał, tylko pochodziły ode mnie. Dzięki lekturom, które pochłaniałem przez całe lata, miałem świadomość złożoności rozmaitych zjawisk, procesów, wrażliwości ludzi. Chętnie jeździłem na rozmaite wydarzenia, gdzie mogłem rozmawiać o tych sprawach, bo wiem co się stało, dlaczego. To wymaga też jakiejś życzliwości ze strony sąsiadów, przyjezdnych. Jeżeli ktoś nie szanuje świątyni wybudowanej przez przodków, to jest człowiekiem niegodnym. Dobrze wychowany człowiek, nie zachowuje się w ten sposób, że komuś ubliża, dokucza z powodu innego wyznania. Lubię powtarzać, że w Polsce nie było stosów. Na to ci lewacy: jak to nie było! Spalili... otóż, na początku XVIII wieku, gdy inkwizycja już nie działała, rzeczywiście jednego spalili. A wzięło się to stąd, że nasi wszystko mogli zaakceptować: Mahometa, Żydów, Hinduistów, ale żeby w nic nie wierzył? To jednego spalili, bo to przekraczało wyobraźnię elit tamtej Rzeczypospolitej. I to bardzo mi się podoba....

MK: Wojewodą opolskim przestałeś być w 2001 roku, po wyborach parlamentarnych, gdy czerwoni ponownie wrócili do władzy, a premierem został Leszek Miller. Ja wtedy zostałem posłem z listy Prawa i Sprawiedliwości. Zaczęliśmy tworzyć struktury PIS w całym kraju, na Podkarpaciu współpraca z Markiem Jurkiem, nie zawsze udana. Równoległe działała Platforma Obywatelska, także będąca w opozycji. Pamiętam, obie partie współpracowały ze sobą, szykując się do wspólnych rządów po ewentualnym zwycięstwie wyborczym w 2005 roku. Na Podkarpaciu dobrze współpracowało mi się z Elżbietą Łukacjowską w sferze ochrony środowiska, która wcześniej była wójttem Cisnej, z PO związała się chyba po wizycie w Bieszczadach Macieja Płażyńskiego w roku 2000 i rok potem została posłem. Organizowaliśmy wiele wspólnych inicjatyw, także międzynarodowych, jak Zielone Karpaty, potem przekształcone w Europę Karpat. Z Janem Tomaką byłem nawet na wizycie w USA, w związku ze współpracą edukacyjną lokalnych środowisk polskich i ukraińskich. Wtedy amerykańska firma kurierska UPS fundowała wsparcie budując sale

komputerowe dla szkół w Lipie, Sierakoścach po polskiej stronie i Niżankowicach po stronie ukraińskiej. W latach 2003-2004 w sejmowej komisji samorządu i polityki regionalnej pracowaliśmy nad zmianą ustawy o samorządzie terytorialnym i miasta Warszawy, chodziło m.in. o kwestie kompetencji i finansowe. Już wtedy zauważyłem inny podział: posłowie z SLD (Witold Gintowt-Dziewałowski) współpracowali ściśle z PO (Waldy Dzikowski) i PSL, byli zwolennikami przekazywania samorządom jak największej ilości kompetencji, ale skąpiąc grosza, choćby w sprawach zarządzania przeciwpowodziowego. Ja z PIS byłem samotnym białym żaglem – jeden przeciw wszystkim twierdząc, że nad bezpieczeństwem obywateli powinny czuwać służby państwowe, koordynowane przez wojewodę. Pracowaliśmy też w zespołach nad programem dla wspólnego rządu, np. w samorządzie, polityce regionalnej i ochronie środowiska po stronie PIS byłem ja, Krzysztof Jurgiel i Jan Szyszko, po stronie PO – Waldy Dzikowski, Grażyna Gęsicka i Jan Olbrycht. Porozumienie uzyskaliśmy szybko, Grażyna Gęsicka była wspólnym ekspertem, Ludwik Dorn i Jan Rokita szefami naszych klubów parlamentarnych. Potem jednak przyszły wybory prezydenckie w 2005 roku, wygrał Lech Kaczyński, przegrał Donald Tusk i współpraca odeszła w zapomnienie. Ale gdy w 2006 roku Jarosław Kaczyński został premierem, a Zyta Gilowska wicepremierem i ministrem finansów publicznych, to zostałeś jej zastępcą i byłeś rzecznikiem dyscypliny finansów aż do 2008 roku. Jak tamten czas wygląda z Twojej perspektywy? Co działo się ważnego?

AP: Profesor Zyta Gilowska była nie tylko znakomitym ministrem finansów ale niezwykle ciekawym i barwnym człowiekiem. Praca z Nią to był duży zaszczyt i wielka satysfakcja zarazem. Jej ambicją było przeprowadzenie dużej reformy finansów publicznych. Jednym z jej elementów była konsolidacja sektora finansów publicznych. Z grubsza rzecz ujmując chodziło o doprowadzenie do zgodności z Konstytucją RP funkcjonowania między innymi funduszy celowych. Niektóre z nich, tak jak Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) swoje dochody gromadzą z daniny publicznej (opłaty za korzystanie ze środowiska naturalnego). O gromadzeniu i wydatkowaniu tych środków powinna rozstrzygać ustawa budżetowa. Krótko mówiąc, o tym powinien decydować sejm. Budziło to wiele zastrzeżeń i emocji, bowiem zmieniałoby to dotychczasowy sposób wydatkowania tych pieniędzy. Dochody funduszy celowych stałyby się dochodami budżetu państwa, to zwiększałoby nowe możliwości prowadzenia polityki finansowej państwa. To był nowy sposób myślenia o finansach publicznych. Ale przez to, że kadencja została skrócona - PiS utraciło władzę na 8 lat i w następnych latach nikt nie podjął już przeprowadzenia na taką skalę reformy finansów publicznych.

Moja praca w tym czasie polegała na tworzeniu zintegrowanego programu finansowania budowy autostrad i dróg ekspresowych na lata 2007 - 2013. Z dzisiejszej perspektywy widać wyraźnie jak wiele projektów udało się zapoczątkować w tamtym czasie, w tym drogi ekspresowe dla Polski wschodniej S19 i S17.

MK: od 2008 roku, chyba przez całe 5 lat kierowałeś delegaturą NIK w województwie lubelskim. Następnie byłeś prezesem WFOŚiGW (2015-2017) w Rzeszowie. Cały czas kierowałeś instytucjami państwa w różnych miejscach, na różnych poziomach. Jakie chciałbyś

przekazać refleksje z tamtego czasu?

I generalnie, na podsumowanie. Jak z perspektywy lat oceniasz funkcjonowanie instytucji państwa polskiego? Jakie słabe i mocne strony zauważasz? Co warto robić, aby zapewnić rozwój Polski, wzmocnić państwo?

AP: Praca w różnych instytucjach administracji państwa pozwoliła mi na poznanie funkcjonowania i działalności służb państwowych w różnych jej aspektach. A więc, z jednej strony definiowania wyzwań i możliwości funkcjonowania państwa w różnych jego obszarach, tak aby Polska mogła się rozwijać długofalowo, chodzi o bezpieczeństwo państwa (i tutaj polityka różnych rządów nie budziła zastrzeżeń - członkostwo w NATO i Unii Europejskiej).

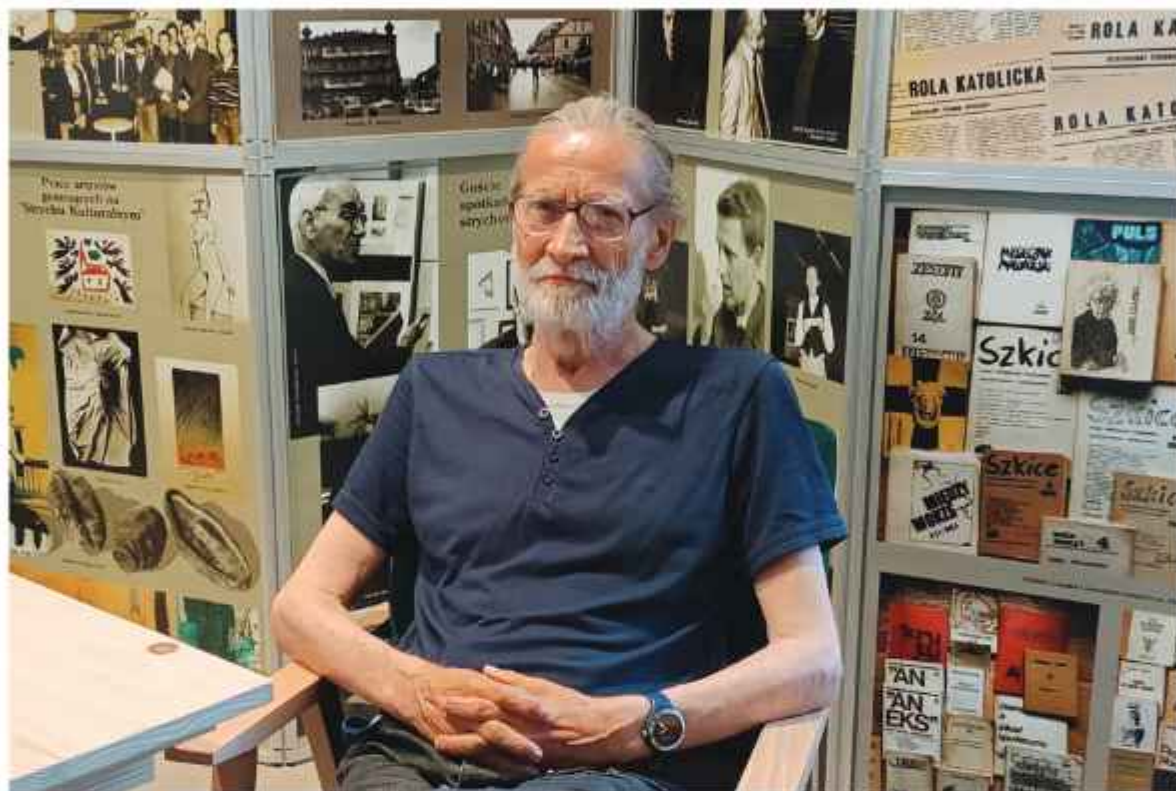
Z drugiej strony zaś, zapewnienie trwałego rozwoju gospodarczego już budzi więcej wątpliwości. Poprzez stały wzrost barier biurokratycznych - w moim głębokim przekonaniu - została wyhamowana dynamika rozwoju przedsiębiorczości Polaków i rozwój sektora małych i średnich przedsiębiorców. Do tego dochodzi brak sprzeciwu Polski w ramach Unii Europejskiej wobec wdrażania nadmiernej regulacji w gospodarce europejskiej (rolnictwo, energetyka, usługi).

Odrębny problem to polityka w sferze kultury, edukacji, wychowania i kształtowania postaw patriotycznych. Obóz zjednoczonej prawicy w ciągu ostatnich lat rządów na tym polu ma ogromne sukcesy. Budowa wielu instytucji kultury wzmocniającej poczucie tożsamości narodowej powinna być bezwzględnie kontynuowana. Polska przez ponad 1050 lat, wniosła do kultury europejskiej wiele cennych wartości. Będąc częścią Młodszej Europy, wносиła ożywcze elementy rozwoju cywilizacji zachodniej, oparcie na fundamencie chrześcijaństwa, humanizmu i tradycji wolnościowej. Kształtowanie postaw patriotycznych oraz wzmocnienie tożsamości narodowych są kluczowe dla rozwoju polskiej kultury, gospodarki i jej pozycji na arenie międzynarodowej.



Adam Peziół w swoim gabinecie

ANDRZEJ MAZUR



w rozmowie z Markiem Kuchcińskim

1 lipca 2024 r., siedziba Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego

Andrzej Mazur, b. ekspert PAN i UNESCO MaB Programme 13b.

Marek Kuchciński: Dzień dobry, dzisiaj rozmawiam z Andrzejem Mazurem, nasza rozmowa przeprowadzana jest w cyklu Ludzie Europy Karpat. Pierwszy punkt, proszę przedstawić się.

Andrzej Mazur: Andrzej Mazur moje imię i nazwisko. Można powiedzieć, że wychowałem się i całą młodość spędziłem w Przemyślu. Natomiast urodziłem się na Dolnym Śląsku, 20 stycznia 1952 r., w miejscowości Strachocin. Do Przemyśla wraz z rodzicami przeprowadziliśmy się w 1954 roku. Edukację podstawową zakończyłem w najnowocześniejszej szkole w Przemyślu tzw. „tysiąclatce” na ulicy Borelowskiego na Zasaniu. Była to szkoła budowana w ramach programu „1000 szkół na 1000-lecie”, który wprowadził ówczesny I sekretarz PZPR towarzysz „Wiesław” Władysław Gomułka. Miała nowoczesną salę gimnastyczną, pełny zestaw pomocy dydaktycznych i co najważniejsze dla rodziców i uczniów – była tam stołówka, w której można było zjeść

śniadanie: mleko, kawę z mlekiem i bułki ze wspaniałym smarowidłem z amerykańskich darów pomocowych dla Polski. Nauka szła mi dobrze, notę końcową w 7 klasie z fizyki za rozwiązanie prawa Ohma prof. Żuk dał mi już w I okresie. Władze traktowały „tysiąclatkę” prestiżowo i ściągnęły do niej najlepszych nauczycieli ze szkół podstawowych z Przemysła.

Najlepsza matematyczka była wtedy w szkole „3” na ul. Wodnej, tam gdzie teraz jest Urząd Miejski. I wzięła ze sobą wszystkich uczniów, którzy chcieli z nią przejść do „tysiąclatki”, również i mnie. Do szkoły „3” chodziłem już od 6 roku życia – byłem tzw. „wunderkind” cudowne dziecko, w wieku 5 lat czytałem gazety. Dyrektorem szkoły była pani Michalkiewicz ówczesna poseł na Sejm, która po zapoznaniu się z moimi umiejętnościami przyjęła mnie rok wcześniej bez wahania. Szkoła była dobrze prowadzona, pamiętam do dzisiaj czyste wypastowane parkiety, a nawet spotkanie dla uczniów ze słynnymi pisarzami książek dla dzieci państwem Aliną i Czesławem Centkiewiczami. Lekcje religii były wtedy w szkole, prowadził je ks. Franciszek Buczyński. Dopiero po niezrozumiałym dla nas uczniów konflikcie o szkołę organistowską w Przemysłu, religia odbywała się w Dworcu Orzechowskiego, koło katedry.

MK: To jesteśmy prawie że z jednej parafii, bo ja mieszkałem na Podzamczu, na ul. Matejki i chodziłem do podstawówki nr 1 przy ul. Sienkiewicza. Główne miejsce zabaw dla mnie to był zamek, gdzie wspinaliśmy się po murach, katedra, gdzie chodziliśmy do kościoła, Teatr Fredreum jeszcze ze starym, pięknym wystrojem wnętrza przypominającego trochę lwowskie klimaty, po którym nadal czuję stare zapachy kurtyn, plac zamkowy, gdzie graliśmy w piłkę i organizowali zabawy terenowe w policjantów i złodziei, park i Podzamcze: otoczenie Rynku rzadziej, na Rybi Plac, to z mamą lub babcią chodziłem w dzieciństwie na zakupy, bo tam było dawniej targowisko i z okolicznych wiosek przyjeżdżali ludzie z furmankami pełnymi produktów, warzywa, kury, króliki itp. Z Trójką to chyba rywalizowaliśmy w piłkę nożną na Polnej. Ale chodziliśmy chyba też razem do szkoły muzycznej, chociaż ja trochę później. Uczyłem się tam gry na skrzypcach u prof. Marusyna.

AM: Już w podstawówce grałem na perkusji, miałem wspaniałego przyjaciela Zbyszka Grygusia (już nie żyje) którego rodzice muzykowali, i mieli w mieszkaniu zestaw instrumentów – kontrabas, fortepian, akordeon i perkusję. Zbyszek mieszkał na Jagiellońskiej 9, a ja pod „7” tak, że mieliśmy do siebie blisko. Po lekcjach spotykaliśmy się u niego i graliśmy, Zbyszek na fortepianie, a ja na perkusji. Zbyszek brał prywatne lekcje na fortepianie i łatwo grał kawałki Roya Orbisona czy Paula Anki. Pod koniec lat 60-tych graliśmy już ze Zbyszkiem i Wackiem Pudłockim – basowym gitarzystą i wokalistą – w kasynie oficerskim „Granica” na ulicy Mickiewicza. Także jak poszedłem na studia w wieku lat 20, to prawie od 10 lat grałem w różnych zespołach big bitowych w Przemysłu.

I tak od podstawówki aż po studia moje życie obracało się wokół zespołów big bitowych. Miało to swoje potężne plusy: uczyło systematyczności i cierpliwości poprzez częste próby, zachęcało do ćwiczenia kondycji – z Wackiem Pudłockim ćwiczyliśmy judo w „Polonii” przemyskiej, zmuszało do śledzenia nowości z muzyki popularnej z całego świata i polskiej, poważnego traktowania publiczności w graniu na ubawach, a w nagrodę o ile było się dobrym jeździło się na festiwale.

W 1971 roku wraz z zespołem OMEN z Okręgowego Terenu Lasów w Przemyślu, na Zasaniu, pojechaliśmy na festiwal zespołów big bitowych Polski Południowo-Wschodniej do Sanoka. Jury stanowiło dwoje popularnych i bardzo dobrych wtedy krytyków muzycznych Misia Zielińska i Jacek Bromski. Wygraliśmy festiwal a pani Misia i pan Jacek określili nas „polskimi Black Sabbath”. „Black Sabbath” z Wielkiej Brytanii była najciężej grającą grupą na świecie i prekursorem heavy metalu. Ten styl narzucił nam nasz lider muzyczny Andrzej Kwaśnicki „Kaśka”, bardzo oryginalny kompozytor. Jego kompozycja „Zielona ziemia” do słów przemyskiego poety Zbyszka Janusza została wyróżniona zaproszeniem na nagrania do Polskiego Radia w Warszawie. Komplet wyróżnień należy uzupełnić nagrodą publiczności dla gitarzysty Andrzeja Owsianego. Na basie grał Krzysiek Łukasiewicz. Do występu przygotowywał nas Wojtek Tarczyński.

W 1971 roku byłem już na Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w koncercie „Debiuty”. Z zespołem grającym w klubie przemyskiego „Społem” na ul 1 Maja. Graliśmy tam do tańca w każdy weekend, a wraz z nami wspaniali nasi koledzy z przemyskich zespołów: Bracia Ostrowscy, Andrzej Sas, świetny gitarzysta ze szkoły muzycznej o ksywce „Cebula”, etc. Opiekunem zespołu była pani Maria Maciebochowa, która bardzo o nas dbała. I to ona wysłała nas na festiwal. To było już nie regionalne przetarcie się jak w Sanoku, a na czołowej prestiżowej imprezie ogólnopolskiej. Graliśmy w następującym składzie: Wojtek Lewandowski na organach, bracia Facowie na saksofonach, Zbyszek Lewicki na flecie, Maciek Macieboch na gitarze basowej, Wojtek Duchowicz na gitarze, i Andrzej Sawicki na gitarze prowadzącej, ja oczywiście na bębnach. Mieliśmy na scenie bardzo dobry sprzęt, ja zapoznałem się z najlepszą perkusją świata „Ludwigiem”. Udało się, zagraliśmy bardzo dobrze, bez jednej wpadki. Co dla amatorów na dużej prestiżowej scenie, po jednej próbie, jest dużym osiągnięciem. Na próbach i koncertach podziwialiśmy popularnych wykonawców: Urszulę Sipińską, Zdzisławę Sośnicką, Niebiesko-Czarnych, Silną Grupę pod Wezwaniem, ABC i Halinę Frąckowiak, Wojciecha Młynarskiego, etc.

Mieliśmy swój bitowy styl: zero narkotyków, zero alkoholu, herbata, kawa, papierosy – tak, wino rzadko i niewiele, oraz ćwiczenia judo z Wackiem. Na randoli zanim rozpoczął się trening, musieliśmy wykonać 50 japońskich pompek i 35 japońskich przysiadów. Masę pływaliśmy w lecie i opalaliśmy się. Wynikało to z braku dobrego sprzętu muzycznego, np. był powszechny brak mikrofonów przy perkusji, i trzeba było grać siłowo, czyli trzeba było mieć kondycję. Granie było dodatkowym zajęciem, główną rzeczą wtedy było ukończenie szkoły średniej.

Dalej, byliśmy też z konieczności blisko poezji i literatury, zetknięcie się z tekściarzami i poetami było naturalne. Sam pisałem wtedy, no były to pewne próby, pisanie tekstów do piosenek, i wczesne próby wierszy.

Wtedy był przecież potężny renesans polskiej poezji: Niemen propagował Norwida, Demarczyk – Tuwima, Białoszewskiego, Gajcego; Warska i Kurylewicz kolejnych poetów, Szymonowica, Kochanowskiego, Wyspiańskiego, etc.

MK: Pamiętam tamte czasy i zespoły, o których mówisz. Ja zacząłem grać w zespole PTAH, chyba w 1972 roku i prowadził go Jacek Marcińczak. Ty już poszedłeś na KUL, bo na perku-

sji grał Wojtek Korbas, potem Wacek Prosiecki. Ja grałem na kongach, które koledzy, Ryśku Gąsior zrobili z bongosów i one dawały znakomity, delikatny, trochę głębszy dźwięk. Na basie grał Zbyszek Baran, Zbyszek Lewicki na flecie, był Andrzej Preiss, Andrzej Dobrowolski na gitarze, a przed nim grał chyba Marek Skubisz. Próby mieliśmy w różnych miejscach: na 1 Maja, w jakichś ruinach w podwórku – już nie pamiętam, co tam było, potem w Lancecie przy Rakoczego koło cmentarza żydowskiego, potem w Klubie na Pstrowskiego (dzisiaj Glazera), z panią Maciebochową, a potem w klubie na Kmiecicach. W 1973 lub 74 roku w Puławach wygraliśmy konkurs i mieliśmy mieć nagrania profesjonalne w Lublinie. Ale wróćmy do marca 68, wtedy zostałeś odnotowany przez UB, a potem uznany za jednego z najmłodszych organizatorów protestów popierających strajki studentów w 68 roku. Jak to zapamiętałeś?

Rok 1968

AM: Byłem najmłodszym organizatorem Marca w całej Polsce. Już w przeddzień uroczystości 40 rocznicy Marca w 2008 roku, w Warszawie odbyła się bardzo miła impreza w Narodowym Banku Polskim i wtedy sam byłem zaskoczony, że prezes NBP śp. Sławomir Skrzypek najdłużej, ponad minutę rozmawiał ze mną, mimo, że byli tam główni organizatorzy Marca z Uniwersytetu Warszawskiego: Józef Dajczgewand i Irena Lasota, był słynny mecenas Stanisław Szczuka, wybitni opozycjoniści jak Józef Śreniowski, Jan Lityński, Jacek Kleyff. Przemysł był tam honorowany i warto to podkreślić: na 100 osób z całego świata zaproszonych na uroczystości przez Prezydenta śp. Lecha Kaczyńskiego aż 3 były z Przemysła: moja skromna osoba, Wojtek Lach i Zenek Zegar, też obecnie członek Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego jak ja.

MK: Jak ta sytuacja wtedy, w 1968 roku wyglądała?

AM: Należy pamiętać, że wtedy, w 1968 roku, jak i w całym okresie PRL media były pod cenzurą a ich cel był propagandowy zwłaszcza w momentach przesileni politycznych. I tak było wtedy. Pamiętam, że w 1968 roku spotykaliśmy się z kolegami w MDK nad Sanem w klubie muzycznym, słuchaliśmy z taśm przebojów, wtedy Jimiego Hendrixa. I niewiele wiedzieliśmy co się dzieje w Warszawie. Przed 10 marca chyba szedłem Kazimierzowską, podszedł do mnie Zenek i mówi: „Andrzej może byś zorganizował jakiś protest?”. Odpowiedziałem, że poinformuję kolegów z MDK z klubu muzycznego. No i tak się stało, doszliśmy do wniosku, że poprzemy studentów w formie zapalenia świeczek pod pomnikiem Mickiewicza. No bo wiadomo już było, że awantura w Warszawie zaczęła się od ocenzurowania spektaklu „Dziady” Adama Mickiewicza. I tak zrobiliśmy: przeszliśmy z MDK przez most, i pod pomnikiem zapaliliśmy świeczki i rozeszliśmy się do domów.

MK: Zenek opowiadał, że paliliście także „Trybunę Ludu”?

AM: „Trybunę Ludu” palono podobno w podcieniach, ale robiła to inna grupa.

MK: Ale wróćmy do 68 roku. Kto tam był?

AM: Młodzież z MDK, większości nazwisk nie pamiętam. Natomiast w niedawnej publikacji dr Reszczyński z rzeszowskiego IPN podał szereg nazwisk opierając się na dokumentach Milicji Obywatelskiej. Ja osobiście pamiętam Wojtka Lacha, „Niunia” Kinasza i Staszka Larego. Podczas przesłuchań na komendzie MO na ul. 1 maja, widziałem jak przywieźli „Niunia” Kinasza, a wcześniej pod zawodówką widziałem jak do milicyjnej budy wchodził Staszek Lary – brali nas ze szkoły. Dużą przykrością dla mnie był fakt, że wcześniej dostałem ostrzeżenie od jednego z moich przyjaciół, że ktoś nas zdradził, no doniósł na nas. Ale postanowiłem nie ujawniać tej informacji kolegom z obawy o posądzenie mnie o konfidencję. Mówię o tym w swojej relacji do „Archiwum wolności” więc nie będę się powtarzał. (Andrzej Mazur, Marzec 1968, Przemysł <https://archiwumwolnosc.pl/wspomnienia-andrzej-mazur/>)

Natomiast zaskakująca jest konstatacja, jak traktowali nas nastolatków, fanów Hendrixa, ludzi o mniej niż zerowym znaczeniu politycznym, jakbyśmy byli przestępcami politycznymi. Wrogami klasowymi, wrogami ludu. I kto to robił? Szalenie mili „przyjemniaczkowie”, ludzie, którzy rozdzielali uśmiechy na deptaku przemyskim, na Franciszkańskiej.

MK: Ulica 1 Maja 45? Tam była siedziba Służby Bezpieczeństwa. Też tam byłem przesłuchiwany, kilka razy, najpierw w 1983 roku, gdy kilkunastu naszych działaczy, w tym Rudego – Krzyska Sawickiego z KUL, zatrzymano po konferencji w Krasieczynie, gdzie wykład miał ks prof. Kazimierz Ryczan z KUL, późniejszy biskup kielecki, a gdzie spotykała się opozycja solidarnościowa i rolnicza. Gdy mnie tam zawieźli, trzymali z godzinę w pustym pokoju na piętrze, więc zacząłem chodzić po tych gabinetach, a tam w co drugim to kolega z parafii itp. Zaskoczenie wzajemne... każdy z nich był taki cichy i miły, w EMPiKu przesiadywał, po Franciszkańskiej spacerował... przesiadywałem potem na tzw. Dołku przez noc przy 1 Maja 25.

AM: Marek to było dziwne, jak z filmów szpiegowskich: mimo dnia paliła się lampka, facet miał założoną nogę na nogę, w oczach błyski nienawiści, no i straszyl mnie, że wyrzucą matkę z pracy jak nie powiem kto jeszcze ze mną był. No ale ten powiatowy Bond, czy Sherlock Holmes nie wiedział, że mnie wcześniej już uprzedzono, więc grałem do końca udając, że nie mam pojęcia, kto organizował imprezę w MDK.

KUL, Lublin, Grotowski

MK: Czy to wydarzenie i inne, na przykład związane z muzyką miały wpływ na dalsze twoje życie?

AM: Oczywiście, że tak, głównie edukacja muzyczna, gra na perkusji w zespołach big bitowych. Ale o tym potem. Ważne, że maturę zdałem na piątkę i postanowiłem iść na studia na KUL. W dużym stopniu było to spowodowane tym, że nie chciałem dać się wykluczyć jako „marcowy” i nie posiadający punktów za pochodzenie podczas egzaminów na państwowe uczelnie. Powód równoległy był taki, że chciałem studiować filozofię, a po Marcu zamknięto wszystkie wydziały filozofii w całej Polsce za wyjątkiem KUL i ATK.

MK: Ja też zdecydowałem się zdawać na KUL w 1974 r., i to chyba za przykładem kilku kolegów, którzy z Przemyśla tam studiowali: Ty, Janusz Grodecki, Zygmunt Grabowski „Borman”, Marek Skubisz, kiedyś jechaliśmy razem pociągiem do Lublina, to zajmowaliśmy cały 8-osobowy przedział. Ale chyba głównie dlatego, że wtedy KUL jawił się jako ostoja wolności, jedyna uczelnia w komunie, gdzie nie musiałeś studiować marksizmu. Taki wybór, to już była decyzja polityczna. I pamiętam, gdy dyrektor naszego „Słowaka”, Żak podczas apelu całej szkoły ogłosił, że idę na KUL i to na teologię, to była sensacja! Ostatecznie znalazłem się na historii sztuki. Ale ta decyzja była jedną z najważniejszych w moim życiu, bo dzięki temu większość moich późniejszych działań wywodziło się z przekonania, że kultura i wolność idą ze sobą w parze i są dobrym sposobem właściwego wskazywania drogi życiowej. Wspominasz o tym w książce „Strych” Marty Olejnik.

AM: Jak byłem już na KUL, to zaprosił mnie do uczestnictwa w teatrze studenckim pod nazwą „Warsztat” Janusz Malinowski. Jak zresztą i Ciebie. Było to w 1974 roku lub w początkach 1975 roku. A potem, jak byliśmy w czerwcu/lipcu na stażach w Teatrze Laboratorium Grotowskiego we Wrocławiu, to już graliśmy z Wieśkiem Łosiem na tablach indyjskich, a nawet raz Grotowski podczas zajęć stażowych poprosił nas o wykonanie pewnego „zadania” na bębnach. Po około pół minuty udało nam się osiągnąć z Wieśkiem pożądany rezultat i Grotowski skinął głową, że OK. „Zadanie” było szalenie dziwne, w sensie oryginalności, kompletnie nie perkusyjne, nie bębniarskie. No i moje doświadczenie przemyskie wieloletnie w grze na perkusji przydało się – nie bałem się nieznanego mi sprzętu. Myśmy z Wieśkiem zresztą te tablice indyjskie z Teatru Grotowskiego rozwalili w drobny mak, łojąc w niewielkie w końcu naciągi z całej siły. Natomiast już w 1976 podczas spektaklu w mojej reżyserii, pod nazwą „oddech i sen”, już grałem na dużym bębnie o średnicy około 1 metra, z naciągiem skórzanym, i oczywiście waliłem rękami w naciąg bardzo ciężko i rytmicznie, po prawie 5 miesięcznych próbach.

Była różnica między pięknym, ale prowincjonalnym (bez uniwersytetu) Przemyślem, miastem o dużej skali na mapie Polski – Lublinem, i globalną awangardową kulturą, z którą zetknąłem się we Wrocławiu w Teatrze Grotowskiego. Lublin, to była inna jakość: wtedy, a co ciekawe i dzisiaj, był i jest jedynym miastem uniwersyteckim. W 1972 roku w październiku, kiedy zacząłem studia, były tam dwa uniwersytety – katolicki KUL, jedyna prywatna uczelnia w Polsce i marksistowski UMCS, a oprócz tego 3 inne wyższe uczelnie. Dzisiaj ma 4 uniwersytety i Politechnikę. Także duża część populacji lubelskiej to studenci. Lublin jest też szalenie mieszczański, warto przypomnieć, że Unia Lubelska przewidywała stolicę Rzeczypospolitej w Lublinie, i ten cichy ekskluzywizm widać czy lepiej – czuć, do dzisiaj.

Duża niespodzianka dla mnie, to był też świat zwartej „maszynerii” uniwersyteckiej: wykłady, ćwiczenia, lektoraty(miałem ich aż 5), egzaminy i jako integralna część życia uniwersyteckiego festiwale studenckie i lubelskie: kulturalne, teatralne, jazzowe. Uwaga bardzo ważna: od 1974 Teatr Akademicki KUL miał już stałe kontakty z czołowym teatrem awangardy światowej „Instytutem Aktora-Teatrem Laboratorium” Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu, Ściślej – dwa zespoły studenckie, „Warsztat” Janusza Malinowskiego i „Ubodzy” Romana Doktora i Mieczysława Abramowicza. Kontakt z dużym światem uzupełniały częste wykłady naukowców z uczelni

europjskich i USA.

I tak np. w maju 1973 wysłuchałem wykładu z socjologii dr Borkowskiego z prestiżowego Yale University z USA – poznałem metodę wykładu i metodę grafów. A w październiku uczestniczyłem w lektoracie sanskrytu, który prowadził dr Leon Cyboran, jeden z trzech najlepszych znawców sanskrytu i filozofii indyjskiej w Europie, oprócz profesora Regameya ze Szwajcarii i któregoś z Francuzów. Do dzisiaj pamiętam, jak wielkie wrażenie wywarł na mnie recytowany przez niego tekst w języku starszym od sanskrytu – języku wedyjskim. Miałem wrażenie, że sens słów i ich wrażenie szły razem z dźwiękiem. Co brzmi dość niewiarygodnie, ale jest prawdziwe. W roku akademickim 1975/1976 dr Leon Cyboran na moją prośbę udzielał mi bezpłatnie lekcji zasad recytacji tekstów w języku sanskryckim. Dla przyswojenia ogólnej kultury humanistycznej zapoznanie się z myślą indyjską jest bardzo ważne – pierwsze zwarte teksty filozoficzne pochodzą z Indii.

Dodałbym oprócz nazwisk, które wymieniam w innym miejscu w naszej rozmowie, nazwisko Franciszka Starowieyskiego. Miałem z nim w 1977 roku bardzo ważną do dzisiaj i interesującą rozmowę. Na prośbę Leszka Mądzika przyjechał na zamknięty przedpremierowy spektakl „Wilgoci”, a ja miałem się nim zająć jako swoisty „cicerone”. Wybitny malarz, performer, człowiek obyty w świecie. Myślę, że w powstającym „Leksykonie karpackim” powinien się Franciszek Starowiejski znaleźć – pochodził z Odrzykonia. I w jego zamku odrzykońskim toczy się akcja popularnej komedii Aleksandra Fredry „Zemsta”.

O ile przejście w czerwcu/październiku 1972 z prowincjonalnego Przemyśla do uniwersyteckiego Lublina stanowiło jakoś ogólnopolską na bardzo wysokim poziomie, tak przejście na przełomie czerwca i lipca 1975 roku do Teatru Laboratorium Grotowskiego we Wrocławiu stanowiło już jakoś o charakterze światowym. Uniwersytet Poszukiwań Teatru Narodów pod patronatem UNESCO gromadził czołówkę reżyserów i aktorów ówczesnej awangardy: I i II zespoły Grotowskiego, Eugenio Barbę i jego duński „Odin Theatre”, Jean Louis Barrault – dyrektora paryskiego Odeonu, Josepha Chaikina z amerykańskiego „The Open Theatre”, Andre Gregorego z nowojorskiego „Manhatann Project”, no i Petera Brooka z Kompanii Szekspirowskiej z Anglii. Wraz z ponad 300 osobami z całego zachodniego świata – aktorami awangardowych i eksperymentalnych teatrów studenckich i amatorskich, krytykami teatralnymi, dziennikarzami teatralnymi, teoretykami teatru, etc. Udział w stażach parateatralnych, które prowadzili w mojej międzynarodowej grupie /Szwajcaria, Francja, Szwecja, Polska/ Zbigniew Cynkutis i Rena Mirecka nauczył mnie metody parateatralnej. Brałem też udział w zamkniętych działaniach parateatralnych dla wszystkich stażystów tzw. „ulach”, które prowadzili m.in. Włodek Staniewski, Ryszard Cieślak, Jacek Zmysłowski, dwóch naszych „ulach”; wysłuchałem wykładów Barrault i Gregory’ego. Nie wierz w żadne plotki o Grotowskim – był to wybitnie utalentowany reżyser, a jego sztandarowy spektakl „Apocalypsis cum figuris” który obejrzałem dwa razy na zamkniętych pokazach podczas stażu, był szokujący.

Jak wiesz z historii sztuki, nieraz zbierają się ludzie, ciężko harują latami i powstaje genialne dzieło. Tak było w przypadku „Apocalypsis cum figuris”. W 1975 pokazali nowe genialne dzieło

– parateatr. Otóż parateatr, tak jak go poznawaliśmy w 1975 roku, był dla nas bardzo ważną informacją: ty też możesz być reżyserem i aktorem. Nie mając budynków teatralnych i budżetu i będąc poza teatrem jako instytucją. Jest to w pełni wolnościowy i demokratyczny pomysł. Można powiedzieć podmiotowy: każdy może sobie założyć zespół parateatralny, robić spektakle i pokazać, co potrafi.

Tutaj kojarzą mi się dwa nazwiska: filozof Jiddhu Krisznamurti i jego „Wolność od znanego”, wolność od dogmatu i schematu w myśleniu filozoficznym i codziennym. I Paul K. Fayerabend filozof nauki i metodolog z jego wpływowym dziełem „Przeciw metodzie” – również przeciw starym schematom i kostycznym metodom w nauce instytucjonalnej. Obydwaj działali w tym samym okresie co Grotowski w teatrze na przełomie lat 60 in 70 XX wieku.

MK: Pozostańmy jeszcze przy wydarzeniach XX wieku. Czy możesz wskazać jakieś inne wydarzenia ogólnopolskie bądź międzynarodowe, które miały wpływ na Twoją drogę życiową z tamtych lat, czyli lata 70-te, 60-te?

AM: Oczywiście awantura warszawska o „Dziady” i sekwencje wydarzeń z nią związanych w pewnym sensie wymusiły na mnie studia na KUL. Rzeczywiście chciałem też postudiować filozofię. Rzeczywiście interesowałem się już wtedy prozą światową i poezją, oraz sztuką, polityką nie interesowałem się wcale, a muzykę uprawiałem czynnie już od 10 lat. Byłem też jako bigbitowiec pacyfistą, więc wybór KUL, gdzie nie było wojska był wyborem naturalnym.

Już podczas studiów po 1972 widziałem kolejne ograniczenia wolności: najpierw zlikwidowano ZSP i były protesty w KUL, potem zaczęła się twarda opozycja po wypadkach w Ursusie i Radomiu w 1976, powstał KOR, ROPCziO, rozpowszechniła się bibuła. Po zabójstwie Pyjasa w Krakowie w 1977 powstały SKS. Przecież tego nie robili studenci, a centralne władze PZPR w Warszawie, podejmując kontrowersyjne społecznie decyzje. Więc najpierw protestowali polscy intelektualiści i profesura przeciwko zmianom w konstytucji od 1975 roku, potem powstały organizacje opozycyjne, a dopiero potem i studenci zaczęli protestować. W 1975 lub 1976 czytałem Andrieja Amalrika, czołowego ekonomistę radzieckiego, w wydaniu paryskiej „Kultury”, który postawił diagnozę, że komunizm, sowieci nie przetrwa 1984 roku na skutek niewydolności systemu gospodarczego. Nowoczesny świat przechodził już na gospodarkę intensywną, Związek Radziecki tkwił nadal w gospodarce ekstensywnej (przemysł wydobywczy i przetwórczy). Po przeliczeniu podanych przez Amalrika danych doszedłem do wniosku, że rację ma Amalrik.

MK: Rzeczywiście, chyba dość powszechnym było traktowanie systemu komunistycznego jako zupełnie nie odpowiadającego na potrzeby człowieka, który chciał żyć w otoczeniu bezpiecznym i jednocześnie mieć poczucie wolności. Patrząc na moje wybory w latach późniejszych, 80., to także niejednokrotnie odwoływałem się do tego, że żyłem obok komuny, że była ona czymś zewnętrznym, a ja miałem swój świat i również z tego wyrastało moje zaangażowanie w działalność niezależną, kulturę niezależną. Tę postawę życiową ugruntował KUL, zarówno atmosfera tam panująca, gdzie socjalizm, komunizm był czymś obcym, jak i samo studiowanie. Ale co studiowałeś na KUL-u?

AM: Moje podstawowe studia, to studia siedmioletnie na Wydziale Teologicznym KUL, pięć lat normalny kurs uniwersytecki zakończony absolutorium i następne dwa lata na pisanie pracy magisterskiej, zgodnie z regulaminem Wydziału Teologii. Przemyśl jako miasto pełne zabytków najpierw zachęcał mnie do studiowania historii sztuki, potem miałem jakieś ciągoty psychologiczne, w stronę fizyki teoretycznej, w końcu stanąłem na filozofii. Wybierając KUL gdyż tam wyłącznie w Polsce był kurs uniwersytecki filozofii, poszedłem do Kurii Przemyskiej z prośbą o informacje o studiach w KUL. Okazało się jak przepatrzyłem informator, że na studiach teologicznych pierwsze 2 lata są mocno filozoficzne – aż 13 przedmiotów filozoficznych. I doszedłem do wniosku, że studiując na Wydziale Teologicznym będę w zasadzie studiował i filozofię i teologię! Niemniej wymóg przy składaniu podań o dopuszczenie do egzaminów wstępnych na kursie teologicznym był taki, że musiałem mieć „maturę” katolicką. W praktyce polegało to na przedstawieniu oprócz świadectwa maturalnego szkoły średniej państwowej, świadectwa ukończenia 11 klasy w zakresie religii katolickiej, klasy maturalnej. Tak więc mam dwie matury. Maturę katolicką zdobywałem u sympatycznego ks. Węgrzynka, wraz z innymi maturzystami katolickimi, dużo dyskutowaliśmy o poezji Jana Twardowskiego. No i o problemach filozoficznych i teologicznych, oczywiście na poziomie IV klasy szkoły średniej. W liceum ogólnokształcącym był przedmiot wychowanie obywatelskie i tam już czytałem o Grekach. Część moich znajomych miała zainteresowanie filozoficzne, czytała masę literatury, poezji.

MK: Jakich byś wymienił kolegów z Przemyśla? Tadek Karasiewicz?

AM: Tak, jeśli idzie o filozofowanie, czy czytanie w ogóle książek filozoficznych, to Tadek Karasiewicz, jakoś niesłusznie zapomniany.

MK: Pamiętam spotkania dyskusyjne z nim, ale i książki, np. „Barabasha” Lagerquista. Tadeusz potrafił zainteresować do czytania. A jak z Januszem Grodeckim zaczęli komentować filozofów, to aż chciało się ich czytać. Tadek cenił filozofów niemieckich, chyba bardziej niż starożytnych.

AM: Tadek cenił filozofów ogólnie chyba, w każdym razie podpowiedział mi lekturę „Filozofii indyjskiej” Radhakrishnana, kto wie, czy i nie Gombrowicza i Brunona Schulza. Na pewno fragmenty „Ulissesa” Joyce’a czytaliśmy razem. Zanim wyjechałem na studia, przeczytałem dużą ilość literatury światowej i polskiej: Rilkego, Eliotta, Whitmana, „Grę szklanych paciorków” Hessego, „Pałac lodowy” Terjei Vasaasa przepiękną powieść, „Kamień filozoficzny” Marguerite Yourcenar, dużo tomów poezji polskiej i światowej. Interesowałem się też już nauką, na przykład nadobowiązkowo w ramach przygotowań do egzaminów na teologię, przeczytałem olbrzymi podręcznik psychologii behawioralnej Skinnera. Trzeba pamiętać koniecznie, że wtedy nie było sieci internet, i myśmy siedzieli w bibliotekach, masę czytali, zwiedzali księgarnie i antykwariaty.

Teraz przejdę do studiów. Temat mojej pracy, to „Polemika z bóstwami obcymi w liście Jeremiasza”. Promotorem był ksiądz profesor Lech Stachowiak – był on redaktorem Biblii Tysiąclecia, części starotestamentowej i napisał komentarz do Księgi Jeremiasza, a mnie kazał napisać komentarz do szóstego rozdziału Księgi Barucha, czyli do tzw. Listu Jeremiasza. Ksiądz Stachowiak

chciał napisać komentarz do Listu Jeremiasza, ale nie za bardzo miał czas i zlecił to mnie. Ja 5 lat pisałem ten komentarz, 84 strony. Ksiądz Stachowiak, gdy to przeczytał, to wypalił: „panie magistrze, udało się panu złote jajo”! Udowodniłem bowiem w tym 5-letnim studium, że jest tam stosowany tryb dowodzenia logicznego Arystotelesa, pod nazwą „Calemes”, co pozwoliło mi na wydatowanie precyzyjne tego tekstu biblijnego, które przesunąłem o 200-300 lat, w porównaniu z innymi komentatorami. Słynny Bruce Metzger, Amerykanin, wydatował go chyba na 500 lat przed naszą erą, czy wcześniej, a ja przesunąłem dokładnie o 200-300 lat, na okres życia Arystotelesa. Można więc powiedzieć, że odkryłem jedyne pismo „logiczne” w Starym Testamencie. Ksiądz Stachowiak wywodził się ze „szkoły historyczno-kulturowej” hermeneutyki biblijnej, gdzie nacisk kładzie się na metodę zwaną „Sitz im Leben” – środowisko powstania tekstu. Więc przez 5 lat pisania pracy przeprowadziłem gruntowne studia nad Sumerem, Mezopotamią, a głównie Babilonem, gdyż tego okresu dotyczył „List Jeremiasza”. Na Wydziale Teologicznym, na kierunku teologii biblijnej obowiązywała wolność badań naukowych, pod warunkiem trzymania się metodologii.

Praca, Solidarność, Ekologia

MK: W którym roku skończyłeś studia?

AM: 1979.

MK: I przeniosłeś się do Włocławka, bo musiałeś tam wyjechać za chlebem?

AM: Za chlebem, musiałem tam wyjechać za chlebem.

MK: I tam spotkałeś się z wydarzeniami z sierpnia 80?

AM: Tak.

MK: A wcześniej Karol Wojtyła został wybrany papieżem.

AM: Wtedy wszyscy mówili, koniec komuny! Tak, to była jednoznaczna opinia, koniec komuny. Dzisiaj ludzie tego nie rozumieją, bo nie byli blisko tych wydarzeń, a zwłaszcza nie byli chronieni przed wpływem partii i indoktrynacji marksistowskiej. Bo tylko na KUL-u marksizmu nie wykładano. Na KUL-u, zgodnie z umową Episkopatu Polskiego z władzami PRL, także nie brano studentów do wojska, a z seminariów duchownych brano. Także tu bardzo inteligentnie grał Episkopat. Więc opinia była jednoznaczna: koniec komuny.

Natomiast nie wiedzieliśmy, jak ten koniec będzie się rozgrywał i to jest nawet pewnego rodzaju może nie zagadka, ale zadanie dla historiografów, dla historyków rozwikłać sprawy sierpnia, bo wybór papieża miał wpływ oczywisty na koniec komuny. Dzisiaj widzę, że ten niebywały en-

tuzjizm przełomu lat 70 i 80 XX wieku, nie za bardzo przełożył się na formację katolicyzmu społecznego po odzyskaniu niepodległości, czyli po okrągłym stole. Świetne encykliki społeczne Jana Pawła II: *LABOREM EXERCENS* z 1981 i *CENTESIMUS ANNUS* z 1991, wzywające do solidarności społecznej i zalecające moralny charakter funkcjonowania przedsiębiorstw wraz z ekologią, nie zostały przyswojone. W ten sposób bazująca na nauce społecznej kościoła katolickiego chadecja /ordoliberalowie/ nie udała się. Nie uzyskała wpływu. Po okrągłym stole nastąpił olbrzymi przechył w stronę dominacji gospodarki nad społeczeństwem, skutkiem było olbrzymie bezrobocie.

MK: zgadza się, ale ciekawa jest Twoja uwaga o słabej obecności chadecji w polskiej polityce po 1980 roku. Wydawało mi się, że jest to efekt braku tradycji działania tej formacji w Polsce.

AM: Trudno mi oceniać i analizować jakie były przyczyny braku chadecji, albo inaczej braku wpływu nauki społecznej kościoła na porządek po 1989 roku. Mogło partii chadeckiej nie być w rządzie, ale zasada społecznej gospodarki rynkowej mogła zostać utrzymana. Czyli równowaga gospodarki i społeczeństwa. Nie wiem też, dlaczego również późniejsze znakomite encykliki Benedykta XVI, zwłaszcza „*Spe salvi*” ostrzegające przed planowaniem dla przyszłych pokoleń świata, które być może one nie zaaprobuja, czy „*Fratelli tutti*” Franciszka przestrzegająca przed planistycznymi utopiami, nie znalazły szerszego odzewu. Jak i ostatnie dokumenty społeczne Franciszka z przełomu 2023/2024: w sprawie zmian klimatycznych na Szczyt Klimatyczny w ZEA, i zagrożeń związanych z niekontrolowaną sztuczną inteligencją.

MK: Rzeczywiście, zauważamy te problemy podczas międzynarodowych konferencji Europa Karpat. Ale wróćmy jeszcze do XX wieku. Rok 1980, jakbyś krótko odniósł się do tego momentu i wspomiał to wydarzenie, te strajki? W Świdniku zaczęło się w lipcu, potem sierpień, cały kraj i powstaje Solidarność 31 sierpnia.

AM: 31 sierpnia 1980 zostały podpisane umowy, powstała Solidarność. I tu chcę podkreślić, że społeczeństwo z wielką aprobatą i nadzieją przyjęło tę swoistą umowę społeczną, podpisaną w Gdańsku przez ministra Jagielskiego ze strony rządu prl-owskiego i Komitet Ogólnopolski pod kierunkiem Lecha Wałęsy, Andrzeja Gwiazdy i tak dalej. Była tam mowa, że dwie strony będą lojalnie – podkreślam, lojalnie ze sobą współpracowały, nie działając na szkodę żadnej ze stron. A już we wrześniu, w tymczasowej siedzibie MKZ-u wrocławskiego (tam byli różni ludzie też po studiach, bardzo inteligentni) myśmy z uwagą odsłuchiwali analizę tupeciarskiego wystąpienia Andrzeja Żabińskiego, pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego w Katowicach, słynnego przedstawiciela betonu partyjnego, które na taśmach magnetofonowych ktoś wyniósł z zamkniętego posiedzenia tamtejszego KW. On powiedział wyraźnie: rozbijać Solidarność wszystkimi dostępnymi metodami... Już wtedy wiedziałem, że wyrok na nas jest wydany. To, co ja sobie Marek pomyślałem wtedy o tych komuchach, jakimi słowami, to nie wypada mi ich przytaczać. Zrozumiałem, że jesteśmy skazani na rozwałkę. I myślę co robić, jak działać? Nie za bardzo wiedziałem co z tym robić. Byłem jednym z założycieli związku we Wrocławku, więc trzeba działać. To było bardzo niełojalne działanie władz PRL-owskich wobec strony solidarnościowej. I choć wiedzieliśmy, że będą szły ataki i destrukcyjna robota przeciwko nam, to jednak było to bardzo

przykre. Można powiedzieć, że graliśmy jak mogliśmy, pokojowo oczywiście, to związek zawodowy przecież był, prasa poza cenzurą.

Byłem wtedy oddelegowany do pracy w Zarządzie Regionu Solidarności przez Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX od września, albo od października 1980 roku do stanu wojennego. Między innymi byłem twórcą prasy Solidarności wrocławskiej, biuletynu „Solidarność Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej”. Z drukarzami tak uzgodniłem, że nawet wybierałem czcionkę. Pierwszy numer zaczynał się od wiersza Miłosza:

“W mojej ojczyźnie”

*W mojej ojczyźnie, do której nie wrócę,
Jest takie leśne jezioro ogromne,
Chmury szerokie, rozdarte, cudowne
Pamiętam, kiedy wzrok za siebie rzucę.*

*I płytkich wód szept w jakimś zmroku ciemnym,
I dno, na którym są trawy cierniste,
Mew czarnych krzyk, zachodów zimnych czerwień,
Cyranek świsty w górze porywiste.*

*Śpi w niebie moim to jezioro cierni.
Pochylam się i widzę tam na dnie
Błask mego życia. I to, co straszy mnie,
Jest tam, nim śmierć mój kształt na wieki spełni.*

Pamiętam, że całą noc drukowaliśmy z kolegami z zakładowej komisji Solidarności w jednej z wrocławskich drukarni i na drugi dzień rano przyszedłem do Zarządu Regionu z plecakiem, takim na stelażach. Miałem pomarańczowy duży turystyczny plecak, do którego wzięłem 2, 5 tysiąca egzemplarzy pierwszego numeru prasy solidarnościowej, z drukarni, bo myślałem, że esbecja nie będzie zwracać na mnie uwagi: rzadko kto chodził z plecakiem. No i ku radości kolegów wyciągam z plecaka dwie paczki, dwa i pół tysiąca egzemplarzy, format A4, i 4 strony. To była taka gazeta w formacie A4. Robienie tego czasopisma to była moja praca związkowa. Tam było szereg ciekawych ludzi, ale oni potem prawie wszyscy wyemigrowali. To był mały ośrodek, bo przecież wiadomo, że duży power Solidarności dawały miasta uniwersyteckie i duże zakłady, np. w Świdniku czy w Lublinie i wiadomo, Warszawa, Katowice, Gdańsk, duże zakłady i tam angażowała się kadra uniwersytecka, eksperci. Wrocławek, Konin nie miały dużego znaczenia, to mniejsze miasta. Ale myśmy we Wrocławku wydawali kilka różnych tytułów m.in. dziennik „Wiadomości dnia”, „Solidarność Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej”, w kolorowej szacie graficznej „Znak sierpnia”. Był Ośrodek Badań Socjologicznych, bo na poziomie centrum ośrodek socjologiczny Ludwik Dorn robił w Warszawie Zaprośmy dwie koleżanki po socjologii i one zaczęły robić badania. Oczywiście nie badaliśmy PZPR-u, bo oni mieli swoje uniwersytety, tylko stan związku zawodowego, dane statystyczne, no i inne. No ale potem wiadomo, był 13 grudnia i po robocie.

MK: Jakbyś ocenił z dzisiejszej perspektywy dorobek Solidarności i społeczeństwa angażującego się po jej stronie? Przecież ludzie na Solidarność patrzyli nie tylko jak na związek zawodowy czy organizację specjalizującą się w sprawach pracowniczych. Patrzyli na Solidarność jako ruch...

AM: Patrzyli na formację wolnościową, niepodległościową. Ale niepodległość, ta formacja niepodległościowa pojawiła się później. Głównie z Janem Olszewskim. Jan Olszewski wtedy był znany i podkreślam właśnie jego postać, bo tylko jedna organizacja była popierana oficjalnie przez Solidarność w całej Polsce. Miała nazwę „Patronat” i zajmowała się opieką nad więźniami politycznymi i prowadził ją mecenas Jan Olszewski. Żadna inna organizacja nie miała oficjalnie poparcia. Myślę, że wszystkie warstwy społeczeństwa przeciwczyły z władzami perł-owskimi różnego rodzaju niezbyt miłe rzeczy. Młodzież w 1968 roku i studenci, których centrum był Uniwersytet Warszawski, ale największe zadymy w Marcu to były protesty młodzieży robotniczej w Gdańsku. Potem w 1976 był Radom, Ursus. Część populacji miała dość, mówiła – dziękujemy wam uprzejmie. Kryzysy były kolejne, gospodarcze i tak dalej. I to nie ma znaczenia, że komuniści zainwestowali za Gierka, że były potężne inwestycje, i że potem nie mogli spłacić, bo dolar skoczył po wojnie w Zatoce Perskiej w 1973 roku. Ale wielu ludzi widziało, że w Polsce to wszystko nie klei się, nie udaje się, że próbuje to wyciszać natrętna propaganda. A wystarczyło np. wejść do Empiku przemyskiego w okresie stanu wojennego i czytać oficjalne zakreślenia i ingerencje cenzury w prasie – odczuwałeś atmosferę coraz gęstsza.

MK: A moment stanu wojennego? Jak go pamiętasz, jak go przeżyłeś?

AM: Stan wojenny zastał mnie w Mielęcinie, w obozie internowania. W noc aresztowania przyszło do mnie dwóch oficerów milicji obywatelskiej w mundurach: Panie Andrzeju, coś się stało w regionie Solidarności, gdyby Pan był uprzejmy z nami pojechać... To było w pół do drugiej w nocy. Ja myślę, ocho, przyjechali po mnie. Ja mówię, już zaraz, ubiorę się. Wziąłem chyba jeden jakiś ciepły sweter, ciepły szalik i najcieplejszą kurtkę, jaką miałem bo to 13 grudnia. Wziąłem jeszcze kupioną w Przemyślu fajeczkę, brujerkę, wrzosówkę, paczkę tytoniu i mały egzemplarz Nowego Testamentu, który miałem, takie kieszonkowe wydanie. Nie dlatego, żebym grzeszył nadmierną pobożnością, tylko pomyślałem, że władza ludowa nie pozbawi mnie tego egzemplarza, bo on ma niską szkodliwość czynu (śmiech), więc może sobie mieć. I rzeczywiście, nie odebrali mi tego egzemplarza i mieliśmy potem w celi pismo święte. Podtrzymywaliśmy się na duchu, cały czas fason trzymali. Jeden kolega miał wykłady o jachtach, inny o prawdziwych kołdunach litewskich. Pismo się przydało, ludzie czytali. Bo nie mieliśmy dostępu do gazet, radia i trzeba było tam cały czas siedzieć na niewielkiej przestrzeni, spadała odporność na choroby, słabła kondycja fizyczna. Nasze internowanie zaczęliśmy od razu, pół do 7 rano, od strajku głodowego: nie przyjmujemy śniadania, nie przyjmujemy jedzenia, do kibla wylewamy i niech nam wytłumaczą, po co nas tu wzięli. Myśmy nie wiedzieli, o co idzie. I dopiero o 10.30, przyszedł major służby więziennej, i wszystkich poinformował, że wprowadzono stan wojenny w nocy, jesteście internowani i że będziemy rozlokowani po celach. Jako władze związku – byłem członkiem prezydium Zarządu Regionu i Delegatem na I Zjazd Solidarności – mogliśmy się spotykać na terenie obozu internowania. Władze obozu prowadziły z nami różne konsultacje. Wtedy pod-

jęliśmy dwie decyzje, po pierwsze – nie jesteśmy związkiem cierpiętników, koledzy są chorzy niektórzy, mają żony na utrzymaniu, dzieci, a więc zdecydowaliśmy się podpisywać deklarację lojalności i wychodzić. Deklarację lojalności sprawdzał nasz prawnik, który z nami był. My też sprawdzaliśmy, ponieważ trzeba to podkreślić, bo niektórzy nieraz tak mówią, że to była deklaracja współpracy. Nie, to była deklaracja lojalności, nie współpracy – nie tajny współpracownik, ale że po wyjściu z obozu internowania nie będzie się działać przeciwko państwu polskiemu. Dokładnie pamiętam tą formułę: nie PRL, tylko państwu polskiemu. I mówili, wychodzicie na własne ryzyko. Jak zaczniecie działać, to pójdziecie do więzienia. Tak że ja wyszedłem po dwóch tygodniach. Wróciłem do pracy w PAX, nie wyrzucono mnie.

MK: Mnie 13 grudnia stan wojenny zastał w domu. Mieszkałem wtedy przy ul. Węgierskiej, w późniejszym miejscu spotkań Strychu Kulturalnego. Wieczorem byli u mnie Jurek Bonarek z Beatą, późniejszą żoną, koleżanka Ela Piechowicz i chyba kuzyn Jurek „Koza” Cepiński, malarz. Siedzimy, gwarzymy, aż tu wieczorem niespodziewanie wpada Zygmunt „Borman”. Radia i wiadomości bieżących nie było wtedy, słuchaliśmy tylko muzyki z płyt. Grubo po północy goście wyszli i już po drodze do miasta spotykali uzbrojone patrole milicyjne. Tak weszliśmy w stan wojenny w 1981 roku. Od 1982 r., włączyłem się w działalność opozycyjną, opisaną w mojej biografii. Czy mógłbyś wskazać jakieś wydarzenia, które warto przypomnieć, które były jakimś ważnym dla Ciebie elementem charakteryzującym tamte lata?

AM: Dużym przełomem psychicznym i humanistycznym, ale też obywatelskim, cywilizacyjnym była śmierć księdza Jerzego Popiełuszki, który we Włocławku, na tamie zakończył swoje życie w 1984 roku. Wiemy dziś, że to był błąd części władzy. Skończył się stan wojenny w 1983 roku, przynajmniej oficjalnie. Były imprezy, punkowe festiwale, grały zespoły, były jakieś wydarzenia kultury, które na przykład w Przemysłu robił Zenek Zegar, nawet poza cenzurą. Nic się wielkiego nie działo, a tu nagle bach, bach, bach... jakieś zupełnie nierozumne, fatalne wydarzenie do jasnej cholery. Jak pamiętam, wszystkich wtedy zmroziło, znów Warszawa, znów te namiętności polityczne, konflikty w obozie władzy. Do tego dodatkowo we Włocławku byliśmy zbulwersowani, że to wydarzyło się na tamie we Włocławku.

Ja zacząłem w tamtym czasie podchodzić do doktoratu, miałem już pierwsze naukowe publikacje od 1987, wcześniej kilka popularnych. Zawdzięczam swoje zainteresowania nauką społeczną Kościoła katolickiego księdzu profesorowi Władysławowi Piwowarskiemu, profesorowi KUL-u, jednemu z najwybitniejszych socjologów w Polsce. I wtedy zacząłem pisać pierwsze artykuły, sam wymyśliłem temat – nauka społeczna Kościoła katolickiego o ochronie środowiska. Miałem publikacje na tyle oryginalne, że cytował je m.in. profesor Stefan Kozłowski, ale i profesorowie Jan Białostocki i Tadeusz Preciszewski. Ekologią zacząłem się interesować już w Lublinie, ale właśnie w okresie stanu wojennego doszedłem do wniosku, że jak mam prowadzić Referat Inicjatyw Społeczno-Ekologicznych we Włocławku, to zajmę się ekologią. Wymyśliłem cykl kilkunastu konferencji o ochronie środowiska w województwie włocławskim, ochronie środowiska kulturowego, starałem się współpracować z Wydziałami Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego i innymi instytucjami w tym zakresie jak Włocławskie Towarzystwo Naukowe, Wy-

dział Ochrony Środowiska UM, Ligą Ochrony Przyrody, Konserwatorami Przyrody i Zabytków. Zorganizowałem też pierwszą w województwie wrocławskim konferencję na temat ochrony uzdrowisk Wieńca Zdroju i Ciechocinka Zdroju, co dzisiaj daje swoje efekty. Jestem uwrażliwiony na konieczność posiadania aparatury pomiarowej, która powinna być w każdym uzdrowisku, bo jak nie ma takiej aparatury pomiarowej, to z góry wiadomo, że tam jest przekroczony poważnie poziom zanieczyszczeń.

Po pierwszych moich publikacjach, zostałem zaproszony przez panią profesor Danutę Cichy z Instytutu Badania Problemów Młodzieży PAN w Warszawie, do jej zespołu. To był zespół „Edukacyjne problemy ochrony środowiska przyrodniczego”. Ten sam zespół, jako zespół 13B „Edukacyjne problemy społeczeństwa” jednocześnie funkcjonował w Polskim Narodowym Komitecie UNESCO Man and Biosphere Programme. Do MaB Programme UNESCO, gdzie przewodniczącą była pani profesor Alicja Breymeyer, zostałem zaproszony w 1993, chyba w maju. W 1988 we wrześniu już byłem na pierwszej międzynarodowej konferencji, zaproszony przez Panią Profesor Cichy w Orzyszu na terenie jednostki wojskowej. Była to konferencja IUCN, czyli Międzynarodowej Unii Ochrony Zasobów dla Europy Środkowowschodniej. Na terenie Orzysza dlatego, że tam było tanio, kuchnia ogólnowojskowa i nawet zespół wojskowy grał uczestnikom konferencji do ogniska. I chociaż dało się odczuć ten Schwarzwald, czarne lasy, to atmosfera była świetna. Spływ nam zrobiono przepiękną i czystą rzeczką Krutynią, zwiedziliśmy Zakład Polskiej Akademii Nauk w Popielnie... Tam niestety były prowadzone dość kontrowersyjne doświadczenia na zwierzętach. Wtedy się trochę do nauki zniechęciłem. Ale kontynuowałem konferencje wrocławskie przekonany głęboko, że mogą przyczynić się do rozwoju postaw proekologicznych. Od 1986 r., robiłem też konferencje na poziomie Warszawy, w Ośrodku Chrześcijańskiej Myśli Społecznej „Augustinum”, na temat wszystkich spraw związanych z nauką społeczną Kościoła katolickiego a ochroną środowiska, etyką ekologiczną od strony Kościoła katolickiego, ale i relacjami medycyny i ekologii. Zapraszałem profesor medycyny Marię Gumińską z Krakowa, wybitną specjalistkę, ksiądz dr Jan Grzesica, etyk ekologiczny też brał udział w tych seminariach, był wybitny etyk katolicki ks. prof. Tadeusz Ślipko i wiele innych osób.

MK: Rok 89. i lata 90., czy możesz wspomnieć jakieś ważne wydarzenia z tamtych lat, które miały wpływ na kształtowanie Twojej dalszej drogi życiowej. Jeśli to była ekologia, to jest ważne, bo to jest obszar ochrony środowiska, ekologii, ekosystemu, a to już są rewiry, które mają wpływ na kształtowanie poglądu na świat człowieka, wartości i sensu życia, a więcej kształtowanie człowieka jako człowieka wolności. Ludzi Wolności można w ten sposób znaleźć ...

AM: Doszedłem do wniosku, że działalność ekologiczna w zasadzie rozbudowuje ludzką wolność i na poziomie indywidualnym i na poziomie społeczeństwa. Życie w warunkach katastrofy ekologicznej na dowolnym terenie, zatoksykowanie terenu uniemożliwia ludzką wolność, blokuje też rozwój społeczeństwa i uniemożliwia planistom centralnym czy lokalnych racjonalne planowanie. Już w roku 2005 Polskie Towarzystwo Psychiatryczne w swoim raporcie włączyło wskaźniki zanieczyszczenia, wskaźniki ekologiczne do oceny stanu zdrowia populacji.

Także ciągnąłem tę ekologię nadal. W 1987 miałem już pierwsze publikacje naukowe. W 1989 już zacząłem doktorat na KUL-u u księdza profesora Kondzieli, niestety musiałem przerwać, ksiądz profesor Kondziela nagle zmarł w wieku lat 60, w młodym wieku. I ten doktorat przerwałem w 1992, ale na szczęście dla mnie temat doktoratu opublikowałem i był cytowany. Mało tego, chyba w 1988 czy 1989 roku działał wtedy popularny Ruch Ekologiczny „Wolę Być”. Zorganizowałem dla nich Włocławski Uniwersytet Ekologiczny, który trwał chyba do 1995 roku. Za darmo były różnego rodzaju wykłady dla młodzieży szkół podstawowych, średnich. I tak jak pamiętasz, u ciebie w Przemyślu na Strychu była Mary Tillens, Fred Gijbels u mnie też byli na tym Włocławskim Uniwersytecie z wykładami. Był kolega Przemek Czajkowski, ekspert Globalnego Funduszu Środowiska w UNDP GEF, Jacek Bożek, słynny działacz ekolog i aktor z Bielska Białej. Też profesor Stefan Kozłowski, który był ministrem ochrony środowiska u Jana Olszewskiego i delegatem na pierwszy Światowy Szczyt Ziemi ONZ-tu. Przy Okrągłym Stole był on w podstoliku ds. ekologii od strony solidarnościowej. Była wielka międzynarodowa znakomitość ekologiczna Profesor Sophie Jakowska z Dominikany, późniejsza profesor Uniwersytetu Nowojorskiego, Dowiedziałem się, że jest w Polsce, natychmiast pojechałem do Warszawy, zaprosiłem Panią profesor, przyjechała, miała wykład, wykład rewelacyjny. Opowiadała o praktycznych stronach edukacji ekologicznej na wsiach Republiki Dominikańskiej.

MK: Właśnie, kwestie praktyczne w ekologii są bardzo ważne. W latach 80., żeby być zupełnie niezależnym od komuny, prowadziłem, poza kontraktacją, z moim tatą gospodarstwo ogrodnicze. To było wielkie wyzwanie, bo jeśli prywatny ogrodnik miał swoją produkcję zakontraktowaną w skupie, czyli pod kontrolą spółdzielni nadzorowanej przez system komunistyczny, to miał dostęp do nawozów, opału, benzyny, środków ochrony – wszystkie te towary były wtedy reglamentowane, nawet wódka i cukier były na kartki. Niezależni ogrodnicy zmuszeni byli do kombinowania, bo na sezon potrzebowałem np. ok. 20 ton węgla do ogrzania trzech tuneli szklarniowych, kilkaset kg nawozów sztucznych, setki litrów benzyny, żeby wiosną wozić dwa razy w tygodniu pomidory z wczesnej produkcji na wolny rynek do Krakowa, Katowic, czy Warszawy. To była dodatkowa zachęta do upraw ekologicznych – nie dawać ciągle łapówek. Więc, oprócz przekonania o potrzebie produkowania zdrowej żywności z samej swej istoty ważnej, byliśmy zmuszeni do uprawy warzyw przyspieszonych w sposób możliwie najbardziej ekologiczny: zamiast nawozów stosowaliśmy duże ilości obornika z różnych zwierząt i kompostów, podlewałem wodą zbieraną z deszczówki, która musiała kilka dni „ostać się” w specjalnych paruset litrowych beczkach, na mączlika, czyli białe muszki na pomidorach, stosowaliśmy roztocze, a przeciw grzybom spryskiwałem rośliny mechanicznie rozwodnionym mlekiem chudym, kupowanym w szklanych litrowych butelkach, czyli bez plastiku. Wielu tych metod ekologicznych nauczył mnie tato Jurka Bonarka, przedwojenny ogrodnik. Potem nastąpiły czasy, gdy już w Przemyślu działało Przemyskie Towarzystwo Kulturalne, powołane w grudniu 1989 roku. I tutaj w siedzibie dawnego EMPiku na parterze mieliśmy salę spotkań, otwarte forum obywatelskie, różne inne inicjatywy i organizowaliśmy spotkania. Brałeś w nich udział. Przypominam sobie spotkanie dyskusyjne, bardzo długie, z Ryszardem Legutko o tym, Czy można być konserwatystą w PRL-u, a potem z Jarosławem Piekalkiewiczem.

Ludzie Wolności, Europa Karpat

AM: Wypisałem sobie te nazwiska, co komu zawdzięczam, czego mnie kto uczył? I na pierwszej stronie jest Jarosław Piekalkiewicz, którego poznałem u Ciebie w Przemyskim Towarzystwie Kulturalnym. Bo pamiętam, że mówiłeś wtedy chyba 1995 rok był: "Andrzej, no to może być z nim wywiad jakiś zrobić?". No i pojechaliśmy do niego. Jarek Piekalkiewicz (przeszliśmy na Ty, to była jego propozycja) z Mojrą, jego żoną, działaczką amerykańskiej Amnesty International, jadąc do Przemyśla gdzieś w Warszawie, na dworcu coś zjedli i dostał rozstroju żołądka, że trafił do szpitala w Przemyślu na Rogozińskiego. Jeśli idzie o wkład różnych ludzi w moje rozumienie świata i nauki, to Jarka Piekalkiewicza szczególnie wyróżniam – ukierunkował mnie w stronę epistemologii, czyli teorii poznania naukowego.

MK: Politolog i antykomunista, stryjeczny bratanek Jana, delegata Rządu na Kraj...

AM: Tak, tak. Ale to on mnie wprowadził w epistemologię i dlatego ja obecnie krytykuję popularną w niektórych środowiskach instytucję mistrza i ucznia, bo to jest frazeologia. To jest wzięte z renesansu, z uczelni włoskich, kiedy te uczelnie były korporacjami magistrów i beanów. One się przenosiły z miasta do miasta, o ile miały pieniądze na uczenie. I wtedy była ta relacja mistrz-uczeń, czyli magister po naszymu i bean, czyli student. Powinno patrzeć się na ten problem prościej: profesor i student. Tak to widzę, na przykładzie Jarosława Piekalkiewicza. Gdyż profesor nie musi, ale jeśli chce, to może pokazać kierunek metodologiczny. Jarek Piekalkiewicz pokazał mi w epistemologii, czyli filozofii nauki albo metametodologii, horyzonty rozważań, gdzie one się zaczynają...

Była też Sophie Jakowska (1922-2005), wybitna profesor nauki o biologii z Uniwersytetu Nowojorskiego, w angielskiej Wikipedii jest wspaniała nota o niej. Ona mnie nauczyła etyki ekologicznej od strony praktycznej, jak oni uczyli ludzi w Dominikanie ekologii praktycznie rozumianej, nie teoretycznie, że ładnie, że pójdziemy na spacer i będziemy jeździć na rowerach... Nie, ale jak się ludzi uczy oszczędzać opał, bo oni są biedni. Więc, że np. kotły blaszane czy gliniane słomą trzeba obłożyć, żeby zachowywały długo ciepło. Tak oni w Dominikanie uczyli ochrony środowiska, poprzez praktyczną edukację ekologiczną.

U Jerzego Grotowskiego (1933-1999) byłem cały miesiąc, na Uniwersytecie Poszukiwań Teatru Narodów pod patronatem UNESCO, gdzie po raz pierwszy w świecie pokazano parateatr; to była pierwsza demonstracja metody parateatralnej. Grotowski i jego aktorzy, głównie Rena Mircka i Zbigniew Cynkutis nauczyli mnie warsztatu parateatralnego. Tak jak epistemologii Jarek Piekalkiewicz a praktycznego rozumienia etyki ekologicznej Sophie Jakowska.

Nawiązuję też po wielu latach swoich studiów i lektur do pragmatyzmu amerykańskiego. Metodologia amerykańska polega na pytaniu: „jak”? Była tutaj w Przemyślu niedawno Lidia Morawska, wybitna profesor z Australii i ona zaczęła swój wykład od tego, że jej zainteresowanie

nauką zaczęło się od pytania „dlaczego, „dlaczego tak jest”? Pytania „dlaczego tak jest” jako tak zwanego pytania naukotwórczego uczył nas w 1972 r. na wykładach z metafizyki rektor KUL ks. prof. Krąpiec. Jest to klasyczne pytanie greckiej filozofii, po grecku brzmi “*dia ti?*”. Niemniej Amerykanie mają praktyczne podejście – „*jak?*”. Jak rozwiązać jakiś problem, czyli mówiąc dzisiaj, tutaj aktualnie i egzystencjalnie – jak wygląda moja sytuacja życiowa, czego mi brakuje, jak powinienem postępować? A w nauce? Według klasycznej definicji nauki, nauka zajmuje się tym, co jest, czyli najogólniej światem. A nauka amerykańska nie zajmuje się tym, co jest, tylko jak ja mam rozwiązać problem, jak ja mam podejść do tego praktycznie. Jest to propozycja Peirce’a i określa się ją „*pragmatyczną teorią prawdy*”.

Jeszcze kilka uwag o metodologii nauk i strategii ekologicznej, której fragmenty prezentowałem teraz na konferencji w Kalwarii Pałacowskiej. Sam ją opublikowałem w 2004 r., a pisałem sześć lat i osiem miesięcy: odpowiada ona na pytanie, co jest ekologią, która może zlikwidować kwestię ekologiczną. Jeśli idzie o warsztat eksperta, to poruszania się w świecie ekspertów UNESCO uczyłem się od profesor Alicji Breymeyer, ukierunkowania edukacyjnego od profesor Danuty Cichy, a warsztatu rzetelności metodologicznej, skrupulatności i dbania o to, co się mówi społeczeństwu, naukowcom i studentom – od profesora Stefana Kozłowskiego. A oszczędności, dbania o ekologiczny styl życia, to od profesora Zbigniewa Tadeusza Wierzbickiego, który był przewodniczącym Rady Naukowej w Prezydium Zarządu Głównego LOP, której byłem członkiem. Do dzisiaj wzorem profesora piszę na obydwu stronach kartki papieru, oszczędzając lasy.

MK: Jeszcze raz podsumujmy wspomnienia, wnioski z przeszłości.

AM: Chciałem podkreślić, że to była pewna baza doświadczeń, ale człowiek już sam musiał potem ruszyć, nie oglądając się na to, co było. Część z tych ludzi zmarła, ale zostawili mi swoje podejście, są też ich publikacje. Współcześnie też nie ma w Polsce „*MaB Programme*” UNESCO i kilkunastu zespołów ekspertów które tam były. A naukę, refleksję ekologiczną, analizy trzeba ciągnąć dalej, zmienia się rzeczywistość przybывая kolejne zagrożenia.

W tym miejscu chciałem podkreślić Twoją osobę, dlatego że środowisko, nazwijmy to umownie, Europy Karpat, bardzo się rozwinęło. Rozwinęło się niespodziewanie, jak myślę, dla wielu osób. Te konferencje międzynarodowe są w moim nurcie rozważań. Ochrona środowiska, nowoczesna ekologia, metodologia nauk i strategii ekologicznych. To nie jest tak, że ekologia jest nauką statyczną. Bo stan środowiska zmienia się raz na lepsze, raz na gorsze. Konwencja Europy Karpat jest nowoczesna, ale się rozwija bez przerwy. Dochodzą nowe tematy, niebanalne zupełnie. Jak uzdrowiska, zdrowie, turystyka. Tu jeszcze chciałem przypomnieć, że 2021 r., konferencja Europa Karpat ruszyła właśnie w sprawie zdrowia i turystyki. A w 2023 na grudniowym szczycie w Dubaju, w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, na szczycie klimatycznym ONZ-u, już zdrowie znalazło się jako numer jeden w rozważaniach o klimacie. Oczywiście czym innym są zmiany klimatyczne, a czym innym jest Europa Karpat. Ale to jest właśnie działalność prozdrowotna, poprawa środowiska, ekosystemu, poprawa zdrowia populacji. I tutaj Europa Karpat nieco wyprzedza globalne konferencje ONZ związane z ekologią.

MK: Zatrzymajmy się chwilę na Europie Karpat, na współpracy między regionami, państwami i środowiskami. Jakie rekomendacje możesz zaproponować dla naszych działań? Jaka tematyka byłaby najlepsza - mówiłeś o uzdrowiskach, o przyrodzie. Czy możesz podać jakieś konkretne przykłady?

AM: Widzę trzy takie kontynuacje tematów. Pierwszy, to Karpaty a UNESCO. To jest pomysł ministra Krzysztofa Szczerskiego, naszego delegata w ONZ. Rekomendowałbym powolne ciągnięcie tego tematu. Oczywiście w kooperacji z osobami z poszczególnych państw, jak oni widzą tę sprawę. Trzeba dążyć do osiągnięcia jakiegoś iunctim, porozumienia państw karpaccich, potem zrobić jakiś zespół studyjny, opracowywać projekty. Z najnowszych danych przecież widzimy, że poszczególne słynne miejscowości, kombinaty turystyczne, jak Wenecja, wyłączają się, wyrzucają turystów, nie chcą ich. Jest to skutek przeładowania turystycznego w niektórych regionach. To nie tylko jest szansa turystyczna dla nas, te tereny rosną w cenie, nie tylko finansowej, ale rosną w cenie ze względu na jakość życia. Zrobiłbym całą ewidencję Karpat – jest przecież mnóstwo uzdrowisk i masę różnych świetnych rzeczy, i chroniłbym te Karpaty, a wpis na Listę UNESCO przygotowywałbym w ramach hasła „nieskazitelne góry – nieskazitelne uzdrowiska”.

Drugi temat to uzdrowiska Karpat. Trzeba byłoby doprowadzić do restytucji naszych uzdrowisk, bo np. Rabka jest w rankingu najbardziej zanieczyszczonych miast. Goczałkowice zanieczyszczone. Rymanów, Iwonicz – jeszcze się trzymają. Jest jeszcze Polańczyk. Na Słowacji Preszow, Koszyce, Bardejowskie Kupele. I tak dalej, przez wszystkie państwa Karpat. Trzeci, proponuję trzymać temat, który był na Kalwarii Pałacowskiej: „Przemysł-Krasiczyn-Kalwaria jako dziedzictwo kulturowo- przyrodnicze”. Pamięć, rozwój, ochrona. Tak jak zaproponowałem, w promieniu 40 kilometrów od centrum Przemyśla, zabytkowego rynku renesansowego, pomnika historii. Nic tu nie trzeba robić, tylko chronić.

MK: Czy możemy wyodrębnić temat związany z Via Carpatią i następnymi... Via Culturalia, Szlak Karmazynowy?

AM: Zgłosiłem wniosek, żeby utworzyć zespół koordynacyjny tych trzech ciągów komunikacyjno-kulturowych, mianowicie Via Culturalia, Crimson Route-Karmazynowy Szlak i Megagaleria. Bardzo ciekawy pomysł – megagaleria, który zaproponowali Janusz Kapusta i Piotr Bies z Zakopanego na Europie Karpat w Krasiczynie w ubiegłym roku. Zacznę od Karmazynowego Szlaku. Dlaczego? Bo ten projekt trzeba planować precyzyjnie. Bułgaria i Rumunia kończą ostatni etap Via Carpatia w 2031 i w 2029 r. Grecja potem, bo jest ostatnia.

MK: Współpraca instytucji i ludzi kultury wzdłuż Via Carpathia, w promieniu np. 50 kilometrów na wschód i na zachód – w zależności od tego, czy tam są ciekawe miejsca. To jest interpretacja, dopowiedzenie do idei, którą przed laty przedstawił Wit Wojtowicz. Jak ty widziałbyś uzupełnienie tej Via Culturalia ...?

AM: W przypadku instytucji państwowych, muzeów, instytutów historii sztuki, to raczej bym proponował znaleźć ideę, takie naprowadzenie, o co ma iść w tej wymianie karpacciej. Ludzie

muszą coś sami też pomyśleć na temat, jak ożywić Via Carpathia, zdać sobie sprawę, że to jest świetny szlak transportowy i turystyczny, wymiany kulturowej, od Salonik z centrum europejskiej kultury, aż do kultury Bałtów. Z kilku przykładowych inicjatyw, to po pierwsze, Megagaleria – polegałaby w tym sensie na wykorzystaniu wzdłuż Via Carpatii lub też w jakimś sąsiedztwie, wszystkich miejsc, gdzie można się zatrzymać: postojowych, stacji benzynowych, różnych zajazdów, żeby tam umieszczać dzieła sztuki przygotowane przez artystów rodzimych, którzy wyrastają z tradycji danego regionu. Jeszcze dodam, że jedni mogą zrobić skansen jakiś np. w Mołdowie, inni, jak Piotr Bies – awangardę – ja za tym jestem właśnie, żeby szukać. Zrobiłbym też przewodnik o VIA CARPATHIA: Łotwa, Litwa, Polska, państwa karpackie i wpisałbym wszystkie ważniejsze instytucje, muzea, zabytki, skanseny, obiekty przyrody, obiekty UNESCO wzdłuż tej trasy.

Po drugie, jesteśmy bardzo dobrze przygotowani w Polsce, w wyznaczaniu szlaków turystycznych: PTTK, szlaki architektury drewnianej, szlaki architektury cerkiewnej, minarety, wszystko świetnie zrobione. Dlatego nie bałbym się zrobić kolejnego przewodnika wielonarodowego i wielokulturowego. I tak na przykład idąc wzdłuż Karmazynowego Szlaku okazuje się, że najwięcej obiektów renesansu jest w Polsce. W Bułgarii w ogóle nie ma renesansu, na Węgrzech też, ani w Rumunii, a jest w Polsce, sam byłem zaskoczony. W Grecji oczywiście są starsze o wiele obiekty, ale nie ma renesansu, jesteśmy jedyni. Gdzie indziej jest rokoko, barok, albo średnio-wieczny gotyk, czy jeszcze starsze, jak w Grecji, a u nas renesans.

Podam Ci, dla przykładu pomysł na rynek przemyski – jeśli ma przyciągnąć turystów, to musi być zrobione jak z komputera, jak rynek stary we Wrocławiu. Po drugie jest to pomnik historii, ale on wygląda fatalnie: jeśli wyczyścili jedną stronę rynku z drzew, to po co zostawili drugą stronę? jeszcze lastriko wokół tych niedźwiadków z okresu PRL-u. Wiesz, co ja bym zrobił? Wyczyścił rynek do końca, lastriko zlikwidował, ten pomnik z fontanną niedźwiadków półtora, dwa metry podniósł do góry, niech górują trochę, dominują. Drzewa wszystkie wyciął z drugiej połowy, takie same dał płyty na cały rynek. A naprzeciw Urzędu Miejskiego nad całym rynkiem kto by dowodził? Normalna rzeźba, naturalnej wielkości: najsłynniejszy starosta przemyski, czyli kto? Pułkownik Michał Wołodyjowski. Tak, słynna ta postać i popularna Panie Marku, była przemyskim stolnikiem (śmiech).

MK: Kilka lat temu, gdy stawialiśmy przy Placu Dominikańskim pomniki ułana i huzara, to zachęcałem do budowy kolejnych w sąsiedztwie, upamiętniających ważne postacie związane z Ziemią Przemyską: Stanisława Orzechowskiego, Fredrów – Aleksandra i Andrzeja Maksymiliana, biskupa Tokarczuka spacerującego ze Zbigniewem Brzezińskim, który gdy w latach 80. przyjeżdżał do Przemyśla, do nie spotykał się z wojewodą i sekretarzem KW, ale z bpem Tokarczukiem i z nim radził co robić, Ryszarda Siwca... są to postaci ważne dla dziejów nie tylko Polski. Powstawałby swoisty panteon. Ale idźmy dalej, charakteryzując Crimson Road.

AM: Są tam obiekty celowo przeze mnie zakwalifikowane, mianowicie, rezerwaty przyrody, parki narodowe, rezerwaty biosfery, obiekty, które kandydują na listę UNESCO, jak na przykład

Kanał Augustowski, pomniki historii, obiekty UNESCO, jak Puszcza Białowieska, Rynek Zamojski, lub obiekty z przełomu renesansu i baroku, jak Pałac Branickich w Białymstoku, bardzo piękny, zwany Wersalem Północy, renesans lubelski, pałac renesansowy z Krasicy, renesansowy Rynek w Przemyślu. Samych obiektów UNESCO jest kilkanaście różnych i cerkiewki, i stare kościoły, tu właśnie w Karpatach, tych naszych.

MK: Na wschodniej Słowacji jest kilka perełek UNESCO w postaci cerkiewek prawosławnych, ze współczesnych jest muzeum Andy Warhola w Medzilaborcach, a mijając Świdnik co chwilę widzisz ruiny średniowiecznych zamków na stromych górach, większe od Czorsztyna, obok mijasz Bardejów z gotyckim kościołem z początku XV wieku wpisany na listę UNESCO, w Koszycach masz olbrzymią katedrę gotycką Św Elżbiety, chyba najpiękniejszą w Europie Środkowej, po drodze uzdrowiska, a dalej na Węgrzech winnice z piwniczkami w Sárospatak czy Tokaju. Mówimy o Crimson Road, czy można jeszcze coś dodać, jakbyś na końcu scharakteryzował, jaka to jest trasa, odkąd, dokąd, jakie miejsca, żeby je wyobrazić sobie na mapie?

AM: Zaczynamy od obiektu UNESCO, czyli od Mierzei Kurońskiej i potem Kowno średniowieczne, Mariampol, przejście graniczne na Suwałki i pojezierze suwalskie, Wigierski Park Narodowy, Białowieża – obiekt UNESCO, Kanał Augustowski. Szlak Kłajpeda-Saloniki idzie wyłącznie po prostej linii. Ale jak Via Carpatia wjeżdża na przykład do Rumunii, to odbija w jedną stronę prawie tysiąc kilometrów w stronę Bukaresztu. Pominę tę odnogę. W Rumunii jest jeden kłopot, tam jest większość Karpat, szlaki są tam bardzo eksponowane, a ja trzymam się tego, żeby to był łatwy szlak, dostępny dla przeciętnego turysty. Więc trzeba nad szlakiem na terenach Karpat rumuńskich solidnie pomyśleć. Szlak kończy się pod pomnikiem Aleksandra Macedońskiego w Salonikach. Pomnik bardzo malowniczy na tle Olimpu, miejscowość barwna..

MK: Wskażmy problemy, bariery, które utrudniają rozwój współpracy międzypaństwowej i międzyregionalnej w Europie Środkowej wzdłuż Via Carpathia, albo w Europie Karpat?

AM: Mogą być sprawy od nas niezależne, mianowicie sprawy geopolityczne, międzynarodowe. Są konflikty, są zapory na granicy z Białorusią i pewne fragmenty tego Karmazynowego Szlaku mogą wypadać. Ludzie będą omijać te tereny. Makroregion Europy Karpat widzę dość banalnie – wpisywać Karpaty na listę UNESCO, przekonywać do promowania tego regionu.

MK: Ale mamy zielony ład i groźby kosztów jego wprowadzania spowodują, że ludzie odzrucą każdą władzę, która będzie to promować.

AM: Powiem, że wolę Polskę tężniową od Polski wiatrakowej. Niedawno jechałem z Włocławka do Ciechocinka, tam nie ma gdzie popatrzeć, stoją lasy wiatraków. Trzeba bronić krajobrazu, jak nastawiają wiatraków, to turystów nie ściągniesz i nie będzie czego reklamować.

Przypomniało mi się tutaj coś, twój pomysł przecież, w mojej opinii genialny zupełnie: „Europa Karpat, Europa Alp, Europa Kaukazu”. Trzymał bym się tego w kategorii Europa Karpat, Karpaty

a UNESCO, Karmazynowy Szlak. I dodałbym do tego, zapożyczając od rządu Grecji, ich temat – nieskazitelne góry. Żeby nie rozjechano greckich gór, bardzo pięknych, jest rządowa blokada – zakaz wjazdu samochodów na drogi dojazdowe. I dodać do tego – nieskazitelne uzdrowiska. Powstaje wtedy projekt karpacki pod nazwą „Nieskazitelne góry, nieskazitelne uzdrowiska”. Można go rozszerzyć na Europę Karpat, Europę Alp, Europę Kaukazu. Nieskazitelne góry, nieskazitelne uzdrowiska. I każdy wie, o co idzie, rozumiesz! To jest mocne, bardzo mocne hasło.



Zespół "Sami swoi". Od lewej: Tadeusz Dobrowolski, trąbka; Andrzej Mazur, perkusja; Antoni Guran, puzon; Wojciech Tarczyński, wokół, kierownik zespołu; Wacław Pudłocki, gitara basowa; Zbigniew Pachla, gitara prowadząca. Scena ówczesnego Domu Kultury przy ulicy Konarskiego w Przemyślu, 1970 rok



Kullages '77, dziedziniec KUL, od lewej: Paweł Nowacki, Andrzej Mazur, Ewa Ossowska w studenckiej czapce



Wiosna Kulturalna Studentów KUL – KULLAGES, Lublin, maj 1976 rok. Na zdjęciu stoją od lewej: Marek Jackowski (zespół Manaam), Anna Hepner (studentka filozofii), Leonard Gorski, Piotr Mitan, Zuzanna Gałązka (studentka z USA), Henryk Wójcik "Globej" (historia sztuki). Siedzą w drugim rzędzie: w bluzce w paski Katarzyna Stańczak (historia sztuki), Anna Ambroź (historia sztuki), Milo Kurtis (zespół Maanam), z gitarą Adam Lewicki (filozofia). Siedzą w pierwszym rzędzie: Krzysztof Wasilewski (historia sztuki), Lucjan Furmaga (historia sztuki), obok w kaszkiecie Marek Kuchciński (historia sztuki).



Pod pomnikiem Adama Mickiewicza w Przemyślu: Zenon Zegarski, Ryszard Miłoszewski, Andrzej Mazur, Marek Kuchciński

MAREK ZIELIŃSKI



Rozmowa biograficzna z Markiem Zielińskim w splocie wydarzeń

Bohaterem rozmowy jest z Marek Zieliński, rocznik 1950, wdowiec, bezdzietny, zamieszkały w Warszawie, filozof, publicysta, krytyk literacki, dyplomata, autor kilku książek o polskiej rzeczywistości okresu transformacji, m.in. „Życie bez złudzeń. Szkice nie-polityczne”, Warszawa, LTW 2023 i „Korespondencja Jerzego Giedroycia z Markiem Zielińskim w latach 1990-2000. Spór o polskie zmiany”, Warszawa, Neriton, 2024.

(Rozmowa została przeprowadzona latem 2024 r. W niniejszym tomie publikujemy jej szerokie fragmenty. Całość rozmowy opublikowana jest w Archiwum Wolności Europy Karpat na stronach internetowych [www: https://archiwumwolnosci.pl](https://archiwumwolnosci.pl)).

- Redakcja: -Proszę na początek w skrócie przedstawić swoją drogę życiową?

Marek Zieliński: - Urodziłem się w rodzinie nauczycielskiej, pierwsze 17 lat życia spędziłem na kujawskiej wsi w okolicach Włocławka, nauka licealna i matura w Liceum im. Ziemi Kujawskiej we Włocławku. Wówczas była to jedna z najlepszych szkół średnich, nie tylko w Kuratorium Po-

morskim (bydgoskim), ale zapewne także w kraju. Może dlatego, że moi nauczyciele wywodzili się pokolenia międzywojennego, reprezentowali nie tylko wybitne kwalifikacje zawodowe, ale także etyczne (to, co w skrócie można nazwać „etosem II RP”).

Wspomnę, że wychowawca przez całe cztery lata mojej klasy 'B' i zarazem nauczyciel matematyki śp. Jerzy Mrożewski był oficerem rezerwy, kawalerzystą, uczestnikiem wojny 1939 roku. Został wzięty do niewoli niemieckiej, przebywał w oflagu w Woldenbergu. Jego rodzonym bratem był znakomity aktor warszawskich teatrów, także ról filmowych, Zdzisław Mrożewski, odtwórca roli Prezydenta Gabriela Narutowicza w znakomitym filmie Jerzego Kawalerowicza „Śmierć Prezydenta”.

Inni moi nauczyciele pochodzili z Wilna (historyczka i rusycystka Elżbieta Kutyłowa, ze względu na męża, inspektora oświaty i aktywistę partyjnego ukrywała swój katolicyzm. Pamiętam jak w ostatniej maturalnej XI klasie, gdy zauważyła, że jestem czytelnikiem miesięcznika „Więź” delikatnie mnie przestrzegła, że takie zainteresowania nie pomogą mi w dalszym życiu – (istotnie miała rację). Jeszcze inni byli wychowankami galicyjskich gimnazjów, chociażby poliglota Dominik Banaszak, który w przystępie dobrego humoru recytował nam z pamięci fragmenty „Iliady” Homera w greckim oryginale. Uczył mnie języka niemieckiego, ale również wprowadzał w propedeutykę filozofii, m.in. opowiadając o wielkim dziele Romana Ingardena „Spór o istnienie świata”.

Rzecz jasna, obok nich pojawili się już absolwenci uczelni PRL. Ich nazwiska lepiej przemilczeć, bo niczym się nie zapisali w naszym gimnazjalnym życiu. Przykładem rusycysta K. który dość szybko zrezygnował z pracy nauczycielskiej i wybrał karierę oficera Służby Bezpieczeństwa.

Na tym licealnym tle bardzo słabo wyglądają moje studia na Uniwersytecie Warszawskim, wymuszone przez rodziców, którzy nie zgodzili się na mój pierwotny wybór, wymarzoną filozofię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wskutek ich sprzeciwu trafiłem ostatecznie na filologię polską (co i wtedy, i później wydawało mi się mocno niemęskim zajęciem dla młodego człowieka o dość poważnym nastawieniu do życia). Zresztą warszawska polonistyka mocno zdewastowana w stalinowskich latach 50., ostatecznie została dobita po marcu 1968 roku. Podobnej degradacji uległa większość krajowych uczelni. Pamiętam, że ratowałem się przed nudą przymusowych lektur (niekiedy także głupotą powojennych opracowań) podczas długich godzin odsiadanych w czytelni naukowej na Świętojańskiej czytaniem dostępnych tam felietonów Stefana Kisielewskiego. Był swoistą odtrutką.

Poznałem jego teksty jeszcze w czasach licealnych na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Kiosk „Ruchu” na wrocławskim dworcu otrzymywał dwa egzemplarze tego niezwykłego w tamtym okresie czasopisma. Dojeżdżałem do szkoły pociągiem ze stacji Chodecz (oddalonej ok. 28 km od Wrocławka, dzisiaj przemianowanej, zresztą z inicjatywy mojego ojca na Kaliska Kujawskie, bo tak nazywała się wieś, w której mieszkaliśmy i gdzie znajdował się dworzec kolejowy). Z reguły byłem na dworcu bardzo wcześnie (o ile pociąg się nie spóźnił) i wtedy miałem szansę kupić tygodnik.

Po dyplomie magisterskim, dobrze obronionym nie dostałem propozycji asystentury (pomimo bardzo wysokiej średniej, wielu nagród rektorskich, stypendium naukowego). Jak mogę sądzić po latach zdecydowała o tym moja społeczna alienacja (czytaj: to, że nie należałem do politycznych organizacji: ZMS, a nade wszystko PZPR). Wtedy uciekłem do Instytutu Dziennikarstwa, kierowanego wówczas przez Kazimierza Kąkola, późniejszego ministra ds. wyznań, którego kariera uległa błyskawicznemu przyspieszeniu po marcu 1968. Był tzw. marcowym docentem, związanym ideologicznie z obozem Mieczysława Moczara i mocno antysemickim tygodnikiem „Prawo i Życie”.

A swoją drogą do dzisiaj nie wiem, dlaczego zostałem przyjęty na te bardzo upolitycznione studia, gdzie większość moich koleżanek i kolegów wywodziła się z rodzin stanowiących polityczny establishment PRL. Z czego zresztą w mojej naiwności nie zdawałem sobie sprawy. Przykładem będąca ze mną na tym samym seminarium z reportażu u Krzysztofa Kąkolewskiego, Ewa Z., której ojciec w latach 40. był zastępcą szefa Informacji Wojskowej.

Być może przyjęcie na studia to był swoisty kaprys samego Kąkola (w którego biografii była przecież Armia Krajowa i Powstanie Warszawskie, a przedtem udział w wojnie 1939 roku). Może jako doświadczony polityk i aparatczyk w moim prowincjonalnym sznycie odczytał możliwość wykształcenia kolejnego janczara, co chyba nie bardzo się udało.

Zaledwie kilka lat później, kiedy Kąkol był już ministrem, dość dokładnie streściłem jego szczerze wynurzenia o polityce wyznaniowej ówczesnego państwa (kolejne plany walki z Kościołem), skierowane do dziennikarzy Polskiej Agencji Prasowej. Trafiłem na to spotkanie przypadkowo, poinformowany o tym przez Wojtkę Ostrowskiego, działacza warszawskiego KIK-u, potem dyplomaty.

Informacja została przetłumaczona na j. francuski i kanałami kościelnymi trafiła do zachodnich mediów (podana głównie przez francuską agencję katolicką ICI). Spowodowała znaczne poruszenie, włącznie z interpelacjami parlamentarnymi we Francji i nie tylko.

Po dwuletnich studiach podyplomowych dziennikarstwa (wtedy jedynych takich studiach w kraju) rozpocząłem pracę w czasopiśmie kulturalnych jako redaktor literacki: w dwutygodniku „Nowe Książki”; tygodniku „Kultura”, miesięczniku „Więź”, „Tygodniku Solidarność”. W latach 1976-1978 po odejściu dobrowolnym z „Nowych Książek” znalazłem się na studiach doktoranckich w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Próbowałem wtedy wrócić do nauki, ale skończyło się na jednym rozdziale zaplanowanej pracy o Gombrowiczu.

W końcówce lat 70. byłem związany z wydawnictwem bezdebitowym środowisk KUL „Spotkania”, a w okresie stanu wojennego zostałem internowany w Białołęce i następnie Strzebielinku (12/13 grudnia 1981 – 30 października 1982).

W okresie 1984-1985 przebywałem na stypendium Centralnego Komitetu Niemieckich Katoli-

ków (fundacja Katholischer Akademischer AusländerDienst - KAAD) w Bonn. Był to swoisty gest strony niemieckiej, która w taki sposób chciała wydobyć z obozów internowania kilku współpracowników „Więzi” (oprócz mnie także Józefa Ruszara i Kazimierza Wóycickiego). Nie wiem, czy nie z tego powodu, nie bardzo mnie przekonują obecnie antyniemieckie postawy u części polskiej prawicy. Niekiedy przypominają frazeologię Gomułki z lat 60. ubiegłego wieku.

W tamtym okresie (1984 rok) rozpocząłem stałą współpracę z ośrodkiem emigracyjnym paryskiej „Kultury”, kontynuowaną po powrocie do kraju (w sposób ścisły do 1991 roku, a bardziej luźny do śmierci Jerzego Giedroycia w 2000 r.).

W latach 1991 – 2024 wybrałem zupełnie przypadkowo, nie mogąc znaleźć zatrudnienia w krajowych mediach, niezbyt dla mnie interesującą karierę urzędnika państwowego. Byłem zatrudniony m.in. w Kancelarii Premiera, Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w tym na placówkach zagranicznych jako konsul RP w Bonn, Bernie, Irkucku i Moskwie oraz dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie i kierownik Wydziału Promocji Handlu i Inwestycji w Moskwie.

- Czy w Pana pamięci utkwiły jakieś szczególne wydarzenia z młodości?

- **MZ.** Zapamiętany z okresu dzieciństwa przemarsz kolumn wojsk sowieckich, idących w stronę Warszawy w 1956 roku. W kujawskiej wsi nieopodal Włocławka zrobiło to na mnie sześciolatka wielkie wrażenie i w jakimś sensie uodporniło na wszystkie późniejsze bajdurzenia o polskiej suwerenności i niepodległym państwie. W okresie licealnym obchody 1000-lecia Chrztu Polski i przybycie do Włocławka Kardynała Prymasa Polski Bł. Stefana Wyszyńskiego, związanego zresztą z tym miastem. Absolwenta, a potem i wykładowcy miejscowego seminarium duchownego, redagującego wydawane przed wojną czasopismo „Ateneum Kapłańskie”.

Władze oświatowe Włocławka zrobiły wszystko, żeby utrudnić młodzieży spotkanie z Prymasem (organizując przymusowe spartakiady i rozrywkowe imprezy). Na placu przed włocławską katedrą zebrało się nas jednak i tak wystarczająco dużo, żeby zaświadczyć o przywiązaniu do Kościoła. Dla mnie wówczas i potem w sumarycznej ocenie - niezależnie od wszystkich moich błędów życiowych – Kościół był i pozostał najważniejszą instytucją społeczną (nie tylko religijną). Do dzisiaj uważam, że tylko ta instytucja w naszej rzeczywistości daje nadzieję na odrodzenie Polski w europejskiej rodzinie państw o chrześcijańskim rodowodzie.

Wbrew pozorom (odnoszących się do coraz częstsze u wielu z nas poczucia klęski tej właśnie tożsamości), nadal jestem przekonany, że tylko chrześcijaństwo pozostaje najistotniejszym i zresztą ostatnim spoiwem europejskiego etosu i duchowości. Poza nim nie ma niczego innego, co mogłoby zlepić na nowo euroatlantycki świat i zapewnić mu przyszłość.

Innym wspomnieniem, łączącym się ze swoistym pokoleniowym przeżyciem, pozostanie na zawsze w mojej pamięci rozpoczęcie w 1967 roku studiów polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Z jednej strony dla prowincjusza, jakim byłem (a może i pozostałem do dzisiaj?) Warszawa była miastem groźnym, nieznanym.

Przez pierwsze kilka lat chodziłem jedynie po kilku opanowanych wcześniej trasach, bojąc się zapuszczać w inne miejsca. Miastem uosabianym z nielubianą i nieakceptowaną władzą komunistyczną. To ostatnie przekonanie nabyłem stosunkowo szybko, bo w okresie młodzieńczego dojrzewania czasu „burzy i naporu”.

Już w latach licealnych byłem namiętym słuchaczem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa i audycji odbieranych na starym odbiorniku „Aga” z dużym trudem poprzez szum zagłuszania. W okresie szkolnych ferii bądź świąt nie odchodziłem od tego starego radia, które do dzisiaj nie wiem w jaki sposób znalazło się w mieszkaniu naszej biednej rodziny nauczycielskiej).

- Wielu młodych ludzi w tamtych latach kontakt z działalnością opozycyjną zaczynało od słuchania zagranicznych rozgłośni radiowych nadających program w języku polskim.

- MZ. Już w latach licealnych byłem namiętym słuchaczem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa i audycji odbieranych na starym odbiorniku „Aga” z dużym trudem poprzez szum zagłuszania. W okresie szkolnych ferii bądź świąt nie odchodziłem od tego starego radia, które do dzisiaj nie wiem w jaki sposób znalazło się w mieszkaniu naszej biednej rodziny nauczycielskiej).

W Warszawie dość szybko, gdyż już po kilku miesiącach, wszedłem (zupełnie świadomie i z moją pełną akceptacją) w krąg jednego z najważniejszych dla współczesnej historii Polski wydarzeń, jakim był Marzec 1968 roku. Byłem studentem polonistyki, namiętym teatromanem, nadrabiającym w Warszawie włocławską niedostępność życia teatralnego (tylko jeden raz w ramach szkolnej wycieczki oglądałem spektakl, chyba „Kordiana” Juliusza Słowackiego w Teatrze Narodowym). Może dlatego, znalazłem się jako widz na słynnym spektaklu „Dziadów”, a potem na manifestacji pod pomnikiem Adama Mickiewicza.

- Jak wspomina Pan ten zryw warszawskiej młodzieży Marca 68?

- MZ. „Dziady” było zaledwie preludium, potem były demonstracje i mityngi rozpoczęte wielką manifestacją 8 Marca przed gmachem rektoratu w obronie relegowanych studentów. Ich nazwiska mówiły mi stosunkowo mało chociaż niekiedy przewijały się w audycjach RWE, a o wszystkim dowiedziałem się z ulotek szeroko kolportowanych na uczelni.

Po manifestacji na teren Uniwersytetu weszli przebrani za aktyw robotniczy SB-ecy (nieumundurowani funkcjonariusze policji politycznej, piętnowani przez część studentów, zapewne ze względu na tradycje rodzinne, przedwojennych komunistów jako „Gołędzinów”). Zaczęło się bicie i ucieczka przez Wydział Geografii. W moim przypadku do najbliższego kościoła pw. Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu.

Najbliższe tygodnie to udział w mityngach (niektórzy wykładowcy jak nieżyjący już wybitny teoretyk literatury Janusz Sławiński, czy lektorka j. rosyjskiego Rosjanka z pochodzenia, Natalia Burczenko zwalniali nas z zajęć), a także w strajku, połączonym z nocowaniem w siedzibie Wydziału Filologii. Towarzyszyli nam wtedy wykładowcy o mocno stalinowskim rodowodzie. Byli zasłużeni

niegdyś we wprowadzaniu do Polski komunizmu i niszczeniu wybitnej profesury z okresu międzywojennego (a przybyli może dlatego, że sami czuli się zagrożeni przez tych, co chcieli zająć ich miejsce?).

Ten czas był burzliwy, zapewne i niebezpieczny, chociaż wtedy tego nie dostrzegałem (bardziej moi rodzice, którzy z daleka poprzez męża mojej stryjecznej siostry, Antoniego Świącickiego usiłowali mnie przestrzec). Ale dla mnie zarazem nieco schizofreniczny. Uczestniczyłem w protestach (choć nie występowałem publicznie, na to byłem zbyt nieśmiały), podziwiałem odwagę niektórych z moich niedawno poznanych kolegów (wielu z nich później okazało się konfidentami, a jeden zrobił nawet międzynarodową karierę agenturalną.). I zarazem nie utożsamiałem z wciąż głoszonymi hasłami o czystym socjalizmie („z ludzką twarzą”).

Zapewne dlatego w przeciwieństwie do kilku moich przyjaciół (jeden z nich, późniejszy emigrant w Szwecji, nauczył się nawet czeskiego) nie fascynowałem się nadmiernie czeską wiosną i wiarą w Dubczeka oraz możliwość ulepszenia socjalizmu. Moja wiejska tożsamość, ale także bardzo religijne wychowanie przez rodziców immunizowały mnie na wiarę w socjalizm. Oni sami, pochodzący z biednych rodzin, byli wychowankami przed wojną wrocławskich franciszkanów, a ojciec nawet zdobył wtedy zawód ogrodnik. Nie miałem zaufania do żadnego socjalizmu, nie tylko tego w rewizjonistycznej wersji.

Dlatego nie zdziwiła mnie inwazja wojsk Układu Warszawskiego w sierpniu 1968, jedno z bardziej obrzydliwych zdarzeń, w jakich uczestniczyło tzw. Ludowe Wojsko i generał Jaruzelski. W tym czasie, w sierpniu 1968 r. razem z innymi kolegami z roku byłem na obozie szkolenia wojskowego (w ramach Studium Wojskowego). Dręczenie przez równolatków z Oficerskiej Szkoły we Wrocławiu, którzy wyzywali się na nas jako podoficerowie - szefowie kompanii, zakończyło się właśnie w dniu inwazji. Cały ten kontyngent z Wrocławia brał bezpośredni udział w pacyfikacji Czechosłowacji.

- Jakie jeszcze wydarzenia z okresu PRL-u utkwiły w Pana pamięci?

- **MZ.** Najważniejszy był wybór Kardynała Karola Wojtyły na Papieża (Św. Jan Paweł II). A potem, ale to już lata 80., pojawienie się Lecha Wałęsy, jego charyzma i późniejsze rozczarowanie, które nie minęło do dzisiaj.

Karola Wojtyłę ani jako biskupa Krakowa, ani w roli Pontifexa nigdy osobiście nie poznałem, chociaż w trakcie krótkiego stypendium rzymskiego we wrześniu 1984 roku zostałem poproszony o odczytanie jednego z wezwań w trakcie modlitwy wiernych w trakcie Mszy św. celebrowanej przez Papieża. Miałem wrażenie, że zareagował nie tyle na mnie, ile na obecność Polaka.

Nie poznałem zresztą nigdy i nawet nie bardzo chciałem, Lecha Wałęsy. Raz tylko, ale jeszcze przed jego prezydenturą w 1990 r., kiedy byłem w Gdańsku jako współpracownik polonijnego kanału telewizyjnego z Nowego Jorku, próbowałem uzyskać wywiad dla mojej redakcji z liderem „Solidarności”. Już wówczas był zupełnie inny od tego, jakim był w latach 1980-1981. Zakończyło

się na rozmowie z księdzem Jankowskim, jak można sądzić, mającym już wtedy zadanie ochrony Wodza przed dociekliwością innych.

A swoją drogą na moich studiach dziennikarskich, jak już wspomniałem bardzo upolitycznionych i zideologizowanych w najgorszym sensie tego słowa zostałem członkiem redakcji warsztatowego miesięcznika „Merkuriusz”, wydawanego przez nas w ramach Pomagisterskiego Studium Dziennikarstwa przy Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego¹. Nasz zespół kierowany przez niezwykle zdolnego, chociaż przedwcześnie zmarłego, Andrzeja W. Pawluczuka, pochodzącego zresztą z Przemyśla, krytyka literackiego, reportera, osiadłego potem w Białymstoku i współredagującego tamtejszy miesięcznik „Kontrasty”, przetrwał zresztą w tym składzie niedługo (od kwietnia do sierpnia 1973 roku). Zredagowaliśmy zaledwie trzy numery (66,67,68). Zostaliśmy rozpędzeni, czyli odsunięci od redagowania, decyzją dyrektora Studium Kąkola po tym jak nasz naczelny (Pawluczuk) podjął próbę uzyskania wypowiedzi (interview) u Kardynała Wojtyły. Dla kierownictwa Studium było to już zbyt śmiałe wejście w dorosłe dziennikarstwo i udzielono nam lekcji, w tej czy innej formie powtarzanej zresztą zarówno wobec śp. Andrzeja Pawluczuka, jak i mnie jeszcze wielokrotnie w trakcie naszej dziennikarskiej drogi.

- Wydaje się, że w przestrzeni publicznej nie docenia się wyboru kardynała Wojtyły na papieża i wpływu tego wydarzenia na sytuację w Polsce i Europie Środkowej. Jaka jest Pana opinia w tej kwestii i jakie mogą być tego przyczyny?

- **MZ.** Wybór krakowskiego biskupa na stolicę Piotrową najbardziej docenili komuniści. Nie tylko, a może nawet nie głównie ci, z nadania Moskwy rządzący w Polsce, ile właśnie tamci na Kremlu. W jakimś sensie, ten wybór, chociaż nie wynikał z bezpośrednich motywów politycznych, ile nade wszystko z walorów osobistych Karola Wojtyły, w którym swojego następcę widział już poprzednik Paweł VI (dzisiaj kanonizowany), był jednak wstrząsem dla całego regionu EŚW. Pokazał nieprzystawalność Europy Środkowej do narzuconego jej siłą i za przyzwoleniem Zachodu systemu komunistycznego. Przypomina się przypisywane Stalinowi powiedzenie, że komunizm pasuje do Polski jak siodło do krowy. Jak widać, Josif Dżugaszwili był w tym przypadku większym realistą od swoich współpracowników.

A chociaż ostatecznie, znaleźliśmy się w zdominowanym przez Związek Sowiecki systemie polityczno-gospodarczym, to zapewne możliwe było tego uniknięcie. Wymagało to jednak zmiany postaw politycznych aliantów (nade wszystko elity waszyngtońskiej) i ich rezygnacji z płacenia długów wobec Rosji cudzym losem. Ta ostatnia istotnie wniosła olbrzymi wkład do zwycięstwa na hitlerowską Rzeszę, chociaż najpierw przyczyniła się do rozpoczęcia wojny. W tym przypadku było to oddanie całego regionu pod sowiecką władzę. Na dziesięciolecia nad tą częścią Europy zapadła żelazna kurtyna i reszta świata przestała się interesować naszym życiem i naszą przyszłością.

¹ Od nr 4 (66) IV 1973 — Ryszard Altyński (z-ca red. nac.), Marek Ksokowski (sekr.), Małgorzata Najgrodzka, Barbara Pawlik (korekta), Andrzej Pawluczuk (red. nac.), Bogusław Polit, Wiesław Sonczyk, Stanisław Śniecickowski, Bronisław Tumiłowicz (red. techn.), Elżbieta Wcisła, Marek Zieliński. Od nr 8 (69) 1973 —

Wybór biskupa z Polski na biskupstwo rzymskie wydawał się w oczach wielu jedynie mało ważną religijną zmianą i budził na Zachodzie dość powierzchowne zainteresowanie (głównie polityczne). Dobrze pamiętam w trakcie pielgrzymek Papieża do Polski, którym towarzyszyłem jako dziennikarz z „Więzi” daleko idącą obojętnością przedstawicieli zachodnich mediów wobec postaci Jana Pawła II i to nie tylko w religijnym kontekście, którego zresztą nie byli w stanie w pełni zrozumieć. Ale to właśnie On wydobył na nowo kwestię odrębności Europy Środkowej.

Papież był katalizatorem, ujawniającym w całym regionie zarówno głębokie pokłady wiary narodów EŚW, jak i ich pragnienie wolności i zmiany. Otwarte pozostaje pytanie, czy i na ile te aspiracje oraz pragnienia zostały zaspokojone. Obawiam się, że jedynie w ograniczonym stopniu. Nie tylko w Polsce, ale i w pozostałych państwach regionu.

Może w tym kryje się odpowiedź na zadane pytanie. Odpowiedzialne za to są elity, chociaż nie tylko one. I gdzieś tam odzywający się w nich głos sumienia (który daje o sobie znać i przypomina, że sprawy potoczyły się nie tak, jak powinny) sprawia, że wielka postać Jana Pawła II zostaje celowo zapoznana. A nawet gorzej, bo jest kontestowana i odrzucana pod kłamliwymi pozbawionymi sensu zarzutami.

A może sprawa jest jeszcze prostsza i nawiązując do słynnych watykańskich rekolekcji Kardynała Wojtyły (wygłoszonych na zaproszenie Pawła VI) z 1976 roku: „Znak, któremu sprzeciwiać się będą”, nauczanie Jana Pawła II, jego wierność Magisterium Kościoła zawsze będą budzić opór i sprzeciw. Są radykalnym wezwaniem do nawrócenia, do powrotu do czystych źródeł. Dzisiejszy świat (przynajmniej zachodni, bo w innych częściach np. Afryce, niektórych regionach Azji jest inaczej) woli mętną wodę i nie wierzy w prawdę. Żyjemy w zaburzonej rzeczywistości, w cywilizacji odrzucającej dziecko, a nawet gorzej, bo gotowej na jego zabicie. W świecie ograniczonym do pułapu jednostkowego, skupionego na sobie, mocno egoistycznego życia bez wiary w inny wymiar, bez poczucia wieczności.

W takich postawach znamiennej dla zasadniczych prądów kulturowych dzisiejszej Europy i także w mniejszym stopniu również Ameryki, nie ma już miejsca na pamięć o Papieżu Wojtyle. Jest on odrzucany. Tak samo jak coraz mniej jest miejsca i coraz bardziej kwestionowane jest pojęcie człowieka w jego biblijnym przefiltrowanym przez antyczną kulturę bogactwie.

- Proszę opowiedzieć jak Pan, ten młody intelektualista z kujawskiej wsi odnajdywał się w stolicy w kolejnych miejscach pracy w większości opanowanych przez partyjnych towarzyszy i jak wyglądała ta droga zawodowa?

- **MZ.** Najbardziej zapamiętałem pierwszą moją pracę w dwutygodniku „Nowe Książki”. Dość dokładnie opisałem cały jej kontekst w rocznicowej okazjonalnej publikacji poświęconej temu czasopiśmie i przedrukowanym przeze mnie w wydanej w krakowskich „Arcanach” książce „Ucieczka przed Polską. Szkice nie tylko o literaturze”. Byłem wtedy początkującym redaktorem, wprowadzanym w tajniki zawodu przez prawdziwego mistrza, Mieczysława Otto, przez wiele lat redagującego książki w „Czytelniku”. Był z przeszłością księgarską jeszcze z okresu między-

wojennego (praktykował chyba u Gebethnera i Wolffa) i brał udział w Powstaniu Warszawskim. Zapamiętałem na zawsze właśnie ten kontrast, symbolizujący pierwsze dziesięciolecie PRL. Z jednej strony znakomicie przygotowany do zawodu Mieczysław Otto, a z drugiej była instruktorka Komitetu Centralnego, redaktorka naczelna pisma Zenona Macużanka-Rylukowska.

Ta ostatnia była osobą nie pozbawioną empatii i potrafiła reagować na ludzkie problemy, ale zarazem dokładnie pokryta ideologicznym pancerzem nie mogła wydostać się ze swojego zniewolenia duchowego. Dodatkiem do niej była jej zastępczyni Anna Szaniawska (żona znanego logika Profesora Klemensa Szaniawskiego), z partyjną przeszłością i aktywnym uczestnictwem w budowaniu komunistycznego systemu w latach 50. który po marcu 1968 zastąpiła nieco skrywanym, ale widocznym rewizjonizmem.

Szaniawską spotkałem ostatni raz kilkanaście lat temu jako niezwykle zaangażowaną (odrzucającą wszystko co było inne) w działania Unii Wolności/Unii Demokratycznej... Gdzieś obok nich pojawiał się w redakcji, świetny historyk, ale już wtedy skażony postępującą chorobą alkoholową, późniejszy minister kultury w rządzie AWS, przedwcześnie zmarły Andrzej Zakrzewski.

Z tygodnikiem „Kultura”, skąd zresztą zostałem po niepełnym dwuletnim zatrudnieniu wyrzucony z zakazem pracy w koncernie RSW Prasa, czyli w praktyce wszędzie, łączy mnie wspomnienie całkowitego (poza kilkoma wyjątkami) cynizmu środowiska. Niczego nie udawali, bo też w nic nie wierzyli. Była to mimo wszystko postawa rzadko spotykana, nawet w PRL, pełna hipokryzji i udawania, ale jednocześnie mocno nastawionego na materialne korzyści. Zapewne i bez przesady można to uznać za wyraźny znak końca systemu komunistycznego. Podobne postawy potkałem w Związku Sowieckim. Było to jednak dużo później, na przełomie lat 80./90. XX wieku.

Nadal byłem wtedy mocno naiwny jak na człowieka blisko trzydziestoletniego, co objawiło się na jednym z kolegów redakcyjnych, kiedy oceniając świeżo wydany numer tygodnika zacząłem krytykować jakiś kolejny rocznicowy artykuł jednego z najważniejszych publicystów pisma (Andrzeja Garlickiego). Jego autor, skądinąd wybitny historyk, odzyskanie niepodległości Polski w 1918 roku przypisał w ramach obowiązującej wówczas narracji Leninowi.

Równie mało dyplomatyczna była wtedy (na tym samym kolegium) moja ocena kolejnego fragmentu drukowanego wtedy w „Kulturze” i potem bardzo głośnego „Cesarza” Ryszarda Kapuścińskiego. Był jednym z moich wykładowców na dziennikarstwie. Opisowi panowania cesarza Etiopii zarzuciłem naśladowanie stylistyki Gombrowicza, czy swoiste naśladownictwo.

Nie może więc dziwić, że w październiku 1979 roku ówczesny naczelny Dominik Horodyński, niegdyś aktywista PAX-u, potem wieloletni korespondent w Rzymie, poprosił mnie o złożenie wypowiedzenia i odejście za porozumieniem stron. Nie zgodziłem się i zwolniono mnie jednostronnie bez podania przyczyn. Podobno moje zwolnienie było rozważane na poziomie Wydziału KC, czy nawet, jeszcze wyżej, bo w sekretariacie Jerzego Łukaszewicza, w ostatnich latach władzy Gierka odpowiadającego za ideologiczny kurs systemu.

Niezależnie od mojego zmęczenia codziennym czytaniem setek wierszy, napływających do re-

dakcji (byłem redaktorem działu poezji), w większości grafomańskich i pozbawionych sensu byłem zupełnie zdruzgotany. Miałem 30 lat (prawie), nie miałem pracy, warszawskiego meldunku, mieszkania (wynajmowałem pokój przy rodzinie znajomych z Klubu Inteligencji Katolickiej, Śp. Teresy Kądziałowej i jej dwóch synów: Łukasza i Pawła).

Byłem w sytuacji życiowego rozbitka, trochę jak owi, znani z historii Związku Sowieckiego, powojenni 'liszeńcy'. Utrzymywałem się z okazjonalnych korepetycji. Zarazem na tyle ambitny i zamknięty w sobie, że moi rodzice nigdy się nie dowiedzieli o mojej sytuacji.

Dopiero w styczniu 1981 roku zostałem zatrudniony na ½ etatu w miesięczniku „Więź”, na miejsce redagującego dział literacki wybitnego pisarza Jerzego Krzysztonia, który po latach wrócił do pracy w Polskim Radio. Pracę w „Więzi” wspominam różnie. Do dzisiaj jestem wdzięczny za ich propozycję, co w zasadzie zawdzięczam jednej osobie, nieżyjącemu już Józefowi Smosarskiemu (absolwentowi KUL i wtedy sekretarzowi redakcji, osobie niezwykle szlachetności i zarazem zagubienia życiowego).

Sama redakcja była jednak miejscem bardzo dziwnym, trochę przypominała wyspę rozbitków, a w istocie była nastawiona na nieustanny kompromis z władzą, co ujawniło się szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego. Dominowało jednak już wcześniej, gdyż większość zespołu wywodziła się z PAX-u. Gen zgody na system komunistyczny (łączenie chrześcijaństwa z sowiecką wersją socjalizmu) cały czas patronował pracy redakcyjnej.



Sankt Petersburg 2018, wieczór pamięci Iriny Obuchowej
w Bibliotece Gribojedowa

Nie chcę jednak oceniać moich starszych kolegów zbyt surowo, bo część z nich miała w swoich biografiach doświadczenie traumy więziennej, a także współpracę z policją polityczną, co z pewnością skutkowało swoistą schizofrenią w aktywności redakcyjnej, ale odbijało się również w sposobie redagowania pisma.

- Jak to się stało, że trafił Pan do dyplomacji? Jak zapamiętał Pan i ocenia osoby pracujące wówczas w placówkach dyplomatycznych?

- **MZ:** W latach 90. kontynuowanie pracy w miesięczniku nie miało już sensu. Nie tylko ze względu na postępujące różnice w patrzeniu na polskie sprawy (obszerniej można o tym dowiedzieć się z opublikowanej mojej korespondencji z Jerzym Giedroyciem). Również coraz gorsze warunki finansowe nie dawały szans na utrzymanie. Szukałem innej pracy, ale skończyło się na niczym, gdyż nawet dawni moi koledzy nie kwapili się z zatrudnieniem. Byłem dla nich za mało sterowny i zbyt radykalny w poglądach. Dlatego, chociaż z dużymi obawami, przyjąłem propozycję Jacka Czaputowicza, wtedy rozpoczynającego swoją karierę dyplomatyczną w MSZ. Na początku 1992 roku po długich blisko rocznych przygotowaniach, praktyce w Konsulacie Generalnym w Paryżu wyjechałem do pracy w Ambasadzie w Bonn/Kolonii jako I sekretarz ds. polonijnych w Wydziale Konsularnym.

Doświadczenie okazało się bardzo trudne. Ambasada podobnie zresztą jak wszystkie następne w których pracowałem (w Bernie i w Moskwie) była rodzajem przechowalni służb. To wtedy na jej przykładzie odczułem całą powierzchowność zmian w Polsce i iluzoryczność tego, co nazywano transformacją. A co w istocie było jedynie rodzajem przepoczwarczenia się starego systemu i dokooptowania nowych kadr, które błyskawicznie upodobniły się do dawnych.

Konsekwencje były tragiczne, chociażby w relacjach ze środowiskami polonijnymi (pomijając te, które od lat były spenetrowane przez komunistyczne służby, pełniąc rolę przydatnej agentury). Także w kontekście opieki nad polskimi obywatelami, traktowanymi jako zupełnie niepotrzebna część pracy dyplomatyczno-konsularnej.

Pozostało mi do dzisiaj wrażenie, że poza nieliczną grupą ideowych pracowników (jednym z nich był przedwcześnie zmarły w 2023 roku konsul generalny w Hamburgu, a potem w Berlinie, absolwent socjologii na KUL, Piotr Golema), pozostali nie traktowali swojego zatrudnienia jako służby dla kraju.

Byli przyciągani lepszymi zarobkami, pobytem w innym kraju, zapewnieniem dla swoich dzieci lepszego wykształcenia. Z moich obserwacji odnoszących się także do ostatnich 8 lat rządów Prawa i Sprawiedliwości wnioskuję, że także i ta partia nie była w stanie albo nie chciała (nie mogła) poprawić sytuacji kadrowej resortu spraw zagranicznych. Nadal były powielane dawne wzorce promowania miernot oraz „krewnych i znajomych królika”.

- Jakie ma Pan zainteresowania i pasje?

- **MZ.** W okresie młodości aż do lat 80. turystyka górską oraz kajakarstwo. W latach studenckich: kinematografia i teatr. Całe życie: literatura, w ostatnim okresie głównie non-fiction (historia, filozofia, teologia i polityka) jako sposób na poszukiwanie siebie. Do dzisiaj zresztą nie odnalazłem tego jakiegoś wewnętrznego trzpienia, który pozwoliłby mi wyjaśnić sobie samemu, kim jestem i zrozumieć różne moje zachowania i postawy. Zapewne dowiem się tego na końcu, kiedy stanę przed Bogiem...

Zresztą w podobny sposób na pytanie dziennikarza, co ma zamiar powiedzieć Bogu, kiedy okazałoby się, że Ten istnieje i że stanie przed Nim po śmierci, odpowiedział, ciężko już wtedy chory Prezydent Francji Mitterand: „Ja Mu nic nie powiem, to On powie mnie...”.

Od dzieciństwa lubiłem czytać, ale zarazem wtedy i chyba nawet obecnie zajmowałem się tym w poczuciu jakiejś odmienności, zawstydzenia, że tracę tyle czasu na takie mało męskie zajęcie. Górskie wędrowki były rodzajem odtrutki i przekonywania siebie, że nie jestem tylko wycieńczonym nocnymi lekturami okularnikiem (w języku rosyjskim jest na takich namiętnych czytelników dobre określenie: „botanik”). Jednakże ta duża różnorodność, a nawet swoiste rozstrzelenie zainteresowań spowodowały dyletantyzm. Niby wiem dużo, ale wszystkiego za mało i powierzchownie.

Może dlatego, chociaż mam mocno krytyczną ocenę radykalnej zmiany mojej drogi życiowej w początkach lat 90. i zatrudnienia się w administracji państwowej po 1991 roku, to jednocześnie łączył się z tym konkret, praktyczna strona życia. Tego mi nigdy wcześniej nie dostawało, co powodowało swoisty wewnętrzny ból, rodzaj wykorzenia społecznego i poczucia charakterystycznej i znamiennej niegdyś dla ojców pustyni acedii, duchowej apatii i wypalenia.

Z zainteresowaniami teatralnymi łączy się jedno wydarzenie. Jak wielu polonistów marzyłem o reżyserii. Kilku kolegów z mojego roku zostało znanymi reżyserami: Marek Weiss-Grzesiński, Janusz Wiśniewski, Antoni Libera, Maciej Domański, czy starszy o rok, przedwcześnie zmarły może najwybitniejszy z nich wszystkich - także znakomity aktor - Krzysztof Zaleski. Wstępną próbę podjąłem na ostatnim roku polonistyki. W wynajmowanym mieszkaniu rozpocząłem (zupełnie bez pomysłu i bez sensu) próby przygotowania inscenizacji jednego ze słuchowisk Zbigniewa Herberta (zresztą mało scenicznego i trudnego do wyreżyserowania). Skończyło się to dla mnie bardzo źle, bo właścicielka mieszkania, spowinowacona z moją stryjeczną siostrą i bardzo katolicka dama, błyskawicznie przerwała dalsze próby, wyrzucając mnie z mieszkania na bruk, gdyż jej zdaniem tymi spotkaniami naruszyłem warunki najmu. Zapewne miała rację.

Co może ciekawe dla wspomnienia po latach jednym z uczestników tego projektu, przygotowywanego przeze mnie do inscenizacji, był późniejszy wybitny publicysta „Gazety Wyborczej”, pisujący również w prasie zachodniej, Konstanty Gebert „Dawid Warszawski”.

Następny raz postanowiłem spróbować dostania się na reżyserię (filmową tym razem w Łodzi,

dokąd nawet kilkakrotnie jeździłem, ale bardziej jako teoretyk filmu niż praktyk) poprzez dziennikarstwo telewizyjne. Na szczęście dla mnie i tym razem Los okazał się przewrotnie łaskawy. W trakcie jednego z wyjazdów z telewizyjną ekipą dla realizacji reportażu w terenie nie umiając zapanować nad pijaństwem moich współpracowników ostatecznie porzuciłem te mocno na wyrost marzenia.

Cytując zapamiętaną (podobno?) wypowiedź Andrzeja Wajdy: „reżysera musi charakteryzować nie tylko wyobraźnia plastyczna i umiejętność kreacji przestrzeni scenicznej, ale w jeszcze większym stopniu dusza i nawyki kaprała”. Od siebie dodałbym, że także zdolność do kompromisów, do poddawania się naciskom zewnętrznym. W Polsce komunistycznej płynęły one od politycznych decydentów. Gdzie indziej (np. na Zachodzie) było się skazanym na finansowych magnatów, z reguły nastawionych jedynie na zysk i myślących w doraźnej perspektywie. Na niezależność jest tam wtedy mało miejsca...

- Z tych opowieści wyłania się Pana droga, krok po kroku, w stronę pełnej i jednoznacznej działalności opozycyjnej...

- **MZ.** Ciekawym doświadczeniem zawodowym była dla mnie pierwsza praca (formalnie druga, gdyż przez pół roku odbywałem etat stażowy w dość wówczas popularnym krakowskim „Studenckim”) w dwutygodniku „Nowe Książki”. Nie tylko dlatego, że zetknąłem się z całą czeredą najbardziej konformistycznych ówczesnie pisarzy, współpracujących stale z czasopiśmem (najczęściej jako felietoniści). Były to trudne do wyrzucenia z pamięci postaci: Bohdana Czeszki, Wojciecha Żukrowskiego, Stanisława Zielińskiego (nie spowinowaconego ze mną). Mieli w swoich biografiiach rodowód II RP i wojnę września 1939 roku. Byli na swój sposób patriotami, brali udział w aktywności powstańczej (jak Czeszko po stronie AL, czy Żukrowski w AK), ale dość szybko zostali złamani i w jakimś sensie zdegradowali się moralnie. Może najsilniej z nich wszystkich było to widoczne u wywodzącego się ze środowisk katolickich Żukrowskiego, chlubiącego się przyjaźnią z Karolem Wojtyłą.

Równie jednak mocno było zauważalne u uchodzącego (nie bez racji) za uosobienie lewicowej odwagi w latach okupacji Bohdana Czeszki, którego zachowałem w pamięci jako bohatera uroczystości przyznawania corocznych nagród „Nowych Książek”. To wtedy pijany (był już wtedy alkoholikiem) zoczył się, budząc powszechny wstręt swoją wyraźną plamą na spodniach.

Dla młodego człowieka obserwowanie tego rodzaju zachowania pisarskiego, uwikłań politycznych powszechnie znanych w Polsce postaci, było czymś niezwykle bolesnym. Może nawet więcej, bo rodzajem przestrogi przed podpisaniem cyrografu z Mefistofeilesem, z czego nigdy nie daje się wyjść bez szwanku.

No, a ja zostałem już wtedy zauważony w sposób inny niż mogłem sądzić. Po opublikowaniu przeze mnie kilku tekstów o literaturze w „Tygodniku Powszechnym” (m.in. o eposie piastowskim Antoniego Gołubiewa) - na co sama redakcja „Nowych Książek” nie zareagowała - zwrócił na to uwagę (zresztą w mojej obecności) podczas wspomnianego przyjęcia zaprzyjaźniony

z naczelną (Zenona Macużanką) ówczesny zastępca kierownika Wydziału Kultury KC i późniejszy wiceminister kultury, Kazimierz Molek. Byłem dla niego wyraźnym przykładem obcej ideowo, klerykalnej postawy.

O pracy w tygodniku „Kultura” nie mogę powiedzieć nic ponadto, że cały czas miałem wrażenie, że jestem zupełnie obcym ciałem dla większości zespołu czasopisma. I nawet ci z kolegów, którzy utrzymywali ze mną poprawne relacje, dość szybko (jak niedawno zmarły wybitny pisarz Tomasz Łubieński, syn katolickiego działacza i potomek historycznego rodu ziemiańskiego), wchodząc do pokoju, w którym skrupulatnie odpisywałem autorom kolejnych nadsyłanych wierszy, na wszelki wypadek zamykali za sobą drzwi, żeby nikt nie widział ich kontaktów ze mną.

Po latach pracę w „Kulturze” wypomniała mi zresztą jedna z koleżanek z tego samego roku na dziennikarstwie W., też zatrudniona w czasopiśmie, obciążając mnie odpowiedzialnością za problemy, jakie moja obecność przyniosła jej późniejszemu mężowi, a wtedy zastępcy naczelnego redaktora. – „Nie rozumiem, jak z Twoimi poglądami mogłeś przyjść do nas - (to jest do redakcji partyjnego tygodnika)”. Zapewne miała rację, chociaż problemem byłem nie tyle ja, co zupełnie nieodpowiednia w tej redakcji moja pryncypialność, wykazana podczas wyrzucania z redakcji znanego wówczas krytyka filmowego i literackiego, bardzo zresztą wobec mnie życzliwego, Krzysztofa Mętraka.

Mętrak był także poetą, chociaż publikował wiersze rzadko. Ale właśnie w 1979 roku przekazał mi do akceptacji jeden z nich. Wiersz był zupełnie dobry, chociaż z ukrytym przesłaniem i dość okrutnym przypomnieniem dawnego naczelnego redaktora „Kultury” Janusza Wilhelmiego, mocno nielubianego w środowisku literackim. Ten rok wcześniej (był wtedy kierownikiem resortu kultury) zginął w katastrofie lotniczej. Odniesienia do Wilhelmiego, którego osobiście nie znałem, były na tyle wyraźne, że dały się bez trudu odczytać. Uznałem jednak, że nie do mnie należy cenzurowanie poezji kolegi z pokoju i przekazałem wiersz dalej. Odpowiedzialny za oddanie numeru do druku wspomniany W. wice naczelny, wierszy raczej nie czytał i utwór Mętraka ukazał się w druku.

Zapewne nie miałyby to żadnych konsekwencji, gdyby nie alkoholowe gadulstwo autora, który dumny jak paw o wszystkim poinformował przyjaciół od wódczanego stolika w kawiarni „Czytelnika”. Wybuchła awantura o wyraźnie politycznym charakterze. Naczelny Redaktor (Dominik Horodyński) zaprawiony od lat w ratowaniu własnej skóry przerzucił odpowiedzialność na swojego zastępcę. Ten usiłował całą winę zrzucić na Mętraka, który jakoby samowolnie miał podłożyć w drukarni bez wiedzy kogokolwiek wiersz. Do tego byłem potrzebny ja jako redaktor działu poezji. Nie wiem, jakbym postąpił dzisiaj, ale wtedy po prostu powiedziałem prawdę. To jak było i że wiersz przeszedł normalną procedurę redakcyjnej akceptacji. Przerzucenie odpowiedzialności na mnie było jednak z kolei o tyle trudne, że byłem najmłodszym członkiem redakcji i można było mnie uznać za naiwnego, nie znającego politycznego kontekstu (czyli Wilhelmiego) redaktora. Wydział Prasy KC potrzebował ważniejszego kozła ofiarnego. Ostatecznie W. ocalił siebie kosztem wyrzucenia Mętraka. Moje dni były jednak od tej pory policzone.

Tego rodzaju dość długa opowieść może mieć tylko jedną pointę. Nie miałem czego szukać

w mediach podległych RSW Prasa Książka Ruch, co dość dobitnie wyraziła kadrowa Wydawnictwa Współczesnego wydającego „Kulturę” w ramach koncernu RSW. Była to osoba o nazwisku kojarzącym się studentom warszawskiej polonistyki z aktywnym w marcu 1968 roku po stronie służb docentem Januszem Rohozińskim. Tego ostatniego spotkałem wiele lat później w Moskwie, w trakcie mojej kadencji dyrektora Instytutu Polskiego. Zapamiętałem ze spotkania jego mocno rozgałęzione relacje z Rosjanami, chyba nawet rodzinne.

Po epizodzie z wyrzuceniem Mętraka a następnie w listopadzie 1979 również i mnie pozostała jedna droga w stronę opozycji. Związałem się wtedy ze środowiskiem studentów KUL, wydającym kwartalnik „Spotkania” (Janusz Krupski, Janusz Bazydło i Piotr Jegliński).

- KUL był wówczas znaczącym ośrodkiem opozycji. Głośna była np. sprawa związana z obroną Jana Kozłowskiego, w którą Pan także się zaangażował.

- MZ. Głodówka w obronie przebywającego wtedy w więzieniu Jana Kozłowskiego (rolnika zaangażowanego w obronę praw chłopów polskich, późniejszego senatora i ojca wybitnej dyplomatki, kilkakrotnej konsul generalnej w Niemczech: w Monachium i w Kolonii, a ostatnio ambasador w Austrii) była epizodem. Może najbardziej głośnym z zewnętrznych działań tego środowiska, ale pozostającym w cieniu sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej. W moim przypadku miała charakter ostatecznego zakończenia tej części mojej biografii, która była związana z PRL. Od tej pory byłem w najlepszym przypadku wewnętrznym emigrantem, pozostającym na marginesie, ale w pełni pogodzony z moim statusem.

Po zakończeniu głodówki, prowadzonej w kościele w Stalowej Woli pod opieką niezwykle księdza, późniejszego biskupa pomocniczego, Edwarda Frankowskiego, zostałem w trakcie drogi na dworzec kolejowy zatrzymany przez SB. Rozmowa z jakimś młodym oficerem miała dość formalny charakter. Ja nic nie mówiłem, a on z kolei wskazywał na własny patriotyzm i obronę biało-czerwonego sztandaru (rzecz jasna przez służby!). Mogło to wskazywać na niepewność w sytuacji sierpniowego buntu w służbach i postępujący zmierzch komunizmu.

Samo środowisko „Spotkań” było dla mnie nie tylko ciekawym doświadczeniem poznania ludzi dużo odważniejszych i bardziej ode mnie zasłużonych dla Polski, jak chociażby obydwaj już nieżyjący: Janusz Krupski, czy Jan Stepek. W równym stopniu miałem jednak poczucie czegoś dziwnego, jakiejś niejasnej atmosfery. Na pewno było to skutkiem niskiej profesjonalizacji tego środowiska, które nie miało pojęcia o arkanach sztuki redagowania pisma, ale także jakichś wielopiętrowych wewnętrznych układów, mogących wskazywać na dziwne powiązania.

Może dlatego nie zdziwiła mnie dużo późniejsza informacja o Tomaszu Turowskim, kadrowym oficerze wywiadu, który jako tzw. nielegal przez zakon jezuitów przeniknął do struktur „Spotkań” paryskich, ale także i krajowych (był zaprzyjaźniony zarówno z Piotrem Jeglińskim, jak i Januszem Bazydło). W III RP Turowski kontynuował karierę zarówno oficera wywiadu, jak i dyplomaty, nade wszystko na odcinku rosyjskim, co może budzić niedobre skojarzenia, potwierdzające tezę o zatrutych źródłach polskich zmian.

- Jak Pan ocenia ten okres swojej działalności?

- **MZ.** Jak już wspomniałem wyżej znaczna część mojej drogi życiowej była „zamiast”. To nie ja wybierałem, ale życie, okoliczności zewnętrzne wybierały za mnie. W większym stopniu niż chciałbym to przyznać, byłem raczej przedmiotem niż podmiotem, poddanym zewnętrznym zdarzeniom. Zapewne takich jak ja była większość w tamtej rzeczywistości, w której większość z tych, co mogli się sprzeciwić została wymordowana albo przynajmniej zmuszona do ucieczki. Nie zmienia to jednak mojej krytycznej oceny zarówno siebie jak otoczenia.

Wszystko było nie takie jak planowałem i o czym marzyłem. Było w miejsce tego, co mogło, a może nawet powinno być. Studia polonistyczne rozpocząłem zamiast planowanej filozofii na KUL, na co nie zgodzili się rodzice, przewidując trudności zawodowe. Dalsza część drogi życiowej była naznaczona pozbawieniem mnie możliwości wykonywania pracy po 1979 roku w oficjalnych mediach i związaniem się ze środowiskiem katolickim (miesięcznik „Więź”), chociaż już wcześniej byłem członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej. Zapewne można to uznać za swego rodzaju przechowalnię bądź niszę, dającą szansę na ukrycie. W pozostałych państwach regionu, już nie wspominając Związku Sowieckiego, nie było nawet i takich możliwości.

A inna kwestia, że - patrząc na to z dzisiejszej perspektywy - bardzo to ułatwiało działania służb, które miały nas wszystkich zamkniętych w swoistych rezerwach. Może dlatego nie mam większego przekonania do naszej opozycji. Tym bardziej, jeśli uwzględnić zaniechania lat 90. i nieprzeprowadzenie pełnej dekomunizacji, a tym bardziej lustracji pod kątem współpracy ze służbami, zresztą nie tylko polskimi. Skutki tego są tragiczne i obawiam się już nie do naprawienia...

- Proszę z perspektywy lat ocenić przemiany ustrojowe w Polsce i w innych państwach Europy Środkowej, przełomu lat 80 i 90.

- **MZ.** Przemiany ustrojowe, którym nadano nie bez racji ograniczającą nazwę transformacji systemu (bo to w gruncie rzeczy była jedynie mocno powierzchowna zmiana nie sięgająca istoty komunizmu i sterowanej, ludowej demokracji) oceniam negatywnie. Uważałem już wtedy w 1989 roku i uważam obecnie, że można było osiągnąć więcej i szybciej, a także mniejszym kosztem społecznym i politycznym. Obszernie dałem temu wyraz w mojej wcześniejszej publicystyce, opublikowanej po latach w książce „Życie bez złudzeń. Szkice nie-polityczne”, Warszawa, LTW 2023. W dużej mierze taką goryczą jest także przepojona moja (niedawno opublikowana) korespondencja z redaktorem paryskiej „Kultury” Jerzym Giedroyciem. Smutne jest to, że nasze aktywa: silna więź społeczna, ugruntowana wspólnota religijna i rola Kościoła, a nade wszystko zróżnicowany, odważny i jednolity ruch opozycyjny, w niczym nam nie pomogły w zbudowaniu nowej Polski i odrzuceniu skamielin komunizmu.

Niekiedy można sądzić, że jest odwrotnie. I, że lepiej poradziły sobie narody i kraje o znacznie mniejszym potencjale sprzeciwu wobec systemu (niekiedy wręcz zdruzgotane bezpośrednimi interwencjami sowieckimi, jak Węgry w 1956 i Czechosłowacja w 1968). Dla znacznej części zasłużonych aktywistów opozycji, o niekiedy wręcz bohaterskich biografiiach, najważniejsza i jedy-

nie dostępna do osiągnięcia okazała się opisana w metaforze przedwojennego pisarza: „radość z odzyskanego śmietnika”.

Nie chcę przez to powiedzieć, że jako naród, jako polska społeczność jesteśmy w sposób zasadniczy niezdolni do stworzenia dobrze funkcjonującego państwa, państwowych instytucji. Tak nie jest. Polacy byli i są społeczeństwem kreatywnym, dobrze wsłuchanym i rozumiejącym (używając heglowskiego określenia) „Ducha dziejów”. Przyczyny są – moim zdaniem – inne. W tej części Europy, w regionie środkowo-wschodnim, jesteśmy zbyt ważni, za bardzo istotni dla funkcjonowania i przyszłości całego kontynentu. Geograficzne położenie, na które wielu z nas się skarży, czyniąc je odpowiedzialnym za nasze klęski dziejowe, ma w gruncie rzeczy zasadnicze znaczenie dla europejskiej równowagi sił, dla zachowania pokoju w tej części świata. Dawno temu dobrze to rozumiał i docenił brytyjski geograf i geopolityk Halford John Mackinder w swoim dziele „Democratic Ideals and Reality” („Kto panuje we wschodniej Europie – panuje nad sercem Eurazji. Kto panuje nad sercem Eurazji, ten panuje nad wyspą światową. Kto panuje nad wyspą światową, ten panuje nad światem”). Mam wrażenie, że dużo lepiej od nas to znaczenie Polski i naszego położenia geograficznego rozumie Rosja. I jak przypuszczam, to dlatego do połowiczności naszych zmian przyczyniło się wiele czynników zewnętrznych, które silnie i skutecznie oddziaływały, i nadal oddziałują na Polskę. Skutkiem tego coraz głębsze podziały wewnętrzne, podważanie autorytetów, nihilizm historyczny, pedagogika wstydu. Czyli cytując poetę („Chorał” Kornela Ujejskiego): „Inni szatani byli tam czynni”. Nie wszystko, a może nawet nie tak dużo jest konsekwencją naszych win i zaniedbań.

- We wstępie do „Życia bez złudzeń...” zwraca Pan uwagę na „nijakość polskiej polityki” przełomu lat 80. i 90., w sensie „zaniechania myślenia serio o Polsce”. Negatywnie ocenia „kondycję Polaków” i ubolewa nad małym wysiłkiem włożonym przez naród w proces „prawdziwych zmian” – niedokończonych? Czy może Pan rozwinąć te tezy? Czy brakuje nam pokolenia Kolumbów? Rodowodów niepokornych?

- MZ. Na pewno sytuacja z przełomu lat 80. i 90. była inna niż ta, w jakiej znalazło się wychowane w Polsce międzywojennej pokolenie. To, umownie nazwane za książką Romana Bratnego (syna przedwojennego wysokiego oficera, którego też można zaliczyć do tej generacji, inna rzecz, że sprzeniewierzył się jej ideałom w sposób ostateczny po powstaniu „Solidarności”, kiedy stanął po stronie sowieckiej władzy) „Kolumbami”. Nade wszystko z tego powodu, że do walki o odzyskanie suwerenności Polski wystąpili ludzie wychowani już w PRL i poddani tym wszystkim negatywnym procesom, jakie drążyły całe pięćdziesięciolecie ten pojałtański twór. Pełni niewiary we własne siły, silnie zdemoralizowani warunkami pracy i płacy, w niewielkim stopniu przekonani o możliwości realnych zmian. Odnosiło się to także do opozycji lat 70. i 80. ubiegłego wieku, z której aktywności byliśmy wtedy tak bardzo dumni.

Po latach wyszło na jaw, co akurat mnie jako osobę dość blisko związaną z tym środowiskiem nie dziwiło, do jakiego stopnia byliśmy podatni na komunistyczną truciznę, pełni nihilizmu i łapczywi na rzucane z Zachodu ochłapy. Z większości z tych subwencji nasza opozycyjna elita nie miała ochoty się rozliczyć. A jeśli wezwania z Zachodu były coraz silniejsze (wiele z nich było

kierowane przez Irenę Lasotę, związaną z amerykańskimi rządowymi fundacjami), to okazywało się, że nagle płonęła dokumentacja, ginęły zapisy księgowe i już niczego nie można było dojść, a tym bardziej udowodnić. Być może dopiero za kilka pokoleń przyszli historycy będą mieli odwagę zapytać o te sprawy i powiązać je z późniejszym aliansem wielu czcigodnych opozycjonistów z komunistami. Pominę w tym punkcie równie istotny wątek agenturalny. Być może w tym należy szukać źródeł zaniechań w rozliczeniu komunizmu po 1989 roku.

Nie można też zapomnieć o ogromnym upływie krwi, czyli stratach spowodowanych zmuszeniem do emigracji znacznej części pokolenia „Solidarności”. Najczęściej, chociaż nie tylko, byli to aktywiści tego ruchu, młodzi robotnicy, inteligenci wyrzucani z pracy w bibliotekach, na uczelniach, w szkołach. Dobrze pamiętam, że w już w pierwszych tygodniach internowania (w moim przypadku w Białogórze) przychodzili tzw. wychowawcy (strażnicy więzienni), którzy z ramienia Służby Bezpieczeństwa (niekiedy sami byli oficerami SB) roznosili wnioski wizowe o wyjazdy na stałe na emigrację do państw zachodnich. Ja otrzymałem taką propozycję udania się do Szwajcarii, z której nie skorzystałem, chociaż nie wiem, czy akurat Konfederacji Helweckiej przydałby się na coś polski emigrant z humanistycznym wykształceniem.

Zresztą do dzisiaj uważam to za największą zbrodnię reżimu Jaruzelskiego porównywalną jedynie z tymi stratami, jakie ponieśliśmy wskutek represji okresu II wojny światowej i potem w trakcie instalowania sowieckiego systemu w Polsce. Ekipa Wojciecha Jaruzelskiego nie była w stanie wyprowadzić Polski z katastrofy gospodarczej i społecznej (nie było to możliwe z zachowaniem realiów socjalizmu i podległości Związkowi Sowieckiemu). Była jednak bardzo skuteczna w niszczeniu, w przetrąceniu kręgosłupa ideowego społeczeństwa, w niszczeniu wszelkich nadal jeszcze żywych tradycji narodowych i religijnych.

Jej symbolami pozostają do dzisiaj Jerzy Urban jako rzecznik prasowy i jak można sądzić jeden z głównych ideologów tamtego czasu oraz wyjątkowo odrażająca zbrodnia: morderstwo Księdza Jerzego Popiełuszki. Pomijając wszystko inne, dzisiejszy Błogosławiony był aktywny w zupełnie innym obszarze sprzeciwu wobec władzy - mało politycznego, a raczej całkowicie skupionego na moralnym odrzuceniu stanu wojennego i jego autorów. To wystarczyło, żeby wydać taki rozkaz. Jak dobrze wiemy, także tamta zbrodnia nie została dotąd w całości wyjaśniona, a tym bardziej nie zostali rozliczeni jej prawdziwi autorzy i mocodawcy...

Tamto poprzednie pokolenie „Kolumbów”, którego niektórzy przynajmniej przedstawiciele byli naszymi wychowawcami w szkołach, czy na uczelniach, nie zrodziło się z niczego. Stał za nim olbrzymi wysiłek podjęty przez całe dziesięciolecie po Powstaniu Styczniowym pozytywistycznej pracy u podstaw, pójścia z ideami oświaty, powszechnej edukacji w lud. Często było to sprzężone albo wręcz wychodziło od ideałów socjalizmu, traktowanego bardzo serio, a również sięgania do podstawowych zasad wczesnego chrześcijaństwa, jeszcze sprzed ery konstantyńskiej.

Te piękne „rodowody niepokornych” wydały później wspaniałe owoce. Spowodowały, że pomimo wielu problemów, społecznych nierówności, politycznych konfliktów Polska międzywojenna (II RP) najpierw obroniła się przed inwazją nowo utworzonego państwa bolszewickiego (a pamiętajmy, że nie wszystkim podbitym państwom wchodzącym do dawnego imperium Roma-

nowych to się udało, przykładem Gruzja czy Ukraina), a potem społeczeństwo zjednoczyło się w obronie niepodległości. W walce bardzo nierównej, bo prowadzonej przeciwko dwóm największym wówczas imperiom o totalitarnym charakterze. I jak wiadomo, gdyby nie zdrada Zachodu, spowodowana małostkowością i brakiem odwagi jej ówczesnych przywódców, mogliśmy obronić naszą niepodległość.

Na zarysowanym, może nazbyt szeroko tle, wydaje się, że odpowiedź jest jednoznaczna. Do rysującego się już w końcówce lat 80 geopolitycznego tąpnięcia w świecie spowodowanego kolapsem Związku Sowieckiego, odrodzeniem duchowym w dużej części świata zachodniego i zmian w układzie sił, byliśmy jako naród, jako społeczeństwo nieprzygotowani. Bez wątplenia taki a nie inny kształt tych zmian był w dużym stopniu rezultatem nauczania Jana Pawła II i Jego niezliczonych pielgrzymek. Do dzisiaj zresztą jest to dziedzictwo mało przyswojone, a ostatnio coraz częściej też kontestowane, również w Polsce.

Nade wszystko do tych zmian o duchowym, moralnym wymiarze nie były przygotowane nasze elity. Większość działań tzw. strony społecznej była spóźniona, reaktywna i nastawiona na kompromis za wszelką cenę z upadającym reżymem komunistycznym. Nie wierzono w zdobycie pełnej władzy, chciano zadowolić się jej okruciami. Ci, co myśleli dalej i szerzej, byli marginalizowani i nie dopuszczani do głosu. W zasadzie poza obydwoma braćmi Kaczyńskimi oraz Janem Olszewskim, którzy wykorzystali do zmiany tego nastawienia wehikuł polityczny, jakim były prezydenckie ambicje Lecha Wałęsy, zapewne jeszcze przez długi czas mielibyśmy u rządów Wojciecha Jaruzelskiego i jego generałów.

- W „Życiu bez złudzeń”, w rozdziale Listy z Polski do Przyjaciela, wielu miejscach pisze Pan odnosząc się do dziejów Polski, ale na konkretnych przykładach. Z Listu 3., wybrzmiewa teza, że nieszczęścia Wałęsy pogrzebały znaczenie ruchu Solidarności, o którego dziedzictwie niewielu młodych Polaków dziś już pamięta. W innych listach czytamy o destrukcyjnym wpływie różnych osób, m.in. Donalda Tuska, czy niektórych członków rządu Kazimierza Marcinkiewicza. Ogrom opisywanych niedostatków czasów III RP wręcz demobilizuje. Z czego to wynika?

- MZ. Z pewnością nie miałem zamiaru nikogo demobilizować, raczej odwrotnie wierzyłem (za pewne naiwnie), że nawet w takim skromnym wymiarze tekstów zamieszczanych w internetowym portalu wydawanym przez emigranta w Stanach Zjednoczonych pobudzę do refleksji. Może nawet do głębszego namysłu i zmiany. Zresztą akurat tekst odnoszący się do rządu sformowanego przez Kazimierza Marcinkiewicza (a i kilka innych) był napisany pod wpływem przeżycia, ale również oparty o moje osobiste doświadczenie i znajomość kilku członków tego gabinetu (jak chociażby nieżyjącego już Stefana Mellera, którego spotkałem jako ambasadora pracującego w Moskwie w roli dyrektora Instytutu Polskiego).

Pomijając jego koneksje biograficzne z ojcem Adamem przedwojennym komunistą, uczestnikiem różnych inspirowanych przez Kreml działań skierowanych przeciwko Polsce, potem wpływowym urzędnikiem stalinowskiego MSZ, Meller junior był nade wszystko zupełnie nieudolny, zastraszonej przez Rosjan i nie nadawał się do żadnej rządowej funkcji.

A co do Wałęsy? Zapewne jak u wielu przemawiała przeze mnie gorycz i rozczarowanie, bo początkowo, w czym też nie byłem osamotniony uległem jego swoistej nadanej przez okoliczności historyczne charyzmie. Potem okazało się w jak dużym stopniu była ona tworem oddziaływań zewnętrznych, być może nie tylko płynących z Polski. Ostatecznym końcem ideowego znaczenia i przywództwa Lecha Wałęsy był jego aktywny udział w obaleniu rządu Jana Olszewskiego, ów zapamiętany i sfilmowany demoniczny chichot w Łoży Prezydenckiej w Sejmie. To był upadek, ale nie tylko tego człowieka. Także całego ruchu.

Trudno dzisiaj młodym Polakom, a zresztą także i starszym pokoleniom przyznawać się do dziedzictwa „Solidarności”. Pogrzebaliśmy i zakopaliśmy na cmentarzu idei jedno z najwspanialszych przesłań, jakie Polska kiedykolwiek w przeszłości skierowała do świata. W jakimś sensie wcale nie nazbyt patetycznym ujawniło się wtedy w Sierpniu 1980 roku całe bogactwo polskiej historii i tego niezwykłego doświadczenia I Rzeczypospolitej, tygla i wspólnoty narodów. Monarchii, ale nie absolutystycznej tylko demokratycznej, nawiązującej bezpośrednio do antycznych greckich tradycji, gdzie władca podlegał sądowi obywateli i przez nich był wybierany. Nawet, jeśli była to tylko część elektoratu (szlachta), to gdzie indziej nie było nawet tego...

- Ale podkreśla Pan też upadek elit i dużo głębszy niż powszechnie się przyjmuje kryzys duchowy większości Polaków, który - jak można rozumieć - stał się jedną z przyczyn niepowodzeń naszych rządów w latach 2005-2006 i 2015-2023. Z dzisiejszej perspektywy staje w pierwszej kolejności pytanie o recepty na przyszłość.

- **MZ.** Tak III RP jest pełna zaniechań, niedokończonych programów, kłamstw i nawet zwykłych szwindli. Zabrzmi to może nazbyt paradoksalnie, ale kto wie, czy za wiele lat nie okaże się, że obecne rządy Donalda Tuska, postaci o bardzo ograniczonych zdolnościach politycznych, raczej zakładnika sytuacji społecznej niż jej kreatora, nie przyczynią się ostatecznie i wbrew zamiarom lidera Platformy Obywatelskiej do upadku III RP. Do zakończenia dalszego istnienia tego swego rodzaju - parafrazując znany cytat jednego z architektów niemiecko-sowieckiego paktu, zapoczątkowującego II wojnę światową - bękarta (pozbawionego sensu i moralnie niegodziwego) porozumienia tzw. Okrągłego Stołu.

Receptą jest nastawienie na długi marsz, na edukację kadr, na przywrócenie etyki i moralnego znaczenia polityce. Jestem przekonany, że wtedy okaże się, jak bardzo tego pragną Polacy. Także ci najmłodszy, którym doskwiera cynizm starszego pokolenia i pragną moralnej odnowy. Tego rodzaju impulsy muszą wyjść zarówno od intelektualnych elit, jak i od społecznych ruchów, od różnych środowisk. Nade wszystko związanych z konfesjami chrześcijańskimi, z różnymi wyznaniem, z protestami wobec przestępstw ekologicznych, ale i niszczenia ludzkiego życia poprzez aborcję bądź eutanazję. W tym sprzeciwie tkwi poszukiwanie nowego uzasadnienia i sensu dla przyszłości. I zarazem jest to recepta na zmianę polskiego tragicznego paradygmatu...

- W ostatnich akapitach tej książki, w 10 liście do Przyjaciela przestrzega Pan, że „... kłęska PIS zakończy tym samym łagodny okres zmian w kraju. Wszystko, co będzie potem,

nabierze (...) radykalizmu (...), a naród przestanie patrzeć na jakiegokolwiek nasze zasługi i każe odpowiedzieć na pytanie: gdzie byliśmy, kiedy niszczo Polskę...". Te słowa pisane w 2006 roku wydają się dzisiaj kasandryczne...

- **MZ.** Rzecz jasna, nie jestem Kasandrą i nie mam daru profetycznego. Napisane kilkanaście lat temu przewidywania, w jakimś stopniu sprawdzające się dzisiaj po latach, dziwią także i mnie. Widocznie wtedy (to były, jak się okazało, ostatnie miesiące pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości w latach 2005-2007) odczuwałem na tyle silny niepokój i wewnętrzną niezgodę na coraz to wyraźniejsze zaniechania, niewyraźną linię programową i słabości kadrowe, że miałem wrażenie lotu w przepaść. Państwa nie upadają od razu. Także i po przegranej w wyborach 2007 roku nie doszło od razu do jakichś radykalnych działań niszczących Polskę. Tyle, że w kwietniu 2010 mieliśmy do dzisiaj niewyjaśnioną i nierozliczoną katastrofę rządowego samolotu, w której zginęła znaczna część elity politycznej III RP, włącznie z prezydentem, generalicją i przedstawicielami najważniejszych instytucji rządowych. Nie mogłem tego przewidzieć, ale widocznie, gdzieś w głębi duszy odczuwałem to zagrożenie. Może dlatego, że moja perspektywa oglądu była zawsze oddolna. Nie piastowałem wysokich stanowisk, zarazem pozostając w jakimś zestawie kierowniczym mogłem dostrzec to, czego inni dużo wyżej ulokowani nie widzieli. No i nie ciągnęły się za mną żadne kompromitujące epizody z przeszłości, utrudniające obiektywny osąd... Błędy są zawsze. Nigdy się ich w pełni ustrzeżemy. Polskim problemem jest nikła zdolność do krytycznej samooceny ze strony elit i wciąż na nowo się pojawiające lekceważenie społeczeństwa. Naszym elitom nie dostaje społecznego słuchu i umiejętności dostrzegania tego, co chce, czego pragnie i oczekuje społeczeństwo. Nie wystarczy obiecać coś raz na 4 lata, a potem puścić w niepamięć. Sukces Prawa i Sprawiedliwości w wyborach 2019 roku był skutkiem docenienia przez Polaków przynajmniej częściowego wywiązania się z obietnic złożonych w 2015. Potem było jednak dużo gorzej, co przyniosło wiadome konsekwencje wyborcze w 2023. Niezbędne jest także przemyślenie po 35 latach sytuacji społecznej, w której wciąż 40% elektoratu pozostaje bierne i nie bierze udziału w wyborach. Czy do tych środowisk można trafić, czy da się ich zmobilizować? Nie wiem, ale bez tego, będziemy skazani na zabetonowanie sceny politycznej i fałszywą dychotomię.

Zapewne niektórych błędów z początku zmian politycznych po 1989 roku nie możemy już naprawić, ale właśnie dlatego warto nastawić się na długą perspektywę. Na długi marsz, a nie na najbliższe wybory. Nie na jutro, ale na to, co będzie i co uda nam się stworzyć w perspektywie dziesięcioleci. Polska jest najważniejsza, ale pod tym hasłowym sloganem muszą się kryć wartości, a nie liczmany. I nasze dążenie do przywrócenia aksjologii, norm moralnych. Odwołanie do nich i budowanie z przywołaniem tego wszystkiego, co przekazali nam nasi przodkowie.

Nie sięgnęliśmy także do zasobów emigracji, do tych, co w trudnych warunkach powojennych znaleźli swoje miejsce w różnych państwach zachodnich, zachowując zarazem polską tożsamość i patriotyzm. W tym miejscu i już na zakończenie jako swoisty kontrapunkt poetycki przywołam cytát z jednego z największych poetów europejskich (nie tylko polskich) Juliusza Słowackiego, który dobrze obrazuje te właśnie polskie dylematy, chociaż został napisany blisko dwieście lat temu:

„Szli krzyżąc: «Polska! Polska!» — wtem jednego razu
Chcąc krzyżać zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna,
Szli dalej krzyżąc: «Boże! ojczyzna! Ojczyzna».
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,
Spojrzał na te krzyżące i zapytał: «Jaka?»”².



Marek Zieliński podczas konferencji „Europa Karpat”, Karpacz 2024



Podczas konferencji Europa Karpat, Karpacz 2024, Marek Zieliński w debacie z Piotrem Naimskim, prof. Adrienne Körmendy, Antonim Macierewiczem i Denesem A. Nagy

² Utwór Juliusza Słowackiego, z którego został zaczerpnięty fragment, nie posiada tytułu, dlatego jest znany pod incipitem „Szli krzyżąc: Polska! Polska!”. Stanowi część zbioru „Przypowieści i epigramaty”.
źródło: https://poezja.org/wz/interpretacja/3463/Szli_krzyzac_Polska_Polska

WIT WOJTOWICZ



Rozmowa Trzech: z Witem Wojtowiczem
rozmawiają Marek Kuchciński i Andrzej Mazur

22 sierpnia 2024 r., w Łańcucie, w domu Wita

Wit Wojtowicz, historyk sztuki, dyr. Muzeum – Zamek w Łańcucie 1.12.1991-23.02.2023,
działacz opozycji od lat 70.

Marek Kuchciński: Rozmawiamy o czasach przeszłych i współczesnych, a będzie to zwykła pogawędka starszych Polaków, których losy swego czasu połączyły studia w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a także podobne pasje i zainteresowania sprawami kultury i sztuki w dziesięcioleciach następnych. Wit, w pierwszej kolejności opowiedz proszę o sobie, o rodzinie, dzieciństwie...

Wit Wojtowicz: Urodziłem się w 1953 roku w Łańcucie. Moja Mama pochodziła z tego miasta, z rodziny osiadłej tam od kilku pokoleń. Jej ojciec – Władysław Gdula był od stycznia 1922 roku czynnym żołnierzem w 10 Pułku Strzelców Konnych, który stał garnizonem w Łańcucie od końca 1921 roku. Wcześniej służył w wojsku austriackim, a potem był w Detachment rotmistrza Roma-

na Abrahama, specjalnie wydzielony oddział, który brał czynny udział w obronie Lwowa i Kresów Wschodnich. Służbę swoją zakończył w randze starszego wachmistrza. Został odznaczony między innymi odznakami Orłąt oraz Dowództwa Wojska Polskiego Wschód, a przede wszystkim Krzyżem Niepodległości. Jego żona – Julia z Piórków – również rodowita łańcucianka, wśród swoich przodków miała między innymi dwóch powstańców styczniowych: Michała Piórka i Tomasza Bojankiewicza. W czasie II wojny światowej należała do Armii Krajowej. Pamiętam, jak śpiewała mi piosenki powstańcze i opowiadała o Michale Piórku. Jeden z jej braci – Władysław – służył w 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich i był tuż przed wojną szefem kancelarii tego Pułku. Brał udział m. in. w bitwie pod Dąbrową i w szarży pod Wólką Węglową.

Mój ojciec – Stanisław Marian Wojtowicz – urodził się w Rzeszowie. Jego rodzicami byli Izydor i Zofia z Klusków. Jej ojca nazywano „Panem Chochołowskim”. Izydor miał przed wojną w Rzeszowie sklep przy ul. 3 Maja 1. Razem z żoną i jej rodziną byli zwolennikami Romana Dmowskiego (mój dziadek macierzysty był piłsudczykiem, co nieraz prowadziło na szczęście tylko do słownych bardzo nerwowych sporów). Brat Babci Zofii, podpułkownik Marian Bartłomiej Radwański, był odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari za akcję bojową podczas wojny z bolszewikami. Tuż przed wojną pracował w Sztabie Generalnym, w Pałacu Saskim w Warszawie. W czasie wojny przez Francję, Anglię, Holandię trafił do ZSRR, gdzie formowała się Armia Polska gen. Władysława Andersa i z nią przez Iran, Irak, Palestynę, Egipt trafił do Włoch a potem do Anglii. Jego syn Stanisław był żołnierzem akcji specjalnych Narodowych Sił Zbrojnych.

Stanisław M. Wojtowicz podczas studiów w Akademii Handlowej w Krakowie wstąpił do konspiracyjnych struktur Stronnictwa Narodowego. Używał wówczas pseudonimu „Krzewiński”. Z powodu choroby przerwał studia w listopadzie 1946 roku i pojechał się leczyć do Zakopanego. Tam spotkał księdza Stanisława Nagy’ego (późniejszego kardynała) i zaprzyjaźnili się ze sobą bardzo. Po latach ksiądz prof. Nagy wspominał w rozmowie ze mną, że bardzo dużo zawdzięcza mojemu Ojcu. Niestety, nie podał żadnych szczegółów. W grudniu 1946 roku mój ojciec został aresztowany i przewieziony do Krakowa, gdzie osadzono go w więzieniu przy ul. Montelupich. Według opowiadań jego siostry Elżbiety siedział w celi, do której cały czas napływała woda, a jemu wrzucono puszkę po konserwie, aby ją sobie wybierał. Po kilku miesiącach został zwolniony – według relacji rodzinnych, z więzienia wykupiony został przez swoich rodziców. Przyjaźń z księdzem Nagyem była bardzo mocna, gdyż on w 1952 roku był jednym z trzech księży, którzy udzielali ślubu moim rodzicom. Wraz z nim w ceremonii tej uczestniczyli również: przyjaciel ojca ze szkoły ksiądz doktor Julian Michalec (w czasie II wojny żołnierz AK, a później znany duszpasterz akademicki we Wrocławiu) oraz ksiądz Jan Wójtowicz (syn brata Izydora, tamta część rodziny pisała się przez „ó”). Zaraz po ślubie w naszym domu w Łańcucie UB przeprowadziło rewizję. Babcia wspominała, że jeszcze nie było posprzątane po weselu, a już różne rzeczy rozrzucone zostały po całym ogrodzie.

Wkrótce został aresztowany mój Dziadek Władysław Gdula i osadzony w więzieniu na rzeszowskim zamku. Przetrzymano go tam około 8 miesięcy. Ja później żartowałem, że pochodzę z rodziny kryminalistów, bo Ojciec mój siedział, Dziadek siedział, a ja w okresie prenatalnym też

czasowo przebywałem w więzieniu, gdy moja Mama odwiedzała w nim swego ojca, a mojego dziadka. No cóż, ten rodzinny gen antymoskiewski nie tylko we mnie się nie zagubił, ale przez te historie zapewne jeszcze bardziej się wzmocnił. O Tacie wspomniał w artykule umieszczonym w jednym zeszytów historycznych WIN-u dr Zbigniew Wójcik. Babci opowieści o powstaniu styczniowym, a Dziadka o obronie Lwowa i Kresów oraz także o II wojnie zapadły w moją młodą duszę dość mocno. Pamiętam jak Dziadek starannie zamykał okna w pokoju i jak najdalej od nich ustawiał taboret, na którym stało radio lampowe. Przykrywał się razem z nim kocem i prawie codziennie słuchał na zmianę, „Radio bum bum” czyli BBC oraz Głosu Ameryki no i oczywiście Wolnej Europy, akurat tej stacji, która w tym czasie mniej była zagłuszana. A ja, ciekawy tego co on tam wyczynia pod tym kocem, wślizgiwałem się obok niego i słuchałem z czasem coraz bardziej świadomie. Nie da się ukryć, że te „dźwięki” miały na mnie wielki wpływ. Dziadek zaczął mi także opowiadać o tych sprawach i je tłumaczyć. Był dla mnie jak Ojciec, gdyż mój Tato zmarł w 1955 roku, gdy miałem zaledwie 18 miesięcy. Tylko Babcia i Mama pełne były niepokojem o nas obu i denerwowały się wielce na to, że Dziadek mnie tak niebezpiecznie „doszkala”.

MK: Skąd my to znamy...

WW: Do szkoły podstawowej (nr 2) i średniej (I LO) chodziłem w Łańcucie. Interesowałem się wówczas archeologią i filmem. Maturę zrobiłem w 1972 roku i postanowiłem zdawać do szkoły teatralnej w Krakowie, aby w przyszłości pójść do łódzkiej filmówki na reżyserię. Niestety, a może właśnie na szczęście, z tych zamierzeń nic nie wyszło. Po nieudanym egzaminie do szkoły teatralnej zastanawiałem się co ze sobą dalej robić. Pojawiła się wówczas możliwość zdawania do medycznego studium zawodowego, kształcącego między innymi techników dentystycznych. Pomyślałem sobie, że przez dwa lata zrobię tego „technika” i będę później myślał co dalej. Przystąpiłem do egzaminów – z modelarstwa dostałem piątkę, z rysunku też, a z chemii niestety miałem tróję i tak przepadłem. Okazało się, że tam pierwszeństwo mieli ci, którzy nie dostali się na medycynę. Takie to było tak zwane „policealne” studium zawodowe. Za namową dziadka złożyłem jeszcze papiery na rzeszowską WSP, na nauczanie początkowe zajęciami praktyczno-technicznymi, bo w tym dawałem sobie radę całkiem nie najgorzej. W końcu jednak nie przystąpiłem do egzaminów i 1 listopada 1972 roku rozpocząłem pracę w Zamku w Łańcucie.

Tak więc ponad pół wieku temu zacząłem pracować w łańcuckim Muzeum. Najpierw w ogrodach przy rafowaniu ziemi, pracach porządkowych, robieniu przyzm, noszeniu roślinności, grabieniu liści, podlewaniu kwiatów i kopaniu rowów. Z czasem przeszedłem do Działu Pojazdów Konnych, gdzie zostałem opiekunem ekspozycji. Pani Teresa Żurawska była wówczas szefową tego działu i pracowała nad swoim doktoratem. Zlecała mi szczególnie interesujące zadania. Oprócz pilnowania ekspozycji bardzo często przesiadywałem w czytelni łańcuckiej biblioteki muzealnej i to była jedna z najwspanialszych prac jakie wówczas miałem. Przeglądałem XIX-wieczne gazety szukając informacji o firmach powozowych, o rymarzach, wynotowując ilustracje z powozami, saniami i karetami, jakieś ogłoszenia związane z produkcją pojazdów konnych. To było fantastyczne, bo można było sobie czytać różne artykuły w „Tygodniku Ilustrowanym”, „Bluszczu”, „Wędrowcu” i innych zagranicznych pismach zgromadzonych w łańcuckiej bibliotece. Wicedyrektorem do spraw naukowych była wtedy pani Inga Sapetowa, z czasem naczelnym dyrekto-

rem został Władysław Czajewski. Pani Inga jeździła do Rzeszowa, gdzie prowadziła kurs dla przewodników PTTK z historii sztuki. Zaproponowała mi abym jeździł tam razem z nią i przysłuchiwał się jej wykładom i może zdecyduję się zdawać na historię sztuki. To było w tym samym czasie, kiedy mój znajomy Wacek Borcz próbował się dostać na historię sztuki na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Niestety na nią się nie dostał, ale został przyjęty na teologię. Studiował także jako wolny słuchacz historię sztuki. Wacek zaczął mnie zachęcać abym zrobił to samo, posłuchałem go i tak trafiłem na KUL.

To był rok 1973, gdy po 8 miesiącach pracy w Muzeum – Zamek w Łańcucie zdawałem egzamin na historię sztuki, pełen nerwów o jego powodzenie. Pamiętam na egzaminach wstępnych panią dr Marię Piwocką z Warszawy, która miała na palcu taki duży pierścionek i w pewnym momencie przybliżyła go nagłym ruchem do mojej twarzy – nieco się wówczas wystraszyłem – i pyta: z czym się on tobie kojarzy? Ja odpowiedziałem właściwie bez namysłu, że z guzem od kontusza. Jej radosna reakcja: doskonale! niewątpliwie dobrze wpłynęła na moje samopoczucie. Był też profesor Zygmunt Sułowski, który pytał mnie na egzaminie ustnym o coś z geografii. Na pisemnym wybrałem temat o kulturze i sztuce za czasów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Akurat wtedy dość dobrze orientowałem się w tym zagadnieniu, poruszyłem nie tylko sprawy związane z malarstwem czy architekturą, ale także ubiorem, teatrem, prasą, muzyką i literaturą co sprawiło, że znalazłem się z dość dobrą lokatą wśród 15 szczęśliwców, których przyjęto wówczas na pierwszy rok. Radość ogromna z pomyślnie zdanego egzaminu, a odbywało się to wszystko w atmosferze wielkiej budowy – były wówczas prowadzone roboty przy frontonie, mnóstwo kurzu i huku. Trafiłem do akademika przy ulicy Sławińskiego koło starego pogotowia (dzisiaj ta ulica nazywa się Niecała).

Na pierwszym roku początkowo mieszkaliśmy w pokoju czternastoosobowym, co dla mnie jedyną było dość sporym wyzwaniem poznawczym, ale po paru miesiącach było nas już tylko dziewięciu. Łóżka były wojskowe, dość wąskie i piętrowe. W pokoju było tylko nas dwóch "zwykłych", a resztę stanowili koledzy, którzy tuż przed święceniami opuścili seminaria i rozpoczęli studia na KULu przeważnie na teologii.

Andrzej Mazur: *Ja też mieszkalem w tym akademiku w pokoju, dziewięcioosobowym. Był tam Tadek Sokal z Przemyśla, marcowi koledzy z Gdańska. Graliśmy masę w szachy, a Tadek zaproponował mi już w październiku 1972 roku organizację wieczoru autorskiego poetów lubelskich na KUL. Wziąłem się za scenografię: porzuciłem na parkiecie Sali wykładowej pudła kartonowe i gazety. Wyglądało to dosyć malowniczo, nieschematycznie i oryginalnie, spodobało się. Byli czołowi poeci lubelscy: Cza-rek Lisowski, Olek Rosenfeld, etc.*

WW: Już na pierwszym roku studiów poznałem Bogdana Borusewicza, który mieszkał w akademiku na tym samym piętrze. Chodził w tzw "polskich dżinsach" czyli w takim komplecie z Odry. Od czasu do czasu śpiewał nam tak zwane zakazane piosenki przeważnie oczywiście antykomunistyczne. Te „koncerty” odbywały się na półpiętrze przy tak zwanych drugich schodach prowadzących do magazynu. Schodziliśmy się tam w kilka osób a Bogdan śpiewał. Bywał tam także Andrzej Budzisz, późniejszy kierownik akademika, a następnie prorektor. Pamiętam,

że czytałem im Herberta "Pana Cogito", coś Zagajewskiego oraz jakieś inne teksty. Były to takie kółka zainteresowań. Bogdan podrzucał nam czasem coś do czytania, opowiadał i uświadamiał. On był wówczas dla mnie bardzo ważny. Wkrótce poznał mnie z Januszem Krupskim i tak zaczęły się nasze działania opozycyjne. Do ciekawszych wykładów, na które uczęszczałem na pewno zaliczyć należy zajęcia dla historyków prowadzone przez Władysława Bartoszewskiego, który mówił o Armii Krajowej niezwykle zajmująco. Ze sztuki świetne zajęcia prowadziła pani profesor Barbara Filarska, która wykladała starożytną. Zawsze uśmiechnięta, przekazywała nam swoją wiedzę z wielką pasją.

Mnie interesował romanizm i gotyk więc chętnie słuchałem księdza profesora Władysława Smolenia, jego asystentką była Śaśka (Stanisława) Gomulanka, która już niestety nie żyje – zatrula się czadem. Ksiądz profesor był świetny także w rozmaitych nalewkach. Miał ich wiele w swoim gabinecie, orzechówki i inne znakomite. No cóż, ze wstydem powiem, że czasem mu je podpijaliśmy. Opowiadał jak zdobywał przepisy tych nalewek, my próbowaliśmy go złagodzić więc mówiliśmy, że ksiądz profesor to jednej najważniejszej książki jeszcze nie napisał, a on chociaż doskonale wiedział o co nam chodzi kokieteryjnie dopytywał: – a jakiej to, jakiej? Na to my mówiliśmy chórem "smoleniówki" a on: O nie, nie, nie jestem jeszcze gotów. Ksiądz profesor Smoleń pochodził z Sądecczyzny i pamiętam, jak pojechaliśmy na obóz naukowy, trochę byliśmy zmęczeni poprzednim wieczorem, taki „the day after”, że nie nadążaliśmy za nim pod górkę, tak wywijał swoją laseczkę i szedł jak góral szybko do przodu. Bardzo lubiłem jego wykłady i on chyba też nas lubił.

Ze sztuki współczesnej to na pewno z wielką atencją wspominam wielkiego Jacka Woźniakowskiego. Również z ogromną sympatią Tadeusza Chrzanowskiego, a także Andrzeja Ryszkiewicza, Antoniego Maślińskiego, Tadeusza Dobrzańskiego – szereg świetnych wykładowców. Pracę magisterską pisałem o życiu i twórczości Jana Pawła Mazurkiewicza, malarza, którego dość pokaźne zbiory i pamiątki po nim przechowywane są w muzeum w Sandomierzu. Wystawiał na Syberii, w Krasnojarsku i w innych miastach, a potem związał się z ziemią sandomierską. Pracę zacząłem pisać u Jacka Woźniakowskiego, który niestety zachorował i ukończyłem ją u Ryszkiewicza.

AM: A propos ks. profesora Smolenia, to mieliśmy obowiązkowy wykład na wydziale teologii – historia sztuki sakralnej i ks. profesor propagował tam, chyba jako jeden z pierwszych, zakopiańskiego rzeźbiarza Antoniego Rząsę i Galerię Rząsy, przy ul. Bogdańskiego 12 w Zakopanem. I robił to całkiem udanie. W latach 80. ta galeria była już dobrze znana. Nawiasem mówiąc, ja od 1982 do 1993 roku byłem tam częstym gościem u syna Antoniego – Marcina Rząsy, też świetnego rzeźbiarza, tak że już na miejscu mogłem konfrontować wykłady ks. Smolenia z eksponatami. Chyba w 1985 byłem tam na wykładzie dla uczniów Liceum Kenara, który miał ks. Tischner, no, fantastyczny filozof. Filozof Sarmatów, jak się określił wtedy.

WW: Niedaleko domu Rząsy mieszkała żona Janusza Bazydły, w tych domach ukrywali się w stanie wojennym Janek Stepek, Paweł Nowacki i inni. Spotkaliśmy się tam zupełnie niespodziewanie, gdy byłem z żoną w podróży poślubnej w 1982 roku.

MK: Wspomniałeś wcześniej dr Marię Piwocką, rzeczywiście, miała niekonwencjonalne metody. Zdawałem u niej egzamin ze sztuki nowożytnej, ale w Warszawie, bo już po terminie sesyjnym. Umówiliśmy się na Krakowskim Przedmieściu, koło pomnika Mickiewicza i zastanawiałem się, gdzie my tu usiądziemy do egzaminu? Przyszła w spodniach, co mnie stremowało dubeltowo, bo kobiet w spodniach raczej wtedy nie widywało się, i wzięła mnie na wędrowkę po Starówce: Plac Zamkowy, Wizytki, kamienice warszawskie – wiele razy tam bywamy, ale rzadko przechodząc podnosimy głowę do góry, a kiedy to zrobisz, to w niektórych miejscach przenosisz się w XVIII wiek! Tę fasadę z kościoła Wizytek do dziś pamiętam: A co jest w tympanonie? Jakie kolumny? W czym wyrażają się charakterystyki rokoka? Co to za rzeźby? Czyje? A jakie są u franciszkanów w Przemyślu? Jakie wrażenie Pan odczuwa patrząc na nie? A co słyhać u dominikanów we Lwowie... Przypominam tamtą rozmowę w formie pytań, ale pani doktor raczej inspirowała do opisu, do narracji niż zadawała pytania. Lwowem to mnie zainspirowała najmocniej, że zacząłem myśleć o pracy na temat twórczości Henryka Rosena, który dekorował freskami m.in. katedrę ormiańską we Lwowie i Kościół św. Józefa na wiedeńskim Kahlenbergu, kaplicę Seminarium w Przemyślu, kilka okolicznych kościołów i wielkie dzieła w USA. Ale powiedzcie, jak wyglądało życie studentów KUL? Czym zajmowaliście się, jakie prowadziście działalność?

WW: Z okresu studiów dobrze pamiętam znakomite doświadczenia, jakie dane było mi zdobyć przy tworzeniu pierwszych studenckich, niezależnych samorządów. W 1973 roku w miesiącach jesiennych rozpoczęła działalność Komisja Koordynacyjna Stowarzyszeń Akademickich KUL, której szefem został jednogłośnie wybrany Janusz Krupski.

AM: *Wtedy były bardzo poważne historie z ZSP, Zrzeszeniem Studentów Polskich. ZSP zlikwidowano, a w jego miejsce ustanowiono Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Myśmy nie chcieli w KUL być w tej socjalistycznej organizacji studenckiej. Były protesty, Janek Stepek m.in. tam się udzielał: „czarne chmury nad ZSP” – takie afisze wisiały na KUL-u i prymas Wyszyński przyjechał gasić ten pożar. To było w roku 1974.*

WW: Byłem tam wtedy jako starosta pierwszego roku oraz członek grupy plastycznej INOPS. Wkrótce potem zaczęliśmy się zastanawiać, skąd wziąć pieniądze na działalność i zdecydowaliśmy, że w 1975 roku przywrócimy KULLAGES, czyli Wiosnę Kulturalną Studentów KUL. Wcześniej, przed laty były podobno na naszej uczelni dwa takie festiwale, które z jakichś powodów przestały funkcjonować, więc postanowiliśmy je reaktywować. Ja robiłem plakaty na zabawę w starej auli (sala numer 19) na parterze. Zabawa ta nazywała się "Rozryw". Była to próba wykonania plakatu przestrzennego. Do arkusza bristolu, na którym wypisałem różne teksty informacyjne, dokleiłem wycięty po kształcie, taki symbol wielkiego wybuchu rodem z komiksu i na nim był napis "Rozryw". Ten plakat przestrzenny był na tyle atrakcyjny, przyciągający wzrok i po prostu inny niż wszystkie inne płaskie i być może sprawił, że na KUL przyszło mnóstwo ludzi z całego Lublina i także z jego okolic. Sala nr 19 – stara aula – wypełniona była po brzegi, ludzie stali przy sobie ramię przy ramieniu, kompletnie nie można było tańczyć, tłum falował, ale i tak wszyscy byli zadowoleni. Głównymi organizatorami tej zabawy od strony artystycznej byli

Andrzej Pierzchała i Wojtek Łyżwa oraz Marek Gacka. Pierzchała mieszkał na Sienkiewicza, tam mieszkali też Ilona i Janek Stepkowie oraz inni.

AM: *Sienkiewicza 44, stancja, dom piętrowy z poddaszem, powszechny wówczas tzw. klocek, mieszkało tam bardzo dużo studentów, m.in. Czarek Harasimowicz, Antoś Borzęcki, teraz mieszka w Australii, Janusz Malinowski „Malina”, Wiesiek Lipiec, Michał Zulauff, Marek Kuchciński też kilka semestrów i ja chyba 2 lata.*

WW: Kullages od tej pory odbywał się przez szereg lat systematycznie.

AM: *Organizowała je Komisja Porozumiewawcza Stowarzyszeń Akademickich KUL, której przewodniczącym był Janusz Krupski. To było bardzo ważne, bo chodziło o utrzymanie podmiotowości studentów. Bo o co szło z likwidacją Zrzeszenia Studentów Polskich? Na podstawie legitymacji ZSP studenci mogli znaleźć pracę przez studencką spółdzielnię pracy. Natomiast SZSP miał socjalizm w swojej definicji i regulaminie, dlatego na KULu go nie było. Ale eliminowało to studentów KUL z możliwości zarobku, a wielu studentów tam pracowało.*

WW: Te protesty były mocne, bo jeszcze chyba Krzysztof Malarecki chciał, żeby SZSP powstało na KULu, ale był zdecydowany sprzeciw Krupskiego, Jeglińskiego, Borusewicz i innych. Dzięki temu SZSP nie powstało na naszej uczelni. W jego miejsce rozpoczęła swą działalność Komisja Stowarzyszeń Akademickich KUL. Była ona właściwie pierwszym w Polsce niezależnym samorządem studenckim, bo SKS powstał przecież później, już po śmierci Staszka Pyjasa w 1977 roku. O tym się nie mówi, ale nasz kulowski pierwszy samorząd studencki powstał jesienią 1973 roku, na samym początku roku akademickiego. Zajmowaliśmy się w nim przede wszystkim sprawami studentów oraz działalnością kulturalną.

AM: *Ta Komisja Porozumiewawcza miała też prawo reprezentować studentów przy egzaminach, inauguracyjnych, otrzęsinach. Ja w jej imieniu kiedyś byłem przy egzaminach.*

WW: Pamiętam i chyba mam gdzieś w swoich zbiorach zdjęcie Janusza Krupskiego, który chodził w takim wielkim berecie – birecie, ubranego także w togę, gdy jako przewodniczący tej Komisji witał studentów podczas otrzęsin. Bawiliśmy się świetnie. W 1975 roku występował na Kullages zespół Onomatopeja z Andrzejem Mitanem. Pamiętam wystawę grafiki Konrada Kozłowskiego, kolegi z historii sztuki. Niedawno dostałem od niego książkę o jego rodzinie zatytułowaną „Nienawróceni” i wtedy dopiero dowiedziałem się, że byli to wspaniali żołnierze niezłomni, jakże fantastyczni ludzie.

AM: *Na tym zdjęciu jesteś czwarty z lewej, to jest zdjęcie z „Ragi polskiej”, akcji parateatralnej. A przy białym filarze siedzi Kaśka Stańczyk.*

WW: To musiało być po 1976 roku, dlatego że poznałem koszulę, którą kupiłem wówczas w Londynie. Wracając do czasów Kullages 1975 rok był rokiem znaczącym, zawiązały się wtedy wielkie przyjaźnie. Byłem w grupie porządkowej, mieliśmy sporo pracy ze sprzątaniem po tej zaba-

wie, jak już mówiłem bardzo dużo ludzi przyszło i trudno było utrzymać porządek. Wiele o tym mógłby powiedzieć Marek Gacka czy Marek Adamczyk, który stał na bramce. Jak zabawa się zakończyła to okazało się, że toalety męskie są po kostki, po próg wypełnione jakby to ładnie powiedzieć: "substancją wydaloną przez ludzi z wnętrza żołądków przez usta", no może to lepiej brzmi. Jak zobaczyliśmy to z Januszem Krupskim, nie wytrzymałem i dołączyłem się do tej zbiorowej kreacji na posadzce a potem ściągnęliśmy buty zawinęliśmy spodnie i Janusz Krupski, Bogdan Borusewicz i ja sprzątaaliśmy te toalety na pierwszym piętrze przez długi czas. Także i z tego powodu bardzo dokładnie zapamiętam ten pierwszy Kullages. A drugi, ten z 1976 roku też mi się wrył w pamięć. Występowała na nim Kruszyna, czyli Elżbieta Wojnowska z młodzieńką przyszłą gwiazdą Elżbietą Adamiak, byli też Osjanie z Milo Kurtisem, Anawa. Sztukę ziemi prezentowała Teresa Murak. Na dziedzińcu była taka wielka dziura, z potężnym pagórkiem z ziemi usypanej obok. Ona uczyniła z tego takie duże serce i obsiała je rzeżuchą.



MK: To są zdjęcia z dziedzińca KUL. Na dwóch ostatnich na ławce siedzi Andrzej Mazur z teologii, Agnieszka Golka z historii sztuki, Michał Zulauff z psychologii, Grzegorz Chomiccki, grał na fujarce w Warsztacie, naprzeciw nich kuca Janusz Malinowski z polonistyki. Na drugim zdjęciu siedzi na poręczy Metys, czyli Mietek Abramowicz z Ubogich, ja i Raszek, czyli śp. Ryszard Tkaczyk z filozofii przyrody. Ale jakich jeszcze ludzi zapamiętałeś najbardziej?

WW: Oczywiście siedzącego tu obok Andrzeja Mazura, który prowadził znakomite warsztaty parateatralne. W pewnym okresie na KULu było aż 7 teatrów: dwa warsztaty Andrzeja Mazura i Janusza Malinowskiego, u którego grały między innymi Ewa Wielgat ze Stanów Zjednoczonych (chyba z Milwaukee) i Ania Arseniuk (w pewnym momencie dołączyłem również ja), Scena Plastyczna Leszka Mądzika (przez którą także się przewinąłem), grupa Ubogich, a również Scena Słowa Stefana Szaciłowskiego (m. in. świetna "Kolonja karna" w wykonaniu tego teatru). Na początku szalenie podobali mi się Ubodzy, chodziłem na ich przedstawienia, poznałem Ulkę Szulc, Metysa, czyli Miecia Abramowicza, Romka Doktora. Pamiętam ich spektakl "Kain i Abel". Zrobili też taki prześmiewczy trochę spektakl z szefa Sceny Plastycznej, czyli z Leszka Mądzika. Ważnym rekwizytem w tym spektaklu był mały Fiat zrobiony z tektury (taki sam jak samochód Leszka). Scena Plastyczna bardzo mi się podobała. Wszystko to, co działo się z dźwiękiem, światłem, ruchem, formą i kolorem. Bardzo to było mi bliskie. Był to „teatr bezsłownej prawdy” jak wówczas o nim mówił jeden z krytyków teatralnych. Pierwsze spektakle, które oglądałem to była "Wiecze-

rza" a potem "Ikar", do którego później wszedłem, jako kolejny rocznik aktorski. Od początku byłem w spektaklu "Piętno" i "Zielnik". Pamiętam jak m.in. razem z Jackiem Szotem, Włodkiem Klocem i Adamem Rosochackim braliśmy udział w spektaklu "Piętno" i wtedy wydarzyła się taka historia. Otóż stolarze zrobili do tego spektaklu pewien rekwizyt – bardzo solidną trumnę, która w pewnym momencie podciągana była na sznurach pod sufit. No i raz stało się to, czego nikt nie przewidział – sznur się urwał, a ja całym mokry, bo w płaszczu przeciwdeszczowym i w czepku pływackim patrzę na tę trumnę jak leci. Dzięki Bogu pękł sznur od strony Jacka, więc trumna wychyliła się w drugą stronę w stronę widowni, która na szczęście była daleko, a Jacek miał czas na refleksje i uchylił się w porę przed nią jak wracała, bo inaczej no rzeczywiście nie byłaby ona pewnie tylko rekwizytem, przepraszam za ten czarny humor. Pamiętam też taką śmieszna sytuację, na „Piętnie” była cenzura wewnętrzna, uniwersytecka, był obecny pan prorektor prof. Stefan (zwany Funiem) Sawicki, pan Adam Chruszczewski i parę innych, ważnych na KUL-u osób. Staraliśmy się, aby jak najlepiej wypaść, bieganina po ciemku, szybko, a ja w pewnym momencie stanąłem nogą na listwę z gwoździem, który oczywiście przebił mi stopę oraz buta i przeszedł na wylot. Z tego powodu ten akurat spektakl nie był spektaklem jak to się mówi – bez słowa, bo wydałem z siebie długi przeciągły ryk na całe gardło: "Kuuurrr..." i potem pan profesor Sawicki zapytał: "czy rzeczywiście jest to do końca teatr słownej prawdy", a ja na to mówię, że nadal, i że mnie się tylko tak wyrwało i że bardzo przepraszam, ale to i to mi się przydarzyło. Prof. Sawicki bardzo szybko zorganizował jakiś transport i zawieziono mnie na zastrzyk przeciwtężcowy na pogotowie. abym nie poległ na tej przed-premierze jako artysta.

MK: A kiedy i dlaczego trafiłeś do sceny plastycznej?

WW: Ta grupa, ten rodzaj teatru bardzo mi się podobał, tak jak już mówiłem początkowo, we wszystkich tych teatrach odnajdowałem jakieś swoje tęsknoty, wyobrażenie o nowym teatrze, który tworzył się w różnych miejscach czy to w salach czy też na placach i ulicach. Na moją wyobraźnię ogromnie działały spektakle zaproponowane przez Leszka, może też te doznania były powiększone o formy plastyczne, wyznaczniki muzyczne i punkty świetlne. Zacząłem bywać na tych spektaklach i w pewnym momencie zapytałem, czy mogę do tej grupy dołączyć. Rekomendowała mnie moja koleżanka z roku Agnieszka Golka oraz kolega z akademika, który pracował w Scenie jako elektryk – Sergiusz Raczkowski. Pierwsza moja wyprawa z teatrem za granicę była w 1975 roku. Pojechaliśmy wówczas do Parmy z "Piętnem". Spektakl cieszył się ogromnym powodzeniem, graliśmy go parę razy. Z Parmy pojechaliśmy do Rzymu, gdzie akurat wtedy była beatyfikacja siostry Urszuli Ledóchowskiej. To było wielkie przeżycie – człowiek zobaczył wówczas zupełnie inny świat. Wtedy po raz pierwszy w ogóle byłem na zachodzie. Byliśmy także w Pizie, we Florencji, Wenecji. W Rzymie mieszkaliśmy w willi Caruso, zajmowanej przez polskie Urszulanki. Drugi wyjazd nastąpił w 1976 roku do Londynu. Pojechaliśmy wówczas na zaproszenie Alfreda Emmeta na festiwal teatrów studenckich, który organizowany był w Questors Theatre. Wyjazd ten był dla mnie bardzo istotny i niesłychanie ważny. Ale o tym może później coś jeszcze dopowiem. Jakiś czas po powrocie z tego wyjazdu przeszedłem do Warsztatu TA Janusza Malinowskiego. Był to chyba 1977 rok i graliśmy wówczas spektakl "Pielgrzymi" według wiersza Rabindranatha Tagore'ego "Zbłąkane ptaki". Teatr ten charakteryzował się przede wszystkim bardzo ubogimi scenografiami, skromnymi kostiumami, właściwie był podobny do Laborato-

rium Grotowskiego. Ważne były słowa i ruch. Myśmy sporo ćwiczyli. Pamiętam, że mieliśmy takie pasy, a właściwie kamizelki obciążone piaskiem i w nich biegaliśmy oraz ćwiczyliśmy wyskoki.

AM: Wit miał duży skok, pamiętam do dzisiaj, miał dużą masę i jak rąbnął nogami w parkiet, to robiło wrażenie.

WW: wyskok miałem rzeczywiście całkiem niezły, bo jak skoczyłem, to moje stopy wyprostowanych poziomo nóg były na wysokości ramienia dorosłego faceta. Jak ściągnąłem ciężki pas to po prostu fruwałem. Nazywali mnie wtedy żartobliwie latającym słoniem.

AM: Teatr Warsztat to były dwa zespoły. Ja prowadziłem zespół stricte parateatralny, ale ascetyczny. Malina natomiast robił teatr misteryjny w formule teatru ubogiego, ubogich środków scenicznych, co wymyślił Jerzy Grotowski, a Janusz to kontynuował. W czerwcu 1975 roku byliśmy na stażu u Grotowskiego: Janusz Malinowski, Jagoda Pietryszyn, ja, Wiesiek Łoś, Teresa Grzymałowa, później Łosiowa i Przemek Łoś.

WW: Taka sztuka uboga, bardzo ceniliśmy taki teatr, jeździliśmy do Grotowskiego i to po parę razy na przykład na Apocalypsis cum figuris. Pamiętam raz grała Rena Mirecka, a innym razem Elizabeth, ta Argentynka, nazwiska nie pamiętam. Niezwykłe wrażenia, niezapomniane. To był rok 1977.

MK: Wit, w książce „Strych” Marty Olejnik, we fragmentach poświęconych KUL-owi mówiłeś o teatrze, że „...w latach 70. XX wieku KUL był otwartym i oryginalnym środowiskiem rozwoju. Od 1974 roku co roku w maju odbywała się wiosna kulturalna studentów...”, porównywałeś ją do Famy kołobrzesckiej, działały tam kręgi biblijne starego i nowego testamentu, gdzie dyskutowano komentarze. „Na uniwersytecie funkcjonowały dwie szkoły: KULowska szkoła biblijna jako trzecia w świecie oraz lubelska szkoła filozofii chrześcijańskiej...”. Na KUL-u studiowało 2 500 studentów. Czyli to było środowisko, które musiało się znać i było szczególnie zbiorem ludzi: studenci z prowincji, z parafii, zachęceni do studiów przez księży, byli ludzie wierzący i niewierzący, artyści, antykomuniści, poeci, filozofowie, polityczni imigranci. Wszyscy się znali. I to jest cecha charakterystyczna tej uczelni z tamtych lat. Czy możesz dodać jeszcze inne cechy? Pomiędzy Łabą a Władystokiem to chyba był jedyny niepaństwowy i katolicki uniwersytet w tamtych latach, gdzie nie wykładano marksizmu, gdzie służba wojskowa po studiach nie była obowiązkowa, studenci byli niezależni, wolni, a ci, którzy przychodzili z parafii, z prowincji, wchodzili od razu na bardzo wysoki poziom wolności i bogatego życia kulturalnego, gdzie cenzura nie obowiązywała, poza tą wewnętrzną, a przynajmniej była traktowana jak niechciany i krępujący gorset, czego zresztą nie ukrywano, traktując ją niepoważnie, jak obce ciało.

WW: KUL był wtedy bardzo liberalny, jeżeli chodzi o pochodzenie poszczególnych osób czy grup. Ta różnorodność, o której mówiłeś: niewierzący, ortodoksi, Żydzi, katolicy, przeróżni ludzie tam byli. To był prawdziwie wolny Uniwersytet i tej wolności się uczyliśmy.

AM: Najróżniejsi, agnostycy, ateści niekomuniści, hippies z ich czołowymi przedstawicielami, Marcowi relegowani z innych uczelni – była duża grupa z Gdańska, duża grupa z Warszawy. Na KUL był też szczególnie atrakcyjny wyróżnik: tam nie było punktów preferencyjnych, nie było punktów za pochodzenie, czyli wszyscy mieli Równe Szanse na egzaminach. A drugi wyróżnik, to taka forma koledżu, gdzie było 2,5 tysiąca osób, 7 teatrów, koła naukowe, gdzie były bardzo często wykłady zagranicznych profesorów. Nieduży obszar, wychodziłeś na zewnętrzny dziedziniec, a tam była muzykologia, grali różne chorały itd., pozwalał na kontakt z ludźmi z różnych kierunków. Jedni zajmowali się historią sztuki, inni teologią, filozofią, socjologią, teatrem i wszyscy nawzajem się kształcili. Idziesz korytarem, a ktoś z historii sztuki Cię zaczepia: Andrzej, weź mnie przepytaj... i człowiek się dokształcał. To była uczelnia dbająca o ogólnohistoryczny rozwój studentów.

WW: Jedyne wspólne zajęcia to był tak zwany WF. Chodziliśmy tam z ludźmi z historii, polonistyki, klasyki, psychologii i rozmawialiśmy, wszyscy się znali. Na KUL-u był dostęp także do prohibitów, oczywiście nie było to łatwe i może jedynie tylko dla małej grupki, ale było to możliwe głównie dzięki dyrektorowi biblioteki Andrzejowi Paluchowskiemu, który przywoził je z zagranicy sam, albo też przywożono i dawano mu wydawnictwa do zbiorów, książki i czasopisma wychodzące na zachodzie, a zakazane w Polsce. Był niezwykłym facetem. Profesorowie zapewne mieli większy dostęp a studenci, jak już mówiłem to tylko bardzo niewielkie grono i to raczej dzięki niektórym profesorom, którzy udostępniali nam te wydawnictwa. Pamiętam, że były to głównie wydania paryskie, a więc „Kultura” przede wszystkim oraz londyńskie m. in. „Odnowa” a także zapewne inne, których wydawców już nie pamiętam.

AM: Ja czytałem tam Archipelag Gułag Solżenicyna i Andrzeja Amarlyka o upadku komunizmu.

MK: Czytelnia na Chopina była miejscem kultowym, kiedyś przygotowywałem się tam do egzaminu ze sztuki nowoczesnej i oglądałem wszystkie dostępne albumy Paula Gauguina, było ich 5 – angielskich i francuskich. I w każdym inne kolory tych samych krajobrazów z Tahiti czy Bretanii. Zrozumiałem wtedy, że aby studiować sztukę, to trzeba mieć możliwość bycia na codzień w galeriach świata. W latach 70. to było dla mnie tylko marzenie, a w 80. niemożliwe z powodu zakazu opuszczania kraju. Ale moje interesowania bibułą rozwinęły się dopiero w latach 80., od Solidarności.

WW: Tych wydawnictw było sporo, potem niektóre z nich dostawałem od Janusza, albo od Bogdana Borusewicza, bo oni mieli o wiele większy dostęp do nich. Początkowe marzenie Piotra Jeglińskiego, żeby drogą fotograficzną powielić Archipelag Gułag nie wyszło, to by była cała duża skrzynia tych fotografii i ciężko byłoby ją podnieść, a co dopiero ukryć czy transportować. Miałem wtedy desperacką próbę, opartą na doświadczeniu jeszcze z czasów licealnych w Łańcucie, kiedy dostałem do przeczytania na jedną noc książkę na temat okultyzmu, bodajże Ochowicza. Wiedziałem, że tego nie przepiszę, więc pożyczyłem od koleżanki magnetofon, kupiłem taśmę i czytałem książkę, gdyż bardzo chciałem ją mieć. Był to zapewne – żartobliwie rozważając – taki wczesny audiobook, ale próbując to samo zrealizować w Lublinie nie wyszło, bo magnetofon się zepsuł, a książkę trzeba było oddać. A więc cała próba się nie udała. Ale wracając do książek z tak zwanego drugiego obiegu, one naprawdę były bardzo nieliczne i dostępne jedynie

bardzo małej grupie. Chcieliśmy to zmienić.

MK: Jaki wpływ miała ta literatura na kształtowanie Waszego poglądu na świat?

WW: Myślę, że ogromny. Ci, którzy mieli szczęście je dostać do czytania, byli naprawdę przez los wyróżnieni, gdyż one były bardzo trudne do zdobycia. Myśmy cały czas myśleli co zrobić, żeby mogły stać się bardziej powszechne. Wiem z opowiadań Janusza Krupskiego i Bogdana Borusewicza a później Piotra Jeglińskiego (to była ta tzw. "wielka trójka"), że oni chcieli gdzieś ukraść powielacz, aby móc na nim drukować. Dobrze jednak, że do tego nie doszło, ale desperacja była wielka. I w pewnym momencie, w roku 1976 Piotrek pojechał do Paryża sam, bo Janusz nie dostał paszportu. Piotr tam pracował i kupił niewielki powielacz, denaturatowy. No i pozostała kwestia jak go wysłać do Polski. Zgadali się z Januszem (ja Piotra wówczas nie znałem), że do Londynu jedzie ze spektaklami teatr KUL-owski, Scena plastyczna Leszka Mądzika i że ktoś ten powielacz od niego odbierze. Piotr we wspomnieniach napisał, że nie wiedział, kto będzie tym kurierem, bo do końca ta informacja do niego nie dotarła. Ja wiedziałem jak Piotr się nazywa, pokazywano mi też w Polsce jego zdjęcie. Do naszego spotkania doszło w londyńskim teatrze przy Mattock Lane. Teatr nazywał się Questors Theatre. To było to miejsce, w którym odbywał się czwarty międzynarodowy festiwal teatrów akademickich. Piotr przyjechał do Londynu z tym powielaczem, z przygodami bowiem został zatrzymany przez celnika, którego pies wyczuł denaturat i zaraz na „dzień dobry” po przybyciu do Anglii była rozmowa czy on pije czy nie, jakieś takie śmieszne, dziwne pytania zadawano. Taki powielacz jak ten co Piotr kupił można było dostać w zasadzie w każdym sklepie na Zachodzie, bo na przykład skauci drukowali na nich swoje ogłoszenia, a dla nas to był absolutny szczyt najwyższych marzeń. Spotkaliśmy się z Piotrem w teatrze, przez kurtynę wymieniliśmy się ustalonymi hasłami w ciemności i potem miało miejsce kolejne spotkanie, tym razem w toalecie, też się wówczas nie zobaczyliśmy. Umówiliśmy się przez ściankę działową na spotkanie na sąsiadującym z Teatrem skwerze. Ale o tym opowiem za chwilę. Nasz pobyt w Londynie trwał od 4 do 8 maja 1976 roku i zbliżał się czas powrotu do Polski. Zakończenie tego Festiwalu miało być w formie uroczystego bankietu. Okazało się, że na te uroczyste przyjęcie my w Teatrze mamy tylko nie całkiem świeże podkoszulki i nie najczystsze spodnie. Nikt z nas nie miał żadnego tak zwanego 'odzienia na szczególne okazje'. Zastanawialiśmy się jak się ubrać. Wymyśliliśmy wtedy, że skorzystamy z garderoby teatralnej. Tam poprzebieraliśmy się w różne stroje – zachowały się nawet zdjęcia z tej maskarady.

Na przykład Włodek Kloc przebrał się za dandysa, Krzysiek Mazur za policjanta, któraś z koleżanek za damę, a inna za służącą. Ja ubrałem się w największy strój jaki udało mi się znaleźć, a był to mundur marynarza angielskiego. Wyglądałem w nim jak oficer z Royal Navy.

Przyjęcie się odbyło, zakończyło się w wielkim naszym sukcesem. Wszyscy byliśmy w centrum uwagi ze względu na te niekonwencjonalne stroje, które zapewne całkowicie odbiegały od zwyczajowej normy. Wtedy też poznałem – co się okazało dopiero po kilkadziesiąt lat – bardzo ciekawego człowieka, z którym Stefan Ciechan zrobił mi przypadkowo zdjęcia. Na nich jest nas dwóch, on stoi w "cywilnym" ubraniu a ja w tym marynarskim mundurze. Otóż ten "cywil" to słynny w środowisku brytyjskiej Polonii "książe" Jan Żyliński z Londynu. Już niestety nie żyje

– zmarł na początku 2024 r. Jan był znany nie tylko z tego, że uważano go za najbogatszego Polaka w Anglii, ale także i z tego, że w obronie dyskryminowanych Polaków przebywających na Wyspach Brytyjskich wyzwał na pojedynek na szable Nigela Farage'a, szefa Partii Nationalistów Brytyjskich. Ale tamten odmówił. Jankowi przede wszystkim chodziło o rozpoczęcie z nim debaty. Później Jan wystartował w wyborach na burmistrza Londynu, ale niestety bez powodzenia. O tym wszystkim dowiedziałem się wiele, wiele lat później. Wówczas, podczas naszego pierwszego spotkania wziąłem go za ubeka. Powiedziałem mu o tym później i go bardzo przeprosiłem wyjaśniając, że wtedy bałem się okrutnie. Przemyciałem wówczas do Polski powielacz, który jak się okazuje był pierwszym, jaki znalazł się w rękach ówczesnej opozycji antykomunistycznej. Wybaczył mi i utrzymywaliśmy naszą znajomość aż do jego śmierci.

W tym marynarskim stroju poszedłem na spotkanie z Piotrem na skwer położony w pobliżu teatru. Piotr później wspominał, że gdy zobaczył, że prosto na niego idzie facet w mundurze to go całego zmroziło. No ale szczęśliwie wszystko się wyjaśniło i po tym spotkaniu na skwerze, przebrałem się i razem z Piotrem pojechaliśmy do jego kuzynów na przedmieściach Londynu. Tam zobaczyłem po raz pierwszy powielacz. Piotr zapytał czy go ze sobą wezmę. Janusz mnie o to pytał wielokrotnie, wyjaśniając jak bardzo to może być dla mnie niebezpieczne, czy się dobrze zastanowiłem i czy moja decyzja nie została podjęta zbyt pochopnie. Potwierdziłem, że zdaję sobie sprawę z zagrożenia. Janusz był troskliwym o innych, bardzo uczciwym człowiekiem. Odpowiedziałem Piotrowi, że tak, ale nie w całości, gdyż wpadłem wówczas na pomysł, żeby przetransportować go w częściach. A więc zaczęliśmy go rozbierać i składać, czyniliśmy to parę razy i rylcem oznaczaliśmy części metalowe cyframi tak aby potem można było te wszystkie elementy ze sobą w sposób właściwy poskładać. Ja posmarowałem je jeszcze jakimś smarem, aby nie wyglądały takie błyszczące, nowe jakieś fragmenty starej polskiej gazety poprzyklepiłem do większych części, wyglądały bardzo zmarnowane, jak jakieś stare elementy w tych skrzyniach z różnymi dziwnymi częściami leżące od dawna. Najgorszy był właściwie bęben. Nawinałem na niego wiele metrów żyłki tak, że wyglądał jak taka wielka szpulka. Do plastikowego pojemnika na denaturat wlałem jakiś sok i to był mój bidon na drogę, który miałem w chlebaku ze sobą. Wszystkie te części umieściłem w różnych skrzyniach w części magazynowej, czyli w tyle autobusu, gdzie leżały także dekoracje i gdzie na zmianę koleżanki i koledzy w czasie drogi kładli się, aby trochę się przespać. I tak jechaliśmy przez kolejne państwa.

W końcu dojechaliśmy na granicę NRD – Polska. No i zaczęła się bardzo nerwowa atmosfera. Wydaje mi się, że każdy coś przewoził jeden jakiś komplet narzędzi, ktoś inny coś z odzieży, kosmetyków itp. Granica była pusta, nikogo nie było, deszcz padał, po pewnym czasie wzięli nas na rewizję, było dość nieprzyjemnie. Bałem się bardzo o powielacz a także o ludzi. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli sprzęt ten zostanie znaleziony to KUL będzie miał niemałe kłopoty. Zresztą my wszyscy. Jechała z nami pani z Wydziału IV SB, zawsze wtedy był taki obowiązek towarzyszenia takiej grupie jak nasza. Jakoś wszystko poszło dobrze, chociaż znaleziono – o ile dobrze pamiętam – 'Orła Białego' (czasopismo) i jakieś inne w koszu, w pokoju celnym. Czyli ktoś z naszej grupy je przewoził, zorientował się, że idziemy na rewizję i postanowił się ich pozbyć. Jak oni to znaleźli to zarzucali nam, że to nasze, ale zaprzeczyliśmy przekonując, iż wszystko co nasze jest w autobusie. Jakoś się udało i szczęśliwie dojechaliśmy do Lublina. A było to 10 maja 1976 roku,

na KUL-u trwał wówczas KULLAGES 76.

MK: W środowisku Spotkań zajmowałeś się drukowaniem.

WW: W początkowym okresie to jest od 1976 roku do połowy 1978 zajmowałem się organizacją miejsc do powielania, tworzeniem magazynów dla materiałów do tego niezbędnych, czyli kalek, papieru i denaturatu. Ważne było bardzo wcześniejsze zorganizowanie zakupu ryz papieru i dość duże ilości butelek tej tzw. 'jagodzianki na kościach'. Wiadomo, że nie można było tego zrobić w jednym sklepie, tymi zakupami zajmowały się nasze koleżanki, podjeżdżające do sklepów dziecięcymi wózkami. Musiało to wywoływać zrozumiałe zgorzsenie. A my żartobliwie ryzę papieru nazywaliśmy „pieluchami”, a denaturat „sokiem”, to były takie konspiracyjne ustalenia. I oczywiście niezbędne było zapewnienie także miejsca na wydruki, składanie gotowych egzemplarzy w oczekiwaniu na przerzut w inne miejsce. Co do kalki, dzięki której powstawały matryce, to ona w tym pierwszym okresie nazwana była karbonową. Organizowałem także przerzuty do Warszawy. Brałem również udział w kilkukrotnym przemyśle literatury wówczas zakazanej z Drezna do Polski. Pierwszymi drukarzami byli pozyskani przeze mnie do tych działań Paweł Nowacki z historii sztuki i Wojciech Butkiewicz z romanistyki. Jednym z najlepszych kolporterów był Zygmunt Kozicki. Wiem, że udało mu się utworzyć prywatne, bardzo duże i wspaniałe archiwum prasy i wydawnictw wychodzących poza cenzurą.

Przed „Zapise” drukowaliśmy najpierw po czerwcu 76 roku skargi indywidualne i zbiorowe Komunikaty KOR-u (od czwartego numeru) i Biuletyny Informacyjne. Były one zawożone do Warszawy. Na naszym powielaczu powstał również duży nakład 'Karty 77'. Potem wydrukowaliśmy jeszcze jeden pełny numer „Zapisu” numer 2 oraz pół numeru „Zapisu” numer 3, który nie z naszej winy nie został zakończony z powodu braku tekstu drugiej połowy i tę pierwszą już wydrukowaną ze łzami w oczach spaliliśmy w kotłowni akademika.

Janusz Krupski zlecił mi pewną bardzo ważną czynność, a mianowicie mikrofilmowanie nowości wydawanych przez nas i przez różne podziemne drukarnie. Robiłem te mikrofilmy, obcinałem perforację (bo więcej mieściło się w skrytkach) i przygotowywałem je w specjalnie spreparowanych pakietach do wysyłki na Zachód pod ustalone adresy przy pomocy poczty lub osób jadących.

AM: *...Mieszkalem wtedy na ul. Sienkiewicza 44 i któregoś dnia obudził mnie smród denaturatu. Myślę, co to jest? Najpierw myślałem, że to właściciel coś narozrabiał, schodzę do piwnicy – nic nie czuję, obszedłem parter, pierwsze piętro, wchodzę na drugie – o, tam śmierdzi denaturatem. Podchodzę bliżej, a tam nagle drzwi otwierają się i... Ooo, nagle powitanie, a to Wit Wojtowicz i Michał Zulauff kręcą na powielaczu, smród był jak cholera. Na podłodze wszędzie wydruki, koledzy usmarowani... trochę im tam pomagałem, potem strategicznie się wycofałem, bo to nie moja robota...*

WW: Mieszkał tam też Zenek Mazurczak, w takiej wąskiej i niskiej kanciapie na poddaszu, gdzie wchodziło się na kolanach, było strasznie niekomfortowo.

MK: W tej kanciapie mieszkał wcześniej Mundek, on ją nawet chyba wymyślił i przekonał gospodarza, że może wynajmować za 50 zł. W tym domu mieszkał tam też Krzysztof Widmański z Wandą Zabłocką, dwie dziewczyny z UMCS, Małgośka i Andrzej Pierzchałowie, bywała Kaśka Stańczyk, której Andrzej mówił, że jest pięknym motylem w odlotowej spódnicy...

WW: Gośka Pierzchała była autorką znaczka KULLAGES 75. Były one w trzech kolorach: żółtym, zielonym i chyba w liliowym. Jeden (nie pamiętam który) był tzw. ogólny, dla wszystkich, inny dla organizatorów i trzeci też był przypisany jakiejś funkcji czy grupie.

AM: ...Mieszkali także Stepkowie, Antoś Borzęcki, Janusz Malinowski, przychodził Rudy i także Kaśka Stańczyk. Raz pamiętam, przyszli Wit, Janek Stepek, pół litra trzymają i przychodzi z nimi Gordon Edelstein z Nowego Yorku, zawinął się na KUL. Fajny facet, artysta, reżyser nowojorski, a jego rodzice czy dziadkowie byli z Tarnowskich Gór. Pamiętam, że prosił mnie, żebym go gdzieś ukierunkował, a myśmy mieli wtedy już ostatnie próby Warsztatu, w 1978 roku i ja mówię – jedź do Grotowskiego. Ale Wit, mam do Ciebie jedno pytanie. Bo mówimy, że robiliście „Zapis”, to ludziom dzisiaj wydaje się, że wszyscy nobliwi, byli w białych rękawiczkach, w garniturach, a przecież byliście umorusani jak cholera. I mam pytanie, jak długo robiliście ten „Zapis”, miesiąc, dwa?

WW: Chyba nawet więcej, był on drukowany i składany w kilku miejscach. Drukowaliśmy go też na Czechowie, w mieszkaniu – o ile dobrze pamiętam – wynajmowanym od państwa Borysów. Ten lokal wpadł wraz z ryzami papierów, ale wydruki i powielacz udało się uratować. Ostatnią stronę robiliśmy w domu na ul. Sienkiewicza. Pamiętam jak Janek Stepek wystukał na maszynie wymyśloną przeze mnie nazwę: Nieocenzurowana Oficyna Wydawnicza, a także wysokość nakładu. Tu byliśmy bardzo głupio szczerzy, bo podaliśmy prawdziwą ilość wydrukowanych egzemplarzy zamiast wymyśleć fikcyjny, wielotysięczny nakład, co na pewno wkurzyłoby nieźle z UBeków. Jako miejsce wydania napisaliśmy Polska. Ja wykonałem rysunek na okładce – kaganek oświaty, który miał być w opozycji do „kagańca” nałożonego przez komunistów. Skrót nazwy naszej oficyny, uzgodnionej na spotkaniu z Piotrem w Dreźnie, na które pojechałem razem z Januszem Krupskim był znamienity, bo „NOW” znaczy „Teraz”. Potem na bazie tej nazwy – po przekazaniu jej Mirkowi Chojeckiemu, powstała „NOWa” czyli Niezależna Oficyna Wydawnicza. Cały nakład, bez kilkunastu naszych tak zwanych „autorskich” egzemplarzy, przewieziony został do Warszawy, skąd rozpoczął się jego kolportaż. Za takim rozwiązaniem przemawiały względy bezpieczeństwa i tego udało mi się przypilnować. I tak powstawało prawdziwe imperium wydawnictw pozadebitowych wśród szeregu szczęśliwie powstających małych wydawnictw, które wszystkie oprócz tych ubeckich, bo były też takie, przywracały nam wolność słowa drukowanego na coraz lepszym poziomie czytelności. Postęp techniczny był coraz wyraźniej zauważalny. Gdy Janusz Krupski polecił mi mikrofilmowanie wszystkich mniejszych objętościowo wydawnictw oraz wszystkiego co nam zaczęło wpadać w ręce, to zrealizowałem co najmniej kilkanaście takich pakietów i przerzuciłem na zachód wysyłając pocztą w spreparowanych przesyłkach lub podając osobom wyjeżdżającym z Polski z prośbą o przekazanie do adresatów. A Gordona spotkałem w pociągu i zaprosiłem go do Lublina. Nie wiem, czy wiecie, ale jest on dzisiaj dość znanym amerykańskim reżyserem teatralnym.



Od lewej: Wit K. Wojtowicz, Ilona Lesik-Steppek, Janusz Krupski. Fot Igor Witowicz



Od lewej siedzą: Wit K. Wojtowicz, Piotr Jegliński, Jan Andrzej Stepek

AM: *Jeszcze jedno muszę dodać, mieszkałem w jednym pokoju z Michałem Zulaufem i oni tak się konspirowali, skurczybyki, że ja nic nie wiedziałem. Potem jak zobaczyłem, to mnie to nie zdziwiło, o – chłopaki robią bibułę, normalna sprawa, ale trzymali język za zębami...*

MK: **Z takich anegdotycznych obrazków, z domu przy ulicy Sienkiewicza, a mieszkałem tam od 1974 roku na pierwszym piętrze, obok Widmańskich, pozostał mi w pamięci następujący obrazek: raz wchodzę do Stepków na poddasze, oni mieli jeden wielki pokój, w którym była sypialnia, kuchnia, a za firanką łazienka i wszystko było w jednym pokoju. Pukam, otwieram, a Ilona stoi z firanką na głowie, żeby nie przeszkadzała, prawą ręką kołysze wózek z dwumiesięczną Karoliną, a drugą podaje papier brodatemu Jankowi stojącemu przy powielaczu, któremu duża grzywa zasłaniała oczy... To było przekomiczne, do dzisiaj mam ten obraz w pamięci. Z perspektywy lat uświadamiam sobie, że dorobek wydawnictwa i środowiska Spotkań zapamiętałem głównie dzięki kontaktom personalnym z ludźmi Spotkań, w związku z tym i tematyka – choćby wschodnia, którą zajmował się Janek Stepek, czy o kościołach budowanych nielegalnie w diecezji przemyskiej przez biskupa Tokarczuka, którego wpływ na ówczesną rzeczywistość polityczną i społeczną nie jest do końca jeszcze odczytany, wydobyty – była łatwiej przyswajalna dla kogoś, kto w tamtym czasie nie angażował się bezpośrednio w działalność opozycji politycznej. I chociaż w latach 80. łatwiejszy miałem dostęp do wydawnictw Instytutu Literackiego, to ludzi Spotkań mocno zapamiętałem z lat 70., z tego codziennego życia Kulowców. Ten obraz Ilony mówi przecież więcej, aniżeli manifesty polityczne zmarszczonych facetów.**

WW: *Ilona była cudowna, mądra, była matką dla nas wszystkich i dbała o to. Fantastyczna kobieta...*

AM: *Można jeszcze dodać, że obok Instytutu Literackiego w Paryżu i „Spotkań” lubelskich było wydawnictwo „Aneksu” sztokholmskiego Smolarów, masę tego czytaliśmy, tak, że ludzie w atmosferze wolności żyli i rozwijali się. A biuletyny KORu też były, takie wydania bibułowe. Żyliśmy w atmosferze wolności nie limitowani ingerencjami cenzury, w wolności wypowiedzi, w wolności dyskusji i wysokiej kultury, we współpracy z Grotowskim; potem doświadczenia Grotowskiego rozwinęliśmy w „Warsztacie” i puścili dalej w obieg nasze akcje parateatralne i tak dalej. Ta atmosfera wolności, dostępu do czasopism niedebitowych, wydawnictw poza cenzurą i tzw. „bibuły” – ogólnie do drugiego obiegu, polegała też na tym, bo tak to dzisiaj widzę, że myśmy to traktowali bez jakiegoś większego zadęcia. Dostałeś np. kolejny biuletyn KOR, to normalne, chciałeś to czytać, nie, to nie czytałeś, nie było zbytniego zadęcia w tych sprawach, że wszyscy się rzucali, bo akurat biuletyn KOR pokazał się. Po KULu wędrowało kilka egzemplarzy i kto chciał, ten czytał. A robiono te kopie na zielonej bibułce przebitkowej, nie na normalnym papierze ksero.*

WW: *Rzeczywiście, robiliśmy też samizdaty przepisywane na maszynie do pisania, na papierze przebitkowym. Komunikaty KOR-u drukowaliśmy w Lublinie, od 4 numeru i zawoziliśmy je do Warszawy. Sam raz to zrobiłem i zawiozłem wtedy do Wojtka Arkuszewskiego, którego zapamiętałem dość dobrze, bowiem gdy do niego przyjechałem to – a był to pierwszy raz, gdy się spotkaliśmy – zobaczyłem człowieka z czerwonymi rękoma, aż się przestraszyłem. A on po*

prostu robił jakieś doświadczenia z folią aluminiową, pisał na maszynie bez taśmy, wkręcał w nią tę folię wraz z drobnoziarnistym papierem ściernym i jak mocno uderzał w klawisze to czcionka przebijała folię i tak tworzyła się matryca. Dane mi zatem było być świadkiem próby znalezienia nowej techniki.

MK: Z ludzi, którzy zajmowali się drukiem i kolportażem, to trzeba dodać, że Zygmunt Kozicki razem z rodziną działali także przez całe lata 80, po stanie wojennym, organizując kilka podziemnych wydawnictw: Respublica, Wademecum, Oficyna im. Józefa Mackiewicza. On głównie zajmował się sitodrukiem. Opowiada o tych czasach w innym materiale.

WW: Czwarty numer „Spotkań” drukowałem w 1978 roku w Soninie pod Łańcutem, w nadzwyczaj gościnnym domu państwa Borczów. Sprzyjali oni bardzo takim ludziom jak my. Drukowałem go razem z ich synami: księdzem Henrykiem Borczem, z którym współpracowaliśmy jeszcze w Lublinie oraz z jego bratem Wojciechem, bardzo wówczas młodym człowiekiem. Tam mieszkałem przez parę dni i oprócz drukowania zajmowaliśmy się także składaniem tego numeru. Potem ksiądz Henryk i jego brat, trudnili się jego kolportażem. W pamięci utkwiła mi bardzo mocno dość niemiła przygoda, jaka wówczas nas spotkała podczas druku. Otóż nasza kochana „Zuzia” (drugi powielacz Spotkań, obecnie zobaczyć go można w Domu Słowa przy ulicy Żmigród 1 w Lublinie) – odmówiła całkowicie posłuszeństwa. Nie dała się naprawić. A zostało nam do zakończenia numeru już bardzo niewiele. Ksiądz Henryk pojechał do Zagnańska, do Maćka Sobieraja i przywiózł od niego mały powielacz (trzeci Spotkaniowy), który był takim samym modelem, tylko o czerwonych plastikowych bokach, jak nasza „Francuzka o niebieskich biodrach”, czyli ten przywieziony z Londynu, który prawdopodobnie wpadł w Warszawie. Ten trzeci powielacz, zwany po prostu ‘czerwonym’ eksponowany był ostatnio w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku w tak zwanym „Pokoju Kuronia” i przez długi czas nazywany był całkowicie błędnie „Zuzią.” Mam nadzieję, że wprowadzono korektę.

MK: Czy możemy dokonać jakiejś syntezy i spojrzeć na tamte czasy z perspektywy lat: jaki wpływ miały te zainteresowania na wybory dalszych dróg życiowych? Czy to działanie było podyktowane świadomością kontynuacji walki z komuną, z okupantem prowadzonej przez ojców i dziadków, czy raczej mieliśmy potrzebę życia w atmosferze wolności, sprzeciwu wobec systemu, który narzucał różne ograniczenia, podobnie zresztą jak to robi dzisiejsze lewactwo?

WW: Byliśmy zdecydowanymi przeciwnikami komunizmu. Jednak robiliśmy to bez specjalnego zadęcia, bez takich wielkich słów jak patriotyzm. Oczywiście że chodziło nam o niepodległość i o suwerenność. Wszystko to co wynieśliśmy z naszych domów bardzo nam pomagało, nie tylko w tym, aby wybrać taką drogę, ale w trwaniu przy tym co myślimy i robimy. Chcieliśmy być wolnymi w wolnym, niepodległym i suwerennym kraju. Janusz Krupski prezentował znakomitą wizję przyszłości, którą wyraził w swoim artykule programowym zamieszczonym w pierwszym numerze „Spotkań. Niezależnego Pisma Młodych Katolików”, iż nie można mówić o wolności Polski bez starania się o wolność krajów tworzących Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Już wtedy mieliśmy pełną świadomość, że musimy działać razem – także z sąsiadami Polski

- przeciwko komunizmowi.

AM: *U mnie było inaczej, nie było myśli politycznej, a co dopiero geopolitycznej, mnie te sprawy nie interesowały. Ja wtedy miałem w głowie jedną rzecz: jak coś wystawić, jak zrobić spektakl, żeby nie przypieprzyła się cenzura. Pamiętam, że na spektakl przedpremierowy „Oddechu i snu” w kwietniu 1976, przed oficjalnym pokazem dla publiczności przyszedł z obowiązku prof. KUL Stefan Sawicki – prorektor ds. studentów, Adam Chruszczewski – kurator Teatru Akademickiego KUL, no i główna postać – pani z lubelskiej cenzury. I głównie przed nią musieliśmy wystawiać, żeby było zezwolenie na dalsze pokazy. To był główny problem. Dlatego w „Oddechu i śnie” nie było ani jednego dialogu, a jedynie na początku spektaklu recytowałem „Jogasutry” Patandżalego w starożytnym języku indyjskim sanskrycie. I nikt do tego się nie dochrzaniał, bo nikt z tego nic nie rozumiał, również pani z cenzury nic nie rozumiała. Mało tego – wszystkim się podobało. Potem dopiero pisałem program „Oddechu i snu” po przepuszczeniu przez cenzurę. No i trochę trzeba było mózgować, żeby napisać co się chce, żyć jak wolny człowiek w wolnym świecie, a jednocześnie liczyć się z każdym zdaniem. Puściłem w ruch piórko i tusz, dałem tekst czysto parateatralny – i też nie było kłopotów z cenzurą...*

WW: Pamiętam ten program, był bardzo ładny, taki powściągliwy.

AM: *Wracam jeszcze do wydawnictw poza cenzurą, bezdebitowych: po przeczytaniu Amalrika, którego wydał Instytut Giedroycia chyba w 1977 roku, byłem przekonany, że Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich upadnie. Amalrik wysunął banalną tezę: Proszę Państwa, socjalizm w Związku Radzieckim ma charakter ekstensywny, czyli oparty na gospodarce wydobywczej i przetworzenia, tymczasem na świecie jest już gospodarka intensywna oparta o komputery. Więc najpóźniej w roku 1984 Związek Radziecki padnie. I miał rację.*

MK: **A więc podziemne wydawnictwa miały jednak wpływ na Twoje rozumienie świata, bo oprócz teatru, muzyki i filmu, no, oczywiście sztuki – malarstwa, architektury, rzeźby, to jednak książka i biblioteka były w centrum naszej uwagi. Ja uważam, że ta wielka liczba książek, czasopism, do których mieliśmy dostęp poza cenzurą, szczególnie po stanie wojennym, ona była fenomenem charakteryzującym polską kulturę niezależną. Zygmunt Kozicki w swoich zbiorach ma kilka tysięcy tytułów, a twierdzi, że samych czasopism wydawanych poza cenzurą było 15 tysięcy! Ja literaturę piękną poznawałem także przez dostęp do drugiego obiegu, bo w oficjalnym nie dostałbym Mackiewicza, Odojewskiego, Herlinga Grudzińskiego, Czapskiego, Jeleńskiego, czy choćby Scrutona, którego „Myśliciele nowej lewicy” całkiem wywrócili nam wyobrażenia o idylli zachodu, co dzisiaj potwierdza się w 100 procentach. Ale wtedy to były czasy, gdy zachód był uosobieniem wolnego życia. A skąd mieliśmy wtedy poznawać prawdziwą historię Polski i Europy? Gdy na początku lat 70. mój śp. stryj Mieczysław, zakonnik, oblat przemycił z Francji historię Polski Oskara Haleckiego, to spać nie mogłem z przejęcia i czytałem ją jak trylogię. Wtedy pamiętam lepiej zacząłem rozumieć dzieła Jasienicy, które wcześniej traktowałem bardziej jak powieści. A wracając do ludzi z KUL-u, do wykładowców, to Jacek Woźniakowski opublikował w latach 70. książkę, „Co się dzieje ze sztuką?”, szkice o przemianach w sztuce ostatniego wieku. I tam wspomina wielokrotnie Józefa Czapskiego komentującego ży-**

cie artystyczne. I to mnie skłoniło do poszukiwania „Dzienników” Czapskiego wydanych w drugim obiegu, mała książeczka, mały druk, ale zaczytywałem się w nich całymi nocami. Moim zdaniem te książki stanowiły takie drugie płuco w rozwoju kulturowym człowieka, obok pierwszego, czyli dzieł, które były dostępne w księgarniach i antykwariatach: Mickiewicza, Sienkiewicza, Prousta, Miłosza. Ale jakie wskazałobyście inne książki, lektury, te ogólnie dostępne i te z drugiego obiegu, które miały wpływ na nas w tamtym czasie? Jakież wybitnie dzieła filozoficzne, inne, np., kodeksy honorowe, „Etos rycerski” Marii Ossowskiej? Co warto byłoby polecić dzisiaj, w erze komputerów i ogromnego zamieszania w systemie pojęć i wartości, ludziom do przeczytania, słowem: jak żyć?

AM: Trzeba pomyśleć. Amalrik tak, bo Związek Radziecki upadł, „Archipelag Gułag” Solżenicyna to też klasyka. Marii Ossowskiej „Etos rycerski” tak i „Normy moralne. Próba systematyzacji”. Polecałbym Tatarkiewicza: trzy tomy „Historii filozofii”, „Dzieje szczęścia pojęć” i „Historię estetyki”. Jest mało znana, ale fantastyczna. Myśmy czytali też popularne wtedy książki z psychologii humanistycznej: prof. Kazimierza Dąbrowskiego, Fromma, Carla Gustawa Junga i wiele innych. Sprawa wydawnictw bezdebitowych dzisiaj już nikogo nie dziwi, wszystkie są normalnie dostępne. Całość chyba paryskiej „Kultury” jest w sieci, czytałem ostatnio kilka numerów. Natomiast podkreślałbym rolę niezależnych polskich profesorów, którzy za komuny wydawali, bo Maria Ossowska też była niezależna wtedy i jej „Etos rycerski” był obowiązkową lekturą na II roku studiów teologii na przedmiocie „teologia moralna”, którą musieliśmy przerabiać. Ksiądz Stanisław Witkowiński nawet egzaminował ze znajomości „Etosu rycerskiego”. Również studenci teologii wykład półtoragodzinny dr Lecha Starowicza z seksuologii musieli obowiązkowo zaliczyć z wpisem do indeksu. W II połowie lat 70-tych wyładał na filozofii prof. Andrzej Grzegorzczak, zdaje się matematykę.

WW: Staraliśmy się być blisko tego co się pisze, a więc czytaliśmy literaturę na świecie, a także dużo pozycji serii proza iberoamerykańska. Był też Whitman, Tagore, Hesse, Kafka, a inni z polskich autorów to między innymi Herbert, Hłasko, Stachura, Wojacek a także Miłosz. Interesowały nas oczywiście filmy Bergmana, Antonioniego, Godarda, Hasa, Wajdy, Kieślowskiego i Zanussiego. No i nowy teatr zarówno ten w salach, jak i może nawet bardziej teatr uliczny. Niezapomniane spektakle Laboratorium Grotowskiego, Studio Szajny, Teatru Ósmego Dnia, Racza. Pamiętam także świetny spektakl w wykonaniu teatru ze Stanów Zjednoczonych The Bread and Puppet Theatre Schumana. No i oczywiście jazz, ale rzecz jasna nie tylko.

AM: Masz rację, książki i muzyka. Ale wróć jeszcze do teatru KUL, bo on miał olbrzymi wpływ na nasze postawy i naszą wrażliwość, także estetyczną. Pierwszy skład „Warsztatu”, który rozwinął się potem w latach 1976-78 aż w dwa zespoły i współpracował z Grotowskim, to była Klara Bocheńska, Krzysiek Widmański, Wanda Zabłocka, Krzysiek Sawicki, Wiesiek Łoś, Teresa Grzymała, Jadwiga Pietryszyn, Maciej Szpindor, Janusz Malinowski, Lolita Kępczowska, bardzo sympatyczna, z Rumii, Marek Jakubczak. Kto był na stażach u Grotowskiego w 1975 – podaję w innym miejscu. Duży wpływ na rozwój kulturalny, humanistyczny i artystyczny miał kulowski festiwal kulturalny KULLAGES, który był wymieniany na drugim miejscu, wśród polskich festiwali studenckich, zaraz po słynnej kołobrzeszkiej „Famie”. Cała czołówka polskich twórców kultury studenckiej i alternatywnej była na KULLAGES. Na KULu nie było cenzury i oni mogli sobie na więcej pozwolić. Jak popularny wtedy kabaret SALON NIE-

ZALEŻNYCH występował, to pamiętam siostra profesor Zofia Zdybicka siedziała w pierwszym rzędzie i pękała ze śmiechu. Na 60-lecie KUL w 1978 wystąpiła ekstraklasa polskiej sceny zawodowej w kategorii muzyka poważna: Kaja Danczowska, wspaniała skrzypaczka i najlepszy polski pianista Krystian Zimerman.

WW: Fakt, przyjeżdżali ludzie z całej Polski i nie tylko wykonawcy, ale także z innych uniwersytetów przyjeżdżali na to nasze studenckie święto, bo gdzie indziej tego nie mieli. Były też wystawy plastyczne i koncerty muzyczne i słowa. Naprawdę wysoki poziom.

AM: No i najważniejsze Anno Domini 2024 – nasza rozmowa ma duży walor dokumentacyjny, niekiedy wręcz źródłowy. Na stronie KUL wciąż brak logo Teatru Akademickiego, brak historii Teatru jak i jego poszczególnych zespołów, nawet Mądzik jest w formacie minimum, mimo że reklamował KUL przez całe lata w świecie. Brakuje historii kulowskich festiwali KULLAGES, gdzie była cała czołówka artystów polskich na czele z Markiem Grechutą i ANAWA, OSSIAN w obydwu składach, Elą Adamiak, Jarosławem Markiewiczem, duetem gitarowym Alber i Strobel, wspomnianym kabaretem SALON NIE-ZALEŻNYCH z Jackiem Kleyffem, Januszem Weissesem i Michałem Tarkowskim.

MK: Wspominamy życie kulturalne i wydarzenia, które nas kształtowały, ale co było dalej? Jak te doświadczenia z czasów studenckich owocowały? Jak wpłynęły na nasze późniejsze życie? Ja korzystałem z doświadczeń KUL-owskich angażując się w latach 80. i 90. w działalność kultury niezależnej, próbując łączyć sfery wolnościowe z wielkim dziedzictwem naszej tradycji. Strych Kulturalny ma korzenie Kulowskie: Roger Scruton, Krzysztof Dybciak, Marta Sienicka, Stefan Makowiecki, Krzysiek „Rudy” Sawicki, Marek Matraszek, Janek Stepek – to ludzie, bywalcy Strychu, poznani przez KUL. Andrzej uwagę kierował na kwestie ekologiczne i rozwijał talenty w sztuce słowa, w literaturze pięknej. Tomik wierszy *Traffic* jest uznawany przez niektórych znawców za jedno z większych osiągnięć poezji polskiej obecnego wieku. Wit, Ty chyba najbardziej konsekwentnie z nas trzech podążałeś drogą związaną z historią sztuki. Od lat 70. pracowałeś w Łańcucie na Zamku, w instytucji kultury, której głównym przeznaczeniem jest troska o zachowanie naszego dziedzictwa. Rzadko kiedy spotykamy ludzi, którzy tyle lat pracowali w jednym miejscu, w czasach zawieruch dziejowych, a Ty jeszcze stopniowo piąłeś się od pracownika noszącego ziemię, aż po dyrektora. Twoja kariera w jednym miejscu pracy przypomina drogę od giermka do rycerza, od czeladnika do mistrza, dawniej to była klasyczna droga kariery. Jak do tego doszło, co zapamiętałeś najbardziej? Co udało się zrobić?

WW: Bardzo dobrym doświadczeniem dla mnie była moja druga podróż w 1976 roku do Londynu i Paryża. Wtedy byłem u Piotra Jeglińskiego, który załatwił mi pracę, cyklinowałem podłogę u jakiegoś ministra niedaleko Łuku Triumfalnego, ale przede wszystkim zwiedzałem muzea. Wiele wówczas podpatrzyłem i zapamiętałem. To wspaniałe uczyć się sztuki na oryginałach. To były nie tylko muzea, ale budowle zarówno świeckie jak i sakralne, ich historyczne wnętrza wypełnione arcyciekawym i różnorodnym wyposażeniem, zespoły urbanistyczne, galerie, antykwariaty, pracownie. Tak było wszędzie za granicą. Z pobytu we Francji nie zapomnę też wizyty w Maisons Laffitte i mojego spotkania z Panami Jerzym Giedroyciem i Józefem Czapskim. To było

niebывале spotkanie i przeżycie dla mnie ogromne, a potem, parę dni później, z samym panem Jerzym w jakiejś kawiarni, gdzie kontynuowaliśmy naszą rozmowę.

Z Lublina wyjechałem dość wcześnie. W listopadzie 1978 roku podjąłem pracę w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie. Staralem się także o przyjęcie do Łańcuta, ale usłyszałem tylko, że już nikogo po KULu nie przyjmą, a już na pewno nie Wojtowicza. Jednak po jakimś czasie pan dyrektor Władysław Czajewski mnie zatrudnił. Pracowałem tam bez przerwy od 1 maja 1980 roku do 23 lutego 2023, czyli w sumie w Muzeum-Zamek w Łańcucie przepracowałem 42 lata 8 miesięcy, z czego 32 lata i 2 miesiące byłem dyrektorem – starszym kustoszem tego wspaniałego zespołu zabytkowego – to piękny wynik. W 1980 roku byłem współzałożycielem Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność w Muzeum. Zostałem wybrany na zastępcę przewodniczącego Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Solidarność w Łańcucie. Szefem został ogromnie zasłużony związkowiec Stanisław Olech z łańcuckiej fabryki śrub. W Muzeum pracowałem wówczas w Dziale Artystyczno-Historycznym i zajmowałem się między innymi opisywaniem mebli. Wkrótce ogłoszony został Stan Wojenny, 13 grudnia 1981 roku...

MK: Właśnie, ten czas dzisiaj powoli jest zapominany. Opowiedz, jak go przeżywałeś, tutaj, w Łańcucie?

WW: No cóż, zapanował wszechobecny i wszechogarniający smutek i zaczęło nas nękać pytanie jak to jest możliwe? Jak długo to potrwa? Spotkałem szereg świetnych nieulekłych Polaków, którzy także nie zgadzali się z tą rzeczywistością w jakiej przyszło nam żyć.... Od początku 1982 roku utrzymywałem ścisłe kontakty z podziemnymi strukturami Solidarności w Łańcucie (której sam byłem członkiem) i w Soninie. W naszym środowisku najbardziej aktywnymi byli: Stanisław Olech, Wit Tybulczuk, Grażyna Kunysz, śp. Józefa Henzel, śp. Maria Miller, Janusz Trybus i wielu innych. Dr Wit Tybulczuk wspólnie z żoną prowadzili na probostwie aptekę i dystrybucję darów otrzymywanych z zewnątrz. Odznaczyli się niezwykłym poświęceniem i to co wówczas we dwójkę przede wszystkim w tej aptece czynili, to wielka rzecz i nie zostanie zapomniana. W Soninie takimi aktywnymi działaczami było małżeństwo Maria i Stanisław Krzywonosowie, ks. Henryk Borcz, Wojciech Borcz i wielu innych. Wszyscy skupieni byli wokół znakomitego śp. ks. Jana Jakubowskiego, świetnego organizatora i działacza społecznego, który pomógł wielu ukrywającym się działaczom podziemnej Solidarności. Utrzymywałem także kontakty z RKW (Regionalną Komisją Wykonawczą Solidarności) w Rzeszowie poprzez niestrudzoną Basię Marczuk, która wówczas pracowała w Łańcucie i często się spotykaliśmy. Za pośrednictwem Maryny Grad docierała do mnie prasa z Wrocławia. Gazetki i ulotki z terenów Wrocławia i Krakowa otrzymywałem od śp. Barbary Tondos i jej męża Jerzego Tura, znakomitych historyków sztuki i świetnych w tamtym ciężkim okresie kolporterów.

Z tamtych czasów zachowało się niewiele pamiątek osobistych, kilka plakatów i szablon – matryca ulotki drukowanej przed wyborami o wymiarach przeciętnej książeczki do modlenia. Razem z moją śp. mamą przed wyborami w 1989 r. wydrukowaliśmy i przygotowaliśmy do kolportażu około 10 000 sztuk ulotek. Korzystałem wówczas z zachowanych matryc białkowych i ręcznie wykonanej z tektury kopioramki, farbę otrzymałem od Mieczysława Piłata. Ponad połowę nakładu

przekazałem śp. księdzu prałatowi Władysławowi Kenarowi do dystrybucji na terenie kościoła nie tylko łańcuckiego. Mam nadzieję, że razem z mamą również dobrze przyczyniliśmy się do tych wyborów. Na zlecenie Staszka Olecha, a także innych osób wykonywałem razem ze śp. mamą transparenty pisane solidarycą, z którymi pielgrzymki udawały się do Częstochowy, oczywiście aby się przypomnieć, że Solidarność nadal żyje. Do Muzeum-Zamek w Łańcucie przekazałem szczęśliwie zachowany baner dotyczący wyborów, który był rozwieszany na ogrodzeniu sądu w Łańcucie, vis a vis punktu głosowania zlokalizowanego w dawnej sali gimnastycznej ówczesnego II Liceum Ogólnokształcącego przy ul. Grunwaldzkiej. Drugi baner zawiozłem do IPN-u w Rzeszowie.

MK: I dalej pracowałeś w Muzeum?

WW: Tak, po 10 latach pracy, w dniu 1 grudnia 1991 roku zostałem powołany na stanowisko dyrektora naczelnego Muzeum-Zamek w Łańcucie. Dla mnie praca w tym wspaniałym Muzeum, na stanowisku dyrektora była wielkim wyzwaniem i zobowiązaniem, nie miałem bowiem żadnych wcześniejszych doświadczeń w zarządzaniu zasobami czy ludźmi. Jako historyk sztuki pracujący w tym muzeum przed objęciem funkcji, od 10 lat wiedziałem co powinno zostać jak najszybciej naprawione czy zmienione. Po objęciu stanowiska z każdym dniem odnajdowałem nowe problemy lub one mnie znalazły, a były i takie, o których istnieniu zupełnie przedtem nie miałem pojęcia. Niestety środków na ich rozwiązanie nie było prawie wcale. Trzeba było dobrze się zastanowić co należy uczynić w pierwszym rządzie, a co może jeszcze poczekać. Ot, takie nieustanne oglądanie każdej złotówki ze wszystkich stron. Zamek na swoją markę pracował przez długie, długie lata. Wydawał na to ogromne kwoty z własnych środków oraz pozyskane z trudem dzięki własnym pracownikom i czasochłonnym zabiegom z różnych źródeł.

Muzeum – Zamek w Łańcucie bez wątpienia jest obecnie tak zwanym "Top Place". Musi się szanować i postępować rozważnie, tak jak inne porównywalne z nim muzea, których jest bardzo mało w Polsce. Mam na myśli Zamek Królewski w Warszawie, Zamek Królewski w Krakowie, Muzeum Pałac króla Jana III Sobieskiego w Wilanowie czy też Muzeum Zamkowe w Pszczynie. To na tych muzeach należy się wzorować, z ich doświadczenia i dorobku korzystać. W okresie, w którym miałem honor i zaszczyt kierować tym niezwykłym zabytkowym zespołem rezydencjalnym udało się bardzo wiele dokonać. Muzeum – Zamek w Łańcucie zostało najpierw wpisane na listę Muzeów Rejestrowanych, a później na bardzo prestiżową listę Pomników Historii, którą prowadzi prezydent RP. Tylko w okresie od 2008 roku, kiedy pojawiła się możliwość aplikowania o środki unijne, aż do końca 2022 roku Muzeum – Zamek w Łańcucie wydało na zadania remontowo-konserwatorskie około 35,5 miliona złotych, a na zadania inwestycyjne około 118,5 miliona złotych. To znaczy, że w tym okresie wydatkowano łącznie na te działania prawie 160 milionów złotych. To naprawdę bardzo dużo.

Najważniejsze dla mnie było doprowadzenie Muzeum do jak najlepszego stanu, aby przekazując je osobie, która po mnie przyjdzie było nie tylko w bardzo dobrej kondycji, ale nawet w znacznie lepszej niż je otrzymałem. I tak się stało. Czas na Julin – dokumentację z pozwoleniami pozostawiłem. Cieszę się, że Zamek i prace wykonane w całym zespole rezydencjalnym

zostały bardzo dobrze ocenione przez specjalistów. Jednym z dowodów uznania jest przyznanie w 2019 roku Muzeum – Zamek w Łańcucie najwyższego odznaczenia resortowego – Złotego Medalu „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”. W 2021 Muzeum zostało laureatem konkursu organizowanego przez Ministerstwo i Generalnego Konserwatora Zabytków i otrzymało tytuł Zabytek Zadbany w specjalnej kategorii za właściwe użytkowanie i stałą opiekę nad zabytkiem trwającą co najmniej od 10 lat przed zgłoszeniem Muzeum do tego konkursu. Wykonanie wszystkich tych prac nie byłoby możliwe bez pełnego zaangażowania nad ich przebiegiem i nadzorowaniem poszczególnych zespołów przez Grażynę Ulmę, która była moim zastępcą oraz rozliczaniem tych ogromnych wielomilionowych kwot przez Martę Kwolek – Kuca i Marzenę Machniak, pełniących w kolejnych latach funkcję głównej księgowej w Muzeum.

Zamek w Łańcucie to także historia kilkudziesięciu lat Festiwali Muzycznych, których twórcą jest Filharmonia Podkarpacka w Rzeszowie oraz 50 lat Muzycznych Kursów dla młodzieży organizowanych przez środowiska warszawskie. Łańcut jest też miejscem spotkań politycznych. Muzeum-Zamek w Łańcucie w okresie sprawowania przeze mnie funkcji dyrektora odwiedziło łącznie 17 aktualnie urzędujących prezydentów różnych państw europejskich oraz dwóch będących już wtedy byłymi szefami tych krajów. Tutaj miały miejsce także spotkania z premierem RP, wizyty ambasadorów różnych państw, ludzi biznesu oraz czołowych przedstawicieli kultury i sztuki z całego świata. Przygotowania zamku do każdej wizyty a szczególnie o charakterze państwowym były dla nas świetnymi lekcjami z protokołu dyplomatycznego i etykiety. Po każdej takiej „akcji” posiadaliśmy większą wiedzę i lepsze umiejętności do jakże bardzo ważnego jak najlepszego przygotowania obiektu do tych przecież bardzo ważnych i znaczących wizyt oraz wydarzeń.

Tutaj odbyło się także wydarzenie bardzo istotne dla Zamku, czyli podpisanie deklaracji o utworzeniu Via Carpatii. I stąd moje pomysły, aby tym się bliżej i lepiej zainteresować. Rzuciłem nieśmiało propozycje, aby Julin, odległy 28 km od Łańcuta, stał się miejscem bardzo ważnym na mapie przebiegu Via Carpatii przez Polskę, aby był taką „Krzyżową Wschodu”. Nie znaleźliśmy jednak poparcia i pozostaliśmy przy pierwotnej koncepcji, czyli Muzeum Łowiectwa i Kultury Leśnej. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby wrócić do tej myśli. Pan Prezydent Lech Kaczyński z ministrami infrastruktury podpisał tutaj umowę o Via Carpatii w 2006 roku. Rozmawiałem później z panem ministrem Piotrem Glińskim, żeby tu zrobić spotkanie Ministrów Kultury państw, przez które przebiega Via Carpatia, aby można było rozpocząć wspólnie przygotowania do współpracy pod kątem Kultury i Ochrony Dziedzictwa kulturowego tej części Europy. Ta inicjatywa wydawała mi się bardzo sensowna, ale dzisiaj to już wyzwanie na przyszłość.

MK: W książeczce „Europa Karpat – Karpacz 2020”, piszesz, że „Via Carpatia to nowy szlak o wspólnych korzeniach kulturowych i historycznych, które przez lata pozostawały w strefie wpływów ZSRR, i który powinien umacniać regionalną różnorodność dziedzictwa kulturowego (...) Jego celem powinno być promowanie kultury i sztuki państw tej części Europy. Pod tytułem „ABC Trimarium” (...) ...można by rozszerzyć współpracę wzdłuż tej drogi Dziedzictwa włączając np. uniwersytety, filharmonie, teatry...” i tak dalej. Dalej proponujesz inne formy: cykliczne spotkania w szerokim pasie drogi o promieniu 100 km.

Andrzej podobnie opisuje ten obszar kreśląc Crimson Road – drogę-szlak Karmazynowy turystyczny wyznaczany przez zabytki. Jest to propozycja optymalna, wręcz całego programu.

WW: Via Carpatia, która przebiega na kresach Unii i łączy północ z południem, coraz bardziej staje się realna jako całość założenia, bo nie powinny nią jeździć tylko kontenery ze śrubami, z żywnością czy z meblami. Powinna być także drogą turystyki kulturowej, wymiany pomiędzy państwami Trójmorza i ważną na tym polu. Stąd też był pomysł owych 100 km (może być ich mniej): otóż w zamierzeniu zjeżdżamy z autostrady, coś zwiedzamy, wracamy na nią i kontynuujemy swoją dalszą podróż. Chodzi o zagęszczenie różnorodności ofert. Powinien być przy tym opracowany bardzo precyzyjny kalendarz tego, co się dzieje w tym obszarze, wynegocjowany z różnymi państwami i miejscami, żeby nie wszystko odbywało się tego samego dnia czy w tym samym nawet w tygodniu, oczywiście musiałyby być to imprezy cykliczne, które mogłyby ściągać turystów.

Ale patrząc w przyszłość, to ważniejsze od turystów są uniwersytety i pisząc o nich myślałem, żeby nawiązały one ze sobą współpracę, gdzie prowadzone byłyby badania dotyczące etnografii, historii, kultury, języka itp. Trójmorza. Nie jesteśmy wszyscy ogromnie ze sobą zaprzyjaźnieni, trzeba będzie dużej umiejętności poruszania się w tym obszarze, wielkiej dyplomacji. Najlepiej byłoby, gdyby przewodnictwo było cykliczne, żeby nikogo nie urazić, czyli tak jak w Unii – jesteśmy pół roku i potem przewodniczy ktoś inny. To chyba byłoby najbezpieczniejsze. Jestem przekonany, że to otworzyłyby możliwości konkurencyjności wobec Europy Zachodniej: postawmy na państwa narodowe otwarte dla gości.

MK: Czy moglibyśmy wskazać pewne cechy wspólne dla krajów Europy Środkowej i ich mieszkańców, które uzasadniałyby potrzebę współpracy?

WW: Na pewno byliśmy zniewoleni przez tego samego wroga. Mamy więc wspólny interes, żeby nie dopuścić do powtórki. Mamy doświadczenia, nieraz nader bolesne. Różnie w tych krajach się dzieje, ale powinniśmy dążyć, żeby z czasem wszystko dobrze funkcjonowało. To nasz wielki interes! Nasze narody rozwijały swoją kulturę w oparciu o chrześcijaństwo i trwa to nadal w stopniu dużo większym niż na zachodzie.

MK: W latach 90. Milan Kundera scharakteryzował Europę Środkową jako maksimum różnorodności na minimum terytorium, w odróżnieniu od Rosji i Niemiec. Z doświadczeń wynikających ze spotkań Europy Karpat powtarzają się takie wspólne cechy: doświadczenie sowieckiej dominacji w XX wieku, konieczność rozwoju komunikacji, potrzeba umocnienia odzyskanych wolności, świadomość solidarnościowej współpracy, która zastąpiłaby wojny pokoleniowe z sąsiadami...

WW: Mamy do czynienia z utworzeniem tutaj strefy buforowej, to pomysł Stalina, który ściągał tutaj zwaśnione ludy i nastąpiło przemieszanie w tej części Europy. Trudno więc będzie coś stabilnego bardzo szybko budować, bo te właśnie są wielopokoleniowe. Ale musimy zrobić wszyst-

ko, żeby remontować nasze stosunki międzypaństwowe.

AM: *Mnie kłania się doświadczenie biznesowe, chociaż nigdy biznesmenem nie byłem, ale prowadziłem stronę przedsiębiorstwa prywatnego we Włocławku „Maxtfade” oni mieli hurtownię w Szanghaju. I ja prowadząc ich stronę napisałem ponad 260 artykułów o Chinach, również kilka postów o Jedwabnym Szlaku. Wartość tych obu szlaków jest duża, poprzez wymianę kulturową, handel, turystykę, podróże, poznawanie świata. Patrząc na jedwabny szlak, mapy, sieci w internecie, to co z tego wynika? Oni na tym jedwabnym szlaku zrobili historię tego szlaku, który sam w sobie jest opowieścią. I gdyby udało się zrobić to z Via Carpatia, to byłoby idealnie.*

MK: **Opowiadać o zabytkach, parkach narodowych, ogrodach, pięknych krajobrazach, różnych ludziach. Andrzej, zwróciłeś niedawno uwagę, że jedyne miejsca na tej trasie, gdzie zachowany jest renesans, są w Polsce: Lublin, Zamość, Jarosław, Przemyśl i manierystyczny Krasieczyn.**

WW: Znakomity przykład działalności włoskich muratorów. A kilka lat temu próbę współpracy teatrów państw Trójmorza przeprowadził Teatr Rzeszowski organizując festiwal pod nazwą Transmisje – taka wspólnota teatralna Węgrów, Czechów, Litwinów i Polaków. Dobry początek. Uniwersytety mogą prowadzić te badania uprofilowane na Trójmorze, pokazywać, że jesteśmy też silnym organizmem, który jest nadal tym przedmurzem.

AM: *Tutaj mocny jak się wydaje punkt, to Gardzienice Włodka Staniewskiego, oni robili teatr nawiązujący bezpośrednio do sztuki greckiej trójjedyniej chorei, więc element dialogowy Polska i Grecja jest oczywisty. W Lublinie Beata Michałkiewicz organizuje spotkania teatralne pod nazwą „Źródła dźwięku”, przyjeżdżają znakomite teatry, także Bałtów. Jest wiele rzeczy robionych, więcej niż nam się wydaje, więc należałoby właśnie opracować jakiś katalog wspólnych wydarzeń. Trzymałbym się ściśle trasy wzdłuż Via Carpatia.*

MK: **Wit, kończysz swój tekst w Europie Karpat takim akapitem: „Czym zatem ma być VIA HAEREDITATIS TRIMARIUM? Przede wszystkim dla państw Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej winna być obroną przed obcą pogardą i własnym zwątpieniem...”**

WW: *Genialne słowa prof. Władysława Konopczyńskiego. Gdy nami gardzą, poniżają i karcą nas bez żadnego logicznego uzasadnienia, to my najczęściej wbijamy wzrok w ziemię jak te potulne barany i wątpimy w Polskę i w siebie. Brońmy się przed własnym zwątpieniem i przed pogardą innych! Czas najwyższy! Nie przegapmy tej szansy!*



Wit Wojtowicz, Andrzej Mazur, Marek Kuchciński



Baner wykonany przez Wita K. Wojtowicza przed wyborami w roku 1989



Spotkanie po latach: Wit Wojtowicz i powielacz ZUZIA-



Spotkanie po latach, 2019 r. Od lewej: Janusz Czarski, Wit Wojtowicz, Ilona Lesik-Stepek, Andrzej Mazur, Karolina Bogusz, Irena „Beata” Michałkiewicz z domu Mirowska, Krzysztof Michałkiewicz, Marek Kuchciński



11 listopada 2024 r., Prezydent RP Andrzej Duda odznacza Wita Wójtowicza Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, za wybitne zasługi w pielęgnowaniu i popularyzowaniu polskiego dziedzictwa kulturowego

TERESA BARANOWSKA



Teresa Baranowska, działaczka Solidarności i opozycji niepodległościowej, ur. 13 VIII 1946 w Bydgoszczy. Absolwentka Uniwersytetu Śląskiego, filologia polska (1970). 1969-1983 nauczycielka jęz. polskiego w Zespole Szkół Handlowych w Katowicach. Od IX 1980 w Prezydium ZR NSZZ SOLIDARNOŚĆ w Katowicach; 1980-1984 w KPN. 12/13 XII 1981 internowana. 1984-1985 hodowała owce w gm. Cisna w Bieszczadach. 1985-1989 w PPN (Polskie Porozumienie Niepodległościowe). W 1987 organizatorka Ruchu Młodzieży Solidarnej, współredaktor podziemnego pisma „Bajtel”. od 1991 dyr. LO im. Adama Mickiewicza w Katowicach, od 2006 na emeryturze, mieszka w gminie Cisna.

Byłam wierna idei niepodległej i demokratycznej Polski

W listopadzie 81 roku do mego mieszkania w 15-piętrowym bloku odprowadził mnie jeden z kolegów. Wjechaliśmy windą na moje 8-me piętro i pożegnaliśmy się. Nagle z klatki schodowej wyszedł jakiś młodzieniec w adidasach i rzucił się w moim kierunku. Drzwi windy jeszcze nie zdążyły zamknąć się za moim kolegą, który ujrzawszy co się dzieje, wyskoczył i przegonił młodego. Byłam pewna, że ów napastnik chciał mnie pobić, bo wcześniej dwukrotnie – najpierw w Katowicach, a później w Bieszczadach – doszło do takich prób, na szczęście nieudanych.

12 grudnia tegoż roku już przeczuwaliśmy, że coś się będzie działo, ale nie wiedzieliśmy co. Po ulicach Katowic jeździło dużo „bud” milicyjnych. Jako członkini prezydium Zarządu Regionu

Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ „Solidarność”, byłam akurat na naradzie w Zarządzie. A że doku-
 czało mi zapalenie oskrzeli, więc o 22-giej pożegnałam się z kolegami, aby u siebie wziąć lekar-
 stwa i spakować się. Koledzy nalegali bowiem, abym wyprowadziła się z własnego mieszkania
 i przeniosła do przygotowanego przez nich na wypadek, gdyby esbecy chcieli mnie aresztować.
 Sądziłam bowiem, że będą chcieli aresztować akurat mnie, bo tajniacy chodzili za mną już
 od połowy listopada, a jeszcze pod koniec października otrzymałam z Warszawy wezwanie na
 przesłuchanie, na które zresztą nie stawiałam się. W okresie „Solidarności” redagowałam pismo
 Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania „Wolność”. Należałam też do Konfederacji Polski
 Niepodległej Leszka Moczulskiego. Zarzucano mi więc działania zmierzające do obalenia ustroju
 PRL przemocą, za co groziła kara od 10 lat więzienia do kary śmierci. Musiałam więc liczyć się
 z możliwością aresztowania w każdej chwili.

W mieszkaniu zaczęłam się pakować, bo koledzy mieli nad ranem po mnie przyjechać. Było już
 po 23-ciej gdy odezwał się dzwonek do drzwi. Przez wizjer ujrzałam barczystego mężczyznę
 i stojącą obok kobietę w kożusku. Po chwili usłyszałam: „Milicja, proszę otworzyć drzwi!”. Ja na
 to: „Wy bynajmniej nie wyglądacie na milicję, tylko raczej na bandytów”. Tymczasem obok tej
 pary pojawił się funkcjonariusz w mundurze, a barczysty krzyknął: „Proszę nie żartować tylko
 natychmiast otworzyć, bo wyważymy drzwi!”. Odparłam: „Nie otworzę, bo jako milicja wiecie
 przecież, że pomiędzy 22-gą a 6-tą rano nie macie prawa wejść siłą do prywatnego mieszkania,
 jeśli nie znajduje się tam niebezpieczny przestępca posiadający broń zagrażającą innym miesz-
 kańcom.” W odpowiedzi usłyszałam potężne uderzenia. Wkrótce posypał się tynk, drzwi razem
 z futryną wpadły do przedpokoju, a w otworze ukazało się dwóch kolejnych mężczyzn z ogrom-
 nymi młotami i siekierami. Barczysty z tą w kożusku weszli do mieszkania i rozkazali: „Ubieraj
 się!”.

W tym momencie zadzwonił mój telefon, odebrany jednak przez funkcjonariuszkę, która przez
 chwilę słuchała i odpowiedziała: „Tak, wiem”. Ironią tej sytuacji było to, o czym dowiedziałam się
 dużo później, że był to telefon od moich związkowych kolegów, którzy radzili mi natychmiast
 uciekać z mieszkania, bo milicja właśnie szturmuje siedzibę naszego Zarządu przy ulicy Stelma-
 cha. A ponieważ byli błędnie przekonani, że to właśnie ja podniosłam słuchawkę i wymówiłam
 owe dwa słowa – „tak, wiem”, więc długo nie mogli mi darować, dlaczego mimo ich telefoniczne-
 go ostrzeżenia nie opuściłam natychmiast swego mieszkania, tylko dałam się złapać esbekom.

Z komendy MO do Darłówka

Zabrali mnie wtedy do Wojewódzkiej Komendy Milicji, zostawili mnie z kimś w jednym z po-
 mieszczeń, najwyraźniej nie bardzo wiedząc co ze mną zrobić. O trzeciej nad ranem powiedzia-
 no mi, że mam trafić do aresztu. Gdy prowadzili mnie do tego aresztu w sąsiednim budynku, to
 zobaczyłam kilkanaścioro moich solidarnościowych koleżanek i kolegów, których aresztowano
 podczas szturm na budynek Zarządu przy ulicy Stelmacha. Oni zaczęli krzyczeć do mnie: „Te-
 resa, a co ty tu robisz?”. A ja na to: „To samo, co i wy”. Wszyscy byliśmy zdezorientowani, tak
 naprawdę nie wiedząc co się dzieje. A to był już właśnie 13 grudnia.

Bardzo długo trzymali mnie w areszcie, jakieś dwa miesiące. Wszystkie nasze kobiety były już w obozach dla internowanych, a ja wciąż w areszcie. Dokuczano mi tu chyba wszystkimi możliwymi do otrzymania karami. Na przykład, pozbawiono mnie prawa do otrzymywania wrzątku, podczas gdy inne osoby osadzone w areszcie dostawały wrzątek raz dziennie. Śmiałam się, że właściwie po co mi ten wrzątek, skoro nie ma tu ani herbaty, ani kawy. No bo jedną z innych moich kar był zakaz otrzymywania paczek.

Po interwencji naszego księdza biskupa Herberta Bednorza oraz Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, wreszcie przewieziono mnie do obozu internowania w Darłówku. Tam byłam jednak tylko dwa tygodnie, bo przez moje szczere i dosadne komentowanie przestępczych działań esbecji, podpadłam komendantowi. Wykrzykiwał więc do mnie, że wywiozą mnie stąd najbliższym transportem. No i faktycznie wywieźli. Doszło bowiem do wymiany internowanych kobiet. Część kobiet z innych obozów internowania, m.in. Halinę Mikołajską i Gajkę Kuroń, przywieziono do Darłówka, a nas, 8 czy 10 dziewczyn ze Śląska, przeniesiono do Gołdapi.

W Gołdapi było lepiej

Jak się okazało, w istocie polepszone nam warunki bytowe. Na przykład mogłyśmy się poruszać po całym piętrze tego dawnego domu wczasowego Polskiego Radia i Telewizji. Na parterze była esbecja i na dół nie wolno było schodzić, natomiast cała góra była otwarta dla nas. W dwuosobowych pokojach dostawiono leżanki i umieszczono po cztery kobiety. Początkowo mieszkalam z dziewczynami z Torunia. To był chyba początek marca, gdy Anna Walentynowicz przybiegła do mnie z informacją, że dwie dziewczyny z mojego pokoju wychodzą na wolność, i spytała czy mogą się z Aliną Pienkowską do mnie wprowadzić, bo nie miały zaufania do swoich współmieszkanek. Było to dla mnie bardzo miłe, bo z Anną przyjaźniłyśmy się. Pamiętam, że gdy nas przywieziono do ośrodka w Gołdapi i czekałyśmy na parterze budynku, to witały nas wcześniej tam osadzone kobiety zebrawszy się na takiej obszernej antresoli. I wówczas Anna Walentynowicz zauważyła mnie i krzyknęła: „Patrzcie dziewczyny, Teresa Baranowska przyjechała”. I na powitanie setka dziewcząt zaśpiewała „Wyrwij murom zęby krat...”. Było to bardzo wzruszające. A dla mnie osobiście także i to, że Anna zbiegła po schodach i serdecznie mnie uściskała, mimo zakazu schodzenia na dół i wbrew klawiszom, którzy usiłowali ją zatrzymać.

Miałam więc tę przyjemność mieszkania w jednym pokoju z tymi wybitnymi osobami: Anną Walentynowicz i Aliną Pienkowską. Dużo opowiadałyśmy sobie. One były zaskoczone, że ja byłam w Konfederacji Polski Niepodległej, a nie w Komitecie Obrony Robotników. One z kolei opowiadały mi jak trafiły do KOR-u, także i o wolnych związkach zawodowych. Tak więc tę prawdę o tym, kto tak naprawdę zakładał wolne związki zawodowe, to ja dobrze znam i wiem, że bynajmniej nie był to Lech Wałęsa.

A w ogóle, to ten okres internowania był oczywiście uciążliwy, jak każde uwięzienie człowieka, ale zarazem na swój sposób pozytywny właśnie poprzez osobiste kontakty z wybitnymi i zasłużonymi działaczkami opozycji antykomunistycznej, a także i poprzez bardzo patriotyczną atmosferę. Urządzałyśmy sobie takie wieczorki, śpiewając patriotyczne pieśni, m.in. z okazji rocznicy

3-go maja. Co jakiś czas były tzw. wypustki, ale nas ze Śląska trzymano tam dość długo, bo do połowy lipca.

Po wyjściu z internowania

Wypuszczono mnie 15-go lub 17-go lipca, natomiast Anię Walentynowicz i Alinę Pienkowską zwolniono 22 i 23 lipca. W przeciwieństwie do nich, ja nie dostałam jednak formalnego zwolnienia z internowania, a tylko przepustkę. Co prawda, po 22-gim lipca chcieli abym przyjechała po formalne zwolnienie z internowania bo była amnestia, ale ja odpisałam żeby przysłali mi je pocztą.

Do pracy w szkole nie wróciłam. Chcieli mnie zamknąć przed rocznicą sierpnia, ale gdy widziałam, że idą za mną, to wsiadłam do taksówki i pojechałam do centralnej kliniki w Katowicach, gdzie ordynatorem Oddziału Neurologii był mój kolega prof. Grzegorz Opala. Poszłam tam na Izbę Przyjęć, gdzie już czekał kolejny mój znajomy lekarz, Jurek Kurkowski, który zadzwonił do ordynatora, że jestem i zaraz tam przyjdę. Esbecy pod Izbą Przyjęć czekali na mnie, ale mogli już tylko zobaczyć, jak takim przeszklonym korytarzem jestem w szlafroku prowadzona przez pielęgniarkę na Oddział. Najwyraźniej byli bardzo zawiedzeni. Potem zresztą robili wstręty ordynatorowi Oddziału Neurologicznego. Ucierpiał też Jurek Kurkowski, którego przenieśli z Oddziału Neurologii na Izbę Przyjęć, tak aby nie mógł zrobić doktoratu. Esbecja zarzucała, że to jest szpital dla internowanych, i że ja po to leżę na tej neurologii, żeby prowadzić działalność polityczną. Faktycznie udawałam tam chorą, ale nie mogli mi tego udowodnić. Co więcej, spotykałam się w szpitalu z działaczami podziemia antykomunistycznego i załatwiałam nawet mieszkania oraz inne sprawy dla osób ukrywających się. Robiłam to jednak nie na neurologii, tylko dwa piętra niżej, na Oddziale Ginekologii, gdzie akurat pracowała jako lekarz ginekolog moja przyjaciółka Hania Wiejowa. Esbecja próbowała wprawdzie śledzić mnie w szpitalu poprzez przywiezienie chorej po udarze swojej funkcjonariuszki z Kliniki MSW do mojej sali na Oddziale Neurologii. Szybko zorientowałam się jednak w czym rzecz i zachowywałam ostrożność. W przeciwieństwie do mnie ona z trudem poruszała się, a ja mogłam wychodzić z oddziału, w tym także np. do ogrodu, bo to był wrzesień. Nie zdziwiło mnie poufne ostrzeżenie od innej pacjentki udarowej, że po moim wyjściu z sali owa chora funkcjonariuszka sprawdzała co mam pod materacem, gdzie akurat chowałam bezdebitowe wydawnictwa. Mierny rezultat jej działań zapewne spowodował późniejsze przysłanie do leczenia na Oddziale Neurologii pewnego mężczyzny, który – jak się później okazało – był pracownikiem SB i tylko udawał chorego. Po okresie leczenia na Oddziale Neurologii, a była to już jesień, po raz pierwszy w życiu dostałam skierowanie do sanatorium. Potem przez parę miesięcy byłam na zwolnieniu lekarskim.

Dyscyplinarne wyrzucenie ze szkoły

W 83 roku chciałam wrócić do pracy jako nauczycielka języka polskiego w Zespole Szkół Handlowych w Katowicach. Niestety, władze udaremniły to wytaczając przeciwko mnie postępowanie i dyscyplinarne zwalniając mnie z pracy z zakazem dalszego wykonywania zawodu nauczyciela. Argumentów w tym postępowaniu dostarczyła władzom jedna z polonistek. Zarzucała mi, że

w okresie mojej pracy pedagogicznej uchylałam się od uczestniczenia w akademiach z okazji rewolucji październikowej, publicznie krytykowałam i odrzucałam pojęcie „moralności socjalistycznej”, a także organizowałam rocznicowe uroczystości katyńskie, w trakcie których „powielałam antyradziecką propagandę hitlerowską o Katyniu”. Nawiasem mówiąc, tę prawdę o wymordowaniu tam tysięcy polskich oficerów właśnie przez Sowietów wyniosłam z domu rodzinnego. Wprawdzie urodziłam się w 46-tym roku w Bydgoszczy, ale jako dziecko repatriantów z Kresów wschodnich, którzy dobrze znali prawdę o Związku Sowieckim i sowieckich komunistach.

Działalność w podziemiu

Cały czas działałam jednak w podziemiu antyreżimowym. Załatwiałam mieszkania dla ukrywających się działaczy. Organizowałam pomoc dla osób represjonowanych i ich rodzin. Współorganizowałam Msze za Ojczyznę w katedrze Chrystusa Króla w Katowicach, a także uczestniczyłam we wszystkich mszach organizowanych przez ks. Jerzego Popiełuszkę w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu. Byłam też w stałym kontakcie z Anną Walentynowicz i Aliną Pienkowską. Kontaktowałam ludzi, załatwiając nieraz przewiezienie kogoś np. z lubelskiego na Śląsk, bo zawsze łatwiej było ukrywać się przed esbecją w dużych miastach. Na przykład, jeden z moich kolegów ukrywał się w Katowicach na Osiedlu Tysiąclecia akurat w bloku milicyjnym zgodnie z popularnym powiedzeniem, że „pod latarnią najciemniej”. Innemu koledze z Prezydium Zarządu Regionu „Solidarności” z Huty Katowice, Jasiowi Górnemu, który był poszukiwany listem gończym, załatwiłam możliwość ukrywania się w jednym z mieszkań naprzeciwko tego bloku milicyjnego.

Pamiętam, że w listopadzie 82 roku było wezwanie do ogólnopolskiego strajku, a mnie zwykle z jakiegokolwiek okazji esbecja zamykała na 24 lub 48 godzin. Po prostu przychodzili i oznajmiali: „Pani Tereso, musimy zabrać Panią do przechowalni”. Cóż było robić? Wówczas brałam tylko jakąś książkę do czytania. Tym razem ukryłam się u znajomych w tym moim 15-piętrowym bloku, a tymczasem strajk okazał się nieudany. Zastrajkowały tylko jakieś zakłady futrzarskie w Nowym Sączu i jeszcze gdzieś tam kilka innych. Jednak esbecja wkrótce zemściła się na mnie za to, że nie dałam się zamknąć. Wkrótce w wielu miejscach w Katowicach rozwiesili klepsydry informujące o mojej śmierci i pogrzebie „w Cisnej koło Ustrzyk”. Najwyraźniej nie bardzo wiedzieli gdzie ta Cisna dokładnie znajduje się, a tym bardziej nie wiedzieli, że moje górskie gospodarstwo po zmarłym bracie znajduje się w bieszczadzkiej wiosce Strzebowisko. Jakież było zdziwienie jednego z moich znajomych, który rankiem tego dnia spotkał mnie ukrywającą się u moich kolegów w naszym bloku. –Teresa, nie wierzę swoim oczom. To ty jednak żyjesz! – krzyknął ściskając mnie.

W pierwszym momencie zdenerwowałam się i nawet zwymyślałam go, zanim zdołał mi powiedzieć o tych klepsydrach. Rozwieszane były na naszym bloku i w całym mieście, nawet na pałacu biskupim i na Izbie Przyjęć katowickiego szpitala, gdzie im kiedyś umknęłam. Jurek Kurkowski opowiadał mi później, że z tą klepsydrą z Izby Przyjęć pobiegł na górę do profesora Opali wołając: -Słuchaj, straszna wiadomość, Teresa nie żyje! Ordynator spokojnie przeczytał klepsydrę i powiedział: -To musi być jakaś „ściema”, zapewne prowokacja ubecka. Przecież jeszcze dwa dni

temu widziałem się z Teresą i była jak zwykle radosna i pełna energii. Żebyśmy tylko nie mieli kłopotów przez to twoje zerwanie klepsydry. Natychmiast powieś ją tam gdzie była. Wrócił więc Jurek na Izbę Przyjęć, gdzie z niemałym zdziwieniem zauważył, że na miejscu zerwanej przez niego klepsydry wisiała już nowa.

Nie wszystkie osoby działające w antyreżimowym podziemiu były dostatecznie odporne psychicznie. Jedną z moich koleżanek, Irena, z którą współdziałałam w podziemiu, została już po stanie wojennym zatrzymana wraz z 15-letnim synem przez SB na 48 godzin. Tam esbecy zagrozili jej, że jeśli nie pójdzie z nimi na współpracę, to tak stłuką nerki synowi, że zrobią z niego kalekę. Przerazona podpisała więc współpracę i od razu otrzymała polecenie donoszenia na mnie do SB, tak aby doprowadzić do aresztowania. Gdy tylko ją wypuszczono, to od razu przyszła do mnie, opowiedziała mi to wszystko i ostrzegła, abym unikała kontaktu z nią. Oczywiście, nie miałam do niej żalu, tylko współczułam i podziękowałam za tę szczerość. Powiedziałam jej aby rozgłaszała wśród znajomych, że musiała podpisać współpracę, to wówczas esbecy się od niej odcepiają.

Gospodarstwo rolne w Bieszczadach

Pyta pan o moje bieszczadzkie gospodarstwo w Strzebowisku. Otóż mój brat przyjechał w Bieszczady w 68 roku. Rok później po raz pierwszy go tu odwiedziłam i od razu zakochałam się w tym dzikim, górskim krajobrazie. W roku 70-tym on zakupił tu gospodarstwo rolne i zajął się hodowlą owiec. Od tamtej pory każdą wolną chwilę starałam się tu spędzać. Po śmierci brata w roku 79-tym niejako przejęłam gospodarstwo. Mieliśmy tu pracownika, no i mama przyjechała aby pomóc mi w prowadzeniu gospodarstwa. Na dłużej trafiłam tu w latach 84-85. Razem z partnerem prowadziliśmy hodowlę owiec. Nie był to dla mnie łatwy okres, gdyż komendant milicji w Cisnej często pod byle pretekstem zamykał mnie w areszcie na 24 lub 48 godzin. Podczas jednego z tych zatrzymań, esbecy skopowali znajdujące się w torebce klucze od mego katowickiego mieszkania. W rezultacie po powrocie do Katowic zastałam mieszkanie splądrowane mimo braku wszelkich oznak włamania. Najwyraźniej czegoś szukano. Zniknął wówczas m.in. aparat fotograficzny, radiomagnetofon, wszystkie kasety z nagraniami, a nawet książki. Zwróciłam się do PZU o odszkodowanie i oczywiście na pytanie kogo podejrzewam, odpowiedziałam że Służbę Bezpieczeństwa. Niestety, odszkodowania nie odszkodowania nie dostałam.

Z hodowlą owiec nie wychodziło dość dobrze. W końcu zlikwidowałam hodowlę i wróciłam do Katowic, zresztą aby urodzić tam córkę Julię z tego związku z partnerem. Gdy tylko córka trochę podrosła, to dzieliłam cały swój czas pomiędzy Śląsk i Bieszczady. Podczas pobytu w Katowicach nie zaniedbywałam podziemnej działalności patriotycznej. Zajmowałam się m.in. kolportażem wydawnictw tzw. „drugiego obiegu” i zamieszcza swoje artykuły oraz informacje w różnych podziemnych periodykach. Udzielałam się też w antyreżimowym ruchu politycznym. Kiedyś zorganizowałam w Bieszczadach duże spotkanie działaczy KPN. Wyruszając z różnych miejscowości wszyscy spotkaliśmy się pod połoniną Wetlińską, z którego to spotkania jeden z naszych kolegów – jak się później okazało „TW” – zdał dokładną relację Służbie Bezpieczeństwa. Gdy w ramach Konfederacji Polski Niepodległej nie mogliśmy się dogadać z Leszkiem Moczulskim,

to doszło do rozłamu. Od 1984 roku działaliśmy już jako Polska Partia Niepodległościowa, której szefem był Romek Szeremietiew, z którym wcześniej, właśnie jako PPN, weszliśmy do Konfederacji. Wyszedł wówczas z KPN-u Romuald Szeremietiew, Tadeusz Stański, Tadeusz Jendziszak, ja wyszłam i dużo jeszcze innych osób. W 87-ym roku uczestniczyłam w zakładaniu klubów ruchu młodzieżowego „Solidarność i Młodzi” oraz byłam w redakcji młodzieżowego pisma „Bajtel” wydawanego zresztą na maszynie offsetowej. Byłam pomocna w tym przedsięwzięciu bo uczyłam wcześniej w szkole, znałam osobiście sporo młodzieży oraz nauczycieli i wiedziałam do kogo z tą ideą dotrzeć. To wprawdzie działo się na Śląsku, ale miało rozgłos ogólnopolski. Z różnych stron Polski docierały do mnie sygnały, że dociera tam ten nasz „Bajtel”.

Przełom 89-go roku

No i nadszedł rok 89-ty, sfinalizowanie układów Okrągłego Stołu, zwycięstwo w częściowo wolnych wyborach 4 czerwca, kontraktowy Sejm, solidarnościowy premier i potem komunistyczny prezydent. Mnie się to jednak nie podobało. Nawet proponowano mi abym brała udział w wyborach czerwcowych do Sejmu pod patronatem przewodniczącego NSZZ „Solidarność”, ale nie chciałam zdjęcia z Wałęsą i perspektywy wejścia do Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Już wtedy miałam bardzo złą opinię o Wałęsie. Bliski kontakt z Anną Walentynowicz i Aliną Pienkowską w ośrodku internowania w Gołdapi zrobił swoje. Zrozumiałam, że on nie miał nic wspólnego z tworzeniem od podstaw wolnych związków zawodowych. On dołączył do nich rok później, czyli udało mu się po prostu skorzystać z rezultatów działalności takich osób jak np. Krzysiek Wysocki, Andrzej Gwiazda, Antoni Sokołowski czy Kazimierz Świtoń, który jako pierwszy założył wolne związki zawodowe na Śląsku. Innymi słowy, przyszedł jakby na gotowe. Znam też fakty dotyczące tego jego przeskoczenia przez płot do strajkującej Stoczni Gdańskiej.

Niezależnie od tego, skłóciłam się z przewodniczącym Lechem Wałęsą w okresie Zjazdu „Solidarności”. Chciałam wówczas wystąpić w obronie więźniów politycznych, bo działałam też w Komitecie Obrony Więzionych za Przekonania. Przygotowałam więc przemówienie i chciałam wezwać delegatów do przegłosowania stosownej uchwały Zjazdu. Nie zostałam jednak dopuszczona do głosu pomimo wcześniejszych uzgodnień. Moja wypowiedź została wprawdzie wydrukowana w „Gazecie Zjazdowej”, ale w ostatnim dniu, czyli wtedy gdy większość delegatów wyjeżdżała już do domu i o głosowaniu proponowanej przeze mnie uchwały nie było szans. Od tamtej pory Wałęsa był dla mnie skreślony i nawet nie byłam później szczególnie zdziwiona, gdy okazało się, że on był jednak „TW”.

Oczywiście rok 89-ty był dla mnie mimo wszystko szczęśliwy, bo na mocy ustawy sejmowej zostałam przywrócona do pracy w szkole. Proponowano mi wiele szkół w Katowicach, ale ja chciałam wrócić akurat tam, skąd mnie wyrzucono, czyli do Zespołu Szkół Handlowych. Przyjęto mnie serdecznie, ale mogłam też spojrzeć prosto w oczy owej polonistce, która w 83 roku świadczyła przeciwko mnie dostarczając argumentów Bezpiecze i komunistycznym władzom oświatowym do zakazania mi wykonywania zawodu nauczyciela.

Emerytura i Bieszczady

Gdy w 2006-tym roku dotarłam do wieku emerytalnego, to wakacyjne i dorywcze wyjazdy w Bieszczady zamieniłam oczywiście na stały pobyt w swojej bieszczadzkiej posiadłości. Wprawdzie hodowli owiec już nie prowadziłam, ale wciąż pracy było tutaj sporo: kosiłam łąkę, zbierałam siano, zajęłam się rozbudową domu, ale też rzuciłam się w wir gminnej działalności samorządowej. Pamiętam, że w latach 80-tych żyło się mieszkańcom Bieszczadów bardzo ciężko. Wprowadzono wówczas KRUS i właściciel gospodarstwa oprócz podatku musiał opłacać to rolnicze ubezpieczenie, wówczas jeszcze obowiązkowe. Ja pod koniec lat 80-tych pracowałam w Katowicach w tzw. butiku jako ekspedientka, no to musiałam zaciskać pasa i płacić KRUS oraz podatek za swoje bieszczadzkie gospodarstwo. Niektórzy właściciele gospodarstw, nie będąc w stanie opłacić tych powinności, po prostu zrzekli się swojej ziemi, oddając ją na Skarb Państwa. Ja to jakoś przetrzymałam, przetrwałam, trochę ziemi musiałam sprzedać, ale to co zostało ma dzisiaj dużą wartość.

Początek lat 90-tych był prawdziwym nieszczęściem dla mieszkańców Bieszczad. Reforma Balcerowicza nie tylko zlikwidowała wszystkie PGR-y, nawet te dobrze funkcjonujące, ale i pognębiła gospodarzy. Załamała się hodowla bydła i owiec, a rolnictwo tutaj praktycznie nie istniało z powodu górskich warunków glebowych i klimatycznych. Tak więc była bieda i żyło się ciężko. Wielu właścicieli bankrutowało, bo nie było w stanie spłacić kredytów, których wartość rosła niebotycznie. Zdarzało się wówczas dużo samobójstw wśród rolników. Pamiętam, że też musiałam opłacać za zmarłego brata jakieś raty za ziemię i za ciągnik. Na szczęście pomogła mi rodzina i jakoś te kredyty spłaciłam.

Sytuacja ta stopniowo zmieniała się w ostatnich 20 latach. Zaczęła rozwijać się turystyka, która w istocie uratowała Bieszczady. Stały się one modnym miejscem wypoczynku w skali kraju. Coraz więcej chętnych do zakupu działek na pensjonaty czy domki letnie sprawiło, że wartość ziemi Bieszczadach zaczęła rosnąć. Wartość mojej posiadłości także znacznie wzrosła. Zwiększyła się również liczba mieszkańców. Wcześniej mój dom, jakby ostatni w Strzebowisku bo najwyżej położony, miał numer 14-ty. Było więc w tej górskiej wiosce tylko 14 domów, a teraz jest ich 70. Z moją społecznikowską naturą nie wystarczyło mi zajmowanie się tylko domem i gospodarstwem, musiałam zająć się działalnością na rzecz naszej wioski i naszej gminy. No i przez dwie kadencje byłam radną w gminie Cisna, przy czym w ostatniej kadencji byłam wiceprzewodniczącą Rady Gminy i zarazem przewodniczącą Komisji Oświaty, Kultury, Służby Zdrowia i Opieki Społecznej. I nie żałuję tego czasu poświęconego dla gminnej społeczności, bo dało mi to dużo zadowolenia i satysfakcji. Tegoroczne wybory samorządowe już odpuściłam, ale nie do końca przestałam udzielać się społecznie, bo wciąż jestem w Społecznej Radzie ZOZ-u przy szpitalu w Lesku.

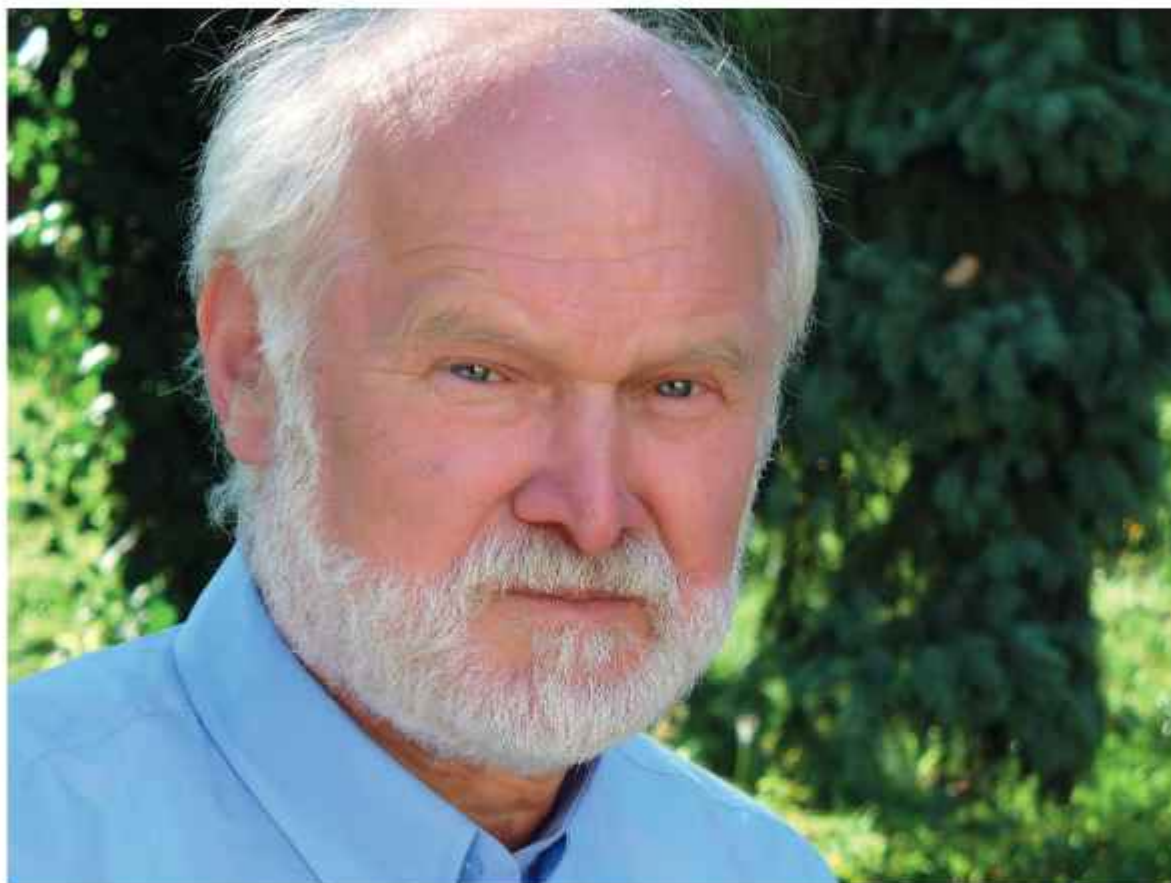
Kończąc te swoje wspomnienia muszę obiektywnie przyznać, że najbardziej dynamiczny, po prostu olbrzymi rozwój Bieszczadów z istotną poprawą warunków życia tutejszych mieszkańców nastąpił w ostatnich latach, za rządów Prawa i Sprawiedliwości. Wcześniej pieniądze z dotacji rządowych może gdzieś tam płynęły, ale bynajmniej nie tutaj do nas, w Bieszczady. Na-

tomiasz doświadczenia z tych ostatnich dwóch kadencji w Samorządzie Gminy Cisna niezbitie dowodzą, jak wiele tu zrobiono, jaki ogromny rozwój infrastrukturalny dokonał się w Bieszczadach. Dzięki wsparciu rządowemu mamy dobre drogi, często z chodnikami dla pieszych. Mamy kanalizacje, przy czym w większych miejscowościach, np. w Cisnej, z uzdatnianiem wody. Kto tylko chciał, to mógł skorzystać z dotacji na zakładanie przydomowych oczyszczalni ścieków, fotowoltaiki, nowoczesnych systemów grzewczych oraz termomodernizacji budynków. Podczas gdy wcześniejszy rząd Platformy Obywatelskiej wspierał głównie największe polskie miasta, to za rządów Zjednoczonej Prawicy naprawdę ogromnie dużo zrobiono dla zwykłych mieszkańców niewielkich wiosek i miast, dla Polski powiatowej i gminnej.

A tak w ogóle, to przez długie lata wiodłam życie jakby bieszczadzkiego kowboja, przemierzającego konno górskie ścieżki i połoniny. Bo Bieszczady – to moja miłość.

(spisał i opracował – K. Jacek Borzęcki)

ISTVÁN KOVÁCS



Rozmowa Redakcji z prof. Istvánem Kovácsem, węgierskim historykiem, poetą, dyplomatą, 23.04.2024 r.

- Redakcja: prosimy o kilka zdań z biografii,

- **István Kovács:** Dr. István Kovács, 77 lat, Budapeszt, żonaty – dwoje dzieci, Salföld – Węgry, historyk, tłumacz literatury, polonista,

- Proszę przedstawić najciekawsze (najważniejsze) wspomnienia z młodości, zainteresowania i pasje?

- Najmocniej przeżywam jesienne wydarzenia 1956 roku na Węgrzech, a także wędrowanie autostopem po Polsce, kiedy to spotykaliśmy się z niesamowitymi przyjacielskimi przyjęciami przez nieznaną ludzi. Uświadomiłem sobie wówczas, że Polacy dbają o pamięć węgierskiego powstania, podczas gdy u Węgrów żyjących w kadarowskim „dobrobycie” opanowała amnezja.

W tamtych latach towarzyszyło nam odzyskiwanie rozszarpanej narodowej świadomości. Te wydarzenia wpłynęły na moją drogę życiową. Pasjonowały mnie także historyczne i kulturalne kontakty polsko-węgierskie, tłumaczenie literatury polskiej, poezja.

- Jakie były Pana początki pracy zawodowej i działalności publicznej?

- Po skończeniu studiów historycznych i polonistycznych, w 1969 r. wydałem antologię poetycką „dziewięciu poetów”. Antologia ta do tej pory miała sześć wznowień. Związane z nią spotkania autorskie na przełomie lat 60-tych i 70-tych stały się zawsze politycznymi dyskusjami, przez które poeci tej antologii zostali przez władzę dyskredytowani. Wygłaszałem wykłady na takie tematy, które były przemilczane na Węgrzech: Powstanie Warszawskie, przyjęcie polskich uchodźców w 1939 roku, bohaterska walka Polaków nie tylko w Polsce okupacyjnej, ale i np. pod Monte Cassino. Ułatwiły tę możliwość polskie filmy, które były bardzo popularne na Węgrzech w latach 1960-tych i 1970-tych, np. „Popiół i diament”, „Kanał”, „Człowiek z marmuru”. Choć trzeba dodać, że „Popiół i diament” – ze względu na treści – był wyświetlony tylko w klubach filmowych, a nie w kinach, a „Człowieka z marmuru” można było oglądać z wielkim opóźnieniem.

- Skąd wzięło się Pańskie zainteresowanie Polską?

- Mając osiem lat otrzymałem książkę – starą i trochę poszarpaną – od mojej babci, noszącą tytuł Chłopcy bohaterscy (Czy młodzi bohaterowie). Była w niej mowa o Wiośnie ludów na Węgrzech. Ja wyciągnąłem wniosek z tej historii walki Węgrów o wolność, że w latach 1848 i 1849 cały świat był przeciwko Węgrom, tylko Polacy walczyli po ich stronie. Do tego przyczyniło jeszcze przeżycie z 1956 roku, kiedy atmosfera na walczących Węgrzech była przesycona, że na Polaków można liczyć.

- Jaka była Polska i Polacy, kiedy trafił Pan do niej po raz pierwszy?

- W 1963 roku po raz pierwszy byłem w Polsce autostopem. I tam na każdym kroku przyjmowano młodych Węgrów jak potomków bohaterów powstania 1956 roku. Było to wzruszające i pouczające dla nas, przestraszonych po strasznych represjach kadarowskich, jak Polacy strzegą pamięć węgierskiego 1956 roku. Poza tym Polska wtedy była dla nas oknem na Zachód.

- Tak, wtedy w Polsce rządził Gomułka i wielu liczyło na rozluźnienie systemu stalinowskiego. A jacy jawimy się dzisiaj? Jesteśmy inni?

Wszyscy jesteśmy już inni... Ta niesamowita solidarność między Polakami i Węgrami była poetycka... Tworzyliśmy sobie wolność pod śniegiem, czyli pod komunistyczną dyktaturą. Teraz jest wolność, nie ma śniegu... Ale za to jakby za dużo było piachu pustynnego, od którego trudniej patrzeć w przyszłość.

- A więc gdyby miał Pan wskazać najważniejsze wydarzenia, które pozostawiły doświad-

czenia z XX wieku, mające wpływ na życie społeczności węgierskiej - lokalnie i w kraju, to było Powstanie?

- Powstanie 1956 roku i proces zmiany ustroju trzydzieści kilka lat później, ale przede wszystkim nadzieje i iluzje, które były związane ze tą zmianą.

- Przełomu lat 80. i 90. ubiegłego wieku, nazywaną jesienią narodów, czyli niespełnione nadzieje? Jak z perspektywy lat ocenia Pan przemiany ustrojowe na Węgrzech, a także w Polsce i w innych państwach Europy Środkowej?

- Dzika prywatyzacja, do której przygotowali się posiadacze wcześniejszej władzy komunistycznej i zachłanne starania zdobycia rynków ze strony zachodnich decydentów politycznych, gospodarczych i bankowych, spowodowały kryzys polityczny, społeczno-psychologiczny, który – jednak wywarł wpływ na negatywną ocenę zmiany ustrojowej w świadomości społecznej. Jeszcze długo w latach 90. Wielu ludzi z sentymentem wspominało, że „za komuny było lepiej”. Po długich latach dało się to opanować jako-takó.

- Czy w ramach działalności opozycyjnej współpracował Pan z osobami czy organizacjami opozycyjnymi?

- Tak, z poszczególnymi osobami. Ruch Węgierskiego Forum Demokratycznego, którego byłem członkiem działał półlegalnie, ale z większym skutkiem i wpływem, niż lewaccy pseudo opozycjoniści (z późniejszego Związku Wolnych Demokratów), którzy przy pierwszej okazji – w 1994 – tworzyli koalicję z byłymi komunistami.

- W tym roku mija 20 lat naszego członkostwa w UE – jakie są plusy i minusy wejścia do UE poszczególnych państw Europy Środkowej. Jaka jest Pana ogólna ocena wejścia do UE?

- W ostatnich dziewięciu latach biurokraci brukselscy starają się coraz bardziej ukształtować przyszłość Europy. Dzisiejsza Europa przez agresywną politykę migracyjną, lgbtowską, antykulturalną, antyświatową i bezwarunkowo wojenną traci te wartości, właściwości, za które byliśmy gotowi na wielkie ofiary... I za które chcieliśmy przyłączyć się do UE. Bo nie tylko sprawa dobrobytu się liczyła. Ostatnie zdanie radiostacji działającej jeszcze po drugiej inwazji radzieckiej, czyli po 4 listopada 1956 roku, brzmiało tak: „umrzemy za Europę”. Ale ci polegli nie taką Europę mieli na myśli, jaka jest dzisiaj.

- A jaka powinna być Unia Europejska: Europa narodów czy Europa federalna?

- Europa narodów!!

- Jaka rolę powinny odgrywać Węgry w tym procesie?

- Za taką Europę, Europę narodów, Węgry walczą od czternastu lat – zdaje się, że czasami osamotnione...

- Jakie są granice, których nie można przekroczyć będąc członkiem UE?

- Znieść arogancję brukselskich biurokratów, którzy chcą nas przymusić do służenia interesom niewiadomo czym...

- Czy wyobraża Pan sobie swój kraj poza strukturami UE?

- Nie. Ale musimy walczyć o taką Europę, której wartości pilnują teraz tylko – jak Milan Kundera słusznie pisał – kraje środkowoeuropejskie.

- Czy jest Pan za przyjęciem EURO czy też należy pozostać przy narodowej walucie?

- Tak. W tym stanie gospodarki, wprowadzenie EURO dałoby możliwość do nowego sposobu wykorzystania, nawet wyzyskiwania krajów świeżo (w 2004 roku) przyjętych.

- Czy w UE powinniśmy trzymać z dużymi krajami starej Unii, czy jeszcze mocniej zaangażować się w tworzenie silnej politycznie i militarnie Europy środkowo-wschodniej?

- Trzeba działać ostrożnie, unikając jawnych stosunków zależności. Ale Środkowo-wschodnia Europa powinna tworzyć osobny region w Europie, mając swoją polityczną i militarną siłę, bo ma własne szczególne doświadczenia i interesy wynikające ze swojej przeszłości, czyli z niewoli radzieckiej. Dzięki takiemu regionowi opancerzonemu doświadczeniami komunizmu, świadomemu pułapek, które trzeba unikać, Europa mogłaby być także mocniejsza.

- Czy słuszna jest nasza polityka zagraniczna utrzymywania bliskich stosunków z USA i Wielką Brytanią, nawet jeżeli wielu krajom UE to się nie podoba?

- Nie. Stany Zjednoczone i Anglia wepchały Polskę w objęcie Stalina, m.in. w Jałcie. A Węgry, przez Głós Ameryki i Wolną Europę i wszelkimi innymi środkami zostały zachęczone przez USA i w mniejszej mierze Anglię do powstania w 1956 roku. Jak powstanie wybuchło, natychmiast uspakajały Moskwę, że Jałta z ich strony jest niedotykalna, a jednocześnie bałamuciły Węgrów, żeby walczyli, bo pomoc dla nich niebawem nadejdzie. Przez to zginęły tysiące ludzi... Więc ostrożnie z zaufaniem do nich. O USA możemy to samo powiedzieć co Palmerston o Anglii 19-to-wiecznej: nie ma przyjaciół, ma tylko interesy.

- Proszę wymienić pięć największych zagrożeń dla Pana kraju?

- Największym zagrożeniem jest, jeśli polityką (zagraniczną i wewnętrzną) kierują uczucia nie do opanowania, a nie rozum dalekowzroczny. Najlepszym przykładem jest wojna atomowa, która wybuchnie, jeśli wojna rosyjsko-ukraińska nie zakończy się uspakajającą wszystkie dotknięte strony kompromisem.

- Ukraina w UE: szanse czy zagrożenia?

- Wystarczy analizować następstwa sytuacji gospodarczo-finansowej, nie tylko rolnej - to już daje odpowiedź.

- A jaka powinna być w najbliższym czasie polska polityka wobec Ukrainy?

- Wzmacniać taką pozycję Ukrainy, którą planował kiedyś Józef Piłsudski. Wielkie mocarstwa miałyby tę izolacyjną (od Rosji) pozycję zagwarantować. Taka polityka, w której Polska jest solidarnym partnerem pod względem gospodarczym mocnej, pod względem moralnym i absolutnie bezkorupcyjnej Ukrainy. Ale Polska musi jednocześnie surowo pilnować własnych interesów i bezkompromisowo szanować swoją historyczną przeszłość, oddając hołd swym męczennikom tej przeszłości. Pod tym względem nie ma miejsca dla kompromisu. Poza tym - co do zaufania... Nie wolno zapominać o tym, że kiedy Polska stoczyła walkę na śmierć i życie z Bolszewikami w lecie 1920 roku, w Londynie pojawili się bolszewicki dyplomaci oferując biznesowe możliwości Anglikom... I to za kilka lat zaowocowało...

- Tak, wtedy wsparcie w postaci dostaw broni otrzymywaliśmy tylko od Węgrów. Ale jak wg Pana wygląda sytuacja Rosji?

- Jak Rosja będzie przyciśnięta do muru, sięgnie po broń atomową. Tego chyba są świadomi decydenci polityki światowej. Albo i nie...?

- A sytuacja Białorusi?

- Białoruś Łukaszenki jest sługusem Rosji. Ale nie wolno o tym zapomnieć, że przed Łukaszenką na Białorusi panowała niesamowita nędza. Gdyby Zachód miał jakąś mądrą wizję postsowieckiego regionu, poparłby rząd Szuszkiewicza pod względem gospodarczym i politycznym. Zaprzepaścił to, a teraz lamentuje z powodu niedemokratycznego Łukaszenki i wpycha go w objęcia Putina.

- Który z polskich rządów po 1989 roku najlepiej Pan wspomina?

- Nie chcę wtrącać w wewnętrzne sprawy Polski. Dla mnie najbardziej sympatyczny był rząd Olszewskiego.

- Jak pamięta Pan śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego?

- Znałem Prezydenta osobiście. Napisałem wiersz na jego śmierć, który ukazał się także po polsku.

- A jak ocenia Pan wybory w RP poszczególnych kadencji?

- Powody zwycięstwa i przegrania ich trzeba przeanalizować, uświadomić i opracować w interesie zwycięstwa następnym wyborów. Zaniedbanie tego spowoduje przegraną. Viktor Orbán będąc w opozycji przez osiem lat dokonał takiej codziennej mozolnej pracy, że jest już od 14-u lat przy władzy. Taka praca jest nie do uniknięcia.

- Jak ocenia Pan rządy tzw. Koalicji 13 Grudnia i podobne w innych państwach?

- Mogę odpowiedzialnie ocenić po roku efekty tego rządu. Ale tęczowe koalicje w większości przypadków powodują stagnację albo erozję kraju. To może grozić Koalicji 13 Grudnia.

- W ostatnich kilkunastu latach współpracujemy w ramach konferencji Europa Karpat. Jak Pan ocenia tę współpracę i jakie ma najważniejsze rekomendacje dalszych działań w kolejnych konferencjach EK: współpraca państw karpaccich, czy całej Europy Środkowej i Wschodniej? Współpraca lokalnych samorządów, środowisk itp. prognozy dla Europy Środkowej, a także wyzwania geopolityczne (UE, Rosja, USA, Chiny)?

- Wszelka współpraca przemyślana na podstawie potrzeb jest korzystna. Ale za najważniejszą uważam współpracę między lokalnymi samorządami, środowiskami, instytucjami, szkołami, itp. Rządy przy dobrej konstelacji gwiazd mogą dużo pomagać, przy złej konstelacji – dużo zaszkodzić. Rosja oderwana od Europy może stać się sojusznikiem Chin. A czym to grozi? Wielki znak zapytania...

- Zbyt mało o sobie wiemy jako społeczeństwa poszczególnych krajów, pomimo otwarcia granic od 20 lat. Czym to jest spowodowane?

- Kraje, społeczeństwa środkowo-europejskie patrzą niezmiennie jak oczarowane na kraje zachodnie. W szkołach podstawowych i średnich nie uczą prawie nic wzajemnie o historii, literaturze, kulturze, językach sąsiadów.

- Jak temu przeciwdziałać? Jak polepszyć politykę informacyjną w regionie?

- Potrzebni są zaangażowani współpracownicy mas-mediów, którzy byliby przedstawicielami nowego, czyli skutecznego typu, środkowo-europejskiej polityki informacyjnej. Mogłaby być taka specjalizacja na uniwersytetach, w szkołach głównych. W naszym regionie trzeba wspierać finansowo takie szkoły, w których uczą języka sąsiednich krajów, krajów V4, czyli Grupy Wyszehradzkiej, albo Trójmorza.

- Czy znane są Panu działania promocyjne w krajach karpaccich na rzecz wykorzystania potencjału turystycznego? Np. MARKA KARPACKA?

- W ostatnich latach są starania o to na Węgrzech. Turystyka do Polski, na Słowację, do Rumuni (na Siedmiogród), na Chorwację ze strony Węgrów jest popularna i coraz bardziej się rozwija.

- A jakie działania można by zaproponować na rzecz promocji tego makroregionu?

- Popularyzowanie, uświadomienie przez wszelkie środki wartości kulturalnych, kulinarnych, krajobrazowych, danego regionu.

- Czy należy wzmocnić współpracę placówek kulturalnych, np. muzeów, samorządowych instytucji kultury? Miasta partnerskie?

- Jak najbardziej. Kontakty partnerskich miejscowości wtedy mają sens, jeśli służą tej międzyludzkiej współpracy. Ja pracując jako konsul generalny w Krakowie pomagałem zawierać współpracę pomiędzy ponad 70 miejscowościami – po dwudziestu latach około pięćdziesięciu w dalszym ciągu działa. Ale to zależy od tego, czy znajdują się zaangażowani przedstawiciele tej współpracy. Brak takiej osoby może powodować dogorywanie współpracy... To jest słabość, którą trzeba by było wyeliminować.

- Był Pan dyplomatą, radcą ds. kultury w ambasadzie węgierskiej w Warszawie i konsulem generalnym Węgier w Krakowie. Jakie refleksje i rekomendacje z tej perspektywy miałby Pan dla rozwoju stosunków polsko-węgierskich i dyplomacji naszych państw?

Warunkiem do rozwoju stosunków jest nie tylko sprzyjająca atmosfera stworzona przez polityków na górze, ale do tego są potrzebni wykształceni młodzi fachowcy, a ich jest katastrofalny brak zarówno na Węgrzech jak i w Polsce. To też można zapisać na konto zaprzepaszczonych przeszłych trzydziestu kilku lat. Więc jest co nadrobić. A żyjemy w czasach, jakby ludzie zapomnieli pracować...

- Jest Pan także poetą, autorem tomików wierszy. Jakie wiersze chciałby Pan zadedykować czytelnikom Europy Karpat, w tym polskim?

Teraz zestawilem tom wierszy w świetnym przekładzie Jerzego Snopka, który wydał kilka lat temu wybór wierszy Sándora Petőfiego i Jánosa Pilinszkyego przez Wydawnictwo Biały Kruk. Mój tom wyboru wierszy nosi tytuł „Spóźniony sen o przyjaźni”. Zawiera on kilka wierszy o „polskiej tematyce”. Nie chcę używać wielkich słów, ale cały tom mógłbym zadedykować Czytelnikom Europy Karpat.

- Jest Pan także autorem dzieła Polacy w węgierskiej Wiośnie Ludów, gdzie zebrał Pan informacje o kilku tysiącach polskich ochotników m.in. z ziemi przemyskiej i sanockiej, którzy przebijali się przez Karpaty, by wesprzeć powstańców węgierskich w XIX wieku. Było wśród nich kilkuset gimnazjalistów. Proszę opowiedzieć o pracy nad tą książką?

To jest monografia – zakorzeniona zresztą w tej powieści, o której wspomniałem na początku naszej rozmowy. Pracując nad tą monografią w latach 1980-tych rodził we mnie pomysł, że trzeba zestawić słownik biograficzny polskich legionistów i honwedów walczących za naszą i waszą wolność. W efekcie trzydziestoletniej mozolnej pracy, podczas której przewertowałem źró-

dłowe materiały w dziewiętnastu archiwach, między innymi i lwowskich, i wiedeńskich, wyszła na światło dzienne 1000-stronicowa praca dzięki wydawnictwu Polskiej Akademii Umiejętności pt. „Honwedzi, emisariusze, legioniści. Słownik biograficzny uczestników Wiosny Ludów na Węgrzech 1848 – 1849”. Tam opracowałem życiorysy i tych szesnasto, osiemnastoletnich uczniów sanockich, przemyskich, samborskich, lwowskich:

- Proszę podać kilka książek o Węgrzech, Europie Środkowej, które współcześni Polacy powinni przeczytać z uwagi na ich aktualność, poruszane tematy i treści?

Jest jeden węgierski pisarz, którego myśli służą już jako kod w myśleniu polskiej inteligencji. To jest Sándor Márai. Prawie jego wszystkie książki zostały przetłumaczone na język polski. Jego utwory mogą być w dalszym ciągu codzienną lekturą dla Polaków. Jakiś 15 lat temu ukazał się wybór pism Istvána Bibó, historyka i politologa, jednodniowego ministra rządu Imrego Nagy, którego skazano w 1957 roku na dożywocie. Jego myśli o Środkowej Europie, o demokracji, o rodzinie i o narodzie w dalszym ciągu są aktualne. Jeżeli chodzi o młodsze pokolenie... Kilka lat temu ukazała się powieść Zsolta Bertá pt. „Chłopcy z placu Moskwy” o młodzieży węgierskiej borykającej w latach sześćdziesiątych. Jest świetna lektura.

- Jakie polskie książki warto zadedykować Węgrom do przeczytania?

Literatura polska była bardzo popularna na Węgrzech w drugiej połowie XX wieku. Prawie wszystkie ważne utwory zostały przetłumaczone. Po transformacji ustroju jednak było co nadrobić. Mam na myśli emigracyjnych pisarzy, choć Gombrowicz i niektóre utwory Miłosza były już przełożone.

- Kim dla Pana był Wacław Felczak? Wojciech Frazik w jego biografii politycznej „Emisariusz Wolnej Polski” wielokrotnie przytacza Pana nazwisko także jako autora licznych opracowań o Felczaku?

Żywy przykład, że nie ma takiej sytuacji, która mogłaby człowieka przymusić do poddania swej godności, charakteru, kręgosłupa. Może trzeba za to wielką cenę płacić. Ale warto... Felczak jak wychodził z więzienia, miał 40 lat, karierę naukową rozpoczął mając 42 lata. I został świetnym historykiem, świetnym pedagogiem, popularnym wykładowcą, na którego wykładach o różnych historycznych tematach zbierały się tłumy studentów nawet z Politechniki i z Medycyny. Od połowy lat siedemdziesiątych był ściśle związany z moją rodziną, jest ojcem chrzestnym mojej córki... A dodatkowo jako visiting profesor działający w Budapeszcie jesienią 1987, on proponował młodym studentom z wydziału prawa, żeby założyli partię polityczną. Więc można powiedzieć, że był on także ojcem chrzestnym FIDESZ-u, który jest opoką rządu już od 14-tu lat.

- Czy należy go wpisać do Panteonu Ludzi Wolności Europy Karpat, obok takich ludzi jak János Esterházy, czy Zygmunt Miłkowski? Kto jeszcze powinien tam się znaleźć?

Jak najbardziej. Jak wspominałem, opracowałem życiorysy 3415 legionistów i honwedów polskich z okresu Wiosny Ludów. Część ich tworzyła tak zwaną młodą emigrację, o której jakby polska opinia publiczna całkowicie zapomniała. A przecież były takie świetne postacie, jak syn Aleksandra Fredry, Jan Aleksander Fredro, którego jednoaktówki cieszyły się wielkim sukcesem na scenach węgierskich w latach 1860-tych i 1870-tych, Felicjan Szybalski, jeden założycieli Galerii w Sukiennicach, Edward Dzwonkowski, który wiele dokonał dla rozwoju wydobycia nafty, Seweryn Korzeliński, który pierwszy opisał krajobraz Australii, Władysław Poniński, który jako generał włoski był adiutantem skrzydłowym króla Wiktora Emanuela, Zygmunt Matejko, młodszy brat Jana, który poległ na Węgrzech. I mógłbym jeszcze wymienić szereg świetnych Polaków, których pamięć przeminęła z wiatrem...



Prof. István Kovács podczas posiedzenia
Parlamentarnej Zespołu Karpackiego Sejmu RP, 12.03.2019 r.
Źródło zdjęć <https://www.sejm.gov.pl/>

MACIEJ SZYMANOWSKI



Wywiad z Maciejem Szymanowskim, historykiem i hungarystą, wykładowcą Katolickiego Uniwersytetu w Budapeszcie, dziennikarzem (m.in. byłym redaktorem czeskiego tygodnika „Respekt”), dyplomatą, byłym dyrektorem Instytutów Polskich w Budapeszcie i Pradze, aktualnie członkiem Rady Programowej Instytutu Europy Środkowej, oraz dyrektorem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka

Rozmawiają Jan Jarosz, Jacek Borzęcki

Pytanie: Panie Dyrektorze, ze względu na obszar Pańskiej działalności naukowej, dziennikarskiej i dyplomatycznej, prosiłbym o odniesienie się do tego, jak na Węgrzech i w Czechosłowacji reagowano na kolejne masowe protesty społeczno-polityczne w komunistycznej Polsce? Czy polskie protesty, zarówno te wcześniejsze brutalnie tłumione, jak i te z sierpnia 80-tego roku, zakończone sukcesem legalizacji niezależnego związku zawodowego „Solidarność” – były jakąś inspiracją dla tamtejszych działaczy wolnościowych?

Maciej Szymanowski: Jeśli chodzi o lata 80-te, „Solidarność” i potem Stan Wojenny, to były to sprawy bardzo mocno śledzone zarówno nad Wełtawą, jak i nad Dunajem. Były to wydarzenia,

które odcisnęły swoje piętno na całym pokoleniu Węgrów, Czechów i Słowaków. Pamiętam, jak przechowywali z pietyzmem znaczki „Solidarności”, które udało im się nabyć, lub które ktoś im przywiózł z Polski. I tak reagowali niezależnie od swoich poglądów i zaangażowania politycznego. Bardzo często pytali: Co się u was dzieje?

Jeszcze jako młodzieniec, przed maturą, byłem na Węgrzech z takim zorganizowanym wyjazdem grupy katowickich licealistów, którzy uczyli się języka węgierskiego. Podejmował nas tam Pierwszy sekretarz partii komunistycznej w mieście Miskolc. Dostaliśmy tam jakieś podarunki, rozmawialiśmy z nim, na ile potrafiliśmy, po czym jego zastępca podszedł do mnie i spytał: A co tam się dzieje z „Solidarnością”? Jest, czy jej nie ma? A to był rok 1983, „ciemna noc” Stanu Wojennego w Polsce.

Wydarzenia w Polsce były więc śledzone z wielką uwagą. Pamiętam swoje rozmowy z Węgrami prowadzone w duchu optymizmu co do sytuacji w Polsce, i z dużym pesymizmem co do sytuacji na Węgrzech, a z jeszcze większym pesymizmem co do sytuacji w Czechosłowacji. Pamiętam m.in. swoje rozmowy – już jako studenta – z jednym z członków Karty 77 (ruchu protestującego przeciwko łamaniu praw człowieka w Czechosłowacji). To był rok 1988, i on długo tłumaczył mi, że nawet jak „Solidarność” zwycięży w Polsce, to komuna i tak będzie nadal trwała nad Wełtawą. Na szczęście te jego przewidywania nie spełniły się.

- A jak reagowano na lata 89-90, na początek transformacji systemowej w Polsce? Jak odbierano fakt porozumienia władz PRL-u z elitą opozycji solidarnościowej, która w zamian za demokratyzację systemu politycznego pozwoliła komunistom na „miękkie lądowanie”, uwłaszczenie się na majątku państwowym, a nawet na uczestniczenie we władzach państwowych?

Maciej Szymanowski: Ta wolność, która wybuchła w Polsce w 1989 roku, była wywalczona. Była wolnością wywalczoną na tyle, na ile się dało. Bo nie da się ukryć, że to jednak była taka sterowana transformacja ustrojowa. Pod tym względem nie było zresztą większych różnic, jeśli chodzi o Polskę, Węgry, Czechy i Słowację. Wszędzie tam uwłaszczyła się komunistyczna nomenklatura. Osoby, które były w partii komunistycznej, o ile tylko chciały, to zrobiły całkiem niezłe kariery: weszły do mediów, weszły do biznesu. Jako Instytut Felczaka wkrótce będziemy organizować już drugą konferencję poświęconą temu tematowi, pod wiele mówiącym tytułem: „Sieci przetrwania”.

- To była po prostu cena za uniknięcie wojny domowej, nieprawdaż?

Maciej Szymanowski: Rewolucja zbrojna nie byłaby dobra, bo cena takiej rewolucji byłaby wysoka. Rewolucja pokojowa, rewolucja aksamitna, też oczywiście miała swoją cenę. Bo gdyby wówczas inne osoby rządziły, ludzie o innych korzeniach, to być może miliony rodaków nie musiałyby zapłacić takiej ceny, jaką zapłaciły w latach 90-tych poprzez utratę pracy, często konieczność wyprawki z Polski.

- Jak Pan ocenia dorobek i rozwój Polski w ostatnich 8 latach?

Maciej Szymanowski: Nie ma co ukrywać, że to były lata bardzo korzystne dla Polek i Polaków. Bardzo korzystne pod wieloma względami w ogóle dla Polski. A jednocześnie Polska doświadcza czegoś takiego, jak atak hybrydowy, wojnę informacyjną, prowadzoną zarówno ze Wschodu, jak i z Zachodu. Zdarza się to nie po raz pierwszy w naszej historii. Dzisiaj może wyjątkowo bolesne jest to dlatego, że oskarżenia pojawiające się pod adresem Polski są bardzo często kompletnie nieprawdziwe. Nie ma tam ani krzty prawdy. Oczywiście, te różne opinie o nas docierają również do Budapesztu, do Pragi i do Bratysławy. Ci lepiej poinformowani, którzy nie są zdani na miejscową prasę, którzy mają kontakt z Polakami, wiedzą jednak swoje.

- W ostatnich dwóch latach drogi pomiędzy Polską a Węgrami w odniesieniu do sytuacji na Ukrainie rozeszły się. Być może jednak trochę zeszyły się w ostatnich miesiącach, po kontrowersyjnych wypowiedziach prezydenta ZELEŃSKIEGO i innych wysokich polityków ukraińskich?

Maciej Szymanowski: Węgrzy są zawsze większymi życiowo pesymistami, niż my post-Sarmaci, Polacy. W tej sprawie również. Są zdecydowanie większymi pesymistami, jeśli chodzi o dalsze losy Ukrainy. Twierdzą, że Ukrainę spotka to, co spotkało Węgry w 1956 roku, czyli porozumienie wielkich mocarstw po tym, jak wcześniej Węgrzy zostali zachęceni do walki z bronią w rękę o wolność. Oczywiście, nie znamy dalszych losów wojny na Wschodzie, nie wiemy jak długo będzie trwała. Nie wiemy też, tak naprawdę, co w tej chwili powoduje wysokimi politykami ukraińskimi, jeśli chodzi o dotyczące Polski ich wypowiedzi, które możemy śledzić. Nie widać po prostu, gdzie tu Ukraina realizuje swoją rację stanu, swój interes narodowy. Ja przynajmniej tego nie widzę, na czym mógłby polegać ich zysk z tej polityki, którą w ostatnich tygodniach prowadzą wobec Polski.

- Nie spełniły się nadzieje Ukrainy na szybkie wejście do NATO, co zresztą było niemożliwe z zasadniczych względów. Może więc Niemcy obiecali szybkie przyjęcie Ukrainy do Unii Europejskiej? I może stąd w ostatnich miesiącach te proniemieckie sympatie ukraińskich władz, oraz niesprawiedliwe zarzuty wobec Polski?

Maciej Szymanowski: Nie sądzę, mówiąc szczerze. Ale nawet jeśli tak założymy, to przypomnijmy, że Polska i Węgry były już na początku 2022 roku w tej grupie 6 państw, które formalnie poparły Ukrainę w jej dążeniach do uzyskania statusu kandydata na członka Unii Europejskiej. I wówczas zostało to natychmiast odrzucone przez Niemcy i Francję. I wprawdzie faktem jest, że po sześciu miesiącach status kandydacki Ukraina otrzymała, choć do końca spotykało to się z dużym oporem, ale czy to oznacza, że Niemcy będą adwokatem Ukrainy i wprowadzą ten kraj do Unii Europejskiej? Moim zdaniem, nie. Być może jednak jestem źle poinformowany. Na pewno jednak w najbliższych miesiącach warto zachować trochę zimnej krwi w kontekście Ukrainy i jej obecnej polityki.

- Jakie stanowisko w kwestii perspektywy przyjęcia Ukrainy do Unii Europejskiej zajmują obecnie Węgry, a także Słowacja po niedawnych tam wyborach parlamentarnych?

Maciej Szymanowski: Węgry popierają to w dłuższej perspektywie, a Słowacja – zobaczymy co powie nowy rząd. W każdym razie na pewno oba państwa twierdzą, w moim przekonaniu słusznie, że nie mówimy oczywiście o natychmiastowym przyjęciu Ukrainy do Unii Europejskiej. I to z wielu powodów. Po pierwsze, kraj ten jest w stanie wojny, co nie sprzyja koniecznym reformom wewnętrznym. A reformy te muszą być bardzo głębokie. Sami Ukraińcy przyznają, że bardzo wiele sektorów, z sądownictwem na czele, działa dziwnie w tym kraju, albo nie działa w ogóle.

Warto tu przypomnieć sobie, że proces akcesji Polski, Węgier, Czech, czy Słowacji trwał ładnych kilkanaście lat, mimo że byliśmy państwami znacznie bogatszymi, niż w tej chwili jest Ukraina, już nie mówiąc o jej ogromnych stratach wojennych, które wciąż ponosi ten kraj. Wstrząsające ubytki ludności, których właśnie doznaje Ukraina, są tam, tak naprawdę, nie do odrobienia w najbliższych latach, a może i w dziesięcioleciach. A więc, jeśli ten akces miałby być możliwy, to pozostałe państwa unijne musiałyby szczerze podzielić się swoim bogactwem z Ukrainą, a nic na to nie wskazuje.

Jak do tej pory Ukraina otrzymuje od Unii podobną, choć w sumie nieco mniejszą od tej świadczonej przez Stany Zjednoczone, pomoc finansową. I nie wliczam do tego gigantycznych środków, które Amerykanie przeznaczają na dobrojenie Ukrainy. Pomimo iż Ukraina jest państwem europejskim i bliskim sąsiadem UE, to ochota państw unijnych do dzielenia się z nią swoimi pieniędzmi jest umiarkowana, żeby nie powiedzieć mniej niż umiarkowana. Ponadto, można sobie wyobrazić sytuację, że wsparcie amerykańskie może ulec zmniejszeniu z powodu przyszłorocznej kampanii wyborczej w USA. Naprawdę trudno oczekiwać, że Unia Europejska zrekompensuje ewentualny ubytek wsparcia i istotnie zwiększy pomoc finansową dla Ukrainy. Chciałbym się mylić, ale moim zdaniem właśnie tak przedstawia się rzeczywisty stan rzeczy.

-Jak Pan ocenia aktualną sytuację Europy Środkowej, i w jakim kierunku powinny działać te kraje w ramach Europy Karpat?

Maciej Szymanowski: Jest niestety teraz taki czas, że z jednej strony mamy wielki sukces naszych państw Europy Środkowej, które w ostatnich dwóch dekadach rozwijają się dwa-trzy razy szybciej, niż państwa Europy Zachodniej. Z drugiej strony, im jesteśmy wyżej w górach, to przeciwnie wiatry wieją mocniej i próbują nas poderwać, a nawet rozerwać. A do tego nie można dopuścić, ponieważ – moim zdaniem – Europę Środkową, jak mało który region świata, buduje właśnie współpraca. Tutaj sukces jednych, jest po części sukcesem drugich, a jednocześnie klęska jednych pociągałaby za sobą klęskę pozostałych. Jesteśmy bardzo ze sobą sprzęgnięci w takim agregacie naczyń połączonych i bardzo łatwo tutaj o reakcję łańcuchową. I dlatego powinniśmy się wzajemnie wspierać.

Są jednak również dobre sygnały. Po pierwsze, jeśli chodzi o współpracę polsko-węgierską, to ona wcale nie wygląda tak źle, jak niektórzy głoszą, i jak niektórzy tego oczekują. Prawdopodobnie już wkrótce będziemy mieli powrót do bardziej energicznej współpracy Grupy Wyszehradzkiej, dzięki nowemu rządowi na Słowacji, z premierem Robertem Fico na czele. Myślę też, że niedługo po tym jak wybory w Polsce skończą się – miejmy nadzieję – dobrym rozstrzygnięciem,

Polska zaktywizuje swoją politykę zagraniczną. Mam nadzieję, że także poprzez działalność instytutów i instytucji, które mają potencjał oddziaływania na międzynarodową opinię publiczną i tzw. liderów opinii, w tym zagranicznych polityków.

Mamy w Polsce naprawdę dobrych przywódców w tej chwili i powinniśmy to docenić. Część naszych rodaków nie lubi silnych przywódców. Polacy mają to jakby historycznie zakodowane w sobie, jeszcze od czasów Rzeczypospolitej Szlacheckiej, natomiast na te nasze obecne czasy właśnie potrzebujemy silnych przywódców. I bardzo łatwo udowodnić, że w ostatnich latach wspomniani przeprowadzili Polskę przez wiele bardzo trudnych momentów. I oby tak dalej. Najlepiej oczywiście, żeby tych trudnych momentów było jak najmniej. Przede wszystkim jednak życzymy sobie tego, żeby sytuacja w Polsce po wyborach była stabilna i żebyśmy mogli z jeszcze większą energią móc działać zarówno w naszym kraju, jak i poza jego granicami.

JAN MAJCHROWSKI



Wywiad z Janem Majchrowskim, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, sędzią Trybunału Stanu, byłym wojewodą lubuskim i byłym sędzią Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego.

Rozmawiają Jan Jarosz, Jacek Borzęcki

- Jaki wpływ na młodzięcze i dorosłe życie Pana Profesora miał dom rodzinny, wychowanie w rodzinie?

- Jan Majchrowski: Powszechnie się mówi, że dom rodzinny jest bardzo ważny, bo to on kształtuje młodego człowieka. Miłości do ojczyzny, do Polski, nabywa się po prostu z czasem, zwykle w rodzinie. Ja miałem to szczęście, że rzeczywiście dało się to wszystko wynieść z domu, i to dość łatwo. Ojciec – przedwojenny oficer zawodowy, rotmistrz kawalerii, potem pisarz, i wszyscy w rodzinie zawsze byli jednoznaczni w przeświadczeniu, że Polska całą swoją historią zasługuje na niepodległość i że PRL minie. Nikt z mojej rodziny nie splamił się kolaboracją z komunistami, nikt nie zapisał się do PZPR, czy jakiegoś stronnictwa satelickiego. Ojciec opowiadał mi – a był dużo, dużo starszy ode mnie – o 11 listopada 1918 roku. On widział to na własne oczy. Widział rozbrajanie Niemców w Warszawie. Był świadkiem tego „jak Polska wybuchła”, bo właśnie tak

określał tamto odzyskanie niepodległości. Te uczucia do Polski zaszczerpił we mnie, a Matka do-
dała swoje – i to naznaczyło mnie na całe życie.

**- Miał Pan zarazem to szczęście bycia – razem z milionami rodaków – świadkiem „wybu-
chu Solidarności” w sierpniu 1980 roku. Proszę powiedzieć, jak 16-letni wówczas licealista
przeżywał ten wspaniały okres w historii naszego kraju? A po niespełna 16 miesiącach –
dramatyczne jego przerwanie?**

- Jan Majchrowski: To była euforia. Myśmy z zapartym tchem słuchali wówczas zagłuszanych
przez komunistów rozgłośni: Radia Wolna Europa, czy Głosu Ameryki. Z wypiekami na twarzy
słuchaliśmy, co tam się dzieje w tej Stoczni Gdańskiej. Pytaliśmy się wzajem: Co z tego wyniknie?
Czy się uda? No i potem ten wybuch „Solidarności”! Ten wspaniały karnawał, niestety krótki,
ale wspaniały. Dla mnie, jako młodego chłopaka był nieprawdopodobnie istotnym. A potem ta
okropna noc stanu wojennego. I w tej dramatycznej sytuacji rzeczą zupełnie oczywistą było, że
trzeba coś robić. Mój brat Tomek wyciął mi z gumki „myszki” (bardzo piękną zresztą) pieczętkę
„Solidarność” – w oryginalnej pisowni, „solidarycą”. Powiedział, żebym chodził po Warszawie
i pieczętował, co się da i gdzie się da. Pamiętam, że m.in. opieczętowywałem posiadane bank-
noty, stułotówki z Waryńskim, i puszczałem je w obieg. Płaciłem nimi w sklepach dając banknot
tą „czystą” stroną do góry, a na odwrocie była pieczętka: „Solidarność”. No, ale mało miałem
tych banknotów, bo nie byliśmy zamożni, więc nie wiem, czy wiele dotrwało do dzisiejszych cza-
sów. W domu mam jeszcze jeden, czy dwa. Natomiast drugi brat, Jacek, brał udział w bardziej
poważnej działalności, bo z panią Ewą Tomaszewską (późniejszą panią poseł) przygotowywali
różne pisemka, jakieś ulotki. W każdym razie on był redaktorem niszowego pisma „Kierunki”.
To nie było jakieś bardzo istotne pismo w skali kraju, jednak oprócz tego przez jego ręce prze-
wijaly się dużo ważniejsze „bibuły”. No i to on polecił mi dalej je rozprowadzać. Już go to nie
obchodziło, gdzie i jak. Tak więc z Tomkiem Soczyńskim, moim dawnym kolegą z klasy, robiąc
napisy na ścianach i rysując symbole „Solidarności”, roznosiliśmy także te gazetki po domach
w śródmieściu Warszawy. Wkładaliśmy je do drzwi, albo pod wycieraczki. Dzisiaj to by się wrzu-
cało do skrzynki pocztowej, ale wtedy te skrzynki były od zewnątrz zamykane. I pamiętam jedną
taką historię, wówczas groźną, a z dzisiejszej perspektywy raczej zabawną. Otóż, zostało nam
około 30 tych pisemek, takich małych gazetek, no i zastanawialiśmy się, który z kolei dom wy-
brać. Byliśmy akurat w Alei Pierwszej Armii Wojska Polskiego, czyli na dzisiejszej ul. Szucha. Tam
były prawie same gmachy rządowe, ale zauważyliśmy jeden blok mieszkalny. Wydawał nam się
zresztą jakby trochę inny, niż zwykłe domy. Była tam taka automatyczna bramka od ulicy, a na
klatce schodowej były chyba wykładziny. W zwykłych peerelowskich domach czegoś takiego się
nie widziało. Akurat jakaś kobieta wychodziła, więc udało nam się wejść przez tę bramkę. Poje-
chaliśmy windą na ostatnie piętro, no i tak jak zwykle, zbiegaliśmy po schodach i wkładaliśmy
te gazetki pod wycieraczki. Na parterze już nam zabrakło gazetki dla jednego mieszkania. Wy-
szliśmy z tego budynku z poczuciem dobrze wypełnionego zadania. Jakież było kilka dni później
moje zdziwienie, zabarwione trochę strachem, gdy w rozmowie z kimś dowiedziałem się, że
to był budynek sowiecki, w którym znajdowały się mieszkania pracowników ambasady ZSRR.
Ta zresztą znajdowała się niedaleko. Uświadomiliśmy sobie, że byliśmy jakby w paszczy lwa. Ale
też z pewnym rozbawieniem zastanawiałem się później, czy uwierzono temu nieszczęsnemu

mieszkańcowi z parteru, że naprawdę nie otrzymał tej solidarnościowej gazetki, skoro wszyscy inni otrzymali? Czy uwierzono, że – w przeciwieństwie do wszystkich innych mieszkańców – nie mógł jej otrzymania zgłosić właściwemu oficerowi KGB w ambasadzie? Może więc, podobnie jak w „Mistrzu i Małgorzacie” Bułhakowa, zakończyło się to zdaniem: „Przyznaj się, Iwanycz. Krócej będziesz siedział”. Zaśmiewałem się w duchu na myśl o takiej możliwości.

- Mielicie szczęście, że was tam nie złapano.

- Jan Majchrowski: No właśnie, dopiero później chodziła mi po głowie myśl: „A co by było, gdyby nas złapano?” Oczywiście, dostalibyśmy wyrok kilku lat, bo za takie rzeczy wtedy wsadzano do więzienia nawet bardzo młodych ludzi. A tym bardziej w tym szczególnym przypadku, z sowiecką ambasadą w tle. A po latach myślałem sobie tak: „A kto by mnie sądził? Na pewno jakiś sędzia, który potem w Trzeciej Rzeczypospolitej zrobił karierę i znalazł się w Sądzie Najwyższym”. Otóż dzięki temu, że nikt mnie wówczas nie złapał i nie skazał, mogłem skończyć prawo na UW. W 2018 roku trafiłem do Sądu Najwyższego, do Izby Dyscyplinarnej. No i kogóż spotykałem w tym Sądzie Najwyższym? Komu uchylałem immunitety na wniosek Instytutu Pamięci Narodowej? Ano właśnie takim sędziom, którym IPN chciał postawić zarzut zbrodni komunistycznej za skazywanie m.in. takich chłopaczków jak ja, którzy roznosili antykomunistyczne ulotki. Tę i inne historie ze stanu wojennego opisałem w wydanej ostatnio mojej książeczce: „Przeciw uzbrojonym analfabetom”.

- A może wrócilibyśmy jeszcze do tej drugiej euforii lat 80-tych, czyli do zwycięstwa Solidarności w wyborach do Senatu 4 czerwca 1989 roku? Ale zarazem i do tego rozgoryczenia wielu szeregowych działaczy opozycji antykomunistycznej, spowodowanego tajną umową w Magdalence, i oficjalną przy „Okrągłym Stole”, oraz ich konsekwencją w postaci wyboru komunistycznego generała, Wojciecha Jaruzelskiego, pogromcy „Solidarności” z grudnia 81 roku, na pierwszego prezydenta III Rzeczypospolitej.

- Jan Majchrowski: Oczywiście, doskonale pamiętam te wybory kontraktowe. Jako dwudziesto-pięcioletek kończący wówczas studia prawnicze, byłem całkowicie świadomym różnych niuansów tej polityki. I muszę powiedzieć, że wprawdzie była we mnie pewna gorycz, bo ja się w ten „okrągły stół” nie wpisywałem, to jednocześnie muszę wyraźnie podkreślić, że nie potępiałem i nie potępiał nikogo, kto przy tym stole z komunistami usiadł. Dzisiaj łatwo być mądrym, kiedy już wiemy, jak się historia potoczyła. Ale wtedy naprawdę nikt nie wiedział, jak się rozwinie sytuacja polityczna w Europie środkowo-wschodniej. I dzisiaj można powiedzieć, że paradoksalnie mieli rację zarówno ci, którzy byli przeciwko dogadywaniu się z komunistami, jak i ci, którzy to popierali. Dla mnie jedna rzecz jest istotna: jakie były ich intencje? Bo jeśli ich intencją – a nie brakowało też i takich – było podłączenie się pod ten dawny układ i wejście wraz z postkomunistami do nowej elity panującej nad społeczeństwem (jakby według scenariusza z „Farmy zwierzęcej” Orwella), to oczywiście ci zasługują na potępienie. Ale dla większości „okrągły stół” był po prostu drogą ku wolności i szansą na te wszystkie zmiany w kierunku stopniowej demokratyzacji Polski. W pewnym momencie padło przeciw hasło przyśpieszenia, tak aby nie stać cały czas na gruncie tego „okrągłego stołu” i jego ustaleń, tylko pójść dalej. To hasło wiązało się

z szerokim obozem popierającym wówczas Lecha Wałęsę, przede wszystkim ze środowiskiem Porozumienia Centrum. Ja byłem członkiem PC i nawet pełniłem tam pewne funkcje. Jako młody człowiek, ale znający dobrze języki obce, byłem przez pewien czas szefem Biura Zagranicznego Porozumienia Centrum, oraz przewodniczącym Komisji Zagranicznej PC. Ale muszę powiedzieć, że długo zastanawiałem się, kto tu ma rację: czy Lech Wałęsa, czy też coraz bardziej konfliktujący się z nim bracia Kaczyńscy? Dzień 4 czerwca 1992 roku był tym momentem, kiedy to ostatecznie opadły łuski z oczu. Byłem pod Sejmem 4 czerwca, w „noc długich teczek”, jak to niektórzy nazywają. I nigdy nie zapomnę pewnej sceny, dla mnie bardzo smutnej. To już było po wszystkim, już po odwołaniu rządu Olszewskiego. Otóż, stał tam jakiś człowiek, samotny człowiek z siatką w rękę, niezbyt dobrze ubrany, najwyraźniej ubogi. I on co jakiś czas wykrzykiwał na cały głos: „Zdrada narodu!”. Zapamiętałem jednocześnie wychodzącą głównym wyjściem z Sejmu grupę posłów Unii Demokratycznej, z Janem Lityńskim. Głośno się śmiali...

- Potem był rok 1997 i nowe nadzieje związane z rządem koalicyjnym Akcji Wyborczej Solidarność, z którym zresztą przyszło Panu współpracować.

- Jan Majchrowski: Tak, ale jeszcze wcześniej zostałem ekspertem Społecznej Komisji Konstytucyjnej NSZZ „Solidarność”. No i pracowałem w podkomisji, którą kierował Jan Olszewski. To była Podkomisja ds. Ustroju Politycznego. Pochlebiam sobie, że kilka własnych przepisów tam wywalczyłem i znalazły się one w solidarnościowym projekcie Konstytucji. No cóż, młodzi ludzie często są bardzo aktywni i dużo mówią. Mam więc tam jakiś udział, ale podkreślam, że to był tylko udział. Natomiast dużo później rzeczywiście pozwoliłem sobie o tym projekcie przypomnieć. Wtedy to namówiłem Marszałka Sejmu, Marka Kuchcińskiego i Marszałka Senatu, Stanisława Karczewskiego, no i przede wszystkim Jarosława Kaczyńskiego, żeby zrobić wielką konferencję w Senacie na temat projektu „Konstytucji Solidarność”. Pokłosiem tej konferencji była zredagowana przeze mnie książka „Konstytucja Solidarność”. Jest tam m.in. zapis naszych dyskusji z tej Komisji Konstytucyjnej NSZZ „Solidarność”, która wypracowała „Społeczny Projekt Konstytucji RP”. Prawie 2 miliony podpisów zostało później pod nim zebrane. Część tych naszych pomysłów i przepisów przeszła później do obecnie obowiązującej Konstytucji RP. A na bazie samej akcji konstytucyjnej „Solidarność” powstała Akcja Wyborcza Solidarność, która w 1997 roku wygrała wybory parlamentarne. Z takim dorobkiem związałem się z rządem, który wyłonił się z Akcji Wyborczej „Solidarność”. Zostałem najpierw doradcą w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji, potem podsekretarzem stanu i delegatem Rządu ds. reformy ustrojowej w województwie lubuskim. Razem z moim zespołem w MSWiA przygotowywałem podział kraju na okręgi wyborcze do pierwszych wyborów do Rad powiatów i do Sejmików województw.

- W wyniku owej reformy administracyjnej kraju powstało m.in. województwo lubuskie, którego wojewodą został właśnie Pan.

- Jan Majchrowski: Tak, zostałem pierwszym wojewodą lubuskim. Gdy pojechałem tam, a to było to bardzo „czerwone” województwo, to jako jeden z najmłodszych wojewodów (33 lata) wyciągałem „szabelkę” i prowadziłem różne walki, które pamiętają tam po dzień dzisiejszy. Symbolicznie wspomnę tu sytuację, gdy przecinałem biało-czerwoną wstęgę otwierając coś tam do spółki

z przedstawicielem samorządu wojewódzkiego z SLD. Marszałek z SLD i ja mieliśmy przeciąć tę wstęgę po połowie. No i on przeciął akurat białą część, a dla mnie została ta czerwona. Przeciąłem ją więc z okrzykiem: „Ja tnę czerwone!”. Usiłowałem ciąć to „czerwone”, gdzie się dało, ale nie było to łatwe. Tzw. „swoi” z tego województwa nie pomagali. Dla nich było chyba najważniejsze, że w tym województwie byłem „obcy”, z Warszawy”, nie z lokalnego układu. Wspominam też z pewną satysfakcją, że 11-go listopada zorganizowałem w Gorzowie Wielkopolskim pierwszy Marsz Niepodległości. Były to próby budzenia polskiego patriotyzmu w tym regionie. Ale muszę powiedzieć, że udało mi się spotkać tam wielu wspaniałych ludzi. Przykładem może być tu pani Elżbieta Rafalska. Była ona pracownikiem Urzędu Wojewódzkiego, i na początku miałem z nią nawet starcie. I po tym starciu, jak powiedziałem przekornie – „za karę”, uczyniłem ją dyrektorem Wydziału Spraw Społecznych Lubuskiego Urzędu Wojewódzkiego. Pani Rafalska często wspomina o tym osobliwym zakończeniu naszego ówczesnego konfliktu, i oczywiście jesteśmy od tamtego czasu w serdecznej przyjaźni.

- Czy jako były sędzia Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego mógłby Pan ocenić, czy rzeczywiście ustanowienie tego organu w ramach reformy sądownictwa było niezgodne z Konstytucją? Bo to właśnie zarzucała opozycja. I dlaczego się to nie udało?

- Jan Majchrowski: Co do Sądu Najwyższego i reformy sądownictwa, to nie wszystko się udało, bo niektórym zabrakło konsekwencji i odwagi. Zastrzegam przy tym, że w żaden sposób nie byłem zaangażowany w planowanie tej reformy. Z pewnością też można było ją zaplanować i przeprowadzić inaczej. Natomiast realizowałem ją jako najstarszy sędzia Izby Dyscyplinarnej SN i z tego tytułu p.o. Prezesa tej Izby w początkowym jej okresie. Ale w pewnym momencie uniemożliwiono mi sądenie sędziów, do czego właśnie zostałem powołany jako sędzia Izby Dyscyplinarnej. Przestraszono się TSUE. Za miraż pieniędzy z KPO nie oczyszczono sądownictwa z ludzi, którzy nie powinni w nim się znajdować, a mnie bezprawnie uniemożliwiono wykonywanie moich podstawowych obowiązków sędziowskich. W rezultacie musiałem zrobić to, co uważałem za słuszne: po serii oświadczeń, zaprotestowałem przez złożenie swojego sędziowskiego urzędu. Ktoś tu może powiedzieć: „No i co? Oni wygrali”. Jednak, jak się spojrzy na to z pewnej perspektywy, to myślę, że zwycięstwem jest zachować się jak trzeba. Ja czuję się zwycięzcą w tej rozgrywce. Nie wszyscy mogą to o sobie powiedzieć. A na czym miałyby polegać niezgodność z Konstytucją powołania sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa wybierającej sędziów do SN i innych sądów? Naprawdę nie wiem. Każdy, kto przeczyta sobie art. 187 ust. 4 Konstytucji, powinien przyznać, że to, jak wybiera się sędziów do KRS zależy wyłącznie od kształtu ustawy, a zatem od woli Sejmu, w którym zasiadają przedstawiciele Narodu. Ci ludzie, którzy atakowali ustawy reformujące sądownictwo za ich rzekomą niekonstytucyjność, dziś zapowiadają jawne łamanie Konstytucji na kilku już polach.

- Po 8 latach rządów Zjednoczonej Prawicy, które – cokolwiek by im zarzucać – niesamowicie wydzwignęły nasz kraj ekonomicznie i cywilizacyjnie, a przy tym po raz pierwszy w niepodległej Polsce postawiły na równomierny rozwój kraju, oraz w dziedzinie solidarności społecznej. No i w tej sytuacji powstaje pytanie: dokąd zmierza Polska teraz? Co przed nami?

- **Jan Majchrowski:** – Przez te 30 minionych lat szliśmy w kierunku wolnej, suwerennej Polski. Czasem szybciej, czasem wolniej. Przez te osiem ostatnich lat zdecydowanie szybciej i skuteczniej. Teraz przed nami noc. Dominujące siły w Unii Europejskiej szykują nam unicestwienie suwerennej polskiej państwowości. Widziałem to już dużo wcześniej. Nie ja jeden, oczywiście. Pochlebiam sobie, że w 2017 roku, w okrągłą rocznicę uchwały Sejmu RP „W obronie suwerenności RP”, udało mi się wydać książkę w Wydawnictwie Sejmowym o tym samym tytule. To, co napisałem we wstępie do owej książki, było i jest jak najbardziej aktualne. Staralem się, żeby te słowa, to alarmujące wołanie, dotarło do posłów, do senatorów, do decydentów politycznych. Czy dotarło? Chyba z opóźnieniem. Dzisiaj jesteśmy w sytuacji daleko gorszej. Te tzw. reformy Unii Europejskiej, które właśnie się toczą, mają spowodować likwidację Unii takiej, jaką znamy, oraz likwidację państwowości państw członkowskich. To już nie będzie ta Unia, na którą się godziliśmy i do której wstępowaliśmy w 2004 roku. Jeśli to wszystko, co się planuje, zostanie przeprowadzone, to najbardziej zagraża nam nie tylko ta strona instytucjonalna, konstytucyjna, ale jej dalsze konsekwencje dla naszej tożsamości. Bo to my, Polacy, musimy chcieć być wolnym państwem i wolnym narodem. To my musimy pragnąć niepodległości, jak pragnęli jej ci, którzy byli w niewoli, i to nie tylko przez 123 lata, ale w niektórych regionach Polski znacznie dłużej. Tamci nasi przodkowie nie zaprzepaścili polskości. Zakonserwowali to, co stanowi o istocie narodu. I tylko dlatego mogliśmy się odrodzić. Nie możemy stracić tego, co stanowi naszą tożsamość. Nie możemy chcieć się wyzyść Polski, jak zbędnego balastu, by rozpuścić się w europejskiej zupie, w której królować będzie obca nam ideologia i obca nam kultura polityczna. Nam niepodległość zabierano, rabowano, ale nigdy jako naród nie wyrzekliśmy się jej sami, z własnej woli. Jeśli byśmy coś takiego zrobili, to nie będziemy godni, by być wolnym narodem.

- **O czym świadczy wynik tych wyborów? Czy dla znaczącej części polskich obywateli, w tym dla wielu młodych Polaków, 8-letnie rządzenie Zjednoczonej Prawicy po prostu zużyło się? Czy też może wtopienie się w europejskość jest dla nich wartością większą, aniżeli zachowanie suwerennego, niepodległego państwa polskiego?**

- **Jan Majchrowski:** Nie sędzę. Myślę, że głos w tych wyborach był, jak to często bywa w wyborach, głosem przeciw, a nie głosem za. Oczywiście, w jakiejś niewielkiej części był to świadomy głos za taką Europą, w której Polska jest jakąś prowincją, jakimś nieistotnym, niesuwerennym jej fragmentem. Jest taka część ludzi w Polsce i zawsze ona była. Byli w Polsce targowiczanie, byli rozmaici lojaliści w czasie zaborów, kolaboranci, członkowie KPP, folksdojczce, ubecy oraz rozmaici oportuniści i karierowicze. Ale to jednak margines. No cóż, od lat wszystko w Polsce działa jak wahadło: raz lewica, raz prawica. To wahadło tykało wcześniej co 4 lata, a od pewnego czasu zaczęło tykać co 8 lat. Najpierw przez tyle lat rządziła Platforma Obywatelska, a później Prawo i Sprawiedliwość. Zawsze jednak szliśmy do przodu. Ten ostatni etap, który kończy się jakąś porażką, nie jest porażką całkowitą. Wiele rzeczy udało się przecież zrobić. A co będzie dalej? Zobaczymy. Ważne, żeby ten polski zegar dalej tykał.

Dziękujemy za rozmowę

SÉBASTIEN MEUWISSEN



Wywiad z Sébastienem Meuwissenem

29 lat, absolwent dziennikarstwa i komunikacji społecznej uniwersytetu IHECS w Brukseli. Analityk Centrum Praw Podstawowych w Budapeszcie. Wcześniej pracował w Parlamencie Europejskim, w Sejmie RP, do lutego 2024 dyrektor komunikacji w Instytucie na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris.

Lucie Szymanowska: Wielu Polaków w ostatnich latach wyjechało na Zachód, a Pan przeciwnie – przeprowadził się z Zachodu do Polski.

Sébastien Meuwissen: Tak, jestem Belgiem z urodzenia. Mieszkam w Belgii większość swojego życia. Tam się urodziłem, wychowałem i studiowałem, a pod koniec 2020 roku przeprowadziłem się do Polski.

Ciągnęło mnie tu od zawsze, od najmłodszych lat. Przyjeżdżałem do Polski na wakacje do dziadków, ale nigdy nie miałem okazji zamieszkać tu na dłużej. Była to więc taka decyzja, powiedziałbym, i z serca, i z rozumu. Przez sam fakt, że po prostu kocham Polskę, chciałem tutaj mieszkać. A z drugiej strony pojawiły się różne możliwości profesjonalne. Tak się wszystko nałożyło na siebie i w samym środku okresu Covidu przeprowadziłem się tutaj.

LS: Odegrała w tym chyba rolę również pewna piękna Węgierka?

SM: Tak, dokładnie. W tej chwili rozmawiamy w Zamku w Krasiczynie. Właśnie w tym miejscu w 2019 roku uczestniczyłem po raz pierwszy w Szkole Liderów, organizowanej przez Instytut Felczaka. Wtedy tu poznałem swoją żonę, Lidię, która jest Węgierką. Bardzo szybko zaręczyliśmy się i wzięliśmy ślub. Za kilka dni przeprowadzamy się do Budapesztu.

LS: W Polsce zajmował się Pan Europą Środkową. Czy tak będzie dalej?

SM: Tak, jak najbardziej. Nadal będę się zajmował dziedziną, w której dotychczas byłem aktywny, głównie współpracą regionalną. Co może być strzałem w dziesiątkę również odnośnie Europy Karpat, gdyż w poprzednich latach, pracując w biurze pana Marszałka Marka Kuchcińskiego, współorganizowałem kilka konferencji tego cyklu. Dobrze też wspominam inaugurację przemyskiej tablicy pamiątkowej z okazji 30-lecia Grupy Wyszehradzkiej trzy lata temu. Tak więc Europa Karpat, Instytut Felczaka, Grupa Wyszehradzka, Polska, Węgry – to wszystko się dla mnie łączy.

LS: W jaki sposób Europa Karpat mogłaby dalej pobudzać współpracę regionalną?

SM: Przyjeżdżając tu, korzystałem z drogi Via Carpathia, która jest chyba jednym z najbardziej znanych przedsięwzięć, inwestycji regionalnych, które zdecydowanie się udały i są przydatne. Moja żona pochodzi z Miskolc, więc często korzystam z tej trasy. Myśląc szerzej – wydaje mi się, że konferencja Europa Karpat daje możliwość po pierwsze wymiany międzypokoleniowej, gdyż tak naprawdę łączy ludzi różnego wieku, którzy się tu spotykają. Ale również, co jest ciekawe, ma tu miejsce duża różnorodność tematów, swoboda wypowiedzi. Fakt, że chodzi tu bardziej o rozmowy konsultacyjne i nie do końca wiążące, pozwala na swobodną wymianę poglądów na różne kwestie, czy bezpieczeństwa, czy przyrody, czy też po prostu współpracy regionalnej, transgranicznej. Pozwala na rozmowy, rozważania o napotykanym trudnościach oraz ich rozwiązaniach. Poza tym, jest to platforma regularna. To trzeba podkreślić, regularna platforma wymiany myśli jest zawsze dobra i potrzebna. Dopiero gdyby przestała – oby nie – funkcjonować, to byśmy zorientowali się, jak bardzo jej brakuje.

LS: Mówił Pan o dialogu międzypokoleniowym. Z jakim własnym doświadczeniem, osobistym i pokoleniowym Pan do tego dialogu przystępuje?

SM: Jeżeli mogę mówić o doświadczeniu osobistym – jak wspomniałem, spotkałem tu w Krasiczynie swoją żonę podczas wydarzenia, którego celem jest poznawanie przez młodzież polską i węgierską historii i teraźniejszości obu krajów. Jak wspominałem pół żartem ten czas, to mówię, że wzięłem sobie łączenie tych dwóch narodów tak bardzo do serca, iż ożeniłem się z Węgierką.

Odnośnie doświadczenia pokoleniowego – według mnie to jednak wojna. Zdecydowanie. Mimo, że ona z definicji nie dotyczy wyłącznie młodszych pokoleń, tylko wszystkich. Wojna na Ukrainie – która tak naprawdę trwa ponad dekadę, ale szeroka ofensywa Rosji rozpoczęła się prawie co do dnia dwa lata temu – to było myślę dla osób w podobnym wieku, co ja, nie do pomyślenia.

To, że będą bombardowania kilka kilometrów od naszych granic, czasami okazywało się, że na terytorium Polski (przecież była ta sytuacja przy granicy). Taki jakby elektryczny szok, żebyśmy my, młodzi nie uważali, iż to wszystko jest dane raz na zawsze. Tak naprawdę pokój jest bardzo kruchy. Wystarczyłoby kilka nieszczęsnych wydarzeń, żeby już więcej go nie było. Myślę, że jako osoba urodzona w latach 90-tych, nie znająca w ogóle kontekstu wojny, stanu wojennego czy sytuacji ekstremalnej politycznie, odebrałem to jako sygnał, że należy mieć rękę na pulsie.

LS: Pan przyjechał z Belgii, siedziby instytucji Unii Europejskiej. Jak Pan postrzega napięcie między tendencją centralistyczną Unii i tendencją do podtrzymania suwerenności narodowej unijnych państw? Czy te dwa kierunki mogą się jakoś pogodzić?

SM: Krótka odpowiedź – nie. Odrobinę dłuższa jest taka, że w Belgii wychowałem się w takim duchu, kiedy – upraszczając – wszystko, co związane z Unią Europejską, było ciut idealizowane. Czyli Unia Europejska jest ponoć takim gwarantem wolności, równości, demokracji, bezpieczeństwa itd. W belgijskich, przynajmniej francuskojęzycznych mediach, brak jest spojrzenia troszkę bardziej krytycznego na te właśnie tendencje centralistyczne. Pracowałem przez pół roku dla pana Europosła Jacka Saryusz-Wolskiego, który jest teraz obecny w Krasiczynie na Europie Karpat – on świetnie podsumował na X-ie w chyba 100 tweetach konkretne konsekwencje, które niesie ze sobą centralizacja czy federalizacja UE. Doprowadziłaby do kompletnego pozbawienia państw członkowskich suwerenności w takich dziedzinach, które dotychczas były bezdyskusyjnie pozostawiane państwom narodowym. Mowa tu o bezpieczeństwie granic, edukacji, kwestiach światopoglądowych związanych z wychowywaniem przez rodziców dzieci, kwestiach tak zwanego zdrowia reprodukcyjnego, co jest w zasadzie furtką do otwarcia tematu aborcji. I chodzi o wiele innych dziedzin – politykę fiskalną, inwestycje – które tak naprawdę doprowadziłyby do – jak to pan Poseł Saryusz-Wolski nazywa – oligarchicznego superpaństwa. Trudno lepiej to ująć. Rzeczywiście, gdyby do takiego czegoś doprowadzono, to rząd w Warszawie byłby, mówiąc kolokwialnie, dekoracją.

LS: W zasadzie zarysował Pan teraz punkty na nieprzekraczalnej dla konserwatywnych kręgów czerwonej linii. A jeżeli dojdziemy do takiej czerwonej linii? Czy można sobie wyobrazić Polskę, Węgry, jakikolwiek kraj Europy Środkowej poza Unią?

SM: Wyobrazić sobie można oczywiście, tylko pytanie, czy jest to coś, do czego powinniśmy dążyć? Mogę się mylić, ale w moim odczuciu nie należy wychodzić z Unii Europejskiej, tylko ją właśnie reformować od środka. Pilnie. Sądownictwo to kluczowa kwestia. Teraz jest spór, ponieważ uważamy jako Polacy, przynajmniej w części, że to jest kwestia, którą należy rozstrzygać tutaj u nas. Jestem w stanie zrozumieć drugą stronę. Mam na myśli siły centralistyczne, które twierdzą, że świat jest w takiej sytuacji – mamy Chiny, Stany Zjednoczone, taką multipolaryzację – kiedy jest potrzebna koherencja, która nam umożliwi wypowiadać się jednogłośnie, jako jeden kontynent europejski. Nie podzielam tego punktu widzenia, ale jestem w stanie go zrozumieć i wysłuchać. Jednak on wiąże się z konsekwencjami, które nie są do końca dostrzegane. Dam jeden przykład – jeśli uznamy, że edukacja ma być edukacją europejską, czyli jednolitą w całej Unii, to jak wyglądałyby chociażby lekcje historii? Kto uczyłby ją Polaków? Profesor z Niemiec na przy-

kład? Troszkę ironizuję, ale trzeba się zastanowić, bo państwa mają różną historię, perspektywy, punkty widzenia na to, co się działo i dzieje – i to wydaje mi się absolutnie zdrowe. Motto Unii Europejskiej brzmi „Zjednoczeni w różnorodności” – to chyba powinno mówić samo za siebie.

LS: Bardzo dziękuję za rozmowę.

MAREK ANDRZEJ NATUSIEWICZ



Wywiad z dr inż. arch. Markiem Andrzejem Natusiewiczem

(ur. 1952) Urbanista, nauczyciel akademicki, członek rady Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej. W latach 1980-1988 działacz NSZZ "Solidarność", w czasie stanu wojennego współpracownik Solidarności Walczącej.

Lucie Szymanowska: Czy Pan jest wrocławianinem z urodzenia?

Marek Natusiewicz: Jestem urodzony we Wrocławiu, ale mama jest z Warszawy, a ojciec jest z pogranicza Polski i Białorusi, z Grodna. Dorastałem generalnie we Wrocławiu, poza tym, że co roku jeździłem do babci na Mazowsze i do dziadka ze strony ojca na Dolny Śląsk, do Jawora. Tam też przeżyłem największy szok poznawczy, kiedy w rodzinie dziadka mówiło się o Sowietach, a ja w szkole uczyłem się o Armii Radzieckiej. Jakoś mi to nie pasowało, bo daty się ciągle pokrywały, tylko ja nie rozróżniałem, o co chodzi. Potem już rozumiałem, że nazwy zależą od tego, skąd się pochodzi. Centralna Polska – tu Armia Radziecka jest do wyobrażenia, natomiast na Białorusi Sowietci, to też jest standard. Dzisiaj już ludzie rozumieją, że Rosja sowiecka i Rosja radziecka, to jest to samo.

LS: Czy można powiedzieć, że Wrocław jest Pańską pasją?

MN: Ojciec zawsze wspominał, że ja w wieku 5 lat byłem zafascynowany „urbanistyką”, czyli urbanistyką – i ostatecznie wyszło mi na stare lata, że rzeczywiście również owo „orba” ma swoje miejsce w moim życiu. Zastanawiam się, na ile to zbieg okoliczności, a na ile, powiedziałbym, przeznaczenie, jakieś wezwanie.

LS: Pańskim losem stała się więc nie tylko urbanistyka, ale również zainteresował się Pan Węgrami.

MN: Powiedziałbym – od urbanistyki do orbanistyki.

LS: Skąd się wzięło zainteresowanie urbanistyką, architekturą?

MN: Na to, że interesowało mnie zawsze planowanie przestrzenne, wpłynęła raczej tradycja rodzinna. Pamiętam, że od małego widziałem: „aha, tu jest miasto, tu góry, tu drogi, tu rzeki, a dlaczego to miasto jest tu?”. Zawsze mnie interesowało, że Wrocław leży nad pięcioma rzekami. Wiadomo – na wyspach łatwiej się obronić. Mamy więc Ostrów Tumski (który nie jest już Ostrowem Tumskim, gdyż nasi poprzednicy w międzyczasie zasypali kawałek rzeki i jest ona dzisiaj częścią ogrodu botanicznego). Ktoś przyjeżdża i pyta: „jaki to Ostrów? Przecież rzeka jest tylko z jednej strony”. Takie sztuczki zawsze mnie to interesowały i tak zostało. Skończyłem studia, zacząłem projektować. Jak chodzę po Starym Mieście we Wrocławiu, to pamiętam, że kiedy jako student rysowałem, miałem takie zadanie, „proszę rozwiązać dany kwartał”. Potem starsi koledzy to przekładali na dalsze projekty. Widzę że chyba lepiej rozwiązałem, niż potem zostało wybudowane.... Podczas wojny Wrocław był bardzo zniszczony. W związku z czym w mieście wytworzyła się technologia szybkiej budowy – w ogóle nie patrzono na odtwarzanie pierwotnej linii zabudowy, tylko budowano domy, żeby ludzie mieli gdzie mieszkać. Później, w połowie lat osiemdziesiątych zaczęto „plombować”, a dopiero w latach dziewięćdziesiątych zaczęto rozwiązywać narożniki. Kiedy mamy dziurę w elewacji w ciągu zabudowy, to plombę łatwo wstawić, ale jeżeli chodzi o narożnik, to zawsze mamy problem. Jak rozwiązać taki narożnik, gdzie przy jednej ulicy jest budynek w jednym stylu, a przy drugiej w innym? W przypadku plomby ściany są, trzeba wybudować tylko elewacje. Natomiast narożnik ma zawsze element kompozycyjny – to coś na osi, coś widoczne. Może stworzymy jakąś facjatę, może jakiś wykusz, może jakąś wieżyczkę ...

LS: Może sam Wrocław jest „narożnikiem”, miastem na styku kultur, różnych osi historyczno-kulturowych?

MN: Czy on jest narożnikiem... Kiedyś, w latach osiemdziesiątych, zastanawiałem się, na ile Wrocław jest polski, a na ile niemiecki. Wyszło mi, że niemiecki jest najmniej, był takim najkrócej. W tamtym czasie najdłużej był czeski, w ostatnich latach jednak już wahadło się przechyliło, a Wrocław najdłużej jest w Polsce.

LS: Polska, XX wiek. Czy jest takie wydarzenie, które wyjątkowo wpłynęło na Pańskie życie?

MN: Niewątpliwie 80. rok. Co prawda 31 sierpnia właśnie wracałem z grzybów, więc nie byłem na pierwszej linii frontu. W pracy jednak koledzy wkrótce zrobili zebranie. Stałem przy tablicy, trzymałem gąbkę, a kolega, u którego byłem na praktyce, pisał nazwiska. Mówi do mnie: „mogę wpisać twoje nazwisko?”. Odpowiedziałem: „jak uważasz, to wpisz”. Efekt był taki, że mając 1,5 roczny staż w biurze, zostałem wybrany szefem Solidarności... Wspomniany kolega – Andrzej Gretschel – to była bardzo, bardzo sympatyczna postać, człowiek, który uratował Stare Miasto we Wrocławiu.

LS: Jaka była Pańska droga od Solidarności do Solidarności Walczącej?

MN: Była wpieryw Solidarność. Listy, zebrania i tak dalej. Tak dobujaliśmy się do stanu wojennego. Wtedy też nie byłem bohaterem na pierwszej linii. Stwierdziłem, że nie będę się mocował z kimś, kto jest uzbrojony po zęby. Uważałem jednak, że historii nikt nie jest w stanie powstrzymać. Dla mnie było oczywiste, że tak, jak Kornel Morawiecki powiedział, Związek Radziecki... że go nie będzie i koniec. Później nastąpiło przesilenie w Solidarności i wtedy Józek Pinior powiedział tak: komisje zakładowe mogą decydować, czy płacą składki na Regionalny Komitet Strajkowy czy na Solidarność Walczącą. I moja komisja stwierdziła, że już koniec tego pobłażania. Trzeba się trochę pomocować z komuną. Zaczęliśmy więc płacić składki na Solidarność Walczącą. Gdy się później spotkałem z Kornelem, to on mi mówi: „tak, ty byłeś w Solidarności Walczącej”. Mówię: „wiesz, ja nie mam żadnej legitymacji” A on: „ale ja wiem, że ty byłeś”.

LS: Składki się liczą...

MN: Płaciliśmy składki i w ten sposób moja cała organizacja zakładowa była uznana za wspierającą. Zostańmy przy tym.

LS: Pozostańmy – i przenieśmy się do XXI wieku. Polska jest od 20 lat w Unii Europejskiej. Którą z obecnie omawianych koncepcji Unii uważa Pan za godną poparcia?

MN: Ja mam inne podejście. Rzeczpospolita.

Rzeczpospolita Obojga Narodów, to jest wzorzec, do którego powinniśmy dążyć. Trzeba tylko szukać możliwości przeprowadzenia tego „projektu”, to teraz tak się ładnie nazywa, projektu Rzeczpospolitej w ramach struktury europejskiej.

LS: Ponieważ unia już tutaj była – a trwała dłużej od tej obecnej?

MN: Tak, ona się po prostu sprawdziła. Na przykład nie było problemów narodowościowych, nie było problemów imigracyjnych. Polska chłoneła wszystkich obcych i nie było z nimi problemów. Dzisiaj się dowiadujemy, że ten pan to z pochodzenia Holender, a ten to prawosławny, a ten

kalwin, a ten Niemiec. Jakoś to nikomu nie przeszkadza.

LS: Czy są jakieś limity, poza którymi członkostwo w Unii Europejskiej już nie godziłoby się z polską racją stanu?

MN: Historia dowodzi, że po prostu nieszczerze projekty się nie sprawdzają. Socjalizm nie był zły. Polacy, generalnie rzecz biorąc, są w duchu socjalistami, to wynika poniekąd z katolicyzmu. Tyle że socjalizm, który nam zaproponowano, się wyczerpał. Przecież on nie został obalony, tylko on wyczerpał swoje siły żywotne, i tak, jak roślina pozbawiona wody, soków, obumiera, tak PRL też obumarł. On nie umarł, tylko obumarł. Przybrał jakąś karykaturalną postać, z którą nadal mamy do czynienia, ponieważ ciągle żyjemy, powiedziałbym, w cieniu tego drzewa, socjalizmu. Natomiast to, co Unia robi, no to robi na własne życzenie.

LS: Nieodrobiona lekcja historii?

MN: Dla mnie to jest towarzystwo nieuków. Historia Europy ma 2000 lat i jakoś to do nikogo nie dociera.

LS: Czy Pan sobie wyobraża Polskę poza Unią Europejską?

MN: Powiem tak: ja sobie wyobrażam Polskę w Europie, niezależnie od tego, jak się to będzie nazywało. Natomiast widzę, że po stronie Brukseli nie ma woli, żeby Europa była jednością. Nie może być ponownie takim samym układem, który był, kiedy istniał limes na Łabie i na Soławie. Jak ktoś chce do tego wrócić, to może próbować, tylko w historii nie ma powrotów do poprzedniego punktu. Tak się mówi, że historia się powtarza w karykaturalnej formie. Raczej widzimy właśnie tę karykaturalną formę, teraz Bruksela nam się jawi jako taki potworek Świętego Cesarstwa Rzymskiego połączonego z Rosją sowiecką. Jak to się da zjeść? Tego się nie da.

LS: Nie odtworzymy też kropka w kropkę Europy Środkowej Jagiellonów. Jednak zapytam: jak można przyczynić się do współpracy narodów Europy Środkowej i Wschodniej, i jaką rolę może tu odegrać cykl konferencji Europa Karpat?

MN: Uważam, że Europa Karpat, to jest dobry kierunek. Myślę, że już tyle tych konferencji było, iż warto byłoby się pochylić nad dotychczasowym dorobkiem, zamknąć to w jednym tomie i odpowiedzieć sobie na pytanie: „czy powiedzieliśmy już wszystko, co można było powiedzieć na ten temat?” Jeśli tak, to stwierdzić: „aha, czyli mamy zrobioną inwentaryzację – to tak mówiąc językiem urbanistów – inwentaryzację stanu istniejącego”. Teraz możemy przystąpić do projektów, tak jak po rozpoznaniu w urbanistyce możemy projektować miasto, drogi. Myślę, że jesteśmy właśnie teraz w tym momencie, kiedy trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: „no dobrze, to te Karpaty dzielą, czy nie dzielą?”. Jeżeli dzielą, to trzeba je przewiercić, żeby nie dzieliły.

LS: Dziękuję serdecznie za rozmowę.

MATYÁŠ ZRNO



Matyáš Zrno (1979), czeski dziennikarz, korespondent wojenny na Ukrainie, redaktor naczelny redakcji zagranicznej telewizji CNN Prima News, redaktor naczelny portalu Konzervativní noviny. W 2009 roku wiceminister ds. integracji europejskiej Republiki Czeskiej. W 2010 roku w ramach misji ISAF szef cywilnej części misji odbudowy prowincji Logar w Afganistanie. Kilukrotny uczestnik konferencji Europa Karpat.

LS: Czy można wskazać wydarzenie, przeżycie indywidualne czy pokoleniowe, które miało decydujący wpływ na Pańskie postrzeganie świata i na to, czym się Pan zajmuje?

MZ: Prawdopodobnie nie mógłbym wymienić jednej tylko rzeczy, takiego „płonącego krzewu” – takich doświadczeń było więcej. Dorastałem w późnych latach osiemdziesiątych, w czasach komunizmu. Dzień rozpoczynaliśmy z rodzicami słuchaniem Głosu Ameryki przy śniadaniu. Jako dziecko nie rozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi, ale w miarę szybko zacząłem ogarniać otaczający mnie świat i śledzić wydarzenia publiczne. Chłonałem rzeczy, które były zupełnym przeciwieństwem tego, czego nas uczono w szkole. Grasowałem w rodzinnej bibliotece, gdzie znajdowały się rzeczy opublikowane przed lutym 1948 roku (przewrót komunistyczny w Czechosłowacji – red.) lub też później, w latach sześćdziesiątych. Przysłuchiwałem się rozmowom rodziców i ich przyjaciół, którzy przychodzili do nas w odwiedziny. Od około 1985 roku mogliśmy z tatą odwiedzać jego rodziców na emigracji w RFN – całej rodzinie władze na wyjazd nie pozwa-

łały, mama zawsze musiała zostawać w domu jako „zakładniczka”. U dziadka czytałem stopy wydawnictw, które miał w bibliotece, m. in. emigracyjne Svědectví, które było świetnym czasopismem (czeski kwartalnik wydawany od 1956 w USA, później w Paryżu – red.). Poznawałem tam na przykład historię Solidarności z lat 1980-81, obszerny opis. Po raz pierwszy spotkałem się tam z tymi wszystkimi nazwiskami, o których później było głośno w przestrzeni publicznej. To było źródło mojej pierwszej wiedzy o sytuacji w Polsce. Oczywiście czytałem to wszystko jako swego rodzaju kryminał, przygody jakichś superbohaterów, gdyż byłem wtedy chyba ośmiolatkiem – ale niewątpliwie miało to ogromne znaczenie.

LS: Pański ojciec, Petr Zrno jest reżyserem filmów dokumentalnych, który w latach 80-tych nie mógł wykonywać swojego zawodu. Z jakiego powodu?

MZ: W 1985 roku odbyła się Narodowa Pielgrzymka do sanktuarium w Velehradzie na Morawach, która stała się jednym z największych antykomunistycznych protestów (150–200 tys. wiernych – red.). Komunistyczna służba bezpieczeństwa (STB) spodziewała się wysokiej frekwencji i kazała wcześniej nie tylko swoim ludziom, ale również pracownikom państwowej spółki Krátký film, gdzie był tata zatrudniony, dokumentować zgromadzenie, robić ujęcia twarzy uczestników. Tata odmówił i naraził się w ten sposób na kłopoty. Kiedy zakazano mu pracę w zawodzie, pomogli mu koledzy. Udało mu się, początkowo pod obcym nazwiskiem, nakręcić kilka edukacyjnych filmów dla Instytutu Oświaty Zdrowotnej. Chodziło więc o typową historię kogoś, kto był przeciwny reżimowi, a reżim o tym wiedział, jednak nie łączyło się to z jakimś dotkliwymi konsekwencjami typu praca w kopalni.

LS: Urodził się Pan w 1979 roku – wtedy właśnie w Pradze Roger Scruton zaczął organizować podziemne wykłady. Czterdzieści lat później, kiedy Scruton miał kłopoty w Wielkiej Brytanii, zorganizował Pan wśród czeskich intelektualistów petycję w jego obronie. Dla czego?

MZ: Po tym, jak stosunkowo wcześnie zdałem sobie sprawę z własnego konserwatywnego nastawienia, zacząłem śledzić pracę czeskiego think tanku Občanský institut, czytać jego publikacje. Jako student przyjechałem na zorganizowaną przez nich szkołę letnią. Občanský institut jest najstarszym konserwatywnym think tankiem w Czechach i ogólnie drugim najstarszym think tankiem w kraju po aksamitnej rewolucji 1989 roku. Wyłonił się ze środowiska latającego uniwersytetu, czyli seminariów mieszkaniowych, w których Scruton uczestniczył i które w znacznym stopniu ukształtował. W środowisku instytutu natychmiast zetknąłem się więc z nazwiskiem Scrutona. Początkowo był dla mnie postacią niemal mityczną, unoszącą się gdzieś wysoko. Potem, gdy sam zacząłem w instytucie aktywnie działać, gdzieś w 2004 roku, miałem okazję poznać Scrutona osobiście. Zdarza się, że te mityczne postacie okazują się zupełnie normalnymi, nienapuszonymi, zachowującymi się naturalnie ludźmi. Było to wtedy bardzo miłe spotkanie w kręgu instytutu, gdzie z szacunkiem słuchałem tego, o czym ci zacni panowie do siebie mówią. Potem, w 2019 roku, wydarzyła się owa absurdałna rzecz, kiedy w Wielkiej Brytanii, kolebce demokracji i wolności, Scruton został obrzucony błotem. Pomyślałem więc, że trzeba coś z tym zrobić i odwiedziłem kilka osób, które znały Scrutona z czasów opozycji antykomunistycznej – nie żyjącego

już dziś Ivana Havla, czyli brata prezydenta Václava Havla, Alexandra Vondrę, Pavla Bratinę, Petra Pitharta. Poprosiłem ich o podpisanie petycji. Ta akcja okazała się niezwykle interesującym wydarzeniem, swoistą „tour of the disent”, ponieważ przy tej okazji znalazłem się w dawnym mieszkaniu Václava Havla i w innych domach, gdzie dysydenci gromadzili się w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Nie wszyscy wśród sygnatariuszy petycji w obronie Scrutona są zdecydowanymi konserwatystami, są to po prostu przyzwoi ci ludzie, osobowości, które wtedy z przerażeniem obserwowały, co się w Wielkiej Brytanii zdarzyło, i petycję chętnie podpisały. Przekazaliśmy ją do brytyjskiej ambasady. Żona chorego już wtedy Scrutona wysłała nam później bardzo miły list z podziękowaniami.

LS: Podobnie jak Pragę, Roger Scruton odwiedzał również Polskę, Przemyśl, od lat 80 był też w kontakcie z węgierską opozycją. Co według Pana dziś łączy i co dzieli kręgi jego ówczesnych słuchaczy?

MZ: Myślę, że osoby z pokolenia, które przeszło przez jego formację, nawet jeśli w niektórych kwestiach mogły się rozejść, nadal są w stanie z sobą rozmawiać, i to dzięki wspólnej przeszłości. Były to niezmiernie ważne lata formacyjne, co pewnie pomaga przewycięzać wszelkie możliwe różnice. Przynajmniej tak to obserwuję w Czechach. Nie wiem dokładnie, na kogo miał wpływ na Węgrzech i w Polsce. Dopiero biorąc udział w panelu o Scrutonie na konferencji Europa Karpat, dowiedziałem się, że był on aktywny także w Przemyślu. Myślę, że zarówno polscy, jak i czescy uczestnicy tego panelu byli zaskoczeni zakresem jego działalności. Czy jego spuścizna będzie nas nadal łączyć, w miarę jak będzie rosła odległość czasowa od jego aktywnego zaangażowania – zobaczymy. Oczywiście książki i idee Rogera Scrutona pozostaną.

LS: W 2010 roku pracował Pan w Afganistanie. Jak odczuwał Pan różnicę między cywilizacją Zachodu i islamu?

MZ: Do Afganistanu wyjeżdżałem bez złudzeń, mając wcześniejsze doświadczenia z różnych niezachodnich krajów. Wiedziałem, jak duże są różnice kulturowe. A jednak ich rozmiar w przypadku Afganistanu mnie zaskoczył. Nie chodzi tylko o to, jak z zachodniego punktu widzenia postrzegamy cywilizację islamską. Chodzi także o fakt, że Afganistan jest nadal do pewnego stopnia społeczeństwem plemiennie-klanowym, które nie przeszło klasycznej ewolucji w państwo narodowe. Istnieje tam niezwykle słaba koncepcja narodu obywatelskiego – ludzie uważają się przede wszystkim za członków własnej rodziny, klanu, plemienia, a dopiero gdzieś w kolejnym, odległym planie są ewentualnie również obywatelami państwa. Tam można było zrozumieć, że tak często wyszydzane państwo narodowe ma ogromne zalety w przewyciężaniu partykularnych tożsamości, prowadzących nierzadko do pewnego sekciarstwa, do sporów etnicznych, religijnych. Co zresztą bardzo często powtarzał właśnie Scruton – że państwo narodowe pozwala nam żyć w pewnej sąsiedzkiej wspólnocie. Dopiero tam zobaczyłem, że dopóki istnieje „przedpaństwowe” społeczeństwo z plemiennymi tożsamościami, to próba funkcjonowania jako państwo we współczesnym globalnym świecie jest niezwykle skomplikowana. Po powrocie do domu widziałem też wszystkie problemy naszego kraju w znacznie subtelniejszych odcieniach, gdyż to, co obserwowałem w Afganistanie, to była naprawdę tragiczna rzeczywistość.

LS: Wtedy kryzys migracyjny nie rozpoczął się jeszcze na dobre, przynajmniej w Europie Środkowej nie odczuwaliśmy jeszcze bezpośredniego wpływu tamtejszej rzeczywistości na nasze życie...

MZ: W Afganistanie zdałem sobie sprawę, że ludzie wokół mnie mają całkowicie odmienne usposobienie – oraz że jeśli osoby z taką mentalnością nagle się zabiorą i przyjadą na przykład do Niemiec, nie może się to dobrze skończyć. Oczywiście nie chcę uogólniać, musimy jednak zdać sobie sprawę, że zdecydowana większość elity intelektualnej, która w tym kraju oczywiście również była, lub ludzie, którzy mają lepsze predyspozycje do życia na obczyźnie, opuścili Afganistan już podczas poprzednich 45 lat wojny. Tak więc ci, którzy wyjeżdżają obecnie, mają raczej niższy status społeczny i wykształceniowy.

LS: W nowej kadencji unijnej będzie główny nurt w Europie prawdopodobnie nadal naciskać na pakt migracyjny, a także na zmianę traktatów w kierunku centralizacji. Czy jakieś siły polityczne w Europie Środkowej mogłyby stworzyć alternatywę wobec tych dążeń?

MZ: Trudno jest stworzyć coś wbrew głównemu nurtowi, ponieważ zawsze istnieje ryzyko pewnego rodzaju skrajności, niezależnie od tego, czy dane ugrupowanie rzeczywiście w nią popadnie, czy tylko będzie o ekstremizm oskarżane. Z tego właśnie powodu wiele osób, które tak naprawdę mają zastrzeżenia wobec głównego nurtu, jednak dystansuje się od przeciwstawiających się mu ugrupowań. Trzeba tu w bardzo skomplikowany sposób równoważyć. Chcąc coś zmienić, trzeba też pozyskać jakąś część elit, jakąś część klasy średniej, powiedzmy jakieś centrum, ponieważ w walce politycznej zawsze stoi mniejsza zdecydowana grupa po jednej stronie, mniejszą zdecydowana grupa po drugiej stronie, a większość ludzi jest w takiej przestrzeni „pomiędzy”. Tych trzeba pozyskać, a jeżeli powstanie gwałtowna, radykalna grupa, to nigdy nie będzie ona miała wystarczającej siły, by cokolwiek zmienić. Oczywiście, inaczej może się dziać w przypadku niektórych dramatycznych konfliktów, kiedy ludzie czują, że stawka jest wysoka. W jakiejś mierze widzimy to teraz we Francji, ale nawet tutaj zauważmy, że aby dotrzeć do miejsca, w którym się znajdują, Stowarzyszenie Narodowe i Marine Le Pen musiały złagodzić swoją retorykę – co rzeczywiście doprowadziło do znacznego wzrostu ich poparcia. Bardzo problematyczna jest zatem próba dokonania „umiarkowanego postępu w granicach prawa”, jak powiedziałby czeski pisarz Jaroslav Hašek, czyli próba osiągnięcia czegoś metodą drobnych kroków. Ale jest to do zrobienia. Pamiętajmy, że osiągnięto rzeczy, które jeszcze niedawno były niemożliwe, takie jak rehabilitacja energetyki jądrowej czy znacząca zmiana zakazu stosowania silników spalinowych. Stało się tak właśnie dzięki umiarkowanie eurosceptycznej grupie Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Radykałowie w Parlamencie Europejskim, tacy jak Grupa Tożsamość i Demokracja, nie wynegocjowali zbyt wiele. Oczywiście, kompromisy dotyczą też wielu innych kwestii, jest to po prostu trudne.

LS: Jedną z takich trudnych kwestii jest problematyka Ukrainy.. Podejście do wojny dzieli środkowoeuropejskich konserwatystów. Czy widzi Pan jakiś sposób na zniwelowanie tego podziału?

To skomplikowana sprawa, ponieważ dla wielu ludzi, wspierających Ukrainę, chodzi o fundamentalną kwestię. To coś, nad czym nie trzeba się długo zastanawiać, jest to całkowicie instynktowne: po prostu Rosja jest wrogiem, w naszym interesie jest być jak najdalej od niej, a zatem musimy wspierać Ukrainę. Tak to też rozumie czeska obywatelska prawica. A potem przyjeżdżasz na Węgry i ludzie, z którymi ogólnie dogadujesz się we wszystkim, są jakby w innym wszechświecie, raptem patrzymy jeden na drugiego z całkowitym niezrozumieniem. Trudno to przewyciężyć. Jednak polityka, to rzecz pragmatyczna – potrafię sobie wyobrazić, że wiele ugrupowań w Europie Środkowej może w pewnych konkretnych rzeczach znaleźć wspólny mianownik, choć w innych to się nie udaje. Z drugiej strony wszyscy wiemy, że Viktor Orbán potrafi świetnie grać na poziomie europejskim, że jest wielkim pragmatykiem. Nadal uważam, że gdyby europejski establishment w przeszłości nie atakował Węgier – moim zdaniem całkiem niepotrzebnie i historycznie – gdyby nie blokował funduszy UE, to Węgrzy byłiby w sprawie pomocy dla Ukrainy bardziej skłonni do zaakceptowania pewnej klauzuli opt-out.

LS: Lubi Pan górskie wędrowniki. Czy odbywają się również w Karpatach?

MZ: Jeżeli chodzi o Karpaty, to mam jeszcze wiele do nadrobienia. Moją wielką miłością są Bałkany, tam jeżdżę w góry najczęściej. Przez Karpaty tylko przejeżdżam w drodze na Ukrainę – kiedy jadę przez Słowację, podróżuję przez Zakarpacie, a kiedy jadę przez Polskę, widzę góry z daleka. Byłem też kilka razy w Białych Karpatach u nas, na granicy czesko-słowackiej. To ładne góry, ale nie trzytysięczniki.

LS: Góry często tworzą granice państw, mogą łączyć i dzielić. A konferencja o Europie Karpat – czy może ona łączyć ludzi regionu?

MZ: Wszystkie naturalne jednostki, które istniały tu na długo przed granicami, w czasach, gdy pasterze i kupcy przekraczali je w sposób całkiem naturalny tam, gdzie dziś przebiegają linie graniczne, miały sens. Na przykład pierwotnie zupełnie naturalne było chodzenie na targi w miejscach, w których dziś nie mogą funkcjonować, ponieważ przeszkadza w tym granica. Uważam więc, że słuszne jest, kiedy w ramach możliwości jest przywracana owa pierwotna naturalna spójność. Kiedy na przykład przekraczam granicę między Słowacją a Ukrainą, a w mniejszym stopniu między Polską a Ukrainą, wyraźnie widzę, jak sztucznie wytyczono tam granicę i jak przerywa ona naturalne przepływy komunikacyjne. Choć tak naprawdę nie wiem, czy życzyłbym Ukrainie członkostwa w Unii Europejskiej i całego szeregu trudnych spraw, które się z tym wiążą, to jednak, jeśli życzę jej akcesji, to po to, by jej obywatele nie musieli już przechodzić przez takie straszne kłopoty na granicy.

LS: Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Lucie Szymanowska

ROZMOWY, KRÓTKIE REFLEKSJE

IMRE MOLNÁR



Jak wolni z wolnymi i równi z równymi

Rozmowa z dr. Imre Molnárem, węgierskim historykiem, socjologiem, pisarzem, dyplomata, znawcą polskich spraw. 13. 06. 2022 r.

Rozmowa została nagrana w Budapeszcie, gdzie odbyła się dyskusja panelowa w ramach inauguracji Klubów Europy Karpat w kawiarni Scruton, na temat stosunków polsko-węgierskich. Udział w niej wzięli m.in. Ryszard Terlecki – wicemarszałek Sejmu RP, Marek Kuchciński, b. Marszałek Sejmu, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych, Bogusław Sonik, poseł na Sejm RP, Zsolt Németh, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Zgromadzenia Narodowego Węgier, Balázs Orbán, wiceminister w kancelarii premiera Węgier oraz goście – opozycjoniści systemu komunistycznego. Moderatorem dyskusji był dyrektor Instytutu im. Wacława Felczaka, profesor Maciej Szymanowski.

Przesłanką do spotkania było przypomnienie wielkiego filozofa konserwatywnego Rogera Scrutona, który w latach 70. i 80. angażował się w działalność niezależną w Europie Środkowej, na Węgrzech, w Polsce i ówczesnej Czechosłowacji: „serce filozofa bije w Europie Środkowej, on rozumiał tamtejszą specyfikę duszy, historii i kultury” naszych narodów.

Podczas tej debaty rozmawiano głównie o stosunkach dwustronnych, także w kontekście wojny na Ukrainie i sytuacji w UE, o interesach narodowych i suwerenności. I o potrzebie spotkań takich jak w Klubach Europy Karpat, o przekonaniu, że silna współpraca polsko-węgierska umacnia także całą Europę Środkową. Przypominając piękne wydarzenia wspólnej historii, wielkie postaci i na zasadzie jak wolni z wolnymi i równi z równymi.

Przy okazji tego spotkania redakcja Archiwum Wolności przeprowadziła rozmowę z dr Imre Mol-

nárem, dyplomatą węgierskim, historykiem, polonistą, autorem książek o Jánosie Esterházym „Zdradzony bohater” i „Ułaskawiony na śmierć. Zapiski Marii Mycielskiej”, jego siostry. Jest także uczestnikiem prac beatyfikacyjnych Jánosa Esterházego. János Esterházy (1901-1957), hrabia niezłomny, pochodził z węgiersko-polskiej rodziny Esterházych i Tarnowskich, antykomunista i wielki przyjaciel Polaków, należy do tych wielkich ludzi, którzy tworzą panteon Ludzi Wolności Europy Środkowej.

- Piotr J. Pilch. Proszę nam przybliżyć sylwetkę Jánosa Esterházego?

- Imre Molnár. János Esterházy, pół-Węgier, pół-Polak, polityk i dyplomata został męczennik komunizmu. Urodził się w 1901 r. w Nyitraújlak (dzisiaj Velké Zálužie na Słowacji) na Królewskich Węgrzech. Pochodził z dwóch arystokratycznych rodów: po mieczu z Esterházych, po kądzieli z Tarnowskich. I kulturował najlepsze tradycje obu narodów.

Gdy w 1920 r. Węgry straciły znaczną część terytorium, ponad 3 miliony ich obywateli węgierskiej znalazło się poza granicami swojego państwa. Majątek Esterházych był w obrębie Czechosłowacji, a po 1938 r. Słowacji. Kiedy w 1938 r. Węgry odzyskały większość utraconych terytoriów, Esterházy pozostał na Słowacji. Przez cały czas konsekwentnie bronił praw mniejszości węgierskiej jako poseł, najpierw w praskim, a następnie w bratysławskim parlamencie. Ale również konsekwentnie przypominał także władzy węgierskiej o prawach słowackiej mniejszości mieszkającej na Węgrzech.

Cały czas utrzymywał kontakt z częścią swojej polskiej rodziny, która mieszkała w Polsce. Po I. wojnie światowej liczni jej członkowie piastowali wysokie stanowiska państwowe, dlatego wcześniej nawiązał kontakty z przedstawicielami polskiego życia politycznego. Wiceminister spraw zagranicznych Jan Szembek, powinowaty Esterházyego, w latach 1921-1924 był pierwszym ambasadorem niepodległej Polski na Węgrzech. Według sporządzonej w latach trzydziestych notatki Adama Sapięhy, minister spraw zagranicznych Józef Beck przyjmował hrabiego Esterházyego bez zapowiedzi, jeżeli ten takiego spotkania potrzebował. Jako węgierski działacz narodowościowy Republiki Czechosłowackiej Esterházy współpracował też z Leonem Wolfem, przewodniczącym Związku Polaków na Zaolziu, które w 1919 r. znalazło się w granicach czeskich.

Po niemieckiej agresji na Polskę w 1939 r. i jej klęsce organizował przerzut polskich żołnierzy na Węgry, a tam zakwaterowanie dowództwa Wojska Polskiego i opiekę nad polską ludnością cywilną. To on pomógł gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu przedrzeć się do Budapesztu i umożliwić przedostanie się do Paryża, gdzie generał został członkiem polskiego rządu na uchodźstwie.

W czasie II wojny ratował Żydów. Ukrywał ich w swoim majątku Újlak. Jako jedyny wśród obecnych posłów parlamentu słowackiego nie głosował za ustawą o deportacji ludności żydowskiej. Poszukiwało go gestapo. Musiał przez jakiś czas ukrywać się w Bratysławie.

Najstraszliwsze doświadczenia spotkały Jánosa Esterházyego jednak nie w czasie wojny, lecz po jej zakończeniu. Gdy po przejściu frontu wyszedł z bratysławskiej kryjówki, ówczesny komisarz Gustáv Husák aresztował go i wydał bratysławskiej komendanturze NKWD. Esterházyego wraz

z dziesięcioma osobami w czerwcu 1945 r. przewieziono do moskiewskiego więzienia na Łubiance. Wszystkich oskarżono o spisek przeciwko Związkowi Sowieckiemu i skazano na wiele lat przymusowej pracy. Esterházyego na dziesięć.

W moskiewskim akcie oskarżenia pojawił się i wątek związany z Polską. Esterházy bowiem potępił sowiecki mord na polskich oficerach, których ciała odnaleziono w katyńskim lesie, w wydawanych przez siebie bratysławskich gazetach węgierskich. Został i za to skazany.

Po wyroku przewieziony został do łagrów Książ Pogost w Republice Komi i w Rokpoście, potem do fabryki porcelany. Nabawił się gruźlicy i ołowicy. Bliscy nie wiedzieli nic o jego losie do 1948 r.

Po skazaniu Esterházyego na śmierć w 1947 r. w Bratysławie czechosłowackie władze poprosiły o jego ekstradycję, która nastąpiła w lutym 1949 r. Prezydent Czechosłowacji Klement Gottwald zmienił wyrok na dożywotnie więzienie. Ciężko chory Esterházy był więziony do śmierci w 1957r.

Poza współwięźniami i oprawcami jedynym świadkiem zadawanych mu cierpień była jego siostra Maria Mycielska, która bezskutecznie starała się o skrócenie lub złagodzenie kary. Po śmierci brata komunistyczne władze odmówiły jej wydania jego prochów.

O miejscu przechowywania szczątków Jánosa Esterházyego historycy dowiedzieli się dopiero w 2007 r. Wszystko wskazuje na to, że urna z jego prochami znajdowała się w magazynie praskiego więzienia Pankrác. W 1965 r., wraz ze szczątkami innych ofiar, umieszczono ją w zbiorowej mogile w Pradze czeskiej. Nie pozwolono też na pogrzeb, który odbył się dopiero 70 lat po ogłoszeniu wyroku śmierci oraz 60 po jego odejściu z tego świata. Zgodnie z jego wolą został pochowany w rodzinnych stronach, w Dolnych Obdokowcach koło Nitry. Kościół zbudowany nad jego grobem jako miejsce pamięci jest obecnie odwiedzany przez licznych pielgrzymów z Polski, Węgier i Słowacji.

W 2009 r. za niesienie pomocy polskim uchodźcom w czasie II wojny światowej János Esterházy został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Instytut Yad Vashem w Jerozolimie przyznał mu dyplom Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. A kapituła ADL w New Yorki nadała mu Nagrodę Jana Karskiego Za Odwagę i Służbę („Jan Karski Courage to Care Award”).

W 2019 r. w Krakowie przez arcybiskupa metropolitę Marka Jędraszewskiego rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny.

PJP: z Europą Środkową związanych jest wielu wybitnych ludzi. Dzisiaj w Budapeszcie rozmawiano w duchu myśli Rogera Scrutona. A czy i w jaki sposób János Esterházy może być wzorem do naśladowania dla młodych ludzi w czasach współczesnych?

IM: Chociaż Esterházy pochodził z wysokiej rodziny arystokratycznej, nie domagał się uprzywilejowanego traktowania. Nie pozwalał nazywać się hrabią i był bardzo wrażliwy na los bied-

nych i bezbronnych ludzi. Zawsze znajdował sposoby, by im pomóc. Dobrym przykładem na to jest jego postawa wobec polskich uchodźców. Kiedy premier Węgier Pál Teleki nie wyraził zgody na przemarsz przez Węgry niemieckich i słowackich oddziałów i na transport niemieckiej amunicji, dla słowackiego rządu ta decyzja stała się pretekstem do wrogich zachowań w stosunku do zamieszkujących Słowacji Węgrów. Wobec Esterházyego zastosowano nadzór policyjny w Bratysławie, gdyż pomagał polskim uchodźcom na Węgrzech i sprzeciwiał się oficjalnej słowackiej polityce. Działający w Budapeszcie Węgiersko-Polski Komitet do spraw Uchodźców organizował i nadzorował przyjmowanie uchodźców cywilnych, a z początku także wojskowych. Esterházy pozostawał jego członkiem pod nazwiskiem swojej żony, które brzmiało Jánosné Esterházy. W ten sposób mógł wspierać uchodźcze instytucje działające na Węgrzech, między innymi szkołę polską nad Balatonem w Balatonboglár, w której – jako jedynej w Europie Środkowo-Wschodniej – można było uzyskać polską maturę. Działalność Esterházyego w tym Komitecie stanowiła dla niego – obywatela słowackiego – poważne ryzyko. Chociaż często doświadczał prześladowań ze strony władz, zawsze wybierał trudniejszą drogę. Mógł uciec, przynajmniej na Węgry, kilkakrotnie miał też możliwość uniknięcia ciężkich życiowych prób, wybierając łatwiejsze życie. Za każdym razem wybierał jednak wierność prawdzie i trwanie przy ojczystej ziemi i przy swym narodzie, który traktował jak rodzinę. Jeszcze przed wojną pisał: „Ani przez moment nie przemknęła mi taka myśl, ponieważ nierozzerwalnie zrosłem się z tą glebą, na której bujała się moja kołyska, i z której losem, szczęśliwością zlała się nawet najmniejsza cząstka mej duszy, mego serca, całe moje ja, cała osobowość, każda moja myśl, pragnienie i nadzieja”. Fundamentem trwałych postanowień oraz konsekwentnego ciągu świadomych decyzji o służbie i poświęceniu była żywa wiara w Chrystusa. One też kształtowały moralną postawę Sługi Bożego. Węgrów, z którymi pozostał na Słowacji, prosił: „Ani na moment nie traćmy sprzed oczu wielkiego skarbu naszego serca, naszej duszy, jakim są nasza narodowa tożsamość oraz wiara w naszego Pana Chrystusa. Pielęgnowmy ten skarb, chrońmy go, bo jest on jedynym pozytywnym bogactwem, którego nikt nam nie może odebrać, a którego cudowna moc pomoże nam przetrwać choćby i najcięższe próby”. Czytając te szczegóły, możemy zadać sobie pytanie: czy możemy kochać naszą ojczyznę w ten sposób, czy możemy również takim oddaniem podtrzymywać wiarę i dziedzictwo naszych przodków?

PJP: Jak Pan widzi w obecnych czasach rolę młodych ludzi, w jaki sposób powinni angażować się w sprawy społeczne?

IM: To wspaniałe pytanie. Moja córka zapytała mnie kiedyś: „Tato, ty walczyłeś z komunistami, z dyktaturą. Miałeś jakiś sens w życiu. A teraz? Przeciwno czemu trzeba walczyć?”. Odpowiedziałem, że nie należy szukać przeciwko czemu, ale w interesie czego, bo zawsze znajdzie się sprawa, za którą trzeba walczyć. Chrześcijańska cywilizacja, która jest znowu zaatakowana, potrzebuje obecnie obrony i świadectwa. Sądzę więc, że każda generacja ma swoje wyzwania. Choćby przyjaźń polsko-węgierska, która w każdym wieku wymagała czegoś innego, żeby ją budować, utrzymać. Młodzi ludzie mają do odegrania ogromną rolę, aby wynaleźć na nowo dla siebie, dla przyszłości dalszą transmisję tej przyjaźni.

PJP: Czy współpraca polsko-węgierska jest obecnie wystarczająco silna w obliczu nara-

stających problemów, wojny w Ukrainie? A może moglibyśmy zrobić coś więcej, aby tę współpracę jeszcze bardziej rozwinąć?

IM: Ktoś na dzisiejszej konferencji trafnie powiedział, że żyjemy w czasie próby dla przyjaźni polsko-węgierskiej. Rzeczywiście, łatwiej jest mówić niż praktycznie korzystać z tego kapitału przyjaźni. Czułem ogromny lęk, że stoimy przed wielką próbą, bo świat jest coraz bardziej dywergentny, a nie konwergentny. Nie była to odosobniona obawa, moi koledzy poloniści i przyjaciele Polski myśleli podobnie. Pół wieku budowaliśmy tę przyjaźń, robiliśmy wszystko, żeby ją umocnić, a tutaj... wojna. Dlatego bardzo się cieszę z wizyty przedstawicieli polskiego Sejmu, że pan marszałek Kuchciński i pan wicemarszałek Terlecki wzięli sprawy w swoje ręce, że nie tylko przez przekazy medialne rozmawiamy ze sobą, ale również osobiście.

Bardzo ważny jest szczerzy głos, nawet krytyczny, ale z tą świadomością, że idzie nam o wspólną sprawę. A więc szczerść, to po pierwsze. Po drugie, tak jak pan marszałek Kuchciński bardzo trafnie powiedział, jesteśmy zobowiązani do dyskusji. Bez rozmowy, bez tego, że mówimy sobie to, co myślimy, że wyjaśniamy problemy czy rozwiązujemy sytuacje konfliktowe, bez tego przyjaźń nie istnieje. Bez szczerości poruszamy się w jakiejś wirtualnej teorii, a przyjaźń sprawdza się w życiu praktycznym, pokazuje wtedy swoje walory, swoją moc. Mam nadzieję, że dzisiejszy wieczór będzie drogowskazem nie tylko dla polityków, ale również dla intelektualistów, że trzeba się spotykać, rozmawiać, słuchać.

Byłem studentem, kiedy wybuchła Solidarność. Zaczęli strajkować moi koledzy, polscy studenci. Chcieliśmy to zobaczyć i doświadczyć na własne oczy. Pojechaliśmy do Warszawy, do Krakowa, do Łodzi i dyskutowaliśmy tam z naszymi kolegami do rana. Pamiętam jeden wieczór, kiedy mi ze zmęczenia krew z nosa leciała, ale musieliśmy te ważne tematy omówić. Z tych dyskusji wyrosła generacja, która rozwinęła sprawy polskie na Węgrzech, która próbowała przekazywać te wartości, jakie wtedy otrzymaliśmy, ponieważ zdaliśmy sobie sprawę, że potrzebujemy siebie nawzajem, że w samotności nic nie zdołamy. Sądzę więc że tylko tą drogą możemy iść dalej.

PJP: W takim razie jak według Pana powinna za 20 lat wyglądać Europa Środkowa? Czy obecne inicjatywy, które podejmujemy, Europa Karpat, Trójmorze, są wystarczające? A może powinniśmy zrobić coś więcej dla integracji tego regionu?

IM: Podczas dzisiejszej dyskusji pojawiło się hasło „łamanie barier”. Niestety, dzisiejsza Europa Środkowa ma jeszcze dużo barier, przede wszystkim sentymentalnych, historycznych z ubiegłego wieku, które nie zostały przepracowane podczas komunizmu, bo zostały wtedy zamiecione pod dywan.

Tyle jest interpretacji wydarzeń, które rozegrały się w XX wieku w Europie Środkowej, ile jest narodów. Nie mamy wspólnego języka na opowiedzenie naszej historii, bo mimo tego, że każdy naród przeżył ją sam, to jednak ona była wspólna, rozgrywała się tuż obok. Nie wypracowaliśmy kompromisu, nie nauczyliśmy się szanować innego spojrzenia, a każdy naród ma prawo do własnej interpretacji. To żałosne, jak mało wiemy o historii

i wartościach sąsiadów, a tylko w ten sposób możemy poznać ich duszę i sposób myślenia. W rezultacie jesteśmy sobie prawie obcy. Nie mamy nawet wspólnego kanonu literackiego. Musi być jednak również jakaś wspólna interpretacja, bo jeżeli nie, to własne przekonania będą jak magazyn broni. Wtedy będzie można strzelać i strzelać do drugiego narodu z tego powodu czy uważamy coś za prawdę, czy za nieprawdę. Nie wystarczy, że kiedyś były komisje międzynarodowe, to wy, młodzi, musicie znaleźć nowe forum, nowe płaszczyzny, na których można się spotykać, dyskutować. Bez wyjaśnienia przeszłości nie ma realnej możliwości współpracy w teraźniejszości i bardzo trudno wyobrazić sobie przyszłość.

Nie wystarczą gospodarcze interesy. Oczywiście, każdy chce żyć lepiej, to nas łączy, można tak uogólnić, ale żaden naród bez podstawy, jaką są wartości, nie może planować swojej przyszłości. To jest przekaz dla nas od naszych wspólnych świętych, naszych historycznych bohaterów. József Attila poeta, bohater węgierski, pisał, że to jest wojna z sobą, z własnymi przekonaniem na temat drugiego człowieka, ale wojna w interesie przyszłości. Więc ja wyobrażam sobie idealną Europę Środkową tak, że nie boimy się jeden drugiego, mamy wzajemne zaufanie, jesteśmy z siebie dumni, a nie zazdrośni, czujemy się u innych jak u siebie w domu, ubogacamy się wartościami drugiego człowieka, dorobkiem drugiego narodu i sami potrafimy naszą kulturą ubogacić inny naród.

PJP. Chciałem zapytać jeszcze o Przemyśl. Czy rzeczywiście to miasto jest tak znane i ważne dla Węgrów jak się dowiedzieliśmy podczas pobytu w Pana ojczyźnie?

IM: Przechodząc przez most Świętej Małgorzaty w Budapeszcie widać Pomnik Obrońców Twierdzy Przemyśl. Nie ma na tym pomniku nazwy innego miasta. Trzydzieści tysięcy Węgrów zginęło pod Przemyślem podczas pierwszej wojny światowej. Jest to dla nas ziemia święta. Na południe od miasta jest pochowanych 70 tysięcy węgierskich żołnierzy, którzy walczyli w pierwszej oraz w drugiej wojnie światowej przeciwko Rosji. To nie jest dla nas tylko takie sympatyczne, bardzo piękne, pejzażowe miejsce, ale jest ono dla Węgrów symboliczne, ogromnie ważne. Poeci tu walczyli, Géza Gyóni, tworzył tutaj przepiękne wiersze, Ferenc Molnár, jako korespondent wojenny, stał się tutaj naprawdę wielkim pisarzem. W Przemyślu rodziła się miłość, młodzi się zakochiwali. Tutaj mieszkał z rodziną Emanuel Korompay, oficer węgierski, węgierska ofiara mordu katyńskiego. Jestem bardzo wdzięczny, że jako attaché kulturalny w Przemyślu mogłem doprowadzić do odsłonięcia tablicy pamiątkowej na murze cmentarza na Zasaniu. Mam wielu przyjaciół w Przemyślu i bardzo się cieszę, że jest to miasto, do którego Węgrzy coraz bardziej pielgrzymują.

PJP: jakie konkretne działania by Pan radził, w czasach dzisiejszych - nam, pokoleniom, które wchodzi w życie dorosłych? Mówił Pan o potrzebie wspólnej historii, o wartościach. Co jest najpilniejsze do podjęcia w tych obszarach? Czy przypominanie ludzi wybitnych, zasłużonych dla wolności takich jak János Esterházy, czy Roger Scruton? Kogo warto jeszcze wpisać do tego Panteonu, z których możemy czerpać wzory?

IM: Dopiero w ostatnich czasach powstały instytucje (Instytut i Fundacja im. Wacława Felczaka), których zadaniem jest wspieranie i budowanie przyjaźni węgiersko-polskiej. Wcześniej zadanie to realizowali ludzie, którzy uważali to za swoje powołanie. Jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że po węgierskiej edycji, dzięki publikacji IPN-u mamy teraz polską edycję „Polsko-Węgierskie mosty przyjaźni”. Prezentuje ona blisko 40 węgierskich i polskich osobistości, których dorobek życiowy w znaczący sposób przyczynił się do pogłębienia i rozwoju przyjaźni między naszymi narodami. A co najważniejsze, biografie tych bohaterów obejmują osoby reprezentujące różne profesje, od dyplomatów i duchownych po sportowców, żołnierzy i tłumaczy literatury. Nie jest więc tak, że nasza przyjaźń jest przywilejem lub hobby pewniej uprzywilejowanej klasy. Jeśli szukasz wzoru do naśladowania, w tej książce znajdziesz ten, który jest najbliższy twojej osobowości i najbardziej sympatyczny. Lista nazwisk jest długa, ale nie sposób ich tutaj wymienić. To był dla mnie wielki zaszczyt poznać kilku z nich osobiście.

Jednocześnie każde pokolenie ma swoje własne problemy i wyzwania do rozwiązania. Mogą one być podobne lub różne od tych, z którymi borykały się pokolenia poprzedzające nas. Z pewnością łatwiej jest znaleźć rozwiązanie poprzez wspólny wysiłek niż w izolacji i samotności. Jestem również pewien, że przyjaźń nie rodzi się i nie trwa w teorii, ale w praktyce poprzez osobiste relacje. W sytuacji, na którą musimy odpowiedzieć tu i teraz, oraz z postaw i zachowań, które rodzą relacje międzyludzkie. Ale żeby tak się stało, konieczne są spotkania. Jeśli więc mógłbym coś zasugerować, byłoby to prośba do stworzenia jak największej liczby okazji dla młodych Węgrów i Polaków do spotkania się i wzajemnego poznania wartości, nauczania naszej przeszłości, naszego myślenia i naszych dusz.

Przyjaźń węgiersko-polska nie ma wspólnego podręcznika, wspólnej książki historycznej, więc trzeba ją napisać. Niewiele jest takich platform i forów, na których moglibyśmy dyskutować o wspólnych zadaniach, które nas czekają, więc musimy stworzyć te okazje do spotkań itp. Jako chrześcijanin i wierzący, wiem i wierzę, że mamy tak wielu wspólnych świętych, bohaterów i męczenników, że jeśli zaangażujemy się w podążanie ich śladami, z pewnością otrzymamy niebiańskie błogosławieństwo i wsparcie. Z tego powodu mogę jedynie zachęcić i wezwać do wspólnej pracy, która z pewnością położy fundamenty pod przyszłą kontynuację przyjaźni węgiersko-polskiej.

Powodzenia, Przyjaciele!

JÁN HUDACKÝ



Rozmowa ze słowackim politykiem, menedżerem, posłem do Parlamentu Europejskiego, konsulem honorowym Rzeczypospolitej Polskiej w Preszowie.

III Forum Słowacja-Polska, pt. Współpraca – klucz do dobrosąsiedzkich relacji i pomyślnej przyszłości, Słowacja, Bardejovske Kúpele, 15 czerwca, 2022 rok

Piotr Pilch jun.

- Jesteśmy na III Forum słowacko-polskim, tym razem w Bardejowskich Kupelach, słynnym uzdrowisku i rozmawiamy o współpracy. Czym się ona obecnie charakteryzuje w naszych dwustronnych stosunkach?

Ján Hudacký:

Każde spotkanie przedstawicieli polskich i słowackich organizacji, instytucji, samorządów czy przedsiębiorców cechuje naturalne zainteresowanie współpracą. Wynika to oczywiście z wielu atrybutów, które czynią tę współpracę naturalną, a które wynikają z naszego położenia geograficznego (najdłuższa wspólna granica), wielowiekowej splecionej historii, bliskości kulturowej i religijnej. Tym bardziej dotyczy to współpracy transgranicznej, która korzysta z bliskich relacji, zwłaszcza między podmiotami przygranicznymi. Nie inaczej jest w przypadku III. Forum Słowacja-Polska, którego podstawą jest transgraniczna współpraca samorządów regionalnych i lokalnych, zwłaszcza pomiędzy regionami preszowskim i podkarpackim.

- Jest Pan Konsulem Honorowym Polski w Preszowie od 2 lat. Proszę scharakteryzować tę działalność, jakie doświadczenia ma Pan w tym względzie?

Mam wielu przyjaciół w Polsce i cieszę się, że od ponad 20 lat mogę uczestniczyć w różnych wydarzeniach, które promują naszą wzajemną współpracę poprzez szeroki wachlarz projektów tematycznych. Chciałbym wspomnieć o Forum Ekonomicznym, które odbyło się w Krynicy, a później w Karpaczu, a także o cyklu konferencji Europa Karpat, które wnoszą znaczący wkład w rozwój naszej współpracy na wszystkich poziomach.

Jestem zaszczycony, że od 2020 roku mogę pełnić funkcję Konsula Honorowego Rzeczypospolitej Polskiej w Preszowie. Oprócz agendy konsularnej, która polega przede wszystkim na udzielaniu pomocy i wsparcia obywatelom polskim na terytorium Kraju Preszowskiego, staram się również angażować w przygotowanie lub wsparcie różnych wspólnych projektów transgranicznych. Dotyczy to głównie projektów między samorządami w ramach programu Interreg, ale także między podmiotami gospodarczymi. Wsparcie konsulatu polega najczęściej na pośredniczeniu partnerów w sprawie wspólnych projektów po jednej lub drugiej stronie.

- Czy może Pan wskazać najważniejsze wyzwania, cele do podjęcia dla zwiększenia współpracy polsko-słowackiej?

Pomimo wysiłków wielu interesariuszy na rzecz rozwoju słowacko-polskiej współpracy gospodarczej, należy zauważyć, że nawet dziś stoimy przed kilkoma poważnymi wyzwaniami, które często stanowią przeszkodę dla jej dalszego rozwoju. Jednym z najpoważniejszych problemów jest brak infrastruktury transportowej, zwłaszcza na Słowacji. Mam tu na myśli w szczególności nieistniejące połączenia autostradowe między naszymi krajami. Wynika to z wciąż niedokończonych autostrady D3 z Żyliny, a także drogi ekspresowej R4 z Preszowa, która jest częścią europejskiego korytarza północ-południe Via-Carpathia. Fakt ten ma poważny wpływ na rozwój współpracy gospodarczej i turystyki, szczególnie w regionie preszowskim. Brakuje nam również bezpośredniego połączenia kolejowego dla pasażerów. Istniejące wcześniej połączenie kolejowe między Krakowem, Preszowem, Koszycami, Budapesztem i Bukaresztem nadal nie zostało odnowione, co również eliminuje rozwój turystyki w Europie Wschodniej.

- Jakie są główne priorytety współpracy transgranicznej?

Niemal na każdym polsko-słowackim forum transgranicznym główne priorytety współpracy transgranicznej często obejmują dalszy rozwój turystyki, infrastruktury turystycznej - szlaków turystycznych, ścieżek rowerowych, przebudowę dróg regionalnych, małych przejść granicznych itp. Infrastruktura ta może również znacząco wspomóc stosunki handlowe w obszarze przygranicznym. Nie możemy zapominać o potrzebie rozwijania wzajemnej współpracy w dziedzinie kultury - budowy i rekonstrukcji stoisk kulturalnych, zabytków sakralnych, organizacji festiwali folklorystycznych, koncertów, wystaw itp. Nośnikami tych projektów i działań, które często finansowane są ze środków programu Interreg, są samorządy lokalne i regionalne.

- jakie wyzwania stoją przed całą Europą Środkową? Czy Europa Karpat może być pomocna i jak - w rozwoju współpracy?

Po rewolucyjnych zmianach społeczno-gospodarczych pod koniec ubiegłego wieku, Europa Środkowa stopniowo staje się coraz ważniejszym graczem geopolitycznym zarówno w wymiarze globalnym, jak i europejskim. Wynika to również z coraz intensywniejszej współpracy w ramach formatu Grupy Wyszehradzkiej, a także stopniowej współpracy w ramach szerszego formatu tzw. Inicjatywy Trójomorza. Pomimo wielu pozytywnych aspektów dotychczasowej współpracy, w ostatnim czasie, „dzięki” różnym poglądom państw członkowskich tych ugrupowań na bieżące wydarzenia geopolityczne (wojna na Ukrainie, nielegalna migracja, ideologia gender, ochrona życia, praworządność itp.), można stwierdzić, że wzajemne relacje często znajdują się w martwym punkcie. W tym kontekście bardziej niż konieczne jest, poprzez wspólne inicjatywy, takie jak Europa Karpat i jej kluby, poszukiwanie punktów przecięcia między odpowiednimi podmiotami politycznymi i gospodarczymi, które umożliwią przezwyciężenie różnic i zwiększenie konkurencyjności gospodarczej naszego regionu Europy Środkowej.

- Jak widzi Pan rolę młodych ludzi w takich projektach, jak chociażby III Forum Polska-Słowacja? W jaki sposób można ich zaangażować, żeby współtworzyli przyszłość?

Ta forma wsparcia, jaką są projekty, jest ważna dla mieszkańców regionu i Słowaków, stwarza możliwości współpracy we wszystkich obszarach, głównie w sferze ekonomicznej, ale też kulturalnej. W miarę możliwości powinniśmy angażować młodych ludzi do działań na poziomie lokalnym, regionalnym oraz międzynarodowym.

Dużo możliwości stwarzają programy, w ramach których mogą być promowane lokalne produkty. W obszarze ekonomicznym możemy wspierać młodych ludzi w rozwoju ich biznesów, małych i dużych przedsiębiorstw, a także w nawiązywaniu współpracy między firmami, samorządami w małych miejscowościach po obydwu stronach granicy.

Kolejną propozycją jest współpraca z uniwersytetami, na przykład między Uniwersytetem Rzeszowskim i tym w Preszowie. Mogłaby ona polegać na realizowaniu wspólnych pomysłów, które przyczyniłyby się do rozwoju kulturalnego, logistycznego, ekonomicznego. W dużej mierze to od młodych ludzi, od stopnia ich zaangażowania, zależy, czy wykorzystają stworzone im szanse, czy będą dzielić się swoimi inicjatywami, czy będą współpracować z samorządami.

ADAM PAWLUŚ

Historia Ośrodka Edukacji Ekologicznej w Ożennej



Adam Pawluś, starosta jasielski (w środku) z międzynarodową grupą młodzieży na terenie Ośrodka Edukacji Ekologicznej w Ożennej

Ożenna to miejscowość, na której kończy się Polska. Kilka kilometrów dalej stoi znak informujący o przebiegu granicy państwa. Po jej drugiej stronie zaczyna się Słowacja. Na terenie tej malowniczej miejscowości, w budynku po dawnej strażnicy Wojsk Ochrony Pogranicza, od 2019 roku funkcjonuje Ośrodek Edukacji Ekologicznej.

Strażnica Wojsk Ochrony Pogranicza w Ożennej powstała w 1945 roku. Służyło w niej 56 żołnierzy. Był to odrębny rodzaj wojska powołany do ochrony granic Polski Ludowej. 16 maja 1991 roku w wyniku przemian i transformacji ustrojowej Wojska Ochrony Pogranicza zostały rozformowane. W ich miejsce utworzono Straż Graniczną – formację typu policyjnego, o charakterze prewencyjnym. Strażnicy stacjonujący w Ożennej wykonywali odprawę graniczną i celną. Zajmowali się również doraźną kontrolą graniczną i celną osób, towarów i środków transportu. 21 grudnia 2007 roku na mocy układu z Schengen przejścia graniczne zostały zlikwidowane.

- Podczas pobytu w areszcie poznałem człowieka, który w styczniu 1982 r. wraz z nastoletnią koleżanką próbował przedostać się przez granicę w Jaśliskach na stronę czechosłowacką. Zostali zatrzymani przez WOP. Znalaziono przy nich list adresowany do wujka mieszkającego w RFN z prośbą o ich przyjęcie. W czasie stanu wojennego próba przekroczenia granicy była przestępstwem w trybie doraźnym zagrożonym karą pozbawienia wolności od lat trzech po karę śmierci. Kolega został skazany przez

Sąd Wojskowy Warszawski Okręg Wojskowy Delegatura w Rzeszowie. Przykład ten jest dowodem jak istotne zmiany nastąpiły w Polsce. Po przemianach z 1989 roku WOP zostały zlikwidowane, a w ich miejsce powołana została Straż Graniczna.

Po przystąpieniu Polski do układu z Schengen, granica polsko-słowacka przestała być zamknięta, a Straż Graniczną przeniesiono w okolice naszej wschodniej granicy. Pozostał po nich jedynie budynek, który na wniosek Zarządu Powiatu w Jaśle uległ komunalizacji. Decyzję w tej sprawie podjął ówczesny Wojewoda Podkarpacki – Ewa Draus. – wspomina Starosta Jasielski.

Budynek dawnej strażnicy, o powierzchni ponad 500 metrów kwadratowych, do 2006 roku zajmowali funkcjonariusze Straży Granicznej oraz kilka rodzin mieszkających na piętrze nieruchomości.

W grudniu 2010 roku władzę w powiecie przejęły ugrupowania PO – PSL. Nowy Zarząd za wszelką cenę chciał pozbyć się budynku po byłej strażnicy WOP w Ożennej. Wiele razy próbowano go sprzedać. W maju 2011 roku, biegły rzeczoznawca wycenił wartość przedmiotowej nieruchomości na kwotę 513 179 zł. Miesiąc później, 13 głosami „za”, Radni powiatowi wyrazili zgodę na sprzedaż strażnicy w Ożennej. Początkowo władarze powiatu jasielskiego zdecydowali o dwukrotnym podwyższeniu jej ceny. W sumie, na przestrzeni lat 2011 – 2016, odbyło się łącznie 10 przetargów i 6 rokowań, nie było jednak zainteresowanych nabyciem nieruchomości, nawet za znacznie zaniżoną cenę 350 000 zł.

W momencie wyboru Adama Pawlusia na Starostę Jasielskiego, budynek po byłej strażnicy w Ożennej stawał się ruiną. Jednak upór, zaangażowanie i determinacja starosty przyniosły pozytywne efekty. To dzięki jego inicjatywie niszcząca nieruchomość poddana została modernizacji.

- W 2016 roku, podczas powrotu ze spotkania w Bardejowie, rozmawiałem z Marszałkiem Markiem Kuchcińskim. Przedstawiłem mu pomysł utworzenia na terenie byłej placówki WOP Ośrodka Edukacji Ekologicznej. Marszałek poparł tę ideę w stu procentach. Przystąpiliśmy więc do naboru organizowanego przez NFOŚiGW. Powiat Jasielski uzyskał ogromne dofinansowanie. Ogłoszony na realizację tego zadania przetarg wygrała miejscowa firma zatrudniająca mieszkańców naszego powiatu. Dzięki temu nie musieli oni emigrować za chlebem, mogli pracować na miejscu, blisko swych rodzin. – wspomina Adam Pawluś.

Złożony 22 września 2017 roku w Warszawie wniosek stał się kością niezgody podczas kolejnych obrad sesji Rady Powiatu. Część Radnych była przeciwna pomysłowi utworzenia ośrodka. Swoje zdanie motywowali twierdzeniem, iż jest to zadanie drugorzędne, bezzasadne a przy tym będzie ono generowało dodatkowe koszty.

W ramach projektu przebudowie uległ cały budynek. Zagospodarowano również otaczający go teren – powstały ścieżki edukacji przyrodniczej i niewielki parking. Cały teren ogrodzono. W Ośrodku znajdują się miejsca noclegowe dla 42 osób. W piwnicy powstały pokoje rekreacyjne,

gospodarcze, techniczne oraz pomieszczenie do przygotowania posiłków własnych i jadalnia. Na parterze mieszczą się sale i pokoje edukacyjne, na piętrze zaś pokoje 2, 3 i 4 osobowe, a na poddaszu sypialnia damska i męska.

Całkowita wartość projektu wyniosła 3 623 295 zł przy dofinansowaniu w kwocie 2 900 965 zł. Pozostała suma została pokryta ze środków własnych powiatu.

Ośrodek Edukacji Ekologicznej w Ożennej został oficjalnie oddany do użytku w październiku 2019 roku. Symbolicznego przecięcia wstęgi dokonali parlamentarzyści i samorządowcy powiatu jasielskiego na czele z inicjatorem przedsięwzięcia – Starostą Jasielskim Adamem Pawlusem. Wśród zaproszonych gości nie zabrakło Marszałka Marka Kuchcińskiego, który od początku popierał pomysł utworzenia tego miejsca.

Pieczę nad ośrodkiem oraz jego prowadzenie objął Młodzieżowy Dom Kultury w Jaśle. Dzięki temu mógł poszerzyć swoją ofertę o pełen wachlarz zajęć mających na celu kształtowanie postaw proekologicznych wśród młodych mieszkańców powiatu jasielskiego i gości odwiedzających placówkę – zarówno z innych części kraju, jak i z zagranicy. Działania edukacyjne prowadzone w ośrodku obejmują cały rok kalendarzowy. Dzieci i młodzież mogą uczestniczyć w warsztatach o różnej tematyce – od przyrody przez ekologię, astronomię, zielarstwo, fizykę, chemię czy historię. Dzięki organizowanym zajęciom uczniowie mają możliwość poznania zagadnień z zakresu ekologii przez zabawę, prace manualne, plastyczne, fizyczne oraz zajęcia w plenerze: spacer, wycieczki czy konkursy fotograficzne.

Dodatkowym atutem placówki jest niewątpliwie jej usytuowanie historyczne oraz szereg walorów turystycznych, które ma zaoferowania. Miejsce to jest ściśle związane z działalnością Konfederatów Barskich. W pobliżu znajdują się ślady okopów ich twierdzy, gdzie każdego roku, w maju, organizowany jest „Rajd Szlakiem Konfederatów Barskich”, w którym licznie uczestniczy młodzież szkół ponadpodstawowych powiatu jasielskiego. Dodatkowo, goście Ośrodka Edukacji Ekologicznej w Ożennej mogą podziwiać wystawę poświęconą historii Konfederatów Barskich. Ponadto placówka corocznie gości młodzież odwiedzającą to miejsce w ramach międzynarodowej wymiany – Programu Erasmus+. Wśród nich znajdują się przedstawiciele państw europejskich, jak i tych spoza Unii: Polski, Ukrainy, Litwy, Włoch, Bułgarii, Turcji, Rumunii, Hiszpanii, Łotwy i Chorwacji. Ci młodzi ludzie spotykają się w Ożennej nie tylko po to, by móc nawiązać kontakty z rówieśnikami z innych państw. Kieruje nimi również chęć poznania innej kultury i wzięcia udziału we wspólnych zajęciach gwarantujących możliwość wymiany doświadczeń i spostrzeżeń z zakresu edukacji ekologicznej na arenie międzynarodowej.

GRAŻYNA LEŃCZUK KATARZYNA DEDO



Rozmowa z Grażyną Leńczuk, dyrektorem Młodzieżowego Domu Kultury w Jaśle i Katarzyną Dedo, edukatorem przyrodniczo-leśnym Ośrodka Edukacji Ekologicznej w Ożennej w powiecie jasielskim.

Piotr Pilch

W nazwie ośrodka jest słowo edukacja. Prowadzicie szkolenia, warsztaty. Jak to wygląda w praktyce?

Grażyna Leńczuk

Ośrodek powstał z intencją, aby edukować dzieci, młodzież i wszystkich chętnych. Prowadzimy warsztaty z różnych dziedzin, ale wszystkie w kontekście ekologii. Wokół ośrodka, który jest położony w Beskidzie Niskim w Ożennej, roztacza się przepiękny krajobraz, można podziwiać bogatą przyrodę. Cudownie się tutaj odpoczywa i w takich spokojnych okolicznościach można nabywać wiedzę, zwłaszcza że wokół naszej miejscowości prowadzi bardzo ciekawa ścieżka przyrodnicza

Katarzyna Dedo

Ścieżka jest atrakcją edukacyjną. Idzie się nią przez łąki i lasy, wzdłuż granicy polsko-słowackiej.

Dzieje się tutaj bardzo wiele: możemy zobaczyć ciekawe owady, motyle, poznać trochę Łemkowszczyzny oraz ojczystej historii, przechodzimy bowiem przez punkt „okopy Konfederatów Barskich”. Jest tutaj cyklisko, są cmentarze z pierwszej wojny światowej.

Mamy w ośrodku warsztaty „Szalony alchemik”, które prowadzi dr Patryk Kosowski z Uniwersytetu Rzeszowskiego, a także „Entomologia w kryminalistyce” prowadzone przez panią Agnieszkę Piersiak. Mamy fajne warsztaty „Chwasty na talerzu”, podczas których idziemy z młodymi naukowcami na łąkę i zbieramy wszystko, co da się zjeść. Mówimy również o tym, jak konsumować, aby ratować naszą planetę.

A co zaadresowałybyście Panie do młodego człowieka, który chce się rozwijać i kształtuje swój światopogląd? W jaki sposób można go zachęcić do ekologicznego życia?

GL: Moim zdaniem przede wszystkim własnym przykładem oraz zajęciami, które pobudzają do poszukiwania, do odkrywania nowych rzeczy. Organizujemy spacery ekologiczne, rajdy, podczas których nie tylko pokazujemy szlaki, ale również opowiadamy o tym, co jest wokół, czego doświadczamy. W ten sposób zachęcamy, żeby samemu poszerzać wiedzę. Wiemy, że niektórzy młodzi uczestnicy sekcji ekoturystyki, będąc pod wpływem tych bardzo ciekawych opowieści, które pobudzają wyobraźnię, studiują teraz biologię. Na pewno te zajęcia są inne niż w szkole, nie są stresujące, odbywają się pośród naturalnych plenerów. Jak wiemy, w obecnych czasach, dzieci i młodzież potrzebują emocjonalnego wyciszenia, ale także wzmocnienia, ponieważ szczególnie po pandemii nasiliły się ich psychiczne problemy. U nas można znaleźć spokój, który ułatwia przyswajanie nowej wiedzy. Uważamy, że nasz ośrodek jest wspaniałym miejscem między innymi do kształtowania charakterów młodych ludzi, którzy tutaj nie boją się zadawać pytań. Jesteśmy po prostu partnerami.

Dlaczego ośrodek znajduje się właśnie tutaj?

GL: Inicjatorem całej idei jest starosta jasielski, pan Adam Pawluś. Starostwo Powiatowe w Jaśle zdobyło dofinansowanie na taki projekt, natomiast w Ożennej była kiedyś strażnica graniczna, po której pozostał opuszczony budynek. Został on gruntownie wyremontowany i przeznaczony na ośrodek. Chyba nikt z nas nie przeczuwał, że to miejsce będzie aż tak sprzyjało takiej działalności. Kiedy przyjechałam tutaj po raz pierwszy, pomyślałam, że trafiłam na koniec świata. Nic się tu nie działo. Owszem, piękna przyroda, cudownie, ale trudno było wyobrazić sobie, że to miejsce zacznie żyć, a naprawdę zaczęło.

Ośrodek został oddany w 2019 roku. Gdybyśmy miały zliczyć, ilu już uczestników nas odwiedziło, byłyby to tysiące osób. Nie tylko bowiem prowadzimy warsztaty, ale organizujemy również większe imprezy. Na przykład w maju każdego roku odbywa się bardzo duży rajd turystyczny imienia Konfederatów Barskich, właśnie z racji tego, że niedaleko znajdują się ich groby. Widać, że w Ożennej możemy zaproponować różne działania. Młodzież po prostu dobrze się u nas czuje, więc ja mogę powiedzieć tylko tyle: ten ośrodek musiał tutaj powstać.

Bardzo cieszy, że tak to wygląda. Chciałbym podziękować Paniom za to, co robicie. Ciekawi mnie, czy podejmowana jest w tym miejscu jakaś współpraca międzynarodowa?

GL: Oczywiście. Przede wszystkim mamy bardzo blisko Słowację, około siedem kilometrów stąd. Z panią Kasią przeszliśmy tę drogę.

KD: Tak zwaną skóskę.

GL: I wpadliśmy na pomysł, aby powstał ten szlak, o którym wcześniej mówiła pani Kasia, ponieważ w Rostokach, w malusieńkiej miejscowości, na Słowacji znajduje się ośrodek podobny do naszego, a niedaleko jest atrakcja: obserwatorium astronomiczne. Doszliśmy do wniosku, że dobrze by było nawiązać współpracę między naszymi ośrodkami. I tak w 2021 roku realizowany był projekt z udziałem polskiej i słowackiej młodzieży. W naszym ośrodku odbywały się online warsztaty fotograficzne. Nie dało się tego zrobić inaczej ze względu na Covid.

KD: Byłam opiekunem tych warsztatów, a prowadził je Jacek Wnuk, fantastyczny fotograf z Krosna. Dzieciaki cudowne. To miejsce ma taką magię, że one się zaprzyjaźniły. Do dzisiaj się ta grupa trzyma. Efektem tych warsztatów są między innymi zdjęcia, które zrobiła młodzież, eksponowane w naszym ośrodku. W ramach projektu powstała wiatka i ścieżka wokół ośrodka. Najważniejsza jest jednak przyjaźń zawiązana między młodzieżą.

GL: Będziemy nadal zapraszać naszych znajomych Słowaków do siebie i my będziemy do nich jeździć lub chodzić, bo pieszo mamy do nich bardzo blisko.

KD: Współpracujemy nie tylko ze Słowacją. W ramach Erasmusa będą u nas niebawem goście z Turcji, Ukrainy, Litwy i Polski, a w planach mamy udział w kolejnym projekcie tego programu i przyjazd młodych ludzi z Rumuni, Litwy, Polski i Ukrainy.

GL: W naszym ośrodku będzie więc międzynarodowo.

KD: Bardzo się cieszymy, gdy goście do nas wracają, przyjeżdżają ze swoimi znajomymi, bo przecież o czymś to świadczy. Drugi raz jest u nas grupa studentów studiów podyplomowych, edukatorzy przyrodniczo-leśni. W tamtym roku jeden ze studentów przyjechał z rodziną na odpoczynek. Jeżeli nie byłoby tej magii, to by nikt nie wracał.

GL: Poza tym cisza, słychać śpiew ptaków. Ani jednego auta. Jest cudownie, można odpocząć.

KD: I to podczas każdej pory roku. W jesieni są mgły, coś niesamowitego.

GL: Organizujemy również imprezy sportowe. Niedaleko, na tak zwanej Stokówce Nadleśnictwa Gorlice odbywa się zimowy bieg narciarski. Zawodnicy startują na biegówkach. Zauważyliśmy, że Słowacy także jeżdżą na biegówkach po tutejszych trasach narciarskich. Mamy nadzieję, że ta impreza będzie się rozwijała. Natomiast w tamtym roku po raz pierwszy zorganizowaliśmy

ultramaraton w ramach biegu Beskidnika. Bieg ten organizuje z kolei Młodzieżowy Dom Kultury w Foluszu. Ultramaraton startuje właśnie z Ożennej. Biegacze muszą pokonać sześćdziesiąt trzy kilometry po pięknych, malowniczych terenach Beskidu Niskiego. Są zachwyceni. Okazuje się, że miejsce ma także potencjał sportowy. Rekreacja, sport, edukacja, turystyka. Można by było mnożyć.

KD: W tamtym roku odbył się u nas ogólnopolski bieg strażaków.

GL: Nie powiem, że nie wzięłam w nim udziału, bo wzięłam (śmiech). Biegliśmy ponad dziewięć kilometrów.

To wszystko jest bardzo ciekawe. Nie przypuszczałem, że ośrodek ma takie szerokie spektrum działania. Dziękuję za waszą działalność i dziękuję za rozmowę.

GL: Zapraszamy do naszego ośrodka! Jeśli chcecie realizować u nas wasze pomysły, to jesteśmy na nie otwarci.

Część II.

Ziemia Przemyska i region. Działalność opozycyjna i inicjatywy obywatelskie

WYDARZENIA

Protesty na terenie Ziemi Przemyskiej w latach 1980-1988

Artur Brożniak OBBH IPN Rzeszów

Pomimo rolniczo-przemysłowego charakteru województwa przemyskiego na jego terenie w drugiej połowie lat siedemdziesiątych XX w. działała opozycja antykomunistyczna. Jednak aktywizacja środowiska robotniczego w Przemysłu nastąpiła pod koniec sierpnia 1980 r. Do części zakładów pracy docierała prasa opozycyjna i ulotki. Ponadto pracownicy powracali z wakacyjnych urlopów i przywozili informacje o protestach w całej Polsce.

* * *

W tych warunkach 20 sierpnia 1980 r. przemyski opozycjonista powiązany z KSS „KOR”, Wit Siwiec, z pomocą Stanisława Sudoła i Adama Szybiaka zredagował 12 postulatów dla mającego powstać Komitetu Strajkowego Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Przemysłu. Listę z postulatami Sudoł miał przekazać do MPK. 22 sierpnia w zakładzie planowano zorganizować strajk. Oprócz wolnych wyborów do związków zawodowych domagano się m.in. pisemnych gwarancji od Komitetu Wojewódzkiego PZPR, że strajkujący nie będą prześladowani przez SB, podwyżki płac, zrównania z przywilejami, które mieli funkcjonariusze MO i SB, poprawy zaopatrzenia, wolnych wyborów do parlamentu, uwolnienia więźniów politycznych, zniesienia cenzury oraz dostępu do środków masowego przekazu dla wszystkich obywateli. Przygotowane postulaty sięgały dalej niż te, które robotnicy wysunęli w Gdańsku, i dotyczyły podstaw prawnych rządów komunistycznych w Polsce. 21 sierpnia Adam Szybiak, TW „Paweł” (nr rej. PR-2519), przekazał Wydziałowi III-A KW MO w Przemysłu informację o zredagowaniu postulatów. Bezpieka na podstawie informacji od TW „Pawła” przewidywała, że 22 sierpnia w większości przemyskich zakładów rozpocznie się strajk, i przystąpiła do przeciwdziałania. Zatrzymani zostali Sudoł i Szybiak. Działania podjęte w stosunku do TW „Pawła” miały charakter dezinformacyjny, w ten sposób chroniono go przed dekonspiracją. Niestety, nie doszło ani do zawiązania komitetu strajkowego, ani do protestów. Dopiero 24 sierpnia około 100 pracowników MPK w Przemysłu spotkało się z przedstawicielami władz. Spotkanie miało burzliwy przebieg. Pracownicy skrytykowali działania lokalnej administracji i zażądali podwyżki płac, a w przypadku niespełnienia postulatów zagrozili strajkiem. 28 sierpnia 720 pracowników oddziałów PKS Przemysł i Jarosław rozpoczęło strajk. W dniu tym stanęło również MPK w Przemysłu. W PKS powstały komitety strajkowe. Domagano się spotkania z wojewodą i dyrekcją. Przedstawiono 40 postulatów, głównie o charakterze socjalno-bytowym, oraz żądania cofnięcia przywilejów i likwidacji 50 proc. etatów w MO. Strajk zakończono po dwóch dniach. 29 sierpnia kierowcy Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego w Przemysłu rozpoczęli strajk

w sprawie podwyżki płac. Strajkujący powrócili do pracy dopiero 1 września. Ponadto pracownicy Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Przemyślu i Centrali Przemysłu Naftowego w Żurawicy wysunęli postulaty podwyżki płac i poprawy warunków socjalno-bytowych¹.

Również w Jarosławiu w ostatnich dniach sierpnia doszło do kilku zgłoszeń postulatów załóg pracowniczych i przerw w pracy, m.in. w Zakładzie Komunikacji Miejskiej, Karpackich Zakładach Gazowniczych – Tłocznicy Gazu, „Transbudzie”, Hucie Szkła Opakowaniowego, Zakładzie Przemysłu Cukierniczego „San”, Zakładach Meblarskich i wspomnianym już PKS. Ponadto krótkotrwałe przerwy w pracy odnotowano w niektórych SKR i PGR w okolicach Lubaczowa. Domagano się głównie poprawy warunków socjalno-bytowych, w tym podwyżki płac i wolnych sobót. W niektórych przypadkach żądano również wolnych wyborów do rad pracowniczych².

Jan Ekiert, szef Okręgu Rzeszowsko-Przemyskiego KPN, chciał doprowadzić do strajków w suchym porcie w Medyce. Nastąpiłyby przez to paraliż przywozu surowców z ZSRR. Strajk na stacji przeładunkowej w Medyce zablokowałby produkcję w hutach żelaza Polski południowej. Ekiert zaplanował wspólnie ze Zbigniewem Szybiakiem akcję informacyjną w celu doprowadzenia do strajku. Nad ranem 29 sierpnia zamierzano na pociągach jadących do Medyki namalować napisy oraz rozrzucić w nich ulotki, podpisane przez KPN. Niestety, Zbigniew Szybiak, zwerbowany przez SB jako tajny współpracownik o pseudonimie „Lew” (nr rej. PR-2960), zawczasu powiadomił przemyską bezpiekę o planowanej akcji. Oficerowie SB zamierzali pochwycić Ekierta na gorącym uczynku. Konfederaci rozrzucili część ulotek i namalowali jeden napis na pociągu jadącym w stronę Medyki. Po pojawieniu się milicjantów Ekiert zdołał wyskoczyć z jadącego pociągu, szczęśliwie nie doznał przy tym obrażeń. Został on następnie zatrzymany, ale nie przyznał się do zorganizowania akcji ani do udziału w niej³. SB nie miała dowodów, które można byłoby wykorzystać przed sądem w celu jego skazania. Na dekonspirację TW „Lwa” się nie zdecydowano.

Służba Bezpieczeństwa w lipcu i sierpniu 1980 r. w województwie przemyskim odnotowała protesty w ponad 40 zakładach pracy. Większość z nich stanowiły krótkie przestoje w pracy małych zakładów, połączone z żądaniami załóg o charakterze socjalnym. Nie powiodły się próby wywołania większych protestów robotniczych w regionie, podejmowane przez uczestników RMP, współpracowników KSS „KOR” i członków KPN. Przemyskim dysydemtom nie brakowało energii i pomysłowości w działaniach, było ich jednak tylko kilku. Ponadto miejscowa opozycja do sierpnia 1980 r. miała charakter inteligencki i słabo była ona powiązana ze środowiskiem robotników. Przemyska SB wykazała się sporą operatywnością, jej agentura była dobrze ulokowana w szeregach opozycji, co pozwoliło sparaliżować próby wywołania protestów⁴.

1 AIPN Rz, 034/150, Sprawa operacyjnego rozpracowania krypt. „Postój”, Meldunek operacyjny, 28 VIII 1980 r., k. 5–6; ibidem, Meldunek operacyjny, 26 X 1980 r., k. 8–9; AIPN Rz, 00111/475, t. 2, Teczka personalna TW „Pawła”, Kwestionariusz Adama Szybiaka, nr rej. PR-2519, b.d., k. 4–8; ibidem, Zobowiązanie Adama Szybiaka, 4 XI 1979 r., k. 13; AIPN Rz, 00111/475, t. 1, Teczka pracy TW „Pawła”, Informacja, 21 VIII 1980 r., k. 116–117; Zbiory Artura Brożyniaka (dalej ZAB), Relacja Wita Siwca, 12 XII 2009 r.; D. Iwaneczko, *Opór społeczny a władza w Polsce południowo-wschodniej 1980–1989*, Warszawa 2005, s. 59–60.

2 D. Iwaneczko, *Opór społeczny...*, s. 60.

3 Relacja Jana Ekierta z 14 I 2009 r.; AIPN Rz, 034/117, Sprawa operacyjnego rozpracowania krypt. „Olimp”, Meldunek operacyjny, 29 VIII 1980 r., k. 44–45; ibidem, 00111/282, Teczka personalna TW „Lwa”, Kwestionariusz Zbigniewa Szybiaka, nr rej. PR-2960, b.d., k. 4–7; ibidem, Zobowiązanie Zbigniewa Szybiaka, 22 VIII 1980 r., k. 11.

4 AIPN Rz, 036/12, Sprawa obiektowa krypt. „Sanatorium”, Plan pracy, 21 I 1981 r., k. 33.

Po podpisaniu porozumień gdańskich w zakładach pracy województwa przemyskiego tworzone grupy inicjatywne niezależnych związków zawodowych. Zakładowe struktury NSZZ „Solidarność” skupiły się wokół dwóch silnych ośrodków międzyzakładowych: przemysko-lubaczowskiego – z liderem Czesławem Kijanką i jarosławsko-przeworskiego – z liderem Kazimierzem Ziobro. W połowie 1981 r. w NSZZ „Solidarność” w woj. przemyskim zrzeszonych było ok. 74 tys. członków (MKZ Przemyśl 42 tys. i MKZ Jarosław 32 tys.). W połowie 1980 r. struktury PZPR w województwie liczyły 26 tys. członków⁵.

Na znak solidaryzowania się ze strajkującymi rolnikami w Ustrzykach Dolnych Komitet Założycielski Regionu Południowo-Wschodniego 6 stycznia 1981 r. zorganizował godzinny strajk w siedmiu wytypowanych zakładach województwa. Następnie odbył się godzinny strajk ostrzegawczy 13 stycznia, do którego przystąpiło 7670 osób na około 30 tys. zatrudnionych w Przemyślu i Lubaczowie. Z ramienia Regionu do Ustrzyk Dolnych udali się: Wit Siwiec, Andrzej Kucharski, Maria Warchał i Stanisław Kusiński. W strajku rolników uczestniczył również Stanisław Sudoł (wspomniany już kilkakrotnie opozycjonista z Przemyśla). Komitet regionalny w Przemyślu opracował oświadczenie, w którym potępił siłowe zakończenie strajku w Ustrzykach. 14 stycznia 1981 r. powołano komisję do badania przekraczania kompetencji przez władze lokalne oraz komisję do opracowania zasad praworzędności.

W związku z ogłoszeniem przez KKP, że wszystkie soboty są wolne od pracy, 24 stycznia 1981 r., za aprobatą komitetu regionalnego, na ogólną liczbę 950 zakładów pracy, urzędów i instytucji w 17 zakładach przemysłowych nie podjęto pracy w całości, w 20 nie stawilo się do pracy 30–60 proc. załogi, ponadto nie pracowało 8 instytucji i urzędów.

W czasie kryzysu bydgoskiego 19 marca 1981 r. w zakładach województwa zarządzono gotowość do strajku, polegającą na oflagowaniu zakładów i noszeniu biało-czerwonych opasek. Zgodnie z zaleceniami KKP 27 marca w czterogodzinnym strajku ostrzegawczym wzięło udział około 15 tys. osób z 115 zakładów województwa. Na czas akcji protestacyjnej komitet regionalny zmienił swą nazwę na Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Na swoją siedzibę obrał Zakłady Płyt Pilśniowych w Przemyślu. W zakładzie zgromadzono większą ilość żywności, zainstalowano kuchnię polową, zgromadzono koce i śpiwory. Zorganizowano służbę porządkową. Przez radiowęzeł zakładowy ogłoszono instrukcję dotyczącą postępowania podczas strajku i na wypadek ogłoszenia stanu wyjątkowego czy obcej interwencji. Działania te podjęto w związku z koniecznością zorganizowania strajku okupacyjnego. Po odwołaniu strajku generalnego napięcie nieco osłabło, lecz nie wszyscy zgadzali się z postanowieniem KKP. Wit Siwiec, Adam Szostkiewicz, Eugeniusz Opacki i Maria Warchał opracowali list protestacyjny w tej sprawie⁶.

5 A. Brożniak, NSZZ „Solidarność” Region Południowo-Wschodni [w:] NSZZ „Solidarność” 1980–1989, t. 5, Polska środkowo-wschodnia, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 757–759.

6 Archiwum Państwowe w Przemyślu (dalej AP Przemyśl), NSZZ „Solidarność” Regionu Południowo-Wschodniego, 866/26, Oświadczenia, komunikaty i rezolucje ZR Południowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność”, Oświadczenie poparcia dla protestu w Ustrzykach nr 60/80, 29 XII 1980 r., k. 5; ibidem, Oświadczenie nr 12/81, 14 I 1981 r., k. 8; AIPN Rz, 036/12, Analiza sprawy obiektowej krypt. „Sanatorium”, 18 VIII 1986 r., k. 474–482; Nasze sprawy, „Biuletyn Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Przemyślu”, 16 I 1981, nr 3, s. 4–9; D. Iwaneczko, Opór społeczny..., s. 103–118.

Po wprowadzeniu stanu wojennego w województwie przemyskim 13 grudnia internowano 73 osoby, do końca roku dalsze osiem, w 1982 r. następne trzy. Zawieszono działalność NSZZ „Solidarność”⁷. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. funkcjonariusze MO i SB włamali się do siedziby Zarządu Regionu Południowo-Wschodniego w Przemyślu przy ul. Kamienny Most. Ponadto zajęto związkową drukarnię przy ul. Barskiej. W budynku ZR milicjanci splądrowali tylko dwa pokoje na jednej z dwóch kondygnacji zajmowanych przez związek. Pomieszczenia na wyższym piętrze pozostały nienaruszone. Po zabranii maszyn do pisania, powielacza oraz części dokumentacji milicjanci odeszli. Wśród ludzi, którzy się zgromadzili w siedzibie Regionu w niedzielny poranek pierwszego dnia stanu wojennego, byli m.in. Stanisław Żółkiewicz, Marek Kamiński, Ryszard Bukowski, Ryszard Głowacki, Krystyna Osińska, Zygmunt Pyś i kilka innych osób. Najwięcej zimnej krwi zachował Stanisław Żółkiewicz i to on przejął kierownictwo. Polecił ukryć część dokumentów poza budynkiem Zarządu Regionu. Z jego polecenia wyniesiono z siedziby Zarządu sztandar, a następnie ukrywano go aż do 1989 r. Ponadto w piwnicy ukryto powielacz, którego milicjanci nie zabrali. Żółkiewicz zebrał zaufanych działaczy i zaproponował utworzenie komitetu strajkowego. Nie zdołano przeanalizować tej propozycji, ponieważ do siedziby Zarządu Regionu przybył wiceprzewodniczący Kłyż, który podziękował Żółkiewiczowi i przejął kierownictwo nad dalszymi działaniami. Żółkiewicz w dalszym ciągu nie był poinformowany o nominacji na przewodniczącego tajnego ZR, podporządkował się więc Kłyżowi. Ze względu na to, że do budynku ponownie mogła wejść milicja, uzgodniono, że zaufani działacze spotkają się o godz. 16 w kościele oo. Franciszkanów (OFMConv). W czasie zebrania wśród zgromadzonych członków „Solidarności” wybuchła panika, gdy ktoś powiedział, że kościół jest otoczony. Postanowiono przenieść spotkanie do kotłowni Przemyskiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy ul. Grunwaldzkiej. Wieczorem w umówionym miejscu spotkali się: Wojciech Kłyż, Stanisław Trybański – przewodniczący Komisji Zakładowej PKS, Zygmunt Majgier – przewodniczący Komisji Zakładowej Przemyskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, Marek Pudliński – członek ZR i przewodniczący Komisji Zakładowej „Pollena-Astra”, Ryszard Bukowski – członek ZR i przewodniczący Komisji Zakładowej Wojskowych Zakładów Uzbrojenia w Żurawicy, Zygmunt Pyś – członek Prezydium ZR i przewodniczący Komisji Zakładowej MPK, Marek Kamiński – członek ZR i przewodniczący Komisji Zakładowej Spółdzielni Inwalidów „Praca” oraz Stanisław Żółkiewicz – przewodniczący Regionalnej Komisji Wyborczej. Niestety, nie udało się ustalić wszystkich osób biorących udział w spotkaniu. Zredagowano ulotkę nawołującą do strajku. Została ona podpisana przez konspiracyjny Regionalny Komitet Strajkowy. Strajk miał być kierowany przez przedstawicieli RKS w zakładach pracy. Ulotka została wydrukowana przez Pudlińskiego, Kłyża i Mariusza Kurowskiego. 14 grudnia, w poniedziałek, rozkolportowano ją w Przemyślu⁸.

W nocy wprowadzenia stanu wojennego w siedzibie MKZ Jarosław dyżurowali Andrzej Wyczawski, Franciszek Łuc i Julian Mizgiel. O północy pojawiły się w Jarosławiu jednostki milicji i wojska. Wkrótce potem zerwała się łączność telefoniczna i dalekopisowa. Dyżurujący mieli świadomość zagrożenia. Budynek został otoczony przez pluton ZOMO. Jedna z drużyn przypu-

⁷ A. Brożyniak, NSZZ „Solidarność” Region Południowo-Wschodni..., s. 766.

⁸ AIPN Rz, 010/191, Dzielne informacje sytuacyjne do MSW za okres 1 X-31 XII 1981 r., Komunikat RKS, 13 XII 1981 r., k. 322; AIPN Rz, 036/12, Meldunek operacyjny, 27 III 1982 r., k. 328; ZAB, Relacja Stanisława Żółkiewicza, 8 XI 2009 r.; ibidem, Relacja Marka Kamińskiego, 19 XI 2009 r.; ibidem, Relacja Janusza Kurowskiego, 8 XI 2009 r.; ibidem, Relacja Marka Pudlińskiego, 6 II 2010 r.

ściła szturm na budynek. Przebywający w środku działacze „Solidarności” nie bronili się. Pierwsze, szklane drzwi, zomowcy sforsowali dość szybko. Drugie, dębowe, przysporzyły im więcej problemów. Bezskutecznie próbowali je wyważyć, wtedy osoby zamknięte wewnątrz otworzyły je. Zomowcy weszli do środka i wyprowadzili działaczy, trzymając ich pod lufami karabinów. Funkcjonariusze ZOMO wyłamali drzwi w mieszkaniu Kazimierza Ziobry, przewodniczącego MKZ Jarosław. Żonie przystawiono do głowy pistolet na oczach małoletnich dzieci. Zatrzymania nie dokonano, ponieważ Ziobry nie było w mieszkaniu. Przewodniczący, przypuszczając, że nastąpiło rozwiązanie siłowe, udał się do huty w Jarosławiu, aby zainicjować strajk. Udało mu się wejść do zakładu przez dziurę w płocie. Ponadto przyszli do huty członkowie Prezydium MKZ oraz działacze „Solidarności” z innych zakładów pracy. Podjęto decyzję o rozpoczęciu strajku. Nie można było dopuścić do wygaszenia pieców hutniczych, ponieważ równałoby się to z ich zniszczeniem. Produkcję szkła kierowano bezpośrednio na złom i nie produkowano gotowych wyrobów. W hucie zaleźli się także kapłani, rano odprawiono mszę św. Komisarz wojskowy Włodzimierz Paradowski negocjował z Ziobrą przerwanie strajku. Robotnicy rozważali dalsze posunięcia. Zamierzano ukryć Kazimierza Ziobrę na terenie huty, by następnie wywieźć go poza obszar zakładu, ażeby mógł kierować dalszą akcją protestacyjną. Ziobro został wyprowadzony z zakładu w przebraniu kapłana przez księży Józefa Galanta i Antoniego Ślusarczyka. Następnie był ukrywany na plebaniach w województwie przemyskim. Cały czas zmieniał miejsce pobytu. Po wyprowadzeniu Ziobry z huty strajk kontynuowano. Nie wyłoniono komitetu strajkowego, aby nie narażać ludzi. Komisarz rozmawiał indywidualnie z pracownikami. Ogłosił, że jeżeli strajk nie zostanie zakończony, władze odetną dostawy gazu do huty, co spowoduje wygaszenie i zniszczenie pieców. Robotnicy w obliczu takiego szantażu w trosce o swój zakład w nocy z 13 na 14 grudnia zaniechali strajku. Władze przygotowywały pacyfikację huty przy pomocy oddziałów ZOMO. Ponadto 13 grudnia strajkowali kierowcy z Oddziału PKS w Jarosławiu⁹.

Następnego dnia strajkowały trzy przemyskie zakłady pracy: Fabryka Pras Automatycznych „Ponar-Plasomat” (Zakład nr 5), Zakład Chemii Gospodarczej „Pollena-Astra” i Fabryka Domów. Protest w Fabryce Pras Automatycznych zorganizowali Edward Szczurko, Leszek Schneider i Zbigniew Malona. W strajku okupacyjnym wzięło udział 100 osób na 174 zatrudnionych. Robotnicy założyli biało-czerwone opaski i wywiesili flagi. Powołano straż ochrony strajku. W południe do zakładu przybyli oficerowie WP, żądając zaprzestania protestu i grożąc siłową pacyfikacją. W tych warunkach przeprowadzono referendum, za zakończeniem strajku opowiedziała się większość protestujących. Protest został przerwany około godz. 14 pod groźbą wejścia wojska na teren zakładu. Za zorganizowanie strajku Szczurko został wyrzucony z pracy i skazany przez Sąd Wojewódzki w Przemyśle na karę jednego roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata i 12 tys. zł grzywny.

Marek Pudliński 14 grudnia doprowadził do strajku w Zakładach Chemii Gospodarczej „Pollena-Astra” w Przemyśle (Pikulice). Załoga zakładu składała się większości z kobiet. Protestem kierowała Komisja Zakładowa. Powołano straż ochrony strajku, która zajęła posterunki straży zakła-

⁹ AIPN Rz, 010/191, Informacja, 13 XII 1981 r., k. 318-321; ibidem, Informacja, 14 XII 1981 r., k. 323-326; ZAB, Relacja Kazimierza Ziobry, 2 XII 2009 r.; M. Niedziela, Klasztor jako schronienie. Przykłady polskich dominikanów w okresie stanu wojennego [w:] *Klasztory w państwie średniowiecznym i nowożytnym*, red. M. Derwich, A. Pobóg-Lenartowicz, Wrocław-Opole-Warszawa 2005, s. 331-335.

dowej. Komisja Zakładowa opanowała radiowęzeł. Do zakładu dochodziły informacje o słabych protestach w Przemyślu. Pudlińskiemu udało się nawiązać łączność ze związkowcami z innych zakładów. Komisja Zakładowa uznała, że „Pollena-Astra” jest w proteście osamotniona. Wobec tego pod koniec pierwszej zmiany strajk został zawieszony¹⁰.

Tego samego dnia po południu wiceprzewodniczący Zarządu Regionu Południowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność” Wojciech Kłyż i członek Zarządu Krzysztof Prokop udali się do Urzędu Wojewódzkiego, aby doręczyć wojewodzie Andrzejowi Wojciechowskiemu protest w sprawie bezprawnego internowania działaczy „Solidarności”. Po rozmowie z wojewodą Kłyż został internowany, a od 18 grudnia aresztowany. Prokopa wypuszczono.

Władze przystąpiły do przeprowadzenia pierwszego procesu pokazowego w Przemyślu w stanie wojennym. 17 grudnia 1981 r. został aresztowany na terenie zakładu pracy Marek Pudliński, przywódca strajku w „Pollenie-Astra”. Tego samego dnia trafił do aresztu po ujawnieniu się Mariusz Kurowski, pracownik Sekcji Informacji, drukarz i kolporter komunikatu RKS, który ukrywał się od 14 grudnia. Władze zamierzały wytoczyć proces Kłyżowi, Pudlińskiemu i Kurowskiemu. Z uwagi na zły stan zdrowia sprawę Kurowskiego musiano wyłączyć z postępowania doraźnego. Kłyża i Pudlińskiego oskarżono o kontynuowanie działalności w zawieszonym NSZZ „Solidarność” oraz o nawoływanie do akcji strajkowych przez rozpowszechnianie w zakładach pracy ulotek i zredagowanie apelu. Postępowanie prowadzono w trybie doraźnym. Wydział II Karny Sądu Wojewódzkiego w Przemyślu 31 grudnia 1981 r. skazał Wojciecha Kłyżę i Marka Pudlińskiego na karę trzech lat pozbawienia wolności. Ponadto oskarżeni musieli zapłacić po 4200 zł kosztów postępowania i 1350 zł za udział w sprawie adwokatów – obrońców z urzędu. Kłyża i Pudlińskiego zwolniono z zakładu karnego 31 marca 1983 r. Mariusz Kurowski 31 stycznia 1982 r. został skazany przez Sąd Rejonowy w Przemyślu na półtora roku więzienia w zawieszeniu na trzy lata i 3 tys. grzywny¹¹.

Po 13 grudnia Marek Kamiński przyszedł do Spółdzielni Inwalidów „Praca”. Został dopuszczony do pracy na stanowisku, na którym pracował przed oddelegowaniem do „Solidarności”. Po wejściu na halę zebrał Komisję Zakładową i ogłosił strajk. Pracownicy ze względu na specyfikę zakładu (dużo osób z upośledzeniem umysłowym) uznali, że przeprowadzą strajk włoski, spowolnią pracę i założą czarne opaski. Pieniądze na zakup tasiemki na opaski zostały wzięte ze skarbonki „Solidarności”. 16 grudnia rozpoczął się strajk włoski Spółdzielni Inwalidów „Praca” i Spółdzielni Inwalidów Niewidomych „Start”. Kierownictwo obydwu zakładów wspólnie z funkcjonariuszami SB prowadziło indywidualne rozmowy z pracownikami. Powyższe działania doprowadziły do zakończenia strajku.

10 AIPN Rz, 010/191, Informacja, 13 XII 1981 r., k. 318-321; ibidem, Informacja, 14 XII 1981 r., k. 323-326; ibidem, 036/12, Meldunek operacyjny, 22 XII 1981 r., k. 318; Zbiory Edwarda Szczurki (dalej ZES), Pismo dyirekcji Fabryki Pras Automatycznych do Edwarda Szczurki, 12 I 1982 r.; ibidem, Postanowienie SO w Przemyślu, II. Ko. 67/08, 17 XI 2008 r.; ibidem, É. Szczurko, „Moje wspomnienia”, mps; ZAB, Relacja Marka Pudlińskiego, 6 II 2010 r.

11 AIPN Rz, 010/191, Informacja, 14 XII 1981 r., k. 323-326; AIPN Rz, 251/1, Wojciech Kłyż i Marek Pudliński, t. 1-7; AIPN Rz, 034/111, Sprawa operacyjnego sprawdzenia dotycząca Mariusza Kurowskiego, Notatka służbowa, 30 I 1982 r., k. 26; AIPN Rz, 00146, Kartoteka ogólnoinformacyjna byłego Wydziału „C” WUSW w Przemyślu, Karta Mkr 2 Mariusz Kurowski, b.d., b.p.; M. Stręk, Marek Pudliński [w:] Encyklopedia Solidarności. Opozycja w PRL 1976-1989, t. 2, red. G. Waligóra i in., Warszawa 2012, s. 352; M. Stręk, Wojciech Kłyż [w:] ibidem, s. 181-182.

SB i dyrekcja zakładów szybko ustaliły, że prowodyrem strajku był Marek Kamiński, a w uszyciu opasek pomagała mu Stefania Borowska. Kamińskiego oskarżono przed Sądem Rejonowym w Przemyślu o kradzież pieniędzy związkowych i nawoływanie do protestu. Borowska została dyscyplinarnie zwolniona z pracy. Kamiński na sali rozpraw oświadczył, że pieniądze związkowe wziął dla uczczenia 11. rocznicy masakry dokonanej na robotnikach na Wybrzeżu w grudniu 1970 r., dodając przy tym, że pomnik robotników został kilka miesięcy wcześniej oficjalnie odsłonięty. Sędzia Jerzy Galanty nie dopatrywał się w czynach popełnionych przez Kamińskiego znamion przestępstwa i 26 kwietnia 1982 r. uniewinnił go. Ponieważ postępowanie toczyło się w sądzie, Kamiński nie został zwolniony z pracy. Jerzy Galanty miał z powodu uwolnienia Kamińskiego przykrości. Wstrzymano mu dalszy awans zawodowy¹².

W stanie wojennym „Solidarność” zesłała do podziemia. W Przemyślu powstała Tymczasowa Komisja Regionalna (TKR). Największą uliczną manifestację przemyska podziemia „Solidarność” zorganizowała 31 sierpnia 1982 r. pod dawną siedzibą Zarządu Regionu Południowo-Wschodniego przy ul. Kamienny Most w Przemyślu. Na kilka dni przed rocznicą podpisania porozumień gdańskich w mieście pojawiły się ulotki nawołujące do przyjścia z kwiatami pod siedzibę ZR zwartymi grupami z zakładów pracy. W zgromadzeniu wzięło udział według szacunków TKR około 6 tys. ludzi, według władz tylko 3 tys. Przed budynkiem złożono kwiaty, wznoszono okrzyki i odśpiewano patriotyczne pieśni. Manifestanci zachowywali się spokojnie, mimo to milicjanci przez tzw. szczekaczki wzywali tłum do rozejścia się. Według ustaleń TKR akcją milicji dowodził Jerzy Kubas¹³. Demonstranci sformowali pochód, aby przejść do katedry na mszę św. Kordon milicjantów uniemożliwił przejście, doszło do przepychanek. ZOMO użyło gazów łzawiących i pałek, aby rozproszyc tłum zgromadzony w rejonie ul. Kamienny Most. Manifestanci obrzucili milicjantów kamieniami. Utarczki z demonstrantami rozprzestrzeniły się w śródmieściu Przemyśla. Milicja zablokowała mosty na Sanie. Funkcjonariusze zachowywali się brutalnie, doszło do pobic postronnych przechodniów. O godz. 18 w katedrze przemyskiej odprawiono uroczystą mszę św. Pomimo milicyjnej blokady tłum ludzi wypełnił bazylikę i plac wokół niej. W czasie nabożeństwa jedna z petard została wrzucona do przedsionka katedry. Biskup Błazkiewicz, płacząc (wskutek użycia gazów), wygłosił homilię, w której dodał otuchy zgromadzonym i potępił brutalne działania MO. Kolegium ds. Wykroczeń ukarało wysokimi grzywnami 37 osób. W wyniku pobicia przez milicjantów trwałego kalectwa doznał robotnik Marian Opaluch. Grzywny zostały sfinansowane przez TKR, z dotacji Kościoła. Była to największa manifestacja w Przemyślu. W późniejszym okresie władze unikały prowokowania obywateli. Manifestacja z 31 sierpnia 1982 r., uwidoczniła siłę przemyskiej TKR. Władze odpowiedzialnością za wywołanie rozruchów w mieście obarczyły opozycję¹⁴.

12 AIPN Rz, 81/1, Akta sprawy karnej Marka Kamińskiego, Notatka służbowa, 17 XII 1981 r., b.p.; ibidem, Uzasadnienie do wyroku SR w Przemyślu, 26 IV 1982 r., k. 65; ibidem, Wyrok SW w Przemyślu, 13 VIII 1982 r., k. 76-77; ZAB, Relacja Marka Kamińskiego, 19 XI 2009 r.

13 Autorowi nie udało się zweryfikować tej informacji.

14 AIPN Rz, 034/201, Sprawa operacyjnego sprawdzenia krypt. „Rewers”, Meldunek operacyjny, 2 IX 1982 r., k. 17; ibidem, Ocena zrealizowanych przedsięwzięć operacyjnych w związku z wydarzeniami w dn. 31 VIII 1982 r., 1 X 1982 r., k. 33-39; Rocznica sierpnia w Przemyślu, „Nie” (Przemyśl), nr 8, 8 IX 1982; Ostatni dzień sierpnia w Przemyślu, „Życie Przemyskie”, nr 32 (767), 8 IX 1982, s. 2; M. Kamiński, Wspomnienia... [w:] 25 lat „Solidarność”..., s. 233-235.

W latach 1982-1988 ruch solidarnościowy prowadził konspiracyjną działalność. Podziemne struktury i grupy działały w Przemyślu, Jarosławiu, Przeworsku oraz Lubaczowie. Znaczną aktywność rozwinęły podziemne struktury OKOR. Wypracowano model działań konspiracyjnych. W kościołach organizowano uroczystości patriotyczno-religijne. Starano się nie wychodzić na ulicę większymi grupami aby nie prowokować działań siłowych MO. Modlitwy za uwięzionych i wystąpienia działaczy antykomunistycznych odbywały się na placach przy kościelnych. Kwiaty składano zawsze w milczeniu poza terenem kościelnym¹⁵.

W dniu 1 maja 1988 r. w ramach alternatywnych obchodów „Święta Pracy” ulicami Przemyśla przeszła manifestacja „Solidarność”. Pochód sformowano przed kościołem Salezjanów. Niesiono transparent „Wolność dla Solidarność”. Na placu przed kościołem św. Trójcy odbył się wiec i złożono kwiaty. Plac został w całości zajęty przez uczestników, część z nich stała na chodniku na ulicy. W czasie wiecu na placu przed świątynią przemawiał Jan Ekiert, który skrytykował „drugi etap reformy gospodarczej,” potępił politykę rządu Wojciecha Jaruzelskiego oraz wyraził poparcie dla strajkujących hutników. Na wiecu przemawiał również członek Regionalnej Komisji Wykonawczej Zygmunt Majgier. Oddziały MO nie interweniowały. Władze ograniczyły się do skierowania wniosków do Kolegium ds. Wykroczeń. Grzywnami od 31 do 50 tys. zł. ukarano sześć osób, w tym Ekierta, Majgiera i Marka Kamińskiego¹⁶.

Strajki z wiosny 1988 r. w województwie przemyskim odbiły się słabym echem. Dla wyrażenia solidarności ze strajkującymi zbierano dla nich żywność. Ponadto podjęto akcję informacyjną o protestach¹⁷.

W latach 1980-1988 społeczeństwo Ziemi Przemyskiej brało aktywny udział w protestach antykomunistycznych. Przemyśl był jednym z ważniejszych ośrodków działalności NSZZ „Solidarność” w Polsce południowo-wschodniej.

15 A. Brożyniak, NSZZ „Solidarność” Region Południowo-Wschodni..., s. 774 i in.

16 A. Brożyniak, NSZZ „Solidarność” Region Południowo-Wschodni..., s. 790.

17 ZAB, Relacja Stanisława Żółkiewicza, 8 XI 2009 r.; ibidem, Relacja Marka Kamińskiego, 19 XI 2009 r.; ibidem, Notatka z rozmowy telefonicznej z Markiem Kamińskim, 17 IV 2010 r.; ibidem, Notatka z rozmowy telefonicznej ze Stanisławem Żółkiewiczem, 6 IV 2010 r.; D. Iwaneczko, Opór społeczny..., s. 404 i n.; M. Stręć, Solidarność trwa. Świadectwa sprzeciwu i oporu 1981-1989, Rzeszów 2005, s. 179-180.

Aneks

Protesty i wystąpienia robotników w województwie przemyskie sierpień-wrzesień 1980 r.

Przemyśl

- Komunikacja miejska w Przemyślu,
- PKS w Przemyślu,
- Spółdzielnia Transportu Wiejskiego Oddział w Przemyślu,
- Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Budownictwa Komunalnego w Przemyślu

Jarosław

- Huta Szkła Opakowaniowego w Jarosławiu,
- Karpackie Zakłady Gazownictwa w Jarosławiu,
- Komunikacja miejska w Jarosławiu,
- PKS w Jarosławiu,
- Spółdzielnia Transportu Wiejskiego w Oddział w Jarosławiu,
- Zakład Przemysłu Cukierniczego „San” w Jarosławiu
- Zakłady Przemysłu Zbożowego w Jarosławiu

Lubaczów

- Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Lubaczowie,
- Spółdzielnia Transportu Wiejskiego Oddział w Lubaczowie,
- Zakłady WYROBÓW Galanteryjnych w Lubaczowie

Przeworsk

- Baza Przedsiębiorstwa Obrotu Zwierzętami Hodowanymi w Przeworsku,
- Filia Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego PZL Rzeszów w Przeworsku,
- Spółdzielnia Transportu Wiejskiego Oddział w Przeworsku,
- Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Vistula” w Przeworsku

Horyniec

- Zakład Rolny w Horyńcu,

Lubliniec

- Mieszalnia Pasz i Suszarnia PGR w Lublińcu,

Nowe Sioło

- Zakład Budowlany PGR w Nowym Siole,

Wielkie Oczy

- Zakład Usług Mechanicznych i Warsztaty SKR Wielkie Oczy,

Wietlin

- Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Wietlinie.



Manifestacja uliczna 31 sierpnia 1982 r. na Kamiennym Moście w Przemyślu –fot. Mirosław Bar.
Ze zbiorów AJPN w Rzeszowie, dar Mirosława Bara.

Stan wojenny w województwie przemyskim

Seminarium zorganizowane przez Fundację Misji Obywatelskiej,

14 października 2024 roku

W Przemyskim Towarzystwie Kulturalnym.



Od lewej: Marek Kuchciński, Adam Pęziół, Henryk Cząstka, Artur Brożniak, Marek Kamiński, Jan Musiał

Spotkanie poprowadził **Adam Poręba**, wiceprezes Zarządu Fundacji Misji Obywatelskiej. Było ono poświęcone stanowi wojennemu, który został wprowadzony w PRL 13 grudnia 1981 roku przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego w celu zdławienia rozwijającego się ruchu Solidarności.

W spotkaniu brali udział działacze Solidarności, opozycji antykomunistycznej i Artur Brożniak z Instytutu Pamięi Narodowej; Marek Kuchciński, działacz opozycji rolniczej i kultury niezależnej, poseł na Sejm RP, b. Marszałek Sejmu VIII Kadencji, Adam Pęziół, działacz NZS, WIP i Solidarności, b. wojewoda krośnieński, przemyski, opolski i członek rządu AWS i PiS, Henryk Cząstka, działacz opozycji rolniczej, Marek Kamiński, szef struktur Solidarności w latach 80. i 90, Jan Musiał, działacz opozycji, b. senator i wojewoda przemyski.

Artur Brożniak z Instytutu Pamięi Narodowej przedstawił historię protestów solidarnościowych w Przemysłu

Marek Kuchciński podkreślił, że „bardzo dobrze dzieje się, że Fundacja organizuje spotkanie związane z tak ważnym i dramatycznym wydarzeniem w dziejach Polski, jakim był stan wojenny. Dzięki temu spotkaniu możemy także przypomnieć rolę oraz wkład całego ruchu Solidarności w dzieje Polski i budowanie naszej wolności”. Ocena stanu wojennego jest w jego opinii zdecy-

dowanie negatywna i z biegiem lat staje się jeszcze bardziej negatywna, bowiem z perspektywy czasu wyraźniej widać jego złe skutki – gospodarcze, społeczne i polityczne, wprowadzone przez komunistów. „Lekcją na przyszłość, jaką powinniśmy wyciągnąć z tamtych czasów, jest troska o pamięć czasów i ludzi Solidarności, o budowanie wolności i odzyskiwanie suwerenności w oparciu o doświadczenia z tamtych lat(…). Pokolenie Solidarności tworzyli przede wszystkim ludzie młodzi i ten dorobek dzisiaj jest pamiętany głównie przez to samo pokolenie, co powoduje, że ludzie młodzi dzisiaj nie znają wielkiego ruchu Solidarności i nie potrafią docenić tego dzieła. W dziejach narodu ważna jest pamięć historyczna przekazywana z pokolenia na pokolenie. A my zbyt mało troszczymy się o tę ciągłość międzypokoleniową, żeby przekazać następcom wiedzę naszą i dziedzictwo wolności. Warto zastanowić się nad różnymi działaniami, które powinniśmy uruchomić, żeby zachęcać młode pokolenia do pamiętania czasów Solidarności i upamiętniania ludzi, którzy wtedy walczyli o wolność.

Adam Pęziół podzielił się kilkoma uwagami o charakterze bardziej generalnym, m.in.:

„Solidarność to wielki fenomen nie tylko w Europie, ale na świecie. Wielu zadaje sobie do dzisiaj pytanie, jak to było możliwe, że powstaje w Środkowej Europie ruch, który oparty na działaniu bez przemocy, zatrzęsł posadami całego systemu komunistycznego nie tylko w naszym kraju, ale miał ogromny wpływ na erozję tego systemu w krajach sąsiednich? To, co zwłaszcza dzisiaj jest mało doceniane, to jest rola kościoła katolickiego, a dokładniej samego przywódcy kościoła – kard. Stefana Wyszyńskiego i kard. Karola Wojtyły, późniejszego papieża Jana Pawła II. I zacznę od tego, że po 56 roku, kiedy prymas jest zwolniony z Komańczy i wraca na Miodową do Warszawy, przejmuje inicjatywę rozmaitych procesów, które się dokonują w naszym kraju. Otóż od tego momentu, a dokładniej jeszcze można mówić od 26 sierpnia 1956 roku, kiedy prymas będąc jeszcze w Komańczy, ale na Jasnej Górze są odczytane i złożone przyrzeczenia przestrzegania Ślubów Jasnogórskich, które napisał. Gdzie milion ludzi mogło patrzeć na pusty fotel zarezerwowany dla prymasa Wyszyńskiego i powtarzać te wielkie słowa, które od tego momentu przeorywały całą polską świadomość i aktywność elit nie tylko katolickich, ale tych, którzy myśleli o wolnej, niepodległej Polsce. Wielka nowenna, która była konsekwencją tych Ślubów Jasnogórskich przed 1000-leciem chrztu narodu polskiego, to był okres tych 9 lat, w których ofensywa myślących tak, jak prymas, była niepodważalna. Od tego momentu komuniści już nigdy nie odzyskali inicjatywy. Wielka nowenna i peregrynacja później obrazu jasnogórskiego w latach 70-tych angażowała tak naprawdę wszystkich – tych, którzy byli po stronie kościoła i tych, którzy z nim walczyli. I mówię o tym dlatego, że Solidarność, ruch Solidarności nie powstałby na taką skalę bez roli kościoła. W latach 70-tych, kiedy powstawały organizacje typu KPN, Ruch Obrony Praw Człowieka, Komitet Obrony Robotników, Ruch Młodej Polski i inne, moim zdaniem były konsekwencją tego rozbudzenia nadziei na przede wszystkim wolność, bo kościół niósł wolność. Także bardzo szybko to zostało sformułowane w ten ruch, który domagał się podstawowych praw związkowców, praw obywatelskich, prawa do wolności, do głoszenia swoich poglądów, prawa do wolności prasy, do pluralizmu, jeśli chodzi o wydawnictwa. Śmierć prymasa Wyszyńskiego 28 maja 1981 roku to już był ten moment, kiedy Solidarność była mocna, ale mocna także tym, że ta nauka prymasa, która legła u podstaw powołania Solidarności, ona zakładała, że nie będziemy się zabijać, że nie będziemy do siebie strzelać, że wolność trzeba wywalczyć w inny sposób. Ksiądz prymas Wyszyński uważał, że za dużo Polacy przelali krwi, za dużo tej krwi

kosztował nas XX wiek [...]”.

Henryk Cząstka rozpoczął od krótkich historii. Oto fragment jednej z nich: „Zostałem internowany 13 grudnia w Uhercach. Żądając rozmów zorganizowaliśmy tam blokadę, czyli taką manifestację, gdzie pawilon, w którym mieszkaliśmy został całkowicie zniszczony - nie mury, tylko instalacja elektryczna. Stało się to za sprawą kilku grzałek. Wzięliśmy za zakładnika najbardziej dobrego klawiszka, który tam był, w ramach umowy. Zablokowaliśmy wszystkie okna materacami. To w nocy było. Tylko światła migały. Negocjacje trwały do rana. Rano, jak zobaczyliśmy, że wkoło tego więzienia, tego pawilonu, stoi potrójny kordon z ciężkimi karabinami maszynowymi, doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu, bo i tak nas wyprowadzą. Poddaliśmy się. I w nagrodę za to przenieśli część organizatorów do Łupkowa. Były tam bardzo dobre warunki. Można było na terenie pawilonu iść do łaźni, ciepła woda była w określonych godzinach i można byłoby wychodzić na pole, bo to już był maj”. Internowanym ogłoszono, żeby starający się o wyjazd za granicę, zgłaszali się do komendanta. Sporo osób się zgłasza, na co doktor-chirurg Jerzy Stabiszewski, jeden z internowanych - „gdybym wiedział k...z kim ja się dałem aresztować i tutaj siedzę! Henryk Cząstka wspominał m.in. o Marku Kamińskim, który, już po wyjściu z „internatu”, namówił go do prowadzenia drukarni (z dużym belgijskim powielaczem), za co został aresztowany. Tak o tym opowiedział: „Internowanie, a aresztowanie to tak mniej więcej jak szkoła podstawowa i studia od razu. Byłem doświadczony w jednym, w związku z czym wiedziałem, jak się mam zachować. Dzięki Markowi miałem przyjemność odwiedzić kilka więzień, ale nie mam do niego pretensji. Oczywiście on mnie nie zmuszał, miał do mnie zaufanie, skoro mi to zlecił. Drukarnia ta była prowadzona w Grobowcu Dzieduszyckich w Zarzeczcu pod kościołem”.

Kolejny poruszony temat dotyczył nagrody im. Józefa Ślisza, wręczanej podczas Europejskiego Forum Rolniczego, już w latach 90 i następnych. W trakcie ostatniej edycji odznaczenie dostała rodzina Ślisza, która nigdy nie popierała Prawa i Sprawiedliwości. „Trochę przykre, że z ramienia Prezesa Kaczyńskiego ktoś ją wręcza” – powiedział pan Cząstka, a później opowiedział o tym czym aktualnie się zajmuje – o angażowaniu młodzieży do czynnego uczestnictwa w patriotycznych inicjatywach i zaprosił do Zarzeczca na zjazd szkół im. Wincentego Witosa, odbywający się w dniach 17 i 18 października 2024 r. Na zakończenie dodał, że takie spotkania, jak to dzisiaj, powinno się organizować na prowincji w wielu miejscach, na peryferiach, bo wszyscy znamy historię ogólną, natomiast ta szczegółowa jest równie ważna jak ogólna.

Głos zabrał **Marek Kamiński**, który zaznaczył, że nie będzie mówił o stanie wojennym, ponieważ w tym gronie robił to już wiele razy, a w zamian za to odniesie się ogólnie do tego, co zostało osiągnięte, a co przegrane tym zrywem Solidarności. Opisał to w następująco: „Zostaliśmy rozegrani. Agentura nas załatwiła od początku do końca. Komuchy panowali nad sytuacją od początku. Oni wiedzieli, że ich kres jest nieunikniony. Wykorzystali „robociarzy” – mówię to w cudzysłowie – do tego, żeby ustawić się. Ja to mówię z perspektywy dzisiejszej. Wtedy nie byłem taki mądry. Byłem młodym robotnikiem, zapalonym i zapatrzonym w działaczy Solidarności. To była idea, to było moje życie. Człowiek działacze związkowi byli traktowani jak święci. Było nas 10 milionów ludzi. I co się okazało? Okazało się, że przegraliśmy po kryzysie bydgoskim w marcu 1981 r. Solidarność pokazałaby w tedy siłę, gdybyśmy weszli w strajk. Co się stało po rozmo-

wach szefów? Strajk w ostatnim momencie został odwołany. Pękła bańka. Solidarność, przeszła do defensywy [...] Nie zajmowaliśmy się podstawowymi sprawami, nie uczyliśmy się. Władza na terenie zakładu pracy to byli przeważnie robotnicy, którzy tworzyli komisje zakładowe. I tu należało ich nauczyć tej pracy związkowej. Ja sam korzystałem z doświadczenia i umiejętności przewodniczącego Andrzeja Kucharskiego [...] Stan wojenny to jest epizod. Oczywiście ważny, bo polegli ludzie, zamordowani przez władze komunistyczne – robotnicy, górnicy. I to jest tragedia. Ale to jest szczegół historii [...]. A symbolem braku zmian jest to, że bandyci komunistyczni leżą nadal na Powązkach. To się w głowie nie mieści! Prawdziwi bohaterowie leżą z katami, a nierzadko kaci leżą na nich [...]

Solidarności nie podzielili komuniści, tylko zrobiliśmy to sami. Wyszliśmy ze stanu wojennego osłabieni i się podzieliliśmy, bo władza była ważna. Wygraliśmy wybory w 1989 r, nastął premier Mazowiecki, ogłosiliśmy sukces, mało się nie zachłysłiśmy. Społeczeństwo wycięło komuchów w proch, a my wprowadziliśmy ich do Sejmu kontraktowego. Następnie utworzyliśmy komitety obywatelskie, osłabiliśmy związek zawodowy, gdzie zamiast się złączyć, to się rozdzieliliśmy. Kto na tym skorzystał? Społeczeństwo? W życiu... [...] Gdy komisja weryfikacyjna ubecji w Przemysłu zweryfikowała trzydzieści parę osób negatywnie, Warszawa wyrzuciła tylko trzech. Mój kolega z kanału (podziemia) pokazuje mi w latach 90. zatrudnienie w UOP, w „naszej ubecji” – ci, którzy jego gonili u niego pracują, szkolą mu kadry. Opadły mi ręce! To bandziory szkolili naszych funkcjonariuszy”.

Marek Kamiński powiedział również, że jedynym sukcesem Solidarności jest to, że żyjemy w wolnym kraju i że to jest sukces ludzi, społeczeństwa, nie działaczy. Ale nadal autorytetami są dzisiaj komuniści Miller i Cimoszewicz – eurodeputowani. Natomiast działacze Solidarności nie mogą znaleźć pracy, jak np. Robert Majka. Należy zastanowić się nad tym co należałoby zrobić, żeby przekonać społeczeństwo, młodych, żeby odłożyli tablety i telefony i zaczęli słuchać, czytać, oglądać. Ponadto trzeba ożywić kościół, który jest w defensywie. Bez kościoła nie byłoby nas. Bez bpa Tokarczuka nie byłoby podziemnej Solidarności w Przemysłu. Bez możliwości korzystania z obiektów sakralnych, nie byłoby gdzie się spotykać. Kościołowi trzeba pomóc.

Jan Musiał na wstępie powiedział: „Kultywowanie pamięci ma sens wtedy, kiedy ona służy przyszłości”. Po czym rozdał uczestnikom spotkania pierwszą kartę przemyskiej „Busoli” z lipca 1986 roku, czyli wydanej cztery lata po zniesieniu stanu wojennego, z tekstem, w którym napisał, że stan wojenny, a dokładnie „więzienny”, trwa. Następnie powiedział: „Jeśli chcecie wiedzieć, czy coś takiego się potem jeszcze zdarzało, czy na przykład nie ma tego jeszcze dzisiaj, to macie bardzo czytelny probierz. Jaki jest stan zasiedzenia więzień dzisiaj? Czy są przeładowane czy też nie? Jeśli są, to miejcie się na baczności! To może być podgotówka... Stan wojenny, czy stan więzienny, jak go przezwalałem, nie był ewenementem. Był początkiem permanentnej instytucjonalizacji ustrojowej, która różnie przekształcana trwała jeszcze długie lata. Jeśli będziemy patrzeć na efekty tego w dalszych okresach, aż po dzień dzisiejszy, to dojdziemy do wniosku, że może nie powszechnie, ale w strukturach półjawnych, czy tajnych byli esbecy nadal mają się bardzo pewnie. Wcale się nie nazywają tak, jak się powinni nazywać, ale są kręgami towarzyskimi, biznesowymi i innymi, lecz związani są wciąż teleologią tamtej strategii.

Stan wojenny był bowiem elementem strategii sowieckiej KGB, policji politycznej-wzorca także SB, która trwała również po swej formalnej likwidacji, choć w innych przebraniach, a której sednem był, przewijający się przez peerelowskie cele więzienne i pokoje przesłuchań leitmotyw: „przyznaj się, a cię uniewinnimy”. To był sposób łamania kręgosłupów moralnych, osłabiania ducha społecznego, ducha narodowego. I mamy tego nadal efekty. Wróciłem właśnie ze zjazdu sprawozdawczo-wyborczego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Naszego stowarzyszenia! I nadal trzeba było walczyć z postkomuną o to, żeby po Krzysztofie Skowrońskim Jolanta Hajdasz (kierująca Centrum Monitoringu Wolności Prasy) objęła stanowisko prezesa stowarzyszenia. Bo ona jest niewygodnie wiarygodna. Trzeba zatem otoczyć ją inscenizowanym kordonem nieufności. To co mówili jej przyjaciele, zrzeszeni w różnych organizacjach międzynarodowych dziennikarskich, tych, które mają sztandary wypełnione różnymi hasłami wolnościowymi – to włos się na głowie jeżył. We wszystkich tych organizacjach, które nominalnie walczą o wolność, o demokrację w Europie, jak coś jest prawicowe, to jest absolutnie od początku marginalizowane. Na zakończenie Jan Musiał powiedział m.in.: „Pamięć ma nam służyć do tego, byśmy byli czujnie przytomni także i dzisiaj. Byśmy to, co pamiętamy, umieli sensownie, skutecznie użyć wobec różnych, inspirowanych niepokojów dzisiejszych, rzutujących na niepewność jutra”.

Przyszła kolej na głosy słuchaczy – gości spotkania. Wypowiedziały się dwie osoby. Pierwsza z nich to pani, która w roku 90-tym pracowała w spółdzielni mieszkaniowej i 3 kadencje była przewodniczącą Solidarności w pracy. Powiedziała, że z Solidarnością nikt nie chciał się liczyć, nie liczył i większość rzeczy zawsze musiała być przeprowadzona pod dużymi naciskami. Innym, będącym w podobnej sytuacji jak ona, też było ciężko dźwigać swoje funkcje, ponieważ pracodawca i tak robił wszystko, żeby postawić na swoim.

Drugi mówca wyraził opinię, poczucie powątpiewania, że dzisiaj możemy się udać do kościoła. W jego opinii kościół się niejako aktualnie odsunął. Mało wsparcia i ducha powiewa od niego. Młodzież nie słyszy tego słowa patriotycznego, by się angażować w cokolwiek. Nie czuć tego powiewającego wiatru, który był np. gdy mówił ks. Jerzy. Jego słowa powodowały w ludziach chęć walki, potrzebę organizowania się, angażowania w duchu patriotycznym. Dzisiaj brak tego wszystkiego...

Głos w tej sprawie zabrał **Marek Kuchciński**: „sądzę, że Kościół jest pod dużym naciskiem zewnętrznym, jest zagrożony. Ale jestem większym optymistą, bo chociaż czasy współczesne tak przyspieszają, że trudno nadążyć za zmianami, że także kościół musi jakoś dostosowywać się do tych zmian, to jednak trwa. I to jest opoka naszego patriotyzmu i cywilizacji. Uważam, że wprowadzenie stanu wojennego zatrzymało ten wielki ruch wolnościowy, który Solidarność uruchomiła w Polsce. Ale czy on skończyłby się tak, że 8 lat szybciej nastąpiłaby wielka transformacja i zmiana, czyli rok 89? Tego nie wiem. Ale chciałbym jeszcze na jedno zwrócić uwagę. Solidarność spowodowała rozwój w naszym kraju niezależnego czytelnictwa, a stan wojenny tylko je wzmocnił wprowadzając różne zakazy. Kilka tysięcy wydawnictw książkowych poza cenzurą, 15 tys. Czasopism... Te liczby zna, dokumenty zbiera nie tylko IPN, ale też prywatni kolekcjonerzy, jak Zygmunt Kozicki z Ustrzyk Dolnych, który posiada chyba największy, skatalogowany zbiór czasopism wydawanych w czasach opozycji. Jego zdaniem w tamtym czasie wychodziło

w Polsce 15 tys. czasopism. I takiego wielkiego rozwoju literatury wydawniczej w Polsce do tej pory nie mieliśmy. Przypuszczalnie w żadnym innym państwie tego nie było. A to świadczy o wielkim fenomenie kultury polskiej, która rozkwitała poza oficjalnymi strukturami państwa komunistycznego. Podczas stanu wojennego naród pokazał, jak wielkie drzemią w nim siły. I ten fenomen kultury polskiej, który ujawnił się w tym tylko ruchu wydawniczym to jest coś, o czym powinniśmy przypominać, o czym powinniśmy opowiadać i z czego czerpać nauki na przyszłość”.

Adam Pęziół wyraził potrzebę pokazania całego spektrum działania kościoła rzymskokatolickiego w czasach stanu wojennego, w którym kościół odegrał ogromną rolę. Nie tylko poprzez opiekę duchową, która była udzielana, ale także przez pomoc materialną dla rodzin, także pomoc żywnościową czy materialną dla osób osadzonych. Przy parafiach, tych powiedzmy bardziej prestiżowych, były apteki, które udzielały pomocy ludziom uboższym czy represjonowanym. Ponadto tygodnie kultury chrześcijańskiej były powszechnym zjawiskiem. Przychodziło na nie po kilkaset osób. I dalej: „Mówię o tym dlatego, że obecnie zmieniła się sytuacja w sposób radykalny, nie trzeba przecież tego udowadniać, że to, co kościół robił w latach 80-tych, czyli bezpośrednio po stanie wojennym, to w nowej, wolnej Polsce wiele spraw przejęły samorządy, państwo, organizacje charytatywne, mnóstwo rozmaitych instytucji”. Po czym zadał następujące pytanie: „W jaki sposób mamy działać, też pokoleniowo, bo przychodzą nowe pokolenia, czy kościół sam z siebie ma narzucać jakąś misję świata? Czy jednak trzeba mocniej włączyć się w te plany? Komuniści nadal to robią, w większości walczą z kościołem. Dzisiejsza lewica skrajna żyje jakby Boga nie było i tak uczą, pomijają go. Dzisiaj na pewno jest inna rola kościoła. Na pewno to, że po śmierci świętego Jana Pawła II, nikogo podobnego kościół nie wydał, to wpływa na ocenę sytuacji aktualnej i powinno nas mobilizować. I przypominając tekst Niemena, że „ludzi dobrej woli jest więcej” ..., to jeśli jest ich więcej, to i tak muszą pracować dwa razy więcej”.

Henryk Cząstka powiedział m.in., że musimy też wziąć pod uwagę, że kościół w pewnym sensie też się na nas zawiódł, bo kiedy poczuliśmy się w silni, to kościół stał się niepotrzebny. A teraz jest potrzebny i trzeba zrobić wszystko, żeby pozyskać przychyłność kościoła. Musimy nawiązać więź między nami.

W podsumowaniu **Marek Kuchciński** powiedział, że to spotkanie powinniśmy potraktować jako kontynuację dyskusji zachęcającej do poszukiwania recept, które w przyszłości ustrzegą nas przed powrotem systemów totalitarnych w Europie i pozwolą budować przyszłość Polski w duchu wielkich idei jakie przyniosła Solidarność powstała po wyborze Karola Wojtyły na Ojca Świętego.



Manifestacja uliczna 1 maja 1988 r. w Przemysławu, w ramach alternatywnych obchodów „Święta Pracy” - uroczystość św. Józefa robotnika. Przejście od kościoła Salezjanów (pw. św. Józefa robotnika) do placu przy kościele św. Trójcy.
Zdjęcia udostępnione przez Jana Jarosza



Manifestacja uliczna 1 maja 1988 r. w Przemyślu, w ramach alternatywnych obchodów „Święta Pracy” - uroczystość św. Józefa robotnika. Przejście od kościoła Salezjanów (pw. św. Józefa robotnika) do placu przy kościele św. Trójcy.
Zdjęcia udostępnione przez Jana Jarosza



Manifestacja uliczna 1 maja 1988 r. w Przemyślu, w ramach alternatywnych obchodów „Święta Pracy” - uroczystość św. Józefa robotnika. Przejście od kościoła Salezjanów (pw. św. Józefa robotnika) do placu przy kościele św. Trójcy. Zdjęcia udostępnione przez Jana Jarosza



Manifestacja uliczna 1 maja 1988 r. w Przemyślu, w ramach alternatywnych obchodów „Święta Pracy” - uroczystość św. Józefa robotnika. Przejście od kościoła Salezjanów (pw. św. Józefa robotnika) do placu przy kościele św. Trójcy. Zdjęcia udostępnione przez Jana Jarosza

MAJOR ALICJA WNOROWSKA



Fot. z archiwum Stanisława Wnorowskiego

Uroczystości upamiętniające

Przemyskie Towarzystwo Kulturalne oraz Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Rzeszowie, 20 października 2024 roku, były organizatorami uroczystości upamiętniających major Alicję Wnorowską - przemysłankę, żołnierza Armii Krajowej, oficera Brygad Wywiadowczych AK i Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, skazaną na karę śmierci za działalność niepodległościową.

Uroczystości rozpoczęły się Mszą świętą pod przewodnictwem ks. bp. Krzysztofa Chudzio w Bazylice Archidiecezjalnej w Przemyślu. Po jej zakończeniu, w asyście Kompanii Honorowej 20. Przemyskiej Brygady Obrony Terytorialnej i pocztów sztandarowych, uroczyste odsłonięto na ulicy Matejki 13 tablicę upamiętniającą major Alicję Wnorowską.

Pamiątkowa tablica ufundowana przez Instytut Pamięci Narodowej Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, której autorem jest przemyski artysta rzeźbiarz Marian Szajda, została umiejscowiona na posesji, gdzie przez kilkadziesiąt lat mieszkała Alicja Wnorowska.

W uroczystościach wzięła udział rodzina pani major Wnorowskiej, wśród nich wnuczka Agnieszka, prezes Zarządu Głównego Zrzeszenia WIN kpt Zbigniew Młyniec, Marek Kuchciński, poseł na Sejm RP i prezes Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego, dr hab. Dariusz Iwaneczko, dyrektor Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Rzeszowie, przedstawiciele władz wojewódzkich i miejskich, kombataneci, duchowieństwo, mieszkańcy Przemyśla, a także płk Daniel Błotko i mjr Piotr Dryła wraz z żołnierzami 20. Przemyskiej Brygady Obrony Terytorialnej, w skład której wchodzi Przemyski Batalion Obrony Pogranicza noszący imię mjr Alicji Wnorowskiej ps. „Ewa”.

Warto wspomnieć, że tablica została umieszczona na ogrodzeniu posesji, gdzie dawniej mieszkała mjr Alicja Wnorowska, a której obecnym właścicielem jest pan Bogusław Zaleszczyk, którego przodkowie walczyli w Obronie Przemyśla w 1918 r., jako Orleńscy Przemyskie, a jeden ze stryjów był członkiem tej samej jednostki WIN, w której służyła Alicja Wnorowska.

Odsłonięcie tablicy zostało poprzedzone przedstawieniem sylwetki major Alicji Wnorowskiej przez dr hab. Dariusza Iwaneczka, dyrektora Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Rzeszowie:

„Alicja Wnorowska urodziła się w 1918 roku, roku kiedy Polska odzyskiwała swoją suwerenność. Pochodziła z rodziny oficerskiej. Ojciec był oficerem cesarsko-królewskiej armii, a później oficerem wojska polskiego. Była, wydawałoby się, zwykłą dziewczyną, młodym człowiekiem, wzrastającym pośród murów przemyskich kamienic, ale wyróżniała się szczególną inteligencją. W 1937 roku, zdała egzamin dojrzałości i podjęła pracę. Była kobietą bardzo rezolutną, ale przede wszystkim też bardzo wysportowaną. Często lubiła przebywać w gronie przyjaciół, koleżanek. Uprawiała narciarstwo, lekkoatletykę, gimnastykę. Wzrastała w normalnej atmosferze przemyskiego grodu. Ten czas, wydawałoby się normalnego życia, został przerwany przez II wojnę światową. W latach wojny nie podejmowała działań konspiracyjnych, ale u jej schyłku. Bowiem, w grudniu 1944 roku, poprzez kontakt ze swoją przyjaciółką, Ireną Szajowską, została zaprzysiężona do Brygad Wywiadowczych. Cóż to były te Brygady Wywiadowcze? Otóż, powstały jeszcze głęboko podczas okupacji, kiedy funkcjonował jeszcze Związek Walki Zbrojnej później przekształcony w Armię Krajową, wywodził się z tzw. zmilitaryzowanej administracji o kryptonimie „teczka”, na której czele stał ppłk Brzymek-Strzałkowski. Ta administracja zmilitaryzowana była budowana w oparciu o wcześniejszą, przedwojenną administrację cywilną, głównie w oparciu o starostów zaangażowanych w ruch piłsudczykowski. Przede wszystkim miały na celu prowadzenie działań o charakterze kontrwywiadowczym i wywiadowczym w środowiskach antyniepodległościowych, głównie wśród środowisk komunistycznych. Także tutaj na Podkarpaciu struktury wywiadowcze były bardzo dobrze rozwinięte. A zatem, nie było to klasyczne wojsko, był to bardziej wywiad, służba specjalna, funkcjonująca obok, czy też w strukturach Armii Krajowej.

Alicja Wnorowska, na skutek rekomendacji i sprytnego zabiegu, przeprowadzonego przez dowódcę tutejszych Brygad Wywiadowczych, Adama Słabosza, została, na podstawie rekomendacji struktur Polskiej Partii Robotniczej w Przemyślu, zainstalowana czyli zatrudniona w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Na początku w charakterze sekretarki, a później awansowała do stanowiska inspektora personalnego, nawet kierowniczkę sekretariatu. Ówczesnym kierownikiem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego był Józef Zapałowski, kujbyszewiak, czyli oficer Ludowego Wojska Polskiego, po szkole NKWD w Kujbyszewie, który jak wielu, licznych tego rodzaju

funkcjonariuszy, objął kierownictwo nad jednym z ważniejszych wówczas, Powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego w Przemyślu. Alicja Wnorowska dostarczała bardzo cenne materiały o charakterze wywiadowczym, które były przekazywane dalej poprzez Słabosza do kierownictwa Brygad Wywiadowczych. To były bardzo cenne i bardzo ważne informacje dotyczące zarówno, struktury kierunków działalności operacyjnej Urzędu Bezpieczeństwa w Przemyślu szczególnie tych wymierzonych w byłych żołnierzy Armii Krajowej i struktury niepodległościowe, które tutaj istniały, ale również dostarczała informacje o obsadzie personalnej bo miała dostęp bezpośredni do dokumentów dotyczących obsady personalnej PUBP w Przemyślu. Po tym jak Józef Zapałowski objął funkcję naczelnika wydziału III w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa w Rzeszowie, Alicja Wnorowska, można powiedzieć awansowała w ślad za nim i tam objęła funkcję kierownika sekretariatu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, mając dostęp bezpośredni do bardzo cennych, można powiedzieć o stopień cenniejszych niż wcześniej dokumentów, obiegu dokumentów, jak też informacji dotyczących zamiarów co do aresztowań żołnierzy podziemia niepodległościowego, jak też tych którzy przebywali areszcie śledczym Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie. Jej miejsce tutaj w Przemyślu, zajęła wówczas Maria Grzegorzczak, a Irena Szajowska była dalej tą łączniczką, poprzez którą przekazywano te istotne dla podziemia niepodległościowego meldunki. We wrześniu 1946 roku po licznych aresztowaniach struktur Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, jak również w Brygadach Wywiadowczych, funkcjonariusze śledczy Urzędu Bezpieczeństwa natrafili na ślad Alicji Wnorowskiej. Ona już wówczas nie pracowała w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego, tak się stało, a miłość nie wybiera, że między nią a Józefem Zapałowskim doszło do związku uczuciowego i z tego związku nieco później narodził się syn. Po aresztowaniu trafiła do aresztu śledczego na Zamku, Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, tam w marcu 1947 roku została skazana na karę śmierci, jak słyszeliśmy podczas Eucharystii, miesiąc później urodziła, oczekując na wykonanie wyroku, syna Stanisława. Ten wyrok został zamieniony na karę dożywocia. Później dopiero na 10 lat więzienia, w roku 1955 wraz z tym małym niemowlakiem trafiła do więzienia dla kobiet w podbydgoskim Fordonie. Tam Stanisława jej zabrano, był wychowywany przez jej siostrę. Właściwie, dopiero mając 5 lat po raz pierwszy mógł zobaczyć swoją mamę. Kiedy Alicja Wnorowska w 1955 roku została z więzienia zwolniona, zabrała oczywiście małego Stanisława i na powrót wróciła tutaj do Przemyśla. Ten czas początkowy był bardzo trudny. Jak wspominał Stanisław Wnorowski, swoją ciocię nazywał mamą, a mamę ciocią, była to dla niego obca osoba, możemy też sobie wyobrazić jakie uczucia miała Alicja Wnorowska, kiedy dopiero na powrót mogła poznawać swojego syna Stanisława. Zmarła w 2008 roku, została pochowana na cmentarzu komunalnym w Przemyślu, ale kiedy można było po 90 roku na powrót opowiadać tę historię, kiedy można było dawać świadectwo i można był angażować się w działania wspierające Instytut Pamięci Narodowej, Alicja Wnorowska, razem ze swoją dożgonną przyjaciółką Ireną Szajowską, bardzo mocno angażowała się na rzecz utrwalania pamięci, przypominania o żołnierzach wyklętych, o działaczach Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, a także o działaczach Brygad Wywiadowczych. Dodam, że Alicja Wnorowska była nie tylko inteligentną, bardzo mądrą kobietą i Polką, ale była kobietą nadzwyczaj urodziwą. Taką pozostała do swojej starości, do 90 roku życia."

Po uroczystościach na ulicy Matejki, w siedzibie Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego, odbyła się sesja popularnonaukowa, podczas której referat na temat podziemia niepodległościowego po II wojnie światowej wygłosił dr hab. Dariusz Iwaneczko, a prelekcję zatytułowaną

„Wolność krzyżami się mierzy. Pokolenia niezłomnych Rzeczypospolitej” prof. dr hab. Jan Draus. W późniejszej dyskusji zabrał głos m.in. Waldemar Wiglusz przedstawiając sylwetkę żony Jadwigi żołnierza niezłomnego Tadeusza Gajdy pseudonim „Tarzan”, która mieszkała przy ulicy A.Puszkina 18. Na tejże willi jest już tablica upamiętniająca gen. Władysława Andersa. Drugim mężem Jadwigi był Eugeniusz Gawryś – leśnik, syn Tadeusza Gawrysia legionisty, który zginął pod Mołotkowem. Drugim wspomnianym żołnierzem niezłomnym był Stanisław Dubaniowski ps. „Salwa”, którego upamiętnienia brakuje w Przemyślu na willi przy ul. Kołataja 2, gdzie mieszkał z rodziną. Sesji towarzyszyła okolicznościowa wystawa poświęcona major Alicji Wnorowskiej.



Uroczystości przy ulicy Matejki, przemawia Dariusz Iwaneczko, dyrektor IPN o/Rzeszów



Pod tablicą mjr Wnorowskiej: Dyrektor IPN o/Rzeszów Dariusz Iwaneczko, ppłk Daniel Błotko, poseł RP Marek Kuchciński, Agnieszka Wnorowska, kpt. Zbigniew Młyniec, wicemarszałek Piotr Pilch, Bartłomiej Barszczak, wiceprezydent m. Przemyśla



Sesja popularnonaukowa w Przemyskim Towarzystwie Kulturalnym:
Marek Kuchciński, dr hab. Dariusz Iwaneczko, prof. Jan Draus

WSPOMNIENIA

ANDRZEJ KOPERSKI



Moja droga do wymarzonej wolności

W bardzo trudnym powojennym okresie w rodzinnym domu, w szkole, najważniejszym pouczeniem wychowawczym było: żyj w prawdzie, bądź sprawiedliwy i wrażliwy na drugich, odważnie głoś swoje zdanie, abyś żył w wolności.

W latach powojennych, na które przypadło moje dzieciństwo, oprócz biedy materialnej, panował system w którym nie liczyła się jednostka ze swoimi ideałami. Na szczęście żyliśmy w środowisku rodzinnym, sąsiedzkim, szkolnym, w którym przemożny wpływ miało pokolenie, to które odbudowało Polskę po 123 latach zaborów i po tragicznych wydarzeniach I i II wojny światowej. Wbrew nadziei, dawali nam nadzieję, że i system komunistyczny będzie miał swój kres i zaplanuje wolność.

Nieocenioną rolę w kształtowaniu naszych charakterów i w moim życiu odegrali nauczyciele, katecheci, wychowawcy. W szkole podstawowej nr 1 w Przemyślu, od 5 klasy, moją wychowawczynią była polonistka- Maria Konopka. Jako przedwojenna harcerka, uczyła nas patriotyzmu, nie uznawała żadnych ówczesnych urzędowych, propagandowych podręczników, ale czytała nam Słowackiego, Mickiewicza, Konopnicką, Prusa i innych klasyków polskiej literatury. Umieliśmy na pamięć wiele fragmentów „Pana Tadeusza”. To później zaowocowało w dalszym naszym kształceniu się. W 3 klasie ja i duża grupa moich kolegów rozpoczęliśmy pod okiem ks. Stanisława Burczyka okres kandydacki do służby ministranckiej. Uczyliśmy się ministrantury w j. łacińskim i skomplikowanego dzwonienia. W 1954 roku przyszła oczekiwana uroczystość złożenia przyrzeczenia ministranckiego. To kształtowało nas duchowo, znaleźliśmy się w bliskości Pana Boga i wybitnych przemyskich kapłanów.

Już wówczas stawaliśmy przed trudnymi wyborami. Jeden z nauczycieli, do którego mieliśmy obowiązek zwracać się per „obywatelu”, nalegał, abyśmy się zapisali do OH, stalinowskiej organizacji harcerskiej. Ponieważ w większości byliśmy ministrantami, uznaliśmy, że to stałoby w sprzeczności z wyznawanymi przez nas wartościami i demonstracyjnie nie przyszliśmy na zbiórkę harcerską. Nie byliśmy do końca świadomi konsekwencji naszej decyzji. Nasz katecheta ks. Stanisław Burczyk, został wówczas wezwany do Urzędu Bezpieczeństwa i oskarżony, że jako opiekun ministrantów zbuntował nas przeciwko państwowemu harcerstwu i z tego powodu został dyscyplinarnie usunięty ze szkoły. De facto takiej bezpośredniej namowy ze strony księdza nie było, było natomiast przekazywanie zasad, którym chcieliśmy być wierni. Pani Konopka obawiając się represji wobec naszych rodziców, dawała nam pierwsze wskazówki jak nie dać się sprowokować.

Był to już schyłek okresu stalinowskiego. W dniu śmierci Stalina, w marcu 1953 roku, w zakładach pracy, ale także i w szkołach, nawet podstawowych, nie było nauki. Zgromadzono nas, wszystkich uczniów, na korytarzu szkolnym. W centralnym miejscu stało gipsowe popiersie Stalina, przykryte kirem. Z głośnika puszczano muzykę żałobną, a w przerwach odczytywano różne przemówienia z gazet. Wszystko to trwało przez kilka godzin. W duchu wszyscy nosili nadzieję na zmiany i przywrócenie choćby odrobiny wolności.

W Liceum znaleźliśmy się pod opieką wybitnych profesorów w dużej mierze też z tzw. przedwojennej generacji, niektórzy to byli pracownicy naukowcy Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Państwo Schneidrowie, Pani Kielar, prowadzili tajne komplety w czasie okupacji hitlerowskiej. Prof. Ferdynand Schneider – ps. „Ślącza”, był Przewodniczącym Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury, której podlegał Związek Tajnego Nauczania. Bardzo cenne były lekcje języka polskiego prowadzone przez Panią dr Stefanię Kostrzewską – Kratochwilową, córkę Józefa Kostrzewskiego, pierwszego burmistrza Przemyśla po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Uczyła nas przede wszystkim samodzielnego myślenia. Pani Profesor wprowadzała nas w szeroki świat kultury. Z jej inspiracji uczestniczyliśmy w publicznych wykładach i dyskusjach. Była bardzo odważna, wygłaszała publicznie śmiało swoje poglądy, czym „podpadała” władzy, a u nas zdobywała szacunek. W czasie II wojny światowej, jako działaczka Stronnictwa Narodowego była w sztabie powiatowym Narodowej Organizacji Wojskowej. Nie bała się mówić o układzie Ribentrop – Mołotow jako o IV rozbiórce Polski. Z kolei Pani prof. Krystyna Andrzejczyk wyrabiała w nas zamiłowanie do krajoznawstwa, uczyła w ten sposób miłości do małej i wielkiej Ojczyzny. Poznaliśmy różne regiony Polski, wiele miejsc zobaczyłem po raz pierwszy i była to wspiana szkoła życia.

Miałem zakodowaną genetycznie żytkę „społecznika”. Czułam potrzebę bycia i działania we wspólnocie. W okresie krakowskich studiów tęskniłem za swoim ukochanym miastem – Przemyślem, szukałem towarzystwa rodaków. Taką okolicznością było uczestnictwo w niedzielnej Mszy św. w kościele akademickim Św. Anny w Krakowie. W grupie kolegów z Uniwersytetu, AGH, Akademii Medycznej i innych uczelni, przy kawie, lampce winna dzieliśmy się wiadomościami z domu, wymienialiśmy poglądy. Wówczas nasunęła mi się myśl, aby założyć studenckie koło przemysłań. Pierwsze spotkanie odbyło się w znanym Klubie „Żaczek”, w listopadzie 1963 roku,

w dniu głośnego zamachu na prezydenta J. F. Kennedyego. W przyszłości było to impulsem to powstania takich kół na Politechnice i AGH.

W latach studiów (od 1961 do 1966 roku) zaangażowałem się w działalność Zrzeszenia Studentów Polskich, które cieszyło się wówczas namiastką niezależności. Spory czas byłem sekretarzem tej organizacji w ramach Wydziału Filozoficzno – Historycznego UJ. W 1963 roku były poważne zakusy ze strony władzy, aby samorząd studencki pod szyldem ZSP, wtopić w Związek Socjalistycznej Młodzieży Studenckiej i podporządkować go partii. To miało się odbyć przy okazji wyborów. Liczono, że do organów ZSP wejdzie większa grupa osób ze Związku Młodzieży Socjalistycznej, która zdominuje organizację i taką korzystną dla siebie zmianę polityczną przeprowadzi. Z obu stron prowadzono bardzo ostrą propagandową walkę wyborczą. Ostatecznie wygrała opcja ZSP, w której i ja byłem mocno zaangażowany. W wyniku tego zwycięstwa zostałem w 1965 roku wybrany do Rady Uczelnianej ZSP przy UJ. Wywalczona sprawa pewnej odrębności ZSP jeszcze na długie lata zaważyła i pohamowała zakusy pełnego upartyjnienia krakowskiego środowiska studenckiego. W okresie tego fermentu, w samym akademiku ujawniło się wielu agentów SB, którzy po przegranej walce wyborczej nagle „ulotnili się”. Natomiast w 1966 roku, po historycznym liście biskupów polskich do biskupów niemieckich z prośbą o przebaczenie, na frontonie akademika pojawiły się wrogie, antykościelne, propagandowe transparenty. Środowisko akademickie było mocno inwigilowane. W odpowiedzi na to spontanicznie uformował się pochód, może ok. 150-200 osób. Powiadomiony, dołączyłem się do tego marszu. Od akademika przy gmachu Muzeum Narodowego, następnie ulicą Manifestu Lipcowego (ob. Piłsudskiego) i koło Collegium Novum doszliśmy do kościoła św. Anny, gdzie już wcześniej zgromadziła się bardzo duża ilość studentów. O dziwo, prawdopodobnie zaskoczona tym władza nie zdołała jeszcze zareagować i rozpedzić siłą manifestujących. Kazanie wygłosił ks. abp Karol Wojtyła (późniejszy Ojciec Święty Jan Paweł II), cieszący się już wówczas bardzo wielkim autorytetem, jako uczestnik- Ojciec II Soboru Watykańskiego. W środowisku akademickim, toczyły się głośne dyskusje nt. nowatorskiej książki Karola Wojtyły „Miłość i odpowiedzialność”.

Oczekiwaliśmy bardzo emocjonalnego wystąpienia wobec agresywnej walki ówczesnej władzy z Kościołem. Natomiast ks. abp Wojtyła tonował nastroje, słusznie obawiając się prowokacji i jak zwykle dotkliwych konsekwencji dla protestujących studentów, dlatego wzywał do pokojowego rozejścia się. Byliśmy – młodzi-dumni” mocno zawiedzeni, że nie możemy ostro zmanifestować swojego stanowiska. W tych latach, był to już okres tzw. późnego Gomułki, po krótkim czasie odwilży, kontynuowana była szara rzeczywistość tamtego systemu.

W 1966 roku uczestniczyliśmy z narzeczoną w pamiętnych rekolekcjach wielkopostnych dla młodzieży, które prowadził w przemyskiej katedrze, tuż po ingresie, ks. bp Ignacy Tokarczuk. Jego erudycja, jasność przekazywanych nauk, radykalność poglądów już wówczas ukazywała nam młodym, że to wielki kapłan i niezwykła osobowość.

Przyszedł pamiętny sierpień 1968 roku, czas agresji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, jako odwet wobec tzw. „Praskiej Wiosny”, która miała przynieść pozytywne zmiany społeczne, ekonomiczne i polityczne. W sobotnie popołudnie, chyba 17 sierpnia 1968 roku, w Przemyślu pojawiły się pierwsze samochody z wojskami sowieckimi. Przed mostem, przy

dawnym MPIKu, grupa młodych ludzi nieśmiało wznosiła okrzyki „dawaj nazad”, wzywające do powrotu. W niedzielę miasto zamarło. Mieszkając w pobliżu ul. Jagiellońskiej byłem świadkiem przejazdu ogromnej, niekończącej się kolumny wojsk sowieckich. Jechali prawie dwie doby. Zza plandeki samochodów wyglądały wystraszone twarze młodych Azjatów, żołnierzy sowieckich. Było też słycać nieustanny huk przelatujących samolotów wojskowych. Robiło to piorunujące wrażenie. Miało się odczucie, że wojna tuż, tuż.

Po przełomie 1970 roku, ludzono się, że wraz z pewnym postępem gospodarczym, poprawą codziennego „siermiężnego” życia, przyjdzie powiew wolności. Ale odchodziło starsze pokolenie, a wraz z nim dawne, sprawdzone wartości. W okresie gierkowskim nasiliła się indoktrynacja ideologiczna, następowało masowe upartyjnienie. Były nawet próby opanowania ideologicznego niezależnego środowiska zrzeszonego w Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Przemyślu, do którego mam zaszczyt należeć od 1966 roku. Przy zdecydowanej postawie członków Towarzystwa te zamiary zakończyły się całkowitym fiaskiem dla PZPR. Szczególnej presji byli poddani nauczyciele. Niemal 90 % grona nauczycielskiego należało do PZPR względnie do SD lub ZSL-u. Dlatego w trudnym położeniu znalazła się moja żona, jako nauczycielka j. polskiego w szkole podstawowej. Od wczesnych lat uformowana w domu, w szkole, związana z posługą w kościele, chciała być wierna chrześcijańskim wartościom i zachować jedno oblicze. Podtrzymywana w tych decyzjach przeze mnie, nie uległa partyjnym naciskom, a tym samym zachowała szacunek otoczenia i niezależność. Po latach okazało się, że taka postawa była wielką wartością.

Z kolei mnie jako młodego pracownika muzealnego, będącego całkowicie na uboczu establishmentu partyjnego, nigdy nie nakłaniano do partii, choć tym samym pośrednio z góry eliminowano z awansu społecznego i dostępu do nawet drobnych udogodnień życiowych. Ustawiano jakiś mur niemożności, spychano na dalszy plan, gdy przychodziło załatwienie mieszkania, telefonu, kredytu itp. Kiedy w 1974 roku wybierałem się na wczasy do Świnoujścia, planowaliśmy odwiedzić miasteczka położone w pasie przygranicznym z NRD. W owym czasie można było przejść granicę mając pieczętkę w dowiedzie osobistym. Takiego, niewiele znaczącego pozwolenia nie otrzymałem. Był to rodzaj drobnych szykan, względnie efekt jakiegoś donosu.

Po latach dowiedziałem się, że w moich aktach pracowniczych, będących w dyspozycji Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego odnotowano, że „jestem zdecydowanym klerykałem i demonstracyjnie prowadzę swoje dzieci, ubrane w stroje krakowskie, na procesję Bożego Ciała”. Taka, choć groteskowa, opinia nawet mi schlebiała. Z drugiej strony widać było, jakimi głupstwami zajmowała się władza. W rzeczywistości zapisana opinia było jak najbardziej prawdziwa. Żona własnoręcznie wyszywała gorsety i tak pięknie ubrane dziewczynki uczestniczyły w różnych kościelnych uroczystościach.

Warto dodać, że ogólnomiejska procesja miała celowo ograniczoną trasę. Prowadziła tylko od katedry w dół ul. Fredry, wzdłuż górnej pierzei Rynku, kolejno ul. Asnyka i powrót ul. Katedralną. Później trasę procesji przedłużono z Rynku przez ul. Franciszkańską, ul. Władycze i ul. Śniurkiego do katedry. Wszyscy, wówczas, w latach 70-tych oczekiwali na słowo bpa I. Tokarczuka, który z wielką odwagą odkrywał całą prawdę o destrukcyjnej rzeczywistości systemu komuni-

stycznego. Nasz udział był przede wszystkim realizowaniem naszych oczywistych powinności religijnych. Zauważaliśmy, że „pseudofotografowie” nachalnie nas fotografują. Wielka mobilizacja religijna miała miejsce, gdy do Przemyśla peregrynowała kopia cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w 1966 roku. Okna większości mieszkań były bogato udekorowane.

Kiedy zamieszkaliśmy w 1974 roku na osiedlu Kmiecie, uczęszczaliśmy do kościoła Ks. Salezjanów. Potrzebą chwili, zwłaszcza dla ludzi starszych, było postawienie świątyni na osiedlu, wówczas nazwanym „Osiedlem 30-lecia PRL”. Tę myśl zaakceptował ks. abp Tokarczuk i do tego bardzo odpowiedzialnego zadania wyznaczył ks. Adama Michalskiego „naszego niezłomnego kapłana”. Był to czas, kiedy to 16 października 1978 roku został wybrany na papieża Jan Paweł II, pierwszy w historii Polak na stolicy Piotrowej. Mieliśmy wielki autorytet, naszego Papieża. Na tej fali entuzjazmu osobiście odczuwaliśmy, jak też zmieniają się i otwierają się nasze serca i umysły, że wyzwala się pragnienie osobistej wolności.

Na naszych oczach, na Kmieciach, w dawnej szopie, którą nazwano „stajenką betlejemską”, poświęcił miejsce i pierwszą Mszę św. w Niedzielę Palmową 1979 roku odprawił ks. bp T. Błaszkie-wicz, a Mszę św. rezurekcyjną ks. bp I. Tokarczuk.

Chwilą niezwykłą, przełomową, historyczną była 1 Pielgrzymka Papieża do Polski (w czerwcu 1979 roku) i wysłuchana Jego żarliwa modlitwa do Ducha św. To właśnie w tych dniach przywie-ziono do Przemyśla, na Kmiecie, konstrukcje przyszłego nowego kościoła, który wbrew represyj-nym poczynaniom władz, dzięki niezłomności proboszcza Michalskiego i determinacji i hojności wiernych, niemal w błyskawicznym tempie wyrastał z ziemi i stał się podstawą dla naszej obecnej, pięknej świątyni.

Czas był znamienity, w sierpniu 1980 roku doszło do historycznych porozumień sierpniowych i powstała „Solidarność”, dziesięćmilionowy ruch społeczny. Ja i żona należeliśmy do powsta-jących, nowych związków zawodowych NSZZ „Solidarność”. Z doświadczeń studenckich i póź-niejszych, z działalności w dość szczególnym i o pewnej samodzielności Związku Pracowników Kultury i Sztuki, wiedziałem, że w pierwszym rządzie należy przywrócić godność ludziom pracy, dać im prawo decydowania o swoim losie. Oczekiwało się radykalnych zmian dotyczących całej Polski jak i naszego codziennego życia.

Bardzo boleśnie przeżyliśmy zamach na Papieża w dniu 13 maja 1981 roku.

Dla nas osobiście rok 1981 stał się czasem bardzo dramatycznym. W czerwcu zmarł nagle Ojciec żony, we wrześniu, po długiej i ciężkiej chorobie zmarła moja Matka. Zajmowaliśmy się małym synkiem.

W dniu 13 grudnia 1981 roku nastąpił stan wojenny, tragiczny w skutkach, który wolnościowy, solidarnościowy zryw zdławił na kolejne lata.

Znowu poszukiwaliśmy umocnienia w Bogu, w Kościele. Nasze córki związały się z inwigilowa-

nym Ruchem Oazowym, my z odnogą tej wspólnoty. W 1987 roku założyliśmy pierwszy parafialny Krąg Rodzin. Synek stawiał pierwsze kroki w tzw. oazie Dzieci Bożych.

Dochodziło do tragikomicznych sytuacji. Pewnego dnia, było to przed 3. maja 1988 roku, spotkanie Kręgu odbywało się u sąsiadów. Nasze dzieci przypadkowo zauważyły jak agent SB dosłownie przykładając ucho do drzwi mieszkania. Ks. Eugeniusz Dryniak opiekun naszego Kręgu, wówczas jako duszpasterz ludzi pracy, był nachalnie i jawnie inwigilowany, był pod specjalnym nadzorem służb bezpieczeństwa. Uważano, że przygotowuje on jakieś wystąpienia antypaństwowe w związku ze zbliżającymi się uroczystościami rocznicy Konstytucji 3-go Maja. Natomiast należy dodać, że wbrew zakazom władzy, w święto 3 maja czy 11 listopada, po uroczystych nabożeństwach w katedrze, formował się nielegalny pochód mieszkańców czy to do pamiątkowego obelisku na Wzgórzu Zamkowym, czy na dziedziniec przy kościele S. Benedyktynek.

Kolejnym, znaczącym, przełomowym momentem również i w naszym życiu okazał się 1989 rok. Po okresie entuzjazmu, kiedy to powstała „Solidarność” i późniejszych, koszmarnych latach stanu wojennego, przyszedł czas okrągłego stołu. Ogłoszone wybory do sejmu kontraktowego i w pełni demokratyczne do senatu, które dawały nową perspektywę zmian w życiu narodu i państwa. To, co wydawało się jeszcze niedawno mało realne, stawało się z dnia na dzień rzeczywistością i to nawet w naszych przemysłowych, regionalnych uwarunkowaniach.

Już w kwietniu, po obradach tzw. okrągłego stołu, zostałem zaproszony przez reaktywującą się „Solidarność” do udziału w spotkaniu Komitetu Obywatelskiego w Przemyślu, formującego się na wzór Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” przy Lechu Wałęsie. Ponieważ byłem bezpośrednio po chorobie, zostałem przywieziony autem przez Marka Kuchcińskiego i Jana Jarosza. Kiedy zajechaliśmy koło katedry robiono nam zdjęcia. Przez miesiąc przez chorobę oderwany od rzeczywistości, myślałem, że znaleźliśmy się na planie filmowym, a to SB dokumentowało gości udających się na to pierwsze spotkanie Komitetu Obywatelskiego.

Przybyła spora grupa osób nie tylko z Przemyśla, ale też bardzo aktywni działacze z Jarosławia, Lubaczowa, Przeworska i kilku innych miejscowości. Zebranie miało miejsce w tzw. Orzechówce, gdzie gospodarzem z ramienia ks. abpa Ignacego Tokarczuka, był ks. prałat Stanisław Krzywiński. Pracownicy SB byli tak nachalni, że pokonując długi korytarz, z kamerami wchodzili niemal do wnętrza sali.

Spotkania było bardzo konkretne, chodziło o skonsolidowanie sił i pilne przygotowanie się do wyborów parlamentarnych, mianowicie: stworzenie listy kandydatów opozycji do Sejmu i Senatu, zorganizowanie spotkań przedwyborczych, zebranie podpisów na listach popierających naszych kandydatów, obsadzenie Komisji Wyborczych swoimi przedstawicielami. Problem naświetlili prawnicy: Andrzej Matusiewicz i Jan Bajcar. Ważną rolę w realizacji tych zamierzeń odgrywali też: Stanisław Żółkiewicz, Jan Musiał, Tadeusz Trelka, Marek Kuchciński, Waldemar Wigłusz i Marek Kamiński. Od niego, jako reprezentanta RKW „Solidarność” otrzymaliśmy oficjalne, pisemne zaproszenie do udziału w pracach Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Formowały się władze KO „S”. Przewodniczącym został Zbigniew Bortnik, wiceprzewodniczącymi: Mieczysław Argasiński, Przemysław Niemkiewicz, Irena Lewandowska, sekretarzem Waldemar

Wigłusz, kierownikiem biura Bogusław Słoniak. Funkcję rzecznika prasowego powierzono Jackowi Mleczo, później Markowi Kuchcińskiemu.

Poza wyżej wymienionymi osobami do Komitetu Obywatelskiego „S” zostali zaproszeni reprezentanci różnych środowisk, z Przemysła: ks. prałat Stanisław Krzywiński, ks. Eugeniusz Dryniak, Jan Bartmiński, Jan Hołysz, Marta Husar, Jan Jarosz, Andrzej Koperski, Jan Nowakowski, Edward Opaliński, Ryszard Paczkowski, Edward Piecuch, Jan Pisz, Włodzimierz Pisz, Jan Posieczek, Maria Smalejus, Jan Solka, Zdzisław Stanisławski, Jerzy Stabiszewski, Władysław Trojanowski, Stanisław Trybalski, Ryszarda Żurawska; z Jarosławia: Mieczysław Kołakowski, Tomasz Petry i O. Sławomir Słoma; oraz: Augustyn Czubocho z Tuczemp, Krzysztof Gradowski i Adam Kantor z Lubaczowa, Izidor Miara z Orzechowiec, Stanisław Romankiewicz z Radymna, Tadeusz Sopol w Orłów, Stanisław Śliwiński z Mirocina.

Zaprezentowano miejscowych kandydatów do Sejmu – Jana Trelkę, zaś do Senatu- Jana Musiała i Tadeusza Ulmę. Wydelegowany do Warszawy S. Żółkiewicz przekazał wiadomość, że z ramienia KO „S” przy Lechu Wałęsie, jako kandydata na posła do Sejmu w regionie przemyskim wydelegowano Janusza Onyszkiewicza.

Czasu było niewiele, termin wyborów wyznaczono na 4 czerwca 1989 roku. Wyszły pierwsze numery „Biuletynu Wyborczego” – pisma Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, które redagował Janusz Młynarski.

Wyznaczono mi rolę prowadzącego publiczne spotkania, prezentującego naszych kandydatów, przypuszczalnie ze względu na rozpoznawalność wśród mieszkańców miasta. Pierwsze takie spotkanie miało miejsce w salce, w podziemiach kościoła Salezjanów. Otworzył je ówczesny proboszcz ks. Tadeusz Szaniawski. Przedstawiliśmy kandydatów na senatorów: Tadeusza Ulmę i Jana Musiała, oraz kandydata na posła Tadeusza Trelkę. Uczestników spotkania nie było wielu, natomiast zauważyliśmy, że więcej jest wydelegowanych ludzi Służby Bezpieczeństwa, którzy bardzo gorliwie robili zdjęcia. Przed kościołem Maria Podhalicz i Jan Pisz zbierali podpisy na listy kandydatów „Solidarności”. Podobna akcja miała miejsce przy katedrze, tym zajęli się Państwo Żurawscy. Te czynności też były intensywnie inwigilowane przez SB. Od czasu do czasu demonstracyjnie przejeżdżały samochody milicyjne, aby zastraszyć ludzi i utrudnić w ten sposób zebranie podpisów. Przed zgłoszeniem kandydatów do Komisji Wyborczej, Jan Pisz, Ryszard Paczkowski i ja sprawdzaliśmy listy pod względem formalnym i podliczaliśmy liczbę podpisów. To miało miejsce w mieszkaniu prywatnym Jana Pisz przy ul. Noskowskiego. Zauważyliśmy, że nawet i tam byliśmy śledzeni z zewnątrz. Wszelkie procedury formalno -prawne związane z oczekującymi nas wyborami, bez precedensu w dziejach powojennej Polski, wyjaśniali nam Andrzej Matusiewicz i Jan Bajcar.

Kolejne spotkania publiczne, które organizował Marek Kuchciński, już przy udziale głównego kandydata na posła do Sejmu, znanej osobistości z Warszawy Janusza Onyszkiewicza, miały miejsce w Rynku i na dziedzińcu klasztoru SS. Benedyktynek, któremu patronował ks. proboszcz Stanisław Zarych. W innych miejscach, też poza Przemysłem, kandydatów przedstawiał Marek Zazula. Spotkania wzbudzały coraz to większe zainteresowanie, a nawet entuzjazm,

w Rynku przemyskim było obecnych ok. 3,5 tys. ludzi. Wyczuwało się, że społeczność po okresie stanu wojennego z pewną rezerwą i bojaźnią podchodziła do tych nowych wydarzeń. Nie bardzo wierzono w zwycięstwo opozycji w tych jeszcze kontraktowych wyborach. Wszechstronnie i na szerokim tle program zmian przedstawiał kandydat na posła Janusz Onyszkiewicz.

Byłem bardzo zaangażowany w wszelkie działania przedwyborcze. Komitet Obywatelski uzyskał lokal początkowo przy ul. Słowackiego 63, gdzie szczególnie udzielali się w codziennej pracy – sekretarz KO Waldemar Wigłusz i Pani Alicja Kuźmiek. Wkrótce zorientowano się, że przydzielony telefon jest na podsłuchu. Kolejną siedzibą KO była dawna świetlica dworcowa przy pl. Legionów. Często tam zachodziłem, aby na bieżąco być zorientowanym w pracach „KO”. Byłem pełen podziwu dla licznej grypy młodzieży, która całym sercem angażowała się do rozlepiania plakatów i roznoszenia ulotek wyborczych.

W dniu 4 czerwca 1989 r. zostałem wydelegowany z ramienia KO „S” jako członek Komisji Wyborczej w lokalu, w przedszkolu przy ul. Dolińskiego. Z naszej opcji członkiem komisji był jeszcze Andrzej Huk. Większość komisji reprezentowała stronę rządową: PZPR, ZSL i SD. Pilnowaliśmy uczciwości wyborów, liczyliśmy często stan kart. Członkowie komisji z ramienia koalicji rządzącej byli pewni wygranej. Jednak po otwarciu urny, już na pierwszy rzut oko widać było, że w całkowicie wolnych wyborach do Senatu, wygrywają niepodzielnie nasi kandydaci, a w tzw. kontraktowym sejmie również zapewnili sobie miejsca, w granicach 35%. Wyniki w naszym lokalu były odzwierciedleniem tendencji w skali ogólnej. Pracowaliśmy w komisji do 7:30. Nastąpiła wielka euforia. Uświadomiliśmy sobie, że stała się rzecz niezwykła, że kończy się de facto wszechwładza PZPR. Wybory w dniu 4 czerwca 1989 roku stały się datą przełomową w historii Polski.

W ramach przemyskiego Komitetu Obywatelskiego ożywiło się bardzo środowisko kulturalne. Podjęliśmy problem przywrócenia dawnych, historycznych nazw ulicom naszego miasta. Dyskutowaliśmy bardzo otwarcie nt. ułożenia właściwych relacji z mniejszością ukraińską w Przemyślu. Zaczęło na nowo funkcjonować Towarzystwo Miłośników Lwowa. Z racji swojej lwowskiej metryki uczestniczyłem w spotkaniu grupy założycielskiej w lokalu przy ul. Fredry, przewodził mu wówczas dr Miszczak. Później Towarzystwo bardzo rozwinęło swoją działalność. Tymi niezwykłymi wydarzeniami mocno żyliśmy przez kolejne miesiące 1989 roku, aż do wolnych wyborów samorządowych w 1990 roku. W te wybory byłem szczególnie zaangażowany, służyłem pomocą organizacyjną, pośrednio z mojej inicjatywy powstawały parafialne Komitety Obywatelskie w Przemyślu. Z tych środowisk powoływano kandydatów Solidarnościowych do pierwszych, prawdziwie samorządnych Rad Miejskich. Ważnym kryterium były kompetencje kandydatów. W pełni wygrana była po stronie KO „Solidarność”. Po latach można śmiało stwierdzić, że była to najlepsza rada, wolna jeszcze od zabarwień partyjnych.

W 1991 roku miała miejsce historyczna pielgrzymka Ojca Św. Jana Pawła II do Przemyśla. Mając karty wstępu, weszliśmy z synem do katedry i zajęliśmy miejsca po prawej stronie nawy głównej, pod chórem. Śledziliśmy ze wzruszeniem każdy krok i ruch Ojca Św., który wtedy jeszcze pełen sił, wkroczył do katedry, kierując pierwsze spojrzenie na pięknie przystrojone prezbiterium. Dostojnego Gościa witali ks. bp T. Błaszczewicz i ówczesny proboszcz ks. M. Burczyk. Ks. bp Tokarczuk oczekiwał przy głównym ołtarzu. Ojciec Św. podkreślając znaczenie historyczne die-

cezji przemyskiej, przypominając swoje dawniejsze związki z Przemyślem (jako abp krakowski brał udział w uroczystościach milenijnych), wymieniając zasługi ks. bp Tokarczuka dla Kościoła, wyniósł go do godności Metropolity. Modlił się też o ducha porozumienia z miejscowym kościołem greckokatolickim.

Praktycznym wymiarem realizowania moich marzeń o wolności był czas od 1998 do 2002 roku, kiedy to spełniałem zaszczytną funkcję radnego Miasta Przemyśla. Stawałem do wyborów jako kandydat AWS, wytypowany przez Stowarzyszenie Rodzin Katolickich Archidiecezji Przemyskiej. Startowałem pod hasłem: „W służbie rodzinie i miastu”, z listy nr 2, z miejsca 5. Otrzymałem drugą lokatę co do kolejności ilości głosów w Przemyślu. Na 35 miejsc w Radzie, 19 mandatów przypadło dla AWS. Z ramienia SRK radnymi zostali: Grzegorz Nehrybecki, Ryszard Tłuczek i ja. Powierzono mi funkcję przewodniczącego Komisji Rodziny, byłem też członkiem Komisji Edukacji i Komisji Kultury. Nieco wcześniej, bo już od 1995 r., zdobywałem doświadczenie w pracy Rady, jako członek Komisji ds. Rodziny spoza Rady, którą to Komisję prowadziła bardzo sprawnie Dorota Mech. Jako radny pracowałem bardzo aktywnie, na miarę sił i możliwości. Staralem się poznać niemal wszelkie dziedziny życia miasta, które dotyczyły problematyki rodzinnej. Bardzo blisko współpracowałem z ks. dr Marianem Kaszowskim. Wspierałem jego usilne starania w kierunku sfinalizowania prac remontowych i otwarcia domu Samotnej Matki przy ul. Prądyńskiego, który z powodzeniem funkcjonuje do chwili obecnej. Zabiegaliśmy też o lokal dla baru „św. Marty”.

Odwiedzałem szkoły, przedszkola, placówki wychowawcze, świetlice, domy dziecka, internaty, organizowałem spotkania zainteresowanych placówek, aby choć w nieznacznym stopniu poprawić byt społeczności, w szczególności dzieci. Spotykałem się z młodzieżą. Swoje spostrzeżenia i refleksje przelewałem na papier, pisałem artykuły, komunikaty, notatki do „Listu Rodzin” SRK AP, do przemyskiej edycji „Źródła” oraz do „Niedzieli”. Zgłaszałem liczne wnioski, postulaty, szczególnie akcentowałem znaczenie demografii dla dalszego rozwoju miasta i państwa. Zawsze bardzo interesowała mnie idea państwa obywatelskiego, samorządnego, w której upatrywałem szansę rozwoju.

W późniejszych latach zajęty przede wszystkim pracą zawodową: archeologa-muzealnika, pracą naukową, także wykładowcy PWSW w Przemyślu, z wielkim zainteresowaniem i radością, a także z troską, śledziłem żmudny proces formowania się demokratycznego społeczeństwa.

W mojej codzienności często powracam do myśli wypowiedzianej przez Ojca Świętego Jana Pawła II podczas audiencji dla wiernych w 1998 roku: Wolności nie można tylko posiadać, ale trzeba ją stale zdobywać, tworzyć. Może ona być użyta dobrze lub źle, na służbę dobra prawdziwego lub pozornego.



Zespół wyborczy Komitetu Obywatelskiego „S” w Przemyślu (maj 1989 rok) – autor w dolnym rzędzie – 1 z prawej (fot. J. Szwic)



Przemyśl – Rynek – spotkanie wyborcze KO „S” (maj 1989) – Janusz Onyszkiewicz – poseł, Tadeusz Ulma i Jan Musiał – senatorowie; Andrzej Koperski – prowadzący spotkanie (fot. z archiwum autora)

ROBERT CHOMA



Robert Choma – samorządowiec, b. prezydent Przemyśla w latach 2002-2018, 62 lata, urodził się w Przemyślu, żonaty, dwoje dzieci i troje wnucząt. Cały czas mieszka w Przemyślu, miejscu rodzinnym, gdzie mieszkali jego rodzice i dziadkowie.

CZĘŚĆ I

Parafia, podwórko, dzieciństwo

Najciekawszym wydarzeniem z młodości i pierwszym, które mocno zapamiętałem, a które dzisiaj wydaje się być nieobecny w życiu młodych i bardzo młodych ludzi, było wspólne spędzanie czasu na tak zwanej parafii na podwórku, które rozciągało się od ul. Słowackiego wzdłuż ul. Zaleskiego i nieistniejącej już mleczarni. Wokół było kilka jednorodzinnych domków, każdy inny, niektóre z poddaszem, budownictwo charakterystyczne dla przemyskiego przedmieścia położonego przy dawnym trakcie Dobromilskim, bo tak nazywała się wcześniej ulica Słowackiego, który przed wojną prowadził najbliższą drogą przez Dobromil, Sambor, Drohobycz, Truskawiec w Karpaty Wschodnie, do Czarnohory i do Rumunii. Wszystkie te

podmiejskie domki otaczały ogrody ciągnące się aż pod Kopiec Tatarski. Po drugiej stronie ulicy Słowackiego były koszary wojskowe i cały kompleks budynków, jednostek, łącznie z dowództwem garnizonu przemyskiego, który miał tam swoją siedzibę także przed wojną. W ogóle dookoła była atmosfera życia w środowisku wojskowym, bo przecież rodziny wojskowe mieszały w wielu sąsiednich niedawno wybudowanych blokach.

Miejscami zabaw w czasach naszego dzieciństwa było „boisko” między garażami, czyli kawałek ziemi do gry w państwa i miasta oraz wyścigi kapsli udających kolarzy z Wyścigu Pokoju. Był oczywiście trzepak do ćwiczeń oraz piwnice do zabawy w chowanego. Te zabawy były elementem bez troski dziecięcej w szarości PRL-u, w czymś co było swoistego rodzaju normalnością, czyli spędzanie z rówieśnikami czasu, kiedy rodzice wieszali nam na szyi klucz od domu, nakazywali wrócić o określonej godzinie i nie zrobić sobie nawzajem krzywdy, o którą było łatwo, gdy za plac zabaw robił trzepak. To są wspomnienia z dzieciństwa, do których często wracam, a które dzisiaj chyba są czymś niezrozumiałym dla współczesnych dzieci. Ale są to wspomnienia bardzo żywe, np. strzelanie z puszek z karbidem i oblewanie się wodą prosto ze studni w Wielkanoc.

Wychowywaliśmy się na lekturze Winnetou, dlatego budowaliśmy wigwamy na ogrodzie państwa Przewrockich, który rozciągał się w sąsiedztwie naszych domów. Organizowaliśmy pierwsze wypadki do Lasku Grochowskiego i wędrowki na Kopiec Tatarski. W zimie oczywiście narty na wałach i jazda na sankach siedmioosobowych, które na górę wyciągał pies Owczarek jednego z kolegów. Wydaje mi się, że te sentymentalne wspomnienia zimowych przygód narciarskich na pobliskich wałach miały duży wpływ na podjęcie decyzji o budowaniu nowoczesnego stoku i wyciągu narciarskiego wiele lat później, gdy pełniłem funkcję prezydenta Przemysła.

Chodziłem z bratem do tzw. wojskowego przedszkola, przy ulicy Słowackiego, do którego chodziły później moje dzieci, a teraz chodzą wnuki. To był parterowy, przedwojenny budynek z dachem dwuspadowym, niedaleko położony od naszej parafii i po tej samej stronie ulicy Słowackiego, więc czuliśmy się w nim bardzo bezpiecznie.

Szkołę podstawową rozpocząłem 1970 r. w słynnej Ćwiczeniówce, czyli Szkole Podstawowej nr 13 przy ulicy Basztowej. W ostatnich klasach moją wychowawczynią była moja świętej pamięci mama, a na ucznia i Zucha pasował mnie mój świętej pamięci ojciec.

Lata 1979-1982 to I Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego, gdzie uczyłem się w klasie matematyczno-fizycznej. Tam poznałem swoją miłość i obecną żonę Joannę. Wyróżniała się nie tylko urodą, ale i ubiorem prosto z Londynu. Jej ciocia, a siostra mojej teściowej trafiła do Anglii w latach 60. ściągnięta tam przez ich stryja, ks. prałata Adama Wróbla, zresztą bardzo ciekawa postać, już nie żyje a jest pochowany w rodzinnym grobowcu na przemyskim cmentarzu. Za Sowietów otrzymał karę śmierci zamienioną na 10 lat w kopalni ołowiu na Kołymie, skąd wy dostał się z Armią Andersa, pod Monte Cassino był kapelanem I pułku Ułanów Krechowieckich. Jego opowieści były fascynujące, z powiewem mocnej polskiej historii, ale i wolnego świata. Asia i rodzina bardzo Go szanowali, ja również.

Religię miałem w dworku Orzechowskiego koło katedry, a później w budynku gimnazjum pojezuickiego, gdzie mieściło się wówczas muzeum diecezjalne, a uczył nas ulubiony katecheta ks. prof. Szałankiewicz, z którym utrzymujemy serdeczne kontakty do dziś, a który w 1987 roku w katedrze udzielał nam ślubu. Grupa nasza to dziś już kilku nieżyjących niestety kolegów, ale jest i Dzidek Czarski wraz z braćmi, który mieszka do dziś na tak zwanej starej parafii powyżej rodzinnego mojego domu, jest Janek Geneja, Komendant Straży Miejskiej, bracia Długoszowie, Sawiccy, Sękowscy. Na tej samej parafii mieszkała rodzina Janusza Młynarskiego.

Ulubieni pisarze to oczywiście Sienkiewicz głównie Trylogia, a szczególnie Ogniem i mieczem, Szklarski i Przygody Tomka Wilmowskiego, Niziurski oraz oczywiście Karola May'a: Winnetou oraz Old Shatterhand. Później Aleksander Dumas i Trzej Muszkieterowie, Łysiak, Dygat, Żeromski. Mama jako polonistka odpytywała mnie z lektur, ale nie miałem z tym problemu, bo uwielbiałem czytać – nawet po zgaszeniu światła czytałem pod pierzyną z latarką. Później oczywiście książki z drugiego obiegu, w tym z wydawnictwa Libertas, Hłasko, Kultura Paryska. Wszystkie te pozycje i wiele innych ukształtowały moje dzieciństwo i młodość i rzutowały na wybory i decyzje przyszłości.

Do pamiętnych wydarzeń zaliczam studniówkę w stanie wojennym w auli szkolnej, trwającą do godziny dwudziestej oczywiście, a później kontynuację na tak zwanej domówce i przeczekanie godziny policyjnej. Ciekawym epizodem, który na zjazdach maturalnych często wspominamy, było, po ogłoszeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r., wystąpienie z harcerstwa całej naszej drużyny, czyli klasy – z HSPSu, czyli Harcerskiej Służbie Polsce Socjalistycznej. Było to zdarzenie niesłychane w historii szkoły i wzbudziło zainteresowanie notabli z Warszawy, którzy przyjeżdżali przekonywać nas, że źle robimy. Oczywiście wytrwaliśmy. Niewątpliwie był to wpływ ruchu Solidarności, ale i solidarności z jedną z koleżanek z klasy, która była szykanowana. To właśnie z tej klasy są Przemysław Babiarz, bp Krzysztof Chudzio i wielu innych wspaniałych osób, z którymi utrzymujemy kontakty do dzisiaj. Z Przemkiem znamy się od przedszkola.

Muzyka to przede wszystkim rock-AC\DC, Black Sabbath, Queen, Pink Floyd, Genesis, Perfect, Budka Suflera, Mannam, TSA. Sprzęt miałem dobry jak na ówczesne czasy, kasetowy magnetofon JVS, szpulowy Dama Pik, gramofon, wzmacniacz Brandt, kolumny Altusy 80. Do dziś mam ok 50 płyt winylowych, niektóre prawdziwe okazy! Wolność zza żelaznej kurtyny.

Potem studia w Rzeszowie (1982-1988). Ukończyłem Wydział Prawa i Administracji filii UMCS, a także studia podyplomowe jedno, drugie: studia podyplomowe to Akademia liderów samorządowych na Uniwersytecie Warszawskim oraz MBA na Collegium Humanum, gdzie studiowałem by wyrównać poziom wiedzy o spółkach Skarbu państwa nie dla papieru, bo do zasiadania w radach nadzorczych egzamin zdałem jeszcze w 2001 roku.

Od czasu skończenia studiów uczestniczyłem w działalności publicznej. Najpierw pomagając, a później angażując się coraz mocniej w działalność samorządową, później rządową. Jestem zakochanym w Przemyśle lokalnym patriotą i – nie przeceniając swoich uczuć – polskim patriotą, a to jest ważne w kontekście pytania o państwa narodowe.

Najważniejsze wspomnienia

Wydarzenia, które mnie kształtowały to na pewno te, gdy byłem już w wieku nastolatka. Po pierwsze, to wybór papieża i wszystko co później ten wybór papieża determinowało, w tym powstanie Solidarności w 1980 roku, a potem stan wojenny ogłoszony 13 grudnia 1981 r.

Do stanu wojennego moimi głównymi lekturami były: bibuła, czyli prasa niezależna i wydawnictwa bezdebitowe rozprowadzane przez kolegów pracujących w zarządzie regionu przemyskiej Solidarności, który do 13 grudnia 1981 roku miał swą siedzibę na Kamiennym Moście, w domu czytany Tysol (śp. ojciec mój był przewodniczącym KZ NSZZ „S” w ILO), który można wtedy było kupić w kioskach RUCHU, pierwsze przedruki o Katyniu, książki Orwella – 1984 i Folwark Zwierzęcy. Po ogłoszeniu stanu wojennego i powrocie cenzury dostęp do tych wydawnictw stał się niemożliwy, choć z czasem, dzięki podziemnemu kolportażowi zaczął docierać. Wówczas po przeczytaniu takiej książki czy podziemnej gazetki podawaliśmy je dalej w gronie osób już zupełnie zaufanych. Ale żadna z nich już nie wróciła do mnie.

Po powrocie ze studiów w 1988 roku podjąłem pracę w Wojewódzkim Domu Kultury w Przemyśle, nie chcąc odpracowywać stypendium w Urzędzie Wojewódzkim, przyjąłem propozycję „pracy w kulturze”. To wtedy wiosną 1989 roku poznałem przez Janka Jarosza Marka Kuchcińskiego, który zaproponował mi włączenie się w prace Komitetu Obywatelskiego i pomoc w wyborach. Przez Marka poznałem moich późniejszych pracodawców: mecenasa Andrzeja Matusiewicza, który od pierwszych wyborów samorządowych w 1990 roku pełnił przez wiele kadencji funkcję przewodniczącego Rady Miasta Przemyśla, a ja w 1990 r. rozpocząłem pracę w Biurze Rady i Jana Musiała, u którego w latach 1992-96 pełniłem funkcję dyrektora biura senatorskiego. Poznałem też Marka Kamińskiego, szefa regionu przemyskiej Solidarności, Jana Karusia szefa Solidarności rolniczej i innych.

Wspominam tamten czas roku 1989, jak wielką przygodę w drodze do wolności, drugą już po roku 1980-81, gdy powstała Solidarność. Ale teraz ta przygoda skoncentrowała się na jednym, konkretnym celu: wygrać wybory, do których komitety obywatelskie przygotowywały się w całym kraju. Zbieraliśmy podpisy pod kandydaturami do Sejmu i Senatu z Komitetu Obywatelskiego Solidarność. Zbieraliśmy w różnych miejscach, w niedzielę pod kościołami, gdzie ustawiały się długie kolejki ludzi popierających Solidarność. Długością swą przypominały one kolejki sprzed kilku laty ustawiające się wtedy jeszcze często w nocy z kartkami na cukier, wędliny czy po papier toaletowy, a czasem nawet i chleb w czasach tzw. Realnego socjalizmu. Ale ludzie stojący w tamtych kolejkach byli szarzy, zniechęceni, zamknięci i marzący o upadku komuny. A tutaj stali ludzie ze spojrzeniami pełnymi nadziei na zmianę i dobrowolnie, którzy mieli już dość cenzury, systemu kartkowego, nakazowego i życia według jednego obowiązującego dotąd schematu socjalistycznego.

Równolegle odbudowywane były struktury Solidarności. Później zostałem przewodniczącym Solidarności w Wojewódzkim Domu Kultury, gdzie m.in. zorganizowałem pierwszy koncert płytowy Jacka Kaczmarskiego – w Piwnicach WDK. 2 płyty przemycone przez mego brata w 1987,

tj. Katyń i dwupłyty album z koncertu w USA w okładce Aerobic z Jane Fondą (później Jacek Kaczmarski podpisał mi się na okładce – Robertowi Jacek jako Jane). Piwnice pękały w szwach, a dochód z biletów przeznaczony został na działalność związku w WDK. W WDK koncert dał też Przemysław Gintrowski, którego poznałem na koncercie w Lublinie w połowie lat 80. Jacek był sympatykiem ROAD, czego na swych koncertach nie ukrywał, a byłem na dwóch po Jego powrocie. Przemysław Gintrowski miał zdecydowanie bardziej prawicowe poglądy i kierował swoje sympatie ku Porozumieniu Centrum. Jego kasety np. Pamiątki też przegrywaliśmy na inne kasety, które mimo słabej jakości nagrania znajdowały słuchaczy. Płyta z koncertu niestety do mnie nie wróciła. Może ktoś sobie przypomni?

Te pierwsze demokratyczne wybory w czerwcu 1989 r., których rocznicę 35-lecia obchodziliśmy niedawno, 4 czerwca 2024 r, w Przemyskim Towarzystwie Kulturalnym, były niezwykle ważnym momentem w moim życiu. Podczas obchodów tej rocznicy mówiliśmy o tamtych wydarzeniach i słuchaliśmy wspomnień ludzi, które są bardzo aktualne także dzisiaj. Bo jakże aktualne były oceny wygłoszone przez Janka Karusia czy Marka Kamińskiego, kiedy porównywali nasze oczekiwania po wyborach 1989, z rzeczywistością bieżącego czasu, sytuacją nas – Polaków i Polski. Gorzkie, ale prawdziwe.

Przełomem zmieniającym moje dalsze życie i to wszystko, co się wydarzyło po kolei, było małżeństwo, żona – ten wybór przesądził o tym z kim chciałem dalej być i jaką chciałem mieć rodzinę. Bo to jest też tak, że wychowanie dzieci przeniosło się z nich dzisiaj na wychowanie wnucząt czyli coś, co dla nas było też normalne. Wspólne rodzinne spędzane święta, wspólne wyjazdy, uczestniczenie w najważniejszych wydarzeniach, dla nas ważnych i dla nich też.

Bagaż doświadczeń, historia ludzi, książki i muzyka miały wpływ także na wychowanie naszych dzieci: Justyny i Jędrzeja, a teraz wnucząt. To bardzo budujące trwanie przy wierze i tradycji, silna rodzina, wspólny udział w uroczystościach państwowych i narodowych nie tylko w czasie, gdy byłem prezydentem, zdjęcia sprzed lat to obrazują, ale także święta i uroczystości rodzinne u nieżyjących już naszych rodziców i teściów.

Do fundamentów zaliczam oczywiście kościół, wspólnotę, która odgrywa bardzo ważną rolę w rodzinie, która bez tej instytucji i bez wiary byłaby niczym.

Prawdziwym szczęściem były spotkania ze wspinałymi pasterzami: arcybiskupami Ignacym Tokarczukiem i Józefem Michalikiem. Pierwszy kształtował w nas postawy patriotyczne, antykomunistyczne – w każde Boże Ciało czekało się na jego kazanie wygłaszane przy Tablicy Grunwaldzkiej umieszczonej na murach prezbiterium katedry przemyskiej. Arcybiskup Michalik wskazywał wzorce moralne, podkreślał znaczenie korzeni, tradycji, kultury i rodziny jako najważniejsze wartości, sprzeciwiając się narzucaniu nam linii liberalno-lewicowej i krytykując jednocześnie partyjniactwo. Angażowanie się nas jako katolików świeckich w budowanie mocnej Polski w oparciu o zasady stawało się naszym obowiązkiem.

Później z kolei spotkania z Ojcem Świętym – nie przypuszczałem, że gdy w Liceum urwaliśmy się z lekcji z moim serdecznym przyjacielem ze szkoły, żeby uczestniczyć u mnie w domu

w transmisji powtórek z wyboru Ojca Świętego Jana Pawła II, że w przyszłości będą mnie dotyczyły tak bardzo. Kilka audiencji z Ojcem świętym, jego przyjazd do Przemyśla, wszystkie decyzje które zapadały no i dziś Krzyż papieski który mi towarzyszy we wszystkich miejscach, w których byłem i w których pracowałem, w których był cały czas ze mną jako symbol i znak naszej wiary. Oczywiście jak każdy młody człowiek bardziej papieża przeżywałem widząc go niż czytałem czy słuchałem jego homilii.

Zainteresowania i pasje

Myślę tutaj o górach, przede wszystkim o Bieszczadach, moich ukochanych, w które jeździłem od dziecka razem ze swoim ojcem świętej pamięci, a później ze swoimi dziećmi. Teraz jeżdżę z dziećmi i wnukami.

Wyjazd w Bieszczady wnuki zaliczyły już po kilka razy, najwięcej Marcelinka: dwa razy Otryt, Bukowe Berdo też dwa razy, Połonina Wetlińska... Maksiu mając dwa i pół roku samodzielnie wszedł na Bukowe Berdo, a Michalinka co prawda na rękach, ale mając 10 miesięcy zaliczyła ze swoją mamą Połoninę Wetlińską.

Bieszczady to jest miejsce, w którym się resetuję i ilekroć przyjeżdżam w te same miejsca, to choć te same, zawsze wyzwalają nowe uczucia. Mam tam swoich przyjaciół, mamy miejsca do których jeździmy i łazimy po górach. Chodzimy, spotykamy się z tymi ludźmi i to jest dla mnie najlepszy odpoczynek.

Ponadto jazda rowerem w tych górach i ogólnie rower w lecie. Trasy ziemi przemyskiej są zróżnicowane, raz pod górę, raz w dół, szczególnie okolice samego Przemyśla, czy trasy rowerowe do Kalwarii Paclawskiej. Dlatego w ostatnich latach lubię jeździć rowerem wspomagany elektrycznie. A narty w zimie plus muzyka, głównie ta, z czasów młodości, czyli głównie rock i muzyka lat osiemdziesiątych, to mnie pasjonuje najbardziej, często ją słucham w samochodzie i w domu. Moją pasją jest także rekreacja i sport, które łączę często razem z małżonką Joanną, towarzyszem pieszych wędrówek w górach i na rowerze. Na nartach jeździłem z córką i synem. Ale już wybrali swoje drogi i rzadziej w tym uczestniczą.

Syn w dalszym ciągu chodzi po górach, także po Tatrach, po Sudetach i Karkonoszach. Tę pasję udało mi się u nich zaszczepić do tego stopnia, że nauczyłem jeździć na nartach też czteroletnią wnuczkę Marcelinkę, chociaż jeździć to za dużo powiedziane, no ale zjeżdża na oślej łączce w Przemyślu. Nie zdążyliśmy być jeszcze na wyciągu, ale na oślej łączce udaje się jej zjeżdżać i to polubiła.

Okoliczności, które wpłynęły na moją drogę życiową na studiach i po studiach. Była to grupa przyjaciół, z którą często zaczynaliśmy razem w Komitetach Obywatelskich. Te wydarzenia, pierwsze wolne wybory w 1989 roku i to co z nich wynikało, kolejne wybory samorządowe w 1990 r. w maju, prezydenta Polski jesienią, a w 1991 r. parlamentarne i upadek rządu Jana Olszewskiego, to wspominamy i łączy to nas do dzisiaj. Te wydarzenia miały bardzo duży na mnie

wpływ. Później drogi ludzi zaangażowanych w pierwsze wybory parlamentarne w 1989 roku i samorządowe w 1990 r. rozchodziły się w różnych kierunkach. Z Komitetu Obywatelskiego wyrosły partie polityczne, Porozumienie Centrum, ROAD potem przekształcony w Unię Demokratyczną, nasze drogi zaczęły się rozchodzić, chociaż w samorządzie nie wyglądało to tak dramatycznie, jak w polityce krajowej.

Wybór PC I też właśnie kierunek postrzegania polityki zawdzięczam poglądom I rozmowom z Markiem Kuchcińskim głównie oraz kolegami z którymi zaczynałem działać w osiemdziesiątym dziewiątym roku, takimi jak Jan Musiał, Andrzej Matusiewicz, Marek Kamiński, z którym poznał mnie Janek Jarosz, grupa ze Stowarzyszenia Pamięci Orląt Przemyskich: Staszek Żółkiewicz, Zygmunt Wajda, Włodek Pisz. Wszyscy dużo ode mnie starsi, dziś już nieżyjący, ale z którymi podejmowałem Dzieła upamiętnień takich, jak budowa pomnika Orląt Przemyskich. Przy tym pomniku pracowaliśmy społecznie. Ja dwukrotnie malowałem cokół pomnika specjalnym impregnatem do piaskowca i ze Staszkiem Żółkiewiczem montowaliśmy i zaspawywaliśmy orła wieńczącego pomnik. To dzięki Nim wybrałem drogę, na której jesteśmy do dzisiaj, poprzez udział w niemal wszystkich wyborach parlamentarnych i samorządowych zasiadając w komisjach wyborczych i poprzez udział w kampaniach. Osoby te po latach, gdy po raz pierwszy startowałem w wyborach bezpośrednich na prezydenta miasta Przemyśla były moim zapleczem, wsparciem merytorycznym i duchowym.

Pracując w biurze senatorskim u senatora jednocześnie wojewody Jana Musiała miałem zaszczyt poznać i słuchać na spotkaniach w pomieszczeniach przy ulicy Piłsudskiego 1 (Biuro poselsko-senatorskie na piętrze oraz siedziba Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego w b. EMPiKu) takie osobistości jak Lech Kaczyński, Jan Parys, prof Jadwiga Staniszkis, Adolf Juzwenko, Marszałek Senatu Alicja Grześkowiak i wielu innych. Spotkania organizował Klub Nowe Państwo, Myśli Centro-Prawicowej, który razem z Janem Jaroszem prowadziliśmy w latach 90. Tam też zakładaliśmy Stowarzyszenie Obrony Własności Polskiej, które miało być wyrazem sprzeciwu przeciwko projektowi ustawy reprivatyzacyjnej, godzącej w polski interes narodowy. Z Jankiem Jaroszem redagowaliśmy biuletyn, w którym były skróty i anonse tych i przyszłych wydarzeń. Przygodę z samorządem rozpocząłem od pracy w biurze Obsługi Rady Miejskiej, potem lata 1994-1997 to kolejno: radny, wiceprzewodniczący RM i wiceprezydent Miasta.

Z rekomendacji bodaj NSZZ „Solidarność” trafiłem do Warszawy pod skrzydła Longina Komolowskiego jako wiceprezes Krajowego Urzędu Pracy – agendy Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej. W ministerstwie poznałem m.in. Grażynę Gęsicką i Barbarę Mamińską, dwie wspaniałe kobiety, które zginęły z prezydentem Lechem Kaczyńskim w katastrofie pod Smoleńskiem 4 kwietnia 2010 r. Byliśmy blisko zakolegowani, braliśmy udział w pracach Komitetu Społecznego Rady Ministrów i udawało się nam wtedy wielokrotnie pomagać różnym przedsięwzięciom i osobom z naszego województwa i miasta, zdobyłem wtedy doświadczenie i nawiązałem kontakty, które pomogły mi w latach kolejnych w pracy już jako prezydenta miasta Przemyśla. Był to czas służby Państwu i realizacja reform bardzo trudnych, za co później w wyborach AWS zapłacić cenę polityczną. Ale warto było uczestniczyć w reformach dla Polski. Wtedy cały trud wychowania dzieci spoczął na mojej żonie, ja byłem weekendowym ojcem, ale wywiązała się z tego

obowiązku wzorowo, Justyna i Jędrzej są wspaniałymi dziećmi do dzisiaj.
Ciąg dalszy nastąpi...



Kampania prezydencka Lecha Wałęsy, 1990 rok. Robert Choma pierwszy z lewej



Kampania prezydencka Lecha Wałęsy, 1990 rok. Robert Choma pierwszy z lewej, obok Jacek Błotński i Jerzy Błotński

JANUSZ CZARSKI



Wspomnienia Janusza Czarskiego

Jestem Przemyslaninem trochę z przypadku

Przemysł jest moim rodzinnym miastem i nie wyobrażam sobie innego miejsca do życia. Przemyslaninem jestem jednak trochę z przypadku.

Rodzina mojego ojca znalazła się w Przemysłu w wyniku powojennej ekspatriacji z Ziemi Lwowskiej. Zarówno mój ojciec, jak i jego bracia, byli w tych czasach bardzo zaangażowani patriotycznie.

Jeden z braci ojca brał udział w kampanii wrześniowej, po zakończeniu której został internowany przez Sowieców. Udało mu się jednak uciec z tego internowania. Po powrocie do domu rodzinnego został aresztowany i wcielony do Armii Czerwonej. Po podpisaniu układu Sikorski-Majski, zgłosił się do formowanych polskich oddziałów i z Armią Andersa przemierzył cały szlak bojowy aż do północnych Włoch. Brał udział w bitwie pod Monte Cassino, walczył w kampanii włoskiej i w północnej Afryce. W roku 47-ym wrócił do Polski w stopniu podporucznika. W latach 50-60tych pracował przy budowie dróg w Bieszczadach. Jest pochowany na cmentarzu głównym w Przemysłu.

Mój ojciec, zaraz po ekspatriacji z okolic Lwowa dotarł do Przemyśla, utworzył tu razem z drugim bratem i kilkoma przyjaciółmi organizację o nazwie "Liga Walki z Bolszewizmem". Wśród założycieli tej organizacji był przyjaciel ojca Edward Petzel. Działalność tej organizacji była niestety krótka. Przed pierwszą akcją, którą miało być wysadzenie komunistycznego tzw. Pomnika Wdzięczności usytuowanego wówczas na Placu Na Bramie w Przemyślu, zostali wszyscy aresztowani na skutek denuncjacji. Mój ojciec dostał wyrok więzienia. Ponieważ jednak wysłano go jako więźnia do pracy w kopalni, to po kilku latach wyszedł na wolność. Z kolei mój stryj też należący do tej organizacji, który cudem uniknął aresztowania, przez kilka lat ukrywał się za podwójną ścianą w mieszkaniu zaprzyjaźnionych sąsiadów. Gdy władze komunistyczne ogłosiły amnestię, to w celu ujawnienia się pojechał do udzielającego amnestii urzędu w Rzeszowie przebrany za kobietę. Taka ostrożność była konieczna, bo ubecy zatrzymywali mężczyzn zmierzających do tego urzędu i osadzali ich w więzieniu, za nic mając ustawę o amnestii.

Z oczywistych względów w domu rodzinnym panowała atmosfera sentymentu do odebranych Polsce rodzinnych stron (Kresów Wschodnich). Pamiętam taką, trochę anegdotyczną historię. Moja mama wróciwszy z targu warzywnego pochwaliła się teściowej, że udało jej się kupić bardzo ładne pomidory. Podobno moja babcia spojrzała wówczas na te pomidory z politowaniem i powiedziała z nutką rozrzewnienia: -Elu, co to za pomidory! U nas po tamtej stronie, to dopiero były piękne pomidory. Tak więc zawsze wiedziałem, że „u nas po tamtej stronie”, czyli w okolicach Lwowa, wszystko było lepsze, wspanialsze, piękniejsze. Pamiętam jakim nieszczęściem było dla babci, i zapewne dla wszystkich Polaków urodzonych na kresach wschodnich, gdy w ich dowodach osobistych obok miejscowości, w której się urodzili, wpisywano w nawiasie: "ZSRR".

Z kolei druga część mojej rodziny, czyli rodzina mojej mamy, zjawiała się tutaj w wyniku służby wojskowej mojego dziadka. Otóż, dziadek i babcia poznali się w Wilnie i tam na początku lat trzydziestych wzięli ślub. Dziadek był zawodowym wojskowym i przed samą wojną sprowadził się razem z żoną do Jarosławia, gdzie otrzymał przydział do jednostki wojskowej. We wrześniu 39-go roku poszedł na front a wrócił do domu dopiero w roku 1948-ym. Jego historia była też niesamowita. Po kampanii wrześniowej przedostał się na Węgry. Tam został internowany, ale razem z kilkoma kolegami zbiegł i przez północne Włochy dostał się do Francji. Tam zgłosił się do oddziałów Wojska Polskiego we Francji i walczył w kampanii francuskiej 1940. Ponieważ walczył na południu, to został odcięty od możliwości ewakuacji do Anglii. Pozostał więc we Francji, w rejonie Grenoble. Tutaj, po kapitulacji Francji, zrzucił mundur i brał udział we francuskim ruchu oporu. Trwało to przez dwa lata, po czym przedostał się przez Hiszpanię do Portugalii, a stamtąd przepłynął statkiem do Anglii. Z Anglii został przerzucony do Północnej Afryki, bo tam już wówczas dotarły polskie oddziały Andersa. Z Korpusem Andersa brał udział w kampanii włoskiej, walczył m.in. pod Monte Cassino i ostatecznie znalazł się w Anglii. Był w dużej rozterce: wracać do Polski opanowanej przez komunistów, czy nie wracać? Ostatecznie zdecydował o powrocie, bo w kraju czekała na niego rodzina: żona i dzieci. Moja babcia Maria była bardzo dzielna. Gdy dziadek poszedł na wojnę została sama z dwójką dzieci. To był dla niej trudny czas. Na przywitanie męża, który płynął do Polski statkiem, przyjechała do Gdyni. Podobno nawet widziała go tam na cumującym w porcie statku i machała do niego chusteczką. Niestety, nie było jej dane spotkać się z nim, bo zaraz po zejściu z trapu został aresztowany przez komuni-

styczną bezpiekę i dopiero po roku, czy po półtora, nagle zjawił się w domu. Właściwie do końca życia miał duży kłopot z otrzymaniem pracy. Imał się różnych zajęć. Nigdy jednak nie narzekał i mimo całej tej niewyobrażalnej krzywdy, jaką zgotowały mu władze komunistyczne, był człowiekiem pogodnym. Zawsze jak go pytałem o jego wojenne losy, to opowiadał mi tylko takie zwykłe i często śmieszne rzeczy, unikając wspomnienia dramatycznych historii. Pamiętam, że nad jego łóżkiem wisił kilim, na nim u góry obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, a niżej szabla oficerska. Gdy dziadek umarł, to bardzo chciałem mieć – jako pamiątki po Nim – tę szablę i mundur andersowski, w którym wrócił z Anglii. Ale nic z tego nie wyszło, bo babcia uparła się, że dziadek ma być pochowany właśnie w mundurze i z szablą, a także z kilkoma jego odznaczeniami wojennymi. A był on dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, ponadto krzyżem za wojnę polsko-bolszewicką, oraz francuskim Krzyżem Partyzanckim. Mam tylko miniaturki tych odznaczeń. Wspominam o tym wszystkim dlatego, że losy przodków oraz ta atmosfera w rodzinie budowała w jakiś sposób moją postawę.

W Przemyślu był taki zwyczaj w latach 70-tych, że w witrynach sklepów w centrum miasta umieszczano plansze ze zdjęciami absolwentów szkół średnich, wychowawców i całego grona profesorskiego. Głównie z inicjatywy mojego, zmarłego już kolegi, na planszy naszej klasy umieszczono zdjęcie naszego katechety, uznając to za oczywiste. Bo przecież ksiądz, który prowadził z nami lekcje religii, co prawda nie w szkole tylko w salce katechetycznej przy kościele, też był jednak naszym nauczycielem. Plansza wisiała przy ulicy Franciszkańskiej przez sobotę i niedzielę, więc zdjęcie księdza oglądało bardzo wielu przemysłań. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jakie to może przynieść konsekwencje. A finał był taki, że w poniedziałek cała klasa została wezwana na spotkanie z dyrektorem, który nas skarcił za tę "niedopuszczalną i karygodną inicjatywę". Okazało się potem, że on miał duże nieprzyjemności.

Po ukończeniu szkoły średniej wybrałem studia polonistyczne w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Było trochę stresu na egzaminach wstępnych, bo miałem kategorię wojskową "A", więc w przypadku nie zdania egzaminu wstępnego groziła mi obowiązkowa służba wojskowa. Zdałem jednak bez problemu i w 1976 roku rozpocząłem studia na KUL-u. W ramach filologii polskiej studiowałem teatrologię pod kierunkiem znakomitej pani profesor Ireny Sławińskiej rodem z Wilna. Uczęszczałem też na wykłady o Mickiewiczu profesora Czesława Zgorzelskiego, który swoją karierę naukową zaczynał także przed wojną w Wilnie. Okres studiów był dla mnie czasem szczególnym. Zetknąłem się tam z zupełnie z innym światem, bo trzeba pamiętać, że siedemdziesiąte lata to był w komunistycznej Polsce czas, kiedy już pojawiały się ruchy dysydenckie, wolnościowe. Kształtowały się różne grupy opozycyjne i to wszystko jakoś znajdowało swoje miejsce na KUL-u. Ta uczelnia była wówczas niewątpliwym fenomenem, właściwie jedynym w Polsce uniwersytetem całkowicie niezależnym od komunistycznego państwa. Spotykali się tam ludzie o różnych poglądach. Warto powiedzieć, że w tym czasie Władysław Bartoszewski prowadził na KUL-u wykłady na Wydziale Historii. Pamiętam, miał taki monograficzny wykład "Polskie państwo podziemne", temat niewyobrażalny na żadnym peerelowskim uniwersytecie państwowym. Obok niego "gwiazdą" na Wydziale Historii był profesor Jerzy Kłoczowski, zresztą uczestnik Powstania Warszawskiego. Rektorem był wówczas znakomity filozof-neotomista, dominikanin, ksiądz profesor Albert Krąpiec, pochodzący z Kresów (z przedwojennego woje-

wództwa tarnopolskiego). On był współtwórcą znakomitych "Tygodni Filozoficznych" na KUL-u. W ramach tychże, na zaproszenie profesora Krąpca, pojawiał się na słynnych dysputach jeden z czołowych marksistów, Zdzisław Cackowski, profesor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Warto też powiedzieć o takich wyjątkowych wydarzeniach jak inauguracja roku akademickiego na KUL-u. Prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński był główną postacią. Obok niego grono ambasadorów, ze Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii i USA. Warto powiedzieć, że w tych czasach był to jeszcze bardzo kameralny uniwersytet. To była społeczność licząca niespełna 2000 osób, wliczając w to studentów, kadre profesorską oraz pracowników administracyjnych i gospodarczych. Praktycznie wszyscy znali się przynajmniej z widzenia. W tej atmosferze studenci podejmowali różne aktywności (poza naukowymi), głównie o charakterze artystycznym lub politycznym. Te polityczne często miały postać listów protestacyjnych do komunistycznych władz. Pamiętam, że zbierałem takie podpisy. Zdarzyło się kiedyś, że informacja o zbieraniu w akademiku KUL-owskim podpisów na takiej liście dotarła do rektora Krąpca. On wezwał nas "na dywanik", nieco zdyscyplinował, ale na odchodne powiedział: -jak już to robicie, to róbcie ostrożnie. Takie to były historie.

W trakcie moich studiów poznałam wiele osób, które próbowały coś zmienić w tej peerelowskiej rzeczywistości. Jedną z takich osób był Marian Piłka, wówczas student klasyki a późniejszy działacz i poseł ZChN-u. Właściwie za jego pośrednictwem znalazłem się w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Dzisiaj, kiedy przeglądam listę członków ROPCIO gdzieś w Internecie, przypominam sobie dawnych znajomych. Ale nie o tym chciałem powiedzieć. Otóż, na tych listach są zaznaczone czerwonym kolorem różne osoby, które - jak się później okazało - były tzw. "TW", czyli tajnymi współpracownikami komunistycznej bezpieki. No i ze zdumieniem odkrywam, że takie wówczas najbardziej radykalne osoby, które pamiętam, często okazywały się właśnie "TW". W ramach tej mojej aktywności w ROPCIO w okresie studiów robiłem różne rzeczy, takie jak drukowanie, roznoszenie informacji, tego typu historie. Ale też pamiętam przemyski epizod. Był to czas, kiedy komunistyczny rząd wymyślił zmiany w Konstytucji PRL. No i wówczas miał się pojawić w treści tej konstytucji zapis o "wiecznej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim". Oczywiście, trzeba było protestować. I pamiętam, że Marian Piłka wymyślił, abyśmy to zrobili w Przemyślu. Było to tak zorganizowane, że Marian ustawił stolik z krzesłem gdzieś na wysokości dzisiejszej naleśnikarni przy ulicy Franciszkańskiej, no i siedział tam i zbierał podpisy. Razem z nim był Staszek Kusiński, zmieniając go od czasu do czasu. Ja miałem za zadanie po prostu co jakiś czas dyskretnie zabierać te pozyskane już podpisy, żeby przypadkiem esbecja tego nie zgarnęła. Niektórzy przechodnie bali się złożyć swój podpis pod tym protestem. W rezultacie zebraliśmy kilkadziesiąt podpisów, co było i tak sporym osiągnięciem. I wszystko jakoś dobrze się odbywało, nikt nie przeszkadzał. Zrobiło się jednak późno, Marian był już bardzo zmarznięty, więc wziął pod pachę to składane krzeselko, stolik i zaczął schodzić ulicą Serbańską w dół. Na skrzyżowaniu z ulicą Kazimierzowską zgarnęli go jednak tajniacy, wsadzili do milicyjnej "suki" i pobili. Później Marian opowiadał, że wiele razy był bity na posterunku milicji, ale w Przemyślu to pobili go bardzo mocno. Być może też i dlatego, że gdy esbecy go zatrzymywali i stawiali jakiegokolwiek pytania, to miał on zwyczaj wymawiać swoje imię i nazwisko, cytował fragment Deklaracji Helsińskiej i odmawiał zeznań, czym doprowadzał esbeków do wściekłości. Gdy oni dalej go pytali i nie otrzymując odpowiedzi jeszcze bardziej go bili, to zaczynał głośno odmawiać

różaniec. Tak to pamiętam.

Po studiach wróciłem do Przemyśla i rozpocząłem staż w Wojewódzkim Domu Kultury. To był czas niezwykły. Był to rok 81-ty, czyli powstanie pierwszej "Solidarności", a po kilkunastu miesiącach Stan Wojenny. Wybuchła wojna Jaruzelskiego i natychmiast skończyłem staż jednocześnie tracąc pracę. Zmuszony byłem mieć się różnych zajęć. Pracowałem przy produkcji zderzaków i nadkoli do małego "Fiata i podlewałem kwiaty w szklarni. Potem pracowałem przez jakiś czas w Jarosławskim Domu Kultury, potem w przemyskim Kinie "Bałtyk". W roku 85-tym zostałem zatrudniony jako nauczyciel języka polskiego w I LO, w zastępstwie tamtejszej polonistki, która wyjechała na wakacje do Ameryki i nie wróciła na czas.

To była bardzo ciekawa praca i ambitnie do niej podchodziłem. Kiedyś miałem taką zabawną historię z panią dyrektorką, która przeglądała moje zapisy tematów lekcji w dzienniku. Zainteresowała ją temat: "Władza a moralność - konflikt dramatyczny Antygony". No i pyta mnie: -Pan zapisał taki temat? -Tak zapisałem, bo prowadziłem lekcję na ten temat - odpowiedziałem. A ona: -Czy nie mógłby pan mniej publicystycznie formułować tematy lekcji? Odparłem: -Nie, bo to nie ja wymyśliłem ten problem. W szkole pracowałem krótko, bo na następny rok już mi nie przedłużono umowy.

Po Mszy w kościele Św. Trójcy, w drugą rocznicę wybuchu Stanu Wojennego, poznałem moją przyszłą żonę, która wcześniej była sekretarzem zakładowej "Solidarności" w przemyskim muzeum. W Jej rodzinie byli akowcy, jeden stracił z tego powodu życie. Część rodziny mojej żony mieszkała przed wojną w Gródku Jagiellońskim, gdzie kuzynka mojego teścia była nauczycielką. Mniej więcej w tym czasie poznałem Marka Kuchcińskiego uczestnicząc w spotkaniach strychowych. W tych spotkaniach uczestniczyli ludzie o różnych poglądach, ale potrzebujący czegoś więcej niż mogła oferować rzeczywistość, która nas wówczas otaczała. Były spotkania z ciekawymi ludźmi, także z zagranicy, były dyskusje ale też wspólne zabawy sylwestrowe. Ciekawe i charakterystyczne dla tego środowiska było to, że praktycznie wszystkie te osoby były w jakimś stopniu zaangażowane w działalność antykomunistyczną i wolnościową. Jedni drukowali ulotki, inni zajmowali się kolportażem niezależnej prasy. Liderem tego środowiska i jego duszą był oczywiście Marek Kuchciński.

No i właśnie w tym gronie postanowiliśmy organizować Dni Kultury Chrześcijańskiej. Zyskaliśmy dla tego zamierzenia ważnego Patrona w osobie ks. Biskupa Ignacego Tokarczuka. Wystawy, koncerty, spotkania, projekcje, odbywały się w kościołach i salkach parafialnych. Było to możliwe dzięki postawie naszego biskupa. Dni Kultury Chrześcijańskiej były czymś nowym w tradycyjnym kościele katolickim.

W tym czasie, czyli w połowie lat 80-tych, w podziemiach klasztoru ojców franciszkanów wspólnie z jednym z braci zakonnych drukowaliśmy ulotki i pisma. Maszynę do powielania tekstów skonstruował nam konserwator zabytków, który wówczas pracował w tym kościele.

Potem był przełom, rok 89. Mnie wtedy w Przemyśle nie było, wróciłem w 91 i zacząłem praco-

wać w Wojewódzkim Domu Kultury, zamienionym wkrótce na Centrum Kulturalne w Przemyślu. Pojawiło się wówczas kilka ważnych projektów, w których uczestniczyłem. Bardzo ważną była działalność związana z dziedzictwem kresów i współpracą z Polakami tam wciąż mieszkającymi. To były bardzo rozległe kontakty, które udało mi się zbudować, m.in. dzięki współpracy ze Zbigniewem Chrzanowskim, którego poznałem wcześniej i który przez lat kilka pracował jako mój zastępca w Centrum Kulturalnym. Razem z nim stworzyliśmy projekt festiwalu muzyki poważnej, który nawiązywał do projektu wrocławskiego, a były to Dni Muzyki Oratoryjno-Kantatowej. Projekt ten udało nam się tak skonstruować, że jego patronem, właściwie formalnym szefem artystycznym był nieżyjący już wybitny profesor i światowej sławy kompozytor Krzysztof Penderecki.

Dzięki jego patronatowi bardzo wielu znakomych muzyków i śpiewaków wystąpiło na koncertach w Przemyślu. W przemyskiej katedrze zaprezentowaliśmy wszystkie wielkie dzieła Maestra Pendereckiego. Tutaj też dyrygował tak niezwykły artysta jak Jerzy Maksymiuk. Wśród wielu wielkich dzieł wykonanych w Przemyślu były np. Litanie Ostrobramskie Moniuszki i Kadisze Bernsteina z recytacją prof. A. Bardiniego.

Uczestniczyłem też jako współorganizator w projekcie, który już nie istnieje, ale w latach dziewięćdziesiątych był inicjatywą bardzo ważną i niezwykłą. Był to Festiwal Kultury Polskiej na Ukrainie. Później razem z Krzysztofem Sawickim i nieżyjącym już szefem klubu jazzowego "Dzyga" we Lwowie, Markijanem Iwaszczyszynem, stworzyliśmy projekt przemysko-lwowskiego festiwalu jazzowego "Jazz Bez", którego ideą było spotkanie artystów polskich i ukraińskich. Ten projekt, mimo wszystkich kłopotów, trwa do dzisiaj.

Tak to pamiętam.....

(opracował - K. Jacek Borzęcki)

JERZY CZEKALSKI



Wspomnienia Jerzego Czekalskiego

“Zachowałem się jak trzeba”

Urodziłem się w 1950 roku w Lubaczowie i tu zamieszkuje cały czas. Moi rodzice pochodzą z Rawy Ruskiej, dzisiaj to wszystko jest po stronie Ukrainy. Tam mój tata mieszkał z bratem i siostrą do czasu wojny. II wojna przyniosła dramatyczną sytuację, ponieważ mój tata został ranny w bitwie pod Warszawą. Jego Brat był żołnierzem oddziału Armii Krajowej stacjonującego w pałacu Łosiów w Narolu. W nocy z 11 na 12 lutego 1945 roku pałac został otoczony i zaatakowany przez kilkudziesięciu funkcjonariuszy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego dowodzonych przez enkawudzistę Filipenkę. Akowcy skutecznie odpierali kolejne szturmy, jednak atakującym udało się w końcu podpalić pałac i w konsekwencji schwytać wszystkich obrońców, w tym i brata ojca. Został on więziony najpierw w Tomaszowie Lubelskim, a potem na Zamku w Lublinie. Tam skazano go na karę śmierci i po 3 dniach rozstrzelano (10 czerwca 45-go roku).

Taka jest, można powiedzieć w skrócie, podbudowa mojego życiorysu. Mój tata bardzo kochał swego brata, zresztą siostra też, i w każde święta, podczas rodzinnego spotkania wspominali tamte dni. Tych wspomnień słuchaliśmy i wchłanialiśmy to wszystko jako dzieci, nas trójka braci. Stąd od małego dziecka budowana była we mnie taka postawa wolnościowa i niepodległo-

ściowa. W pięćdziesiątym szóstym roku jeszcze byłem za mały, ale później już wiedziałam, co tam się działo gdy przyszedł rok 68-my, potem 70-ty. Wiedzieliśmy też o Katyniu, najpierw od rodzin, później poprzez literaturę, która zaczęła krążyć w tak zwanym drugim obiegu. No i tak te horyzonty były poszerzane, a świadomość była gruntowana. Wiadomo było czego człowiek by chciał, i czego nie mógł osiągnąć. Zdawało się, że świat jest zabetonowany na setki lat. Słuchało się oczywiście, Wolnej Europy, Głosu Ameryki. W związku z tym człowiek coraz bardziej pogłębiał tę wiedzę.

No i przyszedł koniec lat siedemdziesiątych, rok 80-ty, i wybuchła Solidarność. I tu momentem przełomowym był rok 79-y, kiedy Ojciec Święty przyjechał do Polski. Myśmy się wtedy policzyli. Po prostu zobaczyliśmy, jak nas jest dużo. I wówczas nie chodziło tylko o samą religię, bo nie tylko ludzie wierzący poczuli wówczas swoją siłę i wiarę w możliwość zmiany sytuacji politycznej w Polsce. Owszem, był wcześniej KOR, czy ROPCiO, ale to były małe grupki. Natomiast dzięki polskiemu papieżowi doszło do przełomu w świadomości społeczeństwa. W dodatku sytuacja ekonomiczna doszła do takiego momentu, że już nie można było więcej wytrzymać: wszystko na kartki, na przydziały, na jakieś rozdawnictwo. No i nie trzeba było długo czekać. Przyszedł rok 80-ty i wybuchła "Solidarność".

Już od pierwszego dnia zaangażowałam się w działalność "Solidarności" w swoim zakładzie pracy. To było Przedsiębiorstwo Górnictwa Naftowego i Gazownictwa w Sanoku, a ja pracowałam wtedy na kopalni gazu Lubaczów. No i tam powstał Komitet Założycielski - jeszcze to się nie nazywało Solidarność. Na początku był to tylko Komitet Założycielski Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych. Wiemy, że nazwa „Solidarność” pojawiła się później. Ten Komitet zaczął działać i był pięcioosobowy. A tak na marginesie powiem, że od razu, od pierwszego dnia do tego Komitetu wszedł tak zwany "TW". Pamiętam nazwisko tego "TW" - to był Zygmunt Sabal, robotnik w Kopalni Gazu Lubaczów. Nawiasem mówiąc człowiek nadużywający alkoholu, który dzięki temu mógł być wykorzystany do donosów, bo wielokrotnie mógł zostać wyrzucony z pracy, a dzięki temu, że był słaby przez alkohol, to udało im się go pozyskać.

Potem przyszły wybory w "Solidarności". Te wszystkie zakłady, które były związane z wydobywaniem ropy naftowej i gazu, zgrupowane były w strukturze przedsiębiorstwa. Tam powstała Komisja Zakładowa "Solidarności" i zostałem do niej wybrany. Później zostałem wybrany do władz regionalnych w Przemyślu, czyli do Zarządu Regionu Południowo-Wschodniego NSZZ "Solidarność". Potem wybierano delegatów i zostałem jednym z czterech delegatów na pierwszy Krajowy Zjazd "Solidarności".

No i przyszedł Stan Wojenny, którego oznaki były widoczne wcześniej, ale nie dopuszczaliśmy tego do świadomości, ponieważ w rozmowy był zaangażowany Episkopat, kardynał Glemp. Spotkali się z Jaruzelskim, były spotkania z Lechem Wałęsą. Wobec Wałęsy można mieć różne zastrzeżenia, ale wtedy on zatrzymał ten pierwszy potężny ogólnopolski strajk, który jesienią 81-go roku miał się odbyć także na terenie całego naszego zakładu. On zatrzymał ten Strajk Generalny, bo on wiedział co się może stać, ponieważ rozmawiał z ks. Prymasem, i rozmawiał z dygnitarzami PZPR. Największym zagrożeniem było to, że mogą wjechać Rosjanie. Była wów-

czas taka obawa, że gdyby Jaruzelski nie wprowadził stanu wojennego, to pewnie tak by się stało. To była ta alternatywa. Teraz już wiemy, że pewnie nie weszliby, ale wtedy takiej wiedzy nie było. Nie było pewności, że nie wejdą.

W roku 80-tym roku w Lubaczowie, jako "Solidarność", poświęcili krzyże i one zostały zawieszono w zakładach pracy. A 29 listopada 81-go roku, tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego, poświęciliśmy sztandar "Solidarność". Ja byłem wtedy wiceprzewodniczącym Miejskiej Komisji Koordynacyjnej. Podczas Mszy św., którą odprawiał biskup Marian Rechowicz, były rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i ówczesny administrator apostolski Archidiecezji Lwowskiej z siedzibą w Lubaczowie, doszło do sugestywnego zdarzenia. Otóż podczas tej Mszy św. z puszki wysypały się komunikanty. Wtedy wszyscy uznali to za zły znak. I mieli rację, bo już 13 grudnia wprowadzony został stan wojenny.

Pamiętam też pewne niechlubne zdarzenie. Otóż, jeden z dwóch wiceprzewodniczących Zarządu Regionu Południowo-Wschodniego, Henryk Baranowski, wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Wyjechał we wrześniu 81 roku, a wrócił w Stanie Wojennym. Po przyjeździe ze Stanów dał się zwerbować. Nasz Region miał pieniądze zdeponowane w jakimś miejscu, które on znał i jako członek Prezydium Regionu miał prawo nimi dysponować. No i okazało się, że zadysponował tymi pieniędzmi przekazując je władzom państwowym. No cóż, smutna sprawa.

W nocy z 12-go na 13-go grudnia '81 pracowałem na nocnej zmianie i właśnie tam przyjechali po mnie godzinę po północy. W tym momencie zadzwoniła do mnie mama pytając, co u mnie słychać oraz informując, że w mieście coś się dzieje, że ma sygnały o aresztowaniu paru kolegów z "Solidarność". Cóż miałem jej powiedzieć? Aby jej nie martwić odparłem, że u mnie na razie wszystko w porządku. Tymczasem esbecy zapakowali mnie do tak zwanego gazika i zawieźli na Komendę MO. Tam na korytarzu stało ich chyba dziesięciu z automatami wycelowanymi prosto we mnie. Jak popatrzyłem na nich, to nikt z nich nie miał odwagi spojrzeć mi prosto w oczy. Potem była rewizja osobista i otrzymałem dokument o internowaniu, a w nim uzasadnienie w postaci przypuszczenia, że mogę nawoływać do niepokojów społecznych. Powiedziałem im, że ja tego dokumentu nie podpiszę, ponieważ tu nie jest zawarta prawda. No i nie podpisałem.

Zapakowali mnie do celi na tzw. "dołku". O szóstej rano wyprowadzili mnie zakutego razem z rolnikiem z Dachnowa. Wsadzili nas do gazika, który ruszył w stronę lasu. Myślałem, że albo w lesie dostaniemy kulkę w głowę, albo zawiozą nas na granicę w Medyce i wywiozą do Sowietów. Tak źle jednak nie było. Trafiliśmy na komendę w Przemyślu, na Zasaniu, a tam było już pełno naszych chłopaków - zarówno z "Solidarność" rolniczej, jak i tej robotniczej. Potem grupami zaczęli nas stamtąd wywozić. Wtedy też taki dreszczyk niepewności: gdzie? Odetchnąłem, gdy autobus, taki stary, nieogrzewany "San", ruszył w kierunku Krasiczyna.

Z tyłu siedziało czterech esbeków z automatami. Przed i za autobusem jechały samochody wojskowe. Oficer ogłosił, że każdy nasz podejrzany ruch będzie traktowany jako próba ucieczki i funkcjonariusze zaczną strzelać bez ostrzeżenia. No i tak dojechaliśmy do zakładu karnego w Uhercach. Wyprowadzono nas do pawilonu karnego dla najbardziej groźnych więźniów, któ-

rych wyprowadzano do innych pawilonów. Okazało się, że teraz nie oni, tylko my dla nich jesteśmy najbardziej groźni. Pawilon był piętrowy. Na dole zapakowali region, czy raczej województwo przemyskie, no bo "Solidarność" jarosławska należała do regionu rzeszowskiego. Jak wiadomo, działacze jarosławscy nie chcieli przyłączyć się do Regionu Południowo-Wschodniego, ale teraz esbecja połączyła wszystkich razem. Tak więc Przeworsk, Lubaczów, Przemyśl i Jarosław, wszyscy wylądowaliśmy w jednym pawilonie, na parterze. A na piętrze - Krosno. Z Lubaczowa było nas ośmiu, z całego Regionu Południowo-Wschodniego około osiemdziesięciu, no i tyle samo z Regionu Krośnieńskiego. Zamknięto nas w celach różnych: czteroosobowych, siedmioosobowych, a nawet ośmioosobowych.

W naszej celi były 4 piętrowe łóżka, czyli 8 łóżek, ale wsadzono tam nas siedmiu. Po lewej stronie od drzwi była muszla klozetowa, obok niej umywalka z zimną wodą. Na środku żelazny stół z drewnianym blatem i takie same taborety. Na łóżkach sienniki, koce i poduszka wypchana nie wiem czym, ale nie było to przyjemne. W celi było tak zimno, że normalnie sztywniały palce. Owszem, na ścianie był zawieszony grzejnik, ale w ogóle nie grzał. Na zewnątrz było tak średnio minus 20 °, więc jak siedmiu z nas oddychało, to na szybach zamarzała para tworząc grubą warstwę lodu. Każdy oczywiście spał w tym, w czym został zamknięty. Nikt z nas nie miał pidżamy, przyborów do golenia czy grzebienia. No więc to był bardzo trudny moment. Jednakże duch bojowy był wciąż obecny wśród internowanych: śpiewaliśmy patriotyczne piosenki, snuliśmy opowiadania różnego rodzaju - z działalności, z naszego życia.

Do każdej celi przynieśli regulamin dla "więźniów", nie dla "internowanych". A błędem ich było to, że w pawilonie funkcjonował radiowęzeł i oni puszczały m.in. oficjalne wypowiedzi rzecznika Rządu, czyli Urbana. No a Urban powiedział - pamiętam to do dziś - że "oni nie są aresztowani, oni są internowani, i nie zostali pozbawieni praw obywatelskich". Skoro tak, to bardzo dobrze. No i jak wrzucili nam te regulaminy dla "więźniów", to uderzaliśmy w te pancerne drzwi z "judaszem", a gdy tylko "klawisz" je otworzył, to te regulaminy po prostu wyrzuciliśmy na korytarz. Oni nie wiedzieli co się dzieje i przyszedł do nas oficer w randze kapitana. Myśmy go nazywali "uśmieszek". No więc ja do niego: -Słyszał pan Urbana, rzecznika Rządu? Po pierwsze, my nie jesteśmy uwięzieni, tylko internowani. A po drugie, nie pozbawiono nas praw obywatelskich, więc proszę nas nie traktować tak jak więźniów. No i u nich powstała konsternacja: co z nimi robić, jak z nimi postępować? Esbecy też słyszeli wypowiedź Urbana, czyli oficjalny głos Rządu, ale nie mieli "regulaminu dla internowanych". Oczywiście, Urban powiedział to dla uspokojenia zewnętrznego, dla dziennikarzy zachodnich, ale my potrafiliśmy z tego skorzystać.

Oni jednak nie ustawiali w swoich działaniach: szósta rano dzwonek, przeraźliwy dzwonek w momencie najlepszego snu, w sytuacji, gdy się dopiero nad ranem zasnęło, bo nie dało się zasnąć z wieczora. A rano ciemno na dworze, wiadomo, zima. Kazali nam się ustawiać na baczność i żeby jeden z nas meldował: ile jest osób w celi. No i wszyscy mieliśmy być już ubrani, a łóżka zaścielone. W naszej celi, owszem, były takie osoby, które wstały, ale były też takie, które nie wstały. Ja powiedziałem: -Żeby nie wiem co mi robili, to nie wstanę za nic w świecie. Niech mnie biją. Odwróciłem się plecami i dalej spałem. Na drugi dzień rano wpadł oficer i krzyczy: -Co tu się dzieje? Poobracali się dupami i mają wszystko gdzieś! Już myślałem, że będzie pałowanie, ale

jakoś udało się. I od tego czasu owszem, ten przeraźliwy dzwonek dzwonił, ale nie wstawaliśmy. Był tylko jeden taki kolega, który bardzo chciał meldować. On kiedyś w wojskowości pracował. Ale ja mu powiedziałem: -Panie Jasiu, pan może sobie meldować, ale mnie pan w szeregu widział nie będzie, nie stanę tam za nic w świecie.

Zaraz po tym naszym buncie do celi przyszli funkcjonariusze więzienni w hełmach, z pałami i tarczami. Zaczęli coś tam wykrzykiwać, że nam się wszystko nie podoba. Wszedłem między nich i mówię: -Mam żonę i małe dziecko. Zamknęliście mnie z kartkami na żywność. W sklepach nic nie można kupić bez kartek, a oni kartek nie mają. Przecież muszą coś kupić, żeby żyć, a na wszystko potrzebne są kartki. No więc, jak wy to sobie wyobrażacie? Oni w tym momencie zamilkli i wycofali się.

Zapewne pokłósiem tego było, że już na drugi albo trzeci dzień przyjechał taki typowy "ubek" w skórzanej kurtce. Nazywał się Chorak. A ponieważ ja byłem taki pyskaty, więc mnie zaraz wzięli tam do niego. No i on zaczął mnie uświadamiać: -A widział pan w telewizji? Chcieli rozlew krwi, chcieli przewrotu. Ja pytam: -W jakiej telewizji? On na to: -Jak to w jakiej, w telewizji w państwowej. Odparłem: -Ale przecież telewizja kłamie. Przekonałem się o tym na Zjeździe "Solidarności", bo byłem tam delegatem. Widziałem co tam się działo i co oni nakłamali w telewizji. O dziwo, ubek uspokoił się i spytał, jakie mam żądania. Powiedziałem mu więc o tych kartkach na żywność. No i on kazał mi te kartki zapakować do koperty i zaadresować. Kartki faktycznie do żony dotarły. Ona się bardzo ucieszyła nie tylko z otrzymania kartek na żywność, ale jeszcze bardziej z wiadomości, że ja żyję. Nie wiedziała bowiem co się ze mną dzieje, i to była ta pierwsza pomyślna wiadomość.

Zbliżała się wigilia. Stosunki więzienne nie zmieniały się: szósta rano przeraźliwy dzwonek, potem jechał kocioł z jedzeniem: jakaś wodnista zupa mleczna, chleb ze smalcem, no i kawa zbożowa. Zupy nie jadłem, chleb na początku jeszcze jadłem, ale trzeciego dnia postanowiłem, że zaczynam głodówkę. Myślałem, że to internowanie jest chwilowe i że ten protest pozwoli mi wrócić na święta do domu. Tak więc żadnych pokarmów nie jadłem, piłem tylko wodę, bo nie chciałem się odwodnić. Później przyłączył się do mnie kolega z Jarosławia, a czwartego dnia już cała cela głodowała, czyli 7 osób.

Niestety, reakcja funkcjonariuszy więziennych była żadna. Nikt się tym nie zainteresował: żadnych badań, żadnego lekarza, żadnej rozmowy, w ogóle nic. Kompletnie ich to nie obchodziło. No więc siódmego dnia uznałem, że w ten sposób nie da się wymusić zwolnienia, a więc dalszy protest nie ma sensu, bo oni tylko czekają żebyśmy "pozdychali". Przez te 6 dni głodówki straciłem 10 kilogramów wagi. Zacząłem więc jeść, ale jadłem tylko chleb i smalec. Obiadów nie jadłem, bo sami je gotowali i podobno dodawali do nich brom. No a chleb i smalec kupowali w GS-ie. Później, gdy księża przywozili nam dary, to tam jakaś konserwa się trafiła, jakaś czekolada.

22-go grudnia do Zakładu Karnego w Uhercach przyjechał zastępca komendanta wojewódzkiego SB, niejaki Kononiuk, no i wezwano mnie do niego. Chciał mi wręczyć decyzję o internowaniu,

ale powiedziałem mu, że tego nie podpiszę. Zaczął do mnie strasznie krzyczeć. No to ja zacząłem krzyczeć do niego. Wykrzyczałem, co myślę o internowaniu nas i w ogóle o Stanie Wojennym. Był najwyraźniej zdziwiony moją postawą i chyba zrozumiał, że ze mną nic nie wskóra. Później poszła taka fama, żeśmy się na tym przesłuchaniu pobili. Oczywiście to nie to, ale było ostro i głośno.

No i przyszła Wigilia, a oni akurat na ten wigilijny posiłek dali nam kotlet mielony z wieprzowiny. Celowo to nam dali, ale ja, ze względu na tradycję, tego mielonego nie tknąłem. W tym dniu do wielu z nas ktoś przyjechał i coś przywiózł. Udało nam się więc urządzać w celi stół wigilijny ze świecami. I do tego naszego stołu zaprosiliśmy kilku przyzwoitych "klawiszy" i podzieliliśmy się z nimi opłatkiem.

Ten opłatek został przywieziony akurat przez mego brata, który sprawił mi tę radość i odwiedził mnie w Wigilię. On mieszkał w Jarosławiu, bo tam się ożenił. Dowiedział się, że dają przepustki do zakładu karnego w Uhercach. Tak naprawdę to nie był pewien czy ja tam jestem, ale zaryzykował. No i przywiózł mi takie najpilniejsze - według jego uznania - rzeczy, m.in. właśnie ten opłatek, a nawet i chleb, choć akurat chleba nam nie brakowało. Najważniejsze, że mogliśmy przez chwilę porozmawiać. Poprosiłem go, żeby jak najszybciej pojechał do mamy, gdzie na Wigilię zawsze zbierała się cała rodzina, no i żeby powiedział im, że jestem zdrowy, że trzymam się, i żeby się nie martwili. No i faktycznie był takim dobrym zwiastunem dla rodziców, dla żony i synka oraz całej rodziny.

Pierwszego stycznia przyjechała moja małżonka i mój tata. Już wiedzieli gdzie jestem i mogła wystąpić o pozwolenie widzenia się ze mną. Przywieźli mi wiele potrzebnych rzeczy, o jakie prosiłem podczas wizyty brata. Nasze spotkanie było oczywiście bardzo wzruszające. Na początku dziwiłem się, dlaczego żona dokładnie oglądała moje ręce. Zbyt czystych rąk może nie miałem ze względu na warunki panujące w celi, ale dramatycznie nie było, wszak starałem się jak mogłem usuwać brud z paznokci. A już całkiem zdębiałem gdy powiedziała, że bardzo się cieszy z szybko zagojonych ran na moich rękach.

-Co to za dziwna historia? - spytałem. A żona na to: -Wiesz, jak wsiadłam do pociągu w podróży do ciebie, to przysiadła się do mnie pewna kobieta, zaczęła ze mną rozmawiać i tak mi powiedziała: -Wie pani, jak zatrzymali tego Czekalskiego i przywieźli na komendę milicji, to on wpadł w straszną furję i do krwi pogryzł sobie palce, aż doktor Kościuszkiewicz musiał mu udzielić pomocy lekarskiej i zabandażować ręce".

No cóż, zrozumieliśmy, że ta kobieta dobrze wiedziała obok kogo ma usiąść i komu tę zmyśloną historię opowiedzieć. To było oczywiste. Tacy perfidni byli esbecy i tak dodatkowo chcieli upokorzyć moją rodzinę. Doktor Kościuszkiewicz (lekarz penitencjarny) spotkał się potem z moją żoną i zapewnił, że te plotki o udzieleniu mi pomocy lekarskiej przez niego są całkowitym kłamstwem. Bardzo przydały mi się przywiezione przez małżonkę m.in. środki higieniczne, no i ciepłe dresy, w których mogłem spać. Później zaczęły docierać do nas paczki przywożone przez duchownych. Pamiętam pierwszą wizytę u nas, 10-go stycznia, biskupa Tadeusza Błaszkwicza, który przy-

wiół nam sporo darów, głównie z pomocy charytatywnej płynącej z Zachodu. W paczkach nie było papierosów, co mnie nie "bolało" jako niepalącego, ale koledzy z celi trochę z tego powodu cierpieli. Teoretycznie mogli kupić papierosy w więziennej kantynie, ale brakowało im gotówki. Tak się jednak złożyło, że mogłem im pomóc.

Otóż, jak mnie zamknęli, to miałem przy sobie wypłaconą mi akurat w tym dniu premię w wysokości czterech tysięcy złotych. W momencie "zakwaterowania" w Uhercach zabrano mi tę sumę ale nie całkowicie, bo zapisano ją w protokole i na to konto mogłem robić zakupy w kantynie – na tzw. "wypiskę". No więc kupowałem głównie herbatę i papierosy dla kolegów.

Jak już wspomniałem, w celi było bardzo zimno, bo nie grzał kaloryfer. Zgłosiliśmy "klawiszom" potrzebę naprawienia kaloryfera, no i przyszło do nas dwóch więźniów kryminalnych, którzy wymontowali kaloryfer ze ściany i go zabrali. Wychodząc wyciągnęli zza pazuchy i zostawili nam spory kawałek kabla elektrycznego, nic zresztą nie mówiąc. Byliśmy zdziwieni, bo po co nam ten kabel. Gdy wrócili z przeczyszczonym kaloryferem, to dali nam jeszcze brzeszczot. Pytamy ich: -Po co nam to dajecie? A oni: -Zróbcie sobie grzałkę.

No więc złamaliśmy brzeszczot na pół, w środek pomiędzy te dwie części włożyliśmy drewnienko, czyli w naszych warunkach zapalki, do brzeszczotu przywiązaliśmy kabel i obwinęliśmy nitką, żeby się to trzymało. No i mieliśmy grzałkę. Teraz już tylko włożyliśmy ten złamany brzeszczot do kubka z wodą, a drugi koniec kabla przypięliśmy do przewodów przy lampie na suficie. No i ta nasza prymitywna grzałka wręcz ekspresowo zagotowała wodę. Byliśmy wniebowzięci.

Aluminiowy więzienny kubek z gorącą herbatą parzył nam usta. A że w kantynie zauważyłem dużo słoików z dżemem, więc doszliśmy do wniosku, że znacznie wygodniej będzie pić herbatę ze słoików po dżemie. Ponadto słodki dżem można użyć w zastępstwie nieobecnego w więzieniu cukru. No więc kupowałem w kantynie dżem, fundując kolegom ten "dżemowo-słoikowy wersal". Nawiasem mówiąc, tak przywykłem do używania słoika jako szklanki, że i po powrocie do domu najbardziej smakowała mi herbata pita ze słoika po dżemie, czego zresztą żona nie mogła zrozumieć.

To był nasz prawdziwy więzienny luksus, bo kiedy tylko mieliśmy ochotę, to mogliśmy sobie wypić herbatkę osłodzoną dżemem. Oczywiście jeden z nas musiał stać przy drzwiach i zasłaniać "judasza", bo gdyby "klawisz" zobaczył grzałkę, to zrobiłby rewizję w celi i by ją nam zabrał. Niespodziewane otwieranie drzwi nie było już tak groźne, bo zanim "klawisz" by je odryglował, to zdążylibyśmy tę naszą grzałkę ukryć.

Pamiętam jak pierwszy raz poszliśmy do więziennej łaźni, gdzie były zbiorowe prysznice. Jak się pociągnęło u góry za łańcuszek, to leciała woda. Weszliśmy pod prysznic, namydliśmy się, pociągamy za łańcuszek, a woda nie leci. Tak namydleni krzyczymy do klawisza, że jest problem z wodą, a on odpowiada, że na kąpiel mieliśmy tylko trzy minuty. Na szczęście zgodził się wyjątkowo puścić jeszcze przez chwilę wodę.

Po jakimś czasie zaczęli do Zakładu Karnego przyjeżdżać ubecy, aby nas przesłuchiwać. Mnie przesłuchiwał "ubek" z Przemyśla - nazywał się Kawecki. Wezwał mnie i mówi: -Musi pan podpisać oświadczenie, że zaprzestanie godzić w ustrój państwowy, w PZPR, w ZSRR i w Układ Warszawski. A ja mu na to: -Wie pan co? Jeśli podpiszę, że zaprzestanę to robić, to tym samym przyznam się, że do tej pory to robiłem. Na logikę tak przecież wychodzi. I wtedy wy zmienicie kwalifikację czynu i wlepicie mi 10 lat więzienia. No bo tyle grozi za taki czyn, prawda? Ubek zdębiał. -Tak pan to rozumie? - wybąkał. -No to może niech pan przynajmniej podpisze, że zaprzestanie wszelkiej działalności związkowej, i w ogóle wszelkiej działalności w organizacjach? - zaproponował. -Nie, ja panu tego też nie podpiszę - odparłem zdecydowanie. On wtedy wrzasnął: -Každy przecież musi podpisać! Mnie coś tknęło i spytałem z ironią w głosie: -A pan też podpisał? Myślałem, że dostanie szału. Wstał, zacisnął ręce na blacie stołu i z oburzeniem wrzasnął: Jak to ja? -Tak, bo sam pan powiedział, że każdy - odparłem spokojnie. Ubek usiadł i zaczął nerwowo macać się po kieszeniach. Ja wprawdzie nie paliłem papierosów, ale akurat miałem w kieszeni paczkę, więc go poczęstowałem. Wziął papierosa, zapalił i nieco uspokojony usiadł w milczeniu. Wyglądał na zdruzgotanego. Po chwili powiedział: -W takim razie nie zostanie pan zwolniony. A ja na to: -Skoro zamknęliście takiego wielkiego przestępcę jak ja, to trzymajcie dalej, ale przecież kiedyś będziecie musieli mnie wypuścić. Warknął: -Będzie pan siedział do końca Stanu Wojennego! -Nie ma sprawy, poczekam - odparłem ze stoickim spokojem. Wychodząc z pokoju wiedziałem, że tę psychologiczną wojnę wygrałem.

No i tak to nasze wspólne życie w celi trwało do 15-go marca, kiedy to zwolniono większą grupę internowanych kolegów. Wyszli oczywiście ci, co podpisali tzw. "lojalkę". Niestety, Tymczasem ja swojej decyzji nie żałowałem, bo wiedziałem, że przetrwam okres uwięzienia i nie dam się złamać.

Gdy w styczniu przyjechał biskup Błaszkiwicz z darami, to tam były też kartki z życzeniami noworocznymi od dzieci ze szkół przemyskich. I tam każde dziecko się podpisało. No i biskup zamazywał te nazwiska, żeby esbecy nie robili problemów tym dzieciom oraz ich rodzicom. Kartki były bardzo wzruszające i trzymam te życzenia do dzisiaj. Zresztą bardzo dużo mam rzeczy z okresu internowania. Aktualnie piszę wspomnienia opierając się w dużym stopniu na dzienniku, który prowadziłem w okresie internowania.

Podczas tej wizyty ksiądz biskup Błaszkiwicz odprawił w świetlicy Mszę św. Po jego wyjeździe służba więzienna zakomunikowała nam, że od tej pory msze będą odprawiane co tydzień, przy czym w jedną niedzielę będzie msza dla regionu przemyskiego, a w drugą dla regionu krośnieńskiego. Nie mogliśmy się na to ograniczenie zgodzić.

Tak więc w następną niedzielę, po zakończonej mszy na piętrze dla Krosna, zacząłem walić pięścią w drzwi. Gdy klawisz je otworzył, to w korytarzu na paterze między piętrami zobaczyłem księdza wracającego ze świetlicy na piętrze, pełniący w tym dniu funkcję kaplicy. Poprosiłem go o rozmowę. No i wraz z księdzem oraz oficerem, tzw. "wychowawcą", przeszliśmy do osobnego pokoju, gdzie spytałem oficera: -Na jakiej podstawie służba więzienna ogranicza nam możliwość uczestniczenia we Mszy świętej w każdą niedzielę? Słyszał pan przecież wypowiedź

radiową Urbana, że nie jesteśmy pozbawieni praw obywatelskich. Nie chcecie chyba z naszej strony awantury? On zaniemówił. Poprosiłem więc księdza o przekazanie do Kurii Biskupiej, że życzymy sobie odprawiania mszy w każdą niedzielę dla wszystkich osób internowanych. No i ku naszej radości już od następnej niedzieli odprawiane były co niedzielę dwie msze: w świetlicy na piętrze dla działaczy krośnieńskich, a w świetlicy na parterze dla przemyskich. Oczywiście, było to dla nas duchowo ważne, ale też była to jakaś możliwość kontaktu poprzez księdza ze światem zewnętrznym. W trakcie spowiedzi można mu było przekazać poza więzienną cenzurą np. jakąś karteczkę z informacją dla bliskich. Tak więc przekonaliśmy się, że walka o prawa człowieka opłacała się.

W lutym przyjechał ksiądz biskup Rechowicz z Lubaczowa i też dla każdego z nas przywiózł paczki. Każdy również dostał Nowy Testament.

No i przyszedł ten moment, kiedy wyszła na wolność część internowanych, czyli tych, którzy podpisali "Lojalkę". Oczywiście, każdy ma swoje argumenty i nikogo nie można oceniać, ale w moim odczuciu idea "Solidarności" wymagała tego, żeby właśnie solidarnie trzymać się razem i nie poddawać się.

Po piętnastym marca zaczęły do zakładu karnego przyjeżdżać "suki", takie duże więźniarki z działaczami internowanymi ze Śląska. Okazało się, że przywieźli prawie 400 Ślązaków i trzeba było ich gdzieś rozmieścić. No więc nas przenieśli na górę. Z mojej celi wyszło na wolność 3 osoby, więc pozostało nas czterech. Z całego zakładu wyszła chyba ponad połowa internowanych, więc działaczy ze Śląska umieszczono w tych zwolnionych celach oraz w dodatkowym pawilonie. Rygory więzienne były już w tym czasie znacznie mniejsze. Na początku cele były zamknięte. Wyjść mogliśmy tylko na ogrodzony wysokim płotem spacernik, gdzie chodziliśmy w kółko przez pół godziny. Obowiązywał tam zresztą zakaz kontaktowania się, więc jakakolwiek rozmowa skutkowałą natychmiastowym powrotem do celi. Pomimo to, zwykle udawało nam się pogadać z kolegami z innych cel. Dopiero gdzieś w połowie lutego otworzyli cele i można było wychodzić i przebywać w ramach swojej części korytarza. Nie wolno było przechodzić na drugą stronę ani wchodzić na piętro, ale można już było rozmawiać bez problemu z mieszkańcami innych cel, przynajmniej w zakresie danego segmentu. Pamiętam jednak, że gdy jeszcze na Trzech Króli przywieźli Adama Szostkiewicza, rzecznika prasowego Regionu Południowo-Wschodniego (jego zwinęli 5-go czy 6-go stycznia w Sosnowcu, gdzie się ukrywał), to po spacerze poszliśmy z nim razem do jego celi, żeby sobie pogadać. Znaliśmy się przecież dobrze, bo byliśmy przecież razem delegatami na I Zjazd "Solidarności". Jak później chciałem wrócić do swojej celi to zostałem zbesztany przez służbę więzienną. Była wielka awantura nie zakończona jednak, na szczęście dla mnie, jakąś surową karą.

Wracając do wątku o Ślązakach, to jeden z nich cierpiał na klaustrofobię, czyli miał lęk przed zamkniętą przestrzenią. Leżał więc przez całe dni na łóżku i zupełnie nie kontaktował. No więc zaczęliśmy się domagać przysłania lekarza, żeby go ratować. "Klawisze" jednak nie reagowali, więc doszło do potężnej awantury, wręcz do buntu. A ponieważ przez kraty na korytarzach można było rozmawiać, więc ten bunt szybko objął cały pawilon. To był już początek kwietnia 82-go roku.

Nie wiem skąd ci ludzie zdobyli narzędzia, ale zaczęli piłować kraty dzielące segmenty korytarza i wkrótce krat już nie było. Zostały rozpiłowane i porozbijane. Przerażeni "klawisze" pouciekali z naszego pawilonu. Okna do cel pozatykaliśmy siennikami, żeby nie wrzucili nam granatów z gazem łzawiącym. No i przez całą noc toczyły się narady: co dalej robić? Jedni przyjęli stanowisko radykalne, a drudzy ugodowe, bo przestraszyli się i chcieli po prostu spokoju.

Ostatecznie górę wzięła frakcja radykalna i zdecydowano się na podjęcie czynnego oporu. Porywano z pawilonu sienniki, ułożono je na spacerunku w wielką stertę, polano olejem jadalnym z otrzymanych darów, no i podpalono. Buchnął ogromny ogień i powstała wielka łuna nad zakładem karnym. Dużą wyobraźnią popisali się wystraszeni "klawisze", którzy później rozpowiadali, że rozpaliliśmy ten ogień, bo oczekiwaliśmy na zachodni desant, który miał nas zabrać i uwolnić.

Noc przeszła stosunkowo spokojnie, ogień palił się aż do rana. Chłopcy zajęli wszystkie pomieszczenia służby więziennej, no bo "klawisze" pouciekali. Na więziennej tablicy informacyjnej pozawieszano odręcznie zrobione ulotki o treści antykomunistycznej i wolnościowej. W celach zresztą cały czas kwitło rzemiosło artystyczne. Z konserwowych puszek robiono monstrancje i krzyże. Z linoleum wycinano różne pieczętki i stemple. Tusz robiono chyba z sadzy i oleju. Ja się tym nie zajmowałem, ale muszę powiedzieć, że ludzie mieli niesamowite pomysły i ogromne zdolności. I tak minął jeden dzień. W nocy patrzymy, a od strony Leska zmierza w naszym kierunku cały sznur pojazdów milicyjnych i wojskowych z migającymi światłami. Było ich tak wiele, jakby szykowali się na wojnę. Nad ranem cały zakład karny był już otoczony. Pomiedzy podwójnymi zasiekami otaczającymi więzienie chodzili uzbrojeni w automaty żołnierze z psami, a na wieżyczkach żołnierze obsadzali stanowiska karabinów maszynowych. W pewnym momencie przed Zakład Karny podjechała suka milicyjna z nagłośnieniem i przez megafon padł rozkaz, abyśmy w ciągu pięciu minut spakowali się i wyszli przed budynek. Oczywiście, w tak krótkim czasie nie byliśmy w stanie spakować wszystkiego co nagromadziliśmy w ciągu tych czterech miesięcy, zwłaszcza tych wielu kilogramów cukru z darów. Po kilku minutach zaczęli po nazwisku wyczytywać kto ma wychodzić. Gdy opuszczaliśmy pawilon, to całe jego wnętrze było już obstawione funkcjonariuszami w hełmach i z karabinami wycelowanymi w nas. Pamiętam, że w obawie przed ewentualną "ścieżką zdrowia" nałożyłem na siebie wszystkie ubrania jakie miałem, aby zamortyzować ewentualne "pałowanie". Tego na szczęście nie było, ale jak szedłem korytarzem to pot ściekał mi po całej długości kręgosłupa.

Zapakowali nas do takich dużych suk milicyjnych i zaczęli wywozić. Nie widzieliśmy gdzie nas wiozą, bo okna były zamalowane. No i w ten sposób "wylądowaliśmy" w zakładzie karnym w Nowym Łupkowie. Ku naszemu zaskoczeniu okazało się, że to więzienie jest bardziej cywilizowane od tego w Uhercach, gdzie nieobudowany sedes w siedmioosobowej celi był naprawdę czymś upokarzającym. A i tak - pamiętam - cieszyliśmy się, że to nie było wiadro, tylko sedes, w którym można było spuścić wodę. Tymczasem w parterowych pawilonach w Nowym Łupkowie pokoje były dużo większe i z parkietem, choć też wieloosobowe. Łóżka były pojedyncze i piętrowe. Przede wszystkim jednak toalety były umiejscowione poza celami i wchodziło się do nich z korytarza.

Do Nowego Łupkowa zabrali razem z nami część Ślązaków i do naszej celi trafił Jacek Cieśliski, z którym mieliśmy fajne relacje. On wydawał na Śląsku pismo "Wolny Związkowiec", w którym zamieścił niedźwiedzia z twarzą Breżniewa, z czego zresztą wybuchła ogromna awantura. Z wykształcenia był chemikiem. Gdy przynosili nam pezetpeerowską "Trybunę Ludu", to on z niej spisywał do zeszytu jakieś cytaty. Któregoś dnia "klawisze" dorwali ten zeszyt. -A co to za antypaństwowe treści? - pytają go. A on im na to: -To są cytaty z "Trybuny Ludu". Zbici z tropu "klawisze" już go więcej o nic nie pytali.

Pewnego dnia Jacek powiedział nam, żebyśmy kupili dużo kompotów. Nakupowaliśmy więc ich sporo i pytamy: -A po co nam te kompoty? A on: -Zobaczycie. No i do każdego z tych słoików dodał trochę drożdży zrobionych z zasuszonych owoców i lekko popuścił zakrętkę. Wkrótce to zaczęło fermentować. No i w ten sposób zaczęliśmy w naszej celi produkować wino.

Jacek opowiadał nam, że jak w zimie byli zamknięci na Śląsku, to taki zacier z kompotów wlewał do klosza w lampie na suficie, tam w ciepłe dochodziło do fermentacji, no i mieli w celi wino. Teraz nie trzeba było takich wymyślnych sposobów, bo był już maj i było ciepło. No i dzięki niemu popijaliśmy sobie wino w Nowym Łupkowie. Pod tym względem był on geniuszem.

Kiedyś do naszej celi weszli "klawisze" na tzw. "kipisz", czyli przeszukanie. Oczywiście, znaleźli w kartonach pod łózkami te słoiki. Pytają: -Co to jest? My odpowiadamy: -To jest kompot kupiony w kantynie. Otworzyli jeden słoik i mówią: -Ten kompot już wam fermentuje i nadaje się tylko do wyrzucenia. Zabieramy te słoiki. A Jacek na to: -Zostawcie! Co was to obchodzi, że fermentuje? Przecież my to pijemy, a nie wy. Oni oczywiście nie mieli pojęcia, że w tych słoikach robi się wino, więc dali spokój.

No i tak uprzyjemnialiśmy sobie życie w tym zamknięciu. Później otwarto nam cele i mogliśmy sobie wychodzić na pole. Było tam boisko do siatkówki, można więc było pograć w siatkówkę, w piłkę nożną, można było pobiegać. Wreszcie mogliśmy rozruszać nasze kości, bo do tej pory siedziało się w celi prawie bez ruchu.

Był to już początek czerwca. Sfery religijnej nikt już nam nie ograniczał i msze w więziennej świątlicy odprawiane były co niedzielę. No i przyszło "Boże Ciało". Oświadczyliśmy, że chcemy zrobić procesję na zewnątrz pawilonu. Służba więzienna stanowczo odmówiła zgody, a my im na to, że i tak urządzimy procesję. Zaczęliśmy debatę i negocjacje. Zaproponowaliśmy wersję kompromisową, a więc dwa ołtarze w jednym pawilonie, dwa w drugim, no i procesja z przejściem z jednego pawilonu do drugiego. Otrzymaliśmy na to zgodę.

Procesja się odbyła. Modliliśmy się przy pięknych ołtarzach z odpowiednimi hasłami i dekoracjami zrobionymi przez samych internowanych. A byli wśród nich profesorowie, literaci, artyści. Po majowych demonstracjach przywieziono do zakładu karnego szereg nowych osób: Macierewicza, Syryjczyka, czy Brauna, późniejszego szefa Radia i Telewizji. Niesamowite, jakie zdolności mieli ci ludzie do wycinania, do wyrzynania różnych przedmiotów i ozdób. Przy jednej z wizyt Staszek Kusiński przemycił taki mały, rozsuwany aparat fotograficzny i w trakcie procesji robił

zdjęcia. Te zdjęcia później jakoś przedostały się za granicę i były publikowane na Zachodzie.

Czas płynął. Nadszedł początek lipca. Stopniowo ubywało internowanych. Kolejne osoby podpisywały "lojalki" o wychodziły na wolność. Z naszych 80-ciu działaczy Regionu Południowo-Wschodniego pozostało już nas tylko 6-ciu. No i przyjechało do Nowego Łupkowa paru esbeków aby namawiać nas do podpisania tych lojalnościowych oświadczeń. Gdy przyszła na mnie kolej, to usłyszałem pytanie: -A może jednak pan podpisze? -To nielogiczne - odparłem. -Skoro nie podpisałem w lutym, to bezsensowna byłaby moja zgoda teraz, po 7-miu miesiącach internowania. Esbek na to: -Wypuścilibyśmy pana, ale skąd możemy wiedzieć, jak się pan będzie zachowywał po drugiej stronie? Odpowiedziałem: -Ja też nie wiem. No i oczywiście nic nie podpisałem.

Zbliżało się peerelowskie święto państwowe 22-go lipca i esbecy najwyraźniej mieli polecenie od Jaruzelskiego, aby z tej okazji wypuścić znaczną grupę internowanych. Mieli jednak problem, bo zostali im już tylko ci, którzy nie podpisali i podpisać nadal nie chcieli. Musieli więc dokonać wyboru: kogo mimo wszystko wypuścić, a kogo nie. W tym czasie wśród osób internowanych z regionu przemyskiego zostało już nas tylko kilku.

Tymczasem 21-go doszło do wielkiej awantury. W zakładzie karnym funkcjonował więzienny radiowęzeł, przez który nadawali m.in. różne komunikaty. Otóż tego dnia, gdy jak zwykle radiowęzeł został wyłączony o 8-mej wieczorem, nagle z głośników w celach i na korytarzach zaczęły nadawać głos: "Więzienne Radio Solidarność!", "radia więziennego internowanych". Służba więzienna była w szoku. Z głośnika w ciągu kilku minut padały m.in. nazwiska "klawiszy" z odpowiednimi komentarzami i ocenami. Oni byli przerażeni, że my wszystko o nich wiemy. Nie mam pojęcia, jak udało się tego dokonać, ale wśród internowanych byli m.in. genialni specjaliści, inżynierowie, którzy tylko sobie wiadomym sposobem podłączyli się do więziennego radiowęzła. W reakcji na to do zakładu karnego wkroczyli szturmowo wyposażeni funkcjonariusze, ale nie udało im się znaleźć nadajnika. Konsekwencją była zbiorowa kara w postaci niewpuszczenia do zakładu karnego rodzin przybyłych na wizytę. To z kolei spowodowało nasze głośne protesty, ale w końcu sytuacja wróciła do normy.

Tak więc na 22-go nas nie wypuścili, ale następnego dnia rano zaczęli ogłaszać nazwiska osób mających przygotować się do opuszczenia zakładu karnego. Padło wreszcie i moje nazwisko. Spakowałem swoje rzeczy, oddali mi resztę moich pieniędzy z depozytu, no i 24-go lipca wyszedłem na wolność. A ponieważ droga z Łupkowa do Zagórza prowadzi przez Komańczę, to razem z kolegą z Jarosławia wysiedliśmy w tej miejscowości i poszliśmy do klasztoru siostr nazaretanek, gdzie w latach 1955-56 internowano ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Chciałem tam podziękować Panu Bogu, że w czasie tych niełatwych 8-miu miesięcy internowania dał mi dość siły aby "zachować się jak trzeba".

Po powrocie do Lubaczowa zostałem porażony wiadomością, że moja żona z pękniętym wrzodem i syn z podejrzeniem porażenia opon mózgowych przebywają w szpitalu. Moją Krysię ledwo udało się lekarzom uratować od śmierci dzięki transfuzji trzech i pół litra krwi.

Jesienią wróciłem do pracy, chociaż nie bez problemów. A gdy żona szczęśliwie doszła do zdrowia, to mogłem już - w tajemnicy przed nią - podjąć działania w ramach podziemia niepodległościowego. Wiele ważnych tytułów prasy niezależnej, takich jak np. "Tygodnik Powszechny", czy "Więź", nie docierało do Lubaczowa. Zdobywałem więc katolickie oraz niezależne pisma i zrobiłem w kościele taką gablotę, w której te pisma umieściłem. Była to informacja o tym co warto czytać.

Wkrótce stworzyliśmy "podziemną" tzw. "grupę trzech" z Adamem Kantorem i Adamem Słomianym. Ten ostatni co prawda nie był internowany, ale to on uratował sztandar "Solidarności" zanosząc go na plebanię, gdzie sztandar został przechowany i dzięki temu przetrwał. Chcieli się inni przyłączyć do nas, ale powiedziałem, że niech działają w innych gronach, bo rozszerzanie podziemnego kręgu osób było niebezpieczne.

21 maja 1984 r. papież Jan Paweł II mianował nowego biskupa Archidiecezji Lwowskiej z siedzibą w Lubaczowie – ks. prof. Mariana Jaworskiego. Podczas ingresu do prokatedry w Lubaczowie „grupa trzech” wręczyła nowemu biskupowi kielich na trzech krzyżach gdańskich z pateną oraz wieniec w kształcie litery „S”, symbolizujący „Solidarność”.

W ramach tej naszej trzyosobowej grupy zajmowaliśmy się m.in. kolportowaniem prasy podziemnej. Większą akcją zrobiliśmy po zamordowaniu przez komunistów, w październiku 84 roku, ks. Jerzego Popiełuszki. Otóż postanowiliśmy w imieniu "Solidarności" przygotować i zawiesić na lubaczowskim kościele pw. Św. Stanisława BM, będącym także prokatedrą archidiecezji, tablicę upamiętniającą księdza Jerzego.

Wkrótce Adam Kantor zawiózł do odlania w Przemyślu tablicę z popiersiem bohaterskiego księdza i treścią: "Ks. Jerzemu Popiełuszce w hołdzie - Solidarność Ziemi Lubaczowskiej". Tablicę odlano w brązie w dwóch egzemplarzach – dla Lubaczowa i dla Horyńca. Chcieliśmy ją umieścić na zewnętrznym murze kościoła św. Stanisława BM w Lubaczowie, ale ktoś z władz kościelnych ze względów bezpieczeństwa nie zaaprobował terminu "Solidarność". Wtedy wpadłem na pomysł, żeby to słowo zastąpić terminem "Ludzie pracy". Problem w tym, że trzeba było odlać w brązie ten nowy termin i wlepić go do tablicy po wycięciu napisu "Solidarność". Czasu było jednak mało i litery zostały wycięte z drewna i pomalowane "złotem". Z czasem warunki atmosferyczne powodowały odpadanie tych wstawionych drewnianych liter. W tej sytuacji Adam Kantor zlecił w Przemyślu odlanie słowa "Solidarność" w brązie. Gdy napis ten trafił do mnie, to wziąłem stosowne narzędzia i pod osłoną nocy przykręciłem ten napis do tablicy. Udało się uniknąć wpadki.

Uroczystość poświęcenia tablicy była przepiękna. "Ubecja" szalała, ale nic nie mogła zrobić.

(opracował – K. Jacek Borzęcki)

KRZYSZTOF KAMIŃSKI



Krzysztof Kamiński – dziennikarz, absolwent Politechniki Rzeszowskiej i Uniwersytetu Jagiellońskiego, reporter o bogatym dorobku zawodowym, popularyzator medycyny naturalnej i ekologii

Nasze codzienne wybory

Nie mam wielkich zasług w działalności niepodległościowej. Są bardziej zasłużeni i ciężko doświadczeni. Skoro jednak mam pisać o sobie, niech ta relacja pozostanie jako drobna cząstka naszej historii.

Wychowałem się w domu patriotycznym i religijnym, co miało wpływ na całe moje życie. Dziadek, więzień obozu w Dachau, cudem ocalał i towarzyszył mojemu dzieciństwu. Mama, wysiedlona ze Stanisławowa, miała żal, że w dowodzie osobistym ma wpisane miejsce urodzenia ZSRR. Tato, całe życie związany z harcerstwem, żołnierz września, „powędrował” w 1939 roku przez zieloną granicę i Węgry do Francji. Walczył, był więźniem oflagów. Jako żołnierz armii gen. Maczka w 1946 roku postanowił wrócić z Londynu do Polski. W upragnionej ojczyźnie, zamiast powitań kwiatami, trafił do obozu dla takich jak on...

Nigdy nie daliśmy się w rodzinie zniewolić przez komunę, zachowując naszą małą niezależność. Byliśmy od dawna słuchaczami Wolnej Europy – na ile tylko było to możliwe ze względów technicznych. Zwłaszcza od 1980 roku, na co dzień ze znajomymi wymienialiśmy się zasłyszonymi informacjami. W połowie lat 80., jako dziennikarz krakowskiego tygodnika „Wieści” bywający często w terenie, udzieliłem wywiadu Aleksandrowi Świeykowskiemu z tej rozgłośni. Wypytywał mnie o nastroje panujące u mieszkańców polskich wsi. Z naszej rozmowy pozostała mi jego wizytówka i wspomnienie osobistego spotkania kogoś „z tamtej strony”.

Burzliwe lata

Po studiach, w 1978 roku jako młode małżeństwo – ja tarnowianin, żona przemysłanka – wyładowaliśmy w Krośnie, gdzie szybko dawano mieszkania. Żona dostała pracę w szkole, ja w tygodniku „Podkarpacie”. Nie popracowałem długo, bo po trzech latach zostałem wyrzucony – urzędowo mówiło się „niezweryfikowany”.

W 1980 roku, gdy powstawały branżowe struktury NSZZ, próbowałem nawiązać kontakt z tworzącą się „Solidarnością” dziennikarzy. W tym celu w Warszawie spotkałem się z red. Jerzym Dzieciolowskim, zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Życie Gospodarcze”, tworzącym zaczął tego związku. Nie zdążyłem wiele działać w Krośnie, jednak nie pozostawałem bierny. Interesowałem się lokalnymi wydarzeniami i opisywałem je, uwzględniając działanie cenzury. Pojechałem np. do Ustrzyk Dolnych na spotkanie robotników z Lechem Wałęsą, co zostało mi później wypomniane przy tzw. weryfikacji.

W grudniu 1981, z nastaniem stanu wojennego rozwiązano redakcję „Podkarpacia”. Komitet Wojewódzki PZPR rozlokował dziennikarzy w różnych instytucjach. Mnie wyznaczono miejsce w radiowęźle Zakładów Urządzeń Naftowych, który jak wszystkie media podlegał partyjnej kontroli. Nie było więc mowy o działalności informacyjnej na własną rękę. W styczniu 1982 r. zostałem z całym zespołem „Podkarpacia” postawiony przed tzw. komisją weryfikacyjną. Wszyscy polscy dziennikarze byli oceniani przez takie gremia. W Krośnie w skład komisji weszli m.in.: Karol Madeja red. naczelny „Podkarpacia”, Maria Ożóg z Wydz. Propagandy KW PZPR, ppłk Edward Pleban z Wydz. II SB KW MO w Krośnie i może jeszcze ktoś, kogo nie pamiętam. Komisja rozpatrywała postawę dziennikarzy w ostatnim czasie i pytała o stosunek do stanu wojennego. Ponieważ go nie poparłem, w dodatku posiadano o mnie „nieprawomyślne” informacje, zostałem pozbawiony pracy. Odbiło się to tak, że nastąpiła reorganizacja redakcji w wyniku czego zlikwidowano mój etat. Kilka miesięcy byłem bezrobotny, a mieliśmy wtedy małe dziecko. Szukałem zatrudnienia w różnych redakcjach, lecz usunięcie mnie przez komisję weryfikacyjną było wystarczającym powodem negatywnej postawy szefów. Dyrektor Wydawnictwa RSW w Rzeszowie, Józef Krajnik zapowiedział mi, że jakiegokolwiek odwołania tylko pogorszą moją sytuację. Mimo jego gróźb, zaskarżyłem wynik weryfikacji do ówczesnej Komisji d.s. Pracy w Rzeszowie (nie pamiętam dokładniej nazwy), co i tak nie zmieniło mojego położenia.

Równocześnie ze mną pracę straciło kilkunastu dziennikarzy w regionie: w „Podkarpaciu” Andrzej Raus, a w rzeszowskim dzienniku „Nowiny” Adam Warzocha. Mnie i Warzochę znał ów-

czesny redaktor naczelny „Dziennika Polskiego” w Krakowie, Ryszard Niemiec, pochodzący z Przemyśla. A ponieważ „Dziennik Polski” nie był organem PZPR, mógł przyjąć do pracy takich jak my. Dzięki temu dostałem pół etatu w „Dzienniku”.

Już w pierwszych dniach stanu wojennego, formalnie pracownik zawieszony „Podkarpacia”, włączyłem się w pomoc zwolnionym z pracy w Zakładach FA Polmo w Krośnie. Dla rodzin internowanych zbieraliśmy żywność i inne dary. Mimo zakazu podróżowania i ryzyka wpadki, wyjechaliśmy z architektem Rubenem Bardanaszwili do Woli Dębowieckiej, gdzie rolnicy przygotowywali produkty rolne. Przywieźliśmy do Krosna spory bagaż. Pamiętam, że miejscem spotkania w tej wsi był ładnie utrzymany dworek należący do szlacheckiej rodziny mieszkającej w Warszawie lub Krakowie.

Ważnym przeżyciem w mrocznych miesiącach stanu wojennego był dla mnie udział w wąskim gronie w wieczorze piosenek patriotycznych w wykonaniu barda Solidarności, Zbigniewa Książka. Wystąpił w Krośnie, w mieszkaniu Leszka Karcza, działacza związkowego wypuszczonego właśnie z obozu internowania w Uhercach.

Na początku lat 90. dostałem zadanie opisanie strajku rolników w Ustrzykach Dolnych z przełomu lat 1980-1981. Miałem okazję wysłuchać wspomnień wielu jeszcze wtedy żyjących jego uczestników. Do współorganizatora strajku, Franciszka Łusyganicza, musiałem pojechać nie w Bieszczady, a w okolice Oświęcimia. Mój reportaż dokumentujący ten akt desperacji mieszkańców wsi ukazał się w książce „Z dziejów Solidarności Podkarpackiej” (wyd. Zarząd Regionu Podkarpacie NSSZ Solidarność, Krosno 1991). W rezultacie związania się z patriotycznym środowiskiem rolniczym, stałem się sympatykiem Stronnictwa Ludowego Ojcowizna, jakiego założycielami są sygnatariusze Porozumień Ustrzycko-Rzeszowskich.

U kapucynów

Tak się szczęśliwie składa, że należymy do parafii p.w. Podwyższenia Krzyża św. w Krośnie (kapucyni). Od sierpnia 1982 r. gwardianem i proboszczem był wyjątkowy kapłan o. Bogusław Piechuta (1946 – 2015). Wygłaszał odważne patriotyczne kazania przyciągające słuchaczy także spoza parafii. Ten kościół nazywano „arką wolności dla opozycji”. Ojciec Bogusław utworzył miejscowe Duszpasterstwo Ludzi Pracy oraz wspólnotę Cywilizacja Miłości. Był pomysłodawcą Mszy za Ojczyznę oraz Dni Kultury Chrześcijańskiej, w jakich licznie uczestniczyli znani opozycyjni działacze i artyści. W stanie wojennym opiekował się rodzinami osób represjonowanych. Zorganizował zbiórkę żywności i leków. Dzięki jego staraniom powstał wtedy Dom Katechetyczny, służący w tym czasie m.in. jako miejsce spotkań patriotycznych i wystaw, np. na temat zbrodni katyńskiej czy marszałka Piłsudskiego. Wspólnie z drugim wielkim patriotą, o. Ryszardem Ślebodą, starali się (bezsukcesywnie) w Ministerstwie Łączności o utworzenie Radia Krosno, na co głośno zareagował rzecznik rządu Jerzy Urban.

Ojciec Bogusław był dręczony przez bezpiekę, szkalowany w partyjnej prasie, represjonowany, przesłuchiwany. Szczegółowo opisał później swoje przeżycia na łamach gazety parafialnej „Przy-

stań”. Bezpieka usiłowała wymóc na władzach zakonu „uciszenie” i przeniesienie obu kapucynów. O. Ryszard Śleboda został wysłany w 1985 do Nowej Soli, o. Bogusław Piechuta pozostał w Krośnie do roku 1988. Cały czas utrzymywał tutaj kontakty z zaprzyjaźnionymi domami. Nasz był jednym z takich.

Przy papieżu

W 1979 roku pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski spowodowała wielkie zamieszanie w środowisku partyjnym i dziennikarskim, również tym lokalnym. Gdy wkrótce potem powstał dokumentalny film A. Trzos-Rastawieckiego „Pielgrzym”, wyświetlano go półlegalnie w różnych miejscach, w tym w kościołach. W Krośnie u ojców franciszkanów. Poszedłem obejrzeć tę filmową relację. Nie zauważyłem nikogo więcej z miejscowego środowiska dziennikarskiego...

W 1983 roku udało mi się zwolnić na jeden dzień z pracy, gdy papież przybył do Krakowa. W wielkim tłumie słuchaliśmy go na Błoniach, potem szliśmy za nim wielkim pochodem pod „Arkę” w Nowej Hucie i pod kościół w Mistrzejowicach. Podczas tego przemarszu po ulicach krążyły na sygnałach milicyjne nyski i ciężarówki. Zostały mi zdjęcia upamiętniające to wydarzenie. W 1987 roku udało mi się brać czynny udział w pielgrzymce Jana Pawła II. Moja mama, mieszkająca w Tarnowie, zapisała mnie do straży papieskiej (szefem był Janusz Moskwa). Dostałem identyfikator i czapczkę (mam do dziś). Przeszliśmy specjalne szkolenie. Przypadło mi pełnienie warty przy wejściu do Pałacu Biskupiego przy ul. Mościckiego, miejsca zakwaterowania papieża. Dyżurowałem w dniu Mszy św. odprawianej w odległym miejscu, ale siostry zakonne, mające klasztor w sąsiedztwie, zaprosiły mnie do siebie, dzięki temu obejrzałem telewizyjną transmisję.

W 1989 roku, spotkało nas wielkie przeżycie. Całą rodziną wzięliśmy udział w papieskiej Mszy św. na krośnieńskim lotnisku. Podano, że przybyło na nią pół miliona osób z Polski i zagranicy.

Rok 1989

Przed zapowiadanyimi wyborami w 1989 r., będąc dziennikarzem „Wieści”, włączyłem się do prac Komitetu Obywatelskiego Solidarność w Krośnie. Przewijało się tu wiele osób. Zapamiętane nazwiska z tego grona: Zygmunt Błaż (przewodniczący KO), Adam Pęziół (zastępca), Krzysztof Staroń, Sławomira i Kazimierz Leśniakowie, Henryk Owoc, Józef Kinel, Tadeusz Kwilosz, Wojciech Malinowski, mec. Karol Heliński... Wspólnie z Krzyśkiem Staroniem zbieraliśmy informacje o kampanii wyborczej z woj. krośnieńskiego i bieżące meldunki wysyłaliśmy dalekopisem do centrali (Serwis Informacyjny Solidarności). Pełniłem dyżury w siedzibie KO, zbierałem podpisy popierających kandydatów, także roznoszeniem ulotek (kilka mam do dziś). Dużo wysiłku włożyliśmy w promowanie „naszych”, czyli: Pawła Chrupka i Jerzego Osiatyńskiego do Sejmu, Gustawa Holoubka i Andrzeja Szczypiorskiego do Senatu. Oni sami często gościli w lokalu KO przy ulicy Grodzkiej.

Przed dniem wyborów zdobyłem od Wojewódzkiej Komisji Wyborczej legitymację prasową, jaka upoważniła mnie do zbierania materiałów dla czasopisma związkowego „Głos Wolny”, ukazują-

cego się na terenie województw krośnieńskiego, rzeszowskiego i przemyskiego.

Na swoim

Po latach pracy w mniejszych i większych redakcjach, wybrałem niezależność i zarejestrowałem własną Agencję Dziennikarską Reporter. Na swoim podwórku przetrwałem 15 lat. Utworzyłem czasopismo „Porady na zdrowie”, istniejące nadal na rynku. Za najważniejsze osiągnięcie uważam wieloletnie dokumentowanie życia i działalności słynnego zielarza-wizjonera, franciszkanina o. Andrzeja Czesława Klimuszki. Jego biografia osiągnęła dziesiątki tysięcy egzemplarzy w pięciu wydaniach. Wiem, że Klimuszko znany jest przede wszystkim z ziół i z przepowiedni, a trzeba wiedzieć, że był też wielkim patriotą gnębnym przez bezpiekę. W latach powojennych musiał się ukrywać z obawy przed represjami.

Szukając materiałów dotyczących ojca Klimuszki, poznałem innego franciszkanina, nie mniej zasługującego na książkę. To ojciec Albin Sroka z Jarosławia. Niezwykle zasłużony dla Kościoła, dla tego miasta, również dla „Solidarności”. Przez ojca Albina związałem się z utworzonym przez niego Jarosławskim Katolickim Stowarzyszeniem Charytatywnym im. o. Pio. Od 2000 roku prowadzi ono w Radawie Dom Ojca Pio – leśną lecznicę, gdzie wzmacnia się ciało i ducha. Wśród kuracjuszy przybywających dosłownie z całego świata, są też artyści, naukowcy, osoby duchowne, a nierzadko lekarze.

Na koniec

Od lat 90. nie ma urzędowej cenzury, mimo to pracujący w mediach nie korzystają ze zdobytej wolności. Działa autocenzura, strach przed utratą przywilejów, etatu, miejsca na antenie... Środowisko dziennikarskie jest podzielone, zatomizowane, upolitycznione. Pracującym w mediach brak samodzielnego, odważnego myślenia i wyrażania poglądów. Dobitny przykład tego okazali, dając się wciągnąć w wielkie kłamstwo pandemiczne w latach 2019 -2022.

Z niepokojem, teraz z pozycji emeryta, obserwuję poziom krajowych mediów, do tego rozchwianą polską scenę polityczną. Ze zdziwieniem i przykrością dowiaduje się, że niektórzy z moich dawnych kolegów z Krajowego Klubu Reportażu, także związkowców aktywnych w posierpniowej „Solidarności”, byli tajnymi współpracownikami SB. Inni – choć wydawało się, że stoimy po tej samej stronie i jesteśmy wierni ideom „Solidarności” – stali się zwolennikami liberalno-lewicowej Platformy Obywatelskiej.

W kraju mającym mocne chrześcijańskie korzenie, część dziennikarzy zapomina o wartościach jakie kierowały życiem i działalnością wielu pokoleń. O ideach oraz postawach decydujących o naszej niepodległości. Duża część pracowników mediów, ogólnopolskich i lokalnych, nie dba o etykę zawodową, o zwykłą uczciwość. Woli „iść z prądem”. Mam to szczęście, że pracując ponad 40 lat w redakcjach prasowych, w Polskim Radiu i TVP, nigdy nie musiałem robić niczego wbrew swoim przekonaniom.

Krzysztof Kamiński

WOJEWÓDZKA KOMISJA WYBORCZA

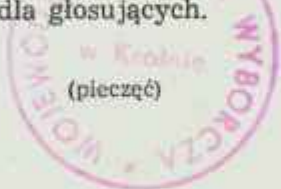
KARTA PRASOWA Nr 15

Wojewódzka Komisja Wyborcza zaświadcza, że red.
..... **Krzysztof Kamiński**
(imię i nazwisko)


legitymujący się **nr do.os. DB 4210166**
(leg. służb., dowód osobisty lub paszport nr)

reprezentujący **Redakcję "Głosu Wolnego"**
(nazwa redakcji)

upoważniony jest do wykonywania czynności zawodowych (z wyjątkiem przeprowadzania wywiadów) w lokalach obwodowych komisji wyborczych w dniach 4 i 18 czerwca 1989 r. w godzinach ich otwarcia dla głosujących.

 (pieczęć)

Przewodniczący
Wojewódzkiej Komisji Wyborczej



Karta prasowa Krzysztofa Kamińskiego



Z o. Bogusławem Piechutą, rok 2004

EDWARD SZCZURKO



Zdjęcie: IPN Oddział w Rzeszowie

Wspomnienie o odważnym działaczu „Solidarności”

Półtora roku temu, 20 września 2022 roku, odszedł do wieczności, w rozpoczętym 80-tym roku swego życia, ś.p. Edward Szczurko z Bolestraszczyk koło Przemyśla. Za swoją działalność patriotyczną został on odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2009), oraz Krzyżem Wolności i Solidarności (2017).

Edward Szczurko urodzony 26 lipca 1943 roku w Bolestraszczykach ukończył w 1969 roku Politechnikę Warszawską i w latach 1975-82 pracował w Zakładach „Ponar-Plasomat” nr 5 w Przemyśle na stanowisku kierownika Działu Technologicznego i Produkcyjnego. Już we wrześniu 1980 roku wstąpił do związku zawodowego „Solidarność”. Od października do grudnia 1980 r. był członkiem Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Przemyśle. Wkrótce został wybrany przewodniczącym Komisji Zakładowej w Zakładach „Ponar-Plasomat” nr 5 w Przemyśle.

Marek Kamiński – wybrany do pierwszego Zarządu Regionu Południowo-Wschodniego w Przemyśle, od 13 grudnia 1981 roku wybitny działacz podziemnej „Solidarności”, a pod koniec lat 80-tych szef Regionu NSZZ „Solidarność” w Przemyśle – tak oto wspomina osobę ś. p. Edwarda Szczurko:

„Znałem Edwarda od 80-go roku, bo był przewodniczącym Komisji Zakładowej w Zakładach „Ponar-Plasomat” nr 5 w Przemysłu i dość często pojawiał się w Zarządzie Regionu. Jednak bliżej poznałem go po wybuchu Stanu Wojennego, jako niezwykle odważnego działacza. Akurat 13-go grudnia, po porannym napadzie Bezpieki na siedzibę Regionu NSZZ „Solidarność” (w budynku przy Kamiennym Moście), kilku nas potajemnie spotkało się w kotłowni PSM na Kmiecicach, za kościołem. Był tam Zygmunt Majgier, Staszek Żółkiewicz, Staszek Trybalski, Zygmunt Pyś, Wojtek Kłyż – wiceprzewodniczący Regionu, Krzysiek Prokop, Marek Pudliński – członek ścisłego kierownictwa Regionu „S”, jakiś działacz, którego nazwiska nie pamiętam, no i ja. Podjęliśmy tam decyzję o reakcji na bezprawne wprowadzenie Stanu Wojennego. Pudliński napisał treść odezwy wzywającej pracowników zakładów pracy w Regionie do strajku okupacyjnego w dniu 16-go grudnia. Ponieważ udało mi się zabrać powielacz z siedziby Regionu, którego szczęśliwym trafem nie znaleźli esbecy, więc razem z Zygmuntem Majgierem wydrukowaliśmy tę odezwę w postaci około tysiąca ulotek. Następnego dnia rano, to znaczy w poniedziałek 14 grudnia, rozprowadziliśmy te ulotki na przystankach autobusowych wśród pracowników przemyskich zakładów pracy. Między innymi udało mi się wręczyć kilkadziesiąt ulotek właśnie Edwardowi Szczurko. Jakże dumny byłem z niego, gdy dowiedziałem się, że on, jako jeden z niewielu, miał odwagę publicznie odczytać tekst tego naszego apelu na zebraniu pracowników w Zakładach „Ponar-Plasomat” nr 5 w Przemysłu. Za ten czyn, i za zorganizowanie strajku w zakładzie, został wkrótce dyscyplinarnie zwolniony z pracy, a następnie skazany przez Sąd Rejonowy w Przemysłu na rok więzienia w zawieszeniu na 2 lata, oraz dodatkowo na wysoką grzywnę. Gdy tylko dowiedzieliśmy się o wyrzuceniu go z pracy, to nasi działacze, Mieczysław Zrajko z Cechu Rzemiosł Różnych, i Zenon Suszyński, mistrz cechowy, załatwili mu status rzemieślnika i prowadzenie prywatnej działalności gospodarczej. Udało się to, bo na szczęście Cech Rzemiosł Różnych nie był jeszcze wówczas kontrolowany przez Bezpiekę. No i Edward Szczurko, zresztą dyplomowany inżynier, otrzymał wówczas wtryskiwarkę i zaczął u siebie w garażu produkować plastikowe zderzaki do „małego Fiata”. Tak więc, udało się go uratować, umożliwiając mu zarobek i utrzymanie rodziny. Pamiętam, że on zawsze był obecny na Mszach za Ojczyznę w parafii św. Trójcy, zawsze też uczestniczył w organizowanych przez nas manifestacjach, i był też bardzo aktywny w rozprowadzaniu drukowanych przez nas ulotek. Był wielokrotnie zatrzymywany i przesłuchiwany. Kolejnym aktem niezwykłej odwagi Edward Szczurko wykazał się na początku 1988 roku. Otóż, prowadzona przez nas podziemna drukarnia w domu jednorodzinnym trzech siostr przy ulicy Żeromskiego znalazła się w niebezpieczeństwie. Zauważyliśmy, że w pobliżu tej posesji zaczęli krążyć podejrzani ludzie. Trzeba było natychmiast przenieść powielacz w bezpieczne miejsce. No i wówczas Zygmunt Majgier powiedział mi, że ma takiego człowieka, który gotów jest przyjąć powielacz i podjąć się drukowania naszych gazetek i ulotek. Tym człowiekiem był właśnie Edek Szczurko. Zygmunt, który po wyrzuceniu go w Stanie Wojennym z Przemyskiej Spółdzielni Mieszkaniowej pracował jako taksówkarz, potajemnie zawiózł powielacz do Boleszyc, a potem mnie zawiózł do Edka, żeby przeskolić go w obsłudze tej drukarki. Jakież było moje zaskoczenie, gdy witając mnie Edek Szczurko wyciągnął ze studni schowany tam powielacz. Urządziliśmy drukarnię w jednym z pomieszczeń gospodarczych wokół domu, i po krótkim kursie Edek sam drukował kolejne numery „Busoli”, pisma wydawanego przez podziemną RKW „Solidarność”, a także okazjonalne ulotki. Trwało to ponad pół roku, aż do czasu gdy w związku ze zmieniającą się sytuacją polityczną w kraju ujawniłem się razem z Zygmuntem Majgierem.

Nasz związek zawodowy zaczął wówczas funkcjonować już prawie oficjalnie, a biskup Ignacy Tokarczuk udostępnił nam Dworek „Orzechówkę” na naszą siedzibę. Niewątpliwie Edward Szczurko, również przez to półroczne prowadzenie podziemnej solidarnościowej drukarni, udowodnił swoją odwagę i poświęcenie dla idei uwolnienia Polski od komunistycznej dyktatury. Co prawda, w 1988 roku już ta działalność nie groziła raczej więzieniem, ale z pewnością wysoką karą grzywny i zapewne odebraniem uprawnień do prowadzenia prywatnej działalności gospodarczej. Edek nie przestał być aktywny także w 1989 roku, włączając się od kwietnia w działalność Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” województwa przemyskiego, natomiast w latach 90-tych działał jako radny w samorządzie Gminy Żurawica. Cześć Twojej pamięci, Edku! I do spotkania w Zaświatach!”

23 września 2022 roku, w bolestraszyckim kościele p.w. Narodzenia NMP, ś.p. Edwarda Szczurko uroczyste żegnali kapłani, rodzina, przyjaciele, działacze „Solidarności” oraz mieszkańcy wioski. W słowach homilii ks. Witold Orzechowski tak m.in. wspominał tego aktywnego członka miejscowej społeczności parafialnej: „Jego naturalnym podejściem było, że bez Boga, ani do proga. Modlił się dużo, poświęcał swoją pomyślność na rzecz rodziny, oraz bliskich i obcych mu ludzi. Każdy, kto znał bliżej Pana Edwarda wie, że był bardzo rodzinnym, uczciwym, pokornym, prostolinijnym człowiekiem, poświęcającym siebie i swoje życie na rzecz innych ludzi, a przy tym z podejściem bardzo patriotycznym, wierzącym głęboko w powodzenie i dobry byt Polski”.

Po żałobnej Mszy świętej kondukt pogrzebowy pod przewodnictwem ks. proboszcza Andrzeja Panka przeszedł na miejscowy cmentarz. Tam, po wspólnych modlitwach i religijnej ceremonii pogrzebowej, trumna z doczesnymi szczątkami ś.p. Edwarda Szczurko spoczęła w rodzinnym grobowcu.

ROZMOWY

CZESŁAW BUKSIŃSKI



Rozmowa Waldemara Wigłusza z ppłk. rezerwy Czesławem Buksińskim, członkiem Konfederacji Polski Niepodległej

Waldemar Wigłusz (W.W.)

Mam prośbę, żeby na początek powiedzieć coś o sobie. Pana znałem jako wojskowego człowieka, a później dowiedziałem się, że Pan jest jeszcze w KPN. Jak Pan trafił do Przemyśla? Pracował Pan też w wojskowych Zakładach Uzbrojenia w Żurawicy.

Ppłk Czesław Buksiński (Cz.B.)

Pochodzę z północnej części Mazowsza, po ukończeniu studiów w Wojskowej Akademii Technicznej, w stopniu podporucznika i z dyplomem mgr inż. rozpocząłem pracę (służbę) w Wojskowych Zakładach Uzbrojenia w Żurawicy k/Przemyśla.

Po przybyciu tu, najbardziej zdumiało mnie, że ludzie nie opowiadają o walce z Niemcami, był to rok 1968 r., tylko o okrutnych walkach z bandami ukraińskimi. Ja w zasadzie znałem wojnę z Niemcami jak bym był jej uczestnikiem, w zimowe wieczory wspomnienia najczęściej dotyczyły wojny. Na froncie był mój stryj i wuj, moja rodzina była wysiedlona, ojciec to więzień obozu koncentracyjnego. Za Stalina ojciec też trochę posiedział za kratkami. Gdy tylko nadarzyła się

okazja, to od razu wstąpiłem do KPN jako członek niejawni, byłem przecież wojskowym. Do KPN zarekomendował mnie szef naszej zakładowej Solidarności Ryszard Bukowski, formalnie wstąpiłem we wrześniu 1981 r. chociaż nieformalnie wcześniej nawiązałem kontakty.

Pomimo mojej odważnej i ryzykownej decyzji przez stan wojenny przeszedłem bez negatywnych konsekwencji, ale z niektórymi osobami różnie bywało. Często pada pytanie, czy warto było? Takie pytanie należy postawić płk Ryszardowi Kuklińskiemu czy słynnemu szabliście wszech czasów mjr Jerzemu Pawłowskiemu. Oglądałem wywiad z mjr Pawłowskim, gdy wyszedł z więzienia w 1985 r., przeprowadzony już po tej naszej słynnej transformacji, w którym stawiał On sobie to pytanie, w czasie, gdy społeczeństwo polskie na prezydenta wybrało komunistę Aleksandra Kwaśniewskiego. To jest coś niesamowitego dla człowieka, który poświęcił siebie i swoją rodzinę na uwolnienie Ojczyzny od okupacji i komuny, a społeczeństwo wybiera komunistę!

W.W. Dziękuję, że wspomniał Pan te dwie mundurowe postacie.

Cz. B. Jeszcze dodam, bo mam pretensje do władz Solidarności, że po objęciu władzy potraktowali wojskowych, zresztą nie tylko wojskowych, ale dyrekcje i kierownictwa zakładów pracy jako wrogów. Prawdopodobnie był to skutek działania umiejętnej propagandy agentury, bo wielu wojskowych w stanie wojennym zostało wyrzuconych z wojska, dlatego że sympatyzowali i pomagali „Solidarności” a potem jak „Solidarność” władzę przejęła to nie upomniała się o nich. Przecież Bitwę Warszawską wygrali generałowie i oficerowie, którzy służyli w armiach zaborczych, tam nabyli umiejętności i dlatego obronili naszą Niepodległość w 1920 r. Moją koleżkę desantowca mjr Olszewskiego też wyrzucono z wojska, a potem zaproponowano, że może wrócić, ale musi napisać prośbę do gen. Siwickiego. Mjr Olszewski odpowiedział „Ja mam prosić? To Siwicki powinien mnie przeprosić i prosić o powrót”.

W.W. Ma Pan dużo racji, ale nie można powiedzieć, że w miejsce nomenklatury partyjnej powstała jakaś nomenklatura solidarnościowa. Bo po wyborach 1989 roku wprowadziliśmy demokrację opartą na systemie partyjnym. I powstałe wówczas partie polityczne tworzyły potem komitety wyborcze, żeby następnie wyłonić rządy. Ale proszę wspomnieć o ludziach z KPN z Przemyśla.

Cz. B. Głównym działaczem KPN w tym regionie był Andrzej Mazurkiewicz z Jarosławia. Studiował na KUL w Lublinie i stamtąd miał kontakty. Następny, też z Jarosławia, to Zbyszek Piskorz; po studiach w Krakowie przybył do Przemyśla Andrzej Zapałowski, KPN-owcami byli bracia Kurowscy. Ich Ojciec to znany nauczyciel technikum elektronicznego przy ulicy Łukasieńskiego, wielki patriota. Ja tam też prowadziłem zajęcia laboratoryjne (przy ul. Tarnawskiego) jako nauczyciel tzw. dochodzący.

W.W. A jak było z okupacją budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Przemyślu w 1990 r?

Cz.B. To nie była okupacja, tylko śmiały atak, zdobycie „twierdzy” i obrona. To był szturm pod do-

wództwem Andrzeja Zapalowskiego, a atakujący to członkowie KPN i Federacji Młodzieży Walczącej. Budynek, po negocjacjach przekazano na cele edukacyjne. Obecnie administruje tym budynkiem Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej. To było 26-go stycznia 1990 r. (1) [1]

W.W. Brał Pan udział w tej okupacji?

Cz.B. Nie, byłem jeszcze w służbie czynnej, a Polska była już Niepodległa, więc jako żołnierz byłem lojalny wobec demokratycznie wybranej władzy.

W.W. Może wróćmy do początku, co Pana jeszcze zdziwiło w Przemysłu oprócz wspomnień o walce z bandami ukraińskimi?

Cz. B. Narzekanie na Rzeszów, że to całe nieszczęście Przemysła spowodowane tym, że Rzeszów jako województwo gnębi Przemysł. Początkowo myślałem, że to żarty, a to było narzekanie na serio. I od tamtego czasu były różne zmiany organizacyjne, Przemysł sam o sobie dzisiaj decyduje, był nawet przez pewien czas stolicą województwa i co? I nic, kłapa. Tego, że Przemysł to „mały Lwów”, spadkobierca tych tradycji, nawet już nikt nie wspomina! Kłapa zupełna na wszystkich frontach. I nie ma na kogo narzekać. Ale Przemysł jest jeszcze piękny, tylko coraz bardziej nie nadąża za innymi tego typu miastami. Dziwił mnie kolejne sprawy, rodzą się kolejne pytania:

- Dlaczego pomnik Andrzeja Pityńskiego „Rzeź Wołyńska” nie stanął w Przemysłu tylko w Domostawie (lipiec 2024 r.)?
- Dlaczego rekonstrukcja Rzezi Wołyńskiej odbyła się w 2013 r. w Radymnie, a nie w Przemysłu?
- Dlaczego Festiwal Pieśni Kresowych odbywa się w Mrągowie, a nie w Przemysłu?
- W Lubaczowskiej Konkatedrze odbył się ostatnio Festiwal Dziedzictwa Kresów w 2024 r.
- Dlaczego tylko raz odbył się w 1998 r. Światowy Zjazd i Pielgrzymka Kresowian w Przemysłu, zorganizowany przez senatora Witolda Kowalskiego?
- Dlaczego jest powszechny brak wiedzy i uroczystości rocznicowych w następujących sprawach:
 - spontanicznej obywatelskiej obronie budynku szkoły księży Salezjanów 2 października 1963 r.?
 - Samospaleniu Ryszarda Siwca na stadionie dziesięciolecia w Warszawie 8 września 1968 r.?
 - Zdobyciu szturmem siedziby komitetu partii komunistycznej przez członków opozycji niepodległościowej 26-go stycznia 1990 r. i przekazanie tego budynku na cele edukacyjne?

W Przemysłu były dosyć duże manifestacje przeciwko reżimowi gen. Jaruzelskiego. Organizatorzy i uczestnicy odchodzą „na tamten świat”, a tu nikt o tym nie pamięta – np. nie żyją już Stanisław Żółkiewicz, Zygmunt Majgier.

W.W. A co się zmieniło od czasu, kiedy Pan tu przybył, przecież to sporo czasu upłynęło?

Cz.B. Sporo, zaniknęła ta gwara lwowska, już nie słycać nie tylko na ulicy, ale i na Zielonym Rynku, te charakterystyczne okrzyki: jak się „pańcie” spotykały te „ta joj, ta dzie” itp. Ale i w poważniejszych sprawach nastąpiły zmiany. Gdy w 2014 r. w czasie Pomarańczowej Rewolucji na Ukrainie, w przemyskiej Hali Sportowej było spotkanie różnych działaczy: sportowych, kulturalnych, gospodarczych, politycznych itp., naliczyłem około 50 osób. Przyszedł tam Ukrainiec i rozdawał pomarańczowe wstążeczki, przypinali sobie nawet po parę sztuk, byłem jedyny który nie przyjął tej wstążeczki i chyba jedyny nie pochodzący z tego regionu. Ten Ukrainiec w sposób nachalny spytał mnie czemu nie przypinam sobie tej wstążki, a ja odpowiedziałem „w Polsce jest demokracja i ja tak postępuję, jak uważam za słuszne”.

Na szczęście utrzymała się jeszcze tradycja galicyjskich pierogów. Każdy kto przybył w te strony, ja też, zachwycał i zachwyca się smakiem tych charakterystycznych dla tego regionu pierogów. Smaczne, pyszne, rozkoszne, rewelacyjne, byłem wręcz „oczarowany tymi rozkosznymi pierogami” jakimi poczęstowała mnie najpierw moja narzeczona a potem żona. Chociaż trzeba przyznać że te umiejętności kulinarne w tym zakresie przejmują wyspecjalizowane przedsiębiorstwa i sieci handlowe.

W.W. Proszę powiedzieć, dlaczego KPN zniknęła ze sceny politycznej Polski?

Cz.B. Analizy, przyczyny – to osobny temat, temat rzeka i każda analiza jest „słuszna”, a czy prawdziwa? Nikt nie wie. Powstanie KPN, formalnie zostało ogłoszone 1-go września 1979 r. przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Jako pierwsza w obozie socjalistycznym partia antykomunistyczna mająca na celu uzyskanie przez Polskę Niepodległości. Ja uważam, że program KPN w zasadzie był, w swoich głównych celach, tożsamy z pragnieniami i dążeniami strajkujących robotników w 1980 r. pod Bramą Stoczni Gdańskiej, gdzie dla nich odprawił Msze Św. ks. Jankowski. Uważam te strajki za nieformalny Akt Założycielski i Fundament oraz początek III-iej Rzeczypospolitej. Odejście od tych zasad jest zdradą Ojczyzny.

Wybory demokratyczne, nie jestem ich przeciwnikiem, ale też nie jestem ich fanatykiem, to wola większości, opinia wyrobiona na skutek posiadanej wiedzy, a ta wiedza może być przecież fałszywa, myląca. I tak KPN w wyborach demokratycznych przegrało, pomimo że według mnie to MY mieliśmy rację, co pokazuje dzisiejsza rzeczywistość. Dla pocieszenia tej gorzkiej dla nas, KPN-owców rzeczywistości, podam przykłady:

– Józef Piłsudski, faktyczny wyzwoliciel Polski spod zaborów, zwycięzca w Wojnie z Bolszewikami, był zmuszony dokonać Zamachu Majowego w 1926 r., dla ratowania Rzeczypospolitej, bo nigdy nie miał większości sejmowej.

– Hitlera uwielbiały miliony Niemców i Austriaków.

– Winston Churchill, zwycięzca Hitlera, śmiertelnego wroga Anglii, musiał opuścić Konferencję w Poczdamie w 1945 r., po 11 dniach. Zwycięzca wojenny uratował kraj, a stracił władzę w wyborach demokratycznych we własnym kraju!

– Ponad dwa tysiące lat temu, jak Chrystus wjeżdżał do Jerozolimy, rzucano przed Nim liście palmowe (stąd Niedziela Palmowa), śpiewano Hosanna a po paru dniach ten sam tłum podżegany przez faryzeuszy, na pytanie Piłata „co ten człowiek wam złego uczynił” odpowiedzieli wrzaskiem „ukrzyżuj Go”. Nie było żadnych argumentów tylko nienawiść.

– Jak widać natura ludzka się nie zmienia, czego mamy ostatnio przykład. Za ośmioletnich rządów PiS, Polska odnotowała niespotykane w historii tempo i poziom rozwoju gospodarczego, była wolność słowa, pełna demokracja, umacnianie tożsamości i poczucia patriotyzmu wśród młodzieży. A w wyborach wyborcy wybrali hochsztaplera Donalda Tuska wraz z podobnymi jemu koalicjantami i to w sytuacji, gdy poprzednio w czasach rządów D. Tuska Polska doznała kryzysu gospodarczego, tragicznego bezrobocia. Nie mogę wyjść ze zdumienia, że olbrzymia część wyborców tak łatwo zaakceptowała kłamstwa, obelgi oraz pogardę dla Polaków przez D. Tuska, przecież on wcale się z tym nie kryje; na spotkaniu przedwyborczym D.Tuska w Bytomiu w dniu 17.03.2023 r., gdzie na argument mężczyzny, że Francuzi dostali reparacje wojenne a Polacy nie, D.Tusk odpowiedział impertynencko, w sposób knajacki „A z jakiej paki miałby pan dostać reparacje”. Tusk nie podjął dyskusji merytorycznej, tylko stosując socjotechnikę i przy wsparciu wrogich Polsce mediów polskojęzycznych wzbudził do Prawa i Sprawiedliwości nienawiść, tego wulgarnego ośmiogwiazdkowego motłochu. Takie postępowanie Tuska było zaskoczeniem dla PiS, dla mnie też. Skąd ci ludzie biorą taką moralność? Po półrocznym rządzeniu można z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że te demokratyczne wybory 15.10.2023 r. to była druga Targowica.

W.W. A czy widzi Pan tu błędy prawicy?

Cz. B. Tak, propaganda PiS – „pożał się Boże”! Jarosław Kaczyński na spotkaniu mówi o osiągnięciach gospodarczych i że to można znaleźć w internecie...! A przecież za plecami na tablicy powinna wyskoczyć grafika, mamy kulturę obrazkową, słupki, różne dane itp., a tu tylko „zwycięzimy...”. W czasie pandemii różni inteligentni, a nawet intelektualiści prawicowi, włączając w to część duchowieństwa, zaczęła szerzyć ideę antyszczepionkową, podważając tym zaufanie do rządu, że to ograniczenie wolności. A co by się działo, gdyby rząd nie podjął tych działań? Nawet Grzegorz Braun zaatakował premiera Mateusza Morawieckiego grożąc: „Sądami i trybunałami dla zbrodniarzy” co mają więcej ofiar śmiertelnych na sumieniu jak Jaruzelski i Kiszczak razem wzięci, w sejmie w dniu 11 listopada 2023 r.. No i m.in. w wyniku tych działań Donald Tusk wygrał wybory i teraz jest rzeczywiste ograniczenie wolności, a nie wymaginowane – obrońcy naszych granic są represjonowani, osoby działające dla dobra społecznego w więzieniach torturowane, np. ks. Michał Olszewski i inni, osoby, które przyczyniły się do wzrostu dobrobytu i bogactwa Polski prześladowane. Gdzie teraz są ci „obrońcy wolności” dlaczego nie wyzywają Tuska od zbrodniarzy?

W.W. Sporo ponarzekaliśmy a pozytywy?

Cz.B. Na pierwszym miejscu w warstwie symbolicznej, to za najważniejsze uważam odbudowę, rekonstrukcję pomnika Orląt Przemyskich. Pomnik ten upamiętnia młodych polskich obrońców walczących z Ukraińcami o polskość Przemyśla w roku 1918. Pomnik został uroczystie odsłonięty 11 listopada 1938 roku na placu Konstytucji. Po nastaniu okupacji niemieckiej w 1939 roku nacjonałiści ukraińscy w kwietniu 1940 roku ten pomnik poważnie uszkodzili i następnie zlikwidowali. Dzięki inicjatywie i zaangażowaniu Stanisława Żółkiewicza pomnik został odbudowany. 11 listopada 1994 roku w dniu Święta Niepodległości uroczystie odsłonięto odbudowany pomnik. Obelisk ustawiono w nowej lokalizacji obok Domu Robotniczego, gdzie w 1918 roku mieścił się sztab obrony miasta. Pobliski plac i most na Sanie został odtąd nazwany imieniem Orląt Przemyskich. Pomnik ten jest nie tylko symbolem dla Przemyśla, ale stał się takim centrum, gdzie odbywa się większość uroczystości.

Ze spraw ogólnych, nazwijmy to gospodarczo-organizacyjnych, uważam za sukces wybudowanie obwodnic drogowych wokół Przemyśla. Nastąpił rozwój transportu samochodowego, tak osobowego jak i towarowego, przejazd przez Przemyśl stawał się gehenną. Przez Przemyśl przebiegał główny szlak handlowy na Ukrainę, a wymiana handlowa wzrastała nie tylko z Polską, ale i z całą Europą. Wybawieniem okazało się oddanie do użytku polsko-ukraińskiego drogowego przejścia granicznego w Korczowie-Krakowcu utworzone w 1998 r. Droga na to przejście skręca już w Radymnie.

W 2012 r. otwarto wschodnią obwodnicę Przemyśla, powstały prawie cztery kilometry nowej drogi, nowe wiadukty, przejścia podziemne, oświetlenie dróg i most nad Sanem, który otrzymał nazwę Brama Przemyska.

Dzięki tym inwestycjom Przemyśl nadal jest „przyjaznym miastem” nie tylko dla Przemysłan, ale i dla turystów.

W.W. No właśnie, a co do turystyki i sportu?

Cz. B. Turystycznie Przemyśl jest bardzo atrakcyjny, wymienię tylko hasłowo: Podziemna Trasa Turystyczna w Przemyślu, wiele odnowionych budynków, a w tym kościoły itd. Niewątpliwie unikalne, nawet na skalę europejską, liczne Forty Twierdzy Przemyśl wokół miasta. Przemyśl może pochwalić się wspaniałym stadionem lekkoatletycznym „JUVENIA”, którego otwarcie nastąpiło w 2012 r.

Ale „wisienką na torcie” było oddanie do użytku w latach 2005/2006 Stoku Narciarskiego w Przemyślu. Wielki ukłon i szacunek dla ówczesnych władz miasta, tylko teraz mamy problem z tymi słabymi zimami, brak mrozu i śniegu, ale to już pretensja do obecnej władzy. Stok zbudowany został blisko centrum miasta na północno-zachodnim zboczu góry Zniesienie i sąsiaduje bezpośrednio z zalesionym parkiem miejskim. Wspaniałe miejsce nie tylko dla sportu, ale i dla spędzenia czasu wolnego z rodziną czy znajomymi.

Konieczne trzeba wyrazić uznanie i podziw dla przemyskich grup Rekonstrukcji Historycznych powstałych z inicjatywy Mirosława Majkowskiego i pod jego kierunkiem osiągnęły sukcesy i są znane w całej Polsce. Ten temat jest mi szczególnie bliski, nie tylko dlatego że jestem wojskowym, ale i działałem w Związku Strzeleckim „STRZELEC”, blisko związanym ideowo i organizacyjnie z KPN-em. Nawet w latach 1999-2005 byłem Komendantem Głównym tego ZS „S”.

W.W. A w sprawie młodzieży, edukacja, kultura?

Cz. B. Obecnie w Przemyślu funkcjonują dwie wyższe uczelnie: Państwowa Akademia Nauk Stosowanych (dawniej Państwowa Wyższa Szkoła Wschodnioeuropejska) oraz Wyższa Szkoła Informatyki i Zdrowia. Ponadto jest cała sieć szkół i placówek edukacyjnych kształcąca w różnych specjalnościach dostosowując ofertę edukacyjną do bieżących potrzeb rynku pracy.

W roku 2008 zakończono budowę nowego, okazałego gmachu budynku dla Narodowego Muzeum Ziemi Przemyskiej w centrum Przemyśla pomiędzy ul. Jagiellońską a Kazimierzowską (Kazimierza Wielkiego). W roku 2013 przeniesiono Bibliotekę do rozbudowanego budynku przy ul. Grodzkiej.

W.W. A co jeszcze Pana cieszy lub smuci w tym Przemyślu, jak Pan się tu czuje, w mieście, gdzie nie był urodzony i wychowany?

Cz. B. Tak, używając języka z zakresu ogrodnictwa jestem przeflanowanym Przemyslaninem i jestem z tego dumny. Ożeniłem się z piękną Przemysłanką, niestety już jest „w innym świecie”. Tu całe moje zawodowe życie spędziłem, a teraz jestem „wiekowym emerytem”. Najwięcej jednak emocji wzbudzają we mnie te dziwne stosunki z Ukraińcami, ja tego nie rozumiem. Ukraińcy nie pozwalają na ekshumację pomordowanych Kresowian z okresu Rzezi Wołyńskiej, nawet naszych żołnierzy z 1939 r., a pozwalają na ekshumację Niemców z formacji SS czy Rosjan z NKWD. Czy można być usatysfakcjonowanym, gdy nasze władze oddały w latach 90. mniejszości ukraińskiej przedwojenne majątki i to z naddatkiem, a Ukraińcy w zamian nic? [2]

W 1995 r. nastąpiło uroczyste podpisanie umowy o współpracy między miastami Lwowem i Przemyślem. Współpraca rozwijała się, ale tylko jednostronnie. Przemyśl obdarowywał Ukraińców wszystkim, czego tylko Ukraińcy zażądali, np.: gmach Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej, zespół budynków Szkoły „Ćwiczeniówki” przy Basztowej, Ukraiński Dom Ludowy – zbycie nastąpiło z 99% upustem, itd., ale Ukraińcy ze Lwowa odwrotnie, najwyżej obiecywali. Ponadto, 2 czerwca 1991 roku Ojciec Święty Jan Paweł II-i, podczas pielgrzymki w Przemyślu, przyznał na wieczną własność grekokatolikom kościół garnizonowy w Przemyślu, ale grekokatolicy nie odwzajemnili się zasadą wzajemności, można uznać, że działają prowokacyjnie i złośliwie. Nie tylko nie oddali Domu Polskiego Polakom zamieszkującym we Lwowie, ale nawet nie oddali Polakom wyznania rzymskokatolickiego ich świątyń. Ja tej sytuacji nie rozumiem, to jakaś inna mentalność, nie znana mi cywilizacja.

Przypisy 1 i 2 od redakcji Archiwum Wolności

[1] Za Encyklopedią Solidarności: 26 I 1990 KPN podjęła ogólnopolską akcję zajmowania siedzib Komitetów Wojewódzkich PZPR (...) W Przemyślu grupa członków KPN i FMW z Andrzejem Zapałowskim na czele zajęła siedzibę Partii. Doszło do kilkugodzinnej okupacji budynku, zakończonej porozumieniem, na mocy którego budynek przeszedł na własność publiczną. Artur Brożniak (<https://encysol.pl/encyklopedia>)

Wg Marka Kamińskiego i Jana Jarosza („Spojrzenia Przemyskie”, maj 1990) kolejność wydarzeń jest następująca: Marek Kamiński, szef Zarządu Regionu Przemyskiej Solidarności, dowiedział się od wicewojewody Żółkiewicza, że z budynku KW PZPR w Przemyślu przy ul. Kościuszki 2 wywożony jest sprzęt i wyposażenie biur. Potwierdzające się wieści „...o paleniu archiwów, o spekulowaniu społecznym majątkiem zdopingowały członków przemyskiej KPN i FMW do bardziej radykalnych działań. 26 stycznia 1990 roku około godziny 14.00 grupa młodych ludzi – członków obu organizacji – zajęła budynek KW PZPR w Przemyślu (...) Już w trakcie okupacji na oczach bezsilnych młodzieńców odjechały dwa samochody (Żuk i FSO 1500) wypełnione dokumentami. Puste segregatory z napisami: „Rozgłośnię polskojęzyczne”, „Solidarność”, „Ugrupowania antysocjalistyczne” itp., walające się pod nogami świadczyły o solidnej i dokładnej pracy. Znalezione po pewnym czasie na forcie „Zielonka” duże pogorzelisko dokumentów partyjnych pozbawiły złudzeń wszystkich zainteresowanych (...) Z następującymi żądaniem wystąpili członkowie KPN i FMW: przekazanie budynku na cele oświatowe i majątku na rzecz miasta. (...) Wobec braku jakichkolwiek działań władz miejskich przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ Solidarność Ziemi Przemyskiej Marek Kamiński wraz z przedstawicielami Przemyskiego Komitetu Obywatelskiego opieczętował budynek KW i pozostałe pomieszczenia gospodarcze...”, a wicewojewoda Stanisław Żółkiewicz zatwierdził oficjalnie te działania. 14 marca „Solidarność” i Komitet Obywatelski zorganizowały wiec protestacyjny domagając się realizacji tych postulatów. Bez skutku, komuniści interweniowali u premiera Tadeusza Mazowieckiego, więc Marek Kamiński razem z Mieczysławem Napolskim, przewodniczącym Przemyskiego Komitetu Obywatelskiego i mec. Andrzejem Matusiewiczem pojechali do premiera do Warszawy. Przyjął ich Jacek Ambroziak, szef Urzędu Rady Ministrów i z emocją w głosie przekonywał, że „...sprawa majątku po PZPR nie jest tak oczywista...”. W rezultacie premier Mazowiecki formalnie oddał komunistom budynek, chociaż w rzeczywistości do niego już nie wrócili. W międzyczasie w Komitecie Obywatelskim, który wtedy miał swoją siedzibę po drugiej stronie ulicy Kościuszki, na piętrze, odbyła się narada na temat tego budynku, z udziałem Zbigniewa Bortnika, Marka Kuchcińskiego, Waldemara Wiglusza, Andrzeja Matusiewicza... Bowiem dotarła do Przemyśla informacja – pytanie o siedzibę dla planowanego Kolegium Języków Obcych, którą przekazała nieoficjalnie doc. Marta Sienicka, ówczesna miss redakcji Strychu Kulturalnego, w którego kręgach prowadzone były starania o utworzenie w Przemyślu wyższej uczelni, i do której etapem miało być to Kolegium. Podczas narady padła propozycja przeznaczenia budynku KW na to kolegium. Tak więc po długich „przepychankach” budynek KW PZPR został przekazany na cele oświatowe.

[2] Komisja Majątkowa, działała w oparciu o Komisję Wspólną Przedstawicieli Rządu RP i Konferencji Episkopatu Polski powołaną w maju 1989 r., w celu utrzymania stałych kontaktów między rządem i Episkopatem Polski. Komisja Majątkowa rozpatrywała sprawy zwrotu Kościołowi majątku przejętego na rzecz skarbu państwa w okresie PRL. Od decyzji Komisji nie było odwołania



17.08.1990 r. spotkanie z Wojciechem Włodarczykiem o Komitetach Obywatelskich.
Czwarty od lewej Czesław Buksiński

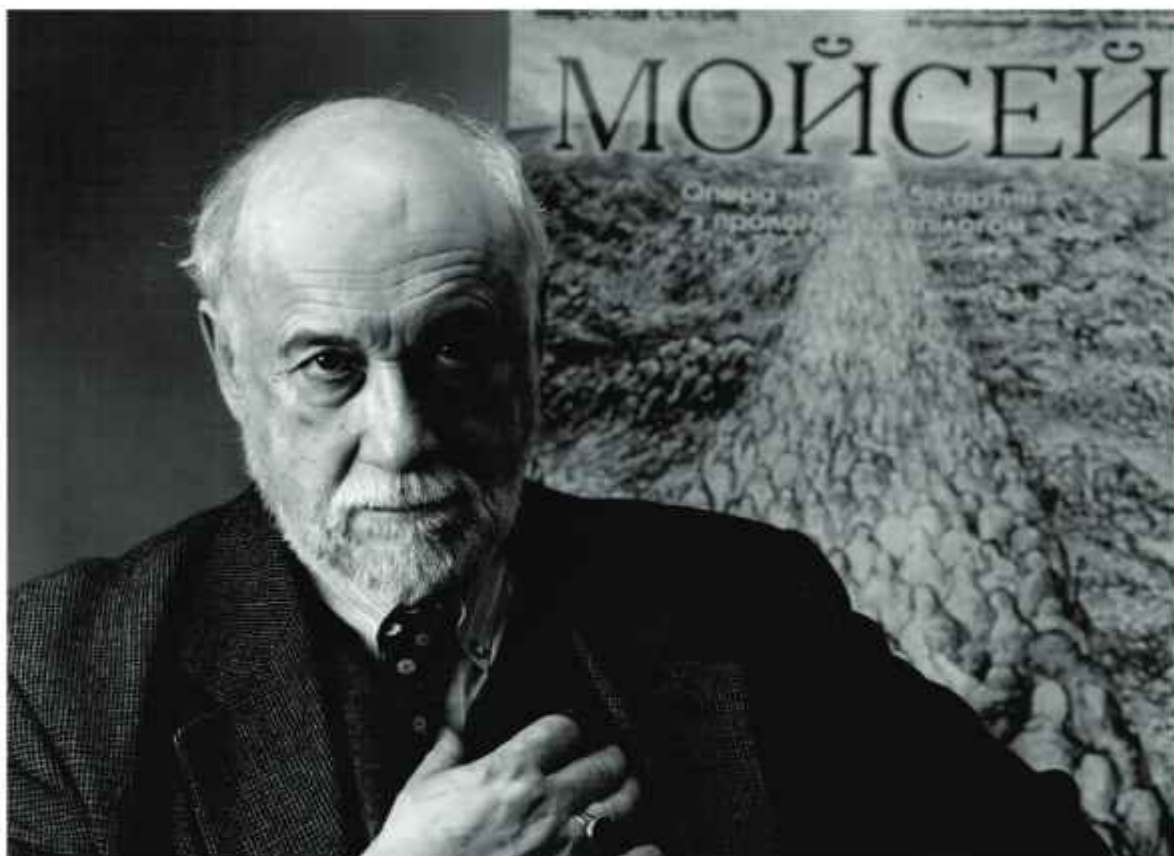


Spotkanie z cyklu otwarte forum obywatelskie; głos zabiera Czesław Buksiński



Waldemar Wigłusz przeprowadza rozmowę z Czesławem Buksińskim

ZBIGNIEW CHRZANOWSKI



Wspomnienia Zbigniewa Chrzanowskiego

“Czuję się człowiekiem artystycznie spełnionym”

Wypada zacząć od tego, że urodziłem się w 1935 roku we Lwowie. Wiele osób wyraża przekonanie, że mój los był przesądzony przez okoliczność, że swoje wczesne dzieciństwo spędziłem w gmachu teatru skarbkowskiego, ufundowanego dla Lwowa jeszcze w dziewiętnastym wieku przez hrabiego Stanisława Skarbka. Tak się bowiem złożyło, że właśnie w tym gmachu mieszkali moi rodzice. Teatr ten w latach dwudziestych i trzydziestych pełnił rolę kinoteatru, bo był to okres początkującej jeszcze sztuki filmowej i kina były wówczas bardzo popularne. Jako małe dziecko często bywałem w sali kinowej, gdzie na ogromnym ekranie odbywały się jakieś dziwne historie, których jeszcze wtedy nie bardzo mogłem obserwować i zrozumieć. Wówczas nawet nie podejrzewałem, że za wielkim ekranem filmowym znajduje się taka ogromna przestrzeń, czyli scena teatralna.

Tę przestrzeń właściwie odkryłem dla siebie dopiero po wojnie, kiedy mój ojciec zaczął pracować w tym już wówczas ukraińskim teatrze jako oświetleniowiec, czyli elektryk związany z oświetleniem tego, co dzieje się na scenie. Wtedy po prostu trafiłem razem z ojcem za kulisy tego teatru i miałem możliwość przesiadywania tam i przyglądania się próbom teatralnym. Równoległe ten bakcyl teatralny był jakby wkładany we mnie przez mojego nauczyciela literatury polskiej w szkole nr 24 (obecnie im. Marii Konopnickiej) - Piotra Hauswatera. No i w ten sposób, zresztą nie do końca świadomie, odbywałem niejako kształcenie teatralne, obserwując wszystko co się dzieje na scenie podczas prób i przedstawień teatralnych, a w szkole biorąc czynny udział w działalności szkolnego teatru prowadzonego przez profesora Hauswatera. Te okoliczności na pewno przyczyniły się do tego, że moja świadomość kształtowała się ciężąc właśnie w stronę działalności teatralnej, i w ogóle w kierunku Sztuk Pięknych. Na pewno były to fakty, które przesądziły o wyborze przyszłej kariery i całego swojego życiorysu.

Miałem 11 lat, kiedy w 46-tym roku dwójka moich braci wyjechała do powojennej Polski, aż do dalekiego Wrocławia. Dałsza rodzina wyjechała do Szczecina. A ja z rodzicami i dwoma kolejnymi braćmi pozostałem we Lwowie. Mieliśmy nadzieję, że nastąpią pewne zmiany i że Polacy nie będą zmuszani do opuszczania swego rodzinnego gniazda, swojego mieszkania.

W 52 roku rozpocząłem studia uniwersyteckie na polonistyce we Lwowie, kontynuując moje skłonności oraz sugestie mego nauczyciela z polskiej szkoły, profesora Hauswatera, żebym zajął się polską literaturą. Znalazłem się tam w bardzo oryginalnej grupie, bo wśród nas byli sami Polacy. Byli to absolwenci 3 polskich szkół, które po wojnie jeszcze działały we Lwowie, a do nich dołączyło się kilkoro kolegów i koleżanek z obwodu tarnopolskiego. Opiekował się nami profesor Edward Woroniecki, literat, historyk literatury, przedwojenny attache kulturalny ambasady Polskiej w Paryżu. On nam m.in. opowiadał o pogrzebie Słowackiego, o ekshumacji i przeniesieniu jego zwłok na Wawel. Poza tym otaczało nas całe grono ludzi bardzo znanych, bardzo ważnych, którzy byli również tymi pierwszymi widzami naszych poczynań teatralnych w pięćdziesiątym ósmym roku. Tutaj myślę o profesorach Politechniki lwowskiej, o wybitnym architekcie Janie Bagińskim, autorem m.in. Domu Nauczyciela, czyli przedwojennego pałacu hrabiów Bielskich, który do końca życia był czynnym profesorem Katedry Architektury. Wtedy jeszcze działał profesor Adam Sołtys w Akademii Muzycznej, wybitny historyk sztuki profesor Mieczysław Gębarowicz, nasi nauczyciele z sąsiednich jak to się mówi szkół - profesor Maria Jarosiewicz, profesor Obmińska.

Aczkolwiek ukończyłem filologię polską na Uniwersytecie Lwowskim, co dawało mi uprawnienia pedagogiczne, jednak nigdy nie rozpoczęłam kariery nauczycielskiej. Po studiach polonistycznych miałem jednocześnie również specjalizację z języka i literatury rosyjskiej. No i w tej właśnie specjalizacji skierowano mnie do pracy w szkole na Zakarpaciu. Szczęśliwie dla mnie, nie było tam jednak miejsca pracy dla tak młodego nauczyciela. Mogłem więc szukać zatrudnienia we Lwowie i trafiłem przypadkowo do powstającej Telewizji Lwowskiej. Spotkania teatralne związane z amatorską działalnością oczywiście miały dla mnie ogromne znaczenie, ale już praca w telewizji ostatecznie zadecydowała o moim wyborze zawodu reżysera.

Jeśli chodzi o środowisko polskie we Lwowie, to czuliśmy się wówczas bezpieczni. Nie spotykali-

śmy się wtedy bowiem z żadnymi gestami nieprzyjaźni w stosunku do Polaków. Oczywiście musieliśmy, siłą faktów, włączyć się w życie codzienne sowieckiego już Lwowa. Zresztą my, urodzeni przed wojną czy podczas wojny, po prostu nie znaliśmy tego przedwojennego Lwowa i przedwojennych warunków. Tak więc siłą faktów włączyliśmy się w to życie, które nas otaczało w tych powojennych latach. Poza tym nowe środowisko i stosunki koleżeńskie zawarte na Uniwersytecie. Lwów był wówczas - i miejmy nadzieję, że na zawsze pozostanie - ogromnym ośrodkiem kulturalnym. Przyjeżdżały tam wybitne zespoły muzyczne, teatralne. Życie koncertowe było bardzo bogate. Pojawiały się naprawdę gwiazdy kultury polskiej, takie jak Stefania Wójtowicz, jak Władysław Kędra. Orkiestrą lwowską dyrygował Stanisław Skrobaczewski. Do Lwowa przyjeżdżał Jehudi Menuhim. Miałem szczęście słuchać na żywo Aleksandra Wertyńskiego w Operze lwowskiej. Ta propozycja kulturalna, bardzo bogata i różnorodna, też na swój sposób kształtowała nas, nie zmuszając do szukania jakiegoś ustronia, tylko raczej do chłonięcia tego życia kulturalnego.

Nasz polski teatr wieczorami skupiał nas wokół siebie jakby tworząc iluzję teatralnej niezależności, a nawet takiej teatralnej błogości. Mieliśmy wielu sympatyków, którzy bardzo nas cenili i przychodzili na nasze przedstawienia. Nasze doświadczenie z latami rosło i jakby wyrabiał się pewien kunszt teatralny. Zresztą moja decyzja o podjęciu teatralnych studiów reżyserskich też wypłynęła stąd, że traktowanie czysto amatorskie tego co się robi, już mi nie wystarczało. Tak więc w 1966 roku ukończyłem studia na wydziale reżyserii Moskiewskiej Szkoły Teatralnej przy Teatrze im. Wachtangowa.

W 1967 roku nasz teatr uzyskał dyplom I klasy i zarazem pierwsze miejsce w obwodowym konkursie amatorskich zespołów. Ta jakby nobilitacja teatru wyraziła się zarówno w nadaniu nam nazwy Polski Teatr Ludowy we Lwowie ("ludowy" - w znaczeniu "amatorski"), jak i w przyznaniu stałej siedziby, którą otrzymaliśmy w Domu Nauczyciela przy ulicy Kopernika, czyli w przedwojennym pałacu hrabiów Bielskich.

Równoległe, jak już wspomniałem, pracowałem w ośrodku telewizji lwowskiej. Otoczony tam byłem zawodowcami, kontaktowałem się z zawodowymi teatrami, z zawodowymi twórcami. To wymagało sięgnięcia po pewne już bardzo profesjonalne źródła. Pracowałem w dziale muzycznym telewizji lwowskiej. Pomogła mi w tym troszeczkę moja edukacja muzyczna, bo skończyłem szkołę muzyczną w klasie fortepianu. Znalazłem się również w środowisku teatru muzycznego, takiego jak Teatr Opery. Myśmy bowiem bardzo często musieli transmitować spektakle operowe, a to wszystko wymagało pewnego przygotowania dodatkowego. I w ten sposób rozszerzały się nasze horyzonty.

W naszym teatrze przy ulicy Kopernika sięgaliśmy po coraz ambitniejszy repertuar. Krąg naszych widzów poszerzał już nie tylko o Polaków, a właśnie o Rosjan i Ukraińców, którzy przychodzili na spektakle do naszej skromnej sali. Oni widzieli powagę i powiedziałbym głębię pracy artystycznej tego zespołu, no i to nam szalenie ułatwiało przyciągnięcie nowych ludzi do teatru. Takim człowiekiem, nowym członkiem naszego zespołu teatralnego stał się Walery Bortiakow, nieodżałowany nasz kolega, który niestety odszedł już w zaświaty. Jego profesjonalizm, wrażliwość artystyczna, jego ogromny szacunek i miłość do kultury polskiej, jakby pomagały nam ten teatr

tworzyć i równocześnie przyciągać też nowych ludzi profesjonalnych do współpracy. Tak udało nam się zaprosić do pewnych prac nad fragmentami choreograficznymi wybitnych lwowskich tancerzy: Germana Isupowa i Halinę Suchnowską. Do realizacji sztuki Tadeusza Różewicza udało nam się zaprosić wybitnego scenografa lwowskiego, wielkiego scenografa Eugeniusza Łysyka. W mojej ocenie „Zemsta” Aleksandra Fredry to kolejny jakby taki „kamień milowy” w repertuarze naszego teatru, zrealizowany przez Walerego Bortiakowa. Później następne wspaniałe przedstawienie przez niego wymyślone i zrealizowane to „Odprawa Posłów Greckich” Jana Kochanowskiego. On był zakochany w tym tekście. Poza tym, rzeczywiście wymowa tego dzieła mówiąca o bezsensie wojny, o bezsensie kłótni, waśni i zabijania, tak pięknie przez niego wypunktowana, stanowiła ogromny walor tego przedstawienia. Myśmy go grali w różnych zabytkowych wnętrzach, również na Zamku Królewskim w Warszawie, na Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie. Najwspanialszy spektakl, który na zawsze pozostanie w naszej pamięci, to „Odprawa Posłów Greckich” zagrana na dziedzińcu muzeum historycznego we Lwowie, który nazywamy naszym małym lwowskim „Wawelem wspaniałym”.

W 1975 roku zrealizowałem na scenie ukraińskiego Teatru im. Zańkowieckiej we Lwowie sztukę „Damy i Huzary” Fredry. Przedstawienie to cieszyło się tak ogromnym powodzeniem, że w ciągu 6 lat zagraliśmy je ponad 300 razy. Niestety, ucięto szyję temu przedsięwzięciu właśnie w 81-ym roku, kiedy to spotkała mnie ta historia, która próbowała jakby przekreślić mój cały dorobek artystyczny. Wtedy zdjęto z afisza „Damy i Huzary”. Zamknięto też i zaplombowano pomieszczenia naszego teatru. To był październik 1981 roku. Jak do tego doszło?

Otóż, nie ulega wątpliwości, że wszystko co się wówczas działo w Polsce było we Lwowie znane i może śledzone z pewnym niepokojem, ale nie powiedziałbym, że była to jakaś obawa czy strach. Myśmy wtedy rozpoczęli po prostu kolejny teatralny sezon. Rozpoczęliśmy „Weselem” Stanisława Wyspiańskiego, bo była to już tradycja od 69-go roku. Wtedy „Wesele” pojawiło się pierwszy raz w naszym repertuarze i od tamtej pory zawsze staraliśmy się kolejny sezon rozpoczynać właśnie tym spektaklem.

Zgodnie z tą tradycją również w październiku 81 roku tak samo rozpoczęliśmy sezon teatralny. Otrzymaliśmy wówczas od widzów moc kwiatów. Były to takie proste jesienne bukiety głównie astrów. No i po spektaklu zupełnie spontanicznie w swojej naiwności poszliśmy z tymi kwiatami pod pomnik Mickiewicza. Nie mieliśmy żadnych zamysłów demonstracyjnych. Był to po prostu taki gest artystyczny, aby złożyć kwiaty temu polskiemu wieszczowi, któremu te kwiaty należały się jako symbol poetyczności. No i niestety ten nasz gest został przez władze sowieckie potraktowany jako polityczny.

Wszystko na to wskazuje, że jako polska grupa byliśmy już od pewnego czasu pod pilną obserwacją. Tym bardziej, że do nas w tych latach przyłączyła się grupa młodzieży z Polski, która studiowała na Politechnice Lwowskiej i w Akademii Medycznej. Oni byli naszymi aktorami, ale zarazem przybyszami z kraju, gdzie wybuchło to zarzewie niepodległościowego buntu. Potraktowano ten nasz gest jako demonstrację polityczną i zatrzymano nas wtedy bardzo późnym wieczorem. Rezultat był tragiczny dla wielu z nas. Pięcioro tych polskich studentów po prostu

natychmiast wydalono przez granicę do Polski, natomiast obecni w tej grupie aktorzy, będący obywatelami Związku Sowieckiego, stracili wszyscy pracę.

Praktycznie teatr zamknięto na jakiś czas. Co więcej, pomieszczenia teatru zostały zaplombowane. Podejrzewam, że na pewno ktoś tam szukał jakichś dokumentów, które mogłyby skompromitować teatr jako związany z jakimiś organizacjami antykomunistycznymi w Polsce. Jestem święcie przekonany, że właśnie dlatego to zostało zrobione. No ale skoro nie znaleziono żadnych solidarnościowych gazetek lub innej „bibuły”, więc dano sobie spokój. Zaczęto jednak gwałtownie szukać człowieka, który przejąłby kierownictwo teatru, bo właściwie nie było podstaw, aby rozpędzić wszystkich.

No i w końcu znalazł się taki człowiek, który potrafił dźwignąć ten ciężar. Człowiekiem tym był właśnie Walery Bortiakow, ten nieodżałowany nasz kolega. Rosjanin z pochodzenia, ale zakochany w polskiej kulturze. Lwowianin uwielbiający to miasto, znający dogłębnie jego kulturę i wszystkie meandry lwowskiej wielokulturowej działalności. Ze względu na swoją narodowość stanowił zapewne dla władz sowieckich jakieś zabezpieczenie. Poza tym był człowiekiem znanym we Lwowie i pewnym autorytetem artystycznym. Tak więc Walery dźwignął i wziął na swoje barki ciężar tej całej trudnej sytuacji. No i przedstawieniem, które udało mu się zrealizować i wystawiać w latach 85-87, to była „Zemsta” Aleksandra Fredry. On tym przedstawieniem uratował artystyczny poziom polskiego teatru. Wspaniałe przedstawienie, które Walery wyreżyserował, stworzył scenografię oraz wystąpił jako aktor grając z powodzeniem jedną z głównych ról. I to przedstawienie, „Zemsta” Fredry, tak samo jak „Wesele” Wyspiańskiego, jest do dzisiaj chlubą repertuaru naszego teatru.

Dla mnie to wydarzenie było po prostu tragiczne z wielu względów. Otóż straciłem pracę w telewizji, ale przede wszystkim zabroniono mi w ogóle wejścia do siedziby polskiego teatru w Domu Nauczyciela przy ulicy Kopernika. Topór zawisł przede wszystkim nad naszym teatrem, nad jego dalszą działalnością. Ja byłem człowiekiem z „wilczym biletem” i nie miałem żadnych perspektyw uzyskania pracy w swoim zawodzie. Właściwie każdy traktował kontakty ze mną z pewnym niepokojem, że mogą mi sprawić pewne kłopoty. Z drugiej jednak strony w wielu wypadkach spotkałem się z ogromną sympatią ludzi, z jakąś taką ludzką solidarnością - i to ze strony właśnie nie tylko Polaków, ale także twórców ukraińskich. Oni jak tylko mogli, to dyskretnie wyrażali chęć pomocy mi, solidaryzując się z moją sytuacją. Rozumieli - czym może być taki dramat dla człowieka, który jest osobą publiczną.

No i ta dramatyczna sytuacja wpłynęła na moją decyzję wyjazdu ze Lwowa. Tam zostawiłem matkę, zostawiłem siostrę. Tak jednak moje życie prywatne się ułożyło, że w Polsce mieszkała moja żona z synem, a więc jakby w ramach łączenia rodziny wyjechałem do Polski. Wyjechałem najdalej jak tylko mogłem, czyli aż do dalekiego Szczecina. Tam z kolei pracował mój kuzyn, który z częścią tej mojej podzielonej rodziny tam został przesiedlony w ramach tak zwanej repatriacji. Mój Boże, jakaż to repatriacja, to przecież wyrzucenie, czyli ekspatriacja. Mój kuzyn Kazimierz pracował w Szczecinie jako dyrektor „Teatru Współczesnego”, natomiast ja podjąłem pracę w „Teatrze Polskim”. No i tak się zaczęło moje polskie życie teatralne.

Po pracy w teatrach w Szczecinie, Wałbrzychu i Wrocławiu, już od wielu lat osiadłem na stałe w Przemyślu. Niektórzy pytają mnie: -Kim pan się czuje? Przemyślaninem, Lwowianinem, czy może obywatelem Europy? To jest trudne pytanie. Na pewno Jestem lwowianinem. Trochę dlatego, że dzięki tak bliskiemu sąsiedztwu i odległości ciągle mi się wydaje, że ja ze swego Lwowa nigdy nie wyjechałem. We Lwowie nadal mieszka mój siostrzeniec i ja ciągle wracam do rodzinnego domu, do rodzinnych ścian. Ponadto cały czas udaje mi się utrzymać współpracę z naszym polskim teatrem we Lwowie, nadal się nim opiekować i właściwie traktować ten teatr jako coś najważniejszego w moim życiu. I to pomimo doświadczeń z pracy z innymi teatrami, które są, powiedziałbym, doświadczeniem koniecznym. Bo to są różni ludzie, różne warunki, co jakby buduje pewne doświadczenie życiowe.

Bardzo cieszę się, że kilka przedstawień w Polsce udało mi się zrobić jednak w towarzystwie moich lwowskich przyjaciół np. „Preclarkę z Pohulanki” we wrocławskim „Teatrze Współczesnym”, którą zrealizowałem razem z Walerym Bortiakowem jako scenografem. Z kolei „Mazepę” Słowackiego w wałbrzyskim „Teatrze Imienia Szaniawskiego” zrealizowałem wspólnie z Andrzejem Nikodemowiczem, który napisał wspaniałą muzykę do tego dramatu. Staram się zawsze wspierać siłami ludzi, których bardzo dobrze znam i którym właściwie nie muszę tłumaczyć pewnych rzeczy, bo jakby rozumiemy się w pół słowa. Ja nie wiem czy to lwowska atmosfera na to wpływa, ale myślę, że nie. To są raczej takie fluidy artystyczne, jakby wspólne gusta, wspólne wrażliwości. To pomaga bardzo we współpracy.

Niespodziewanie dla mnie, moja dawna praca telewizyjna, czyli praca w dziale muzycznym telewizji i te kontakty z lwowską operą, zaowocowała nieoczekiwaną propozycją zrealizowania opery na scenie lwowskiej. Mówimy tutaj o „Mojżesz” Mirosława Skoryka, lwowskiego kompozytora, którego również znam z tamtych dawnych lat zarania dziejów telewizji lwowskiej. Moja praca nad tą operą właściwie była jakby taką prapremierą, bo nie było skąd czerpać w ogóle jakichkolwiek wzorów. Trzeba było iść za własną fantazją, szukać własnych dróg do realizacji tej sztuki. I to wpłynęło na moją decyzję jeszcze wcześniej, aby pojechać w te strony, w których jakby prapoczątek tego literackiego dzieła się mieści. Czyli mówimy tu o Palestynie, o Egipcie, Izraelu, Synaju. Chodziło mi jakby o sięgnięcie do środowiska i powietrza tamtych stron, co zresztą bardzo mi pomogło w pracy ze scenografami nad tą sztuką. Pomogło w szukaniu koloru dekoracji, kolorytu scenografii. To ogromne, ogromne szczęście. To była radość takiej twórczości, a jeszcze do tego szczególnym patronatem została ta realizacja objęta przez Watykan i przez Jana Pawła II. No i dostąpiłem tego zaszczytu i szczęścia w otrzymaniu błogosławieństwa osobiście od Ojca Świętego na progu lwowskiej Opery.

Wracając do pytania: kim właściwie człowiek jest i czy może się umiejscowić tylko w jednym mieście? No to tak się zastanawiam, co by było gdybym ja ze Lwowa nie wyjechał, gdybym nie był zmuszony do tego wyjazdu? Bo to nie była decyzja dobrowolna. To było wymuszenie poszukiwania innej drogi, żeby spełnić się. I w tej chwili czuję się człowiekiem artystycznie spełnionym osiadłszy tutaj w Przemyślu, który też dla mnie jest miastem bardzo przyjaznym, bardzo mi drogim.

Kiedyś to był dla mnie jakby „przystanek Przemyśl” po drodze między Lwowem a Wrocławiem, między Lwowem a Szczecinem, między Lwowem a Krakowem. I w tamtych czasach trzeba było zawsze tych kilka godzin po Przemyślu błędzić. Zawsze wyruszałem na Wzgórze Zamkowe. Wtedy tam trwała rekonstrukcja historycznego Zamku Kazimierzowskiego. Zaglądałam tam przez park, bo wiedziałem, że tam kiedyś miało siedzibę „Fredreum”, czyli zespół pokrewny do naszego teatru we Lwowie. No i później niespodziewanie wylądowałem właśnie na tym Zamku. Mieszkałem tam przez 10 lat pracując jako wicedyrektor Centrum Kulturalnego. I to też była dla mnie jakaś szalenie historyczno-romantyczna przygoda, bo właśnie z tego wzgórza zamkowego patrzyłem i na tory kolejowe, i na tę, powiedziałbym, nitkę łączącą Lwów z dalszymi miastami, po których ciągle mi się przytrafiło jeździć.

Mam i tę satysfakcję, że kiedyś udało mi się do Przemyśla jakby przyciągnąć ważne osoby życia artystycznego formatu międzynarodowego. Dzięki temu wtedy podczas „Dni Muzyki Oratoryjno-Kantantowej” w Przemyślu pojawił się np. Krzysztof Penderecki i Jerzy Maksymiuk, a w Katedrze Przemyskiej zaśpiewali Andrzej Hiolski i Jadwiga Rappe. Coraz częściej w Przemyślu zaczęli się pojawiać filharmonicy lwowscy, a w krasiczyńskim zamku zaczęła występować opera lwowska. W jednym i drugim wypadku zawsze się to łączyło z jakąś moją większą lub mniejszą współpracą, ale zawsze mnie łączyły te nurty i te kontakty artystyczne.

Tak więc i Przemyśl stał się dla mnie miastem szalenie przyjaznym. Dodam, że bywałem w tym wspaniałym bolestraszyckim Arboretum, u boku profesora Jerzego Pióreckiego. Przeżywałem tam chwile radości, wytchnienia, odpoczynku i delektowania się pięknem otaczającej przyrody. To wszystko wpływa niesamowicie na kondycję artystyczną, już nie mówiąc o tym, że i to miejsce było szalenie przyjazne dla kręgu lwowskich twórców. Mariusz i Urszula Olbromscy wymyślili te wspaniałe warsztaty plastyczne w „Arboretum”, które tych młodych artystów z Ukrainy tutaj przyciągały, stwarzając im warunki do kontynuacji swoich artystycznych możliwości. Do tej inicjatywy włączył się m.in. również i Walery Bortiakow, który tutaj często bywał. Poza tym, udało mi się jednak ożywić kontakt czysto teatralny między Lwowem i Przemyślem. Myślę tu o może skromnej, ale jednak wymianie pomiędzy przemyskim teatrem „Fredreum” - a polskim Teatrem Ludowym we Lwowie. To były rewizyty podczas „Wiosny Fredrowskiej”. I to było szalenie ważne. W 96-tym roku odbyła się cenna inicjatywa Mariusza Olbromskiego, czyli Festiwal Kultury Polskiej we Lwowie, który zresztą przyszło mi reżyserować. Organizowane co 2 lata festiwale kultury polskiej odbywały się już nie tylko we Lwowie, ale na Ukrainie. Te wieczory festiwalowe zatoczyły szersze koło, bo przecież odbywały się i w Chmielnickim, i w Winnicy, odbywały się nawet w Kijowie. Nie chciałbym tutaj umniejszać roli tych kontaktów bliskich, bardzo ważnych dla życia Polaków przede wszystkim tutaj przy granicy, we Lwowie. I te konkursy literackie, które Mariusz Olbromski wymyślił, próbując jakby troszeczkę ruszyć inicjatywę Polaków piszących po tamtej stronie granicy. To szalenie ważne. A już tak zupełnie prywatnie powiem, że właściwie to jego zasługa, że w czasie tych moich przystanków przemyskich, to właściwie on jakby przyciągnął mnie do Przemyśla. Zasugerował, żebym zaczął tutaj pracować. Skorzystałem z tej propozycji. Bacząc na moją ciągłą potrzebę podróżowania do Lwowa, stwarzało mi to wygodniejsze i krótsze podróże do tego miasta.

Moje przeniesienie się do Polski ułatwiło mi również trochę podróżowanie po świecie. Przede wszystkim do mojego ulubionego miasta jakim jest Paryż. Czasem moje wyjazdy są jakby dyktowane czysto artystyczną koniecznością. Dwukrotnie inicjowałem i organizowałem wyjazdy naszego teatru polskiego do krajów Europy Zachodniej. W 93 roku byliśmy w Anglii, i to dość długo, bo 2 tygodnie. Pięciokrotnie wystąpiliśmy w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie przy King Street, a później mieliśmy występy w Birmingham, Manchester, i Sheffield. Wszędzie spotykaliśmy się z tym środowiskiem właśnie polskich emigrantów i były to spotkania szalenie wzruszające. Poznaliśmy wiele ważnych osób. Później mieliśmy następny wyjazd do szwedzkich miast: Malmo, Goeteborg i Sztokholm.

Te wspomnienia dotyczące czasów już dość odległych, warto zakończyć refleksją oraz informacją aktualną. Otóż, obecny 2024 rok jest już sześćdziesiątym szóstym naszym sezonem teatralnym. W okresie tych 66 lat przygotowaliśmy ponad 80 premierowych spektakli i ponad 800 razy wystąpiliśmy na scenie. W tym sezonie pojawiły się nowe propozycje. Dbamy bowiem o to, aby zawsze jakiś nowy tytuł, czy nowa premiera mogła w kolejnym sezonie znaleźć swoje miejsce.

W czerwcu br. wróciłem do swojego starego programu poetyckiego, który zrobiłem jakby od nowa. To był zestaw pięknych wierszy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Dlaczego wróciłem do tego spektaklu jednego aktora sprzed lat?

Otóż jeszcze w okresie narzeczeństwa otrzymałem od mojej przyszłej żony taki piękny, kolorowy (z jakimiś ptaszkami, kwiatkami) tomik poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Byłem zachwycony tą poezją, a moi koledzy często zwracali się do mnie o czytanie im jej na głos. Wtedy nie było jeszcze tak popularnej telewizji, nie było różnych innych możliwości obcowania z polską kulturą, więc czasem takie nawet domowe wieczory poetyckie miały swój niepowtarzalny charakter.

Wracałem często do tych domowych wieczorków poezji wśród przyjaciół i postanowiłem stworzyć z tego program teatralny. Wystąpiłem z nim w sześćdziesiątym ósmym roku już na scenie naszego teatru przy ulicy Kopernika we Lwowie, no i przypadkowo na tym wieczorze pojawiła się dziennikarka z Wilna, Alvida Bajor, która oczywiście szukała jakiegoś materiału dla polskiej gazety w Wilnie, noszącej wtedy nazwę „Czerwony Sztandar”. Od razu po spektaklu pojawiła się za kulisami i powiedziała, że ten wieczór koniecznie trzeba zaprezentować w Wilnie. Nasze stosunki z Wilnem były już wówczas w jakimś stopniu nawiązane. Myśmy regularnie tam występowali przyjeżdżając w okresie letnim z naszymi nowymi premierami. Ówczesna polska gazeta wileńska urządziła wtedy coś w rodzaju klubu interesujących spotkań i zapraszała różne osoby: aktorów, plastyków, dziennikarzy. Ten klub był bardzo popularny w Wilnie. Tam się spotykało grono ludzi związanych z polską kulturą, z polską literaturą. No więc wówczas pojawiłem się tam z Ildefonsem Gałczyńskim, właśnie z tą „Zaczarowaną Dorożką”.

Algida Bajor stała się naszą wielką przyjaciółką. Była autorką wielu bardzo ważnych recenzji spektakli naszego teatru. Bardzo sobie ceniłem jej uwagi, bo to osoba bardzo doświadczona,

która również współpracowała z zespołami teatralnymi działającymi w Wilnie: pomagała im, była konsultantką repertuarową dla tych zespołów. Bardzo czytana i dobrze poruszająca się w świecie teatralnym Litwy i Polski.

No i gdy otwierając ten nasz tegoroczny sześćdziesiąty szósty sezon teatralny chciałem wrócić do Gałczyńskiego, to pojawiła się jeszcze jedna osoba w moim życiu – Helenka Jacyno. Bardzo ważna artystka-plastyczka, także i scenograf. Osoba związana ze środowiskiem polskim we Lwowie i zresztą absolwentka tej samej szkoły nr 24 im. Marii Konopnickiej, którą i ja kiedyś w Lwowie kończyłem. No i zwróciłem się do niej z prośbą o wykonanie scenografii do tego spektaklu poetyckiego. Otrzymałem bardzo piękną wizję takiej zaczarowanej dorożki na tle krakowskiego Zamku Wawel. Był to rzeczywiście bardzo poetycki, piękny obraz, który mi pomógł stworzyć jakiś niepowtarzalny wizualny klimat tej poezji Gałczyńskiego.

W tej chwili wracam do tego spektaklu, bo właśnie wybieram się z nim do Wilna na kolejne Teatralne Spotkania Wileńskie. One odbywają się tam tradycyjnie co roku, przy czym naprzemiennie. Otóż, jednego roku są to spektakle pełnowymiarowe, a w drugim roku spektakle jednego aktora. No więc w tym roku będę prezentować w Wilnie spektakl jednego aktora i właśnie tę „Zaczarowaną Dorożkę” wiozę do Wilna.

Natomiast drugą pozycją repertuarową tego nowego sezonu będzie aktualnie przygotowywany spektakl jubileuszowy. Teatr bez aktora właściwie jest nie do pomyślenia. Dlatego ja sobie bardzo cenię wszystkich moich aktorów, z którymi w przeciągu tych wielu lat pracowałem. Bardzo ich lubię i szanuję. W tym roku mamy szczególną sytuację, bo są dwie jubilatki występujące na scenie Polskiego Teatru we Lwowie już od 50-ciu lat. Są to Jadwiga Pechaty oraz Irena Słobodiana. Kilka lat wstecz taką samą jubilatką była Luba Lewak.

Długo się głowiłem jaki temat wybrać do tego jubileuszowego spektaklu? Jaki wybrać materiał dramaturgiczny, w którym obie te panie mogłyby wystąpić? Oczywiście, jest kilka różnych pozycji w literaturze teatralnej, w których występują dwie osoby, m.in. słynna Maria Stewart i królowa Elżbieta. No ale taki dramat nie wchodził w rachubę. Zaproponowałem więc moim aktorkom jedną z ostatnich komedii Sławomira Mrożka o nazwie „Wdowy”. Jest to prześmiewcza komedia, zresztą z takim zagadkowym dla widza tytułem. Uważam, że zadaniem naszego teatru jest, oprócz klasyki, również przybliżanie tych współczesnych autorów polskich, którzy dla teatru mają ogromne znaczenie. Takimi są właśnie np. Różewicz, Witkacy, no i oczywiście Mrozek, który zresztą w repertuarze naszego teatru pojawiał się dość często.

Tak więc znalazłem chyba dobry materiał, aby moje aktorki, bardzo zresztą doświadczone, mogły zaprezentować wszystkie swoje możliwości aktorskie i w ten sposób zabłysnąć przed widzami. W tej chwili jesteśmy w trakcie prób i powiem szczerze, że jestem zadowolony z tego jak te próby przebiegają. Premiera jest przewidywana na połowę grudnia. Mam nadzieję, że będzie to i dla nich i dla widza ciekawe spotkanie.

Dodam tu jeszcze, że w tym sezonie teatralnym obchodziliśmy stulecie urodzin wybitnego pol-

skiego poety, lwowianina Zbigniewa Herberta. No i Konsulat Polski we Lwowie zaproponował i spytał nas, czy nie moglibyśmy wziąć udział w tym przedstawieniu, które zresztą kiedyś pojawiło się już w naszym repertuarze. Zrobiliśmy więc to przedstawienie, dla którego kiedyś opracował tekst i które wyreżyserował - wybitny polski aktor, reżyser i poeta również, Bogusław Kierc. Jest to spektakl autorstwa Zbigniewa Herberta, poświęcony Homerowi: „Rekonstrukcja Poety”.

Jeśli chodzi natomiast o aktualną sytuację naszego teatru, to przeżywamy dość trudny okres. Wszystko to, co się wydarzyło na Ukrainie w ostatnich latach, ma swój wpływ także i na teatr, na życie moich aktorów, na różne komplikacje w ich życiu. Niestety, część kolegów musiała opuścić nasz teatr ze względów rodzinnych, a część niestety pożegnała się już na zawsze z tym światem. To oczywiście zrobiło ogromny wyłom w repertuarze. Jednakże, gdy jestem na próbach i widzę, jak koleżanki i koledzy pracują, to zapominam o tych kłopotach i staram się być optymistą. Aczkolwiek, nie jest to takie łatwe.

(Opracował - Jacek Borzęcki)





JADWIGA PECHATY



Wywiad z Jadwigą Pechaty, aktorką Teatru Polskiego we Lwowie

“Kariere ą aktorsk ą rozpoc ęłam ju ą w pierwszej klasie”

- Gratuluje ę Pani tego wspania ęego jubileuszu, ale zanim porozmawiamy o teatrze i o Lwowie z Pani lat m ędzieńc ych, prosil ębym o wspomnienie rodziny, z jakiej si ę Pani wywodzi.

- Urodzi ęłam si ę w 58 roku i mieszk ęłam z rodzicami i babci ą Michalin ą przy ulicy Szpitalnej we Lwowie, a p ęóźniej zamieszk ęliśmy w rodzinnym domu przy ulicy Łazarza. W ęówczas by ęło du ęo wi ęcej Polak ęw we Lwowie, ani ęzeli dzisiaj. Ogromna wi ększość wyjecha ęła jednak w ramach ekspatriacji do powojennej Polski. Moi rodzice te ę si ę zastanawiali nad tym, czy wyjechać. Kiedyś nawet przyjecha ęł pewien pan z Polski, a dok ęładnie z K ęłodzka i bardzo chci ęł zamieszkać we Lwowie. Przyszed ęł do naszego domu, a ęe bardzo mu si ę spodoba ęł, to chci ęł si ę wymienić z nami na jego dom w K ęłodzku. Moi rodzice b ęd ęc w Polsce pojechali do K ęłodzka i wiedzieli ten dom, taki z pruskim murem. I oni si ę nawet na t ę wymian ę zgadzali. Jednak moje dwie babcie, Michalina ze strony mamy i Helena ze strony ojca, by ęły temu przeciwn ę. Powiedzia ęły, ęe starych drzew si ę nie przesadza i one nigdzie nie pojad ę. Babcia Michalina dodatkowo argumentowa ęła, ęe mamy tu groby. To prawda, groby mia ęła, ale nie wszystkie, bo babci m ę ą, czyli m ęj dziadek ze strony

mamy, Mikołaj Jakimowicz został po wojnie wywieziony przez Sowietów na "białe niedźwiedzie". On rozmawiał zawsze po polsku, ale nawet nie był Polakiem. Był - jak mawiała moja mama - "białym Ukraińcem". Miał nazwisko Jakimowicz i pochodził z rodziny ukraińskiej, ale od dawna spolszczonej.

Babcia Michalina nie miała żadnej emerytury, bo nie pracowała. W swoim życiu zajmowała się ciągle dziećmi. Urodziła się w rodzinie polskiej w Beremowcach koło Olejowa, pod Zborowem, w województwie tarnopolskim. W Olejowie poznała mojego dziadka Jakimowicza i tam się po-brali. Jej rodzice mieli trzy córki, ona była najstarszą z sióstr.

Babcia raczej niechętnie dzieliła się swoimi wspomnieniami z młodości. Pamiętam jednak, że opowiadała o dramacie swojej najmłodszej siostry Kasi, która mieszkała z mężem i trzema synami w Beremowcach. Otóż ta siostra i jej mąż gdzieś tam mocno się przeziębili i oboje szybko zmarli na tzw. "galopujące suchoty". Osierocili trzech synów, których dalszy los okazał się tyle samo dramatyczny, co i niezwykle.

Babcia, która miała dwoje własnych dzieci i jeszcze była w ciąży, wzięła siostrzeńców pod opiekę. Jednak po pewnym czasie, będąc w ciężkiej sytuacji, zgodziła się, żeby bogaci, ale bezdzietni sąsiedzi, ukraińskie małżeństwo Iżewscy, zaadoptowali najmłodszego synka zmarłej siostry. Tak więc 6-letni wówczas Kazio Józwin został Mykołą Iżewskim i w swojej nowej rodzinie zajmował się wypasaniem bydła. Gdy przyszli Sowieci, to tych przybranych rodziców razem z chłopcem wywieźli na Sybir jako tzw. "kułaków". To była komunistyczna kara za dobre gospodarzenie na własnej ziemi. No i ten chłopiec wychowywany w rodzinie ukraińskiej i z czasem ożeniony na Syberii z Ukrainką, został już Ukraińcem.

Jeszcze przed wojną cała rodzina babci przeniosła się do Lwowa, razem z dwoma pozostałymi siostrzeńcami. Podczas niemieckiej okupacji Lwowa najstarszego schwyłali Niemcy w ulicznej łapance i wywieźli na roboty do Niemiec. On po wojnie już tam został, ożenił się z Niemką, no i stał się Niemcem. Natomiast ten trzeci siostrzeniec mojej babci gdzieś z jakąś grupą ekspatriantów wyjechał do Opola, tam się ożenił z Polką i pozostał Polakiem. Tak więc te dramatyczne losy sprawiły, że każdy z trzech rodzonych braci zyskał inną narodowość.

Ci trzej bracia utrzymywali zresztą ze sobą kontakt i nawet parę razy spotykali się w Polsce. Ja do tej pory mam kontakt z córką tego mojego wujka, Mykoły Iżewskiego, zresztą moją rówieśniczką. On w czasach po-stalinowskiej odwilży, gdzieś chyba w 59-tym roku, powrócił z rodziną do Beremowic. Dawny dom rodziny zabrał miejscowy kołchoz i oddać go już nie chciał. Odzyskał jednak stodołę z dawnego gospodarstwa, tam sprowadził przybranych rodziców oraz żonę i córkę, a potem zbudował dom. Ten powrót stał się możliwy prawdopodobnie dzięki mojej babci. Bo to ona pisała listy do Stalina prosząc o uwolnienie siostrzeńca z zesłania. Argumentowała, że on był w istocie synem jej zmarłej siostry, a nie tych przybranych rodziców Iżewskich uznanych za "kułaków".

Jak już wspomniałam, babcia z mężem i dziećmi jeszcze przed wojną zamieszkali we Lwowie.

Gdy wybuchła wojna to zdecydowali się uciekać przed Sowietami za San, do okupowanej przez Niemców Polski. A że jego najstarsza siostra mieszkała w Tarnobrzegu, więc z całą rodziną pojechali do niej. Siostra dość chłodno ich przyjęła mówiąc, że niepotrzebnie wyjeżdżali ze Lwowa, bo trudno będzie w jej domu pomieścić dwie rodziny. Dziadek był człowiekiem honorowym, więc po takich słowach nie chciał prosić siostrę o przygarnięcie. Do Lwowa bał się wracać, bo słyszał o sowieckim terrorze. Zdecydował, że zamieszkają gdzieś w południowo-wschodniej części niemieckiej strefy okupacyjnej i tam zaczekają na koniec wojny.

Długo podróżowali pociągami w kierunku Sanoka i zatrzymali się na dłużej w Prusieku. W tych niezwykle ciężkich warunkach podróży babcia straciła ciążę w ósmym miesiącu i dwoje bliźniaków-wcześnieaków nie przeżyło. W Prusieku Niemcy zatrudnili dziadka na kolei, bo z zawodu był kolejjarzem-maszynistą. Gdy Niemcy napadli na Sowietów, to kiedyś dziadek wiół niemieckie wojsko i na pociąg napadli Rosjanie strzelając po wagonach i lokomotywie. Niemcy odpowiadali kanonadą strzałów karabinowych. Kule z przeraźliwym świstem leciały z obu stron. W trakcie tej strzelaniny dziadek wyskoczył z lokomotywy i udało mu się uciec. Wówczas zabrał rodzinę z Prusieka i wrócili do Lwowa. Tam przetrwali okupację niemiecką, a potem nadeszła druga okupacja sowiecka, już niestety na stałe.

Dziadek był kolejjarzem, ale potrafił wszystko robić. W opanowanym przez Sowietów Lwowie znalazł więc pracę w gazowni miejskiej. Było to chyba w roku 46-ym, gdy akurat pracował w jednym z kanałów, gdzie z rury ulatniał się gaz. Tymczasem drogą nad kanałem jechał sobie rosyjski żołnierz bez nóg na takiej desce z kółkami, popychając się dwoma klockami obitymi od dołu blachą. No i zatrzymał się przy otwartym włazie zapalając papierosa. Przerazony dziadek wy dostał się z kanału i odezwał się do niego po ukraińsku: -Słuchaj, jeśli twój papieros wpadnie do kanału to gaz wybuchnie i obaj stracimy życie. Obwieszony medalami żołnierz-inwalida, najwyraźniej obrażony tym ostrzeżeniem wypowiedzianym w języku ukraińskim, zamachnął się na dziadka klockiem. Dziadek schwytał go za rękę i krzyknął: -Co ty możesz mi zrobić wymachując na mnie tym klockiem?

Po paru dniach do mieszkania dziadka przy ulicy Szpitalnej wpadli enkawudziści i zrobili rewizję. Niczego podejrzanego nie mogli znaleźć. Podłożyli więc do szafy przyniesionego ze sobą tryzub, oskarżyli dziadka o ukraiński nacjonalizm i zesłali go na Sybir. Oczywiście, dziadek żadnym nacjonalistą nie był, a odezwał się do rosyjskiego żołnierza-inwalidy po ukraińsku, bo po prostu nie umiał mówić po rosyjsku. Dobrze znał tylko język polski i ukraiński.

Dziadka zesłali do Irkucka i tam on zmarł. Prawdopodobnie było to w roku 53-im, bo jakoś w tym czasie listy od niego przestały przychodzić. Gdy przyszła "odwilż" po śmierci Stalina, to ze Wschodu przyjechał do Lwowa pewien ksiądz. No i on powiedział babci, że dziadek w Irkucku nosił worki z solą przez taką kładkę. Kiedyś się pośliznął, spadł, odbił sobie płuca i wkrótce zmarł na zapalenie płuc.

Babcia starała się o kartę zgonu swego męża, no i władze sowieckie wydały taki dokument, w którym kłamliwie napisano, że dziadek zmarł na raka żołądka we Lwowie. Gdy w latach 90-tych zaczęło działać we Lwowie stowarzyszenie "Memoriał" poświęcone poszukiwaniom oraz

identyfikacji ofiar represji sowieckich w okresie stalinowskim, to przysłano nam rehabilitację dziadka Mikołaja Jakimowicza.

- Rzeczywiście, niezwykle dramatyczne były te losy Pani krewnych. A proszę powiedzieć, jak dużo było Polaków we Lwowie w Pani młodzieńczych latach?

-Pamiętam, że wówczas były otwarte tylko dwa polskie kościoły, katedra i kościół św. Antoniego na Łyczakowie. Były one pełne Polaków, bo kościoły w okolicznych wioskach nie funkcjonowały, a więc szczególnie podczas świąt bardzo dużo mieszkańców z okolic Lwowa przyjeżdżało do katedry aby wyspowiadać się, być na mszy i przystąpić do komunii.

Myśmy wtedy mieszkali przy ulicy Szpitalnej i chodziliśmy do katedry, gdzie był wtedy taki starszy ksiądz Hałaniewicz i ksiądz Rafał Kiernicki, późniejszy biskup. Ksiądz Kiernicki był wówczas przez władze sowieckie - jak myśmy mówili - "internowany". To znaczy miał zakaz odprawiania mszy w katedrze i w ogóle funkcjonowania jako ksiądz. Został w ten sposób ukarany za to, że pożyczyl ornat mszalny pewnemu księdzu, który przyjechał z Polski jako osoba prywatna do wioski, z której pochodził, i chciał tam odprawić mszę. Tamtejsi mieszkańcy bardzo go o to prosili, więc udał się do księdza Kiernickiego i otrzymał od niego szaty mszalne. No i w efekcie w katedrze pozostał tylko ten staruszek ks. Chałaniewicz, natomiast ks. Kiernicki w cywilnym ubraniu chodził po domach. On nas przygotowywał do pierwszej komunii w domu rodziny siostry zakonnej. Tam wchodziło się przez szafę do ukrytego pokoju i on spowiadał nas. A do pierwszej komunii przystąpiłam w katedrze w 66-tym roku. Chodziłam wtedy do drugiej klasy w polskiej szkole nr 24.

- A więc lwowscy Polacy, mimo totalnej komunistycznej propagandy, pozostali wierni polskiemu Kościołowi rzymsko-katolickiemu?

-Tak, na pewno znakomita większość z nas jakoś trzymała się przy tych naszych świątyniach. W katedrze mogłam spotkać wiele szkolnych koleżanek i kolegów, choć nie wszystkie dzieci ze szkoły uczestniczyły we mszach. Takie chodzenie do kościoła nie było bowiem wówczas czymś całkowicie bezpiecznym. Funkcjonowały takie lotne patrole komunistów, którzy w niektóre niedzielne czy świąteczne dni kręcili się wokół katedry i kościoła św. Antoniego, usiłując zidentyfikować dzieci wchodzące do kościoła. Oczywiście, mogli potem robić ich rodzicom różne przykrości. Nasi nauczyciele solidaryzowali się jednak z nami i starali się nas ostrzec. Po prostu wychowawczynie klasy mówiła jakiemuś zaufanemu dziecku na ucho: -Słuchaj, powiedz swoim zaufanym koleżankom i kolegom, że w tę niedzielę przed katedrą będzie kontrola, a więc zachowajcie ostrożność. No i wtedy staraliśmy się wejść do katedry od strony zakrystii lub takim bocznym wejściem.

Ogólnie mówiąc, Polaków w samym Lwowie było stosunkowo niewiele, bo w latach 40-tych i potem w latach 56-58 większość ich wyjechała do powojennej Polski. Oczywiście, było wiele rodzin mieszanych, ale jeśli matka była Polką, to dziecko od małego mówiło po polsku i czuło się Polakiem. No i tak jest do dzisiaj.

- A proszę trochę powspominać Pani dziecięce i młodzięcze lata szkolne.

- Zacznę może od tego, że Polacy, którzy pozostali w mieście, dzielili się na wykształconych, pochodzących z inteligencji, oraz na warstwę robotniczą bez wykształcenia średniego lub wyższego. No i w większości dzieci z warstwy robotniczej chodziły do otwartej przez Sowieców po 44-tym roku szkoły nr 24 imienia komunistki Wandy Wasilewskiej (obecnie im. Marii Konopnickiej), natomiast dzieci z inteligencji wybierały zwykle szkołę nr 10. Ta ostatnia formalnie nie miała imienia, ale wszyscy używali przedwojennej nazwy "Marii Magdaleny". Trzeba tu dodać, że 24-ta była szkołą 10-klasową, a 10-ta tylko 8-klasową. Tak więc dzieci ze szkoły Marii Magdaleny, jeśli chciały uzyskać maturę, to na te dwa brakujące lata musiały przechodzić do szkoły nr 24.

Za moich lat szkolnych nasza "dwudziestka czwórka" mieściła się w dużym budynku byłej szkoły ewangelickiej przy obecnej ulicy Lewickiego, a przedwojennej Kochanowskiego. Siostra dziadka ze strony mego ojca chodziła przed wojną właśnie do tejże szkoły ewangelickiej, bo ona i mój dziadek urodzili się we Wiedniu i mieli pochodzenie czeskie. Taty babka była Czeszką z Ołomuńca.

Gdzieś po roku od zdania przeze mnie matury, czyli w 75-tym roku, ten nasz okazały szkolny budynek został jednak Polakom zabrany. Formalnym powodem takiej decyzji miejscowych władz był jakoby "stan awaryjny" budowli. Był to oczywisty pretekst, bo w tym niby stanie awaryjnym budynek służył naszej szkole przez 30 lat i nic się nie działo.

Ponadto, gdy już szkołę nr 24 przeniesiono do innego, dużo mniejszego i gorszego pomieszczenia, to nie zrobiono generalnego remontu w tej dawnej szkole ewangelickiej, tylko przekazano budynek jakiejś instytucji kształcącej nauczycieli.

- Proszę powiedzieć, jak wielu było uczniów w polskiej szkole nr 24?

- Liczba uczniów w naszej szkole wahała się w różnych okresach. Za moich szkolnych lat nasza klasa liczyła 24 osoby. Natomiast do 9-tej i 10-tej klasy przychodziło drugie tyle uczniów z 8-mio klasowej szkoły nr 10. Tworzono dla nich równoległe klasy. Były jednak lata, że ilość uczniów malała i nawet w jakimś momencie władze próbowały szkołę zamknąć.

Trzeba tu powiedzieć, że nie wszystkie polskie rodziny wysyłały swoje dzieci do polskich szkół. Być może ci rodzice obawiali się jakichś represji ze strony władz, może mieli dużo bliżej do szkoły ukraińskiej lub rosyjskiej albo po prostu chcieli swoim dzieciom ułatwić robienie przyszłej kariery w tym sowieckim państwie. Z kolei obecnie jest odwrotnie: do obu polskich szkół chodzi dużo dzieci, które wcale nie mają polskiego pochodzenia. Ich rodzice zapewne liczą na ułatwienie swoim dzieciom po prostu przyszłej emigracji do Polski.

- Pamięta Pani swoich nauczycieli?

- O tak! Nie mogłabym o nich zapomnieć. Muszę przyznać, że w 24-ce mieliśmy dużo nauczycieli bardzo dobrych, jak to się mówi "z powołania". Przy tym nie wszyscy byli Polakami.

Miałam na przykład znakomitą nauczycielkę języka angielskiego, Helenę Hnatyszak. Ona pochodziła ze znanej inteligentckiej rodziny ukraińskiej, jednakże władała świetną polszczyzną i była przyjaźnie nastawiona do Polaków i kultury polskiej. W czasie wojny pracowała jako tłumaczka w niemieckich obozach dla jeńców, więc również ten język знаła bardzo dobrze. To była wspa- niała kobieta. Ona nas uczyła nie tylko języka angielskiego, ale również historii, i to starożytnej. Swoimi wykładami potrafiła zainteresować uczniów.

Wychowawczynią naszej klasy była Bogumiła Kunica, która przez dłuższy czas była zarazem dy- rektorką tej szkoły. Ona uczyła nas matematyki, fizyki i astronomii. Też była Ukrainką, i też pięk- nie mówiła po polsku. A Iwan Jacyszyn, też oczywiście Ukrainiec, uczył mnie języka polskiego i jednocześnie był nauczycielem rysunku w naszej szkole.

Znakomitym polonistą był Władysław Łokietko. On prowadził w naszej szkole teatr szkolny "A5" (skrót od "Amator Sceny"), w którym zresztą występowałam. Wystawialiśmy sztuki, na które przychodziła publiczność polska z całego Lwowa. Nawiasem mówiąc, szkoła nr 10 też miała swój teatrzyk szkolny, który nazywał się "Baj" i był prowadzony przez polonistkę Marię Iwanową.

Muszę tu dopowiedzieć, że po wojnie funkcjonowała jeszcze przez kilkanaście lat trzecia polska szkoła z numerem 30. Ona mieściła się w budynku przy ówczesnej ulicy Kujbyszewa. Ukończyła ją m.in. moja mama, a mój brat zaczynał do niej chodzić w roku 59-ym.

Nauczycielem języka polskiego w tej trzeciej polskiej szkole był profesor Piotr Hauswater. On wcześniej był polonistą w szkole nr 24 i prowadził tam teatr szkolny, w którym występował m.in. Zbigniew Chrzanowski. Profesor Hauswater, po przeniesieniu do szkoły nr 30, też oczywiście prowadził tam teatr szkolny, w którym z kolei występowała m.in. moja mama. Jak wiadomo, Piotr Hauswater był inicjatorem powstania polskiej grupy teatralnej będącej fundamentem póź- niejszego Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Tak więc można powiedzieć, że ten późniejszy polski teatr narodził się właśnie w obu tych szkołach - nr 24 i nr 30. W roku 62-im władze uznały, że trzy polskie szkoły we Lwowie to zbyt dużo, i zamknęły 30-kę. Paradoksalnie, to zamknięcie zasililo dwie pozostałe polskie szkoły.

- Proszę powiedzieć, jak doszło do tego, że została pani aktorką Polskiego Teatru Ludowe- go we Lwowie?

- Mogłabym tu humorystycznie powiedzieć, że moja kariera aktorska rozpoczęła się jeszcze w pierwszej klasie, kiedy to naszą wychowawczynią była Ukrainka ze znanej we Lwowie rodzi- ny Łukianowiczów, wnuczka pisarza Demiana Łukianowicza. Ona była nauczycielką muzyki po ukończonym konserwatorium, ale bardzo interesowała się teatrem i miała wielu znajomych w obrębie lwowskiego środowiska teatralnego. No i już w pierwszej klasie stworzyła teatrzyk i myśmy grywali różne bajki. Byłam dosyć dużą dziewczynką, więc w pierwszej naszej bajce, w "Kopciuszku", grałam rolę macochy. W okresie pierwszych czterech klas zagraliśmy wiele ba- jek, głównie Andersena i braci Grimm. Dekoracje na scenie i nasze stroje przygotowywali sami rodzice. No i na te nasze dziecięce spektakle przychodziły nie tylko nasze rodziny, ale i ludzie z miasta.

Teatr w starszych klasach naszej szkoły prowadził Władysław Łokietko, no i ja tam też grałam. On był kolegą dyrektora Polskiego Teatru Ludowego, Zbigniewa Chrzanowskiego, z którym razem studiowali polonistykę na Uniwersytecie Lwowskim. Był też jednym z aktorów tego teatru. No i gdy w 74-ym roku zdałam maturę i żegnałam się ze szkołą, to pan Łokietko powiedział mi: -Jadziu, teraz twoja droga prowadzi prosto do Teatru Polskiego.

Tak naprawdę, to pan Łokietko nie musiał mnie zachęcać, bo ja i tak bardzo chciałam wejść do tego teatru. Jednak mama powiedziała mi tak: -Jeśli zdasz na studia, to pójdziesz do teatru. A jak nie zdasz, to nie ma o tym mowy. Na szczęście zdałam i już od października weszłam do zespołu Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie.

Teatr ten funkcjonował od 58-go roku i prowadził go najpierw Piotr Hauswater, a po jego śmierci, czyli od roku 66-go, Zbigniew Chrzanowski. I ja już od dziecka przychodziłam razem z rodzicami na spektakle tego teatru. Odbywały się one najpierw w szkole nr 10 i w różnych teatrach, a później już w pozyskanej na stałe sali teatralnej w Domu Nauczyciela przy ulicy Kopernika.

- A więc w obecnym 2024-tym roku, a właściwie w dopiero co rozpoczętym kolejnym sezonie teatralnym, świętuje Pani swój jubileusz 50-lecia występowania na scenie. Jak teatr zamierza to uczcić?

- Przygotowujemy spektakl. Zobaczymy, jak to pójdzie. Zresztą jest to wspólny jubileusz - mój i koleżanki z zespołu, Ireny Słobodiany. Przed paroma laty świętowaliśmy taki sam jubileusz Luby Lewak.

- Pewnie pamięta Pani swoją pierwszą rolę w tym teatrze?

- Śmiesznie to było, bo musiano mi zrobić siwe włosy do roli piastunki w Antygonie. Grałam wówczas z Jołą Martynowicz i Lidią Chrzanowską. U nich byłam tą piastunką.

Drugą z kolei była rola Kaśki w "Weselu" Wyspiańskiego. Potem były "Pocieszne Wykwintnisie" Moliera, "Śluby Panieńskie" Fredry oraz "Mąż i Żona" tego samego autora. To były moje pierwsze role. Oczywiście, w ciągu tych 50-ciu lat uzbierało się tych ról dużo, bo grałam w bardzo wielu spektaklach tego teatru, właściwie prawie w każdym.

- Jak mogłaby Pani porównać życie kulturalne Lwowa tamtych i dzisiejszych lat?

- Wtedy, gdy zaczynałam grać w teatrze, to życie kulturalne Lwowa było chyba bogatsze. Ludzie bardziej tym się interesowali, jakby bardziej tym żyli. No cóż, wtedy nie było jeszcze Internetu, nie było możliwości wyjazdu z kraju, już nie mówię w szeroki świat, ale nawet do Polski. Wprawdzie mając 6 lat wyjechałam z mamą do krewnych w Polsce, ale później już władze mnie nie puszczaly. Na pewno bały się, że już nie wrócę.

W Związku Sowieckim trzeba było wówczas pozostawić kogoś jako zakładnika, najlepiej dziec-

ko, żeby dali pozwolenie na wyjazd do Polski. To były takie czasy. Pamiętam, że w 75-ym roku zmarła w Polsce siostra mego taty, która mieszkała w Katowicach. No i na jej pogrzeb tylko ojca wypuścili, a staraliśmy się o to również ja i moja mama.

A w ogóle, to mama chciała, żebym zdawała na studia w Polsce. Mój wujek pracował w prokuraturze w Katowicach i dowiadywał się o możliwość mego studiowania na tamtejszej uczelni artystycznej. Powiedzieli mu: -Proszę bardzo, niech przyjeżdża i studiuje. Chętnie ją weźmiemy. Niestety, władze sowieckie nie chciały mnie wypuścić. Pozostawało więc, nie tylko zresztą mnie, uczestniczenie w miejscowym życiu kulturalnym. Lwowscy Polacy tłumnie wówczas przychodzili na spektakle Polskiego Teatru Ludowego. Pod koniec lat 80-tych zaczął też występować polski Chór "Echo", a także kabaret "Wesoły Lwów".

Na szczęście była wówczas dostępna u nas w każdym kiosku, i zresztą tanio sprzedawana, polska prasa - "Panorama", "Przekrój", "Szpilki", "Motor", czy "Życie Warszawy". Dobrze słyszalny był we Lwowie pierwszy program "Polskiego Radia". "Lato z Radiem" było słycać nie tylko w prywatnych mieszkaniach, ale i prawie w każdym ukraińskim sklepie. To była po prostu bardzo dobra muzyka rozrywkowa, wspaniałe piosenki.

Polską telewizję też udawało nam się ściągać z pomocą takich dużych anten na dachach. Kto nie miał dobrego telewizora i dużej anteny, to wpraszał się do znajomych, którzy to mieli. No i prawie wszyscy we Lwowie oglądali np. Festiwale w Sopocie i w Opolu, rowerowy "Wyścig Pokoju", czy też zachodnie filmy. Czasem w telewizorze śnieżyło, obraz był nie najlepszy, ale człowiek mimo to siedział i oglądał.

- A więc Polska była wtedy dla Was jakby namiastką Zachodu?

- Tak, i choć swój urlop mogliśmy spędzać np. na ciepłych plażach uroczego i zresztą taniego wówczas Krymu, to każdy z nas marzył o odwiedzeniu Polski.

Nasz teatr mógł po raz pierwszy wyjechać do Polski, a konkretnie do Rzeszowa i Łańcuta, na nasze 30-lecie w 88-ym roku. Stało się to możliwe tylko dzięki zabiegom pierwszego konsula Polski we Lwowie, Włodzimierza Woskowskiego. On nas bardzo szanował i miał dobre układy z miejscową władzą komunistyczną.

- A czy legalna działalność w Polsce niezależnego od komunistycznej władzy związku zawodowego "Solidarność" dawała Wam we Lwowie jakąś nadzieję na podobną "odwilż"?

- Wprost przeciwnie. Wtedy już całkowicie zamknęli granicę z Polską, bo Sowieci bali się przywiezienia tych idei solidarnościowych.

Co więcej, w 81-ym roku zamknęli nam Polski Teatr we Lwowie. Posądzili nas wówczas o działalność wywrotową. I tu nie chodziło tylko o ten incydent po spektaklu "Wesele", otwierającym w październiku kolejny nasz sezon teatralny. Wówczas część naszego zespołu poszła złożyć

pod pomnikiem Adama Mickiewicza otrzymane od widzów naręcza kwiatów. No i wtedy milicja aresztowała tę grupę. A że było w niej również kilkoro studentów z Polski, którzy studiowali na Lwowskiej Politechnice, to ich natychmiast deportowano do Polski. Nawet nie dano im się dobrze spakować. W konsekwencji też zwolniono, zarówno z prowadzenia teatru jak i z pracy w Telewizji Lwowskiej, dyrektora Zbigniewa Chrzanowskiego. Nas wzywano na przesłuchania, a teatr zamknięto i oplombowano.

Jak się później okazało, funkcjonariusze sowieckiej bezpieki śledzili nas już dużo wcześniej. Mówiono we Lwowie, że jakoby mieli donosy niby od jakiejś mieszkanki Lwowa, że gdy przejeżdżała tramwajem obok Domu Nauczyciela przy ulicy Kopernika, to słyszała jak aktorzy Polskiego Teatru Ludowego śpiewali polskie pieśni narodowe przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Oczywiście, totalna bzdura. Chyba oni sami pisali te donosy. Potem w lwowskiej prasie pisali różne zmyślane historie, że jakoby grupa Polaków niemal na "białym koniu" i z szablami demonstrowała przeciwko państwu sowieckiemu pod Pomnikiem Mickiewicza. Żeby było śmieszniej, to wprawdzie "białego konia" tam nie było, ale szabla, owszem, była. To była szabla przodków węgierskiego męża Lidii Chrzanowskiej, służąca nam jako rekwizyt w spektaklu. No i właśnie Lidia akurat odnosiła ją do domu. Po prostu władza sowiecka panicznie bała się przeszczepienia idei "Solidarności" z Polski na terytorium Związku Sowieckiego.

Ostatecznie dyrektor teatru, Zbigniew Chrzanowski, musiał wyemigrować do Polski. Władze chciały zamknąć teatr polski na dobre, ale nasz zespół starał się o wyznaczenie ukraińskich reżyserów, którzy mogliby dalej poprowadzić nasz teatr. W ciągu chyba trzech lat przewinęło się parę takich reżyserów, ale nikt z nich nie był na dłużej zainteresowany tą funkcją. Ostatecznie prowadzeniem teatru zajął się jeden z członków naszego zespołu, artysta malarz, scenograf i aktor jednocześnie - Walery Bortiakow. Był on Rosjaninem z pochodzenia, ale autentycznie zakochał się w kulturze polskiej. Można powiedzieć, że on uratował nasz teatr.

Jednak zdjęto nam z szyldu nazwę "Polski" i przez jakiś czas nazywaliśmy się - Teatr "Drużba-Przyjaźń". No i musieliśmy mieć w repertuarze sztuki grane nie tylko po polsku, ale również po rosyjsku i ukraińsku. To trwało kilka lat.

- Jak Walery Bortiakow, ówczesny formalny dyrektor i reżyser Waszego teatru, radził sobie z jego prowadzeniem?

- Jako pierwszą sztukę po tej przerwie w działalności teatru zagraliśmy "Zemstę" Aleksandra Fredry. Był to niewątpliwy sukces Walerego Bortiakowa, bo on ją wyreżyserował i jednocześnie stworzył scenografię. W okresie do 91-go roku mieliśmy jeszcze parę kolejnych premier. Na szczęście Związek Sowiecki rozpadł się, powstała niepodległa Ukraina i zaczęliśmy powoli wracać do naszej starej nazwy - "Polski Teatr Ludowy". A pod koniec lat osiemdziesiątych zaczął już do nas przyjeżdżać z Przemyśla Zbigniew Chrzanowski. Oficjalnie dyrektorem i reżyserem teatru był wciąż Bortiakow, a pan Chrzanowski był reżyserem "zaproszonym". On za każdym razem dojeżdżał do nas z Przemyśla, a po tragicznej śmierci ś.p. Walerego Bortiakowa, został ponownie dyrektorem artystycznym naszego teatru. Pod jego kierownictwem mieliśmy kolejne premiery

i kolejne sukcesy. Oprócz Lwowa i innych miast ukraińskich, mieliśmy występy w wielu miastach Polski, a także na Węgrzech, w Białorusi oraz na Litwie i Łotwie. W latach 90-tych wyjechaliśmy z naszymi spektaklami do Anglii i Szwecji.

- Jaką z zagranych na scenie postaci wspomina Pani najlepiej?

-Trudny to wybór, bo wiele z tych ról wspominam bardzo dobrze. Jedne z najbardziej przeze mnie ulubionych to Barbara z komedii "Czarujący Łajdak" Pierre'a Hesnota, a także Laura ze sztuki "Dwóch Panów B" Mariana Hemara.

- Proszę na koniec przybliżyć nam postać swojej mamy, ś.p. Heleny Pechaty, która była znana wśród społeczności polskiej Lwowa jako wybitna śpiewaczka.

-Moja mama rzeczywiście miała piękny głos i bardzo lubiła śpiewać. Przy fabryce dziewiarskiej, gdzie pracowała, działał amatorski zespół wokalny i na początku tam ona śpiewała. Jej głos to był mezzosopran, rzadki nawet wśród operowych śpiewaków. Bywało, że zaśpiewała i w katedrze. Kiedyś usłyszała ją tam jakaś pani, która przyjechała z Bułgarii, z Sofii. Po występie mamy powiedziała jej: -Z takim głosem to u nas byłaby pani solistką w Operze.

Mama jednak nie miała możliwości kształcenia swego głosu. Aby pójść do jakiejś takiej szkoły, to w okresie jej młodych lat trzeba było mieć jakieś kontakty, jakieś "popychadło". Babcia się tym nie zajmowała, nie miała do tego ani głowy, ani serca. Zresztą uważała, że ze śpiewu człowiek nie wyżyje i nie utrzyma rodziny.

Śpiewała więc mama tylko w amatorskich zespołach. Między innymi w takim zespole założonym wspólnie przez mamę, jej koleżankę Marysię Bil oraz przez ich mężów - Bogusia i Zbyszka. Ich zespół nazywał się: "Pechatowie i Bilowie zespół znany - trąbka, pompka i organy". No i w szkole nr 10, na scenie w sali sportowo-widowiskowej, organizowali "podwieczorki przy mikrofonie". To były takie spontaniczne wieczorki kabaretowe. Mój tato też tam występował, bo umiał grać na gitarze, na mandolinie i na "banjo", które zresztą sam sobie zrobił.

Pewien przełom nastąpił, gdy pod koniec 88-go roku powstało Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Przy tej organizacji Władysław Łokietko, przyjaciel mamy jeszcze z czasów szkolnych, założył w kwietniu 1989 roku Chór „Echo”. Oczywiście, zaprosił mamę i ona od początku śpiewała w tym chórze. Tato zresztą też. Pierwszy występ chóru pt. „Pieśni polskie” odbył się w czerwcu 89-go roku. Przy akompaniamencie fortepianowym Adeli Jacyno śpiewano w pierwszej części piosenki ludowe i patriotyczne, przeplatane fragmentami wierszy polskich poetów, a potem tradycyjne piosenki lwowskie. Wtedy chór "Echo" liczył 104 osoby.

Potem Zbigniew Jarmińko założył przy TKPZL kapelę "Wesoły Lwów" i zaprosił mamę do tego zespołu, a tato pozostał w Chórze "Echo". Niezależnie od występów w tej kapeli, mama już w latach 90-tych została niejako "wciągnięta" do naszego teatru, zresztą razem ze Zbigniewem Jarmińko. Była to specjalna okazja, bo Zbigniew Chrzanowski stworzył spektakl poetycki przedwojennych

autorów lwowskich i w nim pojawiły się owe słynne lwowskie piosenki Mariana Hemara. My wprawdzie też potrafiliśmy śpiewać, ale znacznie lepsze predyspozycje do śpiewu miała moja mama mezzosopran, no i tenor Jarmińko. Ich więc zaangażował dyrektor Chrzanowski do śpiewania i z tym spektaklem nasz teatr wyjechał na zaproszenie Polonii do Anglii, a potem do Szwecji.

(Opracował - K. Jacek Borzęcki)

TADEJ EDER



fot. Facebook, Opera Lwowska

Wywiad z Tadejem Ederem, wieloletnim dyrektorem Narodowego Akademickiego Teatru Opery i Baletu im. Salomei Kruszelnickiej we Lwowie

Jacek Borzęcki: Panie Dyrektorze, proszę powiedzieć czym jest i czym powinien być teatr dla człowieka, dla każdego z nas?

Tadej Eder: Zapytajmy szerzej - czym jest teatr dla każdego państwa? To jest jego lustro, jego poziom. Bo teatr jest wyrazem człowieka, jego myślenia i jego życia. I każde państwo musi mieć teatr, choć jego poziom może być różny. To jest problem samego państwa, prawda?

Są oczywiście różne formy teatru: teatr dla dzieci, teatr lalkowy, operetka, teatr dramatyczny i opera. To jest wielka różnica. Jeśli słuchaliście sto razy "Aidę" Giuseppe Verdiego, a przyjedzie i wystąpi w tej operze np. **Luciano Pavarotti**, to człowiek idzie na nią sto-pierwszy raz. I nie jest to takie ważne o czym tam się śpiewa, jakie jest tam libretto. Tak naprawdę nikogo to nie obchodzi, bo każdy zna to już niemal lepiej niż ten autor, który to napisał. W naszym Teatrze Wielkim we Lwowie był szopenowski wieczór pamięci, były grane jego utwory, które mają po sto lat i już od stu lat ludzie tych utworów słuchają. No bo każdy wykonawca interpretuje te utwory po swojemu, mimo że są to te same nuty.

- Niewątpliwie, obcowanie z muzyką jest dla człowieka wielkim przeżyciem. No a Opera we Lwowie ma wielką renomę i należy do najlepszych w Ukrainie.

- Ta nie tylko w Ukrainie. Kiedy był utworzony Europarlament w Brukseli, to przy Europarlamencie powstało Stowarzyszenie Opera Europa. Tam wchodzi najlepsze operowe teatry europejskie, teraz już światowe, głównie z państw unijnych, w tym również z Europy Środkowej. Ukraina nie jest tam członkiem, a lwowska Opera jest. Nie Kijów, nie Odessa, nie inne (ukraińskie) miasta, a tylko Lwów. To coś na pewno mówi. I na pewno do takiej organizacji nie przyjmują za pieniądze, czy na podstawie zgłoszenia. Tam musi być pewien poziom. Z Polski należy tam tylko Opera Warszawska i Łódzka. Do tej organizacji należy 111 profesjonalnych oper z 44 państw europejskich (*aktualnie Stowarzyszenie Opera Europa skupia ponad 240 teatrów operowych z 46 krajów - przyp. red.*). No i Ukraina jest tam reprezentowana tylko przez Lwów. O tym się mówi. Na pewno chodzi tu o wysoki poziom opery, zarówno samej budowli, jak i artystów, spektakli. Jest to wielka praca osób zatrudnionych w naszym Teatrze, tworzących kulturę europejską i światową.

Bo opera to jest kultura światowa. W każdym państwie spektakle operowe wybrzmiewają w języku tego narodu, w ramach którego została stworzona. Bo nie można na przykład opery Verdiego wykonywać w języku polskim. Śpiewa się ją oczywiście po włosku, a tłumaczenie może być tylko wyświetlane w języku np. polskim, niemieckim czy jakimkolwiek innym.

- Ale przez to jest to sztuka uniwersalna.

- Tak jest. Na przykład u nas "Straszny Dwór" gramy w języku polskim, bo polska opera nie może być przedstawiana w żadnym innym. Każdy język ma przecież swoją melodię, swój koloryt. I to jakby jednoczy wszystkie narody świata.

- Lwowska Opera zapewne bywa zapraszana na występy do Polski?

- O tak! Jesteśmy często zapraszani do Polski, bo głównym naszym partnerem były, są i długo, długo będą polskie teatry. Na przykład Opera Warszawska. Trzy razy występowaliśmy na scenie Opery Warszawskiej, a ona z kolei występowała na naszej scenie. Ta współpraca na pewno coś o tym mówi. Na naszej scenie byli polscy kompozytorzy, Szymanowski i inni. Przed Drugą Wojną nie było światowych śpiewaków, jacy nie śpiewaliby na scenie Teatru Wielkiego we Lwowie. Aktualnie mamy bogatą współpracę z Operą Wrocławską. I jest to dla nas ważne, że jesteśmy często zapraszani do Polski. No bo można na przykład jakiegoś wykonawcę zaprosić, on jeden raz zagra, zaśpiewa i już drugi raz nie zapraszają go w to samo miejsce. A bywa, że kogoś zapraszają jeszcze raz i jeszcze kolejne razy. To coś o czymś mówi, prawda? No i mamy tę wielką satysfakcję, że w tych wielu polskich miastach, że na tych scenach, gdzie występowaliśmy, to nas zawsze zapraszają, żeby wystąpić jeszcze i jeszcze. I to coś mówi o poziomie naszego teatru. A po drugie, nie wyobrażam sobie, żeby nie było polskiego widza prawie na każdym spektaklu w naszym lwowskim Teatrze Opery.

- Proszę powiedzieć, czy lwowska opera może liczyć na pomoc ukraińskiego państwa? No i w jakim stanie jest budynek Teatru Opery, który być może wymaga jakichś środków?

- Proszę pana, każde mieszkanie człowieka wymaga środków, wymaga roboty i pieniędzy. Bo jakiś remont, który był zrobiony w pańskim mieszkaniu, to musi być powtórzony po 5 czy 6 latach. Takie jest życie. Sprawa w tym, że o jakichś finansowych warunkach naszego teatru mówić jest dzisiaj ciężko. Dlaczego? Bo jeszcze nie jest przyjęty budżet państwowy. Mamy wielkie problemy, bo u nas odbywał się światowy konkurs operowych śpiewaków imienia Salomei Kruszelnickiej. Uczestniczyli w nim również polscy śpiewacy i nawet polska śpiewaczka uzyskała pierwszą nagrodę. W Jury konkursu zasiadał m.in. dyrektor włoskiej Opery "La Scala", byli też jurorzy z Niemiec, z Włoch, z Ameryki. No i do dziś nie możemy się rozliczyć z tymi ludźmi. Dla mnie to jest bardzo przykre. Władze wprawdzie obiecują, że tym ludziom zostaną zwrócone należne pieniądze, ale widzi pan jak mogą się czuć w tej sytuacji. Bo jakie jest finansowanie kultury, taki jest też poziom państwa. Jeśli państwo nie finansuje kultury na takim poziomie, jaki powinien być, no to ciężko mówić o kulturze, ciężko funkcjonować teatrom, wykonawcom, solistom. Tak więc, jest bardzo ciężko, ale mamy nadzieję. No bo człowiek żyje na tym świecie z nadzieją, że jutro będzie lepiej.

- Panie dyrektorze, bardzo wielu mieszkańców województwa podkarpackiego, ale i z całej Polski, przyjeżdża do Lwowa. Zapewne też i po to, żeby być na spektaklu w Teatrze Opery we Lwowie. Niewątpliwie ciągnie tu Polaków również sam budynek, który jest wielkim dziedzictwem kultury polskiej. Być może przyciągają też i znaczące dokonania na tej scenie. Proszę przypomnieć największe sukcesy Teatru z okresu pańskiej dyrekcji?

- Po pierwsze, to lwowska opera stała się "narodową". Po drugie, jesteśmy we współpracy ze Stowarzyszeniem Opera Europa. To jest bardzo wielkie osiągnięcie. No a reszta to jest to, że zna nas cały świat.

- Czy chciałby Pan wspomnieć jakieś przedstawienia, które zapadły w pamięć może najbardziej?

- W ostatnich 10 latach to było bardzo dużo takich. Wspomnę tu może o tym, że w całej historii Watykanu przed Janem Pawłem Drugim, papież nie przekazał żadnemu teatrowi ani pół centa. Watykan pomagał dzieciom, osobom biednym, szpitalom, ale nie teatrom. Tymczasem Jan Paweł II wspomógł nasz lwowski teatr finansując przygotowanie opery "Mojżesz", którą skomponował lwowski kompozytor Myrośław Skoryk. Papież był tutaj, błogosławił nas. Ja byłem u niego w Watykanie dwa razy. Z tym spektaklem byliśmy wiele razy w Polsce. Występowaliśmy w Warszawie i w wielu innych polskich miastach, a także i na całym świecie.

- Reżyserował ten spektakl Zbigniew Chrzanowski.

- Tak jest, Zbigniew Chrzanowski. Polski reżyser, ale lwowiak. On urodził się we Lwowie i znam go jeszcze z lat swojej młodości.

A tak na koniec powiem, że miałem kiedyś wielką satysfakcję, bo zostałem uhonorowany polskim orderem oficerskim, mam też dyplom od polskiego ministra spraw zagranicznych wręczony mi na Zamku Królewskim w Warszawie. Powiedziałem wtedy takie słowa: "Ten Polak, jaki nie był we Lwowie i nie był w operze lwowskiej – to nie jest Polakiem". I powtarzam to: nie ma Polaka w Polsce i nie ma lwowiaka, który nie miałby polskich korzeni. Bo ktoś mnie kiedyś zapytał: *-Czy pan jest Polakiem?* Ja mu odpowiedziałem: *-Przepraszam, nie jestem Polakiem, ale jestem lwowianinem. A to jest bardzo wielka nacja*". No bo tak jest. Tak się też składa, że mam rodzinę w Polsce. Taki los. Najważniejsze, żeby "być człowiekiem"! Prawda?

Od autora: ś.p. Tadej (Tadeusz) Eder przez prawie 20 lat kierował lwowskim teatrem operowym. W dniu 16-go grudnia 2023 roku zmarł przeżywszy 80 lat.

W 2010 roku, będąc autorem audycji „Kresowe Dziedzictwo” w Polskim Radio „Rzeszów”, spotkałem się z dyrektorem Ederem w jego gabinecie w Operze Lwowskiej i nagrałem tę wypowiedź, którą obecnie spisałem z dyktafonu i opracowałem dla „Archiwum Wolności” Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego.

W Przemyślu mieszka stryjeczny brat dyrektora Edera, o rok od niego młodszy, Janusz Eder- dawniej nauczyciel matematyki w przemyskich szkołach, a później właściciel jednego z większych warsztatów samochodowych w tym mieście. Aby dopełnić mój wywiad sprzed 14 lat, poprosiłem pana Janusza o wspomnienie relacji rodzinnych z jego słynnym bratem oraz przodków rodziny Ederów.

Jacek Borzęcki

Janusz Eder: Nasz dziadek, Aleksander Eder, był Niemcem, ale dla polepszenia warunków bytu jeszcze w czasach Galicji przeprowadził się z Düsseldorfu do Przemyśla. Tu urodzili się trzej jego synowie. Jeden z nich, Józef, ożenił się z Ukrainką i w 43 roku urodził im się syn Tadeusz. Drugi syn, mój ojciec Jan, ożenił się z Austriaczką spod Wiednia, Zofią Behen, moją mamą, która urodziła mnie w 44 roku. Trzeci syn, Stanisław, ożenił się z Polką i zamieszkał w Bytomiu. Tuż po wojnie w 45 roku, Józef z żoną Ukrainką i synem Tadeuszem przeszli przez przemyski most kolejowy na stronę sowiecką aby zamieszkać we Lwowie. Mój ojciec, mimo zachęty ze strony brata, nie dał się namówić na to samo. Szybko okazało się jak ryzykowna dla brata była ta przeprowadzka. Sowietci uznali Józefa za „szpiona” i skazali go na 15 lat Sybiru. Jego żona zamieszkała we Lwowie i samotnie wychowywała syna, którego imię zmieniła z polskiego „Tadeusza” na ukraińskiego „Tadeja”.

Po powrocie z Sybiru mój brat po raz pierwszy w roku 64-tym odwiedził moją rodzinę w Przemyślu. Za komuny jego syn Tadej jeszcze kilkakrotnie przyjeżdżał do nas do Przemyśla. Później, gdy został dyrektorem Opery, to już raczej ja z żoną Grażyną oraz synem Witoldem i córką Agnieszką odwiedzaliśmy go we Lwowie. Oczywiście, korzystając z jego pozycji w Teatrze, oglądaliśmy wszystkie spektakle operowe.

Muszę powiedzieć, że mój stryjeczny brat, zanim został dyrektorem Opery, to był najpierw śpiewakiem. Miał cudowny i tak potężny głos, że jak podczas wizyty u nas w domu zaśpiewał, to aż

kieliszki w kredensie zadrżały. Zniechęcono go jednak do kariery śpiewaczej ze względu na niski wzrost.

Tadeusz był trzykrotnie żonaty. Z pierwszą żoną miał syna Pawła, który aktualnie jest sędzią we Lwowie, a ze związku z drugą żoną urodził się syn Lubomyr. Pamiętam, że gdzieś przed 11-tu laty poprosił mnie, żebym zabrał Lubomyra ze Lwowa do Przemyśla, tak aby uchronić go przed powołaniem do wojska. No i Lubomyr, inżynier z zawodu, mieszkał z nami, pracował w Przemyślu i otrzymał polskie obywatelstwo. Aktualnie mieszka i pracuje w Rzeszowie ale odwiedza nas na wszystkie święta.

Od redakcji: Premiera opery „Mojżesz” odbyła się 23 czerwca 2001 roku na scenie lwowskiego Narodowego Teatru Opery i Baletu im. Salomei Kruszelnickiej. W tym spektaklu wzięło udział prawie 250 artystów. Inscenizację opery dedykowano Ojcu Świętemu podczas jego pielgrzymki na Ukrainę w dniach 23-27 czerwca tegoż 2001-go roku. Zamysł opery uzyskał błogosławieństwo papieża Jana Pawła II i wsparcie Stolicy Apostolskiej, która wsparła przygotowanie spektaklu sumą 75 tys. dolarów. Opera „Mojżesz” została stworzona z okazji setnej rocznicy istnienia tej lwowskiej sceny.

Przypomnijmy, że dyrekcję teatru powierzono Tadeuszowi Pawlikowskiemu (1861 -1915) urodzonemu w Medyce. Uroczyste otwarcie tego wspaniałego teatru odbyło się 4-go października 1900 roku w obecności m.in. Henryka Sienkiewicza, Ignacego Paderewskiego, Henryka Siemiradzkiego, prezydenta miasta Lwowa – Godzimira Małachowskiego, namiestnika Leona Pinińskiego i marszałka krajowego Stanisława Badeniego. Zwycięzcą konkursu na projekt Teatru Miejskiego został w 1896 roku architekt Zygmunt Gorgolewski, który przez następne trzy lata nadzorował budowę jako kierownik artystyczno-techniczny.



fot. Anna Gordijewska

ROBERT MAJKA



„Walczyłem z komuną – jak umiałem, i jak mogłem”

Jacek Borzęcki: -Panie Robercie, proszę, tytułem wstępu, powiedzić parę słów o sobie.

Robert Majka: Urodziłem się w 1962 roku w rodzinie inteligenckiej. Moi rodzice, niestety, szybko rozeszli się, i już jako roczne dziecko wychowywany byłem w rodzinie zastępczej moich dziadków. Największy wpływ na moje wychowanie, kształtowanie charakteru miała moja babcia (Karolina), która była gorącą polską patriotką. Za wypowiedzi antysowieckie przesiedziała 47 tygodni w więzieniu NKWD. I to ona nauczyła mnie polskiego patriotyzmu i wierności Polsce. Już jako dziecko dowiedziałem się od babci kim byli Sowieci, o Katyniu, i czym była władza komunistyczna. Wyrastałem więc w atmosferze głębokiej nieufności do Związku Sowieckiego i do nielegalnej władzy ludowej w Polsce.

Dziadkowie żyli warunkach bardzo skromnych, wręcz w biedzie. Będąc małym chłopcem do-

świadczyłem wielu takich sytuacji, że w domu nie było co jeść. To były lata 60-te i 70-te. I co mnie tak naprawdę zmobilizowało do aktywnego włączenia się w działalność opozycyjną, to był ten klimat biedy. Jedyną szansę jaką widziałem dla siebie, to było zdobycie wykształcenia. Marzyłem, aby ukończyć studia, interesowałem się dziedziną polityki, a także historią Polski. Książki kupowałem za zbierane i sprzedawane butelki. Oszczędzałem na jedzeniu, ale pogłębianie wiedzy w tych tematach było i pozostało moim "konikiem".

J.B. –Początek lat siedemdziesiątych to był okres pewnego optymizmu związanego z przyjściem do władzy Edwarda Gierka i z nastaniem względnego dobrobytu, oczywiście w porównaniu do lat poprzednich. W większych miastach pojawiły się w sklepach dawniej trudno dostępne towary, takie jak np. Coca Cola, Pepsi, czy prawdziwa kawa i cytryny. Ruszyła budowa wielu zakładów przemysłowych i osiedli mieszkaniowych dla pracowników. Wówczas opozycja antykomunistyczna raczej nie miała szans na szerzej zakrojoną działalność. Zmiany te, jak wiadomo, nie wynikały jednak z ekonomicznych reform niewydolnego systemu politycznego, tylko były kupione przez Gierka za pożyczki zagraniczne. A że te pożyczki trzeba było zacząć spłacać, więc ten „dobrobyt” szybko skończył się. Przeszedł czerwiec-76 i protesty robotnicze m.in. w Radomiu, Ursusie i Płocku, spowodowane drastyczną podwyżką cen żywności. Jak pan wówczas, jako jeszcze młody chłopak, reagował na tę sytuację?

R.M. –Panie Jacku, ja miałem wówczas 14 lat. Trochę interesowałem się tymi protestami w Kraju, bo razem z babcią słuchaliśmy Radia Wolnej Europy, ale oczywiście wtedy nie byłem żadnym bohaterem, czy działaczem. Dopiero z perspektywy późniejszych lat zrozumienie znaczenia tej ówczesnej sytuacji było u mnie pełniejsze.

Świadomość potrzeby sprzeciwiania się systemowi komunistycznemu zrodziła się u mnie po słowach Papieża-Polaka podczas Jego pielgrzymki do Polski w 79 roku, no a jeszcze bardziej rok później, gdy wybuchły masowe strajki. Przemysł wówczas nie był w centrum tych wydarzeń. Gdy jednak powstała „Solidarność”, a ja od września 81 zacząłem pracować w przemyskiej „Pomoni”, to oczywiście wstąpiłem w jej szeregi. Nawet włączyłem się w rozpowszechnianie ulotek solidarnościowych, choć nie było to nic wielkiego. Po prostu cieszyłem się, że choć w tak skromny sposób mogę uczestniczyć w działalności patriotycznej. Miałem wówczas straszne problemy życiowe, często po prostu nie miałem co jeść. Chciałem uczyć się w średniej szkole, ale musiałem zarabiać na życie, bo w domu była straszna bieda. Gdy dostałem stałą pracę w „Pomoni”, to nie chciano zwalniać mnie z dziennych zmian na lekcje w szkole.

J.B. –Rozumiem, że funkcjonowanie w ramach legalnie działającego związku zawodowego „Solidarność” raczej nie dawała zwykłemu związkowcowi wiele możliwości do wykazania się bohaterskim działaniem. Nie stanowiła też zapewne dla takiego „szeregowca” znacznego zagrożenia prześladowaniem, czy zwłaszcza uwięzieniem przez komunistyczną „Bezpiekę”. Jak to się więc stało, że Robert Majka, przeciętny i mało znany członek „Solidarności”, stał się rozpoznawalnym w antykomunistycznym podziemiu i tępionym przez Służbę Bezpieczeństwa przeciwnikiem totalitarnego systemu peerelowskiego socjalizmu?

R.M. –Zdecydowana wola działania przeciwko peerelowskiemu systemowi pojawiła się u mnie z chwilą wybuchu stanu wojennego. Nie mogłem pogodzić się z tą agresją komunistycznej kliki przeciwko polskiemu narodowi. Postanowiłem otwarcie demonstrować swój sprzeciw wobec Stanu Wojennego, nie bacząc na konsekwencje i stawiając wszystko na jedną kartę. Zacząłem więc chodzić do pracy w „Pomonie” z odznaką „Solidarność” na piersiach. Tylko tyle, i aż tyle. Oczywiście, zakładowi ORMO-wcy dostawali szału.

W „Pomonie” udało mi się dotrzeć gdzieś do połowy maja 82 roku. Pod koniec kwietnia wezwał mnie do biura kierownik zmiany: –„Masz jutro przyjść na pochód 1-majowy!” – rozkazał. Ja mu na to: „Rozmawia pan z niewłaściwą osobą, bo ja jestem polskim patriotą, a nie komunistą. I nie mam zamiaru chodzić na pochody pierwszo-majowe! A on na to: „Jak nie przyjdiesz na pochód, to ci zabiorę premię”. –„No to niech pan zabierze ją już teraz” – odparłem spokojnie.

Po 1 maja oczywiście zabrał mi premię, a niedługo potem zostałem wyrzucony z pracy.

J.B. –**Ale wtedy nie można było być bezrobotnym. Praca była socjalistycznym obowiązkiem, a często nawet przymusem. Nieprawdaż?**

R.M. –Tak. Następnie „pośredniak” wysłał mnie tym razem do pracy w przemyskim „Sanwilu”. Tam oczywiście też przychodziłem do pracy z odznaką „Solidarność”, i w dodatku w biało-czerwonej czapce. No i akurat podczas posiłku na stołówce, zakładowy ormowiec pobił mnie i zerwał odznakę. Na szczęście tych znaczków miałem więcej, więc następnego dnia przyszedłem do pracy z kolejnym. Tym razem zostałem tylko ostrzeżony, że gorzko pożałuję tego demonstracyjnego przyznawania się do „zdelegalizowanej antysocjalistycznej organizacji”.

Któregoś razu, podczas przerwy na posiłek, zawiesiłem na krzyżu w stołówce biało-czerwoną flagę, wskoczyłem na stół i zacząłem głośno protestować przeciwko wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Zarzucałem generałowi Jaruzelskiemu i władzy komunistycznej, że działają nielegalnie. Skutek był taki, że wystraszeni robotnicy milczeli, a zakładowy ormowiec złapał mnie i wyprowadził ze stołówki.

Następnego dnia, gdy stawiałem się na pierwszą zmianę, to od razu w szatni zostałem pobity do krwi przez ormowców. Potem wezwał mnie dyrektor i oświadczył, że jeśli będę chodził na terenie zakładu pracy z odznaką „Solidarność”, to wyrzuci mnie z pracy, bo ten związek zawodowy jest zabroniony i nielegalny. Ja mu odpowiedziałem, że nielegalna to jest władza komunistyczna PZPR, bo w 1947 roku wybory do sejmu były sfałszowane. Pan dyrektor zaniemówił, wytrzeszczył na mnie oczy, po czym sczerwieniiał i ryknął: –„Wynoś mi się, kurwa, z zakładu! Jesteś dyscyplinarnie zwolniony!”.

J.B. –**Rozumiem, że w kolejnych miejscach Pana pracy działo się mniej więcej tak samo?**

R.M. –Dokładnie. Jednym z kolejnych moich miejsc pracy był „Elektromet”, do którego po jakimś czasie zostałem skierowany przez ówczesny tzw. „pośredniak” przy przemyskim Urzędzie Miasta. No i tam, oczywiście, też przychodziłem ze znaczkami „Solidarność”. I też najpierw były

ostrzeżenia, potem pobili mnie ormowcy, a na końcu, po kolejnej wizycie Służby Bezpieczeństwa w zakładzie, wyrzucili mnie z pracy.

Z kolejnego miejsca pracy, czyli z MZK, gdzie pracowałem najpierw w lakierni, a następnie na myjni, wyrzucono mnie za przynoszenie radia i puszczenie na cały głos audycji Radia Wolna Europa. Natomiast z Zakładów Płyt Pilśniowych zostałem zwolniony za ustawienie na stołówce płyty z napisem żądającym uwolnienia więźniów politycznych w Europie Wschodniej.

Jedną z kolejnych prac miałem rozpocząć 2 maja 1988 roku w przemyskim „Sanepidzie”. Tymczasem 1-go maja przemyska „Solidarność” organizowała pochód skierowany przeciwko władzom komunistycznym. Oczywiście, uczestniczyłem w tym pochodzie, a co więcej, niosłem na przodzie pochodu wieniec z literą V, czyli symbolem zwycięstwa. Wszyscy mnie widzieli, a ktoś nawet pstrykał zdjęcia (takie zdjęcie jest w archiwum IPN w Rzeszowie).

Gdy 2 maja rano stawiałem się do pracy w „Sanepidzie”, wszyscy tam jakoś dziwnie na mnie patrzyli. Posadzono mnie w jakimś pokoju, do którego wkrótce weszła dyrektorka, czterech esbeków i trzech milicjantów. Jeden z esbeków, bez żadnych wyjaśnień założył mi kajdanki. Gdy spytałem: - „Za co?” Odpowiedział: - „Dowiesz się pan na komendzie”. Gdy wyprowadzali mnie i wieźli na SB, to cały czas się z zadowoleniem uśmiechałem się. Wszak traktowano mnie, skromnego działacza przemyskiej opozycji, jak jakiegoś znaczącego przeciwnika politycznego. A przecież działałem samotnie, w pojedynkę. To zresztą było szokiem nie tylko dla SB-cji, ale także dla niektórych działaczy przemyskiej „Solidarności”.

J.B - Czy to była pierwsza przymusowa wizyta Pana w tej instytucji?

R.M. - Nie. Po raz pierwszy trafiłem na SB w dniu 31 sierpnia 82 roku, po manifestacji na Kamiennym Moście.

Przed tą manifestacją szedłem przez Rynek w kierunku Kamiennego Mostu, i przed Urzędem Miasta zatrzymał mnie patrol ORMO. Wysoki, barczysty ormowiec zażądał okazania dowodu osobistego. A ja zawsze nosiłem w dowodzie napisane czerwonym flamastrem hasło „Precz z komuną!”.

No i on wziął ten mój dowód, oglądał przez chwilę i spytał: - „A co to jest?” Ja na to: - „A co, nie widzi pan, że tam pisze „Precz z komuną”? On zdębiał, a po chwili chwycił mnie za kark, tak jak się łapie królika, wciągnął do budynku Urzędu Miejskiego i postawił przy ścianie. No to ja podniosłem obie ręce do góry. Przechodzący obok mnie interesanci patrzyli na tę scenkę z wyraźnym przerażeniem. Zmieszany tym ormowiec spytał ściszym głosem:

-No i co ty robisz?

Ja na to całkiem głośno:

-A od kiedy to jesteśmy na „ty”?

On więc ponownie spytał:

-Co też pan wyprawia?

-No przecież jest teraz w Polsce komunistyczna okupacja – odpowiedziałem na cały głos, tak żeby wszyscy słyszeli.

W tym momencie wszedł do budynku dowódca patrolu i powiedział: -Jak już sprawdzony, to wypuść go.

Skoro mnie puścili, to pomyślałem, że już będę miał spokój. Ruszyłem więc dalej, a tam kolejny patrol ORMO zatrzymał mnie do wylegitymowania. Mój dowód z napisem „Precz z komuną” musiał zrobić tym razem większe wrażenie na ormowcu, bo nagle wyjął pistolet i zamachnął się na mnie. Na szczęście zdołałem uchylić głowę i cios zjechał mi po klatce piersiowej. Przeraziłem się, że teraz on mnie zabije. Jednak powstrzymał go jego kolega z patrolu, mówiąc: -„Daj spokój, co ty kurwa robisz?” No i na szczęście skończyło się tylko wykręceniem mi rąk do tyłu i kopniakiem. Idąc dalej spotkałem kolegę, Marka Kędzierskiego, który poprosił mnie o pomoc w przemywaniu uczestnikom manifestacji oczu, po tym, jak ZOMOWCY zaatakowali ich gazem łzawiącym. No więc razem z Markiem przecieraliśmy im oczy gazikami zamoczonymi w wodzie z octem. I wtedy nadjechała „suka” milicyjna z esbekami. Złapali nas, zakuli w kajdanki, zawieźli na SB i postawili pod murem. No to oczywiście powtórzyłem tę scenkę z podniesieniem rąk do góry i odpowiedzią, że jest „komunistyczna okupacja Polski”.

Po wprowadzeniu mnie do wnętrza budynku, poznałem tam po raz pierwszy późniejszego majora Krzysztofa Bobińskiego, wtedy jeszcze w randze kapitana. Podczas przesłuchania w ogóle nie odpowiadałem na jego pytania. Groził mi więzieniem, ale po 24 godzinach wypuścił mnie.

J.B. – Czy ma Pan jeszcze jakieś inne wspomnienia spotkań z Bezpieką?

R.M. –Oczywiście. Chyba najgorsze wspomnienia mam z 86 roku, gdy z przemyskiej mleczarni, w której wówczas pracowałem, esbecy zabrali mnie do jarosławskiej komendy SB. Tam przesłuchujący mnie esbek w pewnym momencie wyjął pistolet i powiedział: -„No to, skurwysynu, koniec zabawy z tobą. Z tego budynku wychodzi się tylko przez komin”. Po czym przyłożył mi pistolet do głowy i powiedział: „A teraz cię zastrzelę”. Pomyślałem sobie: „Panie Boże, w Twoich rękach moje życie”. Zamknąłem oczy i zacząłem się głośno modlić. Skończyło się tak, że esbek „wymiękł”, schował pistolet i wyszedł z pokoju.

Pamiętam, jak w lutym 86-tego roku zrobili mi w domu rewizję. Pozabierano mi wówczas różne podziemne publikacje i parę sztuk „bibuły” „Solidarności Walczącej”. Byłem też wielokrotnie zatrzymywany na 48 godzin, zwłaszcza przed różnymi rocznicowymi manifestacjami.

Podczas przesłuchań grożono mi, ale też wielokrotnie proponowano współpracę. Gdy odmawiałem, to grożono mi. Kiedyś w przemyskiej komendzie jeden z esbeków postraszył mnie, że

jak nie pójdę na współpracę, to ...”wsadzimy cię do pierdła, a tam znajdują się zbrojeńcy i pedały, którzy z dupy zrobią ci sito”. Innym razem namawiający mnie do współpracy oficer, zaproponował pieniądze, a nawet oferował znalezienie mi ... kandydatki na żonę. Gdy odmówiłem, to oczywiście groził. Jednak nie groził śmiercią, ale czymś równie strasznym. Powiedział: –„Jak się nie zgodzisz, to wyrobimy ci taką opinię nieroba, czubka i pedała, że nie będzie ci się chciało żyć”.

J.B. –Czy Pana zdaniem SB zrealizowało tę groźbę?

R.M. –Uważam, że tak. Wszak jedną z wielu represji Bezpieki była „szeptanka”, czyli rozpowszechnianie, poprzez swoich agentów, różnych kłamliwych, deprecjonujących i ośmieszających plotek. Mieli przecież swoich tajnych agentów w przemyskim środowisku opozycji antykomunistycznej. I najgorsze, że ludzie w takie plotki wierzyli. Niestety, doświadczyłem tego na sobie. Esbecy urobili mi w Przemysłu opinię dokładnie taką, jaką zapowiadał ten oficer. No i wielu działaczy przemyskiej opozycji totalnie mnie lekceważyło. Niektórzy wręcz upatrywali we mnie człowieka niespełna rozumu, szaleńca, a nawet homoseksualistę. Jak wiadomo, z plotkami trudno jest walczyć, więc kobiety stroniły ode mnie i rodzinę udało mi się założyć dopiero w 2006-tym roku.

Kiedyś wręcz napuszczono na mnie psychiatrę. Stało się to po pamiętnym 19 lipca 89-go roku. Wówczas roznosiłem ulotki „Solidarności Walczącej”, potępiające wybór na prezydenta Polski – przez nie w pełni demokratyczny parlament – zdrajcę polskiego narodu, generała Wojciecha Jaruzelskiego. W efekcie, na początku lat 90-tych nie tylko postkomuniści, ale i środowisko „Unii Wolności” traktowało mnie jak najgorszego wroga.

Wielokrotnie byłem bity przez tzw. nieznanymi sprawców. Zdarzyło się to np. w 1994 roku, gdy jakiś facet przy wyjściu z bramy uderzył mnie głową i złamał mi nos. A ostatni raz zostałem napadnięty w 2003 roku, kiedy to nieznanymi sprawcami uderzył mnie kantówką w głowę. Ledwo mnie odratowano. Do tej pory mam na głowie cztery szwy.

J.B. -Ale powróćmy do tego pobytu na przemyskiej komendzie SB w dniu 2 maja 1988 roku, po aresztowaniu Pana w „Sanepidzie”.

R.M. –Otóż, byłem wówczas przesłuchiwany przez Krzysztofa Bobińskiego, już w randze majora. No i on w reakcji na moje milczenie, nie tyle zdenerwowany, co raczej sfrustrowany i zmęczony, w pewnym momencie powiedział do mnie: -„Człowieku, i co my, kurwa, mamy z tobą zrobić?”

Tego popołudnia, aż do nocy, major Bobiński co jakiś czas wychodził z tego pokoju, i znowu wchodził. Próbował dyskutować ze mną, pytał o coś. A ja wciąż tylko milczałem, wpatrując się w jeden punkt na ścianie.

Gdzieś przed szóstą rano znowu major Bobiński przyszedł i mówi:

-No powiedz coś, bo ja kurwa oszaleję. Mam już ciebie naprawdę dosyć!

A ja ani słowa. I wtedy on, po chwili milczenia, nachylił się ku mnie i ściszym głosem rzekł:

-Mam dla ciebie propozycję. Dostaniesz paszport i wyjedziesz na Zachód.

-Dziękuję, nie chcę – odpowiedziałem.

-Jak to, nie chcesz? – odezwał się coraz bardziej zdenerwowany. -Przecież tutaj biedujesz, a tam będziesz miał lepsze życie. Wielu działaczy „Solidarności” już z tej okazji skorzystało. Ty jesteś za kapitalizmem, a na Zachodzie takim jak ty dają wszystko. My ci przecież dajemy szansę!

-Nie, ja nie wyjadę!- odpowiedziałem zdecydowanie.

On nerwowo nie wytrzymał:

-No wiesz? Z tobą jest coś nie tak. Ty jesteś po prostu pierdolnięty!

J.B. –Czy to było już ostatnie aresztowanie przez SB?

R.M. Nie, panie Jacku. W dniu pamiętnych wyborów, 4 czerwca 89-go roku, zostałem aresztowany w Przemyślu, razem z Markiem Wiąckiem, za publiczne protestowanie przeciwko wcześniejszym tajnym układom elity „Solidarności” i komuny w ośrodku MSW w Magdalence. SB zgarnęła nas przed dworcem PKP, gdzie staliśmy z transparentem „Chcemy wolności. Precz z PZPR”.

Półtora miesiąca później, 19 lipca 89-go roku, urządziłem ostatnią samotną akcję protestacyjną, tym razem przed Komitetem Wojewódzkim PZPR. Protestowałem tam przeciwko wybraniu, przez ten nie całkiem demokratyczny parlament, zdrajcy polskiego narodu, sowieckiego agenta, generała Wojciecha Jaruzelskiego – na prezydenta Polski. Wówczas esbecy już nie ośmielili się mnie aresztować. Prosilili jedynie o przerwanie protestu. Oczywiście, bez skutku.

J.B. –To prawda, że ugoda części solidarnościowej opozycji z reprezentacją władz PRL nie miała nic wspólnego z demokracją i sprawiedliwością. Po prostu gwarantowała przestępczej komunistycznej elicie „miękkie lądowanie”, czyli bezkarność oraz uwłaszczenie na państwowym majątku. Dla wielu była to jednakże konieczna cena za pokojową transformację ustroju polskiego państwa. I nawet jeśli nie ma pewności, czy próba pełnego rozliczenia przestępczej elity komunistycznej i jej zbrodniczej Służby Bezpieczeństwa doprowadziłaby do tragicznej w skutkach wojny domowej, to jednak niewątpliwie było takie ryzyko. Rozumiem oczywiście, że dla Pana, jako działacza radykalnej „Solidarności Walczącej”, była to zdrada takich wartości jak wolność, demokracja i sprawiedliwość. Proszę jednak powiedzieć, czy z aktualnej perspektywy niepodległej i demokratycznej Polski dnia dzisiejszego nie żałuje Pan tych 8 lat politycznej walki? Było to demonstrowanie moralnego potępienia i Pańskiej dezaprobaty dla peerelowskiego systemu totalitarnej władzy. Było to działanie podejmowane w pojedynkę i na swój sposób heroiczne. Wprawdzie nie powodowało mobilizacji społeczeństwa do przeciwstawiania się komunistycznemu systemowi władzy, jednak angażowało Służbę Bezpieczeństwa i ewidentnie uprzykrzało jej życie. I to był oczywisty plus. Czy jednak warto było, i czy dzisiaj te lata nie wydają się

Panu stracone?

R.M. –Faktycznie były to dla mnie lata bardzo ciężkie. To był okres skrajnej biedy, ciągłego zwalniania z pracy i niepewności jutra. Jednak czymś najgorszym i najcięższym dla mnie do zniesienia była okazywana mi przez wielu ludzi pogarda. Bardzo to bolało, ten brak akceptacji przez współmieszkańców i współobywateli za to tylko, że miałem odwagę mówić prawdę i być niewygodny dla peerelowskiego systemu. A przecież robiłem to nie dla własnych korzyści, tylko dla Polski, a więc dla tychże współmieszkańców i współobywateli. Komunistyczna Służba Bezpieczeństwa wprawdzie nie odebrała mi życia, ale uprzykrzała mi je w różny sposób, także przez kłamliwe plotki. Przed plotkami nie sposób się bronić, a one przedstawiały mnie w jak najgorszym, upokarzającym i ośmieszającym świetle. Pozbawiały mnie nie tylko uznania i szacunku wśród wielu działaczy opozycyjnych i mieszkańców Przemyśla, ale wręcz uniemożliwiały założenie rodziny. Udało mi się to dopiero w 2006 roku. Ale mimo wszystko nie żałuję. Ja nie robiłem tego komuś na przekór. Po prostu nie mogłem zgodzić się na udawanie normalnego życia w systemie dominacji sowieckiej, w systemie komunistycznego zakłamania i przemocy. Aby mieć szacunek do samego siebie, musiałem walczyć z tym systemem. A walczyłem tak, jak umiałem, i tak jak mogłem. Zapłaciłem za to wysoką cenę. Gdyby nie łaska Boża i wsparcie Ducha Świętego w trudnych chwilach, mogłoby mnie już dawno nie być wśród żywych. To przeświadczenie czuję do dzisiaj, każdego dnia.

Rozmowę przeprowadził i autorsko opracował – Jacek Borzęcki

Notka biograficzna:

Bohater tego wywiadu, Robert Majka, był członkiem „Solidarności Walczącej” od czerwca 1983 – do maja 1990, i zarazem przedstawicielem dr Kornela Morawieckiego na dawne województwo przemyskie. Po roku 89-tym wstąpił do Partii Wolności Kornela Morawieckiego i reprezentował tę formację w Przemyślu.

Jego życie zaczęło się układać pomyślnie dopiero od 1995 roku, kiedy to rozpoczął pracę w przemyskim Urzędzie Miejskim. Pracował tam do 2015 roku, a następnie w Straży Miejskiej do roku 2017-go. W latach 2002-2006 pełnił funkcję radnego w Radzie Miejskiej, gdzie wyróżnił się zaproponowaniem uchwały wzywającej do lustracji samorządu z prezydentem miasta na czele. Był członkiem Trybunału Stanu w latach 2015-2018. W listopadzie 2018 roku został posłem na Sejm RP. Stało się to w taki sposób, że jako drugi na liście wyborczej partii Kukiz-15, wszedł na wakujące miejsce po rezygnacji posła Wojciecha Bakuna, który po wygranych wyborach samorządowych został prezydentem Przemyśla.

W ostatnich kilku latach zdobył wyższe wykształcenie. Najpierw ukończył politologię w Państwowej Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu. Uzyskał tytuł licencjata za pracę o udziale aparatu bezpieczeństwa państwa komunistycznego w procesie transformacji ustrojowej Polski w latach 1988-97. Następnie ukończył studia zaoczne w Wyższej Szkole Humani-

styczno-Przyrodniczej w Sandomierzu, uzyskując stopień magistra administracji finansowej i gospodarczej.

Robert Majka posiada status działacza opozycji antykomunistycznej. Kornel Morawiecki wręczył mu Krzyż Solidarności Walczącej (2011). Z rąk prezydenta RP, Lecha Kaczyńskiego, otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, „Polonia Restituta” (2009). Natomiast prezydent RP, Andrzej Duda, odznaczył go Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości (2019).

Mieszka w Przemyślu z żoną i dwójką dzieci (Karoliną lat 12, i Zofią lat 8). Jako politolog, zajmuje się analizą polityczną, nie posiada stałej pracy zarobkowej. Okazjonalnie, pracuje dorywczo.

ADAM MAJGIER



Z Adamem Majgierem rozmawia Aleksander Busz

Aleksander Busz: Jakie wydarzenia, doświadczenia skłoniły Pana do zaangażowania się w działalność opozycyjną przeciwko ustrojowi komunistycznemu? Jakże były tego początki?

Adam Majgier: Wartości narodowo-katolickie wyniosłem z domu. Dziadek od strony ojca był kolejarzem, pochodził z Mościsk tuż za polską granicą. Miał tam cztery morgi ziemi. Mój tata urodził się w 1917 roku. Jak się zaczęła II wojna światowa to poszedł na ochotnika do batalionu obrony narodowej która wchodziła w skład brygady Strzelców Karpackich. Po dwóch lub trzech tygodniach walk kiedy sowieci napadli na Polskę to ze swoim oddziałem przeszedł przez miejscowość Sianki potem przez granicę węgierską i tam został internowany. Był w obozie Szarwar niedaleko Esztergomu. W obozie przebywał do 1944 roku. Wykonywał tam różne prace. Proszę sobie wyobrazić, że w wieku 27 lat ważył 47 kg! Potem sowieci przegonili ich na teren Austrii, a następnie Amerykanie wyzwolili tą część Europy. Wtedy można było złożyć deklarację aliantom i dość łatwo można było się znaleźć w Stanach Zjednoczonych, jako nowy obywatel. Ojca ciągnęło jednak do rodzinnego domu. Jak wrócił to nie mógł już wracać do Mościsk tylko osiedlił się w Przemyślu. Z kolei moja mama pochodziła z przysiółka Komarowice niedaleko Niżankowic też

obecnie po stronie ukraińskiej. Tam mieszkali też dziadkowie od strony mamy. Ojciec był osobą wierzącą i gorliwym patriotą. W naszym domu często leżała prasa katolicka na przykład taki tygodnik „Za i przeciw”. Jeśli chodzi o mnie to po skończeniu szkoły podstawowej i technikum poszedłem na studia do Rzeszowa na Politechnikę. Na moim roku było parę osób, które ewidentnie współpracowały ze służbami. Wiedzieliśmy wtedy kto to jest i w naszym gronie byliśmy co do nich ostrożni, szczególnie w akademiku, w którym mieszkałem.

AB: A czy w tym czasie oprócz osób, które o których wiedzieliście że współpracowały były też osoby działające w opozycji?

AM: U nas na pierwszym roku zapisali wszystkich czy się ktoś zgadzał czy nie, do Socjalistycznego Związku Studentów. Na dzień 1 Maja rektor wyganiał wszystkich z akademików żeby szli świętować. Pilnował tego zawsze. Większość nie traktowała tego jednak zbyt poważnie ale była to zawsze okazja do studenckiego świętowania. W Rzeszowie był wtedy budowany kościół pw. Matki Boskiej Saletyńskiej i tam chodziliśmy na duszpasterstwo akademickie. Byłem praktykujący, uczestniczyłem w spotkaniach oplatkowych itp. Studia skończyłem w 1978 roku. Wtedy od razu mieliśmy obowiązkowe szkolenie wojskowe do szkoły oficerów rezerwy. Nie podejmowałem wtedy żadnej pracy, bo wiedziałem, że zostanę w to wciągnięty czy tego chcę czy nie. Dlatego nawet nie zaczynałem wtedy pracy bez ewentualnych znajomości ciężko było tego uniknąć. Zostałem powołany do Szkoły Łączności w Zegrzu. Zaczęliśmy szkolenie w lipcu, warunki nie były zbyt dobre szczególnie te sanitarne, ale jakoś to przeżyliśmy. Można było raz na jakiś czas pojechać na przepustkę do Warszawy. Jak chodziłem wtedy na przepustce do kościoła w mundurze to wszyscy się dziwnie oglądali.

AB: Nie miał Pan wtedy problemów z tego powodu, że był pan osobą praktykującą w mundurze?

AM: W wojsku nie było takiego problemu. Zresztą jechałem do Warszawy nie musiałem się nikomu tłumaczyć z tego gdzie chodzę. Dla mnie na przykład dużym wydarzeniem było to jak pojechałem z moim kolegą na cmentarz na Powązkach i szukaliśmy grobów znanych Polaków. Trafiliśmy wtedy na taką panią i okazało się, że ona była uczestniczką Powstania Warszawskiego. Zaczęła nas oprowadzać i opowiadać o historii cmentarza i ludzi. Dowiedzieliśmy się wtedy z kolegą wielu rzeczy i to była taka prawdziwa żywa lekcja historii. Miało to niewątpliwie wpływ na moje późniejsze życie. Kolejnym takim wydarzeniem było to jak podczas obowiązkowego oglądania dziennika telewizyjnego w naszej sali wojskowej dowiedzieliśmy się o wyborze papieża Polaka – Karola Wojtyły. Ponieważ w naszej szkole było też dużo Krakusów to prawie wszyscy skakali z radości. Niektórzy nawet pamiętali Papieża jak przyjmował ich do bierzmowania. Było to niezwykle wydarzenie, które także odbiło piętno na moim życiu i oczywiście nie tylko na moim. Potem dostałem przydział do szkoły do Mrągowa do takiej jednostki obsługującej lotniska. Mieliśmy wtedy tak zwanego dowódcę politycznego – politruka. Przed pierwszą pielgrzymką Jana Pawła II do Polski wydali zalecenia aby przeszukiwać żołnierzom w szafkach rzeczy i zabierać wszystkie książki, oznaki, atrybuty religijne. Oprócz tego wojskowi ich rodziny nie mogli opuszczać miasta żeby nie jechać na pielgrzymkę.

Jak skończyłem swoją służbę wojskową i zacząłem pracę w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Budownictwa Komunalnego to byłem w dziale głównego mechanika jako energetyk. Mój szef główny mechanik był również szefem POP. Drugi kolega był członkiem ZMS-u i mnie również wtedy proponowano zapisanie się do Partii. Ale udało mi się wtedy wybronić od tego pomysłu ze względu na to, że byłem osobą wierzącą i dali mi spokój. W sierpniu roku 1980 byłem akurat na urlopie kiedy mój kolega z dawnych lat powiedział o wycieczce wakacyjnej do Trójmiasta i zaproponował wspólny wyjazd. Ponieważ to mi pasowało udałem się na tą wycieczkę. W Tczewie mieliśmy bazę noclegową i stamtąd robiliśmy wyjazdy do różnych miejscowości. Tam dowiedzieliśmy się też wieczorem o przerwach w pracy w stoczni, o strajkach. Część wycieczki była już wtedy przestraszona i chciała wracać do domów. Ale większość dała się przekonać ze względu na poniesione koszty. Nasz kierowca dał się wtedy namówić i jeździliśmy dalej zgodnie z planem wycieczki. Zwiedziliśmy wtedy Gdańsk, Gdynię, Sopot. Było wtedy widać pustki na ulicach. W sklepach też za wiele nie było. Nasze zaplanowane obiady też się nie odbyły więc nie było to fajnie. Ale udało nam się namówić kierowcę żeby podjechać pod Stocznę. Jechaliśmy wtedy wzdłuż murów stoczni i widzieliśmy stoczniowców siedzących co parę metrów na murach. Autobus wolno jechał jeden ze stoczniowców rzucił nam nawet ulotki, takie w małym formacie. Były to 21 postulatów stoczniowców. Wziąłem parę z nich i jak wróciliśmy już do Przemysła opowiedziałem w pracy co tam się działo. Mieliśmy w naszym przedsiębiorstwie dużo kierowców, którzy się rozjeżdżali po różnych budowach. Kiedy oni dowiedzieli się o stoczniowcach to też podjęli swój strajk. Było to dnia 29 listopada 1980 roku. Wtedy różne grupy społeczne robiły przerwy w pracy i strajki rozniosły się to po całym kraju. Po podpisaniu porozumień wszyscy wracali do pracy 1 grudnia.

AB: Czy to był pierwszy moment w Pana świadomym życiu, że stwierdził Pan, że trzeba coś zrobić żeby przeciwstawić się tamtej socjalistycznej Polsce?

AW: Nas wtedy bardzo denerwowało to, że na przykład będąc wtedy na Pomorzu na wycieczce i widząc co się dzieje, to wieczorem w wiadomościach przedstawiano to zupełnie inaczej. To była iskra. Wtedy zaczęło się tworzenie Solidarności w zakładzie pracy i ja się w to też trochę zaangażowałem. W naszym zakładzie pracy jednym z przewodniczących Solidarności był pan Emil Biega – kierowca. Ponieważ ja pracowałem krótko wtedy to wybierano przede wszystkim osoby z dłuższym stażem, bardziej sprawdzone. Jak zaczęły się wybory na Delegatów w 1981 roku to nie było już odważnych, padła więc moja kandydatura i zostałem wybrany na Delegata na walne zebranie. Wtedy zacząłem trochę więcej działać w tym kierunku. To był ten okres tak zwanego „karnawału Solidarności”. Wtedy czuliśmy że coś stworzymy ale nikt wtedy nie wierzył w to, że komuna się rozpadnie. Przyjeżdżały wtedy znane osoby takie jak na przykład: Jacek Kuroń, Henryk Wujec, Jan Lityński. Chodziliśmy na te spotkania one odbywały się między innymi na świetlicy na Kmiecicach w Spółdzielni (PSM), w tzw. Metalowcu przy zakładach POLNA na ul. Mickiewicza. Na te spotkania przychodziło dużo ludzi. Te osoby poruszały tłumy i dawały dużo nadziei. Pamiętam słowa Jacka Kuronia o utworzeniu Polski samorządnej. Mam przy sobie nawet program z tamtych czasów. Chodziło o to, żeby dać więcej do powiedzenia ludziom, zwykłym obywatelom niż politykom. Zaczęliśmy organizować spotkania samorządowe aby doprowadzić do wyboru samorządu pracowniczego. Była w to zaangażowana taka osoba jak Leszek Zajac (późniejszy

wiceprzewodniczący Rady Miejskiej w Przemyślu, który m.in. witał Ojca świętego na stadionie POLNEJ). Niestety potem wybuchł stan wojenny. Członkowie Zarządu Solidarności w tym czasie pełnili dyżury w siedzibie regionu na Kamiennym Moście. Ja akurat trafiłem na swój dyżur 12 grudnia wieczorem. Wtedy w zasadzie nic specjalnie się nie działo. Pamiętam jaka wtedy była pogoda- zimny śnieg z deszczem. Wtedy odbywała się w Gdańsku komisja krajowa. Pracowała wtedy sekcja informacji z Ewą Szostkiewicz i braćmi Kurowskimi. Po swoim dyżurze wracałem do domu a mieszkalem wtedy na 1 maja obecnie ulicy Dworskiego. Budynek naprzeciwko mojej kamienicy przejęty został od jakiegoś czasu przez służbę bezpieczeństwa SB. Kiedy wróciłem o 8:00 do domu widziałem, że w budynku służby bezpieczeństwa palą się wszystkie światła. Do tego było zaparkowanych dużo samochodów i wykonywano podejrzane ruchy – coś się po prostu działo. Na pewno nie było to normalne działanie. Zaniepokoiło mnie to i zadzwoniłem wówczas do sekcji informacyjnej zapytać czy mają jakieś informacje na temat tego co tu się może dziać. Odebrał wtedy pamiętam Janusz Kurowski i powiedział że nie mają żadnych informacji i powiedział że może to są jakieś ćwiczenia. Pamiętam jak wymieniałem wtedy żarówkę na korytarzu w kamienicy a sąsiad podbiegł i powiedział czy wiem co się dzieje że Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Przygotowałem się wtedy na internowanie, nawet rzeczy ciepłe miałem przygotowane. Poszedłem wtedy zobaczyć co się dzieje pod rejonem na Kamiennym Moście ale nie chciałem wchodzić do środka. Był to wtedy dosyć pusto – ludzie chyba też byli wystraszeni. Następnie udałem się do Ojców Franciszkanów Reformatów – do mojego kościoła parafialnego na mszę na godz. 13:00. Potem do kolegi, bo bałem się od razu wracać do domu. W poniedziałek poszedłem do zakładu pracy. Zebrano wtedy kadrę kierowniczą na spotkanie w sprawie działań związanych z sytuacją w kraju. Mieliśmy przy naszym zakładzie taki zmilitaryzowany oddział, któremu można było wydawać dyspozycje w takiej sytuacji w razie strajków. Pamiętam jak dowódca tego oddziału – Wojciech Witkowski z Jarosławia chciał zwolnić się z tej funkcji i powiedział że nie będzie szturmować przykładowo bramy na Polnej itp. Praktycznie od razu po tym zebraniu zjawilo się SB i miał on sprawę na kolegium. Dostał sprawę w zawieszeniu i miał dużo nieprzyjemności z tego tytułu. W pracy zaczęły się reorganizacje wydaje mi się, że po to aby pozbyć się niepotrzebnych osób – wrogów państwa socjalistycznego. Ja też dostałem wypowiedzenie bez podawania przyczyny. Nie wiedziałem wtedy co ze mną będzie bo był stan wojenny, a ja jeszcze jako zaangażowany działalność solidarnościową nie wiedziałem czy znajdę pracę. Zdawałem sobie sprawę że będę musiał ponieść jakieś konsekwencje. Ja wtedy byłem kawalerem mogłem sobie wtedy na więcej pozwolić. Na szczęście część załogi z pracy się za mną wstawiła i wspierała mnie. Najbardziej chyba Leszek Zajac. W efekcie zostałem zdegradowany, zabrali mi trochę pieniędzy ale było to przynajmniej jakieś czasowe wyjście.

AB: Czy pozostali Pana koledzy z pracy zaangażowanie w działalność też mieli takie trudności?

AM: Tak, potraktowani zostali bardzo podobnie też pod pretekstem reorganizacji w pracy. Ja w międzyczasie zacząłem szukać kontaktów z osobami które też nie były internowane tak jak ja. Na przykład: Waldek Wiglusz, z którym się dużo wcześniej znałem, on też był w zarządzie, a w wyborach żeśmy się trochę wspierali. Waldka znałem ze szkoły podstawowej i z technikum. Potem studia w Rzeszowie. Spotykaliśmy się z Waldkiem, a potem w sumie z około 7 osobami

z zarządu których nie internowali. Ja miałem dwie teorie dotyczące tego dlaczego ja nie byłem internowany: przecież mieli namiary i adresy wszystkich osób, Pan Artur Brożyniak stwierdził kiedyś, że listy do internowania tworzone były w marcu 1981, a ja w zarządzie i na walnym byłem trochę później i chyba mnie i innych nie zdążyli dopisać do list internowanych osób. Druga teoria to stało się tak po to żeby poróżnić nas i wprowadzić jakąś niepewność co do kolegów. Jak już nawiązywałem kontakty z internowanymi to była zawsze duża ostrożność wśród ludzi i co do kontaktów. Potem okazało się, że jednak część z nich podpisywała współpracę.

AB: A skąd pan wiedział o tym, że podpisywali współpracę – przyznali się do tego czy dowiedział się Pan tego z akt IPN?

AM: Po latach część z nich się przyznawała. Nawet jeden z moich kolegów ale nie będę podawać nazwiska i już po 1989 miał firmę budowlaną i mi się do tego przyznał. Nie będę tego oceniać, bo ludzie byli w różnych sytuacjach życiowych. Byłem w stanie zrozumieć takie działanie ale bez donoszenia na kolegów zawsze można było jakoś delikatnie ostrzec albo po prostu składać raporty tak żeby chronić kolegów. W zarządzie też dużo osób należało do klubu inteligencji katolickiej KIK. KIK też został zawieszony w stanie wojennym aż do 1983 r. ale środowisko dalej się spotykało nieoficjalnie. Inspirowali działalność charytatywną i konspiracyjną. Funkcjonowała między innymi apteka z darów. Kiedy nasz kolega Rysiek Buksa był internowany w Uhercach Mineralnych, podjął akcję głodówkową w 1982 roku. Po tej głodówce trafił do szpitala w Sanoku. Wtedy zostałem wysłany do niego aby zawięzić mu paczkę z darami i z wydawnictwami. Kiedy się spotkaliśmy udało nam się zmylić pilnujących i chwilę porozmawialiśmy. Powiedziałem mu co się u nas dzieje. W tym czasie zaczynały się też spotkania krasiczyńskie u księdza Bartmińskiego. Wtedy było poczucie wspólnoty, wszyscy wiedzieliśmy, że to co robimy ma sens. Poznałem wtedy między innymi Marka Kuchcińskiego wtedy studenta z KULu. Ściągnął on min. Adama Stanisławskiego doktora z KUL. Jego wykład zapadł mi w pamięci. Wtedy był styczeń i on opowiadał o Powstaniu Styczniowym. Płakaliśmy wówczas wszyscy... Pamiętam msze za księdza Popiełuszkę w Świętej Trójcy u sióstr Benedyktynek w Przemyślu. Potem przemawiał Zygmunt Majgier, mieliśmy też krzyż pamiątkowy. Kiedy po mszy rozchodziliśmy się do domów odprowadzałem kolegę do ulicy Warneńczyka. Szliśmy w kierunku ul. Grunwaldzkiej dochodziliśmy do ul. Świętego Jana aż tu nagle ktoś za nami biegnie. Ci posępni panowie powiedzieli, że zapraszają nas do pojazdu służbowego – Nyski. Spisali nas wtedy gdzie kto pracuje żeby nas zastraszyć, wyrzucić jakąś presję. Na szczęście skończyło się to tylko na spisaniu nas. W 1984 zmieniłem pracę, bo atmosfera w starym zakładzie po wydarzeniach z Solidarnością jednak była zbyt ciężka. Wtedy zatrudniłem się w Spółdzielni projektowania i wykonawstwa inwestycyjnego i usług – Invest Projekt – zlokalizowanej w obecnym budynku Urzędu Gminy na ul. Borelowskiego.

AB: Jak potoczyły się Pana losy po zmianie pracy?

AM: To był duży zakład, budowaliśmy wtedy osiedla w Przemyślu i nie tylko. Niestety u mnie zaczęło się z pewnymi przygodami, ponieważ przez wcześniejsze wydarzenia nasiliła się u mnie choroba wrzodowa i odchorowałem to. W nowej pracy były inne warunki finansowe była to praca na akord itp. Niestety w czasie tej mojej choroby dostałem wypowiedzenie i unieważniono

warunki za porozumieniem stron. Okazało się że dyrektor nie chciał obciążać finansowo firmy. Chcieli mnie dopiero przyjąć po wyjściu ze szpitala. Ledwo uszedłem wtedy z życiem podczas pobytu w szpitalu. Straciłem wtedy bardzo dużo krwi, miałem krwotoki, a potem żółtaczkę. Od decyzji dyrektora w pracy odwołałem się do sądu i dostałem przywrócony do pracy. Atmosfera w pracy jednak była w porządku. Dobrze wspominam te czasy. W 1989 roku zainspirowałem nawet w pracy Związek Solidarność. W KIKu jeszcze z Adamem Medelczykiem prowadziliśmy dyskusyjny klub filmowy DKF działający przy przy centrum oraz wystawy fotograficzne – to on to prowadził. Drugą osobą która się udzielała był Zygmunt Nowotyński – oni obaj byli z Zakładu Polna. KIK miał zawsze dwie osoby wprowadzające i to był jakiś rodzaj zabezpieczenia przed bezpieczeńką. Organizowaliśmy na projektorze 16 mm pokazy filmów, mieliśmy też wideo magneto-wid. Organizowaliśmy filmy, które krążyły wtedy na kasetach wideo, na przykład „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego. To był mocny film, który zrobił na wszystkich ogromne wrażenie.

Pamiętam też pierwsze Dni Kultury Chrześcijańskiej. Pierwsza edycja miała sztab właśnie w naszej siedzibie w KIKu przy tzw. murku, który już nie istnieje. Miło wspominam ten czas – przyjeżdżali wówczas znani ludzie tacy jak: Krzysztof Kolberger, Anna Nehrebecka i wiele innych. Przychodziło też dużo osób z Seminarium Duchownego, Towarzystwo Biblijne. Powstał wtedy Chór Magnificat, który założył ksiądz Gniady przy KIKu. U mnie zmieniła się wtedy sytuacja rodzinna, bo w 1987 roku ożeniłem się. Potem urodziły mi się kolejno w latach 1988, 89 i 90 roku trzy córki. Żona w tym czasie nie pracowała. A jak były wybory Solidarności po 1989 roku to byłem delegatem z pracy. Jednak nie kandydowałem dalej ze względu na obowiązki rodzinne. Pomagałem za to organizacjach spotkań jak przyjeżdżali do nas kandydaci do sejmu na przykład Janusz Onyszkiewicz, Jan Musiał, Jerzy Trelka itp. Pilnowałem także wyborów z rekomendacji Solidarności w komisji na Kmiecicach w PSM. Pamiętam że wtedy wracałem nad ranem zadowolony do domu – było trochę tej radości.

AB: A jak pan ocenia sytuację polityczną i społeczną w Polsce dzisiaj w kontekście tamtych wydarzeń? Jak Pana zdaniem się to potoczyło?

AM: Chciałbym jeszcze wcześniej wrócić do KIKu... Jak powstały Komitety Obywatelskie to z KIKu dużo osób zaangażowało się w te komitety. Mieliśmy później nawet sześciu radnych z KIKu. A jak oceniam tę sytuację polityczną? Do pewnego czasu wydawało się, że przemiany jakieś się zaczną. Potem jednak okazało się, że jest duży opór ze strony starego układu i tych agentów jeszcze trochę funkcjonuje w różnych środowiskach. Oni nawet czasem pewne sytuacje inspirują i mają na nie wpływ. Ja mam za to potwierdzony status działacza opozycji antykomunistycznej – wystąpiłem dopiero o to w roku 2022. Pomogły dokumenty z KIKu, świadectwa: Zygmunta Majgiera, Wojtka Kłyża, Janka Szota. Janek był członkiem w komisji jak były wybory w pierwszej Solidarności. Stanisław Żółkiewicz był wtedy przewodniczący w tej komisji. Pamiętam jak Żółkiewicz kiedyś zgłosił się do mnie abym rozprawdzał wydawnictwa. Powiedział wtedy, że skontaktuje mnie z człowiekiem z Polnej. Pamiętam jak umówiłem się z nim w ustronnym miejscu na ogródkach powyżej osiedla Warneńczyka. Głównie po to żeby Żółkiewicz nie miał ogona ze służb. Pamiętam jak w strachu przenosiłem te papiery przez całe miasto. Były takie sytuacje kiedy miałem przy sobie pół rzyby bibuły, a milicjanci akurat na tej samej ulicy na patrolu.

Byłem wtedy bardzo wystraszony, kto wie czy z tych nerwów nie wzięły się później moje problemy zdrowotne... Te papiery trzymaliśmy w oficynie u mojego kolegi na ul. Tarnawskiego. Potem poznałem się z Zygmuntem Majgierem, uczestniczyliśmy razem w spotkaniach w Krasiczynie, w duszpasterstwie ludzi pracy na Kmieciach. Przygotowywaliśmy się do pierwszej pielgrzymki Papieża do Polski. Był wtedy duży pochód około 300 osób. Organizowali to między innymi Żółkiewicz, Kamiński Zygmunt Majgier., Jan Musiał, Jurek Bonarek. Był zamówiony specjalny pociąg na stacji PKP przy pomocy biura Orbis. Pochód z osiedla Kmiecie z transparentem Solidarności ale rozwinęliśmy go dopiero w Krakowie...Mieliśmy też krzyż, emblematy Solidarności ale w tłumie się nie przejmowaliśmy pomimo obecności służb SB. Moim zdaniem wtedy w Przemysłu były dwa nurty: przy Marku Kamińskim, Janku Musiale, Zygmuncie Magierze, Stanisławie Żółkiewczu. A druga działalność to taka bardziej ukryta, działająca przy kościele Świętej Trójcy, przy KIKu, działalność nie nagłaśniana żeby nie ściągać niepotrzebnych obserwatorów SB. Później z Zygmuntem założyliśmy takie ogniwo ROPu na naszym terenie. Zygmunt był nawet radnym z tego ramienia. Wtedy Robert Choma był też zaangażowany w te pierwsze wybory. Muszę powiedzieć, że Zygmunt mnie inspirował. Ale wracając to wątku to ja robiłem to z potrzeby serca i przekonań nie dla żadnych korzyści. Chciałem żeby Polska była po prostu lepsza. Bardzo to przeżywam że nie do końca poszło to w dobrym kierunku. Jak widzę jak niektórzy ludzie z tej pierwszej Solidarności, w których wierzyłem, dałbym za nich wskoczyć w ogień, np. Lech Wałęsa TW Bolek i wszystkie dokumenty na to...

AB: A z drugiej strony pozytywne postacie takie jak Anna Walentynowicz...

AM: Albo Andrzej Gwiazda, który w pewnym momencie odgrywał najważniejszą rolę. A potem go tak zmarginezowali... I zresztą też wielu innych działaczy. Albo prawdziwa twarz Frasyniuka...

AB: A jak pan sądzi jakie przesłanie z tamtych czasów można by było przekazać młodym ludziom? Jakie wartości są istotne?

AM: Niestety wydaje mi się, że pokutuje tutaj słaby program nauczania historii w szkole, wśród obecnej młodzieży. Poza tym ta młodzież wychowała się już w innych czasach można powiedzieć w dobrobycie. Ciężko porównywać obecną młodzież z moimi czasami. Mi czasem ciężko jest rozmawiać z własnymi dziećmi o tych sprawach. Środowisko wielkomiejskie ma też duży wpływ na kształtowanie młodych ludzi. Moim zdaniem największym plusem tych wszystkich przemian było otwarcie się na świat, możliwość wyjazdu, brak ograniczeń w tym zakresie. Ja wspominam do dziś mocno naszą pielgrzymkę do Watykanu i Rzymu, do której przygotowaliśmy się ponad rok czasu. To był wyczyn finansowy i logistyczny w tamtym czasie. Wspomnienia niezapomniane.

AB: Dziękuję za rozmowę



Adam Majgier



KS. JAN PĘPEK



fot. Korso Kolbuszowskie

„Dla mnie, młodego księdza, to było wielkie przeżycie”

Wywiad z ks. Janem Pępkim, byłym kapelanem „Solidarności” w Przemyślu

Jacek Borzęcki: -Jak to się stało, że młody wikariusz z przemyskiej parafii na Kmieciach został kapelanem podziemnej „Solidarności”?

Ks. Jan Pępek: -To wszystko rozpoczęło się w 1986 roku. Wtedy byłem młodym księdzem, zaledwie cztery lata kapłaństwa. W sierpniu 1982 roku otrzymałem święcenia kapłańskie i trafiłem do parafii w Kormanicach koło Przemyśla. Dwa lata później zostałem wikariuszem w przemyskiej parafii na Kmieciach, gdzie proboszczem był ks. Adam Michalski. I to, że w 1986 roku zostałem kapelanem podziemnej „Solidarności” w tym patriotycznym mieście, stolicy rozległej wówczas diecezji przemyskiej, to była zasługa mojego profesora z Wyższego Seminarium Duchownego – ks. Stanisława Zarycha, ówczesnego proboszcza w parafii pw. Św. Trójcy w Przemyślu. To on wysunął moją osobę i polecił ordynariuszowi diecezji przemyskiej. Pamiętam takie oto słowa skierowane do mnie przez księdza biskupa Ignacego Tokarczuka: „A więc, proszę księdza, proszę działać. A jak będzie trzeba, to i groszem sypnę”. Dla mnie, młodego księdza, to było wielkie przeżycie.

JB. -Jak wiadomo, parafia św. Trójcy w Przemyślu, dzięki życzliwości proboszcza Zarycha

i poparciu biskupa Tokarczuka, stała się w okresie stanu wojennego i późniejszych latach ostoją opieki nad internowanymi działaczami „Solidarności” oraz ich rodzinami. Było to także miejsce spotkań działaczy podziemnej „Solidarności”. Jak wiadomo, w 1986 roku przenieśli się oni do parafii Matki Bożej Królowej Polski, czyli właśnie na Kmiecie, pod księdza duchową opiekę. Czy pamięta ksiądz ich nazwiska?

Ks. Jan Pępek: -Oczywiście pamiętam, w każdym razie tych najważniejszych, bo najbardziej energicznych i zaangażowanych. To był 86 rok, czyli 37 lat temu, jak zaczynałem działalność tego naszego duszpasterstwa „Solidarności”, więc już nie wszystkie szczegóły pamiętam. Powiem szczerze, że nic w tamtych czasach nie zapisywałem, zresztą z powodów bezpieczeństwa. Spotykaliśmy się w gronie m.in. takich bliskich mi działaczy, jak: Janek Musiał, Stanisław Żółkiewicz, Zygmunt Majgier, Marek Kamiński, Adam Piecuch, Marek Kuchciński, Janek Jarosz, Artur Wilgucki. Później doszedł do nich jeszcze Janek Draus. Od strony medycznej pomagała nam pani doktor laryngolog, Grażyna Szybiak, oraz jej mama, pielęgniarka. Przychodziło również wiele innych osób. Mieliśmy takie spotkania na Kmieciach i podejmowaliśmy tam decyzje co do konkretnych spraw i planowanych działań.

J.B. –Czy mógłby tu ksiądz wymienić jakieś przykłady?

Ks. Jan Pępek: -Organizowaliśmy 13-go dnia każdego miesiąca, a także w dni patriotycznych rocznic, Msze św. za Ojczyznę. Do tego zresztą zobowiązywał ks. biskup Tokarczuk. Odprawialiśmy je nie w naszym skromnym drewnianym kościółku, zbudowanym w 1979 roku bez zezwolenia komunistycznych władz, tylko w dużym kościele ojców salezjanów. Pomagał nam w tym ks. Zbigniew, salezjanin.

Były też takie sprawy, jak organizowanie pochodów i manifestacji, oraz opłacanie wysokich grzywien za anty-reżimowe hasła. Tych różnych haseł i tych kar było jednak bardzo dużo. Nie mieliśmy nad tym kontroli. Podjęliśmy więc decyzję, że kto zostanie ukarany grzywną za wykrzykiwanie haseł nie uzgodnionych z kierownictwem podziemnej „Solidarności”, to nie otrzyma zwrotu kosztów kary. No i uzyskaliśmy kontrolę nad treścią haseł, a zarazem zmniejszyła się ilość kar.

J.B. –Zdaje się, że to od duszpasterstwa „Solidarności” na Kmieciach rozpoczęły się na Podkarpaciu wykłady tzw. „uniwersytetu ludowego” dla mieszkańców?

Ks. Jan Pępek: -Działalność ta rozpoczęła się zarówno w Przemyślu, jak i w Stalowej Woli. Najwięcej moich działań związanych było właśnie z funkcjonowaniem tego „latającego uniwersytetu ludowego”. To była inicjatywa Jana Musiała, Jana Drausa i Tadeusza Ulmy, bardzo zresztą wspierana przez ks. biskupa Tokarczuka. Oni sami występowali z odczytami, a także zapraszali różnych prelegentów z całej Polski. Te wykłady odbywały się w naszej parafii na Kmieciach, ale także w innych parafiach na terenie diecezji przemyskiej. Tak więc przyjeżdżali do nas z wykładami opozycyjni wobec reżimu dziennikarze i profesorowie, a moim zadaniem było przyjęcie ich, nakarmienie i przenocowanie. I miałem wtedy kontakty z wieloma znanymi w całym kraju osobami.

J.B. –Mógłby ksiądz podać jakieś przykłady?

Ks. Jan Pępek: -Przypominam sobie np. przyjazd ówczesnego prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Stefana Bratkowskiego. Gdy wiozłem go ze stacji PKP, to jechali za nami esbecy aż w dwóch samochodach. Po przyjeździe na plebanii zawiozłem go na umówione spotkanie z ks. biskupem Tokarczukiem w Pałacu Biskupim. Ich rozmowa trwała bardzo długo. Po powrocie na plebanie zaprowadziłem pana Bratkowskiego do przygotowanego dla niego pokoju. Było tam duże okno i przez nie widać było milicjantów kręcących się wokół budynku. Pan Bratkowski poprosił mnie o inne pomieszczenie. –Przez to duże okno mogą wrzucić mi coś do pokoju. Boję się, że mogą mnie tu zabić – powiedział.

Spotkanie Stefana Bratkowskiego ze społecznością Przemyśla odbyło się w kościele ojców salezjanów. Przyszło tam bardzo wielu ludzi. On bardzo krytycznie wypowiadał się o postawie Wojciecha Jaruzelskiego, mimo że – jak przyznał – starał się go wspierać w okresie przed wprowadzeniem stanu wojennego. Wszyscy byli pod wrażeniem wystąpienia pana Bratkowskiego, jego zasobu wiedzy i wiadomości, które przekazywał. Ja zresztą też wiele skorzystałem na rozmowie z nim. Nie zważałem na to, że powiedział mi wprost: „Księżo, ja jestem niewierzący, ale czytam Pismo Święte, a w ogóle to pochodzę z Łodzi”. Było też paru innych prelegentów, którzy tak samo mówili mi, że są niewierzącymi. Starałem się jednak być otwarty, nie oceniać, a szanować każdego za patriotyzm i za odwagę sprzeciwiania się złu.

Największe jednak wrażenie sprawiły na mnie wykłady innego prelegenta – pochodzącego z księżęcego rodu Pawła Czartoryskiego, wybitnego historyka nauki, badacza, wydawcy dzieł Mikołaja Kopernika, profesora w Instytucie Historii Nauki PAN, oraz wykładowcy wielu uniwersytetów. Na jego pierwszym wykładzie było bardzo wielu słuchaczy, na drugim trochę mniej, a na trzecim bardzo mało. I pamiętam, że po tym trzecim wykładzie, gdy na plebanii usiedliśmy z profesorem Czartoryskim do kolacji, on powiedział do mnie: „Księżo, nie będzie w Polsce dobrze, jeśli ludzie nie zechcą się uczyć”.

J.B. –Spektakularnym sukcesem duszpasterstwa „Solidarność” na Kmieciach był zorganizowany 9 czerwca 87-go roku wyjazd kilkuset przemyskich katolików na spotkanie z papieżem Janem Pawłem II w Tarnowie. Jak to się udało zrobić?

Ks. Jan Pępek: -To było bardzo ważne i udane wydarzenie, choć jak się później okazało, poszliśmy z tym trochę chyba za mocno. A zaczęło się to parę miesięcy wcześniej. Otóż, przyszedł do mnie Stanisław Żółkiewicz i mówi: „Księżo, w czerwcu mogą być kłopoty z transportem do Tarnowa. Wykupujemy więc cały pociąg z Przemyśla do Tarnowa na dzień wizyty Ojca Świętego!” Ja grosza nie miałem, ale oni to wszystko pozałatwiali, przygotowali specjalne bilety i porozprawdzali je wśród parafii. No i 9-go czerwca na stacji PKP w Przemyślu podstawiono do dyspozycji naszego duszpasterstwa pociąg specjalny. Jedyny taki w całej, rozległej wówczas diecezji przemyskiej. Na uroczystej Mszy św. u nas na Kmieciach, grono młodych parafian wystąpiło z patriotycznym koncertem, po czym ruszyliśmy pochodem przez cały Przemyśl, ze śpiewem i transparentem, do dworca kolejowego. Oczywiście, po bokach obecni byli obserwujący nas es-

becy i milicjanci. To było największe zgromadzenie ludzi, jakie widziałem podczas całego mojego pobytu na tej parafii.

Bilety przy wsiadaniu do pociągu sprawdzał zespół osób z opaskami na rękawach z naszego duszpasterstwa. Później wpuszczali i bez biletu, jeśli kogoś znali z działalności w parafiach lub w „Solidarności”. Wiele takich osób dosiadło się też w Jarosławiu i w Rzeszowie. W sumie pociąg był tak bardzo naładowany, że już nikogo więcej nie dało się wcisnąć. Ale jakoś dojechaliśmy w nocy do przedmieścia Tarnowa, gdzie nas wysadzono i skąd musieliśmy przejść kilka kilometrów dalej. Spotkanie z Janem Pawłem II było dla nas wszystkich wielkim, niezapomnianym przeżyciem, i wprawdzie mocno strudzeni, ale szczęśliwi wracaliśmy do Przemyśla.

J.B. –Zorganizowanie tej pielgrzymki było niewątpliwym sukcesem. Jak więc zrozumieć to, że wkrótce potem został ksiądz pozbawiony funkcji kapelana „Solidarności” i przeniesiony do Rzeszowa?

Ks. Jan Pępek: -Wielu księży proboszczów niezbyt pozytywnie odebrało ten fakt, że to akurat ja, młody i dość nisko stojący w hierarchii ksiądz, decydowałem – bo decydować musiałem – ile miejsc w pociągu można było przydzielić każdej z parafii. A oczywiście, wszystkich chętnych zabrać się po prostu nie dało. Być może te nastroje przyczyniły się do tego, że kilka tygodni później Kuria Biskupia zdecydowała o przeniesieniu mnie z przemyskiej parafii na Kmieciach do kościoła garnizonowego Matki Bożej Królowej Polski w Rzeszowie.

J.B. –Jak tam został ksiądz przyjęty?

Ks. Jan Pępek: -Proboszcz w Rzeszowie, w randze majora, przyjął mnie niezbyt życzliwie. Powiedział mi wprost: „Czy ksiądz czasem nie przybył tu, żeby na mnie donosić? Bo ja wiem o księdza działalności wśród przemyskich działaczy antyrządowej podziemnej Solidarności”.

No i nie pozwolił mi na zamieszkanie razem z dwoma młodymi, dopiero co wyświęconymi wikariuszami. Powiedział: „Nie, ksiądz będzie mieszkał ze mną. Nie będzie miał ksiądz osobnego wejścia. Razem będziemy tu wchodzić, tak żebym wiedział z kim się ksiądz spotyka, i żebym widział kto do księdza wchodzi i wychodzi”.

Dosłownie zdębiałem, bo nie wiedziałem o co tu chodzi. W Kurii Diecezjalnej w Przemyślu powiedziano mi, że moje przeniesienie związane jest z tym, że mam prowadzić w Rzeszowie duszpasterstwo ludzi pracy w kościele Serca Pana Jezusa (będącym aktualnie rzeszowska katedrą). Tam pięknie działał ks. wikariusz Eugeniusz Dryniak. No i jego przeniesiono na moje miejsce do przemyskiej parafii na Kmieciach. Tymczasem mnie, zamiast na jego miejsce, ostatecznie przeniesiono do kościoła garnizonowego. Zwróciłem się z tym do biskupa pomocniczego Stefana Moskwy. Ks. biskup powiedział mi tak: „Otóż, Jasiu, tam w garnizonowym musi być jakiś starszy kapłan, a Ty masz już 5 lat kapłaństwa”.

J.B. – A co z proponowanym prowadzeniem duszpasterstwa ludzi pracy w parafii Serca Pana Jezusa w Rzeszowie?

Ks. Jan Pępek: -Otóż udałem się do proboszcza, zasłużonego budowniczego tego kościoła, a obecnie katedry, i powiedziałem mu, że trudno mi będzie tu dojeżdżać z kościoła garnizonowego i prowadzić duszpasterstwo ludzi pracy w sytuacji, gdy zlecono mi 27 godzin lekcji katechezy w szkołach. A on na to: „Nie ma takiej potrzeby. Rzeszów to nie Przemyśl. Tutaj nic się nie dzieło, nic się nie dzieje, i nic się dzieć nie będzie”. Wtedy już do końca zrozumiałem, dlaczego mnie przeniesiono do Rzeszowa.

J.B. –Podobno działacze podziemnej „Solidarności” z duszpasterstwa na Kmieciach wysłali pismo do biskupa Tokarczuka z prośbą o pozostawienie księdza w Przemyślu. Czy była jakaś odpowiedź?

Ks. Jan Pępek: -Wiedziałem o tym. Gdy byłem w przemyskiej Kurii Diecezjalnej, to dorwał mnie ks. kanclerz i mówi: „Czy ty myślisz, że to, co pisali tutaj za tobą do biskupa, to dojdzie do niego? Otóż nie, bo o takich sprawach to my decydujemy.”

No więc nie było poparcia dla tej mojej otwartości na działaczy podziemnej „Solidarności”. Może bali się w Kurii, że w rzeszowskim kościele Serca Pana Jezusa będą się angażował w działania polityczne? Ale ja przecież nic takiego nie robiłem. Byłem tylko otwarty na patriotyzm i na potrzeby ludzi „Solidarności”. Miałem odwagę i chęć spotkania się z nimi. Zrozumiałem, że w Rzeszowie nie będę miał już nic do czynienia z duszpasterstwem robotników.

J.B. –Na niedawnym spotkaniu w Przemyskim Towarzystwie Kulturalnym prof. Jan Draus skomentował m.in. ambitną działalność skupionego wokół Marka Kuchcińskiego środowiska niezależnej kultury z przełomu lat 80-tych i 90-tych. I tu przeciwstawił Rzeszowowi i reszcie Podkarpacia właśnie Przemyśl, jako miasto z charakterem, z bardzo aktywną społecznością przywiązaną do wolności i niezależności. Czy ksiądz też miał takie odczucie prowadząc duszpasterstwo „Solidarności”?

Ks. Jan Pępek: -W pełni zgadzam się z prof. Janem Drausem, że Przemyśl miał taką jakby duszę wolności. Tam się działo coś takiego, że nawet przeciętny przemysłanin nie bał się wówczas Bezpieki, otwarcie mówił co myśli, był odważny. Z pewnością ogromne znaczenie w tym względzie miała obecność w Przemyślu ks. biskupa Ignacego Tokarczuka, i jego finansowa pomoc dla działaczy skazanych na kary grzywny. Niezwykła odwaga i niezłomność księdza biskupa jakby przenikały w serca i dusze mieszkańców Przemyśla. W Rzeszowie nie było tego wszechogarniającego ducha, choć też były tam osoby zaangażowane w działalność wolnościową i patriotyczną.

J.B. –Jak często i z jakimi odczuciami odwiedza ksiądz to wyjątkowe nadszańskie miasto, na którego patriotycznych kartach historii zapisane jest też i księdza nazwisko?

Ks. Jan Pępek: -Każdego roku, jak tylko pełnione obowiązki pozwalają, odwiedzam Przemyśl, katedrę, i zawsze też Kalwarię Paclawską. Kończąc te moje wspomnienia chciałbym objąć wdzięczną pamięcią zwłaszcza dwie osoby związane z tym miastem.

Biskupowi Ignacemu Tokarczukowi, podniesionemu później do godności arcybiskupa, zawdzię-

czam to, że zostałem wyświęcony na księdza. Gdy w grudniu 81 roku, na 6-tym roku Wyższego Seminarium Duchownego, zachorowałem na wirusowe zapalenie opon mózgowych i mózgu, to już przygotowany byłem na śmierć. Wobec długiego pobytu w szpitalu wstrzymano mi święcenia kapłańskie. Po szczęśliwym pokonaniu choroby i wyjściu ze szpitala, tylko dzięki wstawiennictwu ks. biskupa Tokarczuka pozwolono mi nadrobić zaległości i otrzymać święcenia kapłańskie w sierpniu 1982 roku, 3 miesiące po święceniach moich kolegów.

Druga osoba, którą z wdzięcznością tu wspominam, to mój dawny profesor z seminarium, ks. Stanisław Zarych. To on mnie polecił, jako młodego księdza, do pełnienia funkcji duchowego opiekuna działaczy podziemnej „Solidarności” w duszpasterstwie na Kmieciach. A ten dwuletni okres bliskiego duchowego kontaktu z tymi wspaniałymi ludźmi o dobrych sercach i odważnych duszach, był dla mnie osobiście niezwykle ważny. Do dzisiaj wspominam ich z wdzięcznością za naszą współpracę. Bóg zapłać!

(Wywiad przeprowadził i autorsko opracował – Jacek Borzęcki)

P.S.

W 1992 roku **ks. Jan Pępek** został wikariuszem w parafii Wszystkich Świętych w Kolbuszowej. W 1995 roku został on mianowany przez ordynariusza nowo powstałej (w marcu 1992 roku) diecezji rzeszowskiej, ks. biskupa Kazimierza Górniego, „rektorem Rektoratu p.w. Brata Alberta w Kolbuszowej”, czyli zostało mu powierzony zadanie budowy nowego kościoła dla nowo erygowanej parafii kolbuszowskiej. Jeszcze we wrześniu 1995 roku została poświęcona nowa kaplica, a w listopadzie 2000 roku odbyła się konsekracja nowo wybudowanego kościoła dla parafii p.w. św. Brata Alberta w Kolbuszowej. Budowniczy kościoła i proboszcz tej parafii, ks. Jan Pępek, został za swoje dzieło odznaczony m.in. godnością kanonika, oraz złotym krzyżem zasługi. Jest on także dziekanem dekanatu Kolbuszowa-Zachód. W dniu 21 sierpnia 2022 bohater tego wywiadu uroczystie obchodził jubileusz 40-lecia swego kapłaństwa.

JAN SOŁEK



Zdjęcie: IPN Oddział w Rzeszowie.

Wywiad z Janem Sołkiem

Rozmawiają Jan Jarosz, Jacek Borzęcki

Pytanie: - Co skłoniło Pana do podjęcia działalności opozycyjnej? Jak to się zaczęło?

Jan Sołek: - Zaczęć może od domu rodzinnego. Otóż, od najmłodszych lat pamiętam jak ojciec słuchał Radio „Wolna Europa”. Do dziś wspominam duże pudło radioodbiornika, wielometrową spiralę cienkiego miedzianego drutu jako anteny przy ścianie w kuchni i niezapomniany, modulujący z powodu zagłuszania, głos spikerów RWE. Byłem najpierw mimowolnym, z czasem jednak coraz bardziej świadomym słuchaczem. Bez wątpienia wstrząsnęły mną wydarzenia w grudniu 1970 roku na Wybrzeżu. Ojciec był wówczas w sanatorium, byłem w domu tylko z mamą. Miałem wtedy 12 lat. Nigdy nie zapomnę przerażenia i wzburzenia mamy kiedy się okazało, że władze komunistyczne wysłały milicjantów i żołnierzy, aby strzelali do bezbronnych ludzi w Gdańsku i Gdyni. To był prawdziwy szok. Oczywiście, wielki wpływ wywarł na mnie, tak jak i na większość Polaków wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża i pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski w czerwcu 1979 r. Tłumy rodaków na spotkaniach z papieżem i głoszone przez niego homilie, zwłaszcza ta z Placu Zwycięstwa w Warszawie z pamiętnym wezwaniem:

„Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej Ziemi!” Gdy latem 1980 roku zaczynały się w Polsce strajki, byłem już wewnątrznie ukształtowanym, choć jeszcze nie zorganizowanym „elementem antysocjalistycznym”.

- A w którym momencie włączył się Pan do konkretnej działalności?

Jan Sołek: -Była jesień 1980 r., zaczynał się rok akademicki. Vis-a-vis budynku Instytutu Pedagogiki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, gdzie studiowałem, był kościół p.w. Chrystusa Króla. Któregoś dnia, między zajęciami, przystanąłem przed parafialną tablicą z ogłoszeniami Duszpasterstwa Akademickiego „Wieczernik” i akurat spotkałem duszpasterza, księdza Ireneusza Folcika. Porozmawialiśmy, i zaprosił mnie na spotkanie do „Wieczernika”. Tak zaczęła się moja przyjaźń z księdzem Ireneuszem, oraz aktywność w Duszpasterstwie Akademickim, a później w niezależnym ruchu studenckim.

- Włączył się Pan również do działań w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów w WSP. Jakie były wówczas postawy młodzieży studenckiej, Pana kolegów i koleżanek?

Jan Sołek: – Większość osób w gronie inicjatorów powstania Niezależnego Zrzeszenia Studentów na WSP w Rzeszowie – to była młodzież wywodząca się z naszego „Wieczernika”, między innymi Janek Niemiec (późniejszy ksiądz biskup diecezji kamieniecko-podolskiej na Ukrainie, niestety już nieżyjący), Małgosia Czernik (Dudek), Leszek Granat (wszyscy z nauczania początkowego). Nieocenioną rolę w powstaniu i późniejszym rozwoju NZS-u odegrali także studenci germanistyki: Wanda Tarnawska i Marek Wójcik. Trudno byłoby nie wspomnieć o Radku Wyrzykowskim, który studiował na fizyce i był wyjątkowo zaangażowany w działalność NZS-u. Jego rodzice wykładali w naszej uczelni, na wydziale matematyczno-fizycznym, a jako byli żołnierze Armii Krajowej i uczestnicy Powstania Warszawskiego, stanowili dla młodego pokolenia wzorzec postawy niepodległościowej. Muszę też tu wspomnieć o moim koledze z Przeworska, Andrzej Wontorze, a także o Januszu Soboniu, Zenku Fajgerze, i Joli Szafran (dziś Honkisz). W akademiku, w sąsiednim pokoju, w naszej dziesiątce, mieszkał pochodzący z Warszawy Andrzej Urbański, który również był jednym z organizatorów NZS-u i w pewnym sensie łącznikiem naszego środowiska ze Stolicą. Przywoził nam z Warszawy nie tylko nowinki, ale też wydawnictwa bezdebitowe. Miałem z nim bezpośredni kontakt. Co prawda, działacze NZS-u wśród młodzieży studiującej było na początku niezbyt wielu, ale warto podkreślić, że bardzo ideowych i zaangażowanych. Z czasem dołączały kolejne osoby i nasza organizacja stopniowo powiększała się.

- Jak wspomina Pan działalność waszego NZS-u w tych dwóch „solidarnościowych” latach: 80-81?

Jan Sołek: – 10-go października 1980 roku powstał na naszej uczelni, jako pierwszy w Rzeszowie, Tymczasowy Komitet Założycielski Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Z czasem podobne komitety zawiązały się na Politechnice Rzeszowskiej i w filii Akademii Rolniczej na Zalesiu, zaś po kilku miesiącach również w filii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Można powiedzieć, że ta studencka mobilizacja była pochodną wydarzeń, które się rozpoczęły w Polsce po

podpisaniu Porozumień Sierpniowych 31 VIII 1980 r. i powstaniu NSZZ „Solidarność” – jedynej w krajach bloku sowieckiego organizacji niezależnej od partii komunistycznej. W tych okolicznościach NZS powstawał w atmosferze euforii i chęci przyłączenia się do naprawy Ojczyzny, do lepszego urzędowania Kraju – co tu mówić – zdewastowanego gospodarczo i moralnie przez lata komuny. Mieliśmy ambicję być młodzieżową awangardą „S”, zainteresowaną poszerzaniem wolności obywatelskich. Domagaliśmy się zniesienia cenzury, uwolnienia więźniów politycznych, jawności w życiu publicznym, prawdy historycznej, zaprzestania indoktrynacji komunistycznej w szkołach i na uczelniach, zniesienia obowiązkowego nauczania języka rosyjskiego, zastąpienia filozofii marksistowskiej – historią filozofii, zniesienia rocznej służby wojskowej po studiach, a także wpływu na decyzje władz uczelni przez obecność przedstawicieli studentów w senacie uczelni. Dziś to są sprawy oczywiste, nie budzące jakichkolwiek emocji. Oczywiście podnoszone też były postulaty typowo socjalne, dotyczące poprawienia warunków studiowania i bytowania w akademikach, dostępu do kultury, itp. Warto podkreślić, że wydawaliśmy własne, niezależne pismo „Kontrapunkt”. Powołaliśmy też Centrum Informacji Akademickiej, gdzie był redagowany biuletyn „CIA NZS”. W porozumieniu z Zarządem Regionu Solidarności prowadziliśmy akcje ulotkowe, organizowaliśmy marsze w obronie więźniów politycznych, a także tzw. „biały marsz” po zamachu na papieża. Wspieraliśmy protest chłopski w dawnym WRZZ, który doprowadził do podpisania porozumień rzeszowsko-ustrzyckich i rejestracji NSZZ „S” RI. Wreszcie sami zorganizowaliśmy na WSP dwie duże akcje protestacyjne. W obu wypadkach protest oznaczał okupację budynku „mat-fiz” przy ulicy Rejtana. Pierwszy protest odbył się 17 i 18 lutego 1981 r. Miał on charakter solidarnościowy z innymi uczelniami w Kraju, w sprawie zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym i formalnej rejestracji NZS. W efekcie ogólnopolskiego strajku Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego ugiął się pod naciskiem strajkujących i Niezależne Zrzeszenie Studentów mogło zostać zarejestrowane (17.02.1981). Po raz drugi strajk wybuchł 10 listopada 1981 r. jako forma wsparcia protestujących studentów Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu. Ten strajk z czasem objął chyba wszystkie szkoły wyższe w Polsce. U nas trwał aż do wprowadzenia stanu wojennego. Był to bardzo liczebny i chyba najdłuższy strajk studencki w Polsce, w ramach którego byłem zresztą przewodniczącym Komitetu Strajkowego. Warto jednak powiedzieć, że nie tylko strajkowaliśmy. Organizowaliśmy też tzw. „Wolną Wszechnicę”, zapraszając na wykłady ludzi nauki z całej Polski, także duchownych, jak również znanych opozycjonistów. Byli z nami m.in. bp Ignacy Tokarczuk, prof. Aleksander Krawczuk, Jan Lityński, Jan Kozłowski i wielu innych. Cyklicznie odbywały się Msze Św. pod przewodnictwem duszpasterzy akademickich z Rzeszowa. Wydawaliśmy pisma strajkowe – informacyjne, satyryczne itp.

- Czy to może Pan stał na czele NZS-u na WSP?

Jan Sołek: - Nie, nie. Na początku działalności na czele naszej uczelnianej organizacji stało trzyosobowe prezydium, tzw. triumwirat NZS WSP – Marek Wójcik, Radek Wyrzykowski i Andrzej Wontor. To była grupa najbardziej aktywnych działaczy na naszej uczelni. Ja byłem członkiem tzw. Konwentu, czyli szerszego, kilkunasto-osobowego gremium. Po jesiennych wyborach w NZS, chyba to było w październiku 1981 r., zostałem wybrany wiceprzewodniczącym Komisji Uczelnianej i delegatem na zjazd krajowy NZS. Przewodniczącym był Marek Wójcik.

- Internowanie tysięcy działaczy opozycji demokratycznej dosięgło również i Pana. Jak do tego doszło?

Jan Sołek: - Po 13 grudnia ukrywałem się przez dwa tygodnie. Gdy jednak zorientowałem się, że esbecy nie wykazywali zainteresowania moją osobą i mnie nie ścigali, to po prostu wróciłem do domu. Władza skupiała się wówczas głównie na pozbawieniu ruchu solidarnościowego jego liderów. Wydawało mi się, że działaczami NZS-u interesowano się w mniejszym stopniu, ale wkrótce to moje mniemanie okazało się złudne. Chyba jeszcze w grudniu dostałem wezwanie do Komendy Wojewódzkiej Milicji w Rzeszowie. Tam zostałem przesłuchany i postraszony, że zostanie przeciwko mnie wdrożone śledztwo w związku z udziałem w strajku studenckim i szkodami, jakie ów strajk rzekomo spowodował. Oczywiście, tych szkód tak naprawdę nie było, bo jak „zomowcy” wkroczyli do WSP, to studenci, po wezwaniu do opuszczenia Uczelni, spokojnie wyszli z budynku. Nie było żadnych walk, gdyż Komitet Strajkowy uznał wcześniej, że konfrontacja siłowa musiałaby zakończyć się naszą klęską. Jak się później okazało, esbecy nie zapomnieli jednak o mnie. Przydzielili mi kilku opiekunów – współpracowników SB, których zadaniem było skrupulatne przyglądanie się mojemu zachowaniu. W efekcie zostałem zatrzymany w przeddzień udziału w posiedzeniu podziemnej struktury rzeszowskiej „Solidarności”, na które wcześniej zostałem zaproszony jako reprezentant studentów.

- A w jakich konkretnie okolicznościach odbyło się Pana zatrzymanie?

Jan Sołek: - Po 13-tym grudnia zajęcia w szkołach i na uczelniach były zawieszane i dopiero po paru tygodniach studenci mogli wznowić zajęcia. Wróciłem wtedy do akademika i normalnie, jak inni, uczestniczyłem w wykładach i ćwiczeniach. Nie trwało to zbyt długo. Gdy wieczorem 18-go lutego 1982 r. wracałem z uczelni do akademika, na dole przy portierni zauważyłem grupę uzbrojonych milicjantów w bojowym umundurowaniu. W pierwszym momencie nie wzbudziło to we mnie zaniepokojenia, bo w tym czasie pojawianie się milicji czy ZOMO w różnych miejscach nie było niczym nadzwyczajnym. Oni byli obecni niemal wszędzie, trwał przecież stan wojenny. Jednak gdy wchodziłem do windy, to zaraz za mną wszedł też jakiś nieznaną osobnik, raczej nie student, bo starszy wiekiem, i szedł za mną aż do drzwi pokoju. Jak tylko zamknąłem za sobą drzwi, to wtargnęła do pokoju grupa milicjantów i SB-ków, którzy przeprowadzili rewizję. Niestety, znaleźli trochę materiałów. Był tam np. wykaz osób internowanych w Uhercach. Otrzymałem ten rejestr od kolegi z Przemyśla, a on wcześniej od ks. Stanisława Czenczka, przemyskiego kapelana osób internowanych. Chciałem to powielić i rozprowadzić wśród studentów. Znaleźli też jakąś pojedynczą ulotkę, broszurę o rewolucji węgierskiej, oraz inne pojedyncze materiały wydane jeszcze w 1981 roku poza cenzurą. Po zakończeniu rewizji zabrali mnie i zawieźli na Komendę Wojewódzką Milicji przy ul. Dąbrowskiego. Jeden z wiozących mnie funkcjonariuszy napomknął, co on zrobiłby z takimi „skurwysynami” jak ja: „na Syberię, albo do piachu”. W takich okolicznościach znalazłem się „na dołku”, w areszcie KW MO w Rzeszowie

- Jak wyglądało przesłuchiwanie Pana?

Jan Sołek: To była lawina pytań i straszenie więzieniem. Standard: był zły SB-ek, i dobry SB-ek. Ten pierwszy straszył, że parę lat spędzę za kratami. Drugi przekonywał, że jestem jeszcze mło-

dy i zmanipulowany, więc radził przyznać się do wszystkiego, a zostaną zwolniony. Ja odpowiadałem wciąż tak samo, że nie mam sobie nic do zarzucenia, bo nic złego nie zrobiłem. A oni na to, że skoro gram „filozofa” i nie jestem skory do dialogu, to zostaną potraktowany „jak należy”, czyli będę aresztowany, co najmniej za posiadanie ulotki i niedozwolonych wydawnictw, no i pójdę siedzieć. Miałem nadzieję, że to tylko straszenie, ale że w końcu uwolnią mnie. Niestety, po dwóch dniach poinformowali mnie, że jestem internowany, i odwieźli do aresztu w Załężu, gdzie był tzw. „Ośrodek dla internowanych”.

- Jak długo trwało internowanie w Załężu, i jak Pan wspomina ten czas?

Jan Sołek: - Trzymano mnie tam do końca maja 1982 roku. Areszt jak areszt: klawisze, kalifaktory, wczesne pobudki, tzw. kipisze (rewizje w celach), wypiski, raz w miesiącu odwiedzi kogoś z rodziny, świetlica, spaceriak, podłe żarcie itd. i itp. Generalnie jednak warunki były znośne, tym bardziej, że z czasem łagodzone je. Byliśmy trzymani na trzecim i czwartym oddziale. Znajdowali się tam działacze z województw rzeszowskiego, krośnieńskiego, tarnobrzeckiego, tarnowskiego i grupa osób z Krakowa. Część internowanych zwolniono jeszcze przed Świętami Wielkanocnymi. Później, w marcu czy kwietniu, na nasz czwarty oddział dowieziono jeszcze grupę internowanych ze Śląska. To byli bardzo ideowi i twardzi ludzie. Paradoksalnie, internowanie w Załężu było dla mnie, na swój sposób, dość ciekawym doświadczeniem. Tam poznałem nowe dla mnie środowisko nieugiętych działaczy opozycji antykomunistycznej. Przez jakiś czas siedziałem w jednej celi z Andrzejem Kucharskim, opozycjonistą jeszcze z 1968 roku, a następnie współorganizatorem rzeszowskich struktur „Solidarności Walczącej”.

- Wychodzi Pan na wolność z początkiem czerwca 82 i co dalej? Czy działa Pan w opozycyjnym podziemiu? Czy nie wystraszyli Pana?

Jan Sołek: – Nie, nie dałem się dać zastraszyć. Starałem się być nadal aktywny. W 1983 roku zostałem usunięty z uczelni. Nie byłem jedyną osobą z naszego środowiska, która znalazła się w takiej sytuacji. Wcześniej skreślono Marka Wójcika, Radka Wyrzykowskiego (w efekcie emigrował do USA) czy Andrzeja Wontora. Pozbawiono pracy także nauczycieli akademickich zaangażowanych w „Solidarność”. Oczywiście, trzeba było z czegoś żyć. Podjąłem pracę jako pedagog szkolny w jednej z rzeszowskich podstawówek. Szybko się jednak okazało, po donosach na SB, że to wielka pomyłka, i że „ktoś taki jak ja nie ma prawa pracować szkole”. Zostałem z dnia na dzień zwolniony. Ale było to zrobione na taki rympał, że nawet w warunkach komunistycznego bezprawia wygrałem w Sądzie sprawę i zostałem przywrócony do pracy. Po wygaśnięciu umowy odszedłem ze szkoły i pracowałem już poza szkolnictwem. Jednocześnie udzielałem się w środowisku opozycyjnym. Współpracowałem z rzeszowską podziemną „S”, a także z grupą organizującą tutejszą Solidarność Walcząca: z Januszem Szkutnikiem, Andrzejem Kucharskim, czy z Antkiem Kopaczewskim. Zajmowałem się m.in. kolportażem „podziemnej” prasy, wydawnictw książkowych, filatelistycznych, kaset, filmów, itp. Przygotowywałem również informacje i artykuły do pisma „Solidarność Trwa” (redagowanego przez Marka Wójcika), jak również do pisma wydawanego przez Janusza Szkutnika pt. „Informator” (kilka numerów wyszło w 1984 roku). Organizowałem też pokazy poza-debitowych filmów na DVD, jak np. „Folwark zwierzęcy” i „Rok

1984" George'a Orwell'a, czy „Doktor Żiwago”. Warto przy okazji wspomnieć tu o ojcu Janie Kantym Bartniku – gwardianie w klasztorze oo. bernardynów w Rzeszowie. Był to wybitny kapłan i wielki patriota. Dzięki niemu właśnie u oo. bernardynów w Rzeszowie zaczął działać „Komitet Pomocy Internowanym, Aresztowanym, Skazanym i Pozbawionym Pracy oraz Ich Rodzinom”. Później ten Komitet został przekształcony w Zespół Charytatywno-Społeczny. Celem komitetu był organizacja i koordynacja pomocy dla osób represjonowanych z powodów politycznych. Było to także – przy okazji odbywających się uroczystości religijnych – miejsce spotkań rzeszowskiej opozycji, wymiany informacji, dystrybucji prasy podziemnej, wydawnictw, itp. W Zespole Charytatywno-Społecznym przy oo. bernardynach pracował Marek Wójcik. Właśnie Marek, chyba w 1985 r., polecił mi Ojcu Cherubinowi Pająkowi, znanemu nie tylko w Rzeszowie zakonnikowi, poecie, intelektualście. I właśnie on polecił mi zainicjować „Duszpasterstwo Młodych” przy bernardyńskim klasztorze. Chodziło o przygotowanie ciekawej i atrakcyjnej oferty intelektualnej, przyciągającej do Kościoła ludzi młodych i „poszukujących”. Zaprosiłem do współpracy Tadeka Kensego, a nieco później Juliana Ratajczaka, który dość długi czas prowadził bernardyńskie wieczory filmowe. Z organizowanych przez nas z Tadekiem Kensym spotkań pamiętam wieczór z Władysławem Siłą – Nowickim, czy Zbigniewem Romaszewskim.

- Koniec lat 80-tych był okresem formowania się regionalnych struktur „Solidarności”. Pan też w tym uczestniczył?

Jan Sołek: – Tak, już w roku 1988 czuło się, że komunistyczny beton zaczyna pękać, i że „Solidarność” oficjalnie powróci na polską scenę. Jesienią zaczęły ujawniać się, działające dotąd w ukryciu, pierwsze zakładowe organizacje „Solidarności”. W Rzeszowie pierwszą taką Komisję Zakładową NSZZ „Solidarność” zgłosił Janek Wyciślak w Rzeszowskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego. Wkrótce zaczęły powstawać kolejne takie jawne Komisje. W Przeworsku Irena Lewandowska (dziś Kozimala) ujawniła Komisję Zakładową „Solidarności” w miejscowym Muzeum. Trochę później zrobiłem to samo w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Przeworsku. Zostałem też dokooptowany do Tymczasowej Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „S” Ziemia Przemyska. Pełniłem tam funkcję wiceprzewodniczącego RKW.

- W tym czasie wrócił Pan już do rodzinnego Przeworska?

Jan Sołek: Tak, to było na przełomie 1988 i 1989 r. Wspólnie z Ireną Lewandowską (później Kozimalą), przy znacznym zaangażowaniu Kazimierza Borcza, Andrzeja Zapałowskiego, Zdzisława Szpejankowskiego, i kilku innych osób, inicjowaliśmy w mieście, oraz w powiecie, odradzający się ruch związkowy Solidarności, jak i Komitet Obywatelski Ziemi Przeworskiej „Solidarność”. Organizowaliśmy zarazem kampanię wyborczą do tych pierwszych częściowo demokratycznych wyborów 4 czerwca 1989 roku.

W tym czasie gwardianem oo. bernardynów w Przeworsku był znany mi z Rzeszowa, o. Jan Kanty Bartnik. Ojciec gwardian nie tylko udostępnił nam salkę katechetyczną przy klasztorze na cykliczne spotkania lokalnej opozycji, ale także dołożył się finansowo do zakupu powielacza białkowego, który kupiliśmy z prywatnych pieniędzy i wykorzystywaliśmy do druku lokalnego

pisma „Informator”, oraz ulotek. Drukarnia działała w domu moich teściów, a też przejściowo w domu państwa Lewandowskich. Przewodniczącą Komitetu Obywatelskiego w Przeworsku była Irena Lewandowska, a ja byłem jego rzecznikiem, redaktorem Informatora KO, i zarazem organizatorem kampanii wyborczej w czerwcu 1989 roku do Sejmu i Senatu. Organizowałem też wybory do samorządu Przeworska w 1990 roku. Później, wspólnie z Ireną, organizowaliśmy od podstaw Urząd Rejonowy w Przeworsku, najpierw zabiegając u wojewody i w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji o jego powstanie, a następnie kierując tym Urzędem (Irena jako kierownik, a ja jej zastępca). W wyborach samorządowych w roku 90-tym wybrano mnie radnym Przeworska. Byłem też członkiem Zarządu Miasta, delegatem do Wojewódzkiego Sejmiku Samorządu Terytorialnego w Przemyślu, a także delegatem do Sejmiku Krajowego. Od 1998 roku byłem radnym i członkiem Zarządu Województwa Podkarpackiego. Były to dla mnie bardzo aktywne lata.

- Jak Pan wspomina tamte czasy z dzisiejszej perspektywy, i jakie ówczesne wartości powinny być przekazywane młodym pokoleniom Polaków?

Jan Sołek: Mam szczęście, bo mogłem być nie tylko widzem, ale i uczestnikiem przełomowych wydarzeń dla tego regionu pod koniec XX wieku. To były najważniejsze wydarzenia w moim życiu. Do dzisiaj głęboko je przeżywam. Pamiętam tę euforię nadchodzącej wolności, wrywania się z sowieckiej dominacji, odradzania się ruchu solidarnościowego, patriotycznego zaangażowania w odzyskiwanie wolności i niepodległości Polski. Bardzo bym chciał, żeby te wartości były ważne i cenne także dla następnych polskich pokoleń.

KRZYSZTOF SZCZURKO



Aleksander Busz: Panie Krzysztofie, proszę opowiedzieć naszym czytelnikom Pana historię związaną z czasami PRL-u. Jak Pan pamięta tamten czas?

Krzysztof Szczurko: W 1998 roku wyprowadziłem się z Przemyśla do takiej magicznej wioski pod nazwą Cieszyna w Gminie Frysztak, w powiecie strzyżowskim. To jest magiczna kraina, piękna. Ja nawet piszę o niej wiersze i bajki. Zacznę od tego, że dowiedziałem się o powstaniu takiego Stowarzyszenia Osób Represjonowanych w stanie wojennym Województwa Podkarpackiego w Rzeszowie, którego współzałożycielem był pan Józef Konkel. Ja jeszcze wcześniej kiedy usłyszałem o możliwości zwrócenia się do IPN u aby przeglądać materiały na własny temat to zwróciłem się do nich. Wówczas dostałem swoje dokumenty. Na razie trafiła do mnie tylko ich część – o mnie, zaś pozostała część to materiały osób które na mnie donosiły. Przeszedłem na spotkanie tego stowarzyszenia. Było nas wtedy sporo osób. Każdy miał przy sobie dokumenty i teczki z materiałami z tamtych czasów. Miałem tych dokumentów całą walizkę – trochę mi się głupio zrobiło z tego powodu, że aż tyle. Moi towarzysze na tym spotkaniu to byli przede wszystkim działacze z terenu rzeszowskiego; tam mnie nikt za bardzo nie znał. Ja działałem na terenie Przemyśla. Obserwowałem tylko, jak z roku na rok tych osób było coraz mniej na spotkaniach, niestety natura robiła swoje. Pamiętam jeszcze, jak za prezydenta Komorowskiego podpisano

ustawę dla tych osób prześladowanych i represjonowanych. Przysługiwał wtedy dodatek finansowy bodajże około 400 zł. Żeby taki dodatek dostać, trzeba było wówczas złożyć wniosek do szefa urzędu do spraw kombatanatów w Warszawie. Wtedy na takich spotkaniach osób represjonowanych nagle przychodziło bardzo dużo osób. Wydaje mi się, że częściowo przypadkowych. Zabrałem wtedy głos mówiąc, iż ja nie o taką Polskę walczyłem gdzie zniszczono przemysł, rolnictwo. Powiedziałem wtedy, że ja chyba tych pieniędzy to nie mógłbym przyjąć, bo to by były dla mnie judaszowe srebrniki. Pamiętam, że popatrzyli wtedy na mnie jak wariata. Odciąłem się wtedy od tej całej pomocy i nie złożyłem wniosku.

Muszę też Panu powiedzieć że to całe moje pisanie wierszy spowodowało że miałem nawet sprawę w sądzie. Napisałem wiersz o pewnym panu z Mielca, który wytoczył mi sprawę karną. Przez to wpadłem w niemałe kłopoty finansowe. Dopiero w tym roku zadzwonił do mnie raz jeszcze z tego stowarzyszenia kombatanatów i powiedział wprost, że wszyscy na około dorastają pieniądze, a ja głupi to nie. Dodał, że może czas najwyższy, żebym coś z tym zrobił. Tak więc złożyłem ten wniosek – formularz i przełamane się. Teraz muszę powiedzieć, że jestem zadowolony z tego kroku, bo pieniądze są wyższe niż za Komorowskiego, a i emeryturę mi podnieśli, więc jestem zadowolony. Tylko z przyzwyczajenia dwa razy w tygodniu jeżdżę sobie na bazar i spotykam się z ludźmi, rozmawiam i utrzymuje jakiś kontakt ze społeczeństwem. Mieszkam na wiosce, to i nie mam z kim rozmawiać. Spotykam się tam z ludźmi, ze znajomymi.

AB: Ale wracając do tamtych czasów...

KS: No tak... Ja w 1974 roku pracowałem w zakładzie Polna jako tokarz. Pracował tam z nami też Pan poseł do sejmu PZPR Stanisław Choma. Był szlifierzem i posłem równocześnie. Pamiętam, że wtedy dużo osób przychodziło do tego posła na przerwie. On był oblegany – każdy chciał coś z miasta załatwić. Pamiętam że Stanisław Choma był porządnym człowiekiem, swoje pieniądze zarobione przekazywał między innymi na dom dziecka, na harcerzy, na biednych i potrzebujących. Można powiedzieć – człowiek do rany przyłóż. Jeździł autobusem, mieszkał w bloku – jednym słowem zwykły człowiek. My zarabialiśmy całkiem porządne pieniądze w Polnej, mieliśmy nawet podwyżki ale z haczykiem – bo trzeba było zwiększać wydajność. Ludzie zaczęli wtedy tracić pieniądze, bo mieli normy, których nie dało się wykonać i zaczęli się buntować. Pamiętam, że próbowałem wtedy rozmawiać z dyrekcją na temat, ale mnie zbywali... Rozmawiałem z kolegami i wspólnie stwierdziliśmy, że trzeba zrobić jakiś strajk. To był rok 74 – przypominam – ale koledzy mówili, że mnie poprą. Wziąłem wtedy flagę biało-czerwoną, po tym wypisałem postulat przy maszynie. Pisaliśmy, że żądamy przywrócenia norm. Po chwili moi koledzy się gdzieś schowali, a ja zostałem sam. Pamiętam, jak wtedy przyjechała taka większa wycieczka do zakładu jakieś może 20, ponad 20 osób. Nie było to nic nadzwyczajnego, bo takie wycieczki mieliśmy od czasu do czasu na zakładzie. Po latach dowiedziałem się, że to nie była żadna wycieczka tylko grupa SB-ków przyjechała, żeby pacyfikować strajk na Polnej. Ten strajk, który ja wtedy zorganizowałem jednoosobowo. Kiedy zobaczyli, że tylko jeden człowiek siedzi czyli ja, to dali sobie spokój z pacyfikacją. Ja wtedy młody byłem, miałem jakieś 19 lat. Przyszedł wtedy kierownik; wezwał mnie na rozmowę do dyrekcji na temat mojego postulatu. Powiedzieli wtedy, że przyjdzie technolog sprawdzić, czy rzeczywiście da się te normy wykonać. Więc wzięli pod uwagę ten postulat.

Skończyło się to tak, że rację mi przyznali, a normy poprawili. Wtedy podejście było takie, że jeśli były jakieś pytania czy wątpliwości z załogi, to kazali wszystko mówić tak, żeby od razu pewne rzeczy wyjaśniać i nie dopuszczać do sytuacji strajku. Niestety po jakimś czasie dostałem wypowiedzenie za rzekomo słabą wydajność. Miałem wtedy problemy ze znalezieniem pracy – dostałem wilczy bilet. Dopiero po jakimś czasie dostałem się na tokarza do Faniny. Zdałem jeszcze maturę potem. Całkiem nieźle mi wtedy poszło. Potem pracowałem w firmie Społem jako agent. W roku 1980 poznałem Adama Szybiaka. Rozmawialiśmy o komunie, o polityce. Wtedy Adam wciągnął mnie do KPN. Pamiętam jak w 81 roku, w wakacje przyszedł do mnie Adam i powiedział, że bezpieka wszystko o nas wie. Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Dopiero jak po latach dostałem z IPN-u dokumenty, to dowiedziałem się, że Adam niestety był TW. Pamiętam wtedy, jak w grudniu wybuchł stan wojenny; koledzy mówili, że wybuchła jakaś wojna. Wtedy handlowałem preclami na starym mieście, a stan wojenny był; poszedłem zobaczyć na ul. Franciszkańską co się dzieje. I wtedy nawet nikt mnie nie zaczepia, nie zwraca na mnie uwagi mimo tego, że miałem znaczki solidarnościowe na swoim wózku. Cały tydzień wtedy chodziłem handlować i pamiętam, że ludzie trochę bali się do mnie podchodzić, a patrole milicyjne przychodziły zawsze na drugą stronę ulicy, omijając mnie. Dopiero w marcu albo kwietniu do mojego domu podjechali agenci. Pamiętam, że miałem wtedy taką czarną flagę na dachu, która miała być protestem w sprawie stanu wojennego. Ja jeszcze przed stanem wojennym miałem u siebie taki magazyn materiałów solidarnościowych na ul. Koźmiana. Pamiętam że jak wybuchł stan wojenny to szybko z kolegą przenieśliśmy te materiały do naszego sąsiada Szpunara na ul. Rogozińskiego. Zrobili mi wtedy rewizję w domu i znaleźli też trochę papierów i plakatów.

A z szefostwa Społemu dostałem informację żeby zlikwidować wszelkie naklejki plakaty i znaczki Solidarnościowe z gabloty i z ubrań roboczych. A wtedy w 82 roku niestety mnie zwolnili. Na szczęście podpowiedzieli mi wtedy, żeby spróbować zapisać się na handel prywatny do wydziału handlu. Udało mi się nawet to szybko załatwić. Potem przychodzi święto pracy 1 maja w roku 1982. Ja wtedy wchodziłem z tą czarną flagą. Pomyślałem sobie, że pójdę z nią na pochód 1 majowy. Miałem nawet zamówionego fotografa na tą okazję. A rano 1 maja ktoś puka do moich drzwi. Otworzyłem wtedy, a tam stał milicjant i ładnie zaprosił mnie na komendę... Pamiętam, jak zapytał nawet czy jadłem śniadanie i potrzebuję chwili na przygotowanie. Wtedy kiedy go zapytałem, po co ja właściwie mam jechać to powiedział, że on sam nie wie. Nawet czarnej flagi nie chciał wtedy zobaczyć. Na podwórku stały trzy samochody ja w tym środkowym ulokowany pojechałem w stronę ul. Mickiewicza na komendę. W środku na komendzie już nie było tak miło, ale próbowałem załagodzić sytuację. Przesłuchiwał mnie taki pan od przestępstw gospodarczych. Potem powiedzieli, że w sumie to jest święto i ładna pogoda i przydałaby się jakaś wata cukrowa na 1 Maja. Któryś tam z nich wydał polecenie – wyższy rangą – i wsadzili mnie w samochód, pojechaliśmy do mojego domu, po wszystkie potrzebne rzeczy i chwilę potem stałem już z wata pod urzędem. Zdążyłem nawet wtedy nieźle zarobić z moją czarną flagą u boku. W roku 1982 na jesieni zajechała po mnie nyska i zabrali mnie z Placu na Bramie. Zajechaliśmy na ul. 1 Maja. Kazali złożyć mi w depozyt pieniądze, nawet sznurówki i zamknęli mnie do celi. Potem na drugi dzień akurat umarł Breżniew. Oddali mi wtedy depozyt i zawieźli na kolegium do spraw wykroczeń na ul. Grodzką. Dostałem wtedy 20.000 zł kolegium, potem kolejny raz kolegium i jeszcze kilka razy. Musiałem trochę im zapłacić, ale wtedy miałem pieniądze.

AB: A działał Pan razem z innymi wtedy?

KS: Czy działałem w podziemiu, w konspiracji? Ja sobie zdawałem sprawę, że jak będę w konspiracji, to mogę narazić innych. Działalem jednak bardziej zwracając na siebie uwagę. Nie chciałem przynieść ze sobą ogonu bezpieki. Raz nawet przyszło do mnie kilku gości, był wśród nich świętej pamięci Kornel Morawiecki. Chcieli wtedy, abym przyłączył się do nich do Solidarności Walczącej. Ja wtedy stałem oplakatowany i powiedziałem im, że ja robię swoje i walczę jak najbardziej. Odpuścili. Robert Majka przychodził do mnie często. Pomagałem mu wtedy. Moja walka z systemem polegała też na tym, że pisałem różne pisma, między innymi do Jaruzelskiego protest wysłałem. Potem też się spowiadałem przed bezpieką i powiedzieli, że jak mi się coś nie podoba, to mnie wyślą w jedną stronę za granicę. Złożyłem wniosek na paszport w jedną stronę na wszystkie kraje świata z prawem jednorodnegorazowego przekroczenia granicy. Jak był rok 1986 i katastrofa w Czarnobylu, to napisałem nawet w maju pozew przeciwko rządowi radzieckiemu do Trybunału w Hadze. Domagałem się odszkodowania za uszczerbek na zdrowiu fizycznym i psychicznym. Prosiłem wtedy nawet o pomoc kilku adwokatów prawników przemyskich, ale nie byli w stanie mi pomóc, bo nie wiedzieli jak się takie pisma pisze, więc napisałem to sam tak jak potrafiłem. Wysłałem pismo do Trybunału a zawiozłem go przez ambasadę do Warszawy. Kopię tego pozwu zawiozłem Wałęsie do Gdańska. Obawiałem się, że w Hadze może wylądować w koszu zawrócony przez ludzi z KGB. Wałęsą miał to nagłośnić – miał kontakt ze światem, kontakt z ludźmi, chciałem żeby był gwarantem, że to trafi tam, gdzie ma trafić. Miałem nadzieję, że jeśli zostanie pozytywnie rozpatrzony ten wniosek, to znajdą się inni odważni ludzie, którzy napiszą podobne i wtedy może Związek Radziecki się rozsypie. Wtedy przyszedł do mnie Wachowski i powiedział, że tą sprawą się nie będą zajmować. Wkurzyłem się wtedy mocno i powiedziałem, że z agentami rozmawiać nie będę i wyszedłem. Poszedłem wtedy do ks. Jankowskiego na plebanię, ale on też sprawą zająć się nie chciał i pytał, czy byłem z tym u Wałęsy. Wtedy widziałem, że nic z tego nie wyjdzie.

AB: Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Aleksander Busz

BOGUSŁAW ZALESZCZYK



Rozmowa Waldemara Wiglusa z Bogusławem Zaleszczykiem

- **Bogusław Zaleszczyk**, ur. 02.12.1946 r., inż. instalacji sanitarnych, działacz społeczny, samorządowiec (Przewodniczący Rady Miasta Przemyśla 2012-2018), potomek rodziny Orłąt Przemyskich, działacz Komitetów Obywatelskich, Porozumienia Centrum i Prawa i Sprawiedliwości.

- **Waldemar Wiglus**, członek władz Solidarności Regionu Przemyskiego (1981), działacz społeczny, Komitetów Obywatelskich, Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyślu.

Cz 1. Rodzina

- Urodziłeś się w Przemyślu, na Wodnej 2. Była tam tak zwana porodówka. Krótko mówiąc, ci, co mówią, że się urodzili po wojnie w Przemyślu, to oczywiście się urodzili tam. Oczywiście były także porody z akuszerką, ale to były wyjątki. Dzisiaj jest to znaczny budynek. Stanęliśmy na tym, gdzie się urodziłeś. Wodna 2. Dlatego zacznij swoją opowieść o sobie jako Przemyslaninie. Przecież chodziłeś gdzieś do szkoły podstawowej, średniej. Gdzieś mieszkałeś. Który to twój adres, który dzisiaj mieszkasz w Przemyślu?

– Aktualny? Matejki 13.

– **Ale wcześniej, ile adresów miałeś?**

– Pierwszy rodzinny, mieszkałem na Glazera 12, Drugi, Matejki 13. A wcześniej dom rodzinny, mieszkanie rodziców, matki, dziadków, ul. Śniadeckich 3, to jest boczna Lwowskiej. Mój dziadek, Jan Zaleszczyk, urodził się w Żurawnie.

– **W tym słynnym Żurawnie?**

– Żurawno jest w powiecie żydaczowskim nad Dniestrem niedaleko Stryja. Natomiast pradziadek Grzegorz był leśniczym w dobrach hrabiów Skrzyńskich. Dziadek Jan po odbyciu służby w wojsku austriackim zjawił się w Przemyślu. W zasadzie to w Krasicy, gdzie podjął pracę w dobrach księcia Władysława Sapiehy. Ożenił się w Falkenbergu z babcią Katarzyną z domu Bogdanowicz. Falkenberg, to była kolonia niemiecka w Nowych Sadach koło Kalwarii Pałacowskiej. I mieszkali na początku w Krasicy, bo dziadek pracował w tamtejszym browarze. Ale dzieci dorosły, trzeba było chodzić do szkół średnich, więc przeprowadzili się do Przemyśla. Kilka adresów było. Między innymi mieszkali na 3 maja nr 1, w miejscu, gdzie jest pomnik w tej chwili. Ten budynek został zburzony w czasie drugiej wojny.



Bogusław Zaleszczyk przy Pomniku Orląt Przemyskich, w miejscu dawnego budynku 3-go Maja 1

– **3 maja nr 1? Tu poddaję się. Numery nieparzyste są po lewej stronie.**

– Po lewej, tu gdzie pomnik Orląt, gdzie z Placu Konstytucji schodzą schody do pomnika.

– **No tak, bo przecież Ronda nie było. Ale to ciekawe.**

- Ale po kolei. To była zwykła przemyska wielodzietna rodzina. Ojciec chodził do „Kantówki”, szkoły podstawowej, jak i większość rodzeństwa.

- **Dzisiaj własność lekarza Bodnara.**

- Tak i potem do seminarium nauczycielskiego męskiego, mama też zresztą do żeńskiego u Benedyktynek, choć się nie znali wtedy. Wybuchła wojna w 1914 r., najstarszych wzięto do wojska.

- **Ty mówisz o dziadku, czy pradziadku?**

- O dziadku Janie. Pradziadek Grzegorz został pochowany w Żurawnie, w grobowcu hrabiów Skrzyńskich

- **Ale to trzeba zrobić, to Żurawno jest sławne. Ze względu na co?**

- Byłem w Żurawnie. Widziałem zniszczony pomnik Jana Sobieskiego, który Ukraińcy już pod koniec września 1939 r. wrzucili do Dniestru. Po wyborach w Polsce w 1989 roku został on odbudowany z funduszy polskiego Senatu, ale niszczeje. Kościoła w Żurawnie nie ma, bo Sowieci po wojnie go rozebrali, jest w Żydaczowie.

Według wspomnień rodzinnych, pradziadek Grzegorz został pochowany na cmentarzu w Kaplicy Skrzyńskich, którzy udostępnili naszej rodzinie miejsce za jego udział z hrabią Skrzyńskim w Powstaniu Styczniowym. Byłem w tej Kaplicy i mam zdjęcia. To jest Kaplica Skrzyńskich i Czartoryskich, odnowiona z prywatnych funduszy Barbary Czartoryskiej. Rozmawiałem z nią o tym w Przemyślu, podczas przenosin relikwii beatyfikowanego księcia Augusta Czartoryskiego w kościele ks salezjanów w 2018 r. Była zorientowana co jest w Żurawnie.

Najstarszy brat ojca, Józef dostał się do niewoli pod Kraśnikiem w wojsku austriackim. Był wywieziony do Władywostoku, skąd wrócił po zakończeniu I wojny. Młodszy Jan, służąc w armii austriackiej zginął w Siedmiogrodzie w Karpatach 1917 roku. Jeszcze młodszy, Mieczysław i Adam brali udział w wyzwoleniu Przemyśla w wojnie polsko-ukraińskiej.

- **Który z nich ma Gwiazdę? Czy przechowujesz w pamięci wydarzenia z dziejów rodziny w tamtych czasach?**

- Mieczysław, który poległ w bitwie pod Niżankowicami 13 grudnia 1918 r, w wieku 17 lat. Pochowany jest w grobowcu Orląt Przemyskich na cmentarzu głównym w Przemyślu. Był uczniem Krajowej Szkoły Kupieckiej. Za udział w tej wojnie otrzymał Gwiazdę Przemyśla.

Drugi z braci ojca, Adam także walczył z Ukraińcami w Przemyślu w 1918 r. m.in. w obronie mostu kolejowego i jest na zdjęciu obrońców opublikowanym na okładce książki Miasto Waleczne. To zdjęcie jest jednym z najbardziej rozpowszechnionych zdjęć jeszcze przed II wojną i przedstawia obrońców mostu kolejowego od strony Zasania. Był potem leśniczym w latach 1926-45,

w Łętowni w dobrach księcia Sapiehy, a potem w Lasach Państwowych do roku 1964. W 1944 r., organizował pogrzeb księcia Leona Sapiehy w Łętowni, który zmarł z ran odniesionych przy próbie przedarcia się przez front z Krasieczyna do Krakowa, do brata kardynała i potem opiekował się jego grobem. Jest pochowany razem z żoną także na cmentarzu w Łętowni. Stryj Adam działał w AK i następnie w przemyskim Inspektoracie Brygad Wywiadowczych WIN. O tym pisze profesor Jan Draus w artykule opublikowanym w książce Archiwum Wolności, str 19, gdzie wymienia z imienia i nazwiska członków tego podziemia. Wynika z tego, że stryj Adam służył w jednym oddziale z Alicją Wnorowską, chociaż nie znali się, bo była konspiracja, która mieszkała na ul. Matejki 13, w miejscu, gdzie teraz mam swój dom. 20 października 2024 r., odsłaniamy tablicę upamiętniającą tę dzielną kobietę, majora WIN.

– Historia ludzi i miejsc zatacza koło... Czy Twój ojciec też walczył?

– W czasie pierwszej wojny mój ojciec był za młody do służby wojskowej. Opowiadał, że w oknie dziadków przy ul. 3 Maja nr 1, był karabin maszynowy, skierowany na most i flekował most przechodni. Jak 11 listopada 1918 r. trwała bitwa o Przemyśl, to strzelano z niego. Ojca i młodszych kolegów zatrudniali tylko do podawania taśmy i nabożów.

Dziadek Jan w Krasieczynie był w drużynie strzeleckiej księcia Sapiehy. Przepraszam, w drużynie myśliwskiej – uczył księcia Adama Sapiehę, późniejszego kardynała, strzelać z wiatrówki do wróbli, które były jednym z największych przysmaków na stole zamkowym – wróbli nadziewane słoniną. Pewnego razu, na jednym z polowań dziadek strzelił dzika ok. 200 kg wagi i za to otrzymał od księcia Leona pas myśliwski z kordelasem. Od początku swojej pracy u księcia, pod koniec XIX wieku, dziadek mieszkał w krasieczyńskim browarze, którego pozostałości stoją do dzisiaj. Ta historia browaru jest charakterystyczna dla naszych terenów po prawej stronie Sanu. W 1940 sowieci wywieźli w głąb Rosji maszyny i wyposażenie browaru, a w 1945 r., UPA spaliła częściowo browar.

– Na cmentarzu w Łętowni jest także grób por. Andrzej Potockiego, szwagra księcia Leona, brata księżnej Katarzyny, którego Ukraińcy zabili w 1939 roku zaraz we wrześniu.

– Tak, on jest bratem księżnej Katarzyny. Bywam na tym grobie. Jego wnuk, Władysław Potocki, mieszka we Francji i jest ożeniony z Rozwadowską, wnuczką generała Rozwadowskiego, który po zamachu majowym w 1926 r., został uwięziony i zmarł w 1928 r. Był Szefem sztabu generalnego podczas wojny polsko-bolszewickiej. Opracował projekt obrony i kontrnatarcia z Lubelszczyzny. Marszałek Piłsudski tylko zatwierdził. To są znane fakty. No ale wracając do moich rodziców. Oboje byli nauczycielami. Ojciec przed wojną pracował w Kurowie pod Lublinem, ale uczył też i w Nałęczowie. Wybuchła wojna, rodzice się pobrali w czasie wojny w Przemyślu, potem zostali wysiedleni na wschód, ale niedaleko.

– A w którym kościele brali ślub?

– Na Błoniu. Oglądałem metrykę ślubu u księdza Końskiego, jeszcze nie tak dawno.

Po wojnie dostali nakaz pracy w Krasicyźnie. No i bardzo długo tam pracowali, do emerytury. Ojciec nie chciał się przenieść do Przemyśla. W końcu ktoś doniósł, że mamy dwa mieszkania, w Przemyślu i w Krasicyźnie – służbowe. No i z któregoś trzeba było zrezygnować. Ojciec stwierdził: ja dwie wojny w Przemyślu przeżyłem, to wcale nie muszę wracać. A wtedy autobus „Piątka” jeździł do Krasicyzny co pół godziny. Już na emeryturze często siadał w rynku, oglądał gołębie, chodził pod kanał na rzece i patrzył jak szwajki łapią. A z mieszkania trzeba było zrezygnować, bo ktoś zadenuncjował i mieszkanie przepadło. W Przemyślu babcia mieszkała. Ja chodząc do szkoły średniej mieszkałem już w Przemyślu. Siostra, brat, wszyscy mieszkaliśmy w Przemyślu.

- A w Krasicyźnie jaki adres?

- Mieszkanie służbowe, szkoła. Rok budowy 1909. To był jeden z okazałych budynków szkolnych w powiecie.

- Gdzie ten budynek jest?

- W Krasicyźnie po prawej stronie dojeżdżamy do mostku, tam jest przedszkole. I w prawo uliczka. Asfaltowa, pod samą szkołą, 50 metrów od drogi. Ładny budynek. Szkołę podstawową ukończyłem w Krasicyźnie. Moja siostra chodziła w Przemyślu i pół na pół, w Krasicyźnie. Potem I Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego. Następnie ukończyłem studia na Politechnice Gliwickiej, na Wydziale Inżynierii Sanitarnej. Po studiach pracowałem przez półtora roku w Miastoprojekcie w Bielsku Białej. No i wróciłem w rodzinne strony w roku 1972 w sierpniu. Pracowałem w Biurze Budownictwa Komunalnego na Placu na Bramie, ul. Franciszkańska 37, do roku 1980. Wtedy przenieśliem się do Inwestprojektu. Pracowałem tam od początku powstania biura, w roku 80.

- Ja chciałem podjąć pracę w Przemyślu w Inwestprojekcie, ale mieszkanie dawali w Fabryce Domów, a nie w Inwestprojekcie.

- Nie tak było, nie tak. Biuro dostało pięć mieszkań. Wszyscy działacze partyjni i związkowi dostali spółdzielcze. A ja musiałem, ponieważ byłem niezaangażowany, kupić własnościowe.

- A ja w Fabryce Domów miałem dostać i oczywiście nie dostałem. Tak też karierę skończyłem. Ale ty byłeś już żonaty? Bo ja byłem kawalerem.

- Ożeniłem się w roku 1974. W roku 89 w lutym rozpocząłem własną działalność w budownictwie, projektowanie i nadzory. No i dzięki Bogu robię to do dzisiaj.

- W jakiej formie prawnej...?

- Samodzielna działalność projektowa. To jest pozarolnicza działalność gospodarcza. To się tak nazywa.

– **To nie na podstawie kodeksu spółek handlowych ? A, czyli indywidualna, jako osoba fizyczna. Tak, jest pozarolnicza.**

– Tak, jest pozarolnicza. Mogę zatrudniać pracowników. Kiedyś zatrudniałem, a teraz nie zatrudniam. Pracuję oczywiście ze względu na wiek, niedługo, kilka godzin, dziennie 2-3 godziny, ale lubię pracować. I ciągle mam zlecenia. Jakoś to się kręci. To by było na tyle, jeśli idzie o sprawy rodzinne.

Cz.2. W Komitecie Obywatelskim Solidarność

– **Czyli w ten sposób zamykamy plik pod tytułem sprawy rodzinne. Zaczniemy plik nowy – pod jakim tytułem? Co proponujesz?**

– Proponuję działalność w Komitecie Obywatelskim Solidarność. Do Komitetu Obywatelskiego zaprosił mnie Andrzej Matusiewicz w roku 1988, przepraszam, w 1989. Byłem przewodniczącym Komisji Ochrony Środowiska.

– **No ale posłuchaj, czy to był ten Komitet Obywatelski Wojewódzki? Ja byłem sekretarzem tego Komitetu.**

– Nie, nie, Miejski. Koniec roku 1989. No więc byłem przewodniczącym Komisji Ochrony Środowiska. Pracowali w niej m.in. Zdzisław Marek, Zofia Muzyczak, Leszek Zając, Zygmunt Wajda, Jan Pisz, Bożena Szwic. Tworzyliśmy program wyborczy do samorządów, dla kandydatów Komitetu Obywatelskiego, spotykaliśmy się z kandydatami na radnych, prezentując przygotowany przez nas program, który wcześniej konsultowaliśmy bardzo szeroko z mieszkańcami. Ta praca dała potem wyniki, bo nasi radni wygrali prawie w 100% wybory samorządowe w maju 1990 r. I te nasze postulaty programowe kandydaci na radnych wykorzystywali w kampanii z dobrym skutkiem. Natomiast chciałem zwrócić uwagę, że dwa wnioski z tego programu są aktualne po dzień dzisiejszy.

– **A jakie?**

– A mianowicie budowa mostu na Sanie na wysokości ulicy Rzecznej – Kmiecie. I druga, przebudowa kanalizacji, czyli zrzut ścieków deszczowych z ulicy Jana Pawła II. Do dzisiaj sprawa jest nierozwiązana, bo dopiero robi się projekt.

– **Ale zaraz, tam nie ma kanalizacji?.**

– Jest, ale to jest kanalizacja ogólnospławna i przy nawałnych deszczach wylewa, przecież ulica jest zalewana. Od dawna tak było. Do dzisiaj to jest sprawa nierozwiązana, choć projekt się robi. Natomiast projekt na most jest gotowy w ZDM-e od dawna, prezydent Choma nie zdecydował się podjąć budowy, choć było zapewnienie dofinansowania w 70% chyba z Urzędu Marszałkow-

skiego. Nawiasem mówiąc, ten pomysł wcale nie był nowy, obiektywnie trzeba stwierdzić, że to już komuniści proponowali, że wybudują most na olimpiadę w Moskwie w roku 80. Już był kierownik budowy, którego znałem, nie pamiętam nazwiska.

- Ja byłem na olimpiadzie w Moskwie.

- Bywałem w Moskwie chyba trzy razy, ale na olimpiadzie nie.

- A jak wspominasz koniec komuny?

- No więc, oczywiście brałem udział w wyborach w roku 89. Byłem mężem zaufania na ulicy Glazera 10. Tam, gdzie pracowałem, w Komisji Wyborczej ze strony Solidarności. Doskonale pamiętam współpracę z panią Jadwigą Janik, która często pełniła dyżury w siedzibie Komitetu Obywatelskiego przy obecnym Placu Legionów. Załatwialiśmy wiele spraw związanych z wyborami, szczególnie sprawy kampanii i rozpowszechniania plakatów i ulotek. Komitet był przy dworcu. Chodziłem tam często. Pamiętam młodzież, która przychodziła, angażowała się bardzo. Tak na marginesie, utkwiał mi moment z pamięci przy głosowaniu. Była lista krajowa. 20 parę osób. No i przyszli młodzi ludzie, a był tłok. Bałagan. Wydawano karty do głosowania. No, jeden miał 18 lat, jeden z kolegów z mojego syna, a reszta byli młodzi. Stańli w holu, bo nie wchodzili za kotary. Młodzi się prosili – daj mi skreślić, aż kartę do głosowania prawie podarli. Skreślili zawzięcie listę krajową. Pamiętam do dziś tę szczególną atmosferę zaangażowania wszystkich, głównie młodzieży w kampanię wyborczą.

Doskonale z tych czasów pamiętam także uroczystości 1 maja 1989 roku, z okazji patrona robotników Św Józefa, u ks. salezjanów, w parafii pod wezwaniem św Józefa. Msza święta była w Kościele Salezjanów, a to było przed wyborami 4 czerwca. I potem był przemarsz ulicą w lewo św. Jana, 3 Maja i powrót przez Plac Konstytucji do salezjanów. Manifestacja była bardzo duża, kościół był nabity rekordowo. Szliśmy razem ze St. Żółkiewiczem, Leszkiem Zającem, Zygmuntem Wajdą, Włodzimierzem i Janem Piszami, z Tobą i innymi. Byli też kandydaci do parlamentu: Tadeusz Ulma, Tadeusz Trelka i Jan Musiał. Pamiętam dokładnie jak nadjechał ulicą 3 Maja autobus z Kijowa, z Teatru Kijowskiego. Na przodzie siedział kierowca i oficjele. Nawet nie popatrzyli w lewo. Twarze jak mumie, wyprostowani. A z tyłu artystki biły brawo i machały rękoma. Uśmiechnięte, podekscytowane biły brawo. To pamiętam. Z Kijowa był teatr. I Autobus.

- Tak, pamiętam i wolno jechał, bo były tłumy.

- Właściwie to prawie stał, jak myśmy przechodzili. Stał. Wtedy Milicja Obywatelska nie organizowała ochrony, nie zabezpieczała. Ale spokój był. To trzeba przyznać. No i ..., jeśli chodzi o działalność w Komitecie Obywatelskim, to on się rozwiązał na początku lat 90., i przystąpiłem do Porozumienia Centrum. Podpisałem deklarację, że przystępuję do Porozumienia Centrum. Z tych działaczy, których wynotowałem z Komitetu Obywatelskiego, to sporo osób zasiliło kadrę kierowniczą w nowym Urzędzie Wojewódzkim z nowymi strukturami. Ja również miałem propozycję od wojewody Jana Musiała objęcia Dyrektora Wydziału Ochrony Środowiska. Ale odmówi-

łem z powodów czysto pragmatycznych, z powodu rozpoczęcia budowy domu.

- Na Matejki 13, gdzie wcześniej mieszkała Alicja Wnorowska?

- tak, Na Matejki 13. Budowa szła powoli, prawie systemem gospodarczym, ale nadzorowałem ją i musiałem przy tym być. Nie miałem czasu dyrektorować. Nie jest to tak jak teraz, że zamawia się materiały, firma przywozi, tylko samemu trzeba było jeździć, na przykład po dachówkę to pod Wadowice jechałem. Z własnym transportem. Załadunek, wyładunek, nie to co teraz. Ale znalazłem bardzo dobrego kandydata. Lepszego ode mnie, świętej pamięci inżyniera Zdzisława Marka, który był fachowcem bardzo dobrym. Miał różne podejścia, był nerwowy, ale i stanowczy.

- On dopiero się uczył wtedy. Bo on kim wcześniej był?

- W Sanepidzie pracował i w Biurze Projektów Budownictwa Komunalnego. Ja w Inwestprojekcie miałem trochę doświadczenie, bo przez parę lat byłem kierownikiem pracowni, w której pracowało dwadzieścia parę osób.

- To czekaj, to moją żonę, Danutę pamiętasz stamtąd?

- Pamiętam. No oczywiście.

- Słuchaj, ale za mało powiedziałeś o tym Komitecie Obywatelskim. A wiesz dlaczego ciebie dopytuję? Bo ja byłem sekretarzem Komitetu Obywatelskiego tego wojewódzkiego, który później się oczywiście rozwiązał. I później już byłem w urzędzie, więc trochę z boku miasta. O osobach coś powiedz. Kto tam był? Kogo zapamiętałeś z tych pierwszych radnych? A czy Ty startowałeś w tej pierwszej kadencji?

- Nie, nie startowałem. Proponowano mi. Ale ja wtedy rozpocząłem działalność gospodarczą.

No tak, to się kłóciło...

- Liczyłem się z tym, że nie będę mógł brać zleceń z urzędu miasta, ani ze spółek miejskich. A wtedy było sporo tego. Potem już można było. Ale wtedy okazało się, że ze spółek miejskich radny nie może brać zlecenia od wodociągów. Mówiło się, że z miasta na pewno nie można. I dlatego nie startowałem, ponieważ to było moje jedyne źródło utrzymania, dlatego nie startowałem.

- No ale jak zapamiętałeś tę sytuację? Był pierwszy prezydent...

- No właśnie. Pierwszym prezydentem był Mieczysław Napolski. Dla mnie to była niespodzianka, że został wybrany na prezydenta. A w ogóle to, że został szefem Komittu Obywatelskiego.

- Tak, bo on z KIK-u jakoś był proponowany, ktoś go musiał przecież zaproponować.

- Pracował w PKS-ie, gdzie był zastępcą dyrektora. Ale pamiętam go jeszcze z lat szkolnych, z techniku mechanicznego. Na początku przychodził na spotkania komitetów obywatelskich. Natomiast inne osoby, które się zaangażowały to bracia Piszowie, Leszek Zając, Andrzej Matuśiewicz i wielu innych...

- Obydwaj byli radnymi?

- Nie. Jan nie startował. Jan nigdy nie startował, był dyrektorem weterynarii wojewódzkiej. A Włodzimierz był radnym. Jan się angażował bardzo wcześnie, w Solidarności działał. Był przesłuchiwany przez SB. Opowiadał mi o tym dokładnie, działali razem z doktorem Wiesławem Gąską, który był internowany w stanie wojennym, a potem był radnym w tej pierwszej Radzie Miejskiej w 1990 roku. Z Markiem Kuchcińskim bardzo dużo wtedy w Solidarności razem działali. I razem też byli w specjalnej komisji, powołanej przez Komitet Obywatelski i Solidarność, która kwalifikowała kandydatów na radnych startujących z naszej listy. W tej komisji był też adwokat Jan Bajcar, a ze strony Solidarności Stanisław Trybalski. Wtedy radnym został także Włodzimierz Trojanowski. Z tamtych czasów dobrze pamiętam Zygmunta Wajdę.

- A on był jakimś krewnym Żółkiewicza!

- Szwagrem Żółkiewicza, Siostra Żółkiewicza jest żoną Zygmunta Wajdy, który zmarł. Ona chyba żyje.

- A gdzie on pracował?

- W Spółdzielni Mieszkaniowej, był od spraw zieleni.

- Ja go nie znałem. Ale on jakoś wyglądał mi na człowieka takiego, który miał ambicje. Chciał tam coś. Chyba został prezesem przemyskiego Stowarzyszenia Własności Polskiej.

- Chciał być radnym i narzekał, że się nie dostał do Rady. To już było przy drugich wyborach. Pamiętam narzekał, że nie jest z Przemyśla i na niego nie głosowali, bo on pochodził z Sierakość.

- Z Sierakość? Ale tutaj mi się zapala światełko. Bo on ma takie nazwisko, jak moja żona. No i ciekawe.

- Od niego się nie dowiemy już.

- A na co on cierpiał?

- Choroba wątroby lub nerek, nie wiem. Długo był chory. Robert Choma miał bardzo dobry z nim kontakt.

- Ale ciepło, ciepło. Moja żona ma rodzinę z Sierakość. Nawet wiem kto i gdzie pracowali.

Świat mały jest oczywiście. Aczkolwiek jej ojciec pochodził spod Dubiecka. Ojciec, Wajda. Ale tych Wajdów nazwisko jest dość ... dużo Wajdów...

– W Reczpolu jest Edward Wajda. Był radnym wojewodzkim. A w Przemyślu mieszkał Adam Wajda, mój sąsiad z Glazera, właściciel zakładu instalacyjnego

– No dobrze. Coś jeszcze pamiętasz z tego pierwszego zaciągu?

– No i w Komitecie oczywiście poznałem Roberta Chomę i wielu, wielu ludzi, którzy potem pełnili ważne funkcje państwowe. Był Marek Basta po Janie Pizsu powiatowy, a potem wojewódzki lekarz weterynarii, radni Tadeusz Rafalski, Władysław Trojanowski i Jerzy Lelek, Jan Bajcar, adwokat przedwcześnie zmarły, Maria Wojciechowska-Podhalec, w stanie wojennym wspierała podziemie solidarnościowe, dr Edward Opaliński, wielu ciekawych ludzi było.

– czy pamiętasz jakieś konkretne wydarzenia, działania Komitetu, o których warto wspomnieć, które miały wpływ na dalsze dzieje?

– Działalność komitetu przyczyniła się do wymiany kadry kierowniczej w urzędzie wojewódzkim i podległych jednostkach. Ale Komitet zajmował się głównie przygotowaniem do kampanii wyborczej, a potem staraliśmy się utrzymywać stały kontakt z radnymi. Temu służyły m.in. Spotkania organizowane w dawnym EMPIKu. Było spotkanie z prezydentem i jego zastępcami, z wojewodą Janem Musiałem...

– A powiedz coś o zastępcach Napolskiego.

– No więc, właściwie to wydaje mi się z perspektywy czasu, że Komitet Obywatelski wtedy nie za bardzo jakby ingerował w pracę prezydenta i obsadę kadrową. I Napolski sam ustawiał sobie kadry, sam sobie ustawiał zastępców. Makiel był zastępcą.

– Ale specjalnie zostawiony został mój kolega z Cieszyna, jak się nazywa? wysoki szachista?

– Makiel był później, bo dopiero za Sawickiego.

– A! Oczywiście, Leszek Krzywoń, mój sąsiad na Okrzei.

– No. Do niedawna w urzędzie jeszcze był. On był członkiem SD. I został specjalnie pozostawiony, żeby urząd jakoś funkcjonował, bo to sama nowa kadra. A drugim wiceprezydentem kolega, który potem w Wodociągach pracował...

– Juliusz Dorosz, Geodeta?

– Tak, tak. I on się potem wciągnął w komunalizację mienia, powoli wciągał, ale jak się wciągnął,

to już ta kadencja kończyła się. I pracował nawet dobrze.

- Ale też... Boguś, musisz wspomnieć, bo wspomniałeś o propozycji w Urzędzie Wojewódzkim i dyrektor Marek został dyrektorem wydziału. Ale jak zapamiętałeś kreację Wojewody? Bo Przemyśl jest oryginalny, wyjątkowy, na tle województwa podkarpackiego. Przypomnij sobie, jak był kreowany Wojewoda w Przemyślu.

- Wojewodą Jan Musiał był...

- I Senatorem.

- Właśnie, był senatorem przede wszystkim, dopiero potem Wojewodą. Był dobrze zapamiętywany.

- A czemu on został akurat, z jakiego powodu? Czy wiesz jaka reguła wtedy była?

- Może wspomnę o tym. Pierwszym działaczem Solidarności, który został zatrudniony na stanowisku w Urzędzie Wojewódzkim był wicewojewoda Stanisław Żółkiewicz. No i oczywiście na zebraniu Przemyskiego Komitetu ustalono, że będzie teraz wicewojewodą, ale to się zmieni, bo idą takie czasy, że wymienia się wojewodów i Stanisław Żółkiewicz zostanie wojewodą. No i doszło do tego na pewnym zebraniu, później oczywiście. Przychodzę na to zebranie, a to było wąskie zebranie szefów poszczególnych komisji. Marek Kuchciński zgłasza temat, że będziemy kandydaturę na Wojewodę opiniować. No i zgłasza, zgłasza Jana Musiała. Pamiętam, zabrałem wtedy głos i spytałem, jak to się ma, przecież rozmawialiśmy o Żółkiewcu, o Stanisławie. Mówiono parę miesięcy temu, że kandydatem będzie Stanisław Żółkiewicz. Marek mówił, no wiesz, to się pozmieniało itp. itd. Do dzisiaj nie wiem, co się pozmieniało.

- A wiesz, jaka reguła była? Tarnobrzeg, Krosno, Rzeszów? Reguła była taka. Możemy to nagrać, bo to kurde nieświadomość jest głęboka. W Tarnobrzegu, Krośnie i Rzeszowie wojewodami zostali przewodniczący Komitetu Obywatelskiego.

- Sieczkoś, oczywiście.

- Nie, Sieczkoś to jest późniejsza sprawa. Pierwszy był Kazimierz Ferenc w Rzeszowie, Błaż w Krośnie, a Liwak z Huty Stalowa Wola w Tarnobrzegu. Dlaczego nie został Zbigniew Bortnik wojewodą?

- Byłem daleko od tego Zbigniewa, coś zarzucano mu, pochodzenie? Nie pamiętam.

- To ja się poddamę w tym momencie. Jak Boga kocham. Pierwszy raz w życiu to słyszę. Otóż, a ja Ci przypomnę inną wersję. On miał wyrok sądowy za aferę w zakładach mięsnych. Ten wyrok był zatarty, ale był to wyrok karny, siedział w więzieniu. Nie potrafię powiedzieć, jak długo siedział, nie pamiętam, ale to pamiętasz, że taki wysuwano zarzut mu?

- Nie do końca pamiętam, ale jakieś insynuacje były.

- **No i dobrze, że rozmawiamy, bo wyświetlamy konteksty przemyskie. Odpowiadamy na pytanie, dlaczego Przemyśl jest miastem specyficznym? A no właśnie dlatego. Jedynie Zbigniew Bortnik nie został wojewodą. Jedyny. I dlatego proponowałbym wrócić do Żółkiewicza. Ja sekretarzem Komitetu Obywatelskiego zostałem, można powiedzieć, może nie tyle przez przypadek, co dołączyłem, ponieważ Stanisław Żółkiewicz wycofał się z Komitetu Obywatelskiego jeszcze przed wyborami czerwcowymi w 1989 roku. No i tutaj musimy wrócić do obsady kandydatów na posła i senatora. Staszek Żółkiewicz najwyraźniej miał chyba ochotę być kandydatem, nie? Jeździł do Warszawy w tej sprawie. Wepchano nam Onyszkiewicza, tylko to wepchano jest złym słowem, bo myśmy wtedy go akceptowali, bo Onyszkiewicz był znanym, dzisiaj byśmy powiedzieli, celebrytą. I nam imponowało, że rzecznik prasowy Solidarności jest tutaj. Ale w tle były ambicje, no przecież Trelka. Do ostatniej chwili był wyciągany Trelka, bo nie było innego kandydata. Ale wcześniej, to ja zadaję pytanie Tobie, dlaczego Żółkiewicz zrezygnował z udziału w Komitecie Obywatelskim?**

- No więc wydaje mi się, że między innymi dlatego, że nie został wojewodą.

- **No nie, nie, to jest inny harmonogram czasu. Wojewoda to są późniejsze sprawy. Na początku, dwa miesiące przed czwartym czerwca, ukonstytuował się Komitet Obywatelski w Orzechówce. I ja mówię o tym czasie. To wszystko inne to jest później. Dlaczego zrezygnował? On był wtedy przewodniczącym Komitetu Obywatelskiego, a jak zrezygnował, to w jego miejsce przyszedł Bortnik. I wtedy zaczęto szukać sekretarza. Nie wiem po co, bo sekretarze byli w partii. Kto to wymyślił? Jakiegoś sekretarza. No i ja się wtedy znalazłem jako sekretarz. Oczywiście kontekst Żółkiewicza - ślepy nie byłem. No to wyjaśnij.**

- Nie potrafię tego dokładnie wyjaśnić. Wydaje mi się, że Stanisław Żółkiewicz był trudnym człowiekiem? To co wymyślił, to uważał, że to jest najlepsze rozwiązanie.

- **Ale zaakceptował Onyszkiewicza też. Bo on jeździł w tej sprawie do Warszawy.**

- Z tego co pamiętam, entuzjastycznie mówił, że mamy takiego dobrego kandydata, rzecznika Solidarności.

- **Tylko był chyba taki podział, że chodziło o to, żeby kandydaci zostali podzieleni, popierwsze, było pół na pół, nawieśi miasto. Bo potobył Karuśi Kamiński. Ale mieliśmy Onyszkiewicza, więc drugi mandat do Sejmu miał mieć chłop. No to Żółkiewicz chciał być kandydatem do Senatu, a został Janek Musiał. Bo mieliśmy czterech kandydatów. Dwóch do Senatu i dwóch do Sejmu.**

- Ulma z Jarosławia do Senatu.

- **Dobrze. Ulma do Senatu. No to właśnie. Ja nie rozumiem, to jest trudne do odtworzenia.**

A co tam Marek mówi w tej swojej biografii o tym? Nie za bardzo rozwija ten wątek. Chyba nie bardzo. Draus i Iwaneczko go o to nie pytali. Bo oni skąd mieli wiedzieć o tym? Ale go o to nie pytali. To Marek nie wszystko powiedział. Ale Janek Musiał coś powiedział w eter, powiedział coś takiego, że jak został wojewodą to mówił, że jak będą wybory następne, to nie będzie kandydował ponieważ został wojewodą. I niestety tej obietnicy nie spełnił, bo startował po raz drugi i został senatorem na drugą kadencję. A karierę wojewody skończył dzięki Rokicie, znaczy dzięki sobie, bo głosował przeciwko rządowi Suchockiej. No i Rokita go ściągnął z wojewody. A głosowanie było chyba za budżetem. Nie głosował tak jak rząd.

- No więc wątek wojewody to pamiętam, że na tym zebraniu, gdzie się kandydatura opiniowała, to Jan Pisz wystąpił z zapytaniem i wnioskiem, żeby kandydatem był Andrzej Matusiewicz, kandydatem na wojewodę.

- **O kurcze.**

- Na co Andrzej, odpowiedział grzecznie, że nie lubi pełnić funkcji, do których nie jest przygotowany. No i było głosowanie. No i muszę nieskromnie powiedzieć, że byłem jedynym, który głosował za Stanisławem Żółkiewiczem. Powiedziałem to wprost. Uważałem, że jak ustaliliśmy wcześniej, że ma być wojewodą, to nie będę zmieniać teraz zdania. Nie wytłumaczono dokładnie dlaczego tak się stało.

- **To ja Ci przypomnę, dlaczego. Zmiana nastąpiła po awanturach Staszka Żółkiewicza wokół dra Jerzego Stabiszewskiego, kandydata Solidarności na lekarza wojewódzkiego. I Stanisław zagłosował nie niego, tylko na czerwonego z OPZZ. Ostatecznie lekarzem został Bogusław Dawnis. Nie będę rozwijał tego.**

- Tak, dobrze mi przypomniałeś. W Komitecie Obywatelskim działaliśmy do początku lat 90. Natomiast należy wspomnieć, rozdział następny, Stowarzyszenie Pamięci Orłąt Przemyskich.

Cz. 3. W Stowarzyszeniu Orłąt Przemyskich ...

- **No to teraz o Stowarzyszeniu Orłąt Przemyskich. I właśnie jaką datę pierwszą wymieniasz? Ja pytam Ciebie, bo ja nie należałem do Stowarzyszenia, ale byłem świadkiem jego powstawania. To który rok przyjmujesz? Kiedy to Stowarzyszenie powstało? Oczywiście nie w rozumieniu dzisiejszym, bo wiadomo o tym, że to nie takie stowarzyszenie było, bez rejestracji. Ale mówimy o gronie osób. Właśnie. Mówimy o Gębarowiczu.**

- No więc z tego co mi wiadomo to pierwsze próby odbudowy Pomnika Orłąt Przemyskich, podjął inżynier Bogusław Gębarowicz.

- **Piękna sprawa, że to mówisz. Bo o tym pisze Janusz Polaczek, Ty czytałeś tekst Polaczka?**

– Tak, wspomniał. No i wystąpił z grupą działaczy. W latach osiemdziesiątych, w latach Solidarności. W 1981 roku, chyba. Wystąpił do Wojewody Wojciechowskiego, który powiedział, że...

– **Czekaj, czekaj, stop. Przepraszam. Wojciechowski kiedy był wojewodą?**

– W osiemdziesiątym już był wojewodą Wojciechowski. Albo w osiemdziesiątym pierwszym.

– **To czekaj, to on dojechał do dziewięćdziesiątego pierwszego roku? A przed Wojciechowskim, kto był wojewodą? Przed Wojciechowskim. Cichocki, a kiedy ta zmiana nastąpiła?**

– Nie wiem. Wiem, że był dosyć długo Wojciechowski wojewodą, bo wcześniej był prezydentem.

– **Tak, czyli w czasach Solidarności była zmiana wojewody.**

– Chyba tak. Ja mam ślad odpowiedzi na pismo z prośbą o pozwolenie na budowę pomnika. Pan wojewoda oświadczył, że odbudowa pomnika naruszałaby uczucia narodowe Ukraińców. A gdzie nasze? Należy zadać sobie pytanie, gdzie nasze, polskie uczucia?

– **Nasze są tam, gdzieś na początku wojny Polsko- ukraińskiej.**

– No właśnie, na początku wojny Polsko—ukraińskiej... No więc sprawa upadła. Natomiast...

– **Ale zbierali pieniądze. Cegielki na pomnik, były zbierane pieniądze. Cegielki. Kto ma jakąś cegielkę?**

– W roku 1988, pod koniec roku 1988 z inicjatywy Stanisława Żółkiewicza wyszła inicjatywa powołania Stowarzyszenia Obrońców Orłąt Przemyskich czy Pamięci Orłąt Przemyskich. I było pierwsze zebranie organizacyjne w podziemiach kościoła Salezjanów. Z tego co pamiętam, to byli: Jan Musiał, Jan Jarosz, Andrzej Matusiewicz, Włodzimierz Pisz, Jan Pisz... Leszek Sowiński.

– **Ale gdzie te papiery są z tego stowarzyszenia?**

– Całe archiwum Żółkiewicz miał. No i to było pierwsze zebranie organizacyjne. Potem drugie już było w lutym, na początku lutego 89. To już zaczynała się odwilż. Wtedy powstało Stowarzyszenie Pamięci Orłąt Przemyskich. Stowarzyszenie Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich. U Orłąt wybrano zarząd, zarejestrowano. Nawiązano kontakty z autorem przedwojennego projektu z Wrocławia, z inżynierem, zapomniałem nazwiska. No i wtedy sprawy gładko ruszyły. Opracowano projekt. Zaczęto gromadzić środki na budowę, konto bankowe otworzono. Spotykało to się z przychylnym przyjęciem społeczeństwa w Przemyślu, często z entuzjazmem. Ba, pamiętam, że przychodzili ludzie do siedziby. Bo siedziba stowarzyszenia była na ul. Grunwaldzkiej... Koło przystanku autobusowego. Przychodzi człowiek i mówi wicie panowie ja pamiętam tego Ukraińca co burzył pomnik. On na Lipowicy mieszka. Stary jest, ale żyje jeszcze. To słysza-

tem, na własne uszy. Ale daliśmy temu spokój.

- A jak sprawa wyglądała z lokalizacją, to takie było oczywiste? Lokalizacja pomnika?

- Nie, ale lokalizację, to pamiętam, to Żółkiewicz z Włodziem trochę narzucili. Ponieważ w nowych realiach nie było sensu starać się o Plac Konstytucji, w układzie komunikacyjnym w starym mieście. Było też oczywiste, że będzie to pomnik, gdzie będą uroczystości patriotyczne.

- Boguś, nawiążę do dnia dzisiejszego. No to wtedy to się udało, a Szarzyńskiemu czemu się nie udaje pomnik zadwórzeński? Bo się uparł na tym skrzyżowaniu. To jest jedyne miejsce w Przemyślu?

No właśnie. Stanisław Szarzyński to mój kolega ze szkoły i z pracy, ale czy on nie miał siły przebicia, czy też miejsce nie takie wymyśli, nie wiem. My podeszliśmy w sposób pragmatyczny. Oczywiście miejsce się wybrało. Był trochę problem z przeniesieniem pomnika Łańcuckiego. Przy Placu Łańcuckiego. Tam tabliczka była i obelisk był i to przeniesiono.

- A ty wiesz, że do dzisiaj jest ta tabliczka i czy ona jest zgodna z ustawą o antykomunizmie? A gdzie ona była wcześniej i jest nadal?

- Na Domu Robotniczym. No więc prace projektowe ruszyły. Zbierano powoli pieniądze, było poświęcenie. Nazwisko architekta z Wrocławia mam gdzieś w papierach, chyba Jan Turkowski. No więc ufundowano Sztandar Stowarzyszenia, był chorąży... Pamiętam, byłem chorążym przy poświęceniu, nogi ledwie wytrzymały, trzymałem Sztandar. Zdjęcia mam z tej uroczystości. Wtedy Witold Kowalski był senatorem. Było oczywiście poświęcenie, wkopanie kamienia węgielnego. I budowa ruszyła. Jakiś tam skromny udział przy tym mam, bo fizycznie nie pracowałem za dużo. Robert Choma pracował, pamiętam, ale najwięcej Stanisław Żółkiewicz, Włodzimierz Pisz i Leszek Zajac. Zbyszek Kuchcinski załatwił płytki na plac przy pomniku.

... tak?!

- Ale brałem udział w pracach projektowych. Zaprojektowałem gaz do zniczy, Znicze. Kawalek przyłącza i gazomierz. Ba! Potem znalazłem i ufundowałem znicze. Te, które są znicze, które widzimy z tego okna to ja ufundowałem. Nie będę wspominał w jaki sposób, gdzie, ale przywiozłem. Oczyszczono i zamontowano i działają do dzisiaj. Raz do roku, na 11 listopada...Tak, to ufundowałem. Stowarzyszenie potem przekazało pomnik do Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej, bo inwestorem cały czas było Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej, bo stowarzyszenie nie mogło być formalnie. No i pomnik spełnia swoją rolę w sposób znakomity. Wszystkie uroczystości ważniejsze są pod pomnikiem. Plac, manifestacje patriotyczne, spełnia swoją rolę. A stowarzyszenie zaczęło umierać śmiercią naturalną.

- Wpierw, Włodziu Pisz odszedł.

– Włodziu Pisz odszedł, Jasiu Pisz. No i Marek Gosztyła. Sporo innych ludzi poodchodziło, Stanisław Żółkiewicz prawie sam działał. Aż na końcu umarło śmiercią naturalną wraz ze śmiercią prezesa w 2019 roku. To jest przykre.

– **To jest przykre. A formalne zaprzestanie działalności nie nastąpiło dokładnie wtedy jak Przemyskie Towarzystwo Kulturalne też przestało?**

– Nie, nie. To nastąpiło po śmierci Żółkiewicza.

– **Ale czekaj, ale wtedy jak był ten moment, że trzeba było zarejestrować. Przemyskie Towarzystwo nie zostało zarejestrowane. I dlatego upadło. I dlatego nie było likwidatora, ani niczego. A stowarzyszenie zarejestrowało się, czy nie?**

– Tak, oczywiście. Miało statut, oczywiście. Sprawozdanie składało do Urzędu ... Wydział Spraw Obywatelskich, na Lwowskiej. Do Urzędu Skarbowego na Lwowskiej, no i potem nie składało. To by było tyle o Stowarzyszeniu Orląt.

Część 4. W PC, PiS i w Radzie Miasta Przemyśla

– **Czy pamiętasz jak w Przemyślu powstawało Porozumienie Centrum? Kto tam działał? Czym zajmowało się? Czy brałeś udział w jakichś zjazdach? W dawnym EMPIKu miało siedzibę PTK i PC, odbywały się tam spotkania, czy tam bywałeś?**

– Po podziale Komitetu Obywatelskiego po wyborach samorządowych, część członków zapisała się do Porozumienia Centrum, a część do Unii Wolności, wtedy miała inną nazwę – chyba Unia Demokratyczna.

– **Najpierw to był ROAD – Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna.**

– Brałem udział w zjazdach krajowych i wojewódzkich Porozumienia Centrum oraz we wszystkich kampaniach wyborczych, jako członek komisji wyborczych, np. w Jaworniku Ruskim. Były kampanie wyborcze: w 1990 samorządowa w maju, o czym mówiliśmy, bo wtedy lista była wspólna Komitetu Obywatelskiego Solidarność. Ale następna kampania, prezydencka jesienią 1990 roku, to już była rywalizacja między Lechem Wałęsą i Tadeuszem Mazowieckim. Popieraliśmy Wałęsę i wygrał Wałęsa. W 1991 r. Była kampania parlamentarna i powstał rząd Jana Olszewskiego. Po odwołaniu rządu Olszewskiego 4 czerwca 1992 r, organizowaliśmy duże manifestacje w proteście do tych zmian. Była akcja przyspieszenia: „Polsko, czas na zmiany”. Przyjeżdżał Jarosław Kaczyński, miał bardzo liczne spotkanie w Centrum Kulturalnym, ludzie nie mieścili się w Sali. W 1993 r. były kolejne wybory parlamentarne.

Wtedy działaliśmy jakby w ciągłej kampanii wyborczej, z jednej do drugiej. Ale były także prowadzone prace merytoryczne. Na przykład, chyba w 1993 roku prowadziliśmy dyskusję nad

nowym podziałem administracyjnym Polski, gdzie zjazd wojewódzki PC zobowiązał nas do opracowania takiej propozycji podziału, w której jest utrzymane województwo przemyskie. Bowiem w Polsce rozpoczęły się dyskusje nad zmianą liczby województw. I Mariusz Kościelny, dyr. Biura Urządzania Lasów i Geodezji Leśnej, który wówczas był sekretarzem Zarządu Wojewódzkiego PC, po wielu dyskusjach taką koncepcję przedstawił, która była publikowana nawet w „Spojrzeniach Przemyskich”. Województwo przemyskie miało granice mniej więcej starej Ziemi Przemyskiej i Sanockiej, czyli od Tarnobrodu, Tomaszowa Lubelskiego, po Iwonice i Romanów, Rzeszów z Krosnem to było inne już województwo.

- W tamtym czasie działało Przemyskie Towarzystwo Kulturalne w dawnym EMPIK, gdzie byłem wiceprezesem i organizowaliśmy różne spotkania w siedzibie PTK, które służyło także na spotkania PC, nawet powołaliśmy Instytut Polityki Regionalnej, żeby prowadzić prace programowe dotyczące regionu. Ale to już trochę później było. Niemniej rzeczywiście działaliśmy szeroko, inicjatywy były, było więcej pracy merytorycznej jak dzisiaj.

Pamiętam też wybory samorządowe w 1994 i wybór Tadeusza Sawickiego na prezydenta, którego wybierała jeszcze Rada Miasta. Przygotowywaliśmy do pełnienia tej funkcji jego i jego zastępców: Roberta Chomę i Roberta Rybotyckiego, dwóch młodych działaczy PC. Następnie wybory prezydenckie 1995, potem parlamentarne w 1997 i rządy AWS- UW, a potem samorządowe 1998. Porozumienie Centrum funkcjonowało do roku 1999, o ile dobrze pamiętam, potem zostało przekształcone w PPChD, aż w końcu w roku 2000 powstała Prawo i Sprawiedliwość. Marek Kuchciński został posłem w roku 2001 z PiS-u. Tak. Wcześniej był wicewojewodą podkarpackim. Prawo i Sprawiedliwość w Przemyśle powstało w roku 2001 wiosną. Pamiętam. Komitet Miejski przemyski powstał, co ciekawe z inicjatywy Marka Kuchcińskiego w moim domu, nowo wybudowanym.

- Czyli Matejki 13.

- Pokój duży jest, ma prawie 50 metrów i się wszyscy zmieścili. Było 10 osób. Z tego co pamiętam to kobiety Danuta Rusinowska, Bogumiła Klarenbach, Marek Kuchciński, Andrzej Wolanin, Witold Wiśniewski, ja. No i jeszcze parę osób później. Krzysiu był, Krzysztof Szymański. Duszyk był. No i powstało Prawo i Sprawiedliwość. Pierwszym pełnomocnikiem PiS był Zbigniew Duszyk. Kandydował na prezydenta w roku 2002., wynik miał skromny. Wtedy uzyskaliśmy czterech radnych: Witek Wiśniewski, Eugeniusz Strzałkowski, Wiesław Morawski, Stanisław Szarzyński.

- Czyli PiS jest zaprawiony w tych czterech radnych, bo do dzisiaj jest czterech. Nie, pięciu.

- W wyborach wtedy prezydentem został Robert Choma, uzyskaliśmy stanowisko wiceprezydenta. Byliśmy w koalicji z ugrupowaniem prezydenckim. Wiesław Jurkiewicz był wiceprezydentem.

- A Rybotycki?

- Wcześniej był. Robert był wiceprezydentem za Tadeusza Sawickiego.

- Dobrze, ale z Porozumienia Centrum nie był?

- Tak, ale za Tadeusza Sawickiego w 1994 i 1998. No i w 2002 roku po Zbigniewie Duszyku zostałem pełnomocnikiem PiS-u, potem przewodniczącym zarządu. To było do roku 2006. W tamtych latach PiS działał sprawie i organizował wiele spotkań z politykami krajowymi. Był w Przemyślu dwa razy Jarosław Kaczyński, raz na zamku, raz przy ul. Piłsudskiego, był Zbigniew Wasserman. Prowadziliśmy z Markiem Kuchcińskim te spotkania. Były też duże konferencje, chyba Europa Karpat już na zamku w Przemyślu z udziałem Jarosława Kaczyńskiego. Później szefem zarządu został Andrzej Matusiewicz, następnie Władysław Bukowski, a później to... Lucyna Podhalicz po Bukowskim. A potem Piotr Pilch i teraz Rafał Kijanka. No więc wystartowałem w wyborach do rady w 2006 roku, zdobyłem mandat i byłem przewodniczącym Komisji Gospodarki Miejskiej. W 2010 mandat tylko cztery osoby zdobyły, ja nie zdobyłem. Władek Bukowski, Darek Iwaneczko, Morawski i Strzałkowski.

- A, i Morawski? Tak, tak, tak.

- W 2014 zostałem ponownie radnym i do roku 2018 byłem przewodniczącym Komisji Gospodarki Miejskiej, przewodniczącym klubu PiS byłem dwa razy, cały czas podczas swojej kadencji, zawsze byłem, w klubie radnych i zostałem po śmierci Władka Bukowskiego, po Lucynie Podhalicz, przewodniczącym Rady. W następnych wyborach nie startowałem z przyczyn prozaicznych, ponieważ PiS nie zarejestrował listy w moim okresie wyborczym. Wtedy zdobyliśmy w 2018 cztery mandaty, było czterech radnych, w następnych wyborach w 2018 w 2024 na wiosnę przesunięte pięciu radnych, obecnie mamy pięciu. Pięciu radnych weszło, nie wszyscy są członkami klubu, ale pięciu. To by było tyle o PiS-ie. Brałem udział w różnych kongresach, w Krakowie, w Łodzi, w Warszawie przede wszystkim, w Rzeszowie, w itp. No i ten rozdział PiSu można by zamknąć.

- A ja mogę zadać pytanie? Dlaczego nie działa klub Gazety Polskiej? Przewodniczącą w wykazach jest Ala Chruścicka. Ja na jednym z pierwszych zjazdów byłem, jeszcze jak Lucyna Podhalicz była tu w biurze. I nawet nie pamiętam, coś była mowa o delegacji, to w sumie nie wiem, czy ja byłem na delegacji, czy nie byłem, no mniejsza z tym. Tego już nie pamiętam. Ale w każdym razie miałem okazję zobaczyć. No właśnie. I czemu to tak? Czy tych co? Czytelników mało ?

- Nie ma chętnych. Po prostu nie ma chętnych. Nikt się tym na poważnie nie zainteresował.

- No ale jakby formalnie figuruje, w wykazach, które od czasu do czasu są publikowane, gdzie jest podawany szef i telefon, no jest. Pani Chruścicka jest do dzisiaj.

- Ale wracając do PiS. Myślę, że rozdział PiSu i Rada Miasta są trochę powiązane. Ponieważ będąc radnym to zawsze prezentowałem stanowisko w sprawach ważniejszych i bardzo ważnych. Takie jak moje ugrupowanie polityczne. Czy to się podobało komuś, czy nie.

Przy takich sprawach o zabarwieniu politycznym czy też społecznym to zawsze zasięgaliśmy opinii jednostki nadrzędnej czyli szefa struktur regionalnych wojewódzkich. Okręgowych, przepraszam. To jest zgodne z statutem partii i z logiką, że radni własnej polityki nie powinny prowadzić, a przynajmniej powinni prowadzić zgodnie z ugrupowaniem, które ich desygnowało. To jest zrozumiałe. Jeśli były kontrowersyjne projekty uchwał, to były one omawiane. No i w zasadzie to była jedność. Nie było większych nieporozumień w klubie. Czasami nie wszyscy mieli jednakowe zdania na pewne projekty, ale jak się przyjęło uchwałę większością głosów o stanowisku to wszyscy się dostosowywali.

Jednym z ciekawszych działań były nasze starania o poszerzenia granic miasta. Podam dwa przykłady. W latach 2006-2010 staraliśmy się o przyłączenie do Przemyśla wiosek Kruhela Wielkiego i Krównik. W przypadku Kruhela Wielkiego udało się, uczestniczyłem w bezpośrednich rozmowach z władzami gminy Krasiczyn i mieszkańcami. W przypadku Krównik sprawa przyłączenia była bardzo zaawansowana i upadła dopiero na poziomie decyzji premiera Tuska, bo wcześniej ministerstwo i wojewoda wyrażali zgodę. Tam byli mocno zaangażowani radni z różnych partii i mieli dużą siłę przekonywania, ale coś stało się u ówczesnego premiera Tuska, że Krówniki nie znalazły się w granicach Przemyśla. Szkoda.

- W Twoim wspomnieniu, szczególnie tym dotyczącym Porozumienia Centrum, brakuje mi jednego nazwiska, Zbigniew Godzień.

- Ze Zbyskiem mam mały kontakt ostatnio ze względu na jego pracę. On pracuje w firmie, która na zachodzie cały czas coś robi, organizuje imprezy i rzadko jest w Przemyślu, my się widzimy. I często Zbyszek był bardzo zaangażowany. Tak, Porozumienie Centrum. I opowiadał mi, był stanowczy. Często zwracał uwagę nawet osobom desygnowanym przez Porozumienie Centrum do funkcji publicznych, Senatorowi Witkowi Kowalskiemu zwracał publicznie uwagę, że nie należy tak robić, że trzeba ludzi szanować, itp. Zbyszek był bardzo zaangażowany w Porozumieniu Centrum. Potem przystąpił do PiSu, ale specjalnie się nie udzielał. To już nie to samo, co było. W PC był entuzjazm. Ja też zauważyłem, że stało się coś innego w nowych uwarunkowaniach politycznych, społecznych. Dawniej nasza praca społeczna wzbudzała entuzjazm. I się działało, potem nastąpiła stagnacja, powoli entuzjazm opadał i przechodziło się do porządku dziennego. Tak to jest pewnie i ze wszystkim w życiu. Jak ktoś nie potrafi pobudzić do działania, mobilizować, to tak jest. I to by było na tyle.



Bogusław Zaleszczyk przy grobowcu Orłąt Przemyskich, w którym pochowany jest stryj Mieczysław



28 Założyciele Prawa i Sprawiedliwości w Przemyslu, od lewej: Danuta Rusinowska, Krzysztof Szymański, Zbigniew Duszyk, Bogusław Zaleszczyk, Marek Kuchciński

ANDRZEJ ZAPAŁOWSKI



Andrzej Zapałowski, ur. 6.11.1966 w Wałbrzychu, dr hab. historyk, nauczyciel akademicki, polityk – Klub Poselski Konfederacji, poseł na Sejm RP VIII i IX Kadencji, poseł do PE VI Kadencji.

„Myśmy wierzyli w pokonanie Komuny”

Pytanie: – Skoro urodził się Pan w Wałbrzychu, to czy można się domyślać, że pochodzi Pan z rodziny o korzeniach kresowych?

- Jeżeli można mówić o kresowych tradycjach mojej rodziny, to wspomnę tutaj, że mój dziadek pochodził z okolic Lwowa. Jako młody chłopak został powołany do armii austro-węgierskiej aby walczyć w I Wojnie Światowej. Gdy przez jakiś czas jego oddział kawalerii stacjonował w Hucisku Jawornickim, to poznał on tam i związał się z moją babcią. Później musiał dalej walczyć, tym razem w wojnie polsko-ukraińskiej, a następnie przeciwko bolszewikom. Po wojnie z bolszewikami jego jednostkę rozwiązano, prawdopodobnie w Tomaszowie Lubelskim. Wtedy otrzymał siodło i pieszo wrócił do swojej żony. Tam okazało się, że ma 3-letniego synka, o czym nie wiedział, bo spędził na wojaczce parę lat.

Wobec trudnej sytuacji materialnej dziadek zdecydował o wyjeździe rodziny do Francji. Tam zresztą urodził się mój ojciec. Jednak tuż przed II Wojną Światową dziadkowie z trzema synami wrócili do Polski na prośbę żony, która zachorowała tam na gruźlicę i nalegała, że chce umrzeć w swojej rodzinnej wiosce, w Hucisku Jawornickim. Tam za pieniądze zarobione we Francji dziadek wybudował dom. Z tejże wioski pochodziła też moja mama, zresztą córka tamtejszego wójta, a i jej dziadek piastował wcześniej to stanowisko. Najciekawsze jest jednak to, że mój ojciec poznał mamę akurat w Wałbrzychu.

- Jak do tego doszło, że pochodzący z Podkarpacia rodzice zamieszkali akurat w Wałbrzychu i że tam się Pan urodził?

- To dość ciekawa historia. Mego ojca ściągnął do Wałbrzycha jego brat, który został wywieziony na roboty do Niemiec i po wojnie osiedlił się właśnie w tym mieście. Z kolei moja ciocia ze strony mamy również wyprowadziła się do Wałbrzycha razem z mężem, który nie mógł mieszkać w Hucisku, bo był tam żołnierzem Armii Krajowej i musiał chronić się przed Ubecją. Zresztą nie udało mu się to i przesiedział dwa lata w stalinowskim więzieniu. Otóż ciocia ściągnęła z Huciska do Wałbrzycha swoją siostrę, którą poznał tam mój ojciec i ożenił się z nią. W ten sposób Wałbrzych stał się moim rodzinnym miastem, ale tylko na 3 lata. Rodzice tęsknili bowiem za Podkarpaciem. W 69 roku kupili dom w Przeworsku i tam się przeprowadziliśmy.

A co do Huciska Jawornickiego, to z tą wioską wiąże się dramat mego dziadka z czasów okupacji niemieckiej. Otóż, dziadek ukrywał wówczas troje Żydów. Było to młode rodzeństwo z Kańczugi. Tak długo prosili dziadka, że w końcu zlitował się i dał im schronienie na strychu swego domu. W ciągu dnia młodzi Żydzi siedzieli w kryjówce, a w nocy wychodzili na pole aby zażyć ruchu i przewietrzyć się. Niestety, kiedyś zauważył ich pewien mieszkaniec sąsiedniej wioski. Znam wprawdzie nazwisko tego nieżyjącego już człowieka, ale nie ujawnię ze względu na dobro jego niewinnej rodziny, przyzwoitych ludzi. Pewnego dnia tenże „szmalcownik” przyszedł do dziadka i powiedział, że wie o ukrywaniu przez niego trójki Żydów. I postawił przed dziadkiem dwie możliwości: albo dziadek sam ich wyda w ręce niemieckiej żandarmerii, albo on doniesie Niemcom o tym fakcie i Żydzi zostaną rozstrzelani wraz z całą rodziną dziadka.

Dziadek nie miał wyboru: z pistoletu, który trzymał w domu jako pamiątkę z czasów wojny polsko-bolszewickiej, po prostu zastrzelił szmalcownika a ciało zakopał. Ten dramat miał jednak swój ciąg dalszy. Zniknięcie szmalcownika spowodowało akcję żandarmerii. Niemcy rozpoczęli poszukiwania ogłaszając, że wioska na terenie której znalezione zostanie ciało tego człowieka, zostanie spalona. W tej sytuacji, pod osłoną nocy, dziadek z pomocą dwóch przyjaciół wywiózł z terenu wioski zwłoki zdrajcy i zakopał je daleko w lesie koło Łopuszki.

Dodam tu, że w Muzeum Rodziny Ulmów w Markowej nazwisko mego dziadka jest wymienione jako ratującego Żydów. Wiem też z przekazów rodzinnych, że przez 20 lat, aż do lat 60-tych, uratowani Żydzi przysyłali z USA paczki dla rodziny dziadka. Moja starsza o 10 lat siostra pamięta, że gdy była małą dziewczynką, to chodziła w płaszczykach, które oni z Ameryki przysyłali. Warto zauważyć, że taki ludzki odruch ratowania Żydów nie był przypadkiem odosobnionym, ale dość częstym na wioskach Podkarpacia.

- Z Pańskiego biogramu wynika, że w latach 1980-86 był Pan „działaczem nieformalnego opozycyjnego ruchu wewnątrz ZHP”. W roku 80-tym miał Pan zaledwie 14 lat. Jakże ma Pan wspomnienia z tego okresu?

- Jedno z tych wspomnień dotyczy bodaj 8-mej klasy Szkoły Podstawowej nr 2 w Przeworsku. Mieliśmy wówczas lekcje religii u ojców bernardynów. Otóż ksiądz katecheta zapytał się mnie i kolegi, czy nie powiesilibyśmy krzyży w szkole. A był to rok 1980-ty. Chętnie zgodziliśmy się. Wzięliśmy dwa czy trzy krzyże, weszliśmy po godzinie 15-tej do szkoły, z pokoju nauczycielskiego zabraliśmy dwa klucze do sali lekcyjnych i przybiliśmy te krzyże do ścian. Na drugi dzień była wielka awantura w szkole, ale tych krzyży nikt nie odważył się zdjąć i już tak wisiały.

W 82-roku, chodząc do szkoły średniej w Przeworsku związałem się z harcerstwem poprzez różne osoby, w tym Irenę Lewandowską, dzisiaj Kozimałą po mężu, która wówczas była studentką w Rzeszowie. No i w ramach harcerstwa rozdawaliśmy ulotki. No i po latach, gdy zaglądnąłem w IPN-ie do kilku teczek Bezpieki, to okazało się, że przez dwa lata rozpracowywała nas Służba Bezpieczeństwa. Dwóch esbeków śledziło mnie w szkole, a dwóch kolejnych przed domem. Ja miałem u nich kryptonim „Jędrak” w ramach operacji „Niepoprawny”. Sprawę tę zakończono w 85 roku. I co ciekawe, w jednym z raportów SB widnieje zapis, że do mnie „nie było możliwości dotrzeć poprzez agenturę”. Czyli w tej mojej drużynie harcerskiej nie udało im się nikogo skaptować jako „TW” do informowania o moich działaniach.

- Jakże to były działania? Może Pan podać jakiś przykład?

- Oczywiście, były to działania na miarę nastolatków, a nie prawdziwych działaczy solidarnościowego podziemia. Jak już wspomniałem, w ramach harcerstwa zajmowaliśmy się kolportażem ulotek i podziemnych wydawnictw dostarczanych nam z Rzeszowa przez Irenę Lewandowską. Zdarzały się też samodzielne działania, np. malowanie na murach antyreżimowych napisów, czy też zrywanie prorządowych.

Przypomina mi się tu epizod z okresu stanu wojennego w jesieni 82-go roku, kiedy to byłem uczniem liceum zawodowego w Przeworsku. Mieliśmy wówczas praktyki zawodowe w różnych zakładach pracy. Mnie wraz z grupą kilkunastu uczniów przydzielono do zakładu „Zelmer” w Rzeszowie. Gdy przebieraliśmy się w ubrania robocze akurat w pomieszczeniach zakładowego oddziału PZPR, przywieziono tam cały stos plakatów anty-solidarnościowych. Podczas przerwy śniadaniowej wszedłem tam, odłożyłem na bok jeden plakat, a wszystkie pozostałe po prostu podarłem, przykrywając je następnie tym jednym całym. Zajęło to trochę czasu, więc nie było mnie na śniadaniu. Przed godziną piętnastą przyjechał jakiś pułkownik aby zabrać te plakaty i rozdzielić je pomiędzy różne zakłady pracy. Jak zobaczył co się z nimi stało, to zaczął strasznie krzyżeć. Natychmiast wszystkich nas ściągnęli z hali i zaczęły się przesłuchania. Nikt z nas nie przyznawał się, więc zapowiedziano kontynuację przesłuchań w szkole w obecności oficera Służby Bezpieczeństwa. Wszyscy w klasie oczywiście domyślali się kto to zrobił, bo tylko ja jeden byłem nieobecny w zakładowej stołówce w czasie przerwy śniadaniowej. Następnego dnia w szkole, gdy od rana oczekiwaliśmy na przyjazd oficera SB, jeden z kolegów głośno zarzucił mi, że to musiałem zrobić właśnie ja. I wtedy stała się rzecz niesamowita. Cała klasa po prostu

zagroziła mu, że jeśli odważy się powiedzieć o tym na przesłuchaniu, to wszyscy zaświadczą, że zrobił to właśnie on. Byłem tyleż samo zaskoczony, co i wdzięczny koleżankom i kolegom. Gdyby nie ta reakcja całej klasy, to zapewne wyrzucono by mnie ze szkoły i nie ukończyłbym Liceum. Ostatecznie podczas przesłuchania nikt się oczywiście nie przyznał. W ramach odpowiedzialności zbiorowej wytypowano więc dziewięciu z nas jako głównych „prowodyrów klasowych”, a więc podejrzanych, i jako karę wpisano nam do dziennika „zachowanie naganne”.

- Te opozycyjne zawirowania nie przeszkodziły w ukończeniu Liceum i wtedy, jak każdy abiturient, stanął Pan zapewne przed pytaniem: co dalej?

- Tak, to był dla mnie problem. Od dziecka miałem zainteresowania militarne i marzyłem o szkole oficerskiej, jednak z moim zacięciem opozycyjnym wobec komunizmu kariera w wojsku peerelowskim była nierealna, o czym zresztą uprzedzano mnie. Zdecydowałem więc, że skoro w liceum miałem przedmiot „wychowanie obronne”, to wybiorę ten kierunek w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Dobrze, że w formularzu wstępnym asekuracyjnie wpisałem jeszcze historię, bo okazało się, że we wstępnej rozmowie weryfikacyjnej odrzucono moją kandydaturę na kierunek obronny. W trakcie kolejnych lat studiów zrozumiałem – dlaczego.

No więc zdałem egzamin wstępny i dostałem się na historię. Gdzieś po dwóch miesiącach, gdy pociąg którym jechałem mijał stację Kraków-Płaszów, podszedł do mnie Andrzej Berestecki z Przemyśla i zaproponował kolportowanie antyreżimowych ulotek. W pierwszym momencie zawahałem się. Powiedziałem: „Wiesz, ja się teraz koncentruję na współpracy w organizowaniu niezależnego harcerstwa”. Jednak gdy dojeżdżaliśmy do stacji „Kraków Główny”, spytałem go: „No to powiedz, Andrzeju, kiedy mam zacząć to robić?” No i na przełomie roku 85-go na 86-ty zacząłem kolportować ulotki.

- To był początek Pana „dorosłej” działalności opozycyjnej?

- Można tak powiedzieć. Chciałbym tu podkreślić, że to był wówczas okres bodaj największej zapaści w działalności opozycyjnego podziemia i zarazem największej apatii społeczeństwa. Po prostu prawie nikt już nie wierzył, że zmiana politycznej sytuacji w Polsce jest w ogóle możliwa. My byliśmy młodzi i naiwni, więc wierzyliśmy.

Zaczęliśmy tę naszą działalność od tego, że w pewnej „dziupli” na Akademii Górniczo-Hutniczej drukowaliśmy, wtedy jeszcze na ramce, ulotki i takie „komplety katyńskie”. Oprócz nas dwóch, uczestniczyli w tym jeszcze – Andrzej Huk i Rysio Hano, obaj z Przemyśla. No i kolportowaliśmy to głównie wśród studentów krakowskich uczelni.

Jakoś nie mogłem złapać namiaru na opozycyjne podziemie w naszej uczelni. Zorganizowaliśmy więc grupę kilkunastu osób i przyjęliśmy nazwę: „Niezależne Zrzeszenie Studentów – Grupa Legion”. W ramach tego naszego NZS-u rozpoczęliśmy wydawanie pisemka „Legion”. Wyszło tego kilkanaście numerów. Drukowaliśmy je najpierw na ramce, później na sicie. Nawiasem mówiąc, pierwszą ramkę, którą robiłem i na której drukowałem, mam do dzisiaj „na pamiątkę”. No i po

roku tej naszej działalności okazało się, że tak naprawdę na tej mojej uczelni całe Niezależne Zrzeszenie Studentów – to tylko my.

Później udało nam się złapać kontakty i od 87-go roku rozpocząłem już współpracę z organizacją młodzieżową Konfederacji Polski Niepodległej. Jednocześnie w Krakowie nieformalnie ukonstytuowała się taka tajna krakowska Komisja NZS-u, do której wchodziło po trzy osoby z każdej uczelni. Ja wszedłem tam z ramienia swojej WSP, z ramienia Uniwersytetu Jagiellońskiego był tam m.in. Paweł Graś, zresztą do dzisiaj „prawa ręka” Donalda Tuska, natomiast z Akademii Sztuk Pięknych była dziewczyna o imieniu Beata, nazwiska już nie pamiętam. No i w ten sposób rozpoczęliśmy już szerszą konspirację.

- Na czym polegała ta szersza konspiracja?

-W mieszkaniu, które wynajmowałem z dwoma kolegami, prowadziliśmy bardzo dużą „dziuplę”, bo co tydzień kolportowaliśmy odpłatnie do pięciuset sztuk samego Tygodnika „Mazowsze” oraz mnóstwo książek. Od 87-go roku jeżdżąc co tydzień do domu, przy okazji dostarczałem do Przeworska pół plecaka „bibuły”. Z kolei Andrzej Huk, Andrzej Berestecki, a później i Piotr Pilch, wozili „bibułę” do Przemyśla. Gdy zdarzyło się, że oni nie mogli, to ja dowoziłem te nielegalne przesyłki do Przemyśla, pod różne adresy.

W marcu 88-go roku, razem z kolegą z polonistyki, ś.p. Tomkiem Ceterą, ujawniliśmy się w naszej podziemnej gazetce „Legion”. Podaliśmy tam z imienia i nazwiska swoje namiary, przedstawiając się jako osoby kontaktowe w ramach Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

- To chyba musiało być niebezpieczne?

- Początkowo nie wywołało to reakcji Bezpieki, ale później faktycznie, naraziło mnie to na represje. Podczas jednej z demonstracji aresztowano na kilkanaście godzin mnie oraz narzeczoną, późniejszą moją żonę, ś. p. Ewę. Oczywiście byłem długo przesłuchiwany, ale po tych przesłuchaniach odmówiłem podpisania protokołu.

Jednak nie wszystkie osoby związane z władzą komunistyczną były złe. Po wypuszczeniu mnie z aresztu wezwał mnie dyrektor instytutu, profesor Jacek Chrobaczyński, i poinformował, że oficerowie Służby Bezpieczeństwa zażądali wyrzucenia mnie z uczelni, jednak on wraz z resztą kierownictwa Instytutu nie zgodził się na to.

Kolejny przypadek kontaktu z SB miał miejsce półtora miesiąca później. Podczas manifestacji 3-majowej przed Komitetem Wojewódzkim PZPR rzucała się w oczy taka duża czerwona flaga zwisająca ze ściany tego budynku, od góry do samego dołu. Niewiele myśląc podszedłem i zacząłem tę flagę zdzierać. W tym momencie podbiegło w moim kierunku kilku mężczyzn. W pierwszej chwili pomyślałem, że biegną aby mi pomóc, jednak po paru otrzymanych ciosach zrozumiałem, że to esbecy w cywilnych ubraniach. Zacząłem się z nimi bić oddając cios za cios. To był efekt moich paroletnich ćwiczeń sztuki walki. W dużo gorszej sytuacji znalazł się próbują-

cy mi pomóc mój współmieszkaniec, Jacek Wowra. Po pierwszych ciosach niestety upadł i został potwornie skopany przez esbeków. Mnie, po dłuższej wymianie ciosów, też ostatecznie powalili na ziemię, ale jakoś nie kopali. Później podszedł do mnie jeden z esbeków i mówi: „Patrz skurwysynie coś mi zrobił!” Spojrzałem, i faktycznie, wyrwałem mu z kurtki cały rękaw.

Zaprowadzili nas pod pomnik grunwaldzki i tam zapakowali do samochodowej więźniarki. Jacek zgłosił esbekom, że zginął mu zegarek, jak go kopali przed budynkiem Komitetu. I wtedy, o dziwo, sierżant z więźniarki kazał esbekom iść i szukać tego zegarka.

Ostatecznie trafiliśmy do aresztu na ul. Montelupich. Tam rozebrali nas do naga i dla upokorzenia prowadzili korytarzami, po czym kazali się ubrać i zamknęli. Cele były tak przepełnione, że spałem na podłodze. Jacek jęczał z bólu całą noc, bo nie otrzymał żadnej pomocy medycznej, a miał całe plecy zakrwawione. Mnie się udało, bo poza paroma szturchańcami nic mi nie było. Po 48 godzinach zawieźli nas na Kolegium do Spraw Wykroczeń, gdzie wlepiono nam maksymalną karę plus jeszcze dodatkowo 30 procent za użycie przeciwko nam zwartej jednostki w celu aresztowania.

Gdy wyszliśmy na wolność wymęczeni i nie myci od dwóch dni, to dowiedziałem się, że studenci prowadzą właśnie wiec protestacyjny na Uniwersytecie Jagiellońskim. I wtedy krótka w myślach rozterka: gdzie iść, do akademika, czy na wiec? Poszedłem na wiec.

Po dwóch dniach uczelnia zawiadomiła mnie, że wzywa mnie dziekan, prof. Andrzej Kastory. Pomyślałem, że już tym razem na pewno zostanę wyrzucony ze studiów. Jakże byłem zaskoczony, gdy w gabinecie dziekana usłyszałem: „Pan bronił zasad, wartości, no więc proszę napisać podanie o zapomogę socjalną i uczelnia ją Panu wypłaci”. Byłem absolutnie w szoku, bo przecież w Polsce panowała jeszcze komuna, a krakowska WSP uważana była za najbardziej „czerwoną” wśród krakowskich wyższych uczelni. Ująłem się jednak honorem i nie podjąłem starań o zapomogę, bo nie dla zysku robiłem to, co robiłem.

- W 88-ym roku w Polsce rozpoczynała się powoli jakby polityczna odwilż. Jak ta sytuacja wpłynęła na działalność środowiska NZS-u w Krakowie?

- Wówczas pojechaliśmy do Warszawy aby złożyć do Sądu wnioski o ponowną rejestrację Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Zaczęliśmy też zapisywać chętnych do członkostwa w NSZ. I proszę sobie wyobrazić, że gdy postawiłem przed moją uczelnią stolik, to w krótkim czasie zapisało się do NZS-u ponad tysiąc studentów. A było to przecież na rok przed „Okrągłym Stołem”. Wydawaliśmy już wtedy studentom legitymacje członkowskie ze znaczkami za wpłacane składki. Wtedy też na uczelni zajęliśmy jedną tablicę, na której zawiesiliśmy podziemne ulotki KPN-u i NZS-u. No i ani rektor, ani nikt inny tego nie zerwał, mimo że prorektor był zarazem pierwszym sekretarzem PZPR w Krakowie. I muszę przyznać, że to wisiało do końca.

Później były te słynne wydarzenia krakowskie, a wcześniej powstały tzw. „grupy specjalne” NZS-u. Te grupy powołano w reakcji na to, co stało się w 87-ym roku podczas demonstracji 3-ma-

jowej. Gdy wtedy wyszliśmy z katedry wawelskiej i zmierzaliśmy na miejsce demonstracji, to okazało się, że w drugim szeregu szło kilkudziesięciu esbeków ubranych po cywilnemu. I oni nagle całą czołówkę marszu zmasakrowali jakimiś pałkami i prętami.

Aby zapobiec powtórzeniu takiej sytuacji powołaliśmy właśnie takie „grupy specjalne”, nieformalne i zakonspirowane, w przeciwieństwie do praktycznie jawnego już stowarzyszenia. Po prostu na każdej uczelni zorganizowaliśmy kilkunastoosobowe grupy silnych i sprawnych studentów, wyposażonych w petardy oraz inny sprzęt do walki na wypadek konieczności odparcia agresywnej szarży esbeków. Pamiętam, że u nas w akademikach robiliśmy petardy i świece dymne z materiałów, które dostarczali nam chłopcy z Wydziału Chemii UJ-tu. Niektórzy studenci pracowali w różnych spółdzielniach i sporządzali sobie jakieś kolce i pałki. Od tej pory w naszych marszach protestacyjnych ci silni chłopcy szli za czołówką oraz po bokach i na końcu. Po raz pierwszy tak „uzbrojone” nasze nieformalne „grupy specjalne” zostały użyte podczas 3-majowego pochodu w 88-ym roku. Wtedy esbekom i zomowcom nie udało się rozgonić marszu. Nasi studenci-ochroniarze potrafili też przerwać kilkanaście kordonów esbeckich podczas strajkowych demonstracji pod UJ-em. Ich największym sukcesem były jednak tzw. wydarzenia krakowskie z czerwca 88-go roku. Wówczas przez kilka dni ZOMO nie było w stanie wdrzeć się na teren Rynku.

W roku akademickim 88-89 nie było już takiej potrzeby i te grupy specjalne przestały już istnieć. Esbecy i zomowcy najwyraźniej nie mieli już zamówień ze strony swoich politycznych mocodawców na drastyczne stosowanie przemocy. Szkoda tylko, że o powołaniu przez NSZ tych nieformalnych grup prawie nigdzie do tej pory nie pisano.

Dodam tu, że podczas studenckich strajków krakowskich byłem w prezydium Komitetów Strajkowych i mam do dzisiaj mnóstwo oryginalnych dokumentów z podpisami Komitetów Strajkowych, bo zbierałem to wszystko. Mam też m.in. oryginalną listę, na której kilkudziesięciu pierwszych studentów zapisywało się do NZS-u, mam legitymacje członkowskie i wiele innych dokumentów. Trzymam te wszystkie dokumenty do dzisiaj i muszę znaleźć trochę czasu, żeby przekazać je krakowskiemu IPN-owi.

Przypomniał mi się tu pewien epizod z początku czerwca 88-go roku, jeszcze przed tymi strajkami. Otóż esbecy aresztowali wówczas na mojej uczelni kilku chłopców z pierwszego roku studiów. I w reakcji na to prorektor Jarowiecki, ten który był jednocześnie pierwszym sekretarzem krakowskiej PZPR, zawiesił ich w prawach studenta. Takie zawieszenie na pierwszym roku studiów równało się z niedopuszczeniem do zdawania egzaminów, a więc praktycznie z usunięciem ze studiów. I pamiętam jak z dwoma kolegami wszedłem do jego gabinetu i oznajmiłem, że jeśli do jutra nie odwiesi tych studentów, to mu zrobimy strajk okupacyjny na uczelni. Prorektor spienił się ze złości, wstał zza biurka i zaczął krzyżeć: „wypierdalać mi stąd!” Okazało się jednak, że na drugi dzień ci studenci zostali odwieszeni.

Tak więc, my w Krakowie jeszcze przed 89-tym rokiem absolutnie jawnie i dość skutecznie działali. Pamiętam, że jeszcze jesienią 88-go roku urządziliśmy bojkot zajęć Studium Wojskowego, bo jego program zawierał propagowanie ustroju komunistycznego. Na czwartym roku studenci

każdej uczelni mieli jeden dzień w tygodniu obowiązkowych zajęć w Studium Wojskowym. No więc z kilkoma kolegami weszliśmy w czasie zajęć do Studium Wojskowego w naszej uczelni i powiedzieliśmy, że rozpoczynamy okupację tego Studium. No i wśród wykładających tam pułkowników rozpoczęła się zadyma. Przesiedzieliśmy tam do wieczora i w końcu dogadaliśmy się, że na zajęciach Studium Wojskowego nie będzie tematów politycznych, a tylko czysto wojskowe.

- Kolejny rok był już wręcz przełomowy zapewne i dla NZS-u?

-Muszę tu powiedzieć, że jeszcze wiosną tego roku dla mnie osobiście przełomu nie było, bo władze PRL-u pozbawiły mnie możliwości otrzymania paszportu. W odmowie stwierdzono, że moja dotychczasowa działalność nie daje gwarancji „właściwego zachowania” za granicą. Jednak rzeczywiście, rok 89-ty zwiększył możliwości działania NZS-u. Na początku tego roku, jeszcze przed „Okrągłym Stołem”, zorganizowaliśmy na WSP oficjalne Walne Zebranie wszystkich naszych członków i nikt z władz uczelni nam w tym nie przeszkadzał. Pamiętam, że główna aula uczelni wypełniona była studentami po brzegi. Młodzież studencka była wówczas bardzo patriotyczna i zaangażowana w rozpoczynające się zmiany systemu politycznego. To była ogromna wartość.

W 90-tym roku ukończyłem studia i zaciągnąłem się na pół roku do wojska, do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych w Poznaniu. Pamiętam taką sytuację, że chodziłem tam ze znaczkami KPN-u. No i tylko raz zwrócono mi uwagę, że nie jest to w tym miejscu odpowiednie. Muszę przyznać, że wojowi wykładowcy całkowicie unikali tematów politycznych i byli wobec mnie tolerancyjni. Miałem tam gazety KPN-u „Honor i Ojczyzna”, jeszcze z podziemia antyreżimowego, i prowokacyjnie rozłożyłem na moim biurku dwa czy trzy numery. No i absolutnie nikt z wykładowców i władz uczelni nie ingerował.

- Od kiedy zaczął Pan współpracować z Konfederacją Polski Niepodległej?

- Z KPN-em zacząłem współpracować od 86-go roku w Krakowie. A mówiąc dokładnie, to przyłączyłem się i przez dwa lata należałem do organizacji młodzieżowej tego politycznego ugrupowania. A już formalnie złożyłem przysięgę i stałem się członkiem partii w 88-ym roku, w mieszkaniu Zygmunta Łenyka, szefa tego obszaru.

W końcu kwietnia 88-go roku, gdy rozpoczęły się te słynne strajki krakowskie i kiedy stanęła Nowa Huta, to Bezpieka rozbiła ileś tam nielegalnych drukarni w Krakowie. No i wówczas członkowie KPN-u (m.in. Maciek Gawlikowski) wpadli do mnie i poprosili nas o wydrukowanie ulotek oraz gazetki dla strajkujących hutników. No i przez trzy dni i nocy, prawie nie śpiąc, kilku z nas drukowało to na sicie.

Wcześniej koledzy z KPN-u nauczyli mnie drukowania na sicie nie z mydła, bo to śmierdziało, tylko z mleka „Bebiko-0” dla niemowląt oraz plakatówki. To się odpowiednio zagęszczano, przepuszczano przez pończochę i po naświetleniu całe gazetki drukowaliśmy. Do dzisiaj nie zapomnę jak patrzono na mnie w sklepach, gdy kupowałem cały duży plecak tego mleka dla niemowląt.

No i wydrukowaliśmy przez te trzy dni chyba z kilkanaście tysięcy gazetek.

Nie zapomnę też zdarzenia, gdy po dwóch dniach bezustannego drukowania powiedziałem kolegom, że idę się przewietrzyć. Wychodząc wzięłem ze sobą cały plecak ulotek. Przeszedłem się i przy kościele na Skalce, gdzie ludzie wychodzili po mszy, rzuciłem ulotki i zniknąłem, udając się na Wawel. Tam, pod figurą smoka wawelskiego zebrało się mnóstwo ludzi. Wszedłem na rusztowanie, bo był akurat remont, i rzuciłem z góry całą zawartość plecaka. Zauważyła to służba ochrony, więc zacząłem uciekać. Oni, aby mnie zatrzymać, zaczęli spuszczać kratę. Na szczęście zdążyli opuścić ją tylko do połowy i udało mi się wybiec.

Do nas często przychodzili ludzie z plecakami po te ulotki i to nie mogło ujść uwadze Bezpieki. Gdy po trzech dniach opuszczaliśmy wreszcie to mieszkanie, podeszło do nas dwóch cywilów, powiedzieli że są z milicji, że szukają tu pewnego bandyty i poprosili dwóch z nas o wylegitymowanie się. Gdy tajniacy zaczęli spisywać ich dowody, to nagle wszyscy pozostali koledzy wyciągnęli swoje i też poprosili o spisanie. Ci dwaj tajniacy byli tym najwyraźniej zaskoczeni i wręcz zażenowani. To był maj 88-go roku i studencka brać po prostu niczego już się nie bała. Nie mieliśmy już żadnego strachu przed milicją i esbecją. Ten przełom w świadomości studentów krakowskich dokonał się pomiędzy marcem i majem 88-go roku.

- Zapewne od dawna byliście inwigilowani?

- Owszem. Przypomina się historia z takim chłopakiem, Piotrem Kędzierskim, który kiedyś przyszedł do nas, przedstawił się jako członek Federacji Młodzieży Walczącej i powiedział, że ma doświadczenie do materiałów drukarskich i może nam trochę tego dostarczyć. I faktycznie, raz przyniósł to co nakłada się na ramkę drukarską, czyli „szyfon”, jak my to nazywaliśmy. Po paru dniach przyszedł z trudno osiągalną drukarską emulsją sprowadzaną z zagranicy. Mnie coś jednak tknęło, że to może być szpicel.

Owszem, korzystaliśmy z tego co przynosił, ale ta jego bezinteresowność wydała mi się podejrzana. To działo się na przełomie kwietnia i maja 88-go roku, w czasie strajków krakowskich. No i w czasie jednej z demonstracji, gdy podchodziłem do grupy chłopaków z Federacji Młodzieży Walczącej, zauważyłem tego Kędzierskiego jak kręcił się wśród nich, że niby swój, i wszystkim robił zdjęcia. Kiedy chłopcy potwierdzili, że on nie należy do ich organizacji, to po prostu powiedziałem im, że to jest esbecki szpicel. No i wtedy oni rozwalili mu aparat i mocno go pobili.

Pamiętam, że miałem wówczas lekkie wyrzuty sumienia, ale dzisiaj już ich nie mam. Po latach dowiedziałem się bowiem od Macieja Gawlikowskiego, który badał dokumenty archiwalne SB w krakowskim IPN-e, że ów Piotr Kędzierski faktycznie był esbeckim szpiclem. Donosił na wielu krakowskich działaczy i spowodował ich uwięzienie. Fakt ten został zresztą opublikowany przez Gawlikowskiego w prasie.

-Częściowo wolne wybory parlamentarne w 89-ym roku dawały już zdecydowaną i powszechną nadzieję na zmianę sytuacji politycznej w kraju. Jak wówczas starał się Pan

wspomagać ten proces?

- Pamiętam, że będąc w Przeworsku w kwietniu tegoż roku zobaczyłem w jednym ze sklepów powielacz do sprzedania, rzecz wcześniej wręcz nieosiągalna. Pożyczyłem więc od rodziców ileś tam zachomikowanych dolarów i w porozumieniu z Ireną Lewandowską oraz Janem Sołkiem zrobiliśmy ten zakup. No i na tym powielaczu drukowaliśmy u Ireny w domu Biuletyn Wyborczy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”.

W roku 90-ym ujawniliśmy działalność KPN-u i osobiście uczestniczyłem w odtwarzaniu struktur tej partii na terenie woj. przemyskiego. Wspomnę tu, że KPN okupował wówczas budynki Komitetów Wojewódzkich PZPR. No i myśmy dostali informację, że siedziba tego Komitetu w Przemyślu (nawiasem mówiąc dawny klasztor o.o. bonifratrów) ma być przeznaczona na inne cele, niż oświatowe. Tymczasem chciano wówczas założyć w Przemyślu Kolegium Języków Obcych, lecz nie dysponowano odpowiednim budynkiem. W konsekwencji mogło nie dojść do powstania w Przemyślu tej uczelni. To mnie po prostu wkurzyło. Zwołałem więc 23-go stycznia 90-go roku przed budynek PZPR-u kilkunastu swoich chłopaków z KPN-u, uczniów z przemyskich liceów i z Federacji Młodzieży Walczącej, no i powiedziałem im: „wchodzimy i zajmujemy budynek!” Drzwi były zamknięte, więc wyważyliśmy je. Pracownicy Komitetu, w tym także kilku mężczyzn, byli w szoku. Oświadczyłem im, że właśnie okupujemy budynek. W reakcji na to owi mężczyźni zamknęli się w jednym z pomieszczeń. My zajęliśmy cały budynek i zabarykadowaliśmy drzwi zewnętrzne. W jednym z pomieszczeń w piwnicach odkryliśmy, że palone tam były dokumenty Komitetu. Tymczasem doszło do próby odbicia budynku przez oficerów Służby Bezpieczeństwa. Ja w tym momencie byłem na dachu i ściągałem ostatnią w Przemyślu czerwoną flagę komunistyczną. Ostatecznie, po negocjacjach z udziałem m.in. mecenasa Andrzeja Matusiewicza, Zbigniewa Bortnika oraz prezydenta miasta Kazimierza Nycza, budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR został – zgodnie z naszą wolą – przeznaczony na siedzibę Kolegium Języków Obcych 1)

Na koniec tych wspomnień z działalności w ramach NZS i KPN nasuwa mi się tu refleksja, że najtrudniej było przetrwać lata 86 i 87. Wtedy panowała wśród krakowskiej młodzieży, a i wśród społeczeństwa, totalna zapaść i brak wiary w możliwość politycznej zmiany w Polsce. Jednak myśmy wierzyli w pokonanie Komuny. W tych latach w Krakowie była jakby symbioza pomiędzy KPN-em, NZS-em, ruchem „Wolność i Pokój” i Federacją Młodzieży Walczącej. To były jednak środowiska wówczas tak naprawdę nieliczne, bo liczące zaledwie po kilkadziesiąt osób. Dopiero od kwietnia 88-go roku organizacje te stały się bardziej masowe.

No i po tych burzliwych latach mam tę satysfakcję, że o „Kryż Wolności i Solidarności” dla mnie wystąpił sam krakowski IPN.

P.S.

Wywiad z dr hab. Andrzejem Zapałowskim przeprowadzony został jako z działaczem niepodległościowym, a nie naukowcem i politykiem. Warto tu jednak dodać, że ukończywszy studia historyczne i prawnicze, jest on aktualnie profesorem na Uniwersytecie Rzeszowskim, gdzie wykłada i kieruje Zakładem Polityki Bezpieczeństwa. Jest też obecnie posłem na Sejm X kadencji z ramienia Konfederacji Wolność i Niepodległość (wcześniej m.in. pełnił funkcję posła na Sejm III

kadencji z ramienia Akcji Wyborczej Solidarność oraz europoła do Parlamentu Europejskiego w latach 2005-2009 z ramienia Ligi Polskich Rodzin, jak również radnego miasta Przemyśla ostatniej kadencji z ramienia Kukiz'15). Jest autorem wielu artykułów i książek na temat stosunków polsko-ukraińskich, w tym m.in. historii regionalnej i zbrodni OUN-UPA. Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a także uhonorowany medalami: „Komisji Edukacji Narodowej”, „Pro Patria”, i „Za Zasługi dla Kresów”.

(Opracował K. Jacek Borzęcki)

1) Komentarz Marka Kamińskiego byłego przewodniczącego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Przemyślu:

Po raz pierwszy budynek KW PZPR w Przemyślu został przejęty jesienią 89-go roku. W rozmowie z wicewojewodą Stanisławem Żółkiewiczem doszliśmy do wniosku, że należy coś zrobić z tą siedzibą Komitetu Wojewódzkiego PZPR, bo tam jest dużo majątku, który jest rozkradany, no i niszczą partyjne dokumenty.

To było gdzieś we wrześniu czy październiku 89-go roku. Zdecydowałem, że jako przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” pójdę tam i zajmę budynek. Wziąłem ze sobą swego ówczesnego kierowcę, Jana Jarosza, no i weszliśmy do budynku Partii. Pierwszego sekretarza KW PZPR, Zenona Czecha, akurat nie było, ale był jego zastępca, Antoni Wiśniowski. Powiedziałem mu: „W imieniu „Solidarności” przejmuję ten budynek, który nie powinien być zajmowany przez PZPR. Wasz czas już się skończył!”

No i o dziwo, nikt nie stawiał żadnego oporu. Wszyscy byli wystraszeni. Bez słowa spakowali się i opuścili budynek. Poleciłem Jankowi Jaroszowi zapłombować taśmą i pieczętką wszystkie pokoje oraz wszystkie garaże i samochody. Gdy wszyscy wyszli, zabrałem klucze i zamknąłem siedzibę Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Przemyślu.

Mając już ten budynek, pojechałem do Warszawy z wicewojewodą przemyskim Stanisławem Żółkiewiczem, Andrzejem Matusiewiczem i Mieczysławem Napolskim, ówczesnym przewodniczącym Przemyskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Chciałem spotkać się z premierem Tadeuszem Mazowieckim aby zdać mu relację. Premiera nie było. Przyjął nas szef Urzędu Rady Ministrów, Jacek Ambroziak. Zdenerwowany i jakby wystraszony krzyknął z pretensją w głosie: „No i co wyście tam w Przemyślu narobili?” Ja na to: „Panie ministrze, o co panu chodzi? No, przejęliśmy majątek i nie wiemy co z nim zrobić”. Wobec wyraźnego braku poparcia powiedziałem: „Panie ministrze, nie ma premiera, a pan nie jest w stanie podjąć decyzji, no więc nie róbcie nic, ja sobie dam z tym radę”. No i wróciliśmy do Przemyśla, a tam dzwoni do mnie Stanisław Żółkiewicz i mówi: „Marek, oni oddali im ten budynek!”

Najwyraźniej sam premier Mazowiecki musiał o tym zdecydować. W każdym razie wojewoda przemyski otrzymał z Warszawy pismo, iż „Rząd podjął decyzję, że jest to majątek PZPR-u”.

Oczywiście, następnego dnia przyszedł do mnie sekretarz KW PZPR, Antoni Wiśniowski, i z miną zwycięzcy zażądał oddania kluczy. „To jest nasze!” – powiedział. Cóż mogłem zrobić? Rzuciłem mu te klucze. I w ten sposób „komuna” wróciła do budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR. No a później, w styczniu 90-go roku, wszedł tam KPN i załatwił sprawę.

(opr. -KJB)



Przeworsk koło Ratusza:
Czerwiec '89 - Przygotowanie do wiecu Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” przed Ratuszem w Przeworsku.
Andrzej Zapałowski obok Ireny Lewandowskiej siedzącej przy stoliku.



Transparent, WSP Kraków
Rok 1988 - Andrzej Zapałowski (z prawej) i Paweł Sabuda z transparentem NZS przed WSP w Krakowie
(podczas obrad Rady Szkolnictwa Wyższego)



Archiwum Wolności Europy Karpat

Celem projektu jest zbieranie materiałów dotyczących historii aktualnej, przedstawianie ludzi (społeczeństw, instytucji) i wydarzeń państw z Europy Środkowej, także o charakterze lokalnym i regionalnym, którzy brali udział w procesie budowania wolności lub byli obserwatorami tych zmian, a także aktualnie angażują się w działalność publiczną.

Zbierane materiały są związane z konferencjami "Europa Karpat" - inicjatywą rozpoczętą na przełomie XX i XXI wieku (Zielone Karpaty), gdzie omawiane są różne aspekty aktywności społeczeństw i Ludzi Wolności zaangażowanych w proces zmian w Europie Środkowej. Doświadczenie to jest wspólnym dziedzictwem, które wymaga szerszego upowszechnienia i upamiętnienia.

Efektom tych prac są nagrania i spisane wspomnienia (rozmowy) świadków minionych i obecnych czasów. Zbierane są też materiały archiwalne, zdjęcia, publikacje, archiwalia udostępnione przez instytucje oraz osoby prywatne. Materiały te są publikowane na portalu Archiwum Wolności Europy Karpat oraz wydawane w publikacji książkowej o tej samej nazwie.

<https://archiwumwolnosci.pl/>

